

OPOWIEŚCI CELTYCKIE

PRZYMIERZE

KAROLINA
JANOWSKA

NOVAE RES

Na cykl OPOWIEŚCI CELTYCKIE składają się tomy:

Opowieści celtyckie. Początek

Opowieści celtyckie. Droga do władzy

Opowieści celtyckie. Cena przywództwa

Opowieści celtyckie. Przymierze

KAROLINA JANOWSKA

OPOWIEŚCI
CELTYCKIE

P R Z Y M I E R Z E



NOVAE RES

*Dla Olafka - Synku, dzięki Tobie życie
znowu ma sens. Cieszę się, że jesteś.*

SPIS TREŚCI

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

EPILOG

I

Po odejściu Lorelei i Adair w domu Galvana zapanował szczególny nastrój, chociaż zdawałoby się, że życie wróciło na dawne tory. Przyczynił się do tego brak zgody między Galvanem a Gobannicjonem, którzy do tej pory stali za sobą murem. Teraz rozdźwięk był wyczuwalny, jakkolwiek jeden i drugi odnosili się do siebie poprawnie, a wręcz grzecznie i przyjacielsko. Galvan miał wyrzuty sumienia, że nie pojechał na pomoc swemu teściowi, Gobannicjon wręcz przeciwnie - uważał, że wstrzymanie się od działań wojennych było świetną decyzją. Zwłaszcza kiedy pod koniec lata dowiedzieli się o porażce Ariowista.

Były żniwa i każdy dorosły mężczyzna, bez względu na to, czy naczelnik, kowal czy niewolnik, uwijał się w polu, by zdążyć przed złą pogodą ze zbieraniem zboża z pól. Zanosiło się na piękny plon tego roku. Galvan z zadowoleniem spoglądał na snopki pszenicy i żyta, na bujny owies, na jabłka dojrzewające w sadach, na cały swój dobytek i majątek. Nadwyżkę będzie można sprzedać po dobrych

cenach. Wiedział, że Gobannicjon już szacuje zyski z tegorocznych plonów.

W zasadzie Galvan nie miał powodów do narzekań. Zbiory zapowiadały się dobrze, niebezpieczeństwo wojny z Rzymianami zostało chwilowo zażegnane, dzieci rosły, Drust zapowiadał się wspaniale i w przyszłym roku trzeba będzie go oddać do adopcji, bliźnięta rosły zdrowe i silne, Gwynn po odejściu Lorelei piękniała i kwitła, doprawdy nie wiedział, czego więcej pragnąć. W każdym razie nie wojny z Cezarem, który pokonał Helwetów, dosłownie zmiażdżył ich jak muchy. Ale w głębi serca Galvan wiedział, że postąpił niewłaściwie, czas bowiem był odpowiedni, by zaatakować Rzymian z obu stron i zamknąć ich w kleszczach. Dopóki jednak nie zagrażali bezpośrednio Arwernom, ale wyrównywali rachunki z wrogami własnych sojuszników, starszyzna i rada nie widziały powodu, aby wtrącać się w te sprawy.

Galvan czuł jednak żal do swego wuja, bo oto po raz pierwszy Gobannicjon publicznie zakwestionował jego zdanie, a co za tym idzie, podważył jego autorytet jako naczelnika. Co prawda Galvan zapowiedział mu, by takich rzeczy na przyszłość nie robił, ale wiedział, że jego wuj zbyt pewnie i mocno się czuje, aby przestraszyć się pogróżek ze strony siostrzeńca. Nie było już żadnej Scatah, która stanęłaby po stronie Galvana. Uatah zaś udała się na Sein, by tam w spokoju przygotować się do porodu swego drugiego dziecka, o czym Galvan wiedział, ale niekoniecznie miał ochotę rozmyślać. Kiedy czasami dawał się ponieść

wyobraźni, widział rozpaloną pożądaniem twarz pierwszej żony i nie mógł znieść myśli, że to nie on owo pożądanie zaspokaja.

Któregoś gorącego dnia pod koniec sierpnia dotarła do Gergowii wieść o pogromie Ariowista. Tak się składało, że mężczyźni mieli akurat przerwę w pracy i większość domowników Galvana, z nim samym na czele, znajdowała się na podwórzu jego domu, gdzie kobiety rozdzielały posiłek. Galvan z dumą wodził oczami za Gwynn, która pełniła z godnością obowiązki pani domu. Doprawdy po wydaniu na świat dzieci ta dziewczyna nabrała powagi i dostojności odpowiedniej do jej pozycji. Miała teraz niewiele ponad dwadzieścia lat, ale sprawiała wrażenie o wiele dojrzalszej niż w chwili, kiedy ją po raz pierwszy ujrzał na łące. Nie straciła nic na urodzie, wręcz przeciwnie – kwitła jak dzika róża na łagodnych zboczach i miała w sobie coś takiego, co przyciągało wzrok każdego mężczyzny. Jej dźwięczny śmiech niósł się często po podwórzu. Była pogodna i wesoła, zwłaszcza kiedy z jej oczu zniknęła Lorelei ze swą melancholią i smutkiem.

Jeździec, informator Galvana, wjechał niespiesznie na dziedziniec, chociaż powinien pewnie był się spieszyć. Jednak w tym skwarze nikomu nie przyszłoby do głowy niepotrzebnie poganiać konia, a wieści, które miał do przekazania, nie były przecież najświeższe.

- Cezar pokonał Ariowista w bitwie w pobliżu Renu - wysapał posłaniec. - Ariowist umknął za Ren, ale stracił córkę i dwie żony. To druzgocąca klęska. Reszta Germanów

wyniosła się z ziem Eduów i Sekwanów, a te dwa plemiona zawarły ze sobą rozejm.

Galvan omal nie upuścił udka kurczaka, które właśnie spożywał. Gobannicjon poderwał się gwałtownie.

- Co ty mówisz! - zawołał Galvan. - Jak to: stracił córkę?

- Rzuciła się ponoć do rzeki - ciągnął informator. - A jego żony popełniły samobójstwo.

I nieproszony przez nikogo zaczął streszczać wielką bitwę, w której zwycięstwo powoli, ale systematycznie przesuwało się w stronę Rzymian, aż Germanie w popłochu zerwali się do ucieczki. Uciekali wszyscy bez względu na przynależność do danego plemienia, a najszybciej sam Ariowist, dając popis tchórzostwa i hańby. Skrył się za Renem, niepomny śmierci żon i córki, i od tamtej pory nosa nie wyściubił ze swej kryjówki, a wszelki słuch jak na razie o nim zaginął.

Wszyscy zebrani na podwórzu słuchali tych rewelacji z otwartymi ustami. Galvan czuł ogarniający go żal. Nie kochał Lorelei, ale była jego żoną i zobowiązał się ją chronić, tymczasem dowiedział się o jej śmierci - i to o jak okrutnej śmierci! Przypomniawszy sobie ten dzień, kiedy uśmierciła swoje dziecko. Już wtedy dała przykład uporczywości i zaciętości. Samobójstwo zamiast hańby było tym, na co mogła się zdecydować w ostatniej chwili. Zerknął na Gwynn, ale ona siedziała spokojnie, tylko oczy lśniły jej z podniecenia na te nowiny.

- Musimy złożyć mu gratulacje jak inne plemiona - zdecydował Gobannicjon ze swego miejsca.

Galvan zwrócił się ku niemu gwałtownie.

- Chyba żartujesz! - parsknął jak rozjuszony byk. - Nie myślisz chyba, wuju, że pojedę składać gratulacje Cezarowi z okazji pokonania mojego teścia i zabicia mojej żony!

- Byłej żony - wtrąciła Gwynn niemal niedosłyszalnie.

Galvan zignorował jej uwagę.

- Ja bym na twoim miejscu na razie położył uszy po sobie, mój chłopcze - zaczął ostrożnie Gobannicjon.

- Powiedz lepiej, że pasuje ci bardzo podlizywanie się Cezarowi ze względu na możliwości handlu z legionistami i wolną drogę handlową do Rzymu - warknął ze złością Galvan, wstając z miejsca. - Pięknie to będzie doprawdy wyglądało!

- Twoja żona, o ile się nie mylę, porzuciła cię - odezwał się Ruten, który również siedział na dziedzińcu. - Nie powinieneś poczuwać się do jej śmierci.

- Być może nie - mruknął Galvan. - Ale mimo wszystko nie jestem w stanie jechać do Cezara i gratulować mu takiej wygranej.

Geillis, która dotąd siedziała cicho, teraz zdecydowała się zabrać głos w sprawie:

- Galvanie, Eduowie i Sekwanowie zawarli rozejm. To oznacza, że nasza sytuacja jest niepewna. Do tej pory wszystkie wschodnie plemiona podążyły do Cezara z zapewnieniem o swojej lojalności. Uważam, że dopóki nie będziemy pewni jego dalszych kroków, powinieneś złożyć mu te gratulacje i dać do zrozumienia, że nie jesteś jego nieprzyjacielem. A to, co sobie myślisz, zachować możesz na

razie dla siebie.

Galvan patrzył na matkę zdumiony. Geillis rzadko zabierała głos w sprawach polityki, ale kiedy się odzywała, jej instynkt okazywał się zazwyczaj nieomylny.

- Tak uważasz, matko? - zapytał stropiony. - A ty co o tym sądzisz, Brennusie?

- Ja uważam, że na razie więcej zyskasz na milczeniu niż na wyciąganiu oręża - odparł jego brat. - Cezar pokonał Helwetów, którzy mu się sprzeciwili, i Ariowista, który stanowił zagrożenie dla jego popleczników, ale nie podjął marszu na nasze ziemie i nie groził naszym sojusznikom.

Galvan zagryzł usta. Doskonale wiedział, co by mu doradziła Uatah, a ona z pewnością nie byłaby po stronie bratania się z Rzymianami. Z drugiej jednak strony Galvan instynktownie czuł, że występowanie zbrojne przeciwko Rzymianom w chwili, kiedy byli oni silni, zakrawałoby na szaleństwo. Pamiętał doskonale sytuację, kiedy mieszkał pod jednym dachem z zabójcą swego ojca, własnym stryjem, ale nie mógł przeciw niemu powstać ani podjąć żadnych kroków, dopóki nie nadarzyła się okazja.

Geillis bez wątpienia była mądrą kobietą. Żyła przez szereg lat u boku Cynnusa po tym, jak straciła pozycję pierwszej kobiety w Gergowii - żony głównego naczelnika. Ona też czekała długich piętnaście lat, żeby pomścić śmierć męża. Jeżeli Geillis uważała, że należy czekać, to Galvan gotów był jej posłuchać, chociaż nie w smak mu było dostosowanie się do zdania wuja i kładzenie uszu po sobie jak szczeniak.

- Dobrze więc, przypuśćmy, że to zrobię - zaczął powoli.
- A co potem?

- Będiesz go obserwował - powiedziała cicho Geillis. -
Daj mu w darze swoje oczy i uszy.

Galvan spojrział na matkę pytająco, ale ona tylko się uśmiechnęła. Syn spuścił głowę pod jej spojrzeniem. Doskonale wiedział, co oznacza pojęcie „oczy i uszy” w tym przypadku, i nie był pewien, czy ma na to ochotę.

Okazja do porozmawiania z Geillis na ten temat nadarzyła się jednak dopiero pod wieczór, kiedy mężczyźni rozeszli się już do swoich domów po całodziennej pracy. Galvan był zadowolony, że coraz więcej snopków znajduje się bezpiecznie pod dachem stodoły, toteż ze spokojnym sercem wracał do domu.

Zastał Geillis przed paleniskiem, czeszącą swoje złociste włosy. Najwyraźniej dopiero co je umyła, bo opadały jej ciężkimi wilgotnymi kosmykami na ramiona. Przypomniał sobie ten wieczór, kiedy w podobnej sytuacji ujrzał Gwynn i kiedy wbrew jego woli serce zabiło mu wtedy mocniej. Ale kobieta siedząca przed ogniem nie była jego żoną, lecz matką.

- Gdzie Gwynn? - zapytał.

- Usypia bliźnięta - odparła Geillis spokojnie. - Prosiła, byś na nią zaczekał.

Galvan usiadł na niskim zydlu obok matki.

- Chyba nie myślisz o tym co ja, matko? - zapytał ostrożnie.

- Zależy, jakie są twoje myśli, synu. - Geillis się

uśmiechnęła.

- Dobrze wiesz. Nie zaczynaj ze mną jak Uatah albo Scatah. Nie jesteś nimi.

- To prawda, nie jestem, ale w ciągu życia nauczyłam się, że pewne sprawy wymagają pewnych ofiar. Ariowist dał ci Lorelei i wraz z nią wysłał swą drugą córkę, by cię obserwowała.

- Wiem o tym - mruknął Galvan. - Zresztą Lorelei też to robiła, chociaż niechętnie.

- Nie sądziłam, że to zauważyłeś.

- Sądziłaś pewnie, że jestem na to za głupi - sarknął Galvan. - I co, zmieniłaś o mnie zdanie?

- Synu, chyba nie chcesz się ze mną kłócić? - Geillis się zaśmiała. - Nigdy tak o tobie nie myślałam, ale zaślepiony byłeś pożądaniem do tej dziewczyny. Nie sądziłam, że stać cię na trzeźwy osąd.

- Wracajmy do rzeczy - przerwał jej Galvan. - Dlaczego chcesz zostać nałożnicą Cezara?

A zatem te słowa padły. Galvan poczuł się dziwnie, wymawiając je. Wiedział, rzecz jasna, że jego matka jest piękną kobietą i że dzieliła łożę z dwoma mężczyznami. Nie interesowało go, kto obecnie jest jej kochankiem i nie chciał wiedzieć, z kim się spotyka w wolnym czasie, dość, że dawało jej to większą lub mniejszą satysfakcję. Ale kupczenie własnym ciałem na politycznym targu było czymś zgoła odmiennym.

- Nie chcę być jego nałożnicą - odparła Geillis znużonym tonem. - Ale twoimi oczami w jego obozie. Nie myśl sobie, że

jestem taką idiotką, by nie zwrócić na siebie jego uwagi i nie przykuć go do siebie kobiecym powabem. A mężczyzna jest jak dziecko, na widok ładnych piersi topnieje jak wosk i jeśli nim odpowiednio pokierujesz, prędzej czy później zwierzy ci się ze swych myśli.

- Naprawdę jesteśmy tacy przewidywalni? - zachnął się Galvan.

- O, nawet nie wiesz, jak bardzo. - Geillis zachichotała. - Chcę wiedzieć, co on dalej knuje, tak samo jak i ty. Ale jeśli ty pojedziesz i zapytasz go o to, prędzej twoja głowa potoczy się po trawie, niż Cezar zdradzi ci swoje tajemnice. Jeśli zaś ja zapytam go o to po miłosnej nocy, to upojony rozkoszą odpowie mi.

- Matko, nie jesteś młodą, powabną dziewczyną - zauważył Galvan raczej przytomnie niż taktownie.

- Wiem o tym, synu, i właśnie dlatego ja pojedę zamiast Gwynn lub jednej z jej sióstr - powiedziała Geillis spokojnie. - Mężczyzna w jego wieku nie chce nastoletniej dziewczyny do rozmów łóżkowych. On chce dorosłej, poważnej kobiety, dość jeszcze pięknej i świeżej, by go skusić ciałem, ale odpowiednio dojrzałej, by z nim rozmawiać jak z równym sobie. Młodą dziewczynę to on ma zapewne w domu.

Galvan szukał i szukał, ale nie mógł stwierdzić, że w słowach jego matki nie kryje się nieubłagana logika. Doskonale wiedział, jak skończy się ich wyjazd do obozu Cezara, zanim ten przeniesie się na leże zimowe. Nie chciał tego i w głębi ducha nie wyrażał na to zgody, ale Geillis była równie uparta jak on.

- Zyskasz na tym, synu. Po pierwsze dlatego, że nie mam żadnego interesu w oszukaniu ciebie, a po drugie moje słowa trafią do ciebie bezpośrednio. Wreszcie nie jestem żadną młodą gęsią, by nie zrozumieć tego, co on mi powie.

A przy okazji - pomyślała - przekonam się, jacy faktycznie są ci Rzymianie, choć podejrzewam, że żadnej rewelacji nie mogę oczekiwać.

- Dobrze więc. - Galvan skinął głową. - Pod warunkiem, że twój brat o niczym się nie dowie.

- Masz moje słowo - przyrzekła Geillis.

Gobannicjon nigdy się nie dowiedział, jakim sposobem Galvan poznał plany Cezara na najbliższy rok, chociaż do końca życia zachodził w głowę, jak to możliwe. Geillis zaś, patrząc na brata, zachowywała kamienny wyraz twarzy. Galvan zmagał się z wyrzutami sumienia, ale ustąpił i zaraz po żniwach wielka kawalkada ruszyła na północny wschód, aby złożyć gratulacje i zapewnienie lojalności rzymskiemu prokonsulowi, chociaż była to ostatnia rzecz, na którą Galvan miał ochotę.

Jedynie Gobannicjon był prawdziwie rad z faktu, że Galvan zdecydował się w końcu na złożenie hołdu Cezarowi. Co prawda on sam używał wzniosłego słowa „gratulacje”, ale obaj wiedzieli, o co tak naprawdę chodzi. Galvan po raz pierwszy w życiu zaczął bacznie przyglądać się swemu wujowi i dostrzegać w jego charakterze rysy, których wcześniej nie widział. Zastanawiał się, czy Gobannicjon nie chce przypadkiem pokusić się o otwarte sprawowanie

rządów, skoro już teraz usiłuje rządzić z za pleców siostrzeńca. Swoje młodzieńcze wyprawy do Rzymu ujrzał nagle w innym świetle. Kiedy pakowano juki, a Gobannicjon ożywiony jak nigdy rozmawiał z Geillis na dziedzińcu, Galvan zrozumiał, że jego wuj zawsze sprzyjał Rzymianom i zawsze będzie im sprzyjał, widział w nich bowiem niewyczerpalne źródło pieniędzy i nieograniczone rynki zbytu. Mało go obchodzili Celtowie, jeszcze mniej kwestia tak zwanej wolności, za to bardzo się troszczył o własne interesy.

Galvan zamyślony marszczył czoło. To Gobannicjon doradził mu małżeństwo z córką Rutena, jednego z najzamożniejszych przedstawicieli szlachty. To on swego czasu wydał Geillis za męża za Celtyllusa, a potem sam ożenił się z Aman, wdową po swoim szwagrze. Rozwijał sieć swoich klientów, miał agentów w Rzymie, orientował się w polityce i doskonale wiedział, że nadszedł czas lizania Cezarowi stóp, a nawet czegoś więcej, ale co się za tym kryło i na ile Gobannicjon wietrzył interes, tego Galvan nie wiedział. To Gobannicjon oponował przeciwko wspomoczeniu zbrojnemu Ariowista, który, bądź co bądź, związany był z Galvanem poprzez małżeństwo córki. Ale wuj stwierdził, że skoro żona opuściła męża, ten nie jest już zobowiązany do pomocy jej ojcu. Galvan musiał się ugiąć przed większością starszyny, ale teraz zastanawiał się, czy ich przypadkiem sprytny kowal nie przekupił.

Patrzył na swoją matkę i nie podobał mu się jej chmurny wzrok, kiedy rozmawiała z bratem. Geillis szalenie poważnie traktowała więzi rodzinne i za nic w świecie nie

sprzeciwiłaby się bratu. Galvan bardzo chciałby usłyszeć, w jaki sposób Gobannicjon nakłonił ją do oddania się Cezarowi. Tak, bo teraz był już pewien, że inicjatywa wyszła od niego, a Geillis bynajmniej sama na taki pomysł nie wpadła. Galvan był zdania, że kogo jak kogo, ale Cezar na pewno nie wybrałby podstarzałej matrony w miejsce młódki, a jakkolwiek Geillis wciąż była piękna, to jednak miała swoje lata i na pewno nie była w stanie skusić Rzymianina świeżością i młodością.

Patrząc na matkę, musiał jednak przyznać, że jest ona wciąż powabna i piękna dojrzałą urodą. Lata nie dodały jej krągłości, pozostała szczupła i gibka, a włosy nadal miała złote bez jednego siwego pasma. Owal twarzy nadal jeszcze był czysty, miała wszystkie zęby, cerę dość świeżą, by podobać się mężczyznom, a zmarszczek na twarzy stosunkowo niewiele. Mogła się podobać i zapewne podobała się niejednemu mężczyźnie, ale jakoś nie starała się ponownie wyjść za mąż, co też jednak Galvana niespecjalnie dziwiło.

Uatah - myślał. - Jak bardzo brakuje mi twojej matki i ciebie! Gwynn jest dobrą, piękną kobietą, kocham ją, ale umysłem i intuicją nie dorównuje Scatah ani tobie.

A może jednak? Może powinien spróbować porozmawiać z żoną i zapytać ją o zdanie? Ostatecznie Gwynn była kobietą i znała się na kobiecych uczuciach.

A może one oddają się mężczyznom tylko po to, by na tym zyskać? - zastanawiał się Galvan zbity z tropu. - Scatah bynajmniej mnie nie kochała, a jednak poszła ze mną do

łóżka i nawet jej to sprawiało przyjemność, a przecież Lorelei była pode mną nieprzystępna i zimna, miałem jej ciało, ale umysłu i serca nie, poza tym jednym razem, o którym wolę nie myśleć. W imię czego moja matka godzi się zlegnąć z Cezarem? Czy on jest tego wart, czy plany mojego wuja, czy wreszcie ogólnie rozumiane dobro Gergowii?

Miał paskudne wrażenie, że raczej to drugie, czyli dobro własne Gobannicjona, jakkolwiek Geillis upierała się, że jest inaczej.

Miał ogromną ochotę pojechać do doliny Scatah i porozmawiać z jej córką. Ale wiedział, że teraz Uatah ma co innego na głowie, zapewne niebawem będzie przygotowywać się do porodu, a nie jest to najlepszy moment na odwiedzin. W głowie jednak kołatała mu się myśl, że może jednak Geillis nie jest taka głupia i doskonale wie, co robi. Może on też mógłby pójść za jej przykładem i zawrzeć z rzymskim prokonsulem bliższą znajomość. Poznałby od środka rzymską armię, dowiedziałby się co nieco o samym Cezarze, poznałby jego słabe punkty, zrozumiałby, jaki z niego jest naprawdę wódz i jakim on sam jest człowiekiem.

Może to uczynię - myślał. - Ariowist nie był głupcem, posyłając do mnie swoje córki, a moja matka robi sprytną rzecz, wkradając się w łaski tego Rzymianina. Gdybym to zrobił, oszukałbym wszystkich, włącznie z Cezarem i Gobannicjonem. Nikt nie znałby moich prawdziwych intencji, a najmniej ten ostatni. Dzięki temu przejrzałbym jednego i drugiego. I dowiedziałbym się, czy wojna z Ariowistem i bitwa u stóp Wogezów to była jednorazowa

akcja, czy też Cezar planuje zdobyć sobie władzę nad wszystkimi Celtami.

Bo jeśli tak, to stanę na głowie, żeby pokrzyżować mu plany. Wiem już, do czego powołała mnie Scatah, i wypełnię swoje zadanie nawet za cenę śmierci.

Kiedy sformułował te myśli, na jego duszę spłynął dziwny spokój. Galvan pojął, że Scatah w jakiegokolwiek postaci znajdowała się we wszechświecie, czuwała nad nim i pilnowała, by nie zboczył z raz obranej, a wytyczonej przez nią samą drogi.

Gwynn popatrywała spod oka na Geillis, która pakowała wiklinowy kosz z odzieżą, balsamami i biżuterią. Rzecz jasna Galvan zdradził żonie, co też jego matka zamierza uczynić, ale zdaniem Gwynn zakrawało to na szaleństwo.

- Matko, dlaczego kobiety muszą stale oddawać się mężczyznom, aby coś osiągnąć? - zapytała rzeczowo. - Nie można tego dostać w inny sposób?

Geillis odrzuciła na plecy warkocz, który jej nieustannie przeszkadzał, i spojrzała rozbawiona na synową.

- Kochana, na mężczyznę jest tylko jeden skuteczny sposób - odparła z przekonaniem. - Nazywaj mnie wyrachowaną, zimną suką, ale żyłam z jednym i drugim mężem przez szereg lat i wiem, że inaczej nie postawisz na swoim, jak tylko przez łóżko.

- Ale dlaczego?

- Bo taka już ich natura. Pierwszy raz oddałam się mojemu mężowi, kiedy byłam młodsza od ciebie, i nie

powiem, by to dla mnie była wielka radość. Sama widziałaś, że Lorelei miała wyraz twarzy męczennicy, kiedy udawała się z Galvanem do łoża. Nie zawsze jest to dla nas przyjemne, ale godzimy się na to, by mężczyźni dali nam to, czego potrzebujemy lub chcemy.

- Okropne - mruknęła Gwynn. - Dobrze, że ja nie jestem do tego zmuszana.

Nigdy nic nie wiadomo - pomyślała Geillis posępnie, ale pozostawiła sobie te myśli. Gwynn była jeszcze młoda i niedoświadczona, ale czas zmieni tę niedogodność i kiedyś dziewczyna zrozumie, że nie ma skuteczniejszej metody na mężczyzn niż ta jedna.

- Oni są tak głupio uzależnieni od tego, co może im dać kobieta - stwierdziła. - Nawet jeśli będą przez długi czas sami się zaspokajać, to w końcu nie wytrzymają i poszukają kobiety. Uwierz mi. Jeżeli będę czegoś chciała od Cezara, to prędzej uzyskam to osobiście niż prosząc przez kogoś innego.

Gwynn nie mieściło się w głowie, że jej teściowa tak otwarcie o tym mówi. Ona sama była jeszcze w takim wieku, kiedy ze zgrozą myśli się o samej możliwości przespania się z innym mężczyzną, a co dopiero z obcym człowiekiem.

- Zastanów się jeszcze, matko. Może to nie będzie konieczne.

- Może nie, a może właśnie tak - odparła sucho Geillis. - Nie jest powiedziane, że w ogóle to zrobię. Natomiast mój brat ma rację, że powinniśmy złożyć gratulacje Cezarowi i znaleźć się jak najbliżej niego. To daje nam możliwość

poznania go i dowiedzenia się, co ten człowiek planuje. Ostatecznie wdarł się do Celtyki, rozgromił Helwetów, a potem pokonał Ariowista, z którym nie mogli sobie poradzić Sekwanowie i Eduowie razem wzięci. Galvan boi się, że Cezar zechce do nas również wkroczyć prędzej czy później. Nie możemy na to pozwolić, rozumiesz chyba.

Tak, Gwynn rozumiała. Nie miała ochoty zostać pozbawiona swego domu i męża, a następnie sprzedana do niewoli rzymskiej i zamiast żyć jako żona naczelnika, egzystować jako niewolnica dbająca o rzymski dom. Wolność była jej drogą, myśląc w ten sposób, gotowa była przyznać Geillis rację, że czasem trzeba uciec się do poświęceń. Cieszyła się jednak, że sama do obozu rzymskiego nie jedzie i że nie będzie tam zmuszona do podobnych rzeczy.

Patrzyła dalej na Geillis i w duszy czuła całkowitą pustkę. Niedawno na jej oczach Lorelei dokonywała podobnych rzeczy z Galvanem, teraz Geillis jechała się sprzedać za nieokreślone jeszcze korzyści. Gwynn zastanawiała się, czy nadejdzie jej czas, a jeśli tak, czy będzie na to gotowa i czy Galvan zrozumie tę konieczność. Mogła się tylko modlić do bogów, aby było jej to oszczędzone, ale młoda Gwynn nie wiedziała, jaki los szykują jej bogowie i jak przewrotne będzie jeszcze jej życie.

Cezar przygotowywał się już do zakończenia sezonu i odesłania żołnierzy na leże zimowe do kraju Sekwanów. O ile w Italii o tej porze roku, czyli krótko po zniwach, nadal świeciło słońce i lato jeszcze nie żegnało się z mieszkańcami

półwyspu, o tyle tutaj, na północy, jesień nadciągała wielkimi krokami zaraz po żniwach. Dni stawały się krótsze, nocami nadchodził przejmujący chłód, a lasy w najwyższych partiach Wogezów powoli pokrywały się szkarłatem i złotem.

Nie miał ochoty na kolejne delegacje galijskich plemion, ale wiedział, że w tej chwili nie może sobie pozwolić na całkowite lekceważenie naczelników, jego pozycja w Galii bowiem nie należała jeszcze do najsilniejszych. Co prawda zadowolony był z faktu pokonania Ariowista i poradzenia sobie z Helwetami, ale wiedział, że to nie koniec jego zmagania i już planował, że powoła do życia dwa kolejne legiony, gdy tylko w pełni jesieni znajdzie się w granicach Prowincji. Miał przecucie, że to nie koniec, lecz dopiero początek zmagania, wobec czego uważał, że należy się przygotować. Dopiero by wyglądał, gdyby po tak spektakularnym zwycięstwie okrył się hańbą przegranej z jakimś nic nieznaczącym plemieniem!

Tym razem jednak, gdy usłyszał, kto to niego zmierza, nie mógł powstrzymać ciekawości i zaskoczenia.

- Arwernowie - szepnął mu do ucha Balbus w stosownym momencie. - Wercyngetoryks, jego matka i wuj, a także podlegli mu naczelnicy, dwunastu najważniejszych z dwunastu okręgów.

Czarne oczy Cezara rozbliły z wielu powodów. Po pierwsze ciekaw był owego Wercyngetoryksa, zięcia Ariowista, który nie pospieszył teściowi na pomoc. Na razie Cezar daleki był od wydawania sądów i opinii, a od Adair wiedział wystarczająco dużo, by się zbytnio nie dziwić, ale

z drugiej strony chciał zobaczyć tego mężczyznę, który mógł, a nie wykorzystał szansy całkowitego pogrążenia Cezara. Rzymski wódz bowiem był nie w ciemną bitwę - doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby Arwernowie zdecydowali się pospieszyć na odsiecz Ariowistowi, on sam znalazłby się w kleszczach i nigdy w życiu nie pokonałby tak silnego wojska, skoro sam posiadał tylko sześć legionów. Byłby bez szans. Miał więc co zawdzięczać Wercyngetoryksowi, chociaż, rzecz jasna, nie zamierzał tego głośno obwieszczać wszem i wobec. Tego rodzaju myśli Cezar miał zamiar zachować wyłącznie dla siebie.

Postanowił też, że o niczym nie wspomni Adair, był bowiem wielce ciekaw jej reakcji. Z jej słów wynikało, że dziewczyna durzyła się w Wercyngetoryksie, nawet jeśli sama tego nie pragnęła. Uczucia nie idą w parze z rozsądkiem, Cezar sam dobrze o tym wiedział, więc młodszą córkę Ariowisty również nie zamierzał oceniać. Mimo wszystko jednak odczuwał najzwyczajszą ludzką ciekawość odnośnie do wzajemnych stosunków tych dwojga.

Delegacja Arwernów przybyła niemal w ostatniej chwili, wedle rzymskiego kalendarza bowiem rozpoczynał się miesiąc september, kiedy to należało rozlokowywać żołnierzy na zimowych pozycjach, wznosić obozy i organizować kondukt niewolników i transport łupów wojennych. Ostatni miesiąc lata był też okresem, w którym Cezar musiał wyruszyć do Prowincji, jeśli chciał zdążyć przed jesiennymi słońcami i opadami śniegu w Alpach. W górach zaś nie mógł mieć pewności, że letnia pogoda utrzyma się jeszcze długo.

W każdej chwili mógł tam spaść śnieg i odciąć mu drogę na południe, zmuszając do pozostania na szlaku lub do zajęcia złych pozycji. Cezar, widząc nadjeżdżających, wznosił oczy do nieba z nadzieją, że nie zabawią dłużej niż trzy dni i wyniosą się czym prędzej do swoich zapyziałych wiosek.

Kazał jednak przygotować wystawną ucztę dla nowo pozyskanych sojuszników. Tak czy inaczej Galowie byli jego gośćmi i należało zadośćuczynić prawu gościnności, żeby nie narazić się na brak szacunku. Ta zasada obowiązywała wszędzie, a Cezar nie miał ochoty w imię własnej wygody gwałcić zwyczajowych praw.

Powitaniem delegacji zajęli się legaci, toteż Cezar miał czas na przygotowanie się do uczyty. Słyszał, że goście chcą skorzystać z proponowanej kąpieli i w duszy pochwalił ich za to, nie znosił bowiem, kiedy Galowie przyjeżdżali cuchnący niewietrzonymi ubraniami, końmi i własnym potem. Ci tutaj sprawiali wrażenie kulturalnych. Słyszał, że jeden z nich, najwyraźniej młody, sądząc po głosie, posługiwał się biegle greką, i zastanawiał się, gdzie mógł się jej nauczyć. Głos zabrała również kobieta; ona także posługiwała się mową Homera. *Co za poziom* – pomyślał Cezar zdumiony. Zawsze uważał resztę Galów za barbarzyńców, wyłączając z tego Eduów i Sekwanów, a tymczasem był przyjemnie rozczarowany. Jego zadowolenie powiększał fakt, że nie był w ten sposób zmuszany do korzystania z usług tłumacza, rozmowa przy stole będzie się gładko toczyć.

Kolacja rozpoczęła się wraz z pierwszą wigilią, kiedy na dworze ściemniło się na tyle, że goście musieli być

prowadzeni przez niewolników niosących pochodnie. Cezar jako gospodarz oczekiwał ich przy zastawionym na rzymską modłę stole. Wokół długiej ławy, rozłożone w kształcie litery U, stały zasłane poduszkami kanapy. Potrawy były proste, nic więcej niż chleb, ser, oliwki, nieco dziczyzny i warzywa, ale wspaniale podane. W naczyniach znajdowały się rozmaite sosy, w tym słynny rzymski garum, którego zapach przyprawiał o mdłości, a smak nie miał sobie równych. W amforach lśniło najprzedniejsze falernum, a w srebrnych kraterach połyskiwała źródłana woda do mieszania z winem. Cezar słynął ze skromności, toteż jego żołnierze dawno już przywykli do prostych potraw, mało zaś go obchodziło, co na ten temat powiedzą Galowie, którzy zapewne ucztowali znacznie bardziej wystawnie.

- Witajcie w moim obozie - powitał ich Cezar. - Jesteście gośćmi i przyjaciółmi Cezara i jako takich moje legiony darzyć was będą szacunkiem oraz gościnnością. Siadajcie i ucztujcie!

Balbus, który pełnił zaszczytną funkcję majordomusa, usadzał gości według ich rangi. U boku Cezara spoczął więc Wercyngetoryks, z drugiej strony - jego wuj. Dalej siedzieli rzymscy oficerowie, potem znowu Galowie. Matka Wercyngetoryksa zajęła miejsce na najniższej sofie, ale Cezar wcale nie zamierzał tym samym jej upokorzyć ani wskazać należnego miejsca, tylko chciał ją sobie obejrzeć. Na razie jednak wcale na nią nie patrzył, by zachować pozory dobrego wychowania.

Zdumiał go młody wiek Wercyngetoryksa. Zdawało mu

się, że już gdzieś widział tego chłopaka, tylko nie mógł sobie tego przypomnieć. Naczelnik Arwernów nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Długie złocistoblond włosy spływały mu w lokach na szerokie ramiona, twarz miał wbrew galijskiej modzie gładko ogoloną, z przejrzysto błękitnymi oczami i szlachetnymi rysami, dłonie zaś przywykłe do miecza. Na szyi nosił złoty torkwes, na przegubach bransolety i w ogóle sprawiał wrażenie nawykłego do rządzenia i dumnego z urodzenia. Cezar słyszał o jego ojcu, który został zamordowany, kiedy na jaw wyszły jego królewskie aspiracje.

W którymś momencie Wercyngetoryks uśmiechnął się i wtedy Cezar doznał olśnienia.

- To ty przyszedłeś ongiś do mnie do Kurii i wywołałeś mnie na polecenie mojej córki! - wykrzyknął. - Pamiętam ten dzień! Zapropnowałem ci gościnę, ale ty i twój towarzysz odmówiliście!

Młody Celt spojrzał uważnie na Cezara i również przypomniał sobie tamto wydarzenie. Nie mógł mieć wówczas więcej niż czternaście lat, może piętnaście, zatem wydarzyło się to dekadę temu. W rzeczy samej widział wówczas właśnie Cezara, tyle że młodszego. Człowiek, który teraz przy nim siedział, miał więcej zmarszczek na twarzy, ogolone włosy i zupełnie inny wyraz oczu, a jednak był to ten sam rzymski senator, który wówczas do niego przemówił, i to całkiem życzliwie.

- Cieszy mnie nasze ponowne spotkanie - odezwał się, wiedziony grzecznością. - Nigdy bym się nie spodziewał, że

łączy nas wspólne wspomnienie.

- Ja bym zaś nigdy nie przypuszczał, że spotkam w Rzymie zupełnie przypadkiem mego przyszłego sojusznika.
- Cezar się zaśmiał.

Galvan patrzył na niego uważnie, wydawało mu się, że czarne oczy Rzymianina pozostają czujne i bez uśmiechu. Spoglądały na niego przenikliwie i badawczo, nieufne, zimne i niezgłębione. Twarz Cezara wydawała się surowa i chłodna, gdyby nie oliwkowa cera, zapewne byłaby bardziej nieprzystępna, a tak ciemna karnacja nieco łagodziła ostre rysy. Pomimo iż słowa płynące z ust prokonsula brzmiały życzliwie i zapewne takie były, oczy jego ciągle pozostawały oczami wroga badającego obce terytorium.

Galvan czuł, że Cezarowi nie można ufać. Być może gdyby był Rzymianinem lub gdyby naprawdę z całego serca popierał rzymską obecność w Celtyce, mógłby go obdarzyć bezgranicznym zaufaniem, ale Galvanowi nie w smak było to, że obcy żołnierze panoszą się w pobliżu jego ziem i nie wiadomo do końca, co im się w głowach roi. Cezar zaś, jak się wydawało, wyczuwał jego nieufność i odpowiadał tym samym, nawet jeśli pozostawał miły i życzliwy.

Rozmowa toczyła się gładko i niezobowiązująco do czasu, gdy zeszła na handel i głos zabrał Gobannicjon. Falernum rozwiązało mu język, wuj Galvana jął z rozrzewnieniem wspominać swoje wyprawy do Rzymu.

- Geillis, pamiętasz, jak kiedyś pojechałaś ze mną? - zapytał siostrę w którymś momencie. - Powiedz sama, czyż Rzym nie jest najwspanialszym rynkiem zbytu, o jakim

można sobie zamarzyć?

- Z pewnością jest imponującym miastem, bracie - odezwała się Geillis, która do tej pory milczała. - Ale co do rynku, to ty się na tym lepiej znasz niż ja.

Cezar, który do tej pory omijał spojrzeniem matkę Galvana, teraz wreszcie podniósł na nią wzrok i zamarł.

Kornelia! - przebiegło mu przez myśl, a serce skurczyło się boleśnie. Czuł, że krew uderza mu do twarzy jak młodzikowi, i cieszył się, że panuje zbyt duży półmrok, by ona to zauważyła. Krew dudniła mu w żyłach, jakby chciała je rozerwać.

Kornelia. Na Fortunę! Bogowie, jeśli istnieją, postanowili ze mnie okrutnie zażartować. Ona wygląda dokładnie tak samo. Nawet tak samo się śmieje. I gdyby żyła, pewnie miałaby tyle samo lat i właśnie tak wyglądała.

Geillis leżała w swobodnej pozie z włosami spływającymi na ramiona złotymi pasmami. Jej błękitne oczy lśniły w blasku pochodni, a półmrok ukrywał wiek i zmarszczki. W tej chwili była piękna jak młoda dziewczyna, zachowała bowiem figurę i zwinność młodej kobiety. Cezar pożerał ją wzrokiem, niezdolny wykrztusić z siebie bodaj słowa. Ogarnęły go niewymowne wzruszenie i nostalgia, a także dziwne uczucie pustki, jakiego nie doświadczył już od wielu lat. Z drugiej strony ulegał złudzeniu, jego serce biło jak oszalałe, a ciało zaczęło wbrew jego woli reagować na bliskość oszalamiającej kobiety. Gdyby posłuchał się rozsądku, dałby się przekonać, że to przecież nie Kornelia, tylko obca osoba siedzi naprzeciwko. Jednak Geillis była

wręcz do złudzenia podobna do Kornelii.

Nagły ból przeszył serce Cezara, bo jak żywe w pamięci pojawiły mu się obrazy sprzed lat, kiedy ostatni raz trzymał Kornelię za rękę w jej cubiculum po tym, jak medyk podał jej puchar z trucizną. Podstępna choroba wyniszczyła jej ciało doszczętnie, pod koniec nie został z niej nawet cień kobiety, a jednak on kochał ją do samej śmierci i nawet po wielu latach nie potrafił o niej zapomnieć. Mimo iż ożenił się ponownie, mimo iż zadurzony był w Serwili, mimo iż naprawdę z całego serca lubił swoją trzecią żonę, ba, na swój sposób nawet ją kochał, to jednak Kornelia wyryta była w jego sercu na wieki. Gdy teraz patrzył na tę obcą Galijkę, miał okrutne złudzenie, że spogląda na zmarłą małżonkę. To uczucie było bolesne i ekscytujące zarazem. Cezar pałał niezmierzoną ochotą, by dotknąć tej kobiety, by ją całować, poczuć zapach jej skóry i przekonać się, czy pachnie tak samo jak ciało Kornelii.

Geillis doskonale wyczuwała zainteresowanie Cezara, ale w jego wzroku było coś nieoczekiwanego. Patrzył na nią z dozą cierpienia, Geillis wreszcie pojęła, że musi mu ona przypominać kogoś, kogo dawno stracił. Zrobiło jej się przykro na tę myśl i chyba po raz pierwszy ujrzała w rzymskim prokonsulu człowieka z krwi i kości, który być może po stracie bliskiej osoby szukał ukojenia i spełnienia w wojnie. Gdyby nie fakt, że przy stole siedziało czy raczej pólleżało tyle osób, posłuchałaby instynktu, który kazał jej ująć go za rękę w pełnym współczucia geście.

Cisza się przedłużała. Gobannicjon chrząknął wymownie,

po czym Cezar i Geillis odwrócili od siebie wzrok.

- Znakomite wino - zauważył taktownie Galvan, który również widział owe spojrzenia i zastanawiał się nad nimi.

- Spodziewam się, że moi goście zechcą zatrzymać dla siebie co najmniej jedną amforę. - Cezar uśmiechnął się czarująco.

Galvan patrzył na niego swymi błękitnymi jak niebo oczami i w jednej chwili stracił ochotę na konwenanse, chociaż może powinien był je zachowywać.

- Zapytaj mnie - odezwał się poważnie. - Wiem, co chcesz wiedzieć. Zapytaj mnie.

Cezar zmienił wyraz twarzy. Skinął głową na jednego z niewolników, który natychmiast wyszedł z namiotu.

- To ty mi powiedz, dlaczego - odparł, a z jego głosu znikł jowialny ton. - Ariowist był twoim teściem, ojcem twojej żony. Dlaczego nie pospieszyłeś mu z pomocą? Mogłeś razem z nim wziąć mnie w kleszcze i pokonać, ale nie zrobiłeś tego. A teraz siedzisz przy jednym stole z człowiekiem, który mimowolnie przyczynił się do jej śmierci.

- Honor kazał mi stanąć przeciwko tobie - przyznał Galvan uczciwie. - Ariowist związał się ze mną sojuszem między innymi właśnie po to. Ja chciałem pomocy przeciwko Eduom na niebezpieczeństwo wojny. Ale kiedy dowiedziałem się o wojnie między tobą a Swebami, Lorelei uciekła ode mnie. Poddałem plan wojny na zgromadzeniu i przegrałem. Tak więc widzisz, że nie przyłączyłem się do mego teścia i nie zabiłem cię, Cezarze.

- Kochałeś swą żonę? - zapytał Cezar dziwnym tonem.

- To był sojusz polityczny - odparł Galvan sucho. - Nic osobistego, prokonsulu.

Cezar patrzył mu poważnie w oczy.

- W polityce nigdy nie ma miejsca na nic osobistego - stwierdził. - Chcesz wiedzieć, czemu twoja żona zginęła?

Zanim Galvan zdążył odpowiedzieć, w wejściu do namiotu ukazała się Adair ubrana na rzymski sposób. Nie okazała zdumienia, wprost przeciwnie - na jej nieładnej twarzy pojawił się drwiący uśmiezek, jakby oczekiwała tego spotkania. Galvan za to był całkowicie zdumiony, podobnie Geillis, która nie spodziewałaby się Adair w takim miejscu.

Galvan przypomniał sobie, że kiedyś Uatah mówiła mu o dwóch siostrach i ostrzegała przed młodszą, która miała być oczami i uszami Ariowista.

- Zdradziłaś własnego ojca, Adair - szepnął Galvan strwożony, bo fragmenty układanki właśnie wskoczyły na swoje miejsce w jego głowie.

- On zdradził mnie wcześniej - odparła Adair spokojnie. - Nic osobistego, tak to ująłeś, prawda?

Galvan zacisnął szczęki, aż uwydatniły się chrząstki żuchwy.

- Lorelei sama skoczyła - ciągnęła Adair. - Kochała tego beznadziejnego Jorga i dla niego opuściła Gergowię i dobre miejsce żony naczelnika, nawet jeśli tylko drugiej żony. Wolą umrzeć z wojownikiem swego ojca niż żyć przy tobie. Romantyczne, doprawdy.

Cezar obserwował młodego człowieka w skupieniu. Chciał poznać jego reakcję, jednak Galvan najwyraźniej był

już w niejednej nieprzyjemnej sytuacji, o jego wzburzeniu bowiem świadczyły jedynie zaciśnięte zęby.

Niełatwy byłby z niego przeciwnik – pomyślał Cezar. – Jest zacięty i honorowy, odważny i wciąż jeszcze młodzieńczo naiwny, gotów walczyć o ideały. Jest tutaj z obowiązku, na razie neutralny, nie obwinia mnie o śmierć żony ani o klęskę teścia, ale jeśli nie uczynię z niego w porę sojusznika, może okazać się trudnym przeciwnikiem.

– Mam nadzieję, że dobrze ci w rzymskim obozie, Adair – powiedział uprzejmie Galvan.

– O tak, nie mogę narzekać. – Młodsza córka Ariowista uśmiechnęła się niczym jadowita żmija. – Mam tu wszystko, czego mi trzeba.

Cezar postanowił kuć żelazo, póki gorące.

– Tej zimy chciałbym zwerbować nowe oddziały – zaczął. – Przydałaby nam się kohorta galijskich jeźdźców. Co o tym myślisz, Wercyngetoryksie?

Galvan zamrugał zdezorientowany.

ZGÓDŹ SIĘ.

Uatah... Jakim cudem przemawiasz w mojej głowie? Jak mnie znalazłaś? Skąd wiesz, co robię, gdzie jestem?

TO NIEISTOTNE. ZGÓDŹ SIĘ.

Czyżby więź między nami istniała?

ISTNIEJE I BĘDZIE ISTNIEĆ.

Dlaczego chcesz, żebym się zgodził i wstąpił do jego oddziałów? To czyste szaleństwo. To zdrada własnych ideałów.

BO WROGA NAJLEPIEJ POZNAĆ OD WEWNĄTRZ. NIE

BĘDZIESZ MIAŁ DRUGIEJ TAKIEJ SZANSY. POZNASZ STYL JEGO WALKI, BĘDZIESZ WIEDZIAŁ, JAKIM ON JEST CZŁOWIEKIEM I GDZIE MA SWOJE SŁABE PUNKTY. STAŃ SIĘ JAK ADAIR, CZUJNY I BYSTRY, DWULICOWY I FAŁSZYWY.

Czarne oczy Cezara patrzyły na niego przenikliwie, podczas gdy Galvan walczył z samym sobą. Właściwie nie chciał być wrogiem Cezara, bo osobiście go podziwiał. Zły czy dobry, ten człowiek miał charyzmę i osobowość, jakiej nigdy w życiu nie spotkał. Równać się z nim mogła w opinii Galvana jedynie Scatah, a i to porównanie nie było do końca trafne, Scatah bowiem była kobietą. Gdyby Galvan tylko mógł, zdobyłby raczej przyjaźń tego człowieka, bo uważał, że było warto. Wcale nie chciał przeciwko niemu występować i nie traktował go jak wroga.

NIE JEST WROGIEM, A NA RAZIE JEDYNNIE ZAGROŻENIEM. GALVANIE, WSTĘPUJESZ NA DROGĘ SWEGO PRZEZNACZENIA.

- Dam ci oddział konnicy, Cezarze. Wiosną przyjadę na twoje wezwanie.

- Doskonale! - wykrzyknął Cezar szczerze uradowany, a ta radość odbiła się na jego surowej twarzy. - W takim razie wypijmy za to!

Galvan upił łyk wina i poczuł, jak pali go w gardle niczym jego własna krew, którą dała mu kiedyś do picia Scatah.

TO PAKT, GALVANIE. PAKT Z PRZEZNACZENIEM. TERAZ JUŻ NIE MA ODWROTU.

I co, mam być pieskiem na jego smyczy?

MASZ BYĆ BICZEM NA NIEGO SAMEGO, JEŚLI PRZYJDZIE TAKA KONIECZNOŚĆ.

Ale ja go podziwiam!

JEDNO NIE WADZI DRUGIEMU NIESTETY.

Czuję się jak zdrajca, Uatah.

NIE. NIE ZDRADZIŁEŚ JESZCZE SAMEGO SIEBIE.

Galvan pił wino i czuł jego gorycz, choć falernum znane było ze swego słodkiego posmaku. Chociaż wewnętrzny głos, który być może należał do Uatah, podpowiadał mu jedno, serce mówiło zupełnie co innego, a rozum krzyczał trzecie. Nigdy w życiu nie czuł się tak wewnętrznie rozerwany jak wówczas, gdy był gościem na ucztach u rzymskiego prokonsula.

A jednak – myślał – nie powiem sobie, że nie poddałem się przeznaczeniu i nie wkroczyłem na drogę, którą przygotowała dla mnie Scatah. Nawet za cenę śmierci.

W czarnych oczach Cezara nie widział groźby ani wzgardy, tylko zadowolenie człowieka, który właśnie zyskał sojusznika. Ten wyraz oczu sprawił, że Galvan poczuł się winny, ale zaraz odsunął od siebie ponure myśli i postanowił skoncentrować się wyłącznie na ucztach i perspektywie poznania rzymskich zwyczajów podczas służenia w ich armii. Ostatecznie od tego świat się nie zawali i nie jest wcale powiedziane, że Rzymianie zdecydują się napaść któregoś dnia na Arwernów.

Ale jeśli to uczynią, on będzie gotowy.

Zapadła głęboka noc, kiedy Cezar stwierdził, że niedane mu

jednak będzie zaznać snu. Wiercił się na niewygodnej polowej pryczy, usiłował nawet liczyć barany, ale nic z tego, nie mógł znaleźć ukojenia we śnie. Nigdy przedtem nie zdarzyło mu się to na wojnie, zresztą w ogóle rzadko kiedy cierpiał na bezsenność. Uważał zawsze, że nieuczciwi ludzie, którzy mają problemy z własnym sumieniem, nie śpią po nocach, bo dzikie Furie gonią ich w ciemnościach. On miał sumienie czyste, wobec czego spał kamiennym snem.

Ale nie dzisiaj.

Wszystkie jego tęsknoty i pragnienia obudziły się do życia. Myślał, że dawno temu pogrzebał żal za Kornelią, że zatracił go w ramionach innych kobiet, ale okazało się, że to nieprawda. Jego serce nadal pamiętało pierwszą żonę, jakkolwiek wmawiał sobie, że jest inaczej. Oczami wyobraźni ujrzał twarz Kalpurni i poczuł wyrzuty sumienia, że okłamywał samego siebie i to biedne dziecko, które poślubił. Lubił ją, kochał na swój sposób, ale teraz odkrył z przerażeniem, że tamta miłość z lat młodości wcale nie przeminęła i nie stała się pięknym wspomnieniem. Ból był tak samo silny jak dziesięć lat temu, gdy Cezar musiał pochować żonę. To tylko on starał się o nim zapomnieć.

Przewracał się z boku na bok, aż wreszcie zły i rozgoryczony odrzucił okrycie i wstał. Narzucił na siebie wierzchnią tunikę i wyszedł na chłodną wrześnieową noc w nadziei, że powietrze znad Wogezów przyniesie mu ukojenie.

Tęsknił za Kornelią. Po tych wszystkich latach, romansach, powtórnych małżeństwach, po uwikłaniu się

w politykę, po konsulacie, po sukcesach – tęsknił i czuł się głęboko nieszczęśliwy, że nie może dzielić swego życia właśnie z nią. *Być może – myślał – smutek i żal rano odejdą i będę znowu żył z dnia na dzień, z roku na rok, snuł plany i realizował je, ale tej nocy nie potrafię. I to wszystko jej wina, po co tu przyjechała i omamiła mój wzrok?*

Pragnął Geillis, ale wiedział doskonale, że tak naprawdę pragnie uludy, jaką ona mu może dać. Tak bardzo podobna była do zmarłej żony, że Cezar niemal uwierzył, iż to ją ma przed sobą. W całym ciele czuł bolesne pulsowanie, napięcie nie do wytrzymania i gwałtowną potrzebę, której nie potrafił sprecyzować. Miał głęboką świadomość obecności Geillis w tym samym obozie i to uczucie sprawiało, że nie mógł się skoncentrować na niczym, również na śnie.

To było nie do wytrzymania.

Za plecami usłyszał lekkie kroki i zamarł.

- Nie śpisz - odezwała się.

Cezar odwrócił się gwałtownie w jej stronę. Stała w lekkiej tunice, a jej kształty rysowały się w srebrnym blasku księżyca. Włosy opadały na ramiona i dalej na plecy, oczy lśniły tajemniczo w mroku jesiennej nocy. Wydawały się czarne, ale wiedział, że są błękitne jak niebo, jak oczy jej syna.

Napięcie między nimi było tak namacalne, że niemal mógł go dotknąć. Wyczuwał, że ona również go pragnie i jeśli nawet początkowo była mu niechętna, to teraz nie oprze mu się ani chwili dłużej. Widział to w jej oczach, w półotwartych ustach, w głębokim oddechu, który sprawiał,

że jej piersi falowały pod cienkim materiałem sukni.

- Nie śpię - wychrypiał. - Czekałem na ciebie.

Geillis zrobiła krok do przodu i poczuła, jak mocne ramiona Cezara oplatają ją wpeł, a gorące usta szukają jej warg. Sama nie wiedziała, co sprawia, że mu ulega, ale kiedy już ją pocałował, nie była w stanie oderwać się od niego, poczuła, jak ogarnia ją palące pożądanie. Tyle lat minęło, odkąd pragnęła mężczyzny, tego zaś pożądała z siłą niemającą sobie równych. Przestała się dziwić czemukolwiek i poddała się magii chwili, pozwoliła mu wziąć się w ramiona i zanieść do jego namiotu.

Cezar zaś nie potrafił powstrzymać instynktu, który pchał go w ramiona tej obcej kobiety. Nie znał jej i nie chciał znać, przez jedną noc chciał myśleć i wierzyć, że kocha się z Kornelią, i wdzięczny był Geillis, że może mu to ofiarować. Pragnął zatracić się w niej bez końca i bez świadomości jutrzejszego dnia. Chciał nasycić się jej zapachem, smakiem i oddychać tym samym powietrzem. Od dawna nie czuł takiego pragnienia i teraz, pod galijskim niebem, oddawał się po raz pierwszy od wielu lat miłości z kobietą nie tylko ciałem, ale także duszą, przeżywając znowu magiczne zespolenie umysłu, ducha i ciała.

Gdy później w nocy leżał z Geillis w ramionach, poczuł, że ociera mu ona gorące łzy spływające po jego twarzy. Nie był jednak w stanie wyrazić, jak nieprawdopodobną ulgę mu one przyniosły.

Obudził się z dziwnym uczuciem ciepła i tkliwości, jakiego

nie było mu dane zaznać od długiego czasu. Ciepło promieniowało od kobiety, która spała obok. Przez płótno namiotu sączyło się do środka blade światło świtu. Cezar uświadomił sobie, że musi być tuż przed końcem czwartej wigilii. Niebawem zagrają pobudkę, zostało mało czasu, by się cieszyć bliskością kobiety.

Spojrzał na Geillis i odkrył, że nie śpi. Jej błękitne oczy były szeroko otwarte i wpatrzone w niego. Malowała się w nich dziwna czułość, zdaniem Cezara zupełnie nie na miejscu, bo przecież byli dla siebie całkowicie obcymi ludźmi i nic o sobie nie wiedzieli. Na jej kształtnych ustach ukazał się lekki uśmiech. Cezar przypomniał sobie nagle wydarzenia minionej nocy. Galijka oddawała się miłości równie intensywnie jak ongiś Kornelia, z tą samą pasją i entuzjazmem. Każdy gest był odwzajemniony, każda czułość i pocałunek przyjęte z wyraźną ochotą. Widocznie brakowało jej nie tyle mężczyzny, co bliskości drugiego człowieka, bliskości intymnej, tej największej, jaka może narodzić się między dwojgiem ludzi.

Nagle Cezar uświadomił sobie, że jest samotnym człowiekiem i że w Galii tak naprawdę nie ma ani jednej bliskiej sobie osoby. Nikogo oprócz swej armii, która również jest niepewna, i oprócz swoich legatów, którym nie do końca może ufać. Otoczony był przez popleczników, którzy w jednej chwili mogli stać się jego wrogami, przez pochlebców, którym zależało na jego łasce i hojności, w skrócie: był sam w stadzie wilków, które tylko czyhały na jego szczęście lub potknięcie.

Objął ramieniem kobietę leżącą u jego boku i wciągnął głęboko w nozdrza zapach jej włosów. Pachniały ziołami i lawendą, były jedwabiste i miękkie, Cezar pomyślał, jak wiele zmysłowości kryje się w kobiecych włosach. Geillis do tego stopnia przypominała mu Kornelię, że nawet teraz, kiedy namiętność odeszła, nie chciał jej oddalać ze swego łoża, a przecież kiedy kończył z markietankami i obozowymi dziwkami, których było pełno, oddalał je czym prędzej, nie chcąc nawet na nie patrzeć. Zwykle zresztą brał je od tyłu, by nie widzieć ich ohydnych, zniszczonych lub lubieżnych twarzy. Potrzeba zmuszała go do korzystania z ich usług, ale on o wiele bardziej cenił sobie kontakty z kobietami typu Geillis, która, bądź co bądź, była galijską arystokratką.

- Dawno już nie czułem tego, co przy tobie - odezwał się nieoczekiwanie dla samego siebie. - Przypomniałaś mi, co oznacza bliskość kobiety.

- Nie sądzę, byś tego nie znał - odparła rozbawiona.

- Ostatnimi czasy nie. Pochłania mnie wojna i polityka.

- Ale masz żonę, jak sądzę. Wy w Rzymie skrupulatnie przestrzegacie zawierania związków małżeńskich i płodzenia dzieci.

- Podobnie jak wy.

- Och, u nas to różnie bywa. - Geillis się zaśmiała. - Ja od kilku lat jestem wdową i nie przeszkadza mi to w prowadzeniu normalnego życia. Ale faktem jest, że tęskniłam za mężczyzną.

Na twarzy Cezara pojawiły się głębokie zmarszczki, kiedy się uśmiechnął.

- Mam żonę - przyznał. - Jest dwadzieścia lat młodsza ode mnie, ale to dobra i mądra kobieta.

- Ale to nie ją widziałeś w moich oczach wczoraj na uczcie.

- Nie. To nie była ona.

Zapadło milczenie. Cezar gładził jej włosy i ramiona i poddawał się cudownemu uczuciu błogości. Geillis niczego od niego nie oczekiwała, bo też nie miała czego, i to chyba było dla niego najważniejsze w relacjach z nią. Wszystkie kobiety, z którymi się wiązał w ciągu całego życia, miały wobec niego jakieś oczekiwania. Wszystkie, nawet Kornelia, która ostatecznie była jego żoną i matką jego dziecka. I, na bogów, miała do tego pełne prawo, jako że związał się z nią i obdarzył potomstwem. Miał wobec niej obowiązki i wcale nie chciał się od nich wymigiwać. Kalpurnia także miała prawo żądać od niego opieki i dostatniego życia, z kolei Serwilia żądała uwagi, miłości i, co tu dużo mówić, klejnotów, którymi ją zresztą obsypywał. Geillis była obca, nieznana, należała do zupełnie innego świata, była niczym motyl, który na chwilę usiadł na płatku kwiatka, i dlatego mógł się nią cieszyć i rozkoszować bez obaw, że zechce od niego czegoś więcej niż chwilowej przyjemności.

- Moja żona Kornelia zmarła dwanaście lat temu na nieuleczalną chorobę - odezwał się Cezar nieswoim głosem.

- Umierała na moich oczach. Kochałem ją jak nikogo na świecie i wreszcie dałem jej truciznę, o którą błagała, wyjąc z bólu. Myślałem, że oszaleję. Cały mój świat w jednej chwili zawalił się w gruzy. Zakochałem się w niej, gdy miałem

siedemnaście lat. Zerwałem dla niej zaręczyny z bogatą narzeczoną. Przez czternaście lat byliśmy razem i po jej śmierci nigdy już nie pokochałem prawdziwie żadnej kobiety. Ty mi ją przypominasz. Masz jej twarz, jej ciało i jej głos. Masz nawet jej zapach.

- Ale nie jestem nią - szepnęła Geillis.

- Nie. Ale pozwól mi w to wierzyć, kiedy zamkam oczy.

Geillis pogładziła go po twarzy. Dziwiła ją surowość jego rysów, głębia jego czarnych oczu i prostota wypowiedzanych słów, chociaż mówił po grecku, a język ten był dużo bardziej malowniczy niż prosta, surowa łacina. Rzymianie nie znali wielu abstrakcyjnych pojęć w przeciwieństwie do Greków, którzy zdawali się sami je sobie tworzyć. Wdychała zapach mężczyzny, na wpół zapomniany, i nagle zdała sobie sprawę, że gdyby mogła, zakochałaby się bez pamięci w tym człowieku. Problem polegał na tym, że z wielu powodów nie mogła. Cezar należał do innego świata, w jego świecie nie było miejsca na galijską żonę ani nawet na nałożnicę. Dziwny ból rozdarł na moment serce Geillis, która nigdy wcześniej nie zaznała prawdziwej miłości do mężczyzny. Znała obowiązki małżeńskie, lojalność i przywiązanie, nawet pożądanie i namiętność, ale prawdziwej miłości nie było jej dane poznać. Przez ułamek sekundy, przez jedno uderzenie serca czuła, że mogłaby coś takiego żywić do Cezara, którego mocne, silne ramiona tuliły ją do siebie, ale zaraz chłodny intelekt odezwał się w niej i zagłuszył niewypowiedziane myśli.

- Kiedy twój syn chce stąd odjechać? - zapytał Cezar

powoli.

- Zapewne jutro rano.

- Zostań ze mną tej zimy. Nie musisz chyba pytać go o zgodę? Wiem, że u was kobiety są dużo bardziej niezależne niż w Rzymie.

- Zostać z tobą? - Geillis oparła się na łokciu, pozwalając, by włosy złotą kaskadą opadły jej na piersi. - Nie mówisz chyba tego poważnie.

- Jak najbardziej.

Zostać z nim i stać się oczami i uszami swego syna w rzymskim obozie? Czyż nie tego chciała?

- Twoja reputacja na pewno na tym ucierpi - stwierdziła.

- Och, tym się akurat nie musisz przejmować. - Cezar ziewnął. - Nikogo to nie obchodzi, z kim dzielę łożę, nawet moja żona nie ma nic do powiedzenia w tej kwestii.

- Znudzę ci się do wiosny - orzekła Geillis niezdecydowanie.

- Być może. - Cezar się roześmiał. - Tak czy inaczej dobrze wiesz, że żaden poważny związek między nami nie jest możliwy. Ale na razie potrzebujemy siebie nawzajem, co więc szkodzi temu, byśmy spędzili razem jakiś czas? Jadę za kilka dni do Galii Przedalpejskiej, gdzie będę sprawował władzę namiestnika. Przyda mi się galijska pani domu, która się o mnie zatroszczy.

Geillis się zaśmiała.

- Proponujesz mi pracę w rzymskim obozie zimowym? To uwłacza mojej godności.

- Proponuję ci moje skromne towarzystwo tej zimy. -

Cezar się uśmiechnął. – I będę się czuł zaszczycony, jeśli skorzystasz z mojej oferty.

– Mogę się nad nią zastanowić? – zapytała, wiedząc dobrze, że musi to przedyskutować z synem.

– Byle nie za długo – mruknął Cezar, szukając ustami jej ust. – Bo bardzo mi na tym zależy.

Geillis przymknęła oczy i poddała się pieścizotom jego dłoni i ust, zdając sobie z nagłym bólem sprawę, jak bardzo jej tego brakowało w ostatnich latach.

Galvan nie miał zadowolonego wyrazu twarzy, chociaż propozycja matki była jak najbardziej rozsądna, zwłaszcza w obliczu jego wiosennego zaciągu do rzymskiej armii. Geillis siedziała przed nim z rozgwieżdżonymi oczami, syn ani przez moment nie miał wątpliwości co do charakteru znajomości matki z rzymskim prokonsulem. No cóż, nie jego sprawa, z kim ona idzie do łóżka, ostatecznie dość długo żyła w celibacie i trzymała się z dala od mężczyzn, a jej małżeństwo z Cynnusem raczej nie należało do udanych. Galvan obawiał się tylko, że Geillis, zauroczona osobą Cezara, zechce zostać z nim na nie wiadomo jak długo. Najgorsze zaś było to, że on sam również wbrew sobie ulegał czarowi i charyzmie Cezara, nawet o tym nie wiedząc.

– Matko, zastanów się nad tym poważnie – poprosił. – Jesteś panią samej siebie i nie będę ci mówił, co masz robić, ale nie chcę cię utracić. On nie zwiąże się z tobą nigdy, bo ma żonę, a poza tym w ich oczach jesteś nikim.

– Synu, doskonale o tym wiem. Ale ta propozycja padła z jego ust, to on mnie chce, a ja powinnam wykorzystać

sytuację, bo może się ona nie powtórzyć.

- On cię zauroczył, widzę to - westchnął Galvan zrezygnowany.

- Niewątpliwie jest pociągającym mężczyzną - przyznała Geillis.

- Nie mów więc, że pojedziesz tam wypełniać swoje obowiązki, bo nikt cię o to nie prosi.

- Pojadę tam, bo mam na to ochotę - powiedziała Geillis twardo. - Chcę tego mężczyzny, nawet na chwilę, bo tego potrzebuję. Całe życie tkwię w jednym miejscu i pozwalam sobą manipulować w imię twojego i swojego dobra, ale teraz chcę poczuć wiatr we włosach i krew w żyłach. A skoro mogę ci się przysłużyć, sypiając z Rzymianinem i czerpiąc z tego przyjemność, to nie broń mi tego, synu.

- Nie zamierzam - wymamrotał Galvan. - Dobrze wiem, że za Cynnusa wyszłaś dla mojego dobra.

- I dla własnego bezpieczeństwa - dorzuciła Geillis ponuro.

- Sypiając z Cezarem, stępisz jego ostrze wymierzone we mnie - powiedział Galvan w zamyśleniu. - Trudniej będzie mu zabić syna kobiety, z którą obcował.

Geillis pokiwała głową. Wiedziała o tym doskonale. To była stara magia, której nie musiała się uczyć ani od kapłanek, ani od druidów. Nawet Cynnus wahał się przed wymierzeniem ostrza w pierś bratanka po tym, jak przez wiele lat posiadał jego matkę. Geillis czuła zaś, że między nią a Cezarem rodzi się więź, której on sam nie będzie w stanie zerwać ani wymazać z pamięci, nawet jeśli ich drogi

ostatecznie się rozejdą.

- Jedź, matko - powiedział wreszcie Galvan. - I ty, i ja oddamy mu się na jakiś czas, żeby sprawdzić, z kim mamy do czynienia. Gdybym mógł, walczyłbym u jego boku i dla niego, tak wielką ma charyzmę i płomień w oczach. A ty, gdybyś mogła, ległabyś z nim i rodziła jego dzieci. Taki człowiek zdarza się raz na milion i doprawdy szkoda, że nie możemy w nim widzieć przyjaciela.

Geillis w zamyśleniu pokiwała głową.

Dwa dni później Galvan odjechał do Gergowii, a Geillis w orszaku Cezara ruszyła na południowy wschód, w stronę Alp, aby towarzyszyć Cezarowi w zimowych miesiącach w Prowincji. Każde z nich wiązało z nim własne głęboko skryte obawy i pragnienia, ale żadne z nich nie wiedziało, co tak naprawdę kryje się w sercu prokonsula.

II

Geillis w swoim czterdziestoletnim życiu podróżowała tylko kilka razy, w tym raz do Rzymu - z tej podróży najbardziej zapamiętała potęgę Alp. Teraz też je przekroczyła, jadąc na zakrytym wozie, który eskortowali legionieści. Ponieważ Geillis należała do galijskiej arystokracji, do jednego z najmożniejszych arwernijskich rodów, a poza tym była oficjalną kochanką Cezara, mogła podróżować jak przystało na jej pozycję i godność - wśród wygod i wszelkich udogodnień, na jakie tylko było stać Cezara. On sam podczas podróży sypiał na wozie albo na płaszczu rozpostartym na ziemi, ale ona musiała mieć wszelkie luksusy. W drodze do Prowincji Rzymianie nie rozbijali na noc obozów, ale kładli się wprost na ziemi, wystawiając jedynie straże nocne. Ponieważ zaś tempo marszu było szybkie, po siedmiu dniach dotarli do celu i oczom zdumionej Geillis ukazały się rzymskie oppida Galii Przedalpejskiej.

Geillis nigdy nie była w Dolinie Padu, do Rzymu bowiem podróżowała drogą liguryjską wznoszącą się nad

przepaściami wybrzeża tyrrreńskiego. Zaskoczyła ją żyzna zielona dolina osłonięta od północy niedostępnymi szczytami Alp, gdzie łagodny powiew znad Adriatyku dawał poczucie świeżości. Było chłodno, jako że nastawała już pełnia jesieni, ale na południe od Alp wydawało się znacznie cieplej niż w centralnej Galii, gdzie mieszkała. Poza Rzymem nie miała okazji widzieć innych rzymskich miast, toteż zdumiewał ją fakt, że tutaj było ich tak wiele. Mediolanum, Bolonia, Luka zachwycały przywykłą do prostych galijskich osad Geillis, chociaż daleko im było do splendoru Rzymu. Mimo to radowała ona swoje oczy niezwykłościami, jakie dane jej było oglądać.

Jeśli sądziła, że Cezar będzie próżnował przez zimowe miesiące, to musiała się rozczarować. Przede wszystkim zajęty był formowaniem dwóch nowych legionów, które finansował z własnej kieszeni. Nowo pozyskanych rekrutów szkolił wraz z legatami i osobiście nadzorował owe szkolenia. Kiedy pogoda nie sprzyjała, zostawał w swojej kwaterze, gdzie sporządzał notatki, pisał pisma, słał listy, sporządzał akty prawne, a kiedy czas na to pozwalał, podejmował licznych gości, którzy przyjeżdżali do niego z Rzymu i z innych miast.

Geillis służyła mu głównie podczas niekończących się uczt wydawanych dla petentów. Była bystra, inteligentna i piękna, wobec czego mogła pełnić funkcję pani domu, wdać się w dyskusję z klientami i petentami Cezara, a ponieważ znała grekę, rozmowy toczyły się gładko. Geillis zdumiewała skromność i prostota Cezara, ponieważ spodziewała się po

nim skłonności do nie wiadomo jakich luksusów. Tymczasem jakkolwiek Cezar hołdował dyskusjom o literaturze podczas uczt, zapraszał lutnistów i fletnistki, a nawet tancerki, to jednak potrawy podawano proste i typowo rzymskie; surowość jego charakteru przejawiała się przy stole.

On sam okazał się mieć znakomite maniery, o czym Geillis przekonała się podczas jednej z uczt, na które została zaproszona razem z nim. Biesiada ta odbywała się późną zimą w Mediolanum u niejakiego Waleriusza Metona, który ponad wszystko chciał popisać się przed prokonsulem znakomitościami swojej kuchni, kulturą, obyczajnością i wszelkimi zaletami, ponieważ zależało mu na tym, by jego młodszy syn dostał się do armii Cezara jako legat. Na kolację podano szparagi, omyłkowo jednak zamiast oliwą polane gorzką mirrą. Podczas gdy ludzie ze sztabu Cezara krzywili się niemiłosiernie i wypluwali potrawę na talerze, Cezar jadł z dystygowaną miną, ani razu się nie skrzywił i nawet okiem nie mrugnął, a nadto głośno ganił swoich towarzyszy, że nie okazują należytego szacunku gospodarzowi.

- To było ohydne - wyznał Cezar wieczorem Geillis, kiedy siedzieli razem w jego kwaterze, każde ze swoim kielichem grzanego wina. - Najpaskudniejsza potrawa, jaką w życiu jadłem, uwierz mi.

Geillis parsknęła śmiechem.

- Ale jadłeś z miną godną celtyckiego króla - stwierdziła.

Cezar również się roześmiał.

- Ten człowiek nie był winien głupocie swoich niewolników - odparł, wzruszając ramionami. - Nie

chciałbym być w skórze kucharza, który na pewno przypłaci to batami, o ile go nie powieszą na widłach.

Geillis patrzyła na niego w blasku ognia z paleniska i stwierdziła, że lubi tego człowieka wbrew samej sobie. Lubiła go ogromnie i bardzo szanowała, jako że i on okazywał jej szacunek. Nie tylko jej zresztą. Gdy nie miała co robić, tkala lub haftowała, ale spod oka obserwowała go, jak pisał listy lub swoje pamiętniki, które potem dawał do redakcji jednemu ze swych ludzi, niejakiemu Aulusowi Hircjuszowi. Wypytywał Geillis o zwyczaje jej ludu, a ona skwapliwie odpowiadała, chcąc przekazać mu jak najwięcej, miała bowiem przeczucie, że wiadomości te zostaną utrwalone na wieki. Sam fakt, że Cezar umiał pisać - której to umiejętności Celtów nie uczono, chociaż druidzi znali alfabet i się nim posługiwali - ogromnie jej imponował. Opowiadała mu o bogach i wierzeniach, o zwyczajach i świętach, o strukturze tuath, o klanach i plemionach, o wychowaniu dzieci i o swoim mężu zamordowanym za królewskie ambicje.

Gdy opowiadała o śmierci Celtyllusa, czarne oczy Cezara rozbłysły na chwilę dziwnym blaskiem.

- Cierpiałś po jego śmierci? - zadał pytanie, chociaż znał odpowiedź.

- Nie tyle cierpiałam z powodu utraty ukochanego, co z powodu gwałtownej zmiany w moim życiu - odparła powoli.

- Musiałam utrzymać przy życiu mego syna. Celtyllus odesłał go czym prędzej do druidów, a potem do Scatah.

- Do Scatah? - zdumiał się Cezar.

- Żyją u nas kapłanki - wojowniczkami, które wtajemniczają mężczyzn w arkania walki i magii.

- Chcesz powiedzieć, że kobiety u was walczą jak mężczyźni?

- Nie wszystkie. Tylko te, które rodzą się z powołaniem. Scatah była kapłanką, wielką i wspaniałą, była straszna i przerażająca, to ona wtajemniczyła mego syna, przekazała mu moc i potęgę.

Opowiedziała mu o instytucji kapłanek, nieświadoma, że wzbudza w jego umyśle lęk przed nieznanym. Rzymianie byli zabobonni, choć Cezar odżegnywał się od tego rodzaju wierzeń. Jednak postanowił, że gdy tylko nadarzy się okazja, rozprawi się on ze sławetnym zakonem z Sein, o ile, rzecz jasna, zostanie do tego zmuszony. Nie chciał atakować niewinnych kobiet. Z drugiej strony jednak wyczuwał, że kobiety te, podobnie jak druidzi, stanowią żywy przekaz wierzeń i magii, a to mu się niezbyt podobało w obliczu chęci podbicia jak największych obszarów Galii.

Uczty nie odbywały się naturalnie co wieczór, Geillis miała mnóstwo czasu, który mogła spędzać z Cezarem. Szybko zrozumiała, że Rzymianie skrupulatnie oddzielają sprawy kobiece od męskich, wobec czego nie wszystko mogła dzielić ze swym kochankiem. Ponieważ jednak w jego kwaterze nie przewidziano kobiecych izb, zajmowała na ogół te same pomieszczenia z Cezarem i była świadkiem wielu rozmów, niestety po łacinie.

Raz jej oczom ukazała się Adair. Geillis na widok tej kobiety poczuła nieprzyjemny dreszcz przebiegający wzdłuż

kręgosłupa. Adair wydorowała tej jesieni i zimy. Ubrana była na sposób rzymski, nosiła długą stolę, chociaż pewnie jej to nie przystawało, włosy czesała jak rzymska matrona, w skrócie stała się Rzymianką pełną gębą, chociaż rysy twarzy zachowała typowo germańskie. Geillis po kilku dniach zorientowała się, że tamta jest kochanką Tytusa Labienusa, człowieka na pozór spokojnego, ale o okrutnym spojrzeniu, który pojawił się u Cezara kilka razy tej zimy. Oczy Adair na jego widok rozbłyskiwały zimnym, złym blaskiem, chociaż na co dzień pozostawały matowe i obojętne. Ta dziewczyna, córka Ariowista, tylko wobec Cezara okazywała uległość. Pozycja kochanki Labienusa pozwalała jej na manifestowanie pychy i buty wobec wszystkich wokół.

Cezar kochał się z Geillis codziennie. Nieważne, ile wina wypił w ciągu uczty, chciał ją mieć przy sobie każdego wieczoru. Kiedy kończyli uprawiać miłość, chciał koniecznie, żeby przy nim spała. Zamykał ją w silnych, mocnych ramionach żołnierza, tulił ją do piersi, pozwalał, by okręcała się wokół niego i okrywała go płaszczem swych włosów. Wdychał jej zapach, pieścił ją do snu, całował twarz i usta, szeptał jej słowa, których nie rozumiała, w swym melodyjnym języku, pozostającym jednak surowym i prostym, rytmicznym i uporządkowanym. Ona zaś zasypiała, słysząc bicie jego serca. Czowała napływające do oczu łzy, ilekroć kładł jej głowę na swoim ramieniu, bo wiedziała, że jego serce rytmem odmierza czas, jaki jest im dany, i że następnej wiosny ona odjedzie do siebie, a on pójdzie na pole bitwy.

Którejś zimowej nocy, kiedy leżała z nim pod skórą i spletała stopy z jego stopami, uświadomiła sobie, że go kocha. Uczucie to spadło na nią jak grom z jasnego nieba, nagle, bez ostrzeżenia, niespodziewanie i wbrew jej woli. Kochała Rzymianina, który stanowił zagrożenie dla jej ludu, który najechał Galię, niosąc pokój ogniem i mieczem, który na dodatek był żonaty i który nie miał najmniejszego zamiaru wiązać się z nią na stałe. Geillis nigdy nie kochała mężczyzny, a przynajmniej nie w taki sposób, bo będąc żoną Celyllusa z pobudek plemiennych i rodzinnych, nie mogła sobie pozwolić na luksus miłości do niego. Cynnusa nienawidziła. Kiedyś, jako młoda dziewczyna, poznała słodko-gorzki smak zakochania, ale dopiero teraz, u progu lat dojrzałych, będąc matką i babcią, zrozumiała nagle, co znaczy kochać gwałtownie i namiętnie. Syciła się Cezarem bez opamiętania, dawała mu siebie, ilekroć zapragnął, i czerpała nieograniczoną radość i rozkosz ze zbliżeń, które były policzone i odmierzone. On również o tym wiedział, bo jego czarne oczy pozostawały niezgłębione i dalekie nawet wtedy, gdy zdawał się omdlewać z rozkoszy i błogości.

Geillis po raz pierwszy w życiu nie chciała nadejścia wiosny. Spodobało się jej to pożyczone życie, brylowanie przy rzymskich stołach w pozycji półleżącej na sofie, konne przejażdżki z Cezarem, jego bliskość, jego uśmiech powoli wypełzający na surowe oblicze, rzymskie suknie i klejnoty, które od niego otrzymała, zwyczaj gorących i zimnych kąpiei, rozleniwiające masaże z oliwą, którą niewolnik pod czujnym okiem pana wmasowywał jej w napięte barki i plecy,

spodobała jej się nowa pozycja, bo chociaż wszyscy wiedzieli, że jest chwilową faworytą, że oficjalna żona znajduje się w Rzymie, to jednak zwracali się do niej jak do równej Cezarowi i nikt nie ośmielił się wypowiedzieć pod jej adresem złego słowa.

Spodobał jej się związek z mężczyzną, który chciał jej dla niej samej i który szanował ją i okazywał ów szacunek na każdym kroku. Cezar nie przymuszał jej do niczego, pozostawiał jej wolną rękę, co najwyżej prosił o jej względy i cieszył się, kiedy je otrzymał. Rozmawiał z nią swobodnie i naturalnie, złapała się na tym, że wyczuwa w jego zachowaniu autentyczną sympatię dla siebie. Nie sądziła, że ktoś taki jak Cezar może darzyć ludzi sympatią, myślała, że jest on zdolny jedynie do wykorzystywania otaczających go osób.

W miarę jednak jak poznawała Cezara, zaczynała rozumieć, że jest on człowiekiem ambitnym i zdeterminowanym, ale jednocześnie skromnym i bardzo surowym wobec siebie samego. Ona, Geillis, zastępowała mu tej zimy kobietę, którą stracił kiedyś i z której stratą nigdy się nie pogodził. Pojęła, że jest on bardzo zżyty ze swą córką, którą kocha nad życie, że ogromnie tęskni za swą młodą żoną, do której się przywiązał, że czasami czuje się zagubiony w świecie polityki i intryg, ale zaszedł za daleko, by teraz mógł sobie pozwolić na zstąpienie z raz obranej drogi. Opowiadał jej o sobie w długie zimowe wieczory, kiedy śnieg sypał za oknami ich cubiculum, gdy grzali się przyprawionym winem i kulili pod okryciami ze skór. Nagle

przestał stanowić zagrożenie i ukazał się jej w całym swym człowieczeństwie.

- Tak naprawdę nie lubię zabijać ludzi - wyznał któregoś razu. - Kiedyś ukrzyżowałem cały zastęp piratów, ale doprawdy nie sprawiło mi to żadnej satysfakcji.

- Mówisz mi to po to, bym cię źle nie oceniała?

- Nie. Mówię ci to, bo jeżeli któregoś dnia twój syn zbuntuje się przeciwko mnie, zabiję go bez skrupułów i bez litości - odparł Cezar, patrząc jej prosto w oczy. - Ale nie będzie to dla mnie przyjemność odebrać życie człowiekowi na miarę Wercyngetoryksa, bo on ma w sobie godność i siłę, którą rzadko spotyka się wśród młodych ludzi.

Geillis spuściła głowę, nie chcąc wiedzieć nic więcej.

Nigdy już nie poruszył z nią tego tematu, a ona nie nalegała, by z nią o tym rozmawiał.

Gdy do Galii Przedalpejskiej wróciła wiosna, Cezar na czele zreorganizowanych legionów wybrał się w długą drogę do kraju Sekwanów, gdzie na leżach zimowych oczekiwali go jego wierni legionieści. Tej wiosny oczekiwał go jeszcze jeden człowiek gotowy odbyć służbę w jego wojsku jako dowódca sił pomocniczych.

Wercyngetoryks.

CZAS WYBRAŃCA NADCHODZI! BĄDŹ GOTOWA!

Uatah stała na wzgórzu otoczonym dwoma rzędami umocnień i patrzyła, jak stado wilków nieubłaganie podchodzi bliżej. Czowała smak zdrady, samotności i opuszczenia, smak goryczy i głodu, brzemie

odpowiedzialności i nadchodzące poczucie klęski.

Jak mogę być gotowa, matko, skoro mnie na to nie przygotowałaś?

Scatah stała obok, odziana w te same szaty, w których Uatah kładła ją na stosie pogrzebowym. Ogniste włosy rozwiewał wiatr, oczy lśniły złotawo i zielono w pięknej twarzy, usta wykrzywiały grymas ironii i złośliwości, czego wcześniej u niej nie widziała.

PRZYGOTOWYWAŁAM CIĘ NA TO. WALCZYLIŚCIE RAZEM RAMIĘ W RAMIĘ W MOJEJ DOLINIE. MIAŁAŚ GO, A ON MIAŁ CIEBIE. ZNASZ GO, BO JESTEŚ DLA NIEGO SIOSTRĄ I KOCHANKĄ. MATKĄ JEGO DZIECKA. BĄDŹ GOTOWA, BO NIEBAWEM NADEJDZIE CZAS, KIEDY ZNÓW WYŚWIĘCISZ GO NA WOJOWNIKA.

I pozwolę, żeby zginął w bitwie?

JEŚLI TAKA BĘDZIE WOLA BOGÓW.

Uatah poczuła łzy napływające do oczu.

Znalazły się w domu w dolinie. Uatah ze skalnego tarasu obserwowała ćwiczących w dole chłopców i wiedziała, że jeden z nich to właśnie on, złotowłosy, podobny bogom. Zniknęło brzemie lat, znowu była młoda, niewinna i zakochana. On na moment się odwrócił, ich oczy się spotkały. Uatah poczuła, że oblewa ją gorąca fala szczęścia.

- Kochałam go - stwierdziła. - I nadal kocham. Nieważne, jaką cenę przychodzi mi za to płacić, ta miłość jest tego warta.

TA MIŁOŚĆ TO RÓWNIEŻ ŁZY, POŚWIĘCENIE I ŻAL, CÓRKO. TEGO TEŻ DOŚWIADCZYSZ.

Uatah poczuła skurcz w brzuchu i ze zdumieniem spuściła wzrok na swe nabrzmiące życiem łono.

NADCHODZI CZAS. WILKI JUŻ TU PRZYBYŁY.

- A on się z nimi brata - zauważyła Uatah posepnie.

Wiedziała o tym. Znała każdy jego ruch. Czytała jego myśli i słyszała bicie jego serca.

ROBI TO, CO MU KAŻĘ. WSZYSTKO JEST NA DOBREJ DRODZE. CZEKA GO PRZEBUDZENIE, BRUTALNE I OKRUTNE, ALE WÓWCZAS NIE COFNIE SIĘ JUŻ PRZED NICZYM. CZAS NADCHODZI. BĄDŹ GOTOWA.

Uatah poczuła jeszcze silniejszy skurcz. Obudziła się. Leżała spocona, zdyszana i mokra od wód płodowych, które właśnie jej odeszły. Jej zahartowane silne ciało nabrzmiące było i zniekształcone od dziecka, które w sobie nosiła, syna nieznanego, bezimiennego druida, który zległ z nią w noc Beltaine, w święto ognia. A teraz, w środku zimy, przyszedł jej czas, by wydać na świat owoc wiosennego uniesienia.

Zima była najgorszym czasem na rodzenie dzieci, ale Uatah nie miała wyboru. Mogła jedynie cieszyć się, że tej zimy nie odpłynęła na Sein, ponieważ sztormy były nie do zniesienia i kapłanki tam przebywające skarżyły się, że wysoka fala wdziera się głęboko w łód. Sein była maleńką wyspą na Atlantyku, toteż nieustannie groziły jej podobne kataklizmy. Uatah postanowiła urodzić dziecko w dolinie, podobnie jak Aife, i teraz gratulowała sobie tego pomysłu.

Zawołała kobiety, które pospieszyły do niej i zajęły się nią. Uatah uczestniczyła w tym wszystkim, ale jej myśli błądziły daleko i analizowały sen, który bez wątpienia zesłała

na nią matka. Pomimo iż od śmierci Scatah minęły ponad dwa lata, więź między nimi nadal istniała. Uatah była przekonana, że matka ma do wypełnienia jeszcze jedną misję na tym świecie, zanim odejdzie do świetlistej przestrzeni oddzielającej dwa światy i tam poczeka, aż znajdzie się dla niej kolejne ciało, w które będzie mogła się wcielić. Druidzi nauczali, że dusza ludzka nie umiera, ale wciela się w kolejne ciała - Uatah była o tym świecie przekonana, podobnie jak o tym, że Scatah nie zatraciła się w niebycie poprzez swoją śmierć, ale dryfuje w niewidzialnych sferach i co jakiś czas pojawia się przy córce, aby ją dalej poprowadzić.

Podobna więź istniała między nią a jej przyrodnim bratem i mężem. Galvan nie miał takiej intuicji jak ona, ale zdarzało się, że wyczuwał jej słowa i myśli, ona zaś nieustannie słyszała jego myśli i niemal każde bicie serca. Odkryła to wkrótce po rozstaniu, ale nie chciała się sama przed sobą do tego przyznać. Bliskość ta w sferze duchowej, bez możliwości obcowania z ukochanym, sprawiała, że Uatah początkowo pogrążała się w rozpacz i depresji, ale kiedy zrozumiała, że dla Galvana jest naczyniem mocy i że jej zadaniem jest wspieranie go i naprowadzanie na właściwe ścieżki, poddała się swemu losowi. Cierpiała ogromnie z powodu złamanego serca, tym bardziej że Galvan ożenił się najpierw z Gwynn, a potem na dokładkę z Lorelei, ale ostatecznie doszła do wniosku, że przeznaczenia nie można zmienić i że jej matka musiała podobnie cierpieć, gdy straciła ukochanego człowieka. Prawa kapłanek były jednak twarde, życie toczyło się wedle ściśle ustalonych reguł, a gdyby

wtedy uległa i uciekła z Galvanem na tułaczkę, pewnie do końca życia żałowałyby swego wyboru i rezygnacji z życiowej drogi.

Kiedy w wiosenne święto ognia zległa z nieznanym mężczyzną, poczuła, że znowu żyje. Napełnił ją życiem, uświęcił na nowo, uczynił z niej kobietę, przestała być zwiędłą rośliną, zaczęła znów cieszyć się sobą. Spędzili razem kilka miesięcy, zanim Uatah ostatecznie pojęła, że spodziewa się dziecka. Wówczas oddaliła od siebie druida, który odszedł z łagodnym uśmiechem na ustach i z błogosławieństwem dla niej. Rozstali się bez żalu, jak ludzie, którzy doskonale wiedzą, jakie są wyroki losu. Uatah oddała się szkoleniu nowych uczniów, ale ze względu na ciążę nie uczestniczyła intensywnie w tych harcach w dolinie. Koncentrowała się na życiu, które w niej rosło, i wiedziała, że tym razem będzie to syn, który kiedyś stanie się druidem albo wojownikiem. Jedno nie wykluczało drugiego.

Żałowała jedynie, że jest to syn bogów, a nie Galvana.

Uatah widziała rozłam, do jakiego doszło w stosunkach Galvana z wujem. Gobannicjon wyraźnie życzył sobie poprawnych relacji z Rzymianami i ani myślał stawać z nimi do walki. Gdyby Galvan zdecydował się zaatakować Cezara w momencie, gdy ten tropił Ariowista i przez chwilę znajdował się w naprawdę kiepskim położeniu, odcięty od dróg, dostaw i zaopatrzenia, miałby ogromną szansę pokonać prokonsula i raz na zawsze wygnać Rzymian z Galii. Ale Gobannicjon stanął klinem i zablokował wszelkie chęci

młodego człowieka. Uatah była przekonana, że różnice zdań pojawią się jeszcze w przyszłości, i czekała na rozwój wydarzeń.

A teraz Galvan zdecydował się przyłączyć do armii Cezara. No cóż, zapewne wiedział, co robi, a dopóki Rzymianie nie zagrażali bezpośrednio Arwernom, mógł robić, co mu się żywnie podoba. Sen utwierdził Uatah w przekonaniu, że Galvan postępuje słusznie, jednak miała pewne wątpliwości co do swojej roli w tym wszystkim. Czas się zbliża, być może, ale ile go jeszcze upłynie, zanim ona ponownie wkroczy w życie Galvana?

Jedno mocne parcie i dziecko z głośnym wrzaskiem pojawiło się na świecie. Uatah wróciła do rzeczywistości. Chłopiec był duży i silny, krzyczał ile sił w płucach i obwieszczał wszystkim niezadowolenie, że wyrwano go siłą z ciepłego, przyjaznego łona matki do życia na tym zimnym, paskudnym świecie, gdzie czekają go cierpienie i niewygodna od pierwszych chwil. Kobiety położyły noworodka na brzuchu matki, a Uatah naturalnym ruchem wzięła go w ramiona i przystawiła do piersi. Maluch, wiedziony odwiecznym instynktem, zaczął ssać i po chwili pił już mleko, posapując z zadowolenia. Uatah pomyślała, że natura jest genialna, skoro obdarza swe dzieci instynktem życia, które one niezawodnie wykorzystują, aby przetrwać.

Za oknami szalała śnieżycą, podczas gdy Uatah tuliła do siebie dziecko i analizowała sny. Czuła, że ten malec leżący w jej ramionach będzie ostatnim jej potomkiem, że nie wypełni nakazu wydania na świat magicznej liczby pięciorga

dzieci i że czas nadchodzi wielkimi krokami.

CZY UMRZESZ DLA NIEGO, UATAH?

- Tak, matko. Umrę - odparła bez wahania.

Była ostatnią, która posiadała tajemną wiedzę. Aife była jeszcze maleńkim dzieckiem. Kto ją wyuczy, jeśli ona odejdzie do bogów? Czy przeznaczenie Galvana musi być wypełnione do końca za cenę życia ich wszystkich? Na co walczyć o ojczyznę, skoro zostaną po niej ledwie zgliszcza?

NIE ZOSTANĄ ZGLISZCZA, UATAH. MYLISZ SIĘ. WSZYSTKO TO PRZETRWA I WARTO JEST OKUPIENIA.

Uatah milczała. Tuliła do siebie dziecko i patrzyła na wirujące w powietrzu płatki śniegu, podczas gdy kobiety oporządzały ją w pośpiechu. Zostało mało czasu, czuła to i nic nie mogła na to poradzić.

Tej zimy Gwynn miała znacznie więcej obowiązków na głowie, ponieważ Geillis odjechała na południe jako rzymska nałożnica, co było szeroko i głośno komentowane wśród Arwernów. Dotąd nie zdarzyło się, by kobieta taka jak Geillis, jej pozycji, rodu i godności, podążyła za rzymskim prokonsulem do jego Prowincji, i na nic zdały się tłumaczenia, że Geillis szpieguje na rzecz swego syna. Plotka szybko została przeinaczona - nie mówiono już, że Geillis pojechała z własnej woli, ale że została zabrana jako zakładniczka, a Galvan będzie musiał współpracować z Cezarem, inaczej zabiją jego matkę.

Gwynn miała ochotę rzucać kurzym łajnem w okropne plotkary, ale Galvan szybko uświadomił jej bezsens

podobnych procederów.

- Zawsze będą gadać, Gwynn - powiedział, machając przy tym lekceważąco ręką. - Plotkowanie to jedyne zajęcie tych starych bab. Pewnie niejedna chciałaby być teraz na miejscu mojej matki, siedzieć sobie w przepychu i bogactwie, kąpać się w rzymskich łaźniach i swawolić bezkarnie z przystojnym mężczyzną, zamiast znosić tych napuszonych, opitych dziadów.

Gwynn zaśmiała się, ale w duchu musiała przyznać, że zapewne Galvan ma rację. Jakkolwiek bowiem Rzymianie wydawali się czymś zgoła egzotycznym, a po klęsce Ariowista i po poskromieniu Helwetów Arwernowie zaczęli odczuwać przed nimi słuszny lęk, to jednak samo imię Cezara wiązało się w ich oczach z potęgą, wobec czego kobiety skrycie zazdrościły Geillis.

Kiedy w domu pojawiła się Lorelei wraz ze swą siostrą, Gwynn pomyślała, że będzie nieziemskie zamieszanie i że dom zamieni się niebawem w karczmę, do której każdy będzie wchodził, kiedy zechce. Ale gdy Lorelei uciekła, a wraz z nią odeszła Adair, gdy wreszcie wyjechała Geillis, okazało się nagle, że zabrakło rąk do pomocy i Gwynn miała wskutek takiej polityki dwa razy więcej roboty. Tej zimy, jakby nie było dosyć zmartwień, nadszedł czas trzecich urodzin Drusta, a zatem należało go oddać do adopcji. Gwynn nie mogła się z tym pogodzić i skrycie wylewała łzy, chociaż miała jeszcze na barkach bliźniaki, ale Drust był jej pierworodnym, jego nosiła pod sercem po pierwszej fali uniesień z Galvanem, to dziecko sprawiło, że mąż zapalał do

niej wreszcie uczuciem, toteż trudno jej było rozstawać się z malcem.

Drust miał odejść w zasadzie na zawsze, a przynajmniej na najbliższe piętnaście lat. Za cztery lata, jeśli dobrze pójdzie, zostanie oddany do nemetonu druidów, gdzie będzie go wychowywał jego stryj Celtillognatos, który powoli przygotowywał się do objęcia roli Maerina. Starzec w ostatnim czasie mocno podupadł na zdrowiu, podczas gdy starszy o jedenaście lat brat Galvana był w sile wieku i tryskał zdrowiem i energią. Gwynn wiedziała, że adopcja, a później nauki i wreszcie szkolenie u Uatah nie są niczym strasznym, jednak w jej myślach pojawiał się wciąż i wciąż głos, który uporczywie szeptał, że gdy Drust do niej wróci, nie będzie już jej dzieckiem, ale obcym młodym człowiekiem, który nie będzie pamiętał matki.

W końcu jednak nadszedł ten dzień, w którym Drust uroczyście został przekazany swojej nowej rodzinie. Jak kiedyś Geillis nie mogła pożegnać się z Galvanem, tak teraz Gwynn nieustannie ocierała oczy, chociaż jasne było dla wszystkich, że jej dziecko zamieszka raptem cztery domy dalej i że będzie mogła widywać syna przy każdej okazji. Galvan także był niepoczyszony, ale on przyjmował całą tę sytuację bardziej po męsku i zachowywał się odpowiednio, nie przystoi mu bowiem opłakiwać syna, jakby ten był martwy, tylko dlatego, że czekało go jak każdego innego chłopca wychowanie w obcej rodzinie.

Po odprawieniu Drusta w domu zapanował spokój, ale cisza, jaka nastąpiła, była dla rodziców nie do zniesienia.

Wiedzieli, że w miarę upływu czasu przywykną do takiego stanu rzeczy, na razie jednak było im dziwnie, kiedy małe nóżki ich syna nie wydeptywały ścieżek po izbach, a jego dźwięczny śmiech nie roznosił się po całym obejściu. Gwynn nie miała czasu zastanawiać się nad stanem swoich uczuć, należało bowiem wykonać wszystkie zimowe roboty, z których najbardziej uciążliwe było przędzenie wełny. Nie przepadała za tym zajęciem, nie lubiła kołowrotka, dużo bardziej lubiła tkać, ale to też musiało być zrobione i Gwynn dopiero teraz odczuła, jak jej brakuje rąk do pomocy. Niewolnice i wolne służące nie umiły czasu przy pracy opowieściami i anegdotami. Czasem przychodziła Evar, matka Gwynn, a także jej siostry, i wówczas izba rozbrzmiewała głosem kobiet i kobiecym śmiechem. Galvan, który przy takich okazjach zaszywał się w sieni i naprawiał broń, uprząże i rozmaite sprzęty, przysłuchiwał się babskim paplaninom, czerpiąc z tego niezrozumiałą przyjemność.

Odkrył, że lubi patrzeć na swoją żonę. Gwynn dojrzewała, nabierała cech pani domu, stawała się prawdziwą kobietą i w dwudziestej zimie życia doprawdy niewiele w niej zostało z tamtego przestraszonego dziewczątka, które obudził na łące, ani tym bardziej z małej dziewczynki, którą znał ongiś. Gwynn była kobietą w pełnej krasie, rozpalala w nim pożądanie i tęsknotę w dużo większym zakresie niż kiedyś Uatah. Tego też nie potrafił zrozumieć i tak naprawdę wcale nie chciał.

Gdy wreszcie najgorsze zimowe mrozy zelżały, Galvan zaczął przygotowywać się do wyruszenia do kraju

Sekwanów, o czym poinformował żonę, kiedy śniegi zaczęły topnieć.

- Do armii Cezara? - zdumiała się Gwynn. - Galvanie, oszalałeś! Nie chcesz chyba powiedzieć, że posłuchasz swego wuja i będziesz walczył dla Rzymian?

- To jedyny dobry sposób, by poznać ich sposób walki - tłumaczył Galvan. - Chcę być blisko, by ich naprawdę zrozumieć i poznać.

- Akurat! - prychnęła Gwynn. - Zafascynował cię ten Cezar, tak samo jak twoją matkę. Odkąd wróciłeś z Vesontio, jesteś nim oczarowany.

To była poniekąd prawda. Galvan nie mógł wydostać się spod uroku osobistego Cezara i, chcąc nie chcąc, podziwiał go, bo też takiego człowieka nieczęsto się spotyka. Nie sądził jednak, że Gwynn będzie tak spostrzegawcza, a powinien, bo już nie raz dała przykład swej przenikliwości, chociaż na co dzień sprawiała inne wrażenie.

- Gwynn, chyba nie będziemy kłócić się również o mój wyjazd? - odezwał się surowym tonem, mimo że Gwynn ani myślała boczyć się na męża.

- Ostatecznie jesteś mężczyzną i wiesz, co robisz - odparła z czymś, co było mieszaniną pogardy i ironii. - I nie jedziesz zdobywać nowej żony, ale walczyć, chociaż bogowie jedni wiedzą, za co i po co.

- Powołaniem mężczyzny jest walka - podsumował Galvan.

- Powołaniem mężczyzny jest zapewnienie bytu swej kobiecie i dzieciom - odcięła się Gwynn.

- Chciałabyś mieć męża, który będzie siedział na tyłku przez całe życie i nie ujrzy nigdy bitwy? - zapytał Galvan z krzywym uśmiechem.

- Chciałabym mieć męża, który wróci do mnie w jednym kawałku i którego mi nie przyniosą na noszach - odparła Gwynn z powagą. - Galvanie, jesteś panem samego siebie i nie będę ci mówiła, co masz robić, ale błagam, wróć do mnie i nie daj się zabić w jakiejś przeklętej wojnie. Wystarczy, że straciłam syna.

Galvan przewrócił oczami, ale w gruncie rzeczy rozumiał ją, bo sam, będąc dzieckiem, stracił ojca i nie chciał, by jego syn również musiał przez to przechodzić. Nie chciał, by ona musiała wyjść za mąż wbrew swej woli dla dobra dzieci, nie chciał, by cierpiała bezsensownie przez jego chęć popisania się lub, jak to określał, poznania tajników walk Rzymian. W jej oczach to było jedno i to samo.

- Wrócę - zapewnił Galvan. - Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

Odjechał trzy tygodnie później, kiedy klucze gęsi zaczęły wracać z południa. Zabrał ze sobą oddział konnych, swoich mlecznych braci i sztab klientów, zabrał najlepsze hiszpańskie konie, które Gobannicjon sprowadzał latami do Gergowii, zabrał broń inkrustowaną srebrem, zabrał też serce Gwynn, które, jak była przekonana, zacznie bić na nowo dopiero wówczas, gdy znowu go ujrzy.

Nie wiedziała, że zobaczy go dopiero za półtora roku. Gdyby posiadała taką wiedzę, z pewnością nie pozwoliłaby mu od siebie odjechać. Ale nie miała o tym pojęcia, kiedy

w piękny dzień wczesnej wiosny żegnała go ze łzami w oczach i patrzyła, jak odjeżdża po swoje przeznaczenie, daleko od niej, daleko od Gergowii, daleko od kraju Arwernów.

Galvan uległ całkowitej fascynacji Cezarem wbrew sobie, wbrew swoim postanowieniom i wbrew zasadom, jakie w niego wpajała Scatah. Gdy przyjechał do kraju Sekwanów na czele swojego oddziału konnicy, Cezar był już na miejscu i organizował szkolenia nowych legionów. Szkolenia odbywały się w armii rzymskiej przede wszystkim zimą i wczesną wiosną, a teraz, kiedy wódz znajdował się na miejscu, przybrały na intensywności. Galvan przyzwyczajony był do zupełnie innego stylu walki, Scatah bowiem chciała rozwijać w swoich podopiecznych przede wszystkim odwagę i hart ducha. Tymczasem Cezar pragnął karności, posłuszeństwa i znakomitej organizacji, co mu się udawało osiągnąć.

Znał wszystkich legionistów po imieniu, co było nie lada wyczynem, skoro dysponował armią wielkości pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Do swoich żołnierzy zwracał się w formie „towarzysze”, nie zaś „żołnierze”, jak to robił na początku kampanii. Miał ku temu powody, jako że teraz stali się naprawdę jego towarzyszami broni. „Sodales” lub „comitiones” rozbrzmiewało codziennie w obozie, aż Galvan nauczył się tych słów na pamięć i sam na nie reagował. Dawał swoim ludziom dość swobody na leżach zimowych i podczas odpoczynku, ale często przerywał błogą sjęstę

niespodziewanym rozkazem wymarszu albo kazał nie spuszczać siebie z oczu i odjeżdżał dniem lub nocą. Utrzymywał swoich żołnierzy w ciągłej gotowości i nawet kiedy oddawali się oni grze w kości i przyjemnościom z obozowymi dziewczynkami, potrafili w jednej chwili zorganizować się w oddział i podążać za swoim wodzem.

Galvan zdumiony był więzią między Cezarem a legionistami. Uwielbiali go i gotowi byli dla niego skoczyć w ogień. Gdy tylko się pojawił, rozpoczął wiosenną kampanię od rozdania nagród, odznak i awansów. Nie szczędził na niczym, podwyższał żołd tym, którzy latem odznaczyli się największą odwagą i męstwem, rozdawał broń inkrustowaną srebrem, dawał przywilej niesienia sztandaru i insygniów, rozdawał dębowe korony, wieńce laurowe, mianował nowych legatów i to wcale nie spośród arystokracji, ale ze zwykłych żołnierzy, którzy wykazali się odwagą.

Galvana zaskoczyła również skromność Cezara. Jadł te same proste potrawy co jego żołnierze, nie upijał się, nie zajmował hazardem i kobietami, kiedy już znalazł się w obozie, a nikt nie pytał go o jego zimowe romanse. W swym sztabie zatrudniał wielu galijskich urzędników i wysoko ich cenił. Galvan został mianowany dowódcą galijskiej konnicy, oddziału pomocniczego i jako taki miał prawo przebywania w rzymskim obozie i korzystania z rzymskich przywilejów.

Zaraz też na początku swojej bytności w obozie spotkał matkę, która naraz wydała mu się inną kobietą. Geillis ubrana była na sposób rzymski, w niczym nie przypominała

celtyckiej arystokratki, którą przecież była. Jej oczy lśniły jak gwiazdy, patrzyła rozkochanym wzrokiem na Cezara, a on zdawał się odwzajemniać jej afront, ale będąc już wśród swoich żołnierzy, koncentrował się bardziej na działaniach wojskowych i na szkoleniu swojej armii, a nie na amorach z Galijką. Mimo to Geillis kwitła, chodziła lżejszym krokiem, śmiała się radośnie i odzyskała urok młodej dziewczyny, który Galvan ledwie pamiętał z lat dzieciństwa. Zdumiony był tą metamorfozą, ale wkrótce sam padł ofiarą uroku osobistego Cezara i poddał mu się całkowicie.

Wieczorami Cezar zapraszał legatów na posiłek, który odbywał się przy akompaniamencie fletnistek lub lektora czytającego po łacinie. Galvan nic z tego nie rozumiał, ale wsłuchiwał się w melodyjny rytm języka, w którym zdawała się dominować litera s. Posiłki były skromne, na początek dawano jajka i chleb, potem oliwki, ser, soczewicę, warzywa i ryby, jeśli nadarzyła się okazja, by je złapać w rzece, lub pieczeń, a na koniec słodczyce, orzechy w miodzie i jabłka. Cezar jadł niewiele, pił też umiarkowanie i ku zdumieniu Galvana rozrzedzał wino wodą, aby się nie upić. Zachowywał przerażającą trzeźwość umysłu, często zdarzało się, że o trzeciej wigilii, kiedy niebo było jeszcze czarne, ale księżyc już zachodził, zarządzał pobudkę i wymarsz na nocną wycieczkę, najczęściej bez określonego celu, tylko po to, aby żołnierze nie zapomnieli, do czego służą im nogi i oczy.

Galvan zdumiony był również pracowitością Cezara. Sporządzał on codzienne raporty, nadzorował wydawanie zboża, pisał listy, a czasami dyktował je, jadąc konno i mając

obok siebie dwóch pisarzy, szkolił legionistów, a przy okazji samego siebie, organizował pracę innym, był jednocześnie wszędzie i wszystkim się zajmował, a z drugiej strony miał czas dla każdego i ze skupieniem wysłuchiwał petentów, którzy specjalnie dla niego ciągnęli z Italii na północ.

Odkąd skończył szkolenie u Scatah i pokonał swego stryja w pojedynku, Galvan nie miał okazji wystąpić z orężem w rękę aż do chwili, kiedy przyszło mu walczyć z Belgami. Cezar wcale nie krył się z zamiarem wypowiedzenia im wojny, tłumaczył się jedynie faktem, że Belgowie sprzeciwiali się rzymskiej obecności w Galii i że sami planowali napaść na rzymskie garnizony pozostawione w kraju Sekwanów. W oficjalnym piśmie do Senatu Cezar stwierdził, że Belgowie zawiązali spisek, ponieważ wyszli z założenia, że skoro Rzymianie spacyfikowali środkową Galię, wkrótce uderzą również na nich. Cezar nie myślał o tym na poważnie, ale skoro tak się potoczyły sprawy, postanowił wykorzystać sytuację. O Belgach wiedział, że są najbardziej waleczni spośród wszystkich celtyckich ludów, przede wszystkim dlatego, że ich siedziby znajdowały się daleko od kupieckich szlaków, a oni sami otoczeni byli zewsząd nieprzyjacielskimi plemionami, z którymi nieustannie toczyli mniejsze lub większe bitwy. Teraz zaś szykowali się do wojny z Cezarem, czego on, rzecz jasna, tolerować nie mógł. Rzymscy prokonsulowie od dawna starali się utrzymać wokół Prowincji pierścień sprzymierzonych plemion. Tym razem Cezar również nie chciał odstępować od tradycji i *de facto* nie mógł sobie pozwolić na bliskość wrogo nastawionego

ludu.

O Belgach Galvan słyszał wiele, ale nigdy nie miał okazji ani konieczności stawania z nimi do walki. Część Belgów pochodziła od germańskich osadników, którzy przybywali ze wschodu i północy, część spokrewniona była z Celtami. Tak czy owak stanowili konglomerat wojowników trudnych do pokonania, o czym Cezar dowiadywał się od swoich szpiegów. Zimą Rzymianie i Belgowie doszli do swoistego porozumienia, na mocy którego wymienili między sobą zakładników, istniały też plany utworzenia wspólnej armii, do której wszystkie belgijskie osady miały dostarczyć określoną liczbę wojowników. Z planów jednak nic nie wyszło i wczesną wiosną, kiedy tylko zazieleniła się trawa, a szlaki stały się przejezdne, Cezar wysłał do reszty armii dwa legiony dowodzone przez legata Kwintusa Pediusza. Następnie sam wyruszył ze swej kwatery w Galii Przedalpejskiej, gdzie do tej pory sprawował władzę w towarzystwie Geillis, i zaraz po przybyciu na miejsce zażądał informacji na temat ewentualnego zbrojenia się Belgów do wojny z Rzymem.

Ponieważ raporty potwierdzały obawy prokonsula, wyruszył on czym prędzej ze swą armią, w tym również z oddziałem Galvana, na północ. Cezar narzucił niezwykle ostre tempo marszu, które Galvana wprowadziło w zdumienie, i po dwóch tygodniach armia dotarła do kraju Remiów, pierwszego z plemion belgijskich. Remiowie byli sojusznikami Rzymian, wobec czego Cezar na ich ziemiach mógł czuć się bezpiecznie. Galvan po raz pierwszy był świadkiem przygotowywania się wojsk rzymskich do wojny

i zdumiał się faktem, że Cezar najpierw zażądał szczegółowych informacji o swoich wrogach. Armia Belgów liczyła około trzystu pięćdziesięciu tysięcy ludzi, z czego głównymi siłami dowodził król Bellowaków - Galba. Cezar dysponował siłami wielkości pięćdziesięciu tysięcy ludzi, był zatem na straconej pozycji, tak przynajmniej sądził Galvan, który nie docenił geniuszu strategicznego rzymskiego prokonsula.

Belgowie ruszyli na stolicę Remiów, Bibrax, i rozpoczęli jej oblężenie. Remiowie natychmiast wysłali do Cezara posłów z prośbą o pomoc, której ten udzielił, wysyłając oddziały lekkobrojne, które zniechęciły Belgów do podejmowania dalszych ataków na miasto. W odpowiedzi Belgowie postanowili najechać Aksonę, a o ich liczebności świadczyła ognista łuna, którą Cezar w nocy widział z odległości dwunastu kilometrów. Gdy pozwolił swoim żołnierzom oswoić się z tym widokiem i potęgą wroga, doszedł do porozumienia z Dywicjakiem i zlecił mu najechanie ziem Bellowaków, aby odciągnąć ich od głównych walk, jakie sam zamierzał zaserwować Belgom.

Pierwsza bitwa Wercyngetoryksa w randze głównodowodzącego galijską konnicą, co prawda pod rozkazami Dywicjaka z plemienia Eduów, rozegrała się wkrótce potem na ziemiach Bellowaków. Ponieważ Galvan należał do grupy ofensywnej, oszczędzone mu zostało nerwowe wyczekiwanie bitwy, za to udzieliło się mu uderzenie adrenaliny, jakie zwykle towarzyszy atakom i najazdom. Chociaż nigdy wcześniej tego nie robił, dowodził

teraz swym oddziałem jak urodzony strateg. Porwany wrzawą i podnieceniem bitewnym, natarł na oddział Bellowaków niczym huragan. Dla Celtów akrobacje na koniach w pełnym galopie nie były niczym niezwykłym, mimo to w pamięci Dywicjaka zachował się obraz nieustraszonego przywódcy Arwernów, który wyrzynał Bellowaków z niestrudzonym entuzjazmem, zrodzonym gdzieś z głębi jego młodej duszy. Gdy jeden z nich, uzbrojony w siekiere, natarł na konia Wercyngetoryksa, ten wykonał pełen obrót pod końskim brzuchem i zanim wierzchołek padł, zdołał wbić miecz w zaskoczonego przeciwnika, po czym zgrabnie przeskoczył na grzbiet jego konia.

Podczas gdy oddział Dywicjaka, w którym dowodził konnicą Galvan, siał śmierć i zniszczenie w części armii Bellowaków, Cezar musiał stawić czoła reszcie wojska Belgów. Ustawił swe wojsko w szyku bojowym przeciwko nadciągającym Belgom, jednak żadna ze stron nie kwapiła się do podjęcia bitwy. Wreszcie Bellowakowie, zniecierpliwieni zastojem, postanowili zaatakować wojska Cezara od prawej flanki, jednak prokonsul wysłał natychmiast oddział, który skutecznie zablokował ten manewr. Sytuacja patowa trwała dalej i pewnie nie zmieniłaby się, gdyby Cezar nie zdecydował się wreszcie podjąć konkretnych kroków. Jego informatorzy przesłali mu wiadomość, że po nieudanym ataku Belgowie odchodzą, jednak Cezar, nauczony doświadczeniem z Helwetami, postanowił czekać do rana, aby się o tym przekonać, i istotnie ujrzał obóz Belgów opustoszały. Czym prędzej

wysłał za uciekającymi całą swoją armię. Kiedy udało mu się dogonić tylną straż belgijską, wśród oddziałów Bellowaków wybuchła panika. W zamieszaniu zginęło trzydzieści tysięcy Belgów, których śmierć dopadła w czasie chaotycznej ucieczki. Cezar odniósł zwycięstwo, nie wydając nawet decydującej bitwy.

Po tych wydarzeniach Galvan nabrał głębokiego przekonania, że Cezar należy do wybrańców bogów lub obdarzony jest po prostu nieprzeciętnym geniuszem wojskowym. Jemu samemu nie przyszłoby do głowy wykonanie podobnego manewru, żeby rozproszyć armię i zaatakować atakujących. Kiedy u niego samego opadło pierwsze podniecenie bitwą i kiedy brudny od nie swojej krwi wrócił do obozu, mógł na chłodno przeanalizować całą sytuację, a wtedy doszedł do wniosku, że dobrze uczynił, wstępując do armii Cezara, nie było bowiem lepszej okazji, żeby poznać tajniki rzymskiej strategii.

Cezar był zadowolony z wyniku bitwy, a właściwie pogromu Belgów, ale wiedział, że to jedynie połowiczne zwycięstwo. Pokonanie Bellowaków nie równało się z ujarzmieniem, czy raczej spacyfikowaniem, jak to określał, Belgów, do ich grona bowiem należało wiele plemion. Był jednak usatysfakcjonowany rezultatem, jaki dały pomniejsze potyczki, a nade wszystko karnością i ofiarnością swoich żołnierzy. Problemu nie stanowili jednak pokonani, Cezar bowiem wyrwał im kły i pazury, ale najbardziej nieokrzesani i „wyzwoleni” spośród Belgów, czyli plemię Nerwiów, którzy

nie chcieli podporządkować się rzymskiej dominacji ani przyjąć do wiadomości faktu, że ich pobratymcy zostali pokonani. Już następnego dnia po zwycięstwie nad Bellowakami szpiedzy przynieśli Cezarowi niepokojące wieści, że Nerwiowie sposobią się do bitwy.

Prawdę mówiąc, Cezarowi nie bardzo była w smak kolejna potyczka w tak krótkim czasie. Mimo to na wieść o mobilizacji Nerwiów zwinął obóz i ruszył na północny zachód przeciwko największemu z plemion, które chciało z nim walczyć. Po trzech dniach rzymska armia wraz z galijskimi auxiliami znalazła się w odległości pięciu kilometrów od rzeki Sambry. Była to stosunkowo niewielka rzeka, stanowiąca dopływ Mozy, która z kolei była dopływem Saony. Tam właśnie wojsko zatrzymało się po tym, jak Cezar dzięki przesłuchaniom jeńców, dokonywanym z upodobaniem przez Labienusa, dowiedział się, że na drugim brzegu znajduje się plemienna armia Nerwiów, do której dołączyły plemiona Atrebatów, Wiromanduów oraz Atuatuków.

- Moi informatorzy... - Labienus skinął głową na wycieńczonego galijskiego jeńca - ...mówią, że Atuatukowie należą do najbardziej bitnych spośród tych dzikusów.

Cezar jedynie zacisnął usta. Wiedział już, że czeka na niego armia złożona z siedemdziesięciu pięciu tysięcy ludzi, gdy tymczasem on dysponował główną siłą w liczbie czterdziestu tysięcy legionistów, a dodatkowo posiadał oddziały pomocnicze, w tym jazdę Arwernów dowodzoną przez Wercyngetoryksa. Cezar nie miał czasu zastanawiać się nad przewagą wroga, Nerwiowie bowiem odesłali z obozu

kobiety, dzieci i starców i ukryli ich w bezpiecznym miejscu wśród mokradeł, żeby Rzymianie po ewentualnym zwycięstwie nie mieli do nich dostępu, po czym ustawili po drugiej stronie rzeki szereg bojowy i czekali na odpowiedź Cezara.

Cezar nie miał zbyt wielu powodów do zadowolenia, jako że tym razem Belgowie doskonale odrobili lekcje i wybrali teren dogodny dla nich. Wiedzieli od swoich informatorów, że legiony Cezara tworzą w marszu osobną formację, z racji czego każdy będzie zainteresowany obroną własnej pozycji i taborów. Oznaczało to również, że siły rzymskie podzielone będą na osiem osobnych sekcji, którym tabory, zwierzęta juczne oraz oddziały pomocnicze będą utrudniały uformowanie szeregu. Po obu stronach niezbyt szerokiej i głębokiej rzeki, która latem miała niewiele ponad metr głębokości, wznosiły się niewysokie wzgórza, na przeciwległym brzegu rozciągała się równina o szerokości około dwustu kroków, a dalej zaczynał się las, w którym z powodzeniem mogły się ukryć oddziały Nerwiów. Jakby tego było mało, po tej stronie, od której nadchodzili Rzymianie, rosły gęste i wysokie krzaki zasadzone przez Nerwiów celem ochrony.

Dzięki zabiegom Labienusa Cezar dowiedział się wszakże, iż przeprawa przez rzekę może napotkać opór, dlatego też prokonsul postanowił niemal w ostatniej chwili zmienić formację marszową na taką, którą zastosował wcześniej, gdy pojawiała się ryzyko natknięcia się na wroga. Pod osłoną jazdy sześć doświadczonych legionów

maszerowało bez obciążenia ze strony taborów, które zostały zgromadzone pod opieką dwóch legionów na tyle kolumny. Przodem szedł ulubiony X legion Cezara, za nim legion IX i pozostałe. Grupa centurionów towarzyszyła wyprzedzającym kolumnę patrolom, a ich zadaniem było wybranie miejsca na nocny obóz.

Nerwiowie zaatakowali, kiedy armia rzymska zabrała się do wznoszenia obozu. Dowódca armii belgijskiej, Boduognatus, zdecydował, że do ataku nie można przystąpić prędzej, niż kiedy pojawią się tabory rzymskie, a gdy to się stało, armia sformowała pod osłoną drzew szyk bojowy, po czym niezwłocznie ruszyła na niczego niespodziewających się Rzymian. Kiedy legiony zorientowały się, że Nerwiowie przepływają przez rzekę, było już zdecydowanie za późno, wobec czego Cezar, który jako jeden z pierwszych połapał się w sytuacji, zmuszony był wykonać kilka czynności równocześnie. Czym prędzej podniósł sztandar, co oznaczało rozkaz chwycenia za broń, dał znak trębaczom, by wezwali pracujących przy budowie obozu żołnierzy, po czym pospieszył sprowadzić ludzi, którzy odeszli dalej w poszukiwaniu materiałów do budowy wału, rozkazał utworzyć szyk bojowy i dał sygnał do walki. Ponieważ nie mógł siłą rzeczy znajdować się w kilku miejscach jednocześnie, lwią część pracy spadła na legatów, którzy zajęli się ustawianiem jednostek. Legioniści stawali w szyku z tymi, którzy stali najbliżej, wcale nie we własnych oddziałach, jednak w tej chwili nie miało to większego znaczenia.

Gdy Atrebatowie znaleźli się w odległości niecałych stu metrów, Cezar dał X legionowi znak do ataku. Posypał się grad włóczni, który zatrzymał nacierających Belgów. Rzymianie znajdowali się tu na lepszych pozycjach, ponieważ stali na stoku, podczas gdy Belgowie zmuszeni byli biec pod górę. Legiony wkrótce zmusiły ich do zbiegnięcia w dół, w dolinę rzeki. Prawe skrzydło belgijskiej formacji zaczęło się powoli załamywać, a legiony X i IX zdołały przedostać się na drugi brzeg rzeki, gdzie dokonywały rzezi na niedobitkach belgijskich formacji.

Na prawym skrzydle Cezar musiał osobiście rzucić się w wir walki, jako że żołnierze z XII legionu do tego stopnia byli ściśnięci, że sami sobie przeszkadzali w natarciu. Cezar z niezadowoleniem stwierdził, że czwarta kohorta została niemal doszczętnie wybita, a w innych rany odnieśli niemal wszyscy centurionowie. Nie wróżyło to niczego dobrego, Cezar bał się, że odwaga wkrótce opuści legionistów, toteż chwycił za miecz i wyrwawszy tarczę jakiemuś żołnierzowi z tylnych oddziałów, sam przystąpił do natarcia. Już po kilku chwilach dotarło do niego, że żołnierze walczą z nową energią, jakby samo pojawienie się wśród nich wodza napełniło ich niesłychaną odwagą. Walczył tak zaciekle, że nie zauważył przeciwnika pędzącego na niego z naprzeciwka. W ostatniej chwili dostrzegł rękę z toporem unoszącą się nad jego głową, gotową zadać cios, który jednak nie nadszedł. Rozległ się wrzask i ramię z toporem upadło na ziemię, a Belg cofnął się z krzykiem, po czym padł pod ciosem ciężkiego galijskiego miecza. Cezar spojrzał

w błękitne oczy swego wybawcy i pojął, że od tego momentu między nim a Wercyngetoryksem zaistniała więź, którą trudno mu będzie zerwać, nawet w imię wyższej konieczności.

Powoli, z mozołem, prawa flanką rzymską odpychała belgijskie oddziały od obozu. Do walczących przyłączyli się niewolnicy, ciury obozowe i lekka piechota. Nerwiowie nie chcieli odpuścić i walczyli jeszcze przez jakiś czas, nawet gdy stało się jasne, że nie uda im się zwyciężyć ani pokonać armii Cezara. Dwa legiony, które maszerowały na tyłach, dołączyły pod wodzą Labienusa, aby wspomóc walczących. Mimo to Nerwiowie nie ustępowali, nawet kiedy stali już na stosach własnych poległych. Straty po stronie Belgów były widoczne gołym okiem, jednak posłowie przybyli do Cezara dopiero wieczorem, kiedy ostatnie niedobitki schodziły już pokonane z pola walki.

Cezar przyjął posłów tak jak stał – umorusany krwią, wciąż jeszcze dzierżąc w dłoni zakrwawiony miecz. Porozumiewając się przez tłumacza, którym tym razem była Adair, nakazał Nerwiom powrót do ich miast i przy okazji zakazał im ponownego atakowania Rzymian. Aby zaś pokonani mogli bez szwanku wrócić na swoje ziemie, wysłał do ościennych plemion posłów z poleceniem zostawienia ich w spokoju.

Kiedy kilka dni później zbuntowali się Atuatukowie, którzy nie zdołali przyłączyć się do walnej bitwy, Cezar ruszył na jedno z ich miast z zamiarem oblężenia, ale wystarczyło samo pokazanie Belgom wieży oblężniczej,

którego to cudu nigdy oni nie widzieli. Miasto skapitulowało, a Cezar zabronił swoim ludziom plądrowania, jednak pod osłoną nocy część plemienia zapragnęła ucieczki, co dla Cezara oznaczało jawną prowokację. Nazajutrz stwierdził, iż Atuaturukowie złamali warunki pokoju, i sprzedał całe miasto w niewolę. Ze swego miejsca Wercyngetoryks miał okazję zobaczyć pięćdziesiąt trzy tysiące ludzi idących ku swemu przeznaczeniu po tym, jak kupiła ich jedna tylko niewolnicza faktoria. Był to pierwszy raz, kiedy ujrzał swoich *de facto* rodaków zakutych w kajdany, kiedy zamiast osławionej łagodności Cezara ujrzał jego prawdziwe oblicze i kiedy zdał sobie sprawę, iż wilk na zawsze pozostanie wilkiem, nawet jeśli udaje niewinne jagnię.

Problem polegał na tym, że Cezar wcale nie udawał nikogo innego, niż był. To tylko on, Galvan, uległ fascynacji tak dalece, że zapomniał, z kim miał do czynienia. Otrzeźwienie miało dopiero nadejść, na razie jednak Galvan jako naczelnik Arwernów sprawował nadal dowództwo nad jednym z galijskich konnych oddziałów Cezara, który już niebawem miał stawić czoła zupełnie innemu problemowi niż potyczki w Galii.

III

Gdy Julia oznajmiła, że spodziewa się dziecka, radości nie było końca, chociaż Kalpurnia zanotowała również niechętnie spojrzenie. Atia bynajmniej nie okazywała entuzjazmu na wieść o tym, że jej kuzynka jest brzemienna, jakkolwiek usiłowała robić dobrą minę do złej gry. Kalpurnia poczuła ulgę na myśl, że Cezar doczeka się jednak potomka, nawet jeśli będzie to syn Pompejusza, noszący jego nazwisko.

Jej się nie udało.

Dwa lata wcześniej została wezwana przez swego męża do Luki, niewielkiego oppidum leżącego dosłownie na granicy Italii i Galii Przedalpejskiej, gdzie na zimę Cezar przyjechał oddawać się swoim obowiązkom prokonsula i namiestnika Prowincji. Kalpurnia, otrzymawszy to wezwanie, cieszyła się jak dziecko, bo też nie widziała swego małżonka pełne dwa lata. W tym czasie do jej uszu i oczu za pośrednictwem listów docierały naturalnie informacje o dokonaniach Cezara w Galii. Po wielkim zwycięstwie nad Ariowistem Senat zarządził czternaście dni świąt, aby go

uczcić. Po rozgromieniu Belgów Senat zarządził owację w Kurii. Gdziekolwiek Cezar się znalazł, tam odnosił spektakularne zwycięstwa, a ona mogła jedynie być z niego dumna.

I była, chociaż sytuacja w samej stolicy doprawdy nie dawała powodów do dumy i optymizmu. Głównym problemem był niejaki Klodiusz, wcześniej znany jako Publiusz Klaudiusz Pulcher, potomek potężnego rodu Kaludiuszy, których pycha i koneksje polityczne nie miały sobie równych w całym Rzymie. W czasie swego konsulatu Cezar i Pompejusz przenieśli go w akcie fikcyjnej adopcji do stanu plebejskiego, gdyż chciał on ubiegać się o urząd trybuna ludowego. Jako taki zaczął dopuszczać się niegodziwości, począwszy od usunięcia z Rzymu Cyncerona, a zaraz za nim – Katona. O ile jednak pierwszy musiał udać się na wygnanie, to drugi wysłany został z misją aneksji Cypru i nadzoru nad finansami, jak bowiem stwierdzono, jest najzacniejszym z obywateli i tylko jemu można powierzyć tę funkcję.

Wkrótce potem senatorowie przeforsowali zgodę na powrót Cyncerona z wygnania, a ponieważ sytuacja w Rzymie stała się trudna ze względu na problemy z dostawami zboża, Cynceron wysunął propozycję przyznania Pompejuszowi nadzwyczajnego pełnomocnictwa na pięć lat, co czyniło go najpotężniejszym człowiekiem w Republice. Rzecz jasna Senat na to przystał i Pompejusz, tak żądny zaszczytów, chwały i władzy, stał się dosłownie *primus inter pares*, co mu bardzo odpowiadało. W tym czasie Cezar znajdował się

daleko od granic Pomerium, a gdyby zechciał przekroczyć niewielką granicę dzielącą jego Prowincję od Italii, natychmiast straciłby urząd, więc nie mógł w żaden sposób, poza wykorzystaniem osoby Klodiusza i swoich, rzecz jasna, agentów, ingerować w politykę.

Wiosną drugiego roku pobytu Cezara w Galii jeden z jego przeciwników politycznych, niejaki Lucjusz Domicjusz Ahenobarbus, wysunął wniosek o jego odwołanie z Prowincji. To dało Cezarowi do myślenia na tyle, że postanowił czym prędzej działać i na kolejną wiosnę zorganizował zjazd w Luce, gdzie wezwał swoją żonę, Pompejusza z Julią, Krassusa, a także swoich popleczników i agentów. Kalpurnia doskonale pamiętała długą, uciążliwą podróż, wówczas pierwszy raz w życiu opuściła Rzym. Nigdy wcześniej nie była poza jego murami, nie wspominając już o Galii Przedalpejskiej, nigdy nie widziała prawdziwych gór, co najwyżej wzgórze nad miastem i majaczące w oddali Góry Sabińskie. Kiedy dotarła wraz z wielkim orszakiem do Luki, poraził ją ogrom alpejskiego masywu wznoszącego się ku wiosennemu błękitnemu niebu. Wysiadała z lektyki niczym rzymska dama, ale w głębi duszy czuła niepokój i lęk, tęsknotę i ból, i nade wszystko chciała ujrzeć wreszcie swego męża.

Jego widok okazał się dla Kalpurni szokiem. Cezar jako namiestnik rzymskiej Prowincji przyjął delegację odziany w zbroję i czerwony imperatorski płaszcz. Dopiero później, przy kolacji, miał togę, jednak senatorów witał wódz w pełnej krasie, z surowym wyrazem twarzy, z mieczem przy boku,

który w niczym nie przypominał gładkiego rzymskiego polityka. Włosy miał wygolone niemiłosiernie krótko nawet jak na Rzymianina, Kalpurnia po raz pierwszy uświadomiła sobie, że jej mąż łysieje, co dla niego zapewne nie było powodem do śmiechu. Dotychczas zaczesywał włosy z tyłu głowy do przodu, teraz jednak uwidoczniły się jego zakola, a linia czarnych włosów wyraźnie się cofnęła. Na twarzy miał znacznie bardziej zaznaczone bruzdy, chociaż w lipcu miał skończyć dopiero czterdzieści cztery lata i nie był jeszcze stary. Kalpurnia zawsze oglądała go elegancko ubranego i uczesanego, tutaj natomiast widziała żołnierza, który za nic ma tego rodzaju szczegóły, jak własny wygląd.

Rzecz jasna powitanie małżonków wobec całego tego zacnego zgromadzenia musiało przebiegać stosownie do okoliczności. Cezar podał Kalpurni rękę i wypowiedział wymagane słowa powitania, ona zaś odpowiedziała mu taktownie, ale z trudem udawało jej się hamować łzy. Gdy się rozstawali przed dwoma laty, Cezar mówił, że ją kocha, teraz jednak pozostawał urzędnikiem i wodzem, nieczułym i zimnym, tak jak od niego wymagała etykieta. *Przekłęte obyczaje przodków* - myślała Kalpurnia, idąc za nim do cubiculum, gdzie mogła się odświeżyć.

A mimo to Cezar ją zaskoczył. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, jego usta znalazły się na jej ustach. Kalpurnia w oszołomieniu poczuła, że on ją całuje głęboko i zmysłowo, jakby zatracił się w tęsknocie i pożądaniu.

- Bogowie, Kalpurnio, tęskniłem za tobą - szeptał rozgorączkowany w jej włosy, podczas gdy jego dłonie,

stwardniałe od miecza, szorstkie jak nigdy przedtem, rozgarniały jej stolę w sposób bynajmniej nieprzystający mężowi.

Sama nie wiedziała, jak to się stało, wszystko działo się gwałtownie i szybko, jakby Cezar nie panował nad sobą, jakby jej bliskość go oszołomiła. Oplótł swoje biodra jej nogami, a ona ulegała mu, chociaż pancerz, który miał na sobie, ranił jej uda. Nigdy jeszcze w taki sposób nie odbyła stosunku, ale też nie myślała o tym, kiedy ją brał, ani potem, kiedy leżeli obok siebie na niewygodnym polowym łóżku, zupełnie innym niż to, do jakiego przywykła w domu.

- Brakowało mi ciebie - odezwał się po jakimś czasie kompletnej ciszy. - Kalpurnio, nie będę kłamał, że żyłem bez kobiet, myśl o mnie, co chcesz, ale uwierz, że brakowało mi mojej żony. Żadna kobieta nie jest w stanie zastąpić mi ciebie.

Kalpurnia nie wiedziała, jak zareagować na to wyznanie. Gładziła męża po spoconej twarzy, po szorstkim od zarostu policzku, usiłując przejść do porządku dziennego nad wieloma faktami. Teraz leżała tutaj z nim, ale była przekonana, że tuż przed jej przyjazdem odprawił jakąś kochankę, albo nawet kilka, z którą się zabawiał pod jej nieobecność. Poza tym ona za kilka tygodni odjedzie do Rzymu, a on podąży na północ, do Galii, do swoich oddziałów, które zapewne zostawił pod dowództwem doświadczonych legatów, i znowu nie zobaczą się przez rok albo dłużej. Chociaż Rzymianie wymagali od swoich żon wierności i porządnego prowadzenia się, sami uważali, że

nikt nie ma prawa wymagać od nich czegoś podobnego. Kalpurnia wychowana była w takiej kulturze i niewierność małżonka traktowała jako coś całkowicie naturalnego, o ile nie wiązało się to z dotkliwą zniewagą jej osoby.

- A zatem wezwałeś mnie tutaj, bo za mną tęskniłeś? - upewniła się, bo właśnie to chciała usłyszeć.

Cezar leżał z głową na jej piersi, pozwalając, by go pieściła jak małego chłopca. Najwyraźniej jemu też brakowało czułości i tkliwości po miesiącach wojennej zawieruchy. Kalpurnia zastanawiała się, czy wobec swoich galijskich kochanek również był taki czuły i delikatny. Zapewne tak, ale nie chciała tego wiedzieć.

- Tak, Kalpurnio. Tęskniłem za tobą.

Kalpurnia z błogością przymknęła oczy.

Tego samego wieczoru odbyła się uczta powitalna dla dwustu senatorów, klientów, ich żon, dla galijskiej arystokracji zamieszkującej Lukę i okoliczne miasta, jednym słowem dla śmietanki towarzyskiej, która zebrała się w domu namiestnika. Kalpurnia odziana była w najlepsze stroje i biżuterię, a dzięki swej młodości i wdziękowi, a także dzięki pozycji żony prokonsula, mogła śmiało konkurować z tutejszymi pięknościami. Stwierdziła, że galijskie kobiety są w większości wysokimi blondynkami, dobrze zbudowanymi, w przeciwieństwie do Rzymianek nawykłymi do aktywności fizycznej. Wzrok Kalpurni prześlizgiwał się po kobiecych twarzach, aż napotkał znajome oblicze. Żona Cezara zamarła na moment, kiedy młoda nieładna kobieta odpowiedziała jej hardym spojrzeniem.

- Gajuszu, co ona tutaj robi? - zapytała męża dyskretnie, kiedy ten przerwał akurat konwersację z Pompejuszem zajmującym sąsiednie łoże. - To przecież córka Ariowista.

Cezar podążył wzrokiem za żoną i istotnie, napotkał spojrzeniem Adair, która zajmowała należne jej miejsce w sztabie jego ludzi.

- Pracuje dla mnie - odparł krótko, nie chcąc wdawać się w szczegóły.

Błękitne oczy Kalpurni zamigotały w blasku oliwnych lampek. Cezar dobrze znał ten ich wyraz, ale nie naciskał. Jeżeli zechce, Kalpurnia sama mu powie, co ujrzała. Jednak bez jej przepowiedni Cezar doskonale zdawał sobie sprawę, że Adair w żadnym razie nie wolno ufać, zbyt dobrze szkolił ją Labienus, a poza tym skoro zdradziła własnego ojca, będzie również zdolna do zdrady swego wodza.

Kalpurnia szukała dalej, sama nie wiedząc, czego wypatruje, aż napotkała jego wzrok. Siedział, czy raczej leżał, na swoim łożu niemal dosłownie naprzeciwko Cezara. Był młody i piękny, tak wspaniałego mężczyzny Kalpurnia nie miała okazji oglądać, chociaż wielu ich już widziała w swym młodym życiu. Gdy jego oczy napotkały jej wzrok, poczuła, jakby tysiące zimnych igieł przeszyły jej nerwy. Młody człowiek patrzył na nią raczej z zaciekawieniem niż z szacunkiem, chociaż zapewne wiedział, kim ona jest. Na jego kształtnych ustach malował się pełen kpiny uśmiezek, ale wymieszany z dziwną goryczą, jakby mężczyzna myślał o czymś dla niego nieprzyjemnym. Na jego szyi lśnił dziwny naszyjnik, którego końce nie łączyły się ze sobą, na

nadgarstkach pobłyskiwały złote bransolety.

To władca - uświadomiła sobie Kalpurnia. - Ten człowiek to naczelnik, czy jak oni tam ich zwą, najwyższy władca swego ludu. Ale on nie służy Cezarowi, on się tylko przygląda, gotowy w każdej chwili odejść i zwrócić się przeciwko niemu. To nie sojusznik - to obserwator. Podziwia Cezara, ale wie, że jest u jego boku tylko na chwilę. Do czasu, aż jego godzina wybije.

Chciała to powiedzieć Cezarowi, ale jej wzrok prześlizgnął się mimowolnie na kobietę siedzącą obok obserwowanego mężczyzny. Była tak do niego podobna, że nie sposób było się co do nich pomylić. Kalpurnię uderzył fakt, że Galijka ubrana była na sposób rzymski, podczas gdy jej syn prezentował symbol celtyckiego księcia. Wzrok nieznanym mimowolnie wędrował w stronę Cezara. To i lekko drwiący uśmiech młodego człowieka utwierdziły Kalpurnię w przekonaniu, że to ta kobieta była faworytą Cezara pod nieobecność jego prawowitej małżonki. Co więcej, Kalpurnia zrozumiała, że między jej mężem a tą kobietą istnieje więź, której ona, Rzymianka, nigdy nie zrozumie. Więź oparta na czymś więcej niż tylko pożądanie.

Spoglądała na młodego człowieka ogarnięta niedobrym przeczuciem. Kalpurnia rzadko kiedy miewała sny na jawie, przychodziły do niej jednak zawsze nieproszone i teraz również ogarniało ją dziwne mrowienie, jakby zapowiedź snu, którego nie chciała śnić. Czuła, że odegra on kluczową rolę w życiu Cezara, nie umiała jednak powiedzieć, jaką. Ich losy były splecione nierozzerwalną więzią, ale Kalpurnia nie

chciała wiedzieć, nie chciała czuć i w jednej chwili zapragnęła znaleźć się jak najdalej od tego miejsca.

Musiała jednak siedzieć i grać rolę pani domu, chociaż podejrzewała, że pod jej nieobecność to owa złotowłosa piękność zajmowała miejsce u boku Cezara jako jego galijska konkubina. Jej syn nie wyglądał na zbytnio zachwyconego tym faktem, ale roztropnie milczał. Kalpurnia nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w dramat wpleciona zostanie jeszcze jedna osoba, a nawet więcej, ktoś, kogo jeszcze nie ma. Przeniknął ją głęboki, nieprzyjemny dreszcz.

Ale ona nie będzie matką tego dziecka - pomyślała, patrząc na Galijkę.

Skinęła głową na Adair. Germanka bardzo niechętnie podeszła do żony Cezara, której ostatecznie nie musiała służyć. Znajdowała się jednak w biesiadnej sali pełnej ludzi, więc nie mogła sobie pozwolić na jawne lekceważenie.

- Mów - rozkazała Kalpurnia, po raz pierwszy uciekając się do swojej pozycji żony namiestnika.

- Nie chcesz tego wiedzieć, pani - odparła Adair dyskretnie.

- Chcę - powiedziała Kalpurnia twardo. - Od kiedy on z nią sypia?

Adair posłała Galijce przelotne spojrzenie. Nie pytała, skąd żona Cezara to wie. Już w Rzymie Kalpurnia spoglądała dziwnie na Ariowista i na nią samą.

- Od zeszłej jesieni - odparła niechętnie. - Jest matką Wercyngetoryksa.

Wercyngetoryks. Kalpurnia poczuła znowu igielki

wędrujące wzdłuż kręgosłupa.

- Dlaczego, na Jowisza, on walczy po stronie mego męża?
- zapytała cicho. - To jego wróg. Najzacieklejszy.

Adair spojrzała na żonę Cezara ze zdumieniem. Nigdy nie słyszała, by Galvan najmniejszym gestem lub słowem dał do zrozumienia, że jest wrogiem Cezara. Wprost przeciwnie - był jego wielbicielem i najgorliwszym dowódcą w jego armii. Jego wyczyny stały się sławne, zwłaszcza po bitwie nad Sambrą, po wojnie z Belgami, kiedy to odznaczył się niepospolitym męstwem.

Spuściła wzrok. Galvan był jej największą życiową porażką, bo pozwoliła sobie na luksus miłości do niego, podczas gdy on z zachwytem patrzył na jej przekłętą siostrę. Tego uczucia nie potrafiła w sobie zabić nawet teraz, kiedy wiedziała, że on nią gardzi jako zdrajczynią, chociaż jej zdaniem wcale nie był lepszy.

Kalpurnia spojrzała Galijce w oczy ponad stołem.

- Geillis, pani - podsunęła jej imię Adair. - Ponoć przypomina Cezarowi pierwszą żonę.

Kalpurnia odwróciła się w stronę męża, wiedziona jakimś dziwnym instynktem, i skonstatowała, że on na nią patrzy. Spoglądali na siebie wszyscy czworo: Cezar, Kalpurnia, Geillis i Wercyngetoryks. Nie padło ani jedno słowo, ale Kalpurnia poczuła, że wszystkich ich oplata ta sama nić, ta sama więź, której nie potrafiła wytłumaczyć.

W Luce Cezar, Pompejusz i Krassus dokonali nowego podziału władzy, w którym Cezarowi przypadło dalsze namiestnictwo nad Galią Zaalpejską, przedłużone na

kolejnych pięć lat, Pompejuszowi nieoficjalne rządy w Rzymie, Krassus zaś chciał udać się na wschód i pokonać Partów. Na razie jednak ci dwaj mieli zewrzeć siły i wspólnie piastować urząd konsulów w przyszłym roku. Cezar był zadowolony, bo taki układ gwarantował nienaruszalność poprzedniego paktu, który przypieczętowany był małżeństwem Pompejusza z Julią. Z drugiej jednak strony widział wyraźnie, że Pompejusz zaczyna powoli się od niego odwracać i kierować swą uwagę w stronę optymatów, do których *de facto* należał, ale Cezar liczył się z tym już od dawna i teraz dziękował bogom i Fortunie, że Pompejusz bez pamięci zakochał się w jego córce, bo to stanowiło najlepszą gwarancję dotrzymania paktu.

Tak czy inaczej Cezar Pompejuszowi nie ufał.

Niepokoiliła go również sytuacja w Rzymie i wcale mu się nie podobało obdarzenie Pompejusza pięcioletnim nadzwyczajnym pełnomocnictwem do czegokolwiek, bo znając dumę i pychę tego człowieka, Cezar skłonny był przypuszczać, że taka pozycja w stolicy tym bardziej pobudzi butę Pompejusza i jego nieustanną żądzę zaszczytów. Zadowolony był, że Cynceron wrócił z wygnania, do czego on sam się przyczynił, teraz bowiem sławny orator miał u niego dług wdzięczności, który należało spłacić. Cezar zdawał sobie sprawę, że nominacja Pompejusza wynikała między innymi z poczucia obowiązku Cyncerona, który wobec niego również musiał spłacić dług, jakim było odwołanie z wygnania. Cynceron wracał do Rzymu w triumfie, tak Cezarowi w łóżu opowiadała Kalpurnia, zupełnie jakby ten

sam Senat, który go dziewięć miesięcy wcześniej skazywał, teraz w wyniku totalnej amnezji witał go jak bohatera. Cynceron zaś, będący, jak by nie było, *homo novus*, bez nazwiska i rodu, udawał, że żadna zniewaga ze strony optymatów go nie dotknęła. Był taki sam jak oni – obłudny, wygodny i tchórzliwy.

Na razie jednak Cezar pochłonięty był problemami w Galii i nie miał zamiaru zbyt mocno angażować się w sprawy wewnętrzne Rzymu, ponieważ sytuacja tylko na pozór była opanowana, z czego świetnie zdawał sobie sprawę. Poskromienie Helwetów, Germanów i Belgów stanowiło jedynie kroplę w morzu, dochodziły go bowiem słuchy o niesubordynacji innych plemion, a ponadto Cezar zdołał już sobie uzmysłwić, że żadnym Galom nie wolno ufać, zbyt płynnie i beztrąsko przechodzili oni z jednego sojuszu w drugi.

Cieszył się również z obecności żony, nic sobie nie robiąc z faktu, że Kalpurnia przejrzała go i wiedziała, kim jest Geillis i co robi w jego zimowej kwaterze. No cóż, w Rzymie zmuszona była tolerować istnienie Serwili, co czyniła bez słowa skargi, tutaj zaś za rywalkę miała Galijkę, niemal dwukrotnie od niej starszą, która nie mogła jej dorównywać pod żadnym względem.

Oprócz jednego.

Cezar po niemal roku nadal zafascynowany był Geillis i wcale tego nie ukrywał. Chociaż odesłał ją do domu na czas letnich bitew, to jednak jesienią znowu po nią przysłał i całą zimę cieszył się jej obecnością. Nie przeszkadzało mu to słać

listów do żony ani nawet za nią tęsknić, jednak natłok spraw i problemów sprawiał, że postać Kalpurni, tak bliska w Rzymie, po drugiej stronie Alp stawała się niewyraźna. Wówczas Geillis była świetną pocieszycielką, zresztą on sam wcale tego nie krył.

Kalpurnia zabawiła w Luce całą wiosnę, aż do momentu, kiedy do Cezara nadeszły niepokojące wieści o atakach pojedynczych germańskich oddziałów na Eduów. Wówczas Cezar oznajmił, że zwija obóz i przenosi się na letnie kwatery, co zasmuciło zarówno jego żonę, jak i kochankę. Kalpurnia wielokrotnie widywała Geillis, która na czas jej pobytu u męża nie była przez Cezara wzywana. Obie kobiety wymieniały między sobą zdawkowe uprzejmości na tyle, na ile mogły, ale Kalpurnia nie żywiła do Geillis nienawiści, co najwyżej czuła litość, bo wiedziała, że nadejdzie czas, kiedy Cezar z różnych przyczyn ją odtrąci. Jakie wtedy będzie życie Galijki?

Gdy wiosna była w pełni, Kalpurnia wraz z licznym senatorskim orszakiem wróciła do Rzymu. Przez kilka tygodni żyła nadzieją, że Cezar wreszcie zdołał obdarzyć ją potomkiem, ale w początkach czerwca zrozumiała, że to tylko trudy podróży i zmiana klimatu sprawiły, że jej krwawienia nadeszły później. W głębi ducha podejrzewała, że nie da Cezarowi dziecka, była za to przekonana, że jego syn narodzi się tam, w Galii, że będzie w jakiś niewytłumaczalny sposób związany z tym młodym człowiekiem, Wercyngetoryksem. Nie umiała jednak tego wyjaśnić, a za każdym razem, gdy o tym myślała, ogarniał ją

zimny dreszcz, który ani trochę nie był przyjemny.

Całą jesień Kalpurnia spędziła na porządkowaniu spraw Cezara. Mąż słał jej listy, w których dawał instrukcje, jak powinna postąpić w tej czy tamtej kwestii. On sam, jak pisał, musiał uporać się z rozochocionymi plemionami Germanów, które były na tyle bezczelne, że za nic miały rozkaz Cezara, aby ich stopa nigdy więcej nie stanęła za Renem. Nie zwracała nawet zbytnio uwagi na sytuację w Rzymie, raz tylko ogarnęło ją przerażenie, kiedy dowiedziała się, iż Julia straciła dziecko. Było to późnym latem, kiedy w wyniku zamieszek na ulicach podczas wyborów Pompejusz wrócił do domu w skrwawionej toczce. Julia, myśląc, że to on sam odniósł groźne rany, wpadła w takie przerażenie, że doszło do akcji porodowej. Chłopiec był, rzecz jasna, martwy, bo też nie sposób zapewnić życia sześciomiesięcznemu płodowi.

Kiedy więc zimą oznajmiła, że spodziewa się dziecka, jej radości nie było końca. Kalpurnia spoglądała w oczy dwudziestosiedmioletki i usiłowała cieszyć się razem z nią, ale jakiś głos w jej duszy powtarzał jej uparcie, że to będzie ostatnie dziecko Julii.

- Tak się cieszę - powtarzała córka Cezara, która przyszła tego zimowego dnia z wizytą do swojej macochy. - To będzie cudowny prezent dla Gnejusza i dla ojca, kiedy wróci z Brytanii.

Kalpurnia uśmiechnęła się blado. Wszyscy wiedzieli o zeszłorocznej eskapadzie Cezara do Brytanii, która jakkolwiek niezwieńczona sukcesem, okazała się jednak przedsięwzięciem na niespotykaną skalę. Kalpurnia

wiedziała z listów męża, że ekspedycja nie była udana, wiatr bowiem zniszczył część rzymskiej floty, gdyż Cezar za późno się do tego zabrał i wyruszył do Brytanii w sierpniu, kiedy jesień stała już za pasem. Zrobił to w tym czasie, ponieważ wiosną i latem musiał uporać się z Germanami, Swebami i Menapiami, którzy nękali rzymskich sojuszników. Po raz pierwszy w historii zdarzyło się, że rzymskie wojska przekroczyły Ren i wdarły się na ziemie Germanów. Za ten sukces Senat przyznał Cezarowi czternaście dni świątecznych i owację. Miał zatem prawo do triumfu i mógł wrócić jako imperator.

Ale Cezarowi było mało, więc wykorzystując względnie spokojną sytuację w Galii, postanowił tego roku znowu wybrać się do Brytanii. W tym czasie Kalpurnia dowiedziała się, że Julia jest brzemienna. Na wieść o tym poczuła chłód, jednak nie potrafiła powiedzieć, skąd takie uczucie. Bała się, ale nie chciała o tym myśleć. Usiłowała cieszyć się szczęściem swojej starszej od siebie pasierbicy.

- Nie rozgłaszaj tego wszem i wobec - ostrzegła ją. - Nie wszyscy będą zachwyceni faktem, że nosisz pod sercem dziecko Pompejusza.

I wnuka Cezara - dodała w myślach. Tym zaś niektórzy będą jeszcze mniej zachwyceni.

Sama przed sobą nie chciała przyznać, że myśli o Atii, której syna przecież Cezar zobowiązał się adoptować. Kalpurnia wiedziała, że jej mąż raczej nie będzie usiłował adoptować syna Pompejusza, gdyby taki się narodził, ale potomek jego córki mógłby zostać spadkobiercą Cezara przy

pominięciu syna Atii. Kalpurnia wątpiła, by Cezar złamał dane siostrzenicy słowo, niemniej jednak wolała mieć pewność, że ze swej strony Atia nie uczyni żadnego głupstwa.

Kalpurnia uważała, że Julia dosyć się nacierpiła, trzykrotnie tracąc dziecko. Ona sama przeszła przez ten koszmar tylko raz i dziękowała bogom, że jak na razie oszczędzili jej dalszych nieprzyjemności. Doprawdy poronienie nie należało do przyjemnych spraw, ale Kalpurnia była młodsza od Julii i miała większe szanse na zajście w ciążę, podczas gdy możliwości jej pasierbicy z roku na rok malały.

Wiosną Cezar poinformował ją w liście, że zamierza raz jeszcze wyruszyć do Brytanii. Kiedy jego okręty sposobiły się do wyruszenia z Portus Itius, Julia była już w wysokiej ciąży i dosłownie pyszniła się zaokrąglonym brzuchem, a ilekroć Kalpurnia na nią spoglądała, doznawała tego nieprzyjemnego ukłucia gdzieś między żołądkiem a sercem. Wieści od Cezara przestały przychodzić w połowie czerwca, z czego Kalpurnia wywnioskowała, że dotarł on bezpiecznie do brzegów Brytanii, jednakże żadne sny jej nie nawiedzały ani też ona za nimi nie tęskniła. Cała jej uwaga skupiała się na nienarodzonym dziecku Julii i na radosnej, promiennej twarzy pasierbicy.

Bogowie nie lubią, kiedy człowiek jest szczęśliwy i obnosi się ze swoim szczęściem – myślała, przykładając rękę do wypukłego brzucha Julii któregoś lipcowego dnia. Wyraźnie czuła kopnięcia dziecka, jego ruchy i niemal widziała, jak

przewraca się z boku na bok. Napełniało ją to niezrozumiałym lękiem, ale sama przed sobą tłumila obawy. Kiedy patrzyła na szczęśliwą córkę Cezara, ogarniał ją smutek, którego również nie umiała wyjaśnić.

Gdy pewnej sierpniowej nocy przyśnił jej się Cezar, Kalpurnia zrozumiała. We śnie widziała swego męża siedzącego w namiocie i płaczącego nad listem, który dopiero co otrzymał. Wiedziała, że Cezar nie otrzymał żadnego listu. Julia miała wydać dziecko na świat dopiero za miesiąc, w połowie września, więc Cezar nie mógł otrzymać żadnej informacji. Tej nocy Kalpurnia już nie zasnęła, tylko leżała w półśnie, czuwając, aż tuż przed świtem przybiegła niewolnica, by ją obudzić.

- Pani - wydyszała. Kalpurnia pojęła, że jest to niewolnica Julii. - Moja pani przysłała mnie z prośbą, byś jej asystowała przy porodzie. Dziecko przychodzi na świat za wcześnie.

Tyle to i ja wiem - pomyślała Kalpurnia, wyskakując czym prędzej z łóżka.

Ubierała się w pośpiechu i nie miała nawet czasu się dobrze oporządzić, bo strach podchodził jej do gardła i kazał się spieszyć. Aby nie tracić więcej czasu, kazała czym prędzej gotować sobie lektykę i nieść ile sił w nogach do domu Pompejusza. Na szczęście tego lata Pompejusz został w swoim domu przy brzemiennej żonie i nie wyjechał z nią za miasto, jak to zwykli robić senatorowie celem uniknięcia letnich upałów w Rzymie, które były doprawdy nie do zniesienia. Ale Kalpurnia wiedziała, że w razie najgorszego

Pompejusz nie wysiedzi długo w mieście ani tym bardziej nie pozostanie długo wdowcem. To był mężczyzna, który potrzebował szybko nowej kobiety w miejsce poprzedniej.

W domu Pompejusza panował rozgardiasz typowy dla miejsca, w którym przychodzi na świat dziecko. Zdezorientowana służba wykonywała zupełnie zbędne czynności, pan domu nerwowo przechadzał się po atrium, wychodził z domu i wracał do niego, wydawał bezsensowne polecenia niewolnikom, pokrzykiwał na domowników i był kłębkim nerwów, chociaż w wieku pięćdziesięciu jeden lat powinien już dawno zachować spokój i przywyknąć do tego rodzaju sytuacji, ostatecznie miał dwóch dorosłych synów, a Julia nie tak dawno straciła dziecko w wyniku krwotoku. Być może tu leżała przyczyna takiego zachowania Pompejusza, który okazywał niespotykane u niego zdenerwowanie.

Kiedy Kalpurnia weszła do jego domu, przystąpił do niej natychmiast jak zdenerwowane dziecko.

- Kalpurnio! - zawołał. - Jakie szczęście, że przybyłaś. Ona się denerwuje, dziecko rodzi się za wcześnie, co prawda nie tak wcześnie jak poprzednie, ale mimo wszystko.

Żona Cezara spojrzała w oczy doświadczonemu mężowi stanu i pojęła, że Pompejusz boi się śmiertelnie.

- Jej matka również nie nadawała się do rodzenia dzieci - szepnął z rezygnacją w głosie. - Dała Cezarowi Julię i jednego martwego syna, po czym umarła na okropną kobiecą chorobę, pod koniec gniły jej kobiece narządy, a Cezar jeden był w stanie znieść ten smród i ohydę.

Kalpurnia położyła dłoń na ramieniu Pompejusza.

- Nie zmienisz woli bogów - powiedziała cicho niczym westalka. - Jeżeli taka ich wola, dostaniesz dzisiaj syna, jeżeli inna, będziesz musiał się z nią pogodzić. Gdzie ona jest?

Pompejusz zdumiony spoglądał na żonę Cezara, swoją, notabene, teściową, młodszą od niego o prawie trzydzieści lat. Gdyby Kalpurnia nie została żoną Cezara, zapewne poszłaby do westalek, bo miała w sobie ten mroczny płomień, ten nieuchwytny dar, była boskim naczyniem, jakkolwiek dla celów politycznych ojciec oddał ją kandydatowi na konsula, którym wówczas był Cezar. Od pięciu lat była jego małżonką i dobrze wywiązywała się z tej funkcji, ale Pompejusz był przekonany, że jej miejsce jest raczej w świątyni Westy, przy świętym ogniu, aniżeli w domu Cezara.

Delikatnie poprowadził Kalpurnię do cubiculum Julii, z którego dały się słyszeć jęki i nerwowe mamrotanie.

- To już druga doba - westchnął Pompejusz i chciał wejść za Kalpurnią, ale ona zatrzymała go w drzwiach.

- Nie - powiedziała cicho. - Zawołam cię.

Długo jeszcze potem nie mogła się otrząsnąć z widoku przygnębiętego wodza, który z opuszczonymi ramionami odchodził od drzwi sypialni swojej żony.

Julia na jej widok usiłowała się uśmiechnąć, ale ból ją paraliżował. Obok niej siedzieli domowy lekarz Pompejusza - rzecz jasna Grek i niewolnik - oraz położna, ale oboje mieli nietęgą miny. Kalpurnia kazała im przedstawić sytuację.

- Dziecko jest źle ułożone i za nic nie chce się przekreślić we właściwą stronę - wyznał lekarz. - Robimy, co możemy,

Apolonia próbowała je odwrócić, ale ono nie chce. Obawiam się, że jest do tego owinięte pępowiną i dlatego nie możemy go wydostać.

Kalpurnia wiedziała, w jaki sposób akuszerki przekreślały dziecko w łonie matki. Tutaj też ujrzała misę z łojem, którym Apolonia uprzednio nasmarowała rękę i zapewne parę razy wsuwała ją po łokieć w macicę Julii. Poślanie przesiąknięte było krwią z rozerwanego krocza, położnica musiała straszliwie cierpieć, ale źle ułożone dziecko nie miało sił napierać pośladkami na drogi rodne.

- Spróbuj jeszcze raz - zachęciła medyka. - Dajcie jej coś do picia, co wzmocni jej siły. Jak długo to trwa?

- Drugi dzień - padła ponura odpowiedź.

- Kalpurnio - odezwała się Julia. - Ja nie przeżyję tego porodu, wiem o tym.

Kalpurnia poczuła przygnębienie.

- Nie mów tak.

- Kalpurnio - powtórzyła Julia. - Idący na śmierć wiedzą to, czego żyjący nie mogą już zobaczyć. Powiedz Pompejuszowi, by nie odstępował mojego ojca. Jeśli to uczyni, rozpęta straszliwą wojnę. Powiedz mu to, jeśli ja nie zdołam.

- A dziecko? - wykrztusiła z siebie Kalpurnia. - Kto ma się nim zająć?

- Ja się nim zajmę - wyszeptała Julia spękanymi ustami.

Akuszerka dała Julii wywar z ziół, który ta łapczywie wypiała. Bóle na moment zelzały. Medyk starannie smarował sobie dłonie tłuszczem.

- Pamiętam, jak zmarła moja matka - wyszeptała znowu Julia. - Krzyczała głośno. Była późna noc, kiedy ojciec do niej poszedł. Zenon dał jej truciznę, tak strasznie się męczyła. Pamiętam, jak ojciec od niej wyszedł. Ty dałaś mu w końcu pocieszenie. Kto je da Pompejuszowi?

Kalpurnia pogładziła jej mokry od potu policzek.

Lekarz wsunął rękę, twarz Julii wykrzywiła się z bólu. Medyk długo grzebał w jej wnętrznościach, aż w końcu udało mu się wyciągnąć noworodka. Krew popłynęła z rozerwanego ciała Julii obfitym strumieniem. Kalpurnia wybiegła na korytarz, wołając głośno Pompejusza. Akuszerka zajmowała się kwilącym chłopcem, podczas gdy medyk nieudolnie starał się zahamować krwotok, chociaż jasne było, że nie zdoła zatrzymać potoku krwi. Julia bladła, ubywało jej sił, jednak kiedy wszedł Pompejusz, na którego twarzy odmalował się wyraz zgrozy, zdobyła się na uśmiech.

- Syn, Pompejuszu - wyszeptała zupełnie białymi ustami.
- Nasz syn.

Pompejusz runął na kolana przy jej łożu, starając się nie patrzeć na krwawą jatkę, która go przerażała, chociaż w swym żołnierskim życiu niejedyn raz widział znacznie gorsze pobojuwiska.

- Julio - szeptał. - Moja jedyna, nie opuszczaj mnie.

- Mój ojciec. - Głos Julii przypominał tchnienie wiatru. - Nie opuszczaj go teraz. On będzie ciebie potrzebował.

- Nie opuszczę - obiecał machinalnie Pompejusz, którego najmniej w tej chwili obchodził Cezar.

- Pompejuszu, przysięgnij na swoją głowę - zażądała

Julia. Jej oczy lśniły dziwnym mrocznym blaskiem.

- Przysięgam. Na moją głowę. Nie opuszczę twojego ojca w potrzebie.

Kalpurnia ujrzała głowę Pompejusza toczącą się po piasku, z oczami wciąż jeszcze pełnymi niedowierzania.

Opuścisz - przemknęło jej przez myśl.

- Niech tak będzie. - Julia odetchnęła z ulgą.

Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego twarzy. Pompejusz ujął ją i przytknął do ust, ale w tej chwili dłoń jego żony zwiotczała, a blask w jej czarnych oczach zgasł. Julia, jedyne dziecko Cezara, umarła w ramionach męża po tym, jak wydała na świat swego pierwородnego syna.

Cezar wrócił z wyprawy z tarczą i na tarczy. Z tarczą, ponieważ jako pierwszy Rzymianin zdołał dotrzeć do wyspy, pobić jej mieszkańców pod wodzą Kasywelaunusa, nałożyć trybut i odpłynąć z flotą w stanie nienaruszonym po tym, jak nadludzkim wysiłkiem zdołał ją naprawić po nieudanym lądowaniu na brytyjskim wybrzeżu. Na tarczy, ponieważ tego roku musiał ostatecznie rozprawić się z Dumnoryksem, który go po raz drugi zdradził, tym razem otwarcie, uciekając z obozu Cezara w tym samym dniu, gdy trzeba było wsiadać na okręty. Dla wodza był to cios nie tylko ze względu na urażoną dumę, ale również ze względu na wcześniej okazaną łaskę. Poza tym Dumnoryks swoim manewrem skutecznie osłabił siły Cezara płynące do Brytanii. Tego nie mógł darować Eduowi - postanowił odwlec wyprawę do momentu rozwiązania sprawy Dumnoryksa. Skończyło się na tym, że

dumny wojownik sam pozbawił się życia, nie chcąc dopuścić do pojmania żywcem i zaprowadzenia przed oblicze imperatora. Była to dla Cezara gorzka pigułka do przełknięcia.

Jednak ostatecznie udało mu się wyruszyć i pobić Brytów, chociaż jeśli chciał być sprawiedliwy, musiał przyznać, że było to niemal pyrrusowe zwycięstwo, jako że w dwóch wyprawach o mały włos uniknął klęski. Brytowie okazali się godnymi przeciwnikami, a gdyby nie fakt, że nadchodziła jesień i Cezar musiał czym prędzej wracać na kontynent, zapewne trudniej byłoby mu zachować twarz i godność.

Mimo to wysłał do Rzymu sprawozdanie, które wzbudziło niemałe zamieszanie i podsyciło wściekłość jego politycznych wrogów. Nawet Katon musiał przyznać, że inwazja na Brytanię – co więcej: dwukrotna inwazja w ciągu dwóch lat za ledwie – to nie lada wyczyn. Ostatecznie więc wrócił do Galii w dobrym nastroju i skierował wojsko na ziemie Eburonów, gdzie zamierzał przezimować. Zastanawiał się nad sprowadzeniem do siebie Geillis, którą wiosną tuż przed brytyjską wyprawą odesłał do Gergowii, ale ostatecznie los sprawił, że uczynił inaczej.

Stało się to najpierw za sprawą listu, który otrzymał zaraz po postawieniu obozu. Cezar zdumiał się na widok niewolnika Pompejusza, który osobiście pofatygował się tak daleko, ale do głowy by mu nie przyszło, jakie treści zawierać będzie ów list.

- Cóż to się stało, że Pompejusz pisze do mnie prywatnie

i wysłała swego niewolnika? - mamrotał do siebie, zrywając pieczęcie.

Niewolnik stał w milczeniu. Cezara ogarnęło złe przeczucie.

Gnejusz Pompejusz do Gajusza Juliusza Cezara, pozdrowienia. Jeśli ty jesteś zdrowy, to dobrze, ja jestem zdrowy - brzmiało formalne powitanie listu rzymskiego konsula do prokonsula. - Z ogromnym smutkiem donoszę ci, że moja żona, a twoja córka, Julia, zmarła pięć dni przed Idami, wydając na świat syna. Dziecko pomimo zapewnionej opieki zmarło trzy dni po matce. Pogrzeb odbył się z inicjatywy ludu rzymskiego, który spalił ciało mojej żony na Polu Marsowym. Przyjmij moje kondolencje i zapewnienie, że ta sytuacja nie zmienia porozumienia między nami. Żegnaj.

Cezar nie zauważył, że siedzi z listem opuszczonym na kolana. Łzy moczyły papirus, ale tego również nie widział. Znalazł się w łaźni swego domu i mocząc się w basenie, spod półprzymkniętych powiek spoglądał na małą dziewczynkę biegnącą ku niemu w podskokach. Widział ją wtedy po raz pierwszy po wieloletniej rozłące. Dziecko, żywe dziecko z krwi i kości, z jego nasienia, z jego rodu. Dziewczynka, która o nic nie pytała, tylko przyjęła go do swego serca i całkowicie nim zawładnęła, tak że gotów był jej nieba przychylić. Widział noworodka w ramionach Kornelii, płaczącego wniebogłosy, jakby w proteście, że musiał przyjść na ten zimny, paskudny świat. Widział swoją żonę, jak gładziła się po brzemiennym brzuchu, czuł zwawe kopnięcia dziecka, kiedy sam kładł na nim rękę. Pamiętał, że gdy się

urodziła, była tak maleńka, że mieściła się w jego jednej dłoni, a jej granatowe oczka, których kolor miał się dopiero zmienić na czarny, bezradnie szukały punktu zaczepienia. Pamiętał jej paluszki zaciskające się wokół jego palca. Jej niemowlęcy zapach, puch na główce, śmiech Kornelii, kiedy pieściła dziecko. Pamiętał Julię, jak siedziała z nim tamtego ranka, gdy umarła Kornelia. Poważną, smutną czternastolatkę, której obiecał, że nigdy jej nie opuści. Przerażoną pannę młodą w ognistym welonie. Szczęśliwą, spokojną żonę Pompejusza.

A teraz Julia umarła i jego przy tym nie było.

Żaden ból na świecie nie jest tak straszny jak ból po śmierci własnego dziecka. Każde inne cierpienie niesie za sobą mniejszy lub większy sens, ale nie to, kiedy dziecko umiera przed rodzicem, w jednej chwili pozbawiając go sensu życia. Cezar sądził, że jego cierpienie po stracie Kornelii będzie najgorszą próbą, ale kiedy siedział ogłuszony cierpieniem z listem na kolanach, zrozumiał, że tamto było niczym w porównaniu z tą wiadomością, z tym niewiarygodnym bólem, z rzeczywistością, w której nagle musiał się odnaleźć.

- Wyjdź - rozkazał niewolnikowi bardziej szorstko, niż zamierzał.

Nikt nie miał prawa widzieć łez Cezara. Miał ochotę wyć, krzyczeć i zniszczyć wszystko, co mu się nasunęło pod rękę. Coś dławilo go w piersi, dusiło, nie pozwalało oddychać, a w miarę jak docierała do niego straszliwa prawda, ból stawał się coraz silniejszy i bardziej realny. Zakrył twarz

rękami i wybuchnął niepohamowanym płaczem, co mu się nie zdarzyło od śmierci żony. Myśli kłębiły mu się w głowie, jedna zaś kołatała niespokojnie i tłukła się jak ryba wyrzucona na brzeg. *Jak teraz będę żył? Jak mam dalej żyć, skoro moje dziecko umarło?* Nie potrafił znaleźć na to odpowiedzi.

Cezar siedział sam w namiocie aż do wieczora. Nikt nie ośmielił się go niepokoić, wieści bowiem rozniosły się już po obozie i wszyscy żołnierze wiedzieli, co się stało. O zmierzchu, który we wrześniu zapadał już wcześniej, Cezar wyszedł z namiotu i zwoławszy apel, oznajmił, że legiony mają się gotować do wymarszu jutro z rana. Należało czym prędzej zorganizować zebranie plemion i zorientować się w sytuacji, ponieważ egzekucja Dumnoryksa, jakkolwiek ją nazwać, z pewnością zdążyła podsycić antyrzymskie nastroje wśród Galów. Cezar liczył się z możliwością buntu, zresztą nie byłoby to dla niego niczym nowym.

Ani słowem nie wspomniał o swojej osobistej tragedii i nigdy z nikim o tym nie rozmawiał. Swoje zdanie na ten temat legioniści również zachowali dla siebie.

Sytuacja w Galii okazała się do tego stopnia niekorzystna, że Cezar z różnych względów zdecydował się nie jechać tej zimy do Galii Przedalpejskiej. Nauczył się już, że Galom nie należy ufać, tym razem zaś przeczucie podpowiadało mu kłopoty. Zbiory tego roku nie były obfite i choćby z tego względu Cezar wietrzył problemy. Jesień co prawda minęła dość spokojnie, chociaż zdaniem Cezara napięcie wisiało

w powietrzu. Zimą wydarzyło się coś, co ostatecznie odwróciło losy wojny.

W kraju Eburonów stacjonowało piętnaście kohort pod wodzą dwóch legatów Cezara - Kotty i Sabinusa. Gdy naczelny wódz znajdował się w drugim obozie w mieście Samarobrywii, wodzowie Eburonów, Ambioryks i Katuwołk, dostrzegli swoją szansę. Armia rzymska po raz pierwszy była rozproszona i rozdzielona na kilka obozów, co sprzyjało znakomicie sytuacji. Cezar o klęsce dowiedział się znacznie później - gdy jego piętnaście kohort praktycznie przestało istnieć, a obaj legaci polegli w nieoczekiwanym ataku, jakiego dopuścili się Eburonowie, którzy tej jesieni przysłali Cezarowi zakładników i dostarczyli zboża. Co prawda Sabinus dał się wywieść w pole, kiedy to Ambioryks oznajmił mu, iż w całej Galii zawiązał się spisek przeciwko Rzymianom i że on, wódz Eburonów, pozwoli wojsku rzymskiemu opuścić obóz bez szwanku i dojść do Cezara. Kiedy tylko Rzymianie to uczynili, Galowie zaatakowali i wyrznęli niemal wszystkich w pień. Do obozu Labienusa dotarła ledwie garstka niedobitków, podczas gdy Nerwiowie, rozochoceni zwycięstwem swych pobratymców, ruszyli na drugi obóz Rzymian, którym dowodził Kwintus Cynceron.

Trudno nazwać brata Cyncerona urodzonym żołnierzem, już prędzej można było o nim mówić, że jest miernym wierszokletą i swym talentem nie dorównuje słynnemu bratu, jednak kiedy Nerwiowie nieoczekiwanie zaatakowali obóz i przystąpili do oblężenia w samym środku zimy, Kwintus Cynceron przestał pisać tragedie i zabrał się do heroicznej

obrony obozu. Po tygodniu oblężenia jednemu z galijskich niewolników udało się przedostać przez linię wroga i dotrzeć do Cezara, a gdy ten otrzymał dodatkowo informację od Labienusa, że sytuacja jest bardzo zła, czym prędzej ruszył z odsieczą.

Pech chciał, że przebywający w Samarobrywii Cezar dysponował tylko jednym legionem. Dlatego też wysłał czym prędzej rozkaz do kwestora, Marka Krassusa, który obozował w odległości niecałych trzydziestu siedmiu kilometrów, a następnie, zostawiwszy obóz pod jego opieką, Cezar wyruszył ze swym nielicznym wojskiem na odsiecz Cycleronowi, pomstując po drodze, że tak długo nie będzie się golił ani strzygł, aż pomści śmierć swoich legatów i zemści się na Eburonach i Nerwiach.

- Cholerny Sabinus - mamrotał pod nosem, jadąc konno.
- Jak można było dać się tak podpuścić!

Tak naprawdę zrzucał winę na nieżyjącego legata, ale wiedział, że to on odpowiadał za zaistniałą sytuację, bo nie powinien był rozdzielać armii. Teraz jednak było za późno na wszelkiego rodzaju gesty rozpaczy, trzeba było działać, i to szybko, toteż Cezar narzucił armii niesłychanie prędkie tempo, pokonując dziennie po trzydzieści pięć kilometrów, co w środku zimy na nieprzyjaznym terenie stanowiło nie lada wyczyn. Ani słowem nie skarżył się na swędzenie głowy i brody, kiedy pojawił się zarost. Dla legionistów widok zarośniętego prokonsula był doprawdy dziwny i niecodzienny, ale Cezar z uporem maniaka i z typową dla siebie konsekwencją unikał brzytwy. W niedługim czasie

znalazł się w pobliżu oblężonego obozu i mógł nawet wysłać wiadomość, że nadchodzi. Posłaniec, nie mogąc dostać się do obozu, cisnął włócznię z wiadomością od Cezara napisaną greckim alfabetem. Nadchodzące wojsko rzymskie paliło i grabiło wszystkie napotkane po drodze wsie i pola. Cezar uznał, że nadszedł czas na koniec jego łagodności, a niesubordynacja plemion i otwarty bunt obudziły jego gniew.

Ponieważ nie mógł sobie pozwolić na walną bitwę, jako że dysponował znacznie słabszymi siłami niż przeciwnik, Cezar zdecydował się złapać Nerwiów w zasadzkę, wznosząc dużo mniejszy obóz, niż wymagała tego potrzeba, a resztę wojska rozstawiając w lesie między drzewami i krzakami. Obie armie przez cały dzień obserwowały się nawzajem, pełne nieufności, ale Cezar był zdeterminowany sprowokować Nerwiów do walki. Jego wściekłość tym razem nie miała sobie równych, a podsycało ją nieustanne swędzenie głowy - symptom, że pomimo zachowywania higieny i pomimo zimy wszy zaczynały dawać o sobie znać. Cezar nienawidził robactwa, zwłaszcza na swoim ciele, więc czym prędzej chciał rozegrać to starcie, wiedział bowiem, że wciągając armię wroga w pułapkę, ma olbrzymie szanse na wygranie tej wojny. Aby tym bardziej sprowokować Nerwiów, kazał wznieść wały wyższe niż normalnie i zablokować wszystkie cztery bramy obozu umocnieniami z darni, dając wrogowi do zrozumienia, że Rzymianie się go obawiają.

Nerwiowie ostatecznie połknęli przynętę i ku

zadowoleniu Cezara zaczęli przeprować się przez rzekę, za którą znajdował się obóz rzymski. Zbliźali się coraz bardziej, wabieni pozorami paniki, jakie zachowywali Rzymianie. Kiedy tylko jednak udało im się rozwalić umocnienia z darni, legionięci przystępiłi do ataku na niespodziewających się tego Galów. Nerwiowie, jak to przewiźiał Cezar, wpadli w taki popłoch, że nie bacząc na nic, rzucili się do ucieczki i porzucili po drodze broń, ścigani przez piechotę i jazdę rzymską, którą jednak Cezar niebawem odwołał w obawie, że ponieśie ona zbyt wielkie straty. Przypomniał sobie słowa Ariowista wypowiedziane w jego własnym triclinum, że Galowie są skorzy do bitwy, ale też szybko się łamią w walce, kiedy wiźdzą, że mogą w niej przegrać. Kiedy więc wróg zmykał gdzie pieprz rośnie, Cezar mógł ruszyć na odsiecz uwięzionemu w obozie garnizonowi Cyncerona.

Jego oczom ukazał się doprawdy żaloszny wiwok. Tylko co dzieśięty legionista nie odniósł żadnej rany, ale nawet ci ranni stali pod bronią. Coś jakby wzruszenie chwyciło Cezara za gardło na ten wiwok heroizmu. Chociaż wcześniej nie żywił zbyt wielkiego szacunku dla Kwintusa Cyncerona, teraz głośno go pochwalił w obecności całego wojska i obiecał odznaczyć przy najbliższej okazji.

Tej zimy Cezar nie pozwolił sobie na urlop i umysłową pracę po drugiej stronie Alp. Miał co innego do załatwienia na miejscu. Musiał ukarać plemiona. Galowie mieli po raz pierwszy ujrzeć gniew Cezara w pełnej krasie i doznać tego, co Rzymianie nazywali słowem „vastatio”.

Zagłady.

IV

Galvan widział już niejedno w ciągu niemal czterech lat służby w armii Cezara, jednak ukaranie niesubordynowanych plemion i jednego z ich przywódców, w którym Cezar znalazł kozła ofiarnego – zresztą, co było najgorsze, całkiem słuszenie – wstrząsnęło nim do głębi. Przez całą zimę i wiosnę trwała „rozprawa” Cezara z plemionami, takiego spustoszenia, jakie siały legiony, Galvan jeszcze nie widział. Arwernowie byli rolnikami, dla nich ziemia i uprawy stanowiły najważniejsze bogactwo, toteż Galvanowi serce się krajało na widok puszczanych z dymem wsi, pól, sadów i pastwisk. Cezar nie miał litości, kolejno ukarał wszystkie nieposłuszne plemiona: Nerwiów, Senonów, Karnutów i Trewerów, za tymi ostatnimi wszakże wstawili się sojusznicy Rzymu, Eduowie, dlatego też Cezar w ich przypadku ograniczył się do wzięcia zakładników. Bolał jednak nad tym, że nie udało mu się schwytać Ambioryksa.

Kiedy uznał, że jego legaci zostali pomszczeni, ostrzygł się i ogolił, ale złość nie przeszła mu tak od razu. Dlatego

podpuścił inne plemiona, by dokonywały grabieży i rabunków na ziemiach Eburonów – plemienia, które jako pierwsze zbuntowało się przeciwko Rzymianom i dokonało rzezi w rzymskim obozie. Gdziekolwiek się pojawili legionieści, nieśli ze sobą zniszczenie, jednak Cezar starał się nie dopuścić do rzezi ludności, jakkolwiek raz rozpoczętą zagładę trudno było okiełznać.

Galvan patrzył na to i czuł się coraz gorzej. Czym innym było poskramianie wrogów, a czym innym pacyfikowanie wiosek, tym bardziej że gdzieś w głębi serca zgadzał się z Ambioryksem i z Inducjomarusem, którzy na własnej skórze odczuwali ciężar rzymskiego buta. On sam, jako Wercyngetoryks, naczelnik plemienia Arwernów, nie doznał ze strony Rzymian najmniejszej szkody, pozostał neutralny, ba, nawet okazał przyjaźń Cezarowi, a także pozwolił, by ten przez dwa lata romansował z jego matką. Kres tej miłości nadszedł wówczas, gdy Cezar wyruszał do Brytanii. I Galvan odetchnął wtedy z ulgą, bo doprawdy nie mógł znieść już tych amorów Geillis i Cezara.

Pierwszym wydarzeniem, które wstrząsnęło Galvanem, było zabicie Dumnoryksa. Nie dlatego, że Cezar odpłacił mu za zdradę, miał bowiem do tego pełne prawo, ale przez fakt, że Dumnoryks wybrał śmierć zamiast oddania się w ręce Rzymian, a poza tym zaszokowała go władza, którą jako rzymski poddany *de facto* sprawował nad swoją konnicą. Jeźdźcy będący na usługach Rzymu słuchali Edua, nie zaś Rzymianina, i ta zależność uderzyła Galvana niczym zaciśnięta pięść. Znaczyło to, że on sam jako dowódca

arwernijskiej konnicy może w każdej chwili odstąpić od Cezara, a jego jeźdźcy pójdą za nim.

To mu dało do myślenia. Zaczynał rozumieć, że władza Cezara nad Celtami jest jedynie pozorna. Że tak naprawdę w społeczeństwie stopniowo narasta bunt i ferment. Powoli, bardzo powoli zaczynał pojmować rozumowanie Scatah. „Twój czas nadejdzie” – powtarzała mu. I teraz, kiedy Cezar pacyfikował centralną część Celtyki, Galvan pojął, że czas ten właśnie zaczyna się wypełniać. Jego dni w armii Cezara były wyraźnie policzone, chociaż on sam nie chciał tego jeszcze przyjąć do wiadomości.

Pod koniec sezonu walk, kiedy lato zaczęło chylić się ku końcowi, Cezar znalazł winnego zamieszek, jakie stały się udziałem celtyckich plemion. Po przeprowadzeniu szeregu przesłuchań i dochodzeń udało mu się ustalić, że jednym z głównych prowodyrów galijskich buntów był niejaki Akkon, arystokrata z plemienia Senonów, który skutecznie podburzał w swoim czasie Eburonów i Trewerów, a także współplemieńców. Kiedy wyszło to na jaw, żołnierze zażądali jego głowy i po raz pierwszy ich życzeniu stało się zadość. Galvan na własne uszy słyszał, jak Cezar, przemawiając w randze prokonsula i namiestnika Galii Zaalpejskiej, skazuje Akkona na śmierć wedle starego rzymskiego obrządku.

Galvan był już świadkiem egzekucji dokonywanych przez Rzymian, jednak były one z reguły szybkie i sprawne. Jedno cięcie mieczem i po wszystkim. Tym razem jednak Cezar zarządził popisową egzekucję, aby uzmysłwić swoim

potencjalnym przeciwnikom, że nie ma z nim żartów i że to on sprawuje władzę nad plemionami, nie inaczej. Przez głowę przebiegła Galvanowi myśl, że oto Rzymianie zaczynają zrzucać owczą skórę, by pokazać, że tak naprawdę są wilkami i nigdy nie było inaczej. Gdy patrzył na Akkona, którego kaci smagali różgami do utraty przytomności, zrozumiał, że Cezar, wkroczywszy raz do Celtyki, nie zamierzał z niej odchodzić, dopóki nie podporządkuje sobie wszystkich plemion.

Biczowany różgami arystokrata najpierw krzyczał, potem wył, później jednak, kiedy z jego pleców została krwawa miazga, jęczał już tylko niewyraźnie. Ból i szok sprawiły, że raz po raz tracił przytomność, a kiedy go wreszcie odwiązano od słupa, aby odciąć mu głowę, nie zdawał sobie zapewne nawet z tego sprawy. Wystarczył jeden precyzyjny ruch miecza Labienusa i głowa Akkona potoczyła się po placu. Galvan uniósł wzrok i napotkał twarde spojrzenie Jorga, który zaciskał zęby, stojąc obok Adair. Wiedziony jakimś dziwnym instynktem, którego nie umiał wyjaśnić, kiwnął mu głową i ku swemu zdumieniu stwierdził, że Jorg odwzajemnił gest. Mąż i kochanek Lorelei patrzyli na siebie w milczącym porozumieniu.

Gdy egzekucja się zakończyła, Galvan wrócił do swoich obowiązków, ale miał w głowie mętlik.

- Niebawem on odjedzie na południe - usłyszał głos tuż nad swoją pochyloną głową.

Uniósł wzrok. Obok stał nie kto inny jak Jorg, trzymający za uzdę konia Adair. Germanin posługiwał się językiem

galijskim z twardym akcentem, ale mówił poprawnie, z czego Galvan wywnioskował, że Adair najwidoczniej z nudów postanowiła nauczyć go obcej mowy.

- Nie wiedziałem, że możesz ze mną rozmawiać. Sądziłem, że jesteś jej własnością.

- Jestem własnością Labienusa - odparł Jorg. - Ale przede wszystkim jestem panem samego siebie i rozmawiam, z kim zechcę.

Galvan się roześmiał.

- Wszyscy żyjemy na smyczy Cezara. Ty, ja, Adair, Labienus, wszyscy.

- Być może. Ale już niedługo - syknął Germanin.

- Co masz na myśli? - zainteresował się Galvan.

- Ta mała suka sądzi, że nie jestem w stanie zrozumieć tej ich przeklętej łaciny, ale grubo się myli - odparł Jorg z zadowoleniem. - Mam za zadanie pilnować jej bezpieczeństwa, więc tkwię przy tej dziwce Labienusa niemal dzień i noc. Słyszałem, jak Cezar mówił, że sytuacja w Rzymie jest kiepska, jakiś jego przyjaciel zginął w Partii i on musi czym prędzej jechać za Alpy, by stamtąd, jak to stwierdził, pociągnąć za odpowiednie sznurki. Chyba mu się grunt pali pod nogami.

Galvan patrzył w oczy rośtemu germańskiemu wojownikowi. Jorg był od niego zapewne starszy o co najmniej pięć lat, a on sam miał w przyszłym roku skończyć trzydzieści lat, nie był już naiwnym chłopcem ani też nieopierzonym młodzieńcem. Doskonale wiedział, co Jorg chce mu przekazać.

- Sądysz, że długo go nie będzie? - podchwycił.

- Sądzę, że będzie tam za Alpami bardzo zajęty - odparł Jorg. - Bierze ze sobą cały sztab generalny, nawet Adair jedzie z nim do Galii Przedalpejskiej, prawdopodobnie zechce ją wysłać do Rzymu na zwiady, bo sam nie może przekroczyć granicy swojej Prowincji.

Galvan w zamyśleniu pokiwał głową.

- A ty?

- Ja też pojedę. I nie sądzą, bym miał wrócić do Germanii - odrzekł Jorg.

Galvan nie pytał. Nie musiał.

- Taka szansa nie pojawi się szybko - dodał Germanin, odchodząc. - Zastanów się nad tym.

Galvan został sam ze swymi myślami. Czuł jednak, że słowa Jorga stanowiły pierwszy punkt zwrotny w jego życiu.

Taka okazja już się nie powtórzy - myślał Galvan dwa tygodnie później, kiedy na czele swej konnicy jechał na południe, do Gergowii. Gdy tylko Cezar ze swoimi legatami udał się do Galii Przedalpejskiej, Galvan zebrał swoich ludzi i pod osłoną nocy opuścił rzymski obóz. Sam nie wiedział, czy postępuje dobrze, ale kiedy podjął decyzję, poczuł niezrozumiały wewnętrzny spokój. Mknął niczym wiatr przez trakty wiodące go do domu, w którym nie był wiele lat. Ostatni raz widział Gwynn, kiedy jechał wraz z Cezarem na wyprawę do Brytanii i gdy prokonsul dał mu kilka dni urlopu, aby mógł odstawić matkę do Gergowii. Od tamtej pory nie widziano go w Gergowii i prawdę mówiąc, Galvan obawiał

się, co napotka po swoim przyjeździe.

Wolał nawet o tym nie myśleć.

Dotarł do miasta trzeciego dnia po opuszczeniu obozu. Miał nadzieję, że w tym czasie Cezar zdołał już spokojnie dotrzeć do Alp, jeśli nie dalej, znając jego tempo marszu, toteż był spokojny, bo nie sądził, że prokonsul w środku jesieni zdecyduje się zawracać z powodu niesubordynacji jednego dowódcy. Wszak miał ich wielu, ale też wielu potajemnie knuło przeciw niemu spiski. Galvan, będąc w jego armii, zdołał usłyszeć to i owo, a teraz, po powrocie do domu, miał się przekonać, jakie naprawdę panują nastroje wśród Arwernów.

Tego również się obawiał. Aż za dobrze pamiętał ostatnie wystąpienie Gobannicjona przeciwko niemu i nie potrafił zrozumieć, co nagle opętało jego wuja, że zdecydował się na taki krok. Czyżby dobrze mu się handlowało z Rzymem? Ostatecznie mógł to robić nadal, Rzymianie nie narzucili wszakże embarga na celtyckie produkty, pomimo obecności Cezara w Celtyce handel bynajmniej nie ucierpiał. Galvan obawiał się, że pod jego nieobecność Gobannicjon przeciągnął więcej ludzi na swoją stronę. Przeciwko niemu.

Gdy ujrzał dobrze sobie znane miejsca, wzruszenie ścisnęło go za gardło, naraz poczuł palącą tęsknotę za Gwynn. Nie widział jej dwa lata i przez cały ten czas starał się o niej nie myśleć. Trudno od niego wymagać, by żył jak pustelnik, zresztą nie miał najmniejszego zamiaru i w obozie rzymskim niejednokrotnie korzystał z usług markietanek, co mu wychodziło na dobre po całym dniu walk, ale kiedy już

z taką skończył, odsyłał ją ze swojego namiotu i nigdy nie dzielił nocy z obozową dziwką. Im bliżej teraz był domu, tym mocniej tęsknił za Gwynn, tym bardziej pragnął ją ujrzeć. Cezar wraz z jego sprawami mógł poczekać, Galvan pragnął zobaczyć żonę.

Wjechał na dziedziniec swego domu niezapowiedziany. Nie wysłał posłańca z informacją, że się pojawi, chciał zaskoczyć domowników, a poza tym, prawdę mówiąc, nie miał głowy do tego rodzaju drobnostek w obliczu spotkania z rodziną po tak długiej rozłące. Spodziewał się, że ujrzy Gwynn przy krosnach albo krzątającą się po obejściu, a matkę – tkającą nowy płaszcz na jesień. Z półuśmiechem zsiadł z konia i oddał go niewolnikowi, który już biegł do swego pana, cokolwiek zdumiony jego niezapowiedzianym pojawieniem się w domu.

Dopiero gdy wszedł do sieni swego domu, ogarnęło go zwątpienie. Gwynn żyła sama niemal cztery lata, podczas których był z nią najwyżej siedem nocy. Nikt nie mógł wymagać, by młoda kobieta spędzała samotne noce, podczas gdy jej mąż przebywa gdzieś daleko i miewa inne kobiety. Nie zdziwiłby się, gdyby ona również wyniosła się z innym mężczyzną, zostawiając mu jedynie informację o zerwaniu małżeństwa. Dotarło do niego, że w ciągu tych lat niewiele troszczył się o swoją żonę, pochłonięty sojuszami i własnymi ambicjami. Gdy ujrzał Gwynn siedzącą przy krosnach, tak jak się spodziewał, poczuł, że kolana mu miękną, a do oczu napływają łzy. Patrzył na nią i wręcz napawał się jej widokiem. Jak żywe pojawiły się w jego pamięci ich

wszystkie wspólne chwile, poranki, kiedy w tajemnicy przed całym światem zażywali rozkoszy, wieczory, kiedy siedzieli razem w blasku ognia, wspólne wieczery, konne przejażdżki, Gwynn z dziećmi w ramionach, Gwynn reperująca mu ubranie, niepozwalająca, by którakolwiek niewolnica tknęła je choćby małym palcem, Gwynn robiąca mu sceny zazdrości przed przybyciem Lorelei, Gwynn, Gwynn wypełniająca jego życie po brzegi.

Musiła go wyczuć, bo uniosła głowę znad roboty i przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, jakby nie mogła pojąć, czy widzi żywego człowieka, czy to tylko sen na jawie.

- Galvanie - odezwała się. - Czy to naprawdę ty?

Kiwnął głową w milczeniu, bo nie ufał własnemu głosowi.

Zerwała się z miejsca jak młoda dziewczyna, niepomna, że jest panią domu, matką i żoną. Zanim zdołał się zorientować, podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję, a on objął ją i przygarnął do siebie. Jej serce biło mocno tuż przy jego piersi, poczuł, jak spokój rozlewa się po jego duszy niczym rzeka.

- Wróciłeś - szeptała. - Nie było cię tak długo.

Obejmował ją w milczeniu. Spokój zniknął. Galvan wiedział, że wrócił, ale tylko na chwilę, zaraz będzie musiał jechać dalej - dokąd, tego jeszcze nie wiedział.

- Gwynn, już dobrze - szeptał w jej włosy. - Nie płacz.

Śmiała się do niego przez łzy, ale wiedział, że płacze z radości. Miał ochotę zdjąć z niej suknię i posiąść w sieni, jednak to mogło poczekać, były ważniejsze sprawy, a on przede wszystkim pełnił funkcję namiestnika.

- Gdzie moja matka? - zapytał niespokojnie.

- Zapewne załatwia swoje sprawy - odparła Gwynn niechętnie. - Dużo by mówić, Galvanie. Nie było cię przez cztery lata i władzę w twoim imieniu sprawuje Gobannicjon.

Tak myślałem.

- A moja matka co ma z tym wspólnego? - zapytał ponuro.

Cały jego dobry nastrój przysł jak bańka mydlana. Zrozumiał, że zbyt długo zamarudził u Cezara, trzeba było wracać, kiedy prokonsul jechał do Brytanii. Teraz jednak było za późno na akty rozpacz, należało brać sprawy w swoje ręce, i to szybko.

- Twoja matka poróżniła się z twoim wujem o twoją sprawę - wyjaśniła Gwynn. - Dotarły do nas wieści, co się stało z Akkonem. Przyjechał twój brat, Celtillognatos. Jako najwyższy kapłan chciał namawiać ludzi do wojny z Rzymianami, ale Gobannicjon go przepędził. Przekupił niemal całą starszyznę.

- Czy Celtillognatos powiedział, dokąd jedzie?

- Nie musiał. Wszyscy wiedzą, gdzie przebywa. W kraju Karnutów, gdzie zjeżdżają się naczelnicy innych plemion. Wszystko po cichu, bez rozgłosu.

Galvan wyswobodził się z objęć Gwynn i usiadł na poczesnym miejscu, które mu się należało prawem naczelnika. Nigdy nie czuł się dobrze w tej roli, jakkolwiek pomścił zabójców ojca i sięgnął po najwyższą władzę w swym plemieniu. Myślał o swoim wuju, który go popierał w każdym działaniu, teraz nagle zaś odsunął się od niego.

Ale czy w każdym? To Gobannicjon podsuwał mu projekt sojuszu z Ariowistem, niewątpliwie korzystny na krótką metę, kiedy jednak stał się niewygodny, wuj podpowiedział mu, by rozwiódł się z Lorelei i odesłał ją do ojca. To Gobannicjon zaproponował mu udanie się do armii Cezara, to on poddał Geillis plan wskoczenia Cezarowi do łóżka pod pozorem szpiegowania go. Na rękę było mu rzymskie panowanie i wcale nie zamierzał przyłączyć się do antyrzymskiego buntu czy cokolwiek tam przygotowywali inni wodzowie plemienni.

- Muszę się z nim spotkać - zdecydował.

- A nie możesz poczekać z tym do jutra? - przeraziła się Gwynn. - Ta rozmowa może odbyć się na spokojnie. Nie musisz iść od razu do Gobannicjona.

- Gwynn, wiesz, że im szybciej to zrobię, tym prędyżej zorientuję się w sytuacji.

- Czasami pośpiech nie jest wskazany, mój mężu. Wstrzymaj się i poczekaj. Walczyłeś u Cezara cztery lata, możesz poczekać trzy dni. Co cię nagle odmieniło?

- Zrozumienie, Gwynn - powiedział Galvan gorzko. - Napatrzyłem się dosyć. I pojąłem, że Cezar wcale nie przyjechał tutaj jako wybawiciel Celtów od Germanów, Helwetów i Belgów. On chce narzucić nam swoje panowanie, chce, byśmy my, wolni ludzie, uznali wyższość Rzymu. Scatah miała rację, Gwynn. Rzymianie to wilki, które chcą nas ujarzmić i poskromić. Zrozumiałem to, patrząc na śmierć Akkona. Bo skoro Cezar jednego z naczelników mógł pozbawić życia na podstawie donosów i niejasnych

przesłanek, to co zrobi z każdym innym?

Gwynn nie odpowiedziała, bo wiedziała, że Galvan w tym akurat ma rację.

- Dobrze, Gwynn. Nie udam się dzisiaj na rozmowę do Gobannicjona i nie zwołam wiecu. Wyślę wiadomość do Celtillognatosa i do Brennusa, żeby się u mnie stawili.

- Gobannicjon wygnał Celtillognatosa - przypomniała mu Gwynn.

- Wygnał druida - stwierdził Galvan. - Ale nie ma prawa wygnać mojego brata, którego wiążą ze mną więzy krwi i gościnności. Niech tylko spróbuje.

- To znaczy, że zostaniesz w domu przez jakiś czas? - ucieszyła się.

Galvan uśmiechnął się w odpowiedzi.

Uatah miała wiele obowiązków, a jednym z nich było ofiarowanie się bogom w noc przesilenia jesiennego i wiosennego. Nie było to niczym niezwykłym, aczkolwiek dziękowała bogom, że Maerin wycofał się już z obrządków i zastąpił go Celtillognatos, przyrodni brat zarówno jej samej, jak i Galvana, który urodą nie grzeszył, jednak był młody i silny, a co ważniejsze, sprawny fizycznie w stopniu dużo większym niż leciwy już Maerin. Być może stary druid był dobrym partnerem dla jej matki, ale Uatah, kładąc się z nim pod rozgwieżdżonym niebem, nie odczuwała nic poza poczuciem obowiązku.

Chociaż obchodzone były cztery wielkie święta: Beltaine wiosną, Lughnasadh w środku lata, Samhain jesienią

i Imbolc zimą, i chociaż lato wedle wierzeń kończyło się nie inaczej jak świętem Samhain, to jednak dwie równonocę też były istotne, wówczas bowiem o odpowiedniej porze można było stać się naczyniem pełnym boskiej mocy, o czym wiedzieli zarówno druidzi, jak i kapłanki. Dwie noce w roku, kiedy dzień i noc trwały tyle samo czasu, kiedy poziom mocy był wyrównany, kiedy można było ujrzeć nadchodzącą przyszłość i czytać przeszłość z gwiazd. Uatah jechała na swym kasztanowym koniu do nemetonu Celtillognatosa w kraju Karnutów, w samym środku Celtyki, aby dokonać jesiennego rytuału poświęcenia bogu, otworzyć swój umysł i ciało na moc bogów.

Minęło półtora roku, odkąd odstawiła od piersi swego syna, Bryana, którego prawdopodobnie miała już nie ujrzeć. Spodziewała się, że pewnego dnia go zobaczy w białych szatach druidów, jednak na razie oddany został na wychowanie do jednej z rodzin w krainie Karnutów, gdzie miał być chowany do siódmego roku życia, a potem jako dziecko bogów iść na nauki do druidów. Taki był los wszystkich kapłańskich synów.

Uatah nie płakała po tym dziecku. Znacznie bliższa była jej Aife, zrodzona z miłości, upragniona i wyczekiwana jako następczyni Scatah i jej samej. Aife, córka Wercyngetoryksa, podczas gdy Bryan był dzieckiem anonimowego druida, którego imienia nie poznała, bo i po co. Spędzili ze sobą czas konieczny do spłodzenia potomka, którego wydała na świat zimą, a potem nie widziała go już więcej. Nie zdziwiłaby się, gdyby jej wiosenny kochanek został jesienią poświęcony

bogom jako jednoroczny król – byk, który zległ z królową, matką. Nie obchodziło jej to. Ona przelewała krew w porodzie, rytuale życia, ojciec jej dziecka mógł przelać krew w rytuale śmierci. Takie były losy kapłanów, a odkąd musiała wyrzec się Galvana, serce Uatah pozostawało zimne i nieczułe.

Rzecz jasna miło było cieszyć się słodyczą macierzyństwa, zajmować wyłącznie dzieckiem, do czego ostatecznie miała prawo, ale malec rósł i dla Uatah jasne się stało, że należy wracać do swoich obowiązków. Przede wszystkim musiała udać się na Sein, by dokonać oczyszczenia, a potem skupiła się na swoich zadaniach w dolinie, gdzie rokrocznie przybywali nowi chłopcy, których należało wyszkolić. Dla Uatah powoli stawało się to rutyną, aż w trzydziestej wiosnie życia zrozumiała to, czego nie pojmowała jako młoda dziewczyna – że dla Scatah szkolenie i wtajemniczanie młodych mężczyzn także nie było niczym innym. Ze smutnym uśmiechem wspominała, jak ogarniała ją okrutna zazdrość o Galvana, z którym jej matka spędzała wówczas rytualne noce. Ona sama robiła to również z każdym młodym człowiekiem, który ukończył szkolenie.

Tego roku postanowiła, że weźmie ze sobą do doliny Aife. Dziewczynka skończyła jedenaście lat, mogła więc rozpocząć naukę wojowniczkę. Przez ostatnie lata uczyły ją kapłanki, tak jak ongiś ją samą. Aife poznawała pismo, rzecz zakazaną dla zwykłego śmiertelnika, rytuały i obrzędy, magię i prawa kapłanek i druidów, jednak w dolinie jej edukacja miała zostać rozszerzona na walkę. Tak jak kiedyś Uatah, również

Aife miała w przyszłości stanowić pomost między bogami a ludźmi, z czego jednak mała na razie nie zdawała sobie do końca sprawy.

Gdy nadeszło lato, Uatah udała się na Sein po swoją córkę. Zdumiał ją widok dziewczynki, bo ostatni raz widziała Aife, kiedy ta miała niewiele ponad siedem lat. Potem nastąpił w życiu Uatah okres przygotowania do macierzyństwa, ciąża i wychowanie Bryana, później zaś – powrót do swoich obowiązków, ale kiedy przebywała na Sein, Aife przez jeden rok pobierała nauki u druidów, dlatego matka i córka nie mogły się spotkać. Teraz zaś przed Uatah stała obca osoba, w której kapłanka z trudem poznawała swoje pierwotne dziecko.

Uderzyło ją podobieństwo do Galvana. Aife miała intensywnie błękitne oczy swego ojca, przywodzące na myśl zimowe niebo, a kolor jej włosów był bardziej blond niż rudy. Złociste pasma nadawały im jeszcze jaśniejszy ton. Rysy twarzy Aife znacznie bardziej podobne były do czystych, nieskazitelnych rysów jej ojca, tylko uśmiech zapowiadał się drapieżny, taki, jaki miała Scatah. Aife była wysoka jak na swój wiek, ale wciąż jeszcze chuda i drobna jak źrebak.

- Witaj, matko. Jestem gotowa do drogi.

- Skąd wiesz, że jedziemy razem? - Uatah się uśmiechnęła.

- Widziałam - odparła córka najzupełniej naturalnym tonem.

Uatah uśmiechnęła się do siebie. A zatem postąpiła słusznie, Aife miała ten sam dar co ona, zrodzona z brata

i siostry, nosiła w sobie podwójną moc, straszliwą i wielką, która wszakże na razie w niej drzemała, budzona tylko sporadycznie, tak jak ongiś u Uatah.

- Tak - powiedziała. - Pojedziemy. Będiesz uczyć się teraz innych rzeczy.

Aife skinęła głową.

Dziewczynka okazała się posłuszna i kiedy jechały razem konno do doliny, pozostawała raczej milcząca i spokojna. Uatah nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Aife ma głęboko ukryte w sobie wiedzę i mądrość, które sprawiają, że przyjmuje rzeczywistość z niewyobrażalnym spokojem. Dzieci w jej wieku zazwyczaj wykazywały chęć do zabawy, ona natomiast pozostawała skupiona i pogrążona w myślach. Uatah dowiedziała się od kapłanek z Sein, że jej córka jest pojętną i pilną uczennicą, żądną wiedzy, inteligentną i bystrą, co naturalnie cieszyło ją jako matkę. Jednak zastanowiło ją stwierdzenie, że Aife ma w sobie coś już skończonego, ukształtowanego, co nie zdarza się często u dzieci.

- Pojedziesz ze mną do kraju Karnutów tej jesieni - oznajmiła Uatah córce któregoś dnia pod koniec lata. - Dowiesz się, na czym polega poświęcenie bogu.

- Wiem to - odparła dziewczynka.

- Z pewnością wiesz. - Matka się zaśmiała. - Jednak co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć, moje dziecko. Musisz nauczyć się wielu rzeczy, o których mówiły ci kapłanki. Ujrzyć je na własne oczy.

Aife skinęła głową bez słowa. Później Uatah nauczyła się,

że w ten sposób mała wyraża aprobatę dla przyswajanych informacji.

Wyruszyły razem. Uatah oprócz tego, że zamierzała wtajemniczyć Aife w rytuały, chciała ją przede wszystkim pokazać Maerinowi i dowiedzieć się, co stary druid o niej sądzi. Jechały stosunkowo wolno, Uatah bowiem nie chciała zbyt poganąć kucyka Aife, ale też myślała, że przyszłego lata trzeba będzie jej sprawić normalnego konia. Podczas jazdy Aife zadawała pytania, a Uatah odpowiadała i tak rodziła się więź między matką a córką. Uatah wspominała swoją matkę, która ponoć kochała ją najbardziej ze wszystkich swoich dzieci. To ją, a nie jej siostry, wezwała do doliny i to ją przeznaczyła na wojowniczkę, kapłankę i swoją następczynię. Jej bracia zostali druidami, jej siostry kapłankami na Sein, ale tylko ona jedna stała się naczyniem mocy. Pamiętała, że przez długi czas nie rozumiała matki i jej decyzji. Teraz jednak, kiedy sama była już dorosłą kobietą i miała prawie tyle samo lat co Scatah, gdy przybył do niej na naukę Galvan, zaczęła pojmować, że życie jej matki było jednym wielkim pasmem wyrzeczeń i poświęceń w imię obowiązku.

- Kapłanka nie żyje dla siebie - powtarzała jej często Scatah. - Kapłanka jest pośrednikiem między ludźmi i bogami.

Uatah nie rozumiała wówczas tych słów. Teraz dopiero zaczynała pojmować, co tak naprawdę mówiła jej matka.

Przybyły na miejsce dwa dni przed jesiennym zrównaniem dnia z nocą. Nemeton Maerina był największy

w całej Celtyce i tutaj właśnie, w kraju Karnutów, odbywały się coroczne spotkania druidów, a także inne rytuały, mniej i bardziej ważne. Tym razem jednak Uatah wiedziała, że jesienny rytuał nie będzie wyłącznie corocznym składaniem darów i ofiar. W Celtyce wrzało, narastało napięcie i zmieniały się nastroje polityczne. Uatah musiała się dowiedzieć, czy wypełnił się czas, czy nadszedł moment, na który czekała jej matka. Aby to ujrzeć, musiała stać się naczyniem, przez które bogowie przeleją swą moc.

Uatah zadrżała na wspomnienie tej nocy, której umarła jej matka. Ofiara dla Disa z żywego człowieka, parujące wnętrze Cynnusa, jego krzyk, jego bijące serce w dłoni kapłanki, a potem ten głos, ten ryk, nieziemski, okropny, straszny, moc, która na krótką chwilę napełniła Scatah, która odebrała jej życie. Uatah nigdy nie czuła takiej trwogi jak wówczas, ale Scatah szła na spotkanie swego losu bez cienia strachu, nieugięta i twarda, oddając życie jak przystało na kapłankę. Uatah wielokrotnie zastanawiała się, czy ona również umrze z godnością, gdy nadejdzie jej czas.

Na jej spotkanie wyszedł Celtillognatos. Najstarszy syn Celtyllusa był wysoki i barczysty, ciemnoblonde włosy spletał w warkocz, podobnie jak brodę i długie wąsy. Nie przypominał ani trochę swego młodszego brata, nawet jego oczy miały inny kolor, ale Celtillognatos był synem nałożnicy, nie Geillis, i nie przejął po niej fascynującej urody.

- Witaj, Uatah - powitał ją. - Jak ci minęła podróż?

- Bez większych problemów na szczęście. Nie widziałam rzymskich garnizonów.

- Są rozproszone. Cezar odjechał i nie wiadomo, kiedy się pojawi, bo chodzą pogłoski, że za Alpami sytuacja nie jest najlepsza. Podzielił wojsko na mniejsze oddziały i rozlokował je w wielu miejscach, jednak to go znacznie osłabia.

Uatah spojrzała druidowi w oczy. Kiwnął głową.

- Sprowadź go - poleciła.

- Nie muszę. Przysłał do mnie niewolnika z oficjalnym zaproszeniem. To się dopiero Gobannicjon skrzywi na mój widok.

- Gobannicjon! - Uatah niemal wypluła to imię. - Ten sprzedawczyk!

- No cóż, gusta się zmieniają. - Celtillognatos się roześmiał. - Najwyraźniej jemu też się zmieniły.

- Nic mu się nie zmieniło - wysyczała Uatah. - On zawsze był zafascynowany Rzymem, handluje z nimi, jeździ tam dwa razy do roku, zna ich mowę, na rękę mu obecność Cezara. Głupiec, nie zdaje sobie sprawy, że Cezar wcale nie zamierza stąd odjeżdżać. Eduowie sami wpuścili węże w swoje gniazdo i teraz żadna siła ich stąd nie wykurzy.

- Chyba że on - szepnął druid.

- Tak.

Celtillognatos spojrzał na Aife i się uśmiechnął.

- Czy to moja bratanica? - zapytał. - Podobna do ojca.

Uatah z dumą spojrzała na córkę.

- Tak, cokolwiek uczyni, nie będzie mógł się jej wyprzeć - stwierdziła. - Zresztą tego roku mu ją pokażę, zanim zdecyduję, co z nią dalej zrobię.

- Nie wiesz tego?

- Nie jestem pewna.

Celtillognatos się uśmiechnął.

- Porozmawiaj z Maerinem, kiedy odbędziemy już rytuał
- poradził jej.

- Tak zrobię. Jesteś dobrym doradcą, Celtillognatosie.

- Jestem twoim bratem, Uatah. Twoim i Galvana. Mamy jednego ojca, chociaż różne matki, ale płynie w nas ta sama krew. Tak, wiem, na ziemi związki krwi nie mają znaczenia, wiem, co chcesz powiedzieć, ale życie nauczyło mnie, że oprócz praw boskich są również prawa ludzkie i wedle nich więzy krwi są nierozzerwalne.

- A kiedy krewni występują przeciwko sobie? - zapytała Uatah, patrząc swemu bratu w oczy.

- Wówczas popełniają zbrodnię przeciwko bogom - odparł poważnie.

Tak, Uatah wiedziała o tym. Nie wiedziała tylko, czy będzie umiała wymierzyć sprawiedliwość Gobannicjonowi, tak jak to uczyniła jej matka z Cynnusem.

Rytuał rozpoczął się w momencie wschodu księżyca i zachodu słońca. Gdy te dwa ciała niebieskie razem znalazły się na firmamencie, a moc odwróciła się, zwiastując nadejście jesieni, druidzi i kapłanka przystąpili do obrzędów. Aife obserwowała wszystko ze swego miejsca. Dla niej była to nowość, fizyczne doświadczanie słów kapłanek, uczestnictwo, co prawda bierne, w rytuale, którego ona też kiedyś będzie musiała dokonać. Aife wiedziała, że akt, którego dokona jej matka z najwyższym kapłanem,

symbolizuje zaślubiny ziemi i nieba, królowej i króla, matki i ojca, a jednak dla niej Uatah i Celtillognatos pozostawali mężczyzną i kobietą, kiedy przystępowali do obrzędu.

Wieczór był chłodny, ale Uatah nie czuła zimna, kiedy wkraczała w święty krąg wyznaczony przez druidów z pochodniami. Na ziemi narysowane były święte symbole, znaki bogów, symbol Ceridwen i pentagram oznaczający liczbę doskonałości. Wszystko wokół niej zdawało się kołysać i płynąć, ale kapłanka jakąś trzeźwą częścią umysłu zdawała sobie sprawę, że to zasługa grzybów i ziół, którymi się wcześniej odurzyła, a także wina spożytego tuż przed przystąpieniem do obrzędu. Nie widziała mężczyzn w białych szatach, którzy stali w kręgu, intonując pieśń do bogów. Wieczorny powiew pieścił jej ognistorude włosy, ale nie czuła tego, ledwie była świadoma własnego ciała, pozostawała czystym, krystalicznym umysłem. Stała się boginią oczekującą na boga.

Wyszedł do niej z ciemności i wtopił się w krąg światła. Nozdrza Uatah zadrgały, kiedy wyczuła jego zapach, męski, samczy, kuszący, nieodparcie pociągający. On również był odurzony, musiał być, bo tego wymagał rytuał, a jego źrenice w blasku pochodni wydawały się przepastnymi studniami. Pieśń wznosiła się i opadała, przechodziła w przejmujące crescendo, aby wzbić się na wyżyny. Tak jak pożądanie pulsujące w żyłach Uatah, jak ogień, który ją wypełniał.

Była naga i bosa, jej ciało pokrywały znaki mocy namalowane krwią ofiarnego zwierzęcia. Jej twarz również ozdobiona była znakami, wokół oczu, na policzkach i na

czole. Symbolizowały znaczenie jej imienia. Uatah – ta, która budzi strach.

Druid podszedł do niej ogarnięty pożądaniem. *Jak jelenie w rui* – przeszło jej przez myśl. I pora była ku temu odpowiednia, niebawem miały się zacząć jelenie bitwy o samicę przed rykowiskiem. Jesienne obrzędy, jakże inne od niosących śmierć rytuałów Samhain, jakże inne od płodnych ognisk Beltaine. Wiosną kładła się z mężczyzną, aby zapłodnił jej łono, wypełnił ją życiem, teraz jednak szła w objęcia boga, by doświadczyć mocy.

Jego usta łapczywie wpiły się w jej wargi. Uatah odpowiedziała namiętnością na namiętność. Mężczyzna położył ją na ziemi usianej symbolami, rozchylił jej uda i posiadł. Uatah zacisnęła zęby, kiedy poczuła go w sobie. Uniósł się na rękach, patrzyła w jego oczy. Stali się jednością, bogiem i boginią, zaczęła przez nich przepływać moc, nadchodziła falami, wzbierała i opadała na podobieństwo pieśni druidów. Nad głową Uatah zaczęły zapalać się gwiazdy. Przekręciła się na druidzie i teraz on znalazł się pod nią. Przez ułamek sekundy widziała oczami wspomnień Scatah dosiadającą w ten sposób Galvana w noc jego inicjacji. To ona była naczyniem, ona pośredniczyła między bogami a nim, to ona była na górze, tak jak teraz Uatah, która przyspieszała, narzucała tempo, niepomna już własnego ciała, czując, jak boska obecność ją wypełnia, jak moc nadchodzi, nasila się, wzbiera niczym rozszalały orkan.

Uderzenie przyszło z taką mocą, że Uatah zaparło dech w piersiach. Słyszała krzyk, czuła zaciskające się na jej

biodrach dłonie mężczyzny i jego bryzgające w nią nasienie, które zdało jej się gorące jak lawa, ale nie to było istotne, lecz potęga, która zawładnęła kobietą w chwili najwyższego upojenia. Ujrzała to, czego chciała, i uświadomiła sobie, że to samo widziała kiedyś jej matka. Widziała niezliczone oddziały idące za jeźdźcem na białym koniu, ujrzała wzgórze otoczone podwójną palisadą, ujrzała rzymskiego prokonsula zmierzającego czym prędzej na północ, widziała wszystkie celtyckie plemiona zjednoczone pod tym samym sztandarem.

- Wybiła godzina! - krzyknęła ogarnięta spazmami. Rozkosz wykrzywiała jej twarz, ale umysł pozostawał chłodny, jakby Uatah oddzieliła jaźń od ciała i stała się dwoma osobnymi bytami. - To już teraz! On jest wybrańcem, on zjednoczy Celtów, pójdą za nim w zmierzch wolności!

Zobaczyła wojska rzymskie cofające się od palisad miasta.

Gergowia - przemknęło jej przez myśl.

Moc osiągnęła maksimum i zaczęła opadać. Uatah poczuła zmęczenie. Opadła bez sił na mężczyznę leżącego na ziemi. Ich oddechy normowały się, uspokajały. Druid otoczył ją ramionami, a ona przylgnęła do niego bezwiednie. Pieśń ucichła. Skończyło się lato i Uatah zasnęła pod gwiazdami jesieni.

- Godzina wybiła - oznajmiła czystym głosem. - Nadszedł czas. Wezwę go, a on odpowie na moje wezwanie i przyjedzie, bym mogła wyświęcić go ponownie na wojownika.

Celtillognatos patrzył na kapłankę z uwagą. Podczas rytuału odczuł jedynie część tego, co ona. To jej wizje były jasne i przejrzyste, do niego docierało jedynie echo jej doznań, stanowił narzędzie, którym się posługiwała w swoich kontaktach z bogami. Ponieważ wypełnili razem rytuał, nie musiał odczuwać przed nią wstydu ani skrępowania, bo zarówno on, jak i ona rozumieli istotę i potrzebę swoich poczynań.

Zła strona używek, które zażyli przed obrzędem, była taka, że nazajutrz ledwie mogli patrzeć na oczy, a ból głowy stawał się nie do zniesienia, toteż rozmowę należało przełożyć na późniejszy termin. Jednak dwa dni po obrzędach on i Uatah poczuli się na tyle dobrze, że mogli odbyć rozmowę w obecności Maerina.

- A zatem teraz - odezwał się Celtillognatos. - Nareszcie. Dobierzemy się do tych przeklętych rzymskich psów.

- Ale należy postępować ostrożnie - zabrał głos Maerin. - Rzymianie nie są głupi, a już zwłaszcza nie Cezar.

- Tak, o jego inteligencji nie musisz nam przypominać - przyznała Uatah cierpko.

W swojej wizji ujrzała coś jeszcze.

Czy zginiesz dla niego, Uatah?

Czarne oczy prokonsula, zimne i okrutne. A może nie okrutne, może po prostu takie są. Czy się bała?

Śmierć to tylko brama do kolejnego życia.

Ja nie umarłam, Uatah. Czekam na kolejne życie, a potem na kolejne i kolejne. Czekam. Narodzę się raz jeszcze, a potem jeszcze raz i jeszcze, aż wypełni się wielki

cykl mego żywota.

- Czasami cena, którą przychodzi zapłacić, jest ogromna - szepnęła. - A co, jeśli zjednoczenie Celtów i wspólna walka okupione zostaną czymś więcej niż tylko życiem?

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że twoja matka miała złe wizje? - zapytał urażony Maerin. - Nie chcesz podważać jej zdania?

- Moja matka nigdy nie powiedziała, że Galvan pokona Rzymian - zauważyła Uatah trzeźwo. - Ona widziała w nim wybrańca, który zjednoczy wszystkich Celtów. To, na co się teraz chcemy ważyć, to śmiały plan. Jeśli się powiedzie, wygnamy Rzymian z Celtaiki na zawsze. Jeśli się nie powiedzie, zjednoczymy się, ale pod ich rządami.

Tak czy inaczej dotychczasowe życie się skończy - pomyślała. Po tym zrywie nic już nie będzie takie jak przedtem.

- Jutro udam się do Gergowii - postanowił Celtillognatos. - Powiem memu bratu, co mówią inni naczelnicy. Jeżeli Cezar skazuje na śmierć jednego z nas za niewyjaśnione przewinienie, to co uczyni z resztą, bo tak mu się spodoba lub nie?

Uatah zacisnęła usta.

Gdyby tylko mogła zobaczyć, co będzie dalej, co stanie się na wzgórzu! Ale tam jej wizje się kończyły, a ona nie mogła pojąć, dlaczego. Czy bogowie nie chcieli jej ukazać dalszej przyszłości, czy to własny umysł ją ograniczał?

- Jedź do niego - powiedziała. - Wiem, co się stanie. Przed Samhain Wercyngetoryks przybędzie do mnie.

Nadszedł czas i jego przeznaczenie zaczęło się wypełniać. I nic już nie cofnie biegu wydarzeń.

Celtillognatos wstał ze swego miejsca i poszedł przygotowywać się do podróży. Maerin upił łyk grzanego piwa i przysunął się bliżej paleniska. Jego starcze kości wymagały więcej czasu na ogrzanie się.

- Odeślij córkę na Sein - poradził. - I przykaż, by w odpowiednim czasie odesłali ją do Brytanii.

- Dlaczego tam? - zdumiała się Uatah.

- Wiesz dobrze, tak samo jak ja, moje dziecko - odparł druid. - Nosisz tę wiedzę w sobie, ale nie chcesz się z nią pogodzić. To, co planujecie z Celtillognatosem, to tak czy inaczej tylko próba przesunięcia w czasie nieuniknionego. Nadejdzie dzień, kiedy nasza wiara zacznie być prześladowana, ale miną stulecia, zanim nieprzyjaciel zdoła dotrzeć do Brytanii i tam wprowadzać swoje prawa. Tutaj nadejdzie zmierzch, ale za wodą nadal żyją wolni ludzie, których nie podbije ani Rzym, ani żadna inna potęga.

Uatah spuściła głowę.

- Wiesz, dlaczego nie możesz przedostać się przez palisady - kontynuował Maerin. - Wiesz o tym, tylko nie chcesz tego do siebie przyjąć. Zrobisz to, gdy nadejdzie czas.

- Co będzie z Aife? - zapytała z niepokojem w głosie.

- Aife nosi w sobie moc - odparł starzec. - Jest naczyniem bogów, jest potężna, ma wiedzę o tym, co było i co będzie, ale wiedza ta jest w niej zamknięta dla przyszłych pokoleń. Gdy nadejdzie czas, a ona sama będzie już bezpieczna, wykorzysta tę wiedzę, by kontynuować to, co

jest treścią naszego życia tutaj. Z jej krwi zrodzą się królowie, kapłanki i druidzi.

- A mój syn? - zapytała ponownie, myśląc o Bryanie, który musiał teraz już być co najmniej czteroletnim brzdącem.

- Jego losu nie widzę - westchnął Maerin. - Jest za mały, bym mógł cokolwiek o nim powiedzieć.

Uatah siedziała przez chwilę w milczeniu.

- Twoja matka była wielką kapłanką, Uatah, ale nawet ona nie mogła zmienić wyroków losu, choć bogowie jedni wiedzą, jak z nimi walczyła - odezwał się druid po chwili. - Wercyngetoryks nie był jedynie jej wybranym, był znakiem, na który czekali Celtowie od dawna, by stać się znowu jednym potężnym narodem. Szkoda, że przyszedł na świat teraz, aby rozegrać ostatnią wielką bitwę na tych ziemiach i poderwać do walki wszystkie plemiona, zanim uderzą w nas ciemności.

- A zatem przepowiednia mojej matki się spełni? - zdumiała się Uatah.

- Spełni. Nawet jeśli cena będzie zbyt okrutna.

Umrzesz dla niego, Uatah?

Czternaście lat temu biegła do niego w blasku księżyca, w letnią noc, by mu ujawnić arkana magicznych zadań, jakie na niego czekały. Wykradła się z domu swej matki i myśląc, że Scatah jej nie widzi, przemykała pod osłoną nocy do domostw uczniów. Tamtej nocy zrozumiała, że go kocha, że stanowi on treść jej życia i że zrobi dla niego wszystko. Jego oczy w księżycową letnią noc lśniły jak gwiazdy, czuła przy

sobie jego młode sprężyste ciało, przez jedną chwilę w wieczności patrzyli sobie w oczy, wiedząc, że należą do siebie i ich losy są ze sobą nieodwracalnie splecione.

Nadal go kochała. Żadna siła nie mogła zabić w niej tej miłości, nawet jeśli była ona okupiona cierpieniem i wieloletnią tęsknotą. Teraz nadchodził tego kres.

- Umrę dla niego.

Wyblakłe oczy druida skierowały się na nią z uwagą. Po jego pobrużdżonej twarzy przebiegł cień smutku i zrozumienia.

- Tak - powiedział. - Urodziłaś się i umrzesz dla niego.

Uatah poczuła, że po jej twarzy spływają łzy, ale nie zrobiła nic, by je powstrzymać.

Celtillognatos przybył do Gergowii kilka dni później, gnał bowiem z kraju Karnutów na złamanie karku, by jak najszybciej znaleźć się w kraju Arwernów. Zdawał sobie doskonale sprawę, że nie jest tu mile widziany po tym, jak Gobannicjon po cichu dokonał zamachu stanu i *de facto* przejął władzę. Wiedział również, że Galvan, przebywający z dala od domu przez tyle lat, utracił dużo więcej, niż zyskał, a stało się to za sprawą Gobannicjona, który nie miał nic przeciwko rzymskiemu panowaniu w Celtyce. On sam na tym zyskiwał, a mało go obchodziło, że inne ludy traciły, przede wszystkim wolność i niezależność. Zdaniem Celtillognatosa, jak również innych druidów, Cezar egzekucją Akkona pokazał, do czego jest zdolny i że nie ma zamiaru opuścić Celtyki. Zastanawiał się tylko, kiedy innym naczelnikom

bielmo opadnie z oczu i czy nie będzie już wówczas za późno na dramatyczne gesty.

Wspominał podczas jazdy rytuał, ale niewiele z niego pamiętał. Taka była niestety cena spożywania ziół i naparów przed obrzędem. Wiedział, że Uatah zapamiętała wszystko, ale też ona spożyła inne rzeczy, a on służył jej jedynie za przekaźnik i nie do niego były skierowane boskie słowa. Mimo to każdy rytuał z Uatah stanowił coś niesamowitego, Celtillognatos mógł jedynie żałować, że nie żyje Scatah, która jego samego również wtajemniczyła przed tyloma laty. Obie miały w sobie ten sam ogień i naprawdę mogły się nazywać boskimi pośredniczkami.

Gergowia wydawała się spokojna, ale druid wiedział, że w mieście wrze tak samo jak w innych osadach. Wieści przekazywane z ust do ust roznosiły się niczym wiatr po całej Celtyce. Zapewne wszyscy już wiedzieli, jak Cezar potraktował jednego z naczelników, pomijając wcześniejszą samobójczą śmierć Dumnoryksa, ale o tym w zasadzie się nie mówiło, w grę wchodziły tu bowiem jawna niesubordynacja i odmówienie wykonania rozkazu. Jeżeli Dumnoryks był zaprzysiężony Cezarowi, to dokonał krzywoprzysięstwa i naprawdę zasługiwał na śmierć. Celtillognatos nie chciał tego kwestionować. Ale zasieczenie na śmierć – a co gorsza, dekapitacja – to była już zupełnie inna sprawa.

Gdy jechał przez miasto, witały go ponure i niechętnie spojrzenia. Gobannicjon dobrze wykonywał swoją robotę. Arwernowie nie chcieli przyłączyć się do powstania, nie chcieli nawet widzieć u siebie druidów. Brat Galvana

zastanawiał się, ile musiał zapłacić Gobannicjon, by starszyzna zaczęła go słuchać, ale też zaraz naszała go myśl, że ta sama starszyzna nie mrugnęła okiem, kiedy przed ponad dwudziestu laty mordowano Celtyllusa w jego własnym domostwie. Nawet jeśli Galvan ostatecznie pomścił morderców ojca, rozprawił się z nimi, nawet z Cynnusem, to jednak nie zdołał podporządkować sobie wszystkich, bo jego własny wuj wykonywał przez lata krecią robotę. Celtillognatos pokręcił głową z niesmakiem. Władza za bardzo kusiła, nikt nie zdołał się jej oprzeć, nawet w jednej rodzinie dochodziło do rozłamu z powodu żądzy władzy. Nie mógł tego zrozumieć. On sam był najstarszym synem swego ojca, ale od zawsze wiedział, że tytuł i dobra przypadną jego młodszemu bratu, i nigdy się na to nie uskarżał. Posłusznie poszedł do druidów, nie wziął sobie żony, chociaż mógł, zamiast tego stał się najwyższym kapłanem i dostał się do swoich zaszczytów, a jednak nie bawiło go korzystanie z władzy ani tym bardziej nadużywanie jej.

W domu Galvana również zdawał się panować spokój, a jednak Celtillognatos wyczuwał napięcie. Niewolnik oporządził jego konia, podczas gdy druid skierował się wprost do wejścia i zastukał w drzwi.

Nie widział swego brata przez wiele lat. Galvan, który wyszedł mu na spotkanie, nie był bynajmniej tym samym młodzieńcem, z którym się kiedyś rozstał. Celtillognatos odniósł wrażenie, że lata upłynęły niezauważalnie. Trudno mu było uwierzyć, że ten dorosły mężczyzna to jego mały braciszek, który kiedyś, dawno już temu, przybył na nauki do

druidów. Teraz druid miał przed sobą mężczyznę w sile wieku, wciąż młodego i pięknego, jednak z wyrazem oczu, którego młodzi ludzie nie mają. Zobaczył w nich znużenie i doświadczenie, przeżyte radości i cierpienia, a twarz naznaczona była doświadczeniem i wspomnieniami. Kiedy się jednak uśmiechnął, na moment ukazał się tamten młody człowiek, który tak ochoczo podejmował się pomsty za ojca.

- Witaj, bracie - odezwał się. - Pewnie jesteś zmęczony długą drogą?

- Nie wzgardzę jadłem i odrobiną piwa - przyznał druid. Bracia objęli się i jowialnie poklepalili po plecach.

- Zmężniałeś - zauważył Celtillognatos.

- A ty się postarzałeś - odparł Galvan. - I posiwiasteś.

- Też cię to nie ominie, mam nadzieję. - Starszy brat się zaśmiał.

- A co u Brennusa?

- O, wszystko dobrze. Naucza w nemetonie, uczestniczył już w rytuałach, jest zdolny i pojętny, ale z tego, co wiem, pragnie walki i nie zamierzam mu tego odmawiać.

- Walki. - Galvan się zasepił. - Zapewne do niej dojdzie.

- Nie wcześniej niż późną zimą - stwierdził Celtillognatos. - Chcemy zaskoczyć Cezara.

- My? - zdumiał się Galvan. - To jest was tak wielu?

- Karnutowie chcą uderzyć jako pierwsi - wyjaśnił Celtillognatos. - Ale jedno plemię niewiele zdziała. Trzeba zwołać wszystkich Celtów, przekonać ich do naszej sprawy i powiedzieć, że Rzymianie to tak naprawdę wilki w owczej skórze.

Galvan rozejrzył się po podwórzu.

- Wejdźmy do domu - mruknął. - Gobannicjon ma wszędzie swoich szpiegów.

Celtillognatos uśmiechnął się cierpko. Zdawał sobie z tego doskonale sprawę.

Kiedy druid został już ugoszczony z wszelkimi honorami, a Galvan usiadł obok niego przy stole, bracia mieli wreszcie okazję porozmawiać otwarcie. Gwynn i Geillis, które także przyszły, siedziały zaciekawione rozmową mężczyzn.

- Dlaczego chcecie wzniecać powstanie akurat teraz? - zapytał Galvan. - Bo Uatah miała sen?

Starszy brat spojrział surowo na młodszego.

- To nie jest miejsce do kpin - zganił go. - Możesz mieć do niej żal, że nie uciekła z tobą dziesięć lat temu, ale weź pod uwagę, że ona nie miała wyboru, podobnie jak ty. Uatah jest wielką kapłanką, przemawiają przez nią bogowie i ona wie, kiedy nadchodzi czas do walki.

Galvan spuścił wzrok. Czuł na sobie spojrzenie Gwynn, ale jego żona nie odezwała się ani nie skomentowała wypowiedzi szwagra.

- Czas nadszedł, bo Cezar wraz ze swym wojskiem siedzi w Galii Przedalpejskiej i rozwiązuje własne problemy - kontynuował Celtillognatos. - Jego legiony są rozproszone po całej Celtyce. To jest nasza jedyna szansa, jeśli ją teraz zlekceważymy, druga okazja może się nie trafić.

- Wiem, gdzie jest Cezar - warknął Galvan. - Ale powiedz mi, bracie: jak masz zamiar przekonać inne plemiona? Ja nie mogę się uporać z własnym wujem.

- To zacznij gdzie indziej - poradził mu druid. - Gobannicjonem zajmiemy się później.

- Mój brat jest łasy na pochlebstwa i żądny władzy, chociaż nigdy się z tym otwarcie nie obnosił - wtrącała się Geillis. - Dobrze wiem, co chciał uzyskać, odsyłając mnie do łoża Cezara, ale mu się nie udało. Jeśli sądził, że Cezar nagrodzi go albo ustanowi naczelnikiem, to się grubo pomylił. Poza tym odesłanie mnie i Galvana było mu na rękę, bo pozbył się dwojga potencjalnych oponentów.

Celtillognatos wiedział, co robiła Geillis, ale nie miał prawa ani jej potępiać, ani w jakikolwiek sposób oceniać.

- Cezar nie jest człowiekiem mściwym ani pamiętliwym, jednak rozwścieczony staje się niebezpieczny, jeśli ktoś przekroczy wytyczone przez niego granice - mówiła dalej Geillis. - Wówczas jego gniew jest straszliwy. To, na co się porywacie, to samobójstwo, ale jeżeli dzięki temu pozbedziemy się Rzymian z Celtyki, to uważam, że czynicie słusznie. Spędziłam z nim dwa lata i widziałam niejedno, a on wcale nie zamierza stąd odejść, chce uczynić z naszych ziem rzymską Prowincję pod swoją komendą.

- Ale dotychczas się do nas nie wtrącał - zauważyła Gwynn.

- Nie, bo dzięki takim ludziom jak mój brat pozostawał w znakomitych stosunkach z całym plemieniem - wyjaśniła Geillis. - Zniewoliłby nas nie ogniem i mieczem, ale kontaktami, sojuszami i paktami. Powoli wprowadzałyby tutaj wojsko, kolonistów, tworzyłyby rzymskie miasta, aż wreszcie z Celtów stalibyśmy się Rzymianami, nawet o tym nie

wiedząc. Być może z punktu widzenia Rzymu jest to dobra polityka, z punktu widzenia ambitnych przywódców, jak mój brat, również, bo bez wątpienia zyskujemy na obecności Rzymian na naszych ziemiach, ale też wiele tracimy, przede wszystkim wolność.

- A jednak przy nim byłaś, dopóki cię nie odsunął - zauważyła Gwynn.

- W ich świecie to mężczyzna decyduje, kiedy odsunąć kobietę - stwierdziła Geillis. - A ja nie miałam żadnego interesu w przedłużaniu naszej zażyłości.

O swojej tęsknocie za nim nie wspomniała, to był jej osobisty smutek i musiała z tym żyć po dwóch latach życia u jego boku i cieszenia się statusem oficjalnej konkubiny.

- Musimy zwołać wiec - zdecydował Galvan.

- Nie robiłbym tego na twoim miejscu - ostrzegł go Celtillognatos. - Jedź do Uatah i do Karnutów. Wiec u Arwernów nie doprowadzi do niczego dobrego.

- Być może - zgodził się Galvan. - Ale muszę to uczynić, żeby dowiedzieć się, ilu mam wrogów i co z nimi potem zrobić.

- Dlaczego do Uatah? - zapytała Gwynn.

- Bo tak trzeba, siostro - odparł spokojnie Celtillognatos.
- To są prawa boskie.

A namiętności ludzkie - dokończył w myślach, wiedział bowiem, co stanie się, jeśli Galvan uda się do Uatah w jej górskiej siedzibie.

Ale niech mają swoją ostatnią wiosnę - pomyślał. - *Nigdy więcej nie będzie im to dane, niech się nacieszą*

wspomnieniami, bo tylko to im zostało.

- Zwołam wiec jutro rano - zdecydował Galvan tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Gwynn, ty musisz się przygotować do opuszczenia Gergowii.

- A to dlaczego? - zdumiała się jego żona.

- Dlatego, że jeżeli jutro mi się nie powiedzie, znajdziesz się w niebezpieczeństwie. I dzieci też - dodał, wiedząc, że jego starszy syn na szczęście znajduje się u druidów, ale młodszy był już oddany do adopcji.

Geillis milczała, bo miała świadomość, że ze wszystkich domowników Galvana ona jedna nie musi się obawiać niebezpieczeństwa ze strony swego brata.

- Nie zamierzam dopuścić do tego, by własny wuj zatrzymał cię jako zakładniczkę - dodał Galvan. - Ale jeżeli mi się jutro nie powiedzie i będę musiał opuścić miasto, wyślę cię do moich sojuszników, Biturygów, do Novodumium, gdzie będziesz na razie bezpieczna.

Gwynn patrzyła na swego męża, ale nie zakwestionowała tym razem jego decyzji. To nie był Galvan, którego znała i z którym żyła od wielu lat. To przemawiał Wercyngetoryks, Wielki Król Wojowników, który po długim letargu wreszcie obudził się do działania. To była jego godzina, Gwynn poczuła strach na myśl o tym, że przepowiednia Scatah właśnie zaczyna się spełniać.

Wiec został zwołany zgodnie z tradycją przez naczelnika plemienia i stawili się na nim wszyscy przedstawiciele klanów i cała starszyzna, a także, rzecz jasna, Gobannicjon, który zdaniem Galvana nosił się iście po królewsku

i zachowywał tak, jakby to on sprawował władzę. *Ostatecznie tak właśnie było* – stwierdził ponuro Galvan, zasiadając na swoim miejscu wśród współplemieńców. – *Podczas gdy ja wojowałem dla Cezara, mój kochany wujek sprawował władzę w moim imieniu. Ale teraz z tym koniec, wóz albo przewóz, okaże się, za kim oni naprawdę pójdą: za swoim wodzem czy za sakiewką.*

W głębi ducha nie miał złudzeń.

– Zebrałem was, by poddać dyskusji problem wojny z Rzymianami – zaczął. – Chciałem do niej przystąpić już pięć lat temu, kiedy Cezar wypowiedział wojnę memu ówczesnemu teściowi, Ariowistowi, ale większością głosów projekt upadł. Teraz chciałem zapytać was raz jeszcze, jakie jest wasze zdanie na ten temat.

– Nie chcemy wojny! – rozległy się okrzyki.

– Cisza! – warknął Galvan. – Nie dałem nikomu prawa głosu!

Celtillognatos posłał mu wiele mówiące spojrzenie. Pod ścianą stał Gobannicjon z rękami założonymi na piersi i spoglądał ponuro po zgromadzonych, a oni słali mu pospieszne, pełne rezerwy spojrzenia. Wydawać by się mogło, że ich kupił, wszystkich, nawet niegdysiejszych klientów Galvana.

– Rzymianie od pięciu lat panoszą się po Celtyce, wypowiadając wojny mniejszym i większym plemionom – kontynuował Galvan. – Pod pozorem wprowadzania pokoju rujną nasze miasta i wsie, niszczą plony, ujarzmiają plemiona, a naczelników plemiennych zabijają wedle swego

uznania, choćby ostatnio Akkona, a wcześniej przecież Dumnoryksa. Rozgromili Helwetów, Swebów i Belgów, napadli Brytanię, a wszystko to za naszym cichym przyzwoleniem.

- Sam walczyłeś w rzymskim wojsku! - zawołał ktoś z tłumu.

- Robiłem, co musiałem - odparł Galvan niewzruszenie. - Czyż mój wuj nie handlował z nimi przez cały ten czas?

- Ale nie namawiał do wojny! - krzyknął ktoś inny.

- Nie, nie namawiał, a wręcz odradzał i to wówczas, gdy mogliśmy pokonać Cezara z łatwością! - Galvan się rozzłościł. Zaczynał rozumieć, co czuł jego ojciec na tym samym miejscu wobec niepokornych Arwernów, butnych i przekupnych, chcących tylko własnego dobra. - Gdybyśmy wówczas wsparli zbrojnie Ariowista, któremu winniśmy byli wypełnienie sojuszu, wojska rzymskie opuściłyby Celtykę i nigdy nie wróciły. To przecież Eduowie ich tu wezwali, nasi odwieczni wrogowie, którzy się chlubią mianem ich przyjaciół!

- Sam byłeś przyjacielem Cezara, a twoja matka jego kurwą! - wrzasnął ktoś.

Na te słowa Galvan wstał. Zauważył, że również Gobannicjon ruszył się ze swego miejsca, i przez chwilę wydało mu się, że osiągnie porozumienie ze swym wujem.

- Podejź tu, tchórzliwy psie, i powtórz mi te słowa prosto w oczy! - krzyknął w tłum.

Nikt nie powstał. Celtowie najwidoczniej bali się jeszcze trochę swego naczelnika, za którego plecami stał wszakże

sztab zbrojnych.

- Niech nikt się nie waży obrażać mej siostry! - zagrział Gobannicjon ze swego miejsca, czerwony na twarzy i wściekły. - Jest dorosłą kobietą i panią samej siebie! Ktokolwiek jej ubliży, tego zabiję jak psa!

Nikt nie miał najmniejszej wątpliwości, że postawny pięćdziesięciolatek spełni swoją groźbę. Gobannicjon mógł się poróżnić z siostrzeńcem, a nawet z siostrą, ale honor rodu był dla niego najważniejszy. Być może dlatego Galvan jeszcze żył i nie został skrycie otruty jak jego ojciec.

- Jeżeli zbierzemy się wszyscy razem, mamy szansę wypędzenia Rzymian z naszych ziem - ciągnął Galvan. - Chwyćmy za broń, połączmy się z innymi plemionami, a damy radę odzyskać wolność!

- Jesteśmy wolni - odezwał się teraz Gobannicjon. - I jakoś ci nie przeszkadzało rzymskie panoszenie się, jak to określasz, przez te wszystkie lata.

- Być może - odparł jego siostrzeniec. - Ale czas się przebudzić. Sam mnie wysłałeś do jego legionów, abym poznał ich sztukę walki i przekonał się, jakim człowiekiem jest Cezar. Spędziłem tam cztery lata i wiem wszystko, co powinienem. Nigdy nie byłem jego sprzymierzeńcem, ale też nie wrogiem. Teraz jednak nadszedł czas, by ich stąd wypędzić, zanim nas zniewolą i będą obcinać głowy, komu zechcą, za niesubordynację, jak to oni nazywają.

- To prawda! - rozległy się głosy wśród starszyny. - Zabił Akkona. Ściął mu głowę i teraz biedak nie będzie mógł się odrodzić w następnym życiu.

- A wcześniej zabił Dumnoryksa - dodał Ruten, ojciec Gwynn, mocno już posiwiały i przygarbiony. - Jeżeli wolno mu tak postępować z innymi, to po nas w końcu też przyjdzie i zabije wedle swego uznania, kogo zechce, a my będziemy patrzeć na to jak bezradne dzieci. Czy na to jesteśmy wszyscy, jak tu stoimy, wojownikami, by pozwalać sobą pomiatać i zrobić z nas niewolników?

- Ruten ma rację - potwierdził Celtillognatos. - Gdziekolwiek Rzymianie się pojawili, tam obracali narody w swoje Prowincje. Zniszczyli Kartaginę, która ongiś była największą morską potęgą. Podbili Helladę, zburzyli greckie miasta, podbili Judeę, cały Wschód dostał się pod ich panowanie, a teraz chcą naszych ziem i naszych wojowników, by tu stworzyć kolejną Prowincję. Chcą, byśmy wyparli się naszych bogów i tradycji, byśmy odrzucili naszą kulturę i samych siebie, byśmy obcięli włosy, włożyli togi i nauczyli się łaciny. Czy tego chcecie, bracia? Zniewolenia?

Wśród tłumu podniósł się szmer, ludzie byli wzburzeni, jednak nie trwało to długo, Gobannicjon bowiem niczym rozjuszony byk wskoczył na stół i przemówił swym gromkim głosem.

- Bzdury! - huknął. - Powiadam wam, że Rzymianie nie wejdą na nasze ziemie, a jeśli chwycimy za broń, stracimy nasze miasta, pola, uprawy, zwierzęta i handel! Przyjdą tu ze swoimi machinami oblężniczymi, zgwałcą nasze kobiety, zabiją starców, a nas sprzedadzą w niewolę! Lepiej żyć z nimi w zgodzie i handlować, mieć z nimi dobre układy i być ich sprzymierzeńcem, zamiast wzniecać bezsensowne

powstania i walczyć z nieuniknionym!

- I tak tu przyjdą - stwierdził Galvan. - Poszukają pretekstu i go znajdą, jeśli nie Cezar, to jakiś inny prokonsul. Przyjdą i zrobią dokładnie to, co powiedziałaś. Widziałem pacyfikację belgijskich miast, na własne oczy ujrzałem kolumny niewolników, zgwałcone kobiety, wypatroszonych mężczyzn i spalone miasta. Legioniści w szale bitewnym zabijają wszystko, co się rusza, gwałcą każdą kobietę, a nawet młodych chłopców, z pełnym błogosławieństwem Cezara, który tego nie robi, ale też nie zakazuje. Jeśli ich teraz nie powstrzymamy, przybędą sami, zażądają wody i ziemi, a jeśli im odmówimy, potraktują nas jak Belgów, jak Brytów, jak Helwetów! Czym zawinili Helweci, że Cezar ruszył przeciwko nim na wojnę? Niczym! Chcieli iść do Sekwanów, a Cezar chciał wojny, więc znalazł genialny pretekst, że pogwałcili słowo rzymskiego prokonsula! Cóż to za powód do wojny!

- Twój ojciec nie był lepszy - zauważył Gobannicjon. - Za obelgę on również wypowiedział wojny.

- Nie waż mi się obrażać mego ojca! - ryknął Galvan, ugodzony do żywego.

- Jesteś taki sam jak on! - wrzasnął Gobannicjon. - Namawiasz do wojny, bo chcesz władzy nad ludem! Tak jak Celtyllus chcesz zostać królem wszystkich Celtów i pociągnąć ich za sobą na wojnę z Rzymianami!

Galvan z hałasem wstał z miejsca i byłby rzucił się na swego wuja, gdyby nie jego przyrodni brat, który wyrósł jak spod ziemi i przytrzymał go za ramiona. Galvan był

postawnym i silnym mężczyzną, ale Celtillognatos przewyższał go posturą i siłą, wobec czego pokonany młodszy brat musiał ustąpić.

Tymczasem wśród zgromadzenia zawrzało.

- Król! - wrzeszczeli rozjuszeni mężczyźni, których łatwo można było podjudzić, o czym Gobannicjon doskonale wiedział. - Nie chcemy króla! Wynoś się stąd! Nie chcemy kolejnego Celtyllusa!

Galvan nie wierzył własnym uszom.

- Macie czelność sprzeciwiać się waszemu naczelnikowi obranemu przez was i wyświęconemu przez druidów?! - krzyknął. - To niedopuszczalne!

- Nie chcemy cię tutaj! - ryczał tłum. - Wynoś się z Gergowii!

- Słyszysz, bękarcie? - huknął Gobannicjon. - Wynoś się stąd! Zabieraj się i nie wracaj więcej ze swymi pomysłami i ze swoją wojną! Nikt cię tu nie chce!

W sali huczało. Tłum chciał rzucić się na Galvana, ale Gobannicjon do tego nie dopuścił. Pozwolił natomiast, by ci sami ludzie, którzy kiedyś skandowali na cześć Wercyngetoryksa, teraz po prostu wyrzucili go z sali zgromadzeń. Wiec zakończył się jednym wielkim zamieszaniem, którego Galvan jednak już nie słyszał, drzwi bowiem zatrzęsnęły się za nim z hukiem.

W ciemności jesiennej nocy spoglądał w oczy swego brata, czując kompletną pustkę i porażkę.

- Co teraz? - zapytał bezradnie, po raz pierwszy w życiu nie wiedząc, co zrobić.

- Jedź do Uatah. Ja zabiorę twoją żonę do Novodumium. Tam z pewnością masz jeszcze sojuszników.

Galvan spojrzał na brata i kiwnął głową.

- Nie ma czasu do stracenia. Oni gotowi jeszcze ruszyć na mój dom.

- Nie obawiaj się, nie uczynią tego tak długo, jak Gobannicjon ich kontroluje - uspokoił go druid. - Nie pozwoli skrzywdzić swojej siostry, choćby nie wiem jak poróżnił się z tobą.

- To przekłeta żmija - wysyczał Galvan przez zęby. - Pożałuje tego.

- Z pewnością - mruknął Celtillognatos cierpko.

Obaj mężczyźni czym prędzej udali się do domu Galvana, gdzie kobiety oczekiwały końca wiecu.

- Co się stało? - wykrzyknęła Gwynn na ich widok.

Spodziewały się ich powrotu dopiero za jakiś czas, toteż poważnie zaniepokoił je widok zdyszanych braci, którzy wpadli do domu, jakby się paliło.

- Wiec wygnał Galvana z Gergowii - oznajmił Celtillognatos. - Gobannicjon przekupił znaczną część starszyny. Nie chce wojny z Cezarem.

- Można się było tego spodziewać - westchnęła Geillis. - Co teraz?

Galvan zabrał się do pakowania najpotrzebniejszych rzeczy, w tym broni i ciepłych ubrań.

- Jadę do doliny Scatah - oznajmił. - Spędzę tam najprawdopodobniej całą zimę. Tam nie ośmielą się mnie szukać, zresztą pewnie nawet nie będą chcieli.

Gwynn poczuła, jakby ktoś chwycił ją lodowatą dłonią za serce. Więc nie zostanie z nią, jedzie do Uatah, przezimuje w jej objęciach. Stara, odwieczna zazdrość ożyła w niej niczym kłusujący wąż, chociaż rozsądek podpowiadał jej, że to konieczne i nie można postąpić inaczej.

- Zobaczymy się wiosną? - zapytała drżącym głosem.

- Mam taką nadzieję, Gwynn - odparł napiętym głosem.

Nagle rzucił wszystko na ziemię i przygarnął żonę do siebie.

- Bogowie, Gwynn, nie myśl, że to robię z lekkim sercem. Ale przy mnie ani tutaj nie będziesz teraz bezpieczna.

- To po co to robisz? - zapytała jak naiwne dziecko. - Nie musisz wszczynać tego całego fermentu.

- Teraz już i tak za późno. Muszę skończyć to, co zacząłem.

Wypuścił ją z objęć.

- Ty też zacznij się pakować, to opuścisz miasto jeszcze dziś w nocy - oznajmił. - Celtillognatos odwiezie cię do Avaricum, tam nikt cię nie skrzywdzi ani po ciebie nie przyjedzie. Gobannicjon nie będzie wiedział, gdzie jesteś.

A zresztą mało go to obejdzie, skoro ja zniknę - pomyślał z goryczą.

Gwynn miała ochotę się rozplakać, ale wiedziała, że nie czas i miejsce na to. Zamiast tego zacisnęła zęby i udała się do sieni, gdzie w skrzyniach leżały ubrania i sprzęty. Przypomniała sobie tamten wieczór, kiedy Galvan przyszedł się o nią oświadczyć, i pomyślała, że była wówczas naprawdę naiwną, zakochaną dziewczynką, która sądziła, że oto los się

do niej uśmiechnął. Tymczasem małżeństwo z Galvanem wcale nie było takim pasmem szczęścia, jak sądziła przed laty. Nawet jeśli go kochała i on odwzajemniał to uczucie, musiała płacić za to ogromną cenę.

Wiedziała jednak, że on robi to, do czego został powołany. Taki był jego los, Galvan nie mógł odwrócić przeznaczenia. Od lat wiedziała, że ten czas nadejdzie, widywała to w snach, mówiła jej o tym Uatah, a wcześniej – jej budząca grozę matka. Kiedy jednak godzina wybiła, Gwynn poczuła trwogę i strach, że nigdy go już nie zobaczy. A jak ona będzie mogła bez niego żyć? Był wszystkim, co miała, wszystkim, co kochała, i wszystkim, dla czego warto było iść przez życie. Gdyby go straciła, dalsze istnienie przestałoby mieć dla niej sens. Nawet swych dzieci nie kochała tak mocno jak jego. Nie umiała tego zmienić.

To jest cena za małżeństwo z miłości – myślała ponuro, pakując zimowe ubrania. – Gdybym poślubiła go z innych powodów, dla sojuszu albo dla interesu mego ojca, z pewnością byłoby mi łatwiej, ale ja go Kocham i nie umiem bez niego żyć. Jeżeli on zginie, ja też umrę. Nie zostanę sama bez niego.

Jakby czytając jej w myślach, Galvan wszedł po cichu do sieni i bezszelestnie ją objął. Gwynn patrzyła na niego ze zdumieniem, bo miał na sobie szatę, którą kiedyś utkała mu jej matka i którą przy niej przymierzył w tym właśnie miejscu. Pomimo upływu lat był nadal młody i piękny, a może to jej się tak tylko zdawało, bo półmrok zakrywał cienie na twarzy i zmarszczki na czole.

- Cokolwiek się stanie, kocham cię, Gwynn, nie zapomnij o tym - szepnął w jej włosy. - Jadę tam, gdzie jestem potrzebny, gdzie mnie wołają. Nie robię tego dla mojej czy Uatah przyjemności. Zrobię, co muszę, i pojedę na wojnę.

- Nie obchodzi mnie, co będziesz robił z tą wiedźmą w jej dolinie - mruknęła Gwynn w jego ramię. - Tylko do mnie wróć.

- Tego ci nie obiecuję. Ale jeśli zginę, to z twoim imieniem na ustach.

- Nie zginiesz. Nie pozwolę na to. Zrobię wszystko, żebyś do mnie wrócił, Galvanie.

Uśmiechnął się do niej smutno, a potem ją pocałował. Błagał w myślach bogów, by nie był to ich ostatni pocałunek w życiu.

Trzy dni później stanął na przełęczy, z której odjechał tyle lat temu i na którą raz jeden wrócił, kiedy jeszcze żyła Scatah. Stojąc na szczycie kamiennych schodów, spoglądał w dół, w miejsce, które przez wiele lat służyło mu jako schronienie, w którym poznał smak pierwszej miłości i gorzki pierwszego cierpienia, i poczuł, że jest w domu. To był cel jego wieloletniej walki, jego podróży, jego życia. To stąd wyjechał jako wojownik i tu powrócił, by zostać namaszczonym na wodza. Pamiętał tamten dzień sprzed ponad dziesięciu lat, kiedy Uatah odprowadziła go na szczyt schodów, a potem objęła i pożegnała na zawsze. Gdy się ponownie spotkali, byli już obcymi ludźmi.

Poczuł łzy wzbierające pod powiekami. Trzy dni temu

pożegnał się z Gwynn i powiedział, że ją kocha, co było prawdą, bo nie wyobrażał sobie życia bez swojej żony. Ale kiedy stanął na krawędzi doliny, zrozumiał, że miłość do Uatah nigdy nie odeszła i nie zginęła śmiercią naturalną. Była w nim, żyła w nim i bolała tak samo jak dekadę temu, a każde wspomnienie paliło go żywym ogniem. Przez wszystkie te lata nauczył się myśleć o Uatah jak o kapłance i nie była ona dla niego nikim więcej. Tłumił w sobie wszelkie inne uczucia do niej, bo gdyby się im poddał, zaprzepaściłby wszystko.

A teraz ona czekała na niego tam, na dole, w domu swej matki, który teraz należał do niej, w domu z kamienia wykutego w skale wielkiego masywu.

Pamiętał mgłę, która spowijała dolinę tego dnia, gdy Brennus odjechał, a jemu pozwolono go pożegnać. I z mlecznych oparów wyłoniła się wówczas ona, młoda i piękna, świeża jak wiosenny poranek, z włosami koloru ognia, z oczami błyszczącymi miłością, chociaż wtedy mu jej jeszcze nie wyznała. Wówczas pierwszy raz ją objął, poczuł w ramionach jej ciało, takie kruche i delikatne, a przecież takie silne i zaprawione w boju.

Usłyszał kroki. Ktoś wchodził po kamiennych schodach. Znał ten dźwięk doskonale, potrafił go rozpoznać w niespokojnych snach, które śnił w dolinie. Czy jego życie stanie się ponownie snem?

- Spędzisz u niej jesień i część zimy - mówił mu Celtillognatos, który pod osłoną nocy towarzyszył jemu i Gwynn w drodze. Za Gergowią mieli się rozstać, Galvan

zdązał na północ, Gwynn i jego brat – na zachód, do Biturygów. – Kiedy usłyszysz o ogniu w kraju Karnutów, będzie to dla ciebie znak. Przyjadę po ciebie, gdy nadejdzie czas.

– Mówiłeś, że późną zimą – przypomniał Galvan.

– Tak. Gdy nadejdzie czas.

Druidzi i ich tajemnice – myślał Galvan ponuro, czekając, aż ten ktoś wyłoni się z mgły. Miał nadzieję, że to będzie Uatah, a nie jedna z jej wojowniczek. Jakże młode wydawały mu się teraz te dwudziestoparolatki, które wtedy, gdy on sam był chłopcem, postrzegał jako takie dorosłe, silne, doświadczone i straszne. Wiedział, że inni chłopcy o nich marzyli, śnili i robili różne rzeczy pod osłoną nocy, ale on śnił o Uatah, a jego serce od początku należało do niej.

Zza krawędzi przepaści wyłoniła się kobieca postać. W pierwszej chwili Galvan poczuł uścisk serca, wydawało mu się bowiem, że to młoda Uatah po niego przyszła, zaraz jednak się zreflektował, bo przecież kapłanka była od niego rok starsza, a przed nim stała młoda dziewczyna, która z pewnością nie miała jeszcze czternastu lat. Ukłucie rozczarowania było bolesne, ale Galvan w gruncie rzeczy spodziewał się, że kapłanka sama nie pofatyguje się po niego na górę. Scatah też by tego nie uczyniła, nawet dla jego ojca.

Dziewczyna podeszła bliżej i wówczas Galvan stwierdził, że to jeszcze dziecko. Była dość wysoka i chuda, ale kształty miała jeszcze dziecięce, a piersi ledwo co zaczynały rysować się pod jej szatą. Złocistorude włosy dziecka przetykane były tu i ówdzie rudymi pasmami, a oczy dziewczynki przywodziły

na myśl zimowe niebo.

Galvan w jednej chwili zrozumiał, kogo ma przed sobą.

- Aife - wykrztusił.

Córka uśmiechnęła się do niego.

Poczuł, że łzy płyną mu po twarzy. Padł na kolana i zaniósł się płaczem, nie mogąc nad sobą zapanować. Ostatni raz widział to dziecko, kiedy było niemowlęciem, a i wówczas ujrzał je tylko dlatego, że taka była wola Scatah. Przypomniawszy sobie tamten czas w dolinie, gdy łono Uatah pęczniało od życia, gdy kładł ręce na jej brzuchu i wyczuwał ruchy dziecka, gdy wreszcie zobaczył swoją córkę po narodzeniu i gdy trzymał ją w ramionach. Nie sądził, że będzie mu dane ujrzeć ją raz jeszcze.

- Ojczy - odezwała się dziewczynka. - Nie płacz. Jesteś już w domu.

Galvan otarł łzy i spojrzał na swoje dziecko.

- Wyrosłaś na piękną dziewczynę, Aife - powiedział słabym głosem.

- Chodź. - Córka wyciągnęła do niego rękę. - Trzeba iść. Czekają na ciebie.

- Twoja matka? - upewnił się Galvan.

- Tak. Widziałyśmy w snach, jak jedziesz. - Aife się uśmiechnęła, a Galvanowi przemknęło przez myśl, że widzi twarz Scatah. Przed tym dzieckiem nie istniały żadne tajemnice. - Chodź. Czas nagli. Twoja godzina wybiła.

Galvan podniósł się z klęczek i ujął wyciągniętą do niego rękę swej córki, po czym razem z nią zaczął schodzić kamiennymi stopniami do doliny, gdzie oczekiwało jego

przeznaczenie.

V

Galvan przez wiele lat zastanawiał się nad swoją pierworodną córką. Choć na co dzień nie miał na to czasu i oddawał się raczej bieżącym sprawom, to jednak kwestia Aife istniała i tak jak język co jakiś czas mimowolnie dotyka złamanego zęba, tak myśli ojca wędrowały do córki, której przecież nie znał. Miał czworo dzieci, w tym parę bliźnięt, jednak czym innym było obcowanie z dziećmi Gwynn, a czym innym wspomnianie i myślenie o córce Uatah. Kochał wszystkie swoje dzieci, ale Aife zajmowała szczególne miejsce w jego sercu. Być może dlatego, że była pierworodna, a może dlatego, że stanowiła po prostu owoc młodszej miłości, pierwszej, żarliwej i szalonej.

Schodził po kamiennych stopniach i trzymał Aife za rękę, bo nie był w stanie jej puścić w obawie, że dziewczyna zniknie. Docierało do niego powoli, że to dziecko stało się nagle człowiekiem z krwi i kości, podobnym do niego i do Uatah. Aife miała jego oczy, jego nos i policzki, nawet kolor włosów bardziej przypominał jego złoto niż ogień Uatah.

Spodziewał się, że Aife będzie taką samą rudowłosą, zielonooką kobietą jak jej matka i babka, tymczasem ona stanowiła żywe potwierdzenie jego ojcostwa, co do tego nie mógł mieć żadnych wątpliwości.

Uświadomił sobie również, że spotkał go niezwykle zaszczyt, gdyż kapłańskie dzieci zwykle nie znały swoich ojców ani ojcowie nie mieli o nich pojęcia. Zgodnie z prawem Galvan powinien był opuścić Uatah, gdy tylko dowiedział się o ciąży, a już w ogóle nie być świadkiem narodzin dziecka. A jednak Uatah uparła się, a Scatah z jakichś nieznanych bliżej względów przystała na prośbę córki i tym sposobem Galvan widział swoje dziecko po porodzie, mógł je przytulić, poczuć jego mleczny zapach i nigdy nie miał zapomnieć uczucia, jakie go ogarnęło, gdy maleńkie paluszki owinęły się wokół jego palca, a nieporadne śleпка szukały jego wzroku. Za to uczucie oddałby nawet teraz wszystkie królestwa świata, całą władzę, złoto i życie.

A teraz schodził do dobrze znanej sobie doliny, jednej z wielu w wielkim górskim masywie centralnej Galii, myśląc, że idzie przed nim nie tylko jego córka, ale również kapłanka. Aife w dwunastej jesieni życia zapowiadała się nie tylko na piękną kobietę, ale też na godną następczynię swej babki i matki. Zapewne Scatah byłaby z niej dumna, gdyby mogła ją widzieć, a Galvan nie wątpił, że ona widzi wszystko z jakiegoś miejsca w innym świecie, gdzie przebywają dusze ludzi umarłych i nienarodzonych. I nie wątpił, że pewnego dnia spotka się tam ze swoją teściową i mistrzynią.

Na widok długich drewnianych domów, w których

mieszkali chłopcy, poczuł ukłucie w sercu. Spędził w tej dolinie wiele lat, srogich zim, upalnych dni, jesiennych słońc, widział, jak wiosna znowu przychodzi na świat, oglądał ptaki odlatujące na południe, znał każdy skrawek tego miejsca, słyszał swój i Brennusa śmiech rozbrzmiewający w powietrzu. Gdy ujrzał kamienny dom Scatah, który teraz należał do jej córki, poczuł pod powiekami piekące łzy. Spędził ponad dziesięć lat z dala od tego miejsca, a jednak wciąż do niego należał. Tu przybył jako chłopiec i stał się mężczyzną, tu po raz pierwszy posiadał miecz, kobietę i wiedzę. Tu przyszło na świat jego pierwsze dziecko. Tu zaznał największej radości w życiu, która nigdy już się nie powtórzyła, jakkolwiek czuł później zarówno szczęście, jak i cierpienie. Stąd w końcu odszedł ze złamanym sercem, wiedząc, że zostawia w tym miejscu największą miłość swojego życia. I że to, co tu przeżył, już do niego nie wróci.

Nawet teraz szedł starymi ścieżkami jako inny człowiek. Minęła dekada, zmienił się on i zmieniła się Uatah, ich świat przeminął, znaleźli się w innej rzeczywistości, w innych okolicznościach, tylko ich dusze wciąż były takie same. Galvan wiedział, że wszedłszy w granicę doliny, przestał być wygnanym przez swoich naczelnikiem, że na chwilę znowu może stać się tamtym młodym chłopakiem, ale gdy chwila przeminie, nadejdzie czas walki i nic już nie będzie takie samo.

Gdy ujrzał Uatah na tarasie domu, poczuł, jak mocno bije mu serce. Biło jak oszalałe od momentu, w którym zaczął schodzić na dół, ale nie dopuszczał do siebie tej myśli.

Przecież on i Uatah widywali się wiele razy w ciągu tych lat, rozmawiali ze sobą, spali nawet pod jednym dachem, kiedy ona przyjeżdżała w różnych sprawach do Gergowii. Przez ten czas nauczyli się być dla siebie obcymi ludźmi, a przecież w dalszym ciągu byli jednością, mężem i żoną, rodzicami jednego dziecka, przyjaciółmi, kochankami, to ich szeptami wypełniona była ta dolina, ich miłością, radością i żalem, to ich cienie spacerowały po łąkach, to oni leżeli spleceni w miłosnym uścisku w księżycowe noce, a teraz znowu mieli stać się jednym ciałem i jedną duszą.

Jak zahipnotyzowany wchodził po schodach do domu, który opuścił wiele lat temu. Czy kiedykolwiek stąd odchodził? Czy ten czas w Gergowii nie był tylko snem? A może za moment obudzi się w łóżu z owczych skór, z młodą Uatah na swym ramieniu, by stwierdzić, że czas stoi w miejscu, że w jej łonie dojrzewa dziecko, a oni są nienasyconymi kochankami goniącymi swoją chwilę wieczności?

Gdy stanęła przed nim w pozie kapłanki, instynktownie opadł na kolana i pochylił głowę. Uatah wyciągnęła nad nim ręce w geście błogosławieństwa, szeptała coś, pradawne słowa, których on nie rozumiał. Czuł ogarniający go wielki spokój, jakby wrócił do domu. Między nim a dłońmi kapłanki pojawiło się coś niemal namacalnego, ale gdy Uatah cofnęła ręce, więź zniknęła, urwała się.

- Witaj w domu, Wercyngetoryksie - usłyszał jej głos.

Podniósł głowę i odniósł wrażenie, że ona nad nim góruje, choć to było tylko złudzenie. Chciał zrobić wiele

rzeczy naraz, ale nie potrafił. Czuł się całkowicie bezradny, jak jeszcze nigdy w życiu. Dziesięć lat temu porwałby ją w ramiona, ale czuł, że teraz to po prostu nie przystoi. W ciągu tych lat między nimi wyrósł mur, którego nie mógł zburzyć w jednej chwili. A może mógł, może ona tylko na to czekała, może tego chciała, ale wszystkie te sprawy wokół nich nie pozwalały jej okazać uczuć?

Podniósł się z klęczek.

Czy będziemy tak stać i udawać, Uatah? Przecież nie musimy zachowywać tych wszystkich konwenansów. Przecież czytasz w moich myślach, znasz moją duszę, czemu musimy być sobie obcy bardziej niż piętnaście lat temu?

Spojrzała mu prosto w oczy. Dostrzegł wokół nich kurze łapki, chociaż Uatah była jeszcze młodą kobietą. Między brwiami pojawiły się pionowe zmarszczki, jakby pogrążona w myślach nieustannie marszczyła czoło. Jej oczy miały zupełnie inny wyraz niż kiedyś, a przecież nie zaglądał w nie głęboko przez te wszystkie lata. Zniknęła młoda dziewczyna, zamiast niej stała dorosła kobieta, która poznała cierpienie i żal, kapłanka i wojowniczką, obdarzona magiczną mocą, rozmawiająca z bogami, potężna i groźna. Naraz uzmysłowił sobie, że zawsze taka była, tylko on widział ją nagą i bezbronną, bo pozwoliła mu na to.

- Poznałeś Aife - odezwała się.

- Tak, Uatah. Dziękuję - szepnął.

- To dobre dziecko. Podobna do ciebie. Myślę, że będzie z niej wspaniała kapłanka, chociaż ma dopiero jedenaście lat.

Będziemy stać i rozmawiać o dzieciach?

Uatah nieoczekiwanie uśmiechnęła się do niego.

- Galvanie, sądziłam, że lata nauczyły cię cierpliwości. Ale widzę, że z ciebie w dalszym ciągu jest mały chłopiec. Czekaleś na mnie pięć długich lat, nie możesz poczekać jednego popołudnia?

Tak, czekał wtedy pięć lat, żeby ją dostać. Przeszedł dla niej wszystkie próby, bo chciał, żeby była z niego dumna. Jego miłość do niej rodziła się powoli, budziła z dnia na dzień, wyrastała z podziwu i szacunku, a potem zasnęła, bo tak musiało być. Co stanie się, gdy opuści tę dolinę?

Nie chciał o tym myśleć.

- Dlaczego musiałem tu przyjechać?

- A nie chcesz najpierw wykąpać się i zjeść? - zaproponowała Uatah. - Łamiesz wszelkie prawa gościnności.

Mam gdzieś prawa gościnności. Chcę ciebie, póki mi wolno.

Spojrzała na niego w zamyśleniu. Ona nauczyła się panować nad sobą. Wiedziała, że on również. Czy zachowuje się tak, bo ogarnęła go nostalgia w tym miejscu, czy po prostu puściły wszelkie tamy, jakie zdołał zbudować w swej duszy? Nie jest dobrze, gdy człowiek kocha dwie kobiety, każdą inaczej, a jednak równie mocno. Gdy była młodsza, nie sądziła, że to możliwe, że dusza może się tak rozszczepić, a jednak takie było życie i tak się zdarzało, czego Galvan stanowił najlepszy przykład.

Zmienił się, ale niemal niedostrzegalnie. Dojrzał, był mężczyzną w pełnym rozkwicie swej męskości i siły. Nawet

nie zdawał sobie z tego sprawy, gdy roztaczał wokół siebie nieodparty męski czar. Ulegała mu, wiedziała o tym, instynkt, uczucia i pragnienia były silniejsze niż sądziła, a jednak Uatah potrafiła narzucić sobie dyscyplinę, a długie lata w roli kapłanki wyrobiły w niej żelazną wolę. Kiedy jednak znaleźli się blisko siebie, sami, bez wciąż otaczających ich postronnych ludzi, bez oskarżającego wzroku Gwynn, stali się nagle kobietą i mężczyzną, którzy ciągle czują do siebie niepohamowany pociąg, którzy, na siłę rozdzieleni, nigdy nie przestali się kochać i pragnąć.

Ból wdarł się w jej serce. Dla niej to niebawem się skończy. Wiedziała o tym. Ale co z nim? On będzie musiał żyć dalej.

Z połową duszy.

Gdy Galvan udał się do swojej izby, w której miał spędzić wiele nocy, sam nie wiedział, ile, Aife wślizgnęła się nieoczekiwanie ku jego zaskoczeniu.

- Widywałam cię w snach, ojciec - powiedziała, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. - Wiele razy do mnie przychodziłeś, ale pewnie nawet o tym nie wiesz. Widziałam cię u boku Cezara. Widziałam cię z moją siostrą i braćmi. I z Gwynn.

Ojciec spoglądał na córkę stropiony. Doprawdy Aife nie przemawiała jak jedenastolatka, ale jak dorosła kobieta. Uświadomił sobie, że jej matka również taka była - dorosła, dojrzała, posiadająca wiedzę, o jakiej jemu się nie śniło. Tyle że dla niego Uatah była młodą, niewinną dziewczyną, a Aife

stanowiła ewenement. Była córką, której nie znał, a którą na przekór logice całe życie nosił w sercu.

- Nie musisz nic mówić. - Dziewczyna się uśmiechnęła. - Wiedziałam, że przyjedziesz. Gdy opuścisz tę dolinę, ja pojedę do Brytanii i spędzę tam wiele lat. Ale któregoś dnia spotkamy się znowu, ojcze. A gdy nadejdzie czas, przeprowadzę cię na drugą stronę.

- Wiesz takie rzeczy? - wykrztusił.

- Wiem wiele. Ale nie mogę ci zdradzić przyszłości, bo każdy człowiek musi pozostać nieświadomy swego losu. Gdybyś wiedział więcej, nie chciałbyś już żyć.

Galvan zastanowił się nad jej słowami. Miała rację. Gdyby znał swą przyszłość, życie stałoby się nudne i uciążliwe, a cały jego urok polegał na wielkiej niewiadomej, którą niosło ze sobą.

Córka nieoczekiwanie podeszła bliżej, po czym zarzuciła ojcu ręce na szyję, jakby to robiła codziennie. Galvan objął ją i przytulił. Pierwszy raz od dziesięciu lat dotykał swojej córki, czuł jej bijące serce przy swoim i myślał, że Aife jest cudem, któremu on dał życie.

A potem spojrzęła mu w oczy i świat zawirował. Znaleźli się w bezkresnej przestrzeni, gdzie ciemność rozjaśniana była przez olbrzymią kulę światła, a pod ich stopami ziemia wirowała w swym codziennym tańcu. Wokół nich przetaczały się planety, wielkie i mniejsze, a dalej migotały gwiazdy, całe ich miliardy, nieskończone i niezliczone, czerwonożłote mgławice, biała mleczna droga, srebrzysty księżyc, który teraz wydawał się ledwie kropką w nieskończoności

kosmosu.

Oczy córki stały się niezgłębionym oceanem, który huczał i wirował pod nimi. Masy wody przelewały się i kipiały, spienione fale uderzały wysoko w górę.

Dlaczego mi to pokazujesz?

Aife się uśmiechnęła. Jej twarz stała się twarzą Scatah, a potem Uatah.

Jesteśmy jednością. Jesteśmy częstką nieskończoności.

Ujrzał swoją matkę, Geillis, wijącą się w bólach porodowych. Jej ciałem wstrząsały skurcze, pot spływał po twarzy, raz po raz wydawała z siebie krzyk, aż wreszcie z jej łona wyszło dziecko, które ona przytuliła do piersi.

TY JESTEŚ WYBRAŃCEM. OSTATNIM Z WIELKICH.

Ujrzał Scatah, która wzięła noworodka na ręce. Na jej twarzy malował się ten szczególny wyraz, jakby kapłanka spoglądała w przyszłość. Widziała to, co potem pokazywała jemu.

A TERAZ CZAS SIĘ WYPEŁNIŁ I TWYM ZADANIEM JEST ZJEDNOCZYĆ NAS WSZYSTKICH, PORUSZYĆ CAŁĄ GALIĘ, ZANIM NADEJDZIE KONIEC, WZNIECIĆ W CELTACH DUCHA WALKI I JEDNOŚCI. TYLKO TY MOŻESZ TEGO DOKONAĆ, OCALIĆ NASZ NARÓD, DAĆ NAM SIŁĘ I MOC NA NASTĘPNE MROczne STULECIA.

Scatah szła ku niemu wśród mgławic. Była naga, włosy spływały jej ognistą kaskadą na ramiona, oczy lśniły złoto i zielono, a na szyi połyskiwał torkwes, chociaż nigdy jej w nim nie widział.

- Już czas, Wercyngetoryksie - przemówiła. - Zasnąłeś na

wiele lat, ale teraz przebudzisz się raz jeszcze, odrodzisz się, staniesz się wojownikiem.

- Rzymianie są zbyt potężni, nie pokonam ich sam. -
Usiłował się sprzeciwić.

- Pokonasz, nie pokonasz, będzie tak, jak zechcą bogowie.

- To dlaczego mnie wybrałaś?

- Nie ja. Bogowie cię wybrali. Jesteś wojownikiem, Wercyngetoryksie, zawsze byłeś i zawsze będziesz. Twym zadaniem jest zjednoczyć naród, by stał się silny i niepokonany.

- A Uatah?

- Ona ma własne powołanie i nie zmienisz go, nawet gdybyś chciał.

Podeszła do niego. Poczuł jej dłonie nad swoją głową, chociaż wcale go nie dotykała.

- Już czas. Dam ci swoją siłę, byś mógł dokonać niemożliwego.

Poczuł falę mocy przetaczającą się przez jego ciało. Opadł na kolana, nie będąc w stanie temu podołać. Nie wiedział, czy śni, czy oszalał, zresztą przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Rozpierało go gorąco.

Dłonie się cofnęły. Klęczał na ziemi w swej izbie. Aife stała nad nim, pot spływał jej po skroniach, widocznie nie nawykła do tego rodzaju wysiłku.

- Król umiera za swój lud - odezwała się nagle pustym, martwym głosem.

- Ale ja nie jestem królem.

Aife uklękała obok ojca. Jej oczy były straszne, czarne jak piekielna otchłań, mroczne, niebezpieczne. Zrozumiał, kim ona jest. Posiadała moc potężniejszą niż jej matka i babka. Zrodzona z brata i siostry, poświęcona bogom, była nie tylko boskim naczyniem, ale również posłańcem śmierci, pod niewinną twarzą kryła się zupełnie inna postać, która teraz objawiła mu się nieoczekiwanie w całej krasie.

- Gdy Scatah ochrzciła cię swoją krwią, nadała ci imię godne twoich czynów - powiedziała nie swoim, ochryłym głosem. - Wielki Król Wojowników, który poprowadzi Celtów do ostatniej bitwy. To ty jesteś światłem w ciemnościach, jakie zaleją Celtykę. Scatah nie rozumiała wszystkiego, co bogowie chcieli jej przekazać. Wercyngetoryksie, jesteś ostatnim wielkim królem Celtów, zanim narodzisz się ponownie na tej ziemi, a twój los jest zapisany w gwiazdach. Twoja godzina wybiła.

Spojrzał na nią z nagłym przestraszeniem. Stała nad nim wyprostowana, groźna i straszna, chociaż nie umiał powiedzieć, czym wzbudza przerażenie. Była demonem, ciemnym obliczem bogini, zwiastunem nieszczęść, była ciemną stroną księżyca, córką Disa i Ceridwen, jej nieznaną czwartą twarzą, do której się nie modlono i której się bano. A jednocześnie była przecież dziewicą, słodką i niewinną, na której widok ogarniało człowieka wzruszenie.

- Nie dziw się - przemówiła ponownie. - Zjawiłam się, bo nadchodzą ciemności. Będę prowadzić Celtów przez mroki, które ty rozjaśnisz.

Uklękała przed nim i znowu stała się ślicznym dzieckiem.

- Ale ty nie musisz się mnie bać, ojczy - szepnęła. - Nie masz we mnie wroga. Wszyscy jesteśmy tylko częścią kosmosu, boskim pyłem na wietrze, ziarenkiem piasku na pustyni. A gdy się znowu spotkamy, objawię ci się w innej postaci.

Uśmiechnęła się do niego i wstała, a po chwili wyszła niemal tanecznym krokiem. Galvan oddychał ciężko. Zrozumiał, że tego oblicza Aife nie pokazała dotąd nikomu i że nawet Uatah nie śniło się, kim naprawdę jest jego córka. On sam z trudem ogarniał to rozumem, nie potrafił pojąć jej słów, nie mieściło mu się to w głowie.

Po raz pierwszy w życiu poczuł strach, bo zrozumiał, że postawiono przed nim znacznie trudniejsze zadanie niż pokonanie Rzymian.

Dopiero przy wieczerzy Galvan zdołał odzyskać równowagę po atrakcjach tego dnia. Wcześniej zażył kojącej kąpieli w przygotowanej dla niego izbie i kiedy zanurzony w gorącej wodzie zamknął oczy, zdało mu się, że jest znowu tamtym dwudziestoletnim chłopakiem w noc przed swoją inicjacją. Świadomość, że gdzieś tam po sąsiednich pomieszczeniach przechadza się Uatah, napełniała go jednocześnie wzruszeniem i strachem. Minęło tyle lat, że niemal zapomniał jej zapach i smak, ale wystarczyło jedno zamknięcie oczu w wannie, by pamięć wróciła błyskawicznie.

Po jakimś czasie, który wydał mu się nieskończenie długi, wygramolił się ze stygnącej wody i skrupulatnie wytarł zostawionym przez kobiety ręcznikiem. Uświadomił sobie

z bólem serca, że jest to ta sama izba, w której ongiś doświadczył inicjacji, i pomyślał, że Uatah nie przez przypadek wybrała akurat ten pokój. Widocznie chciała mu dać do zrozumienia, że dzisiejsza noc będzie tak samo ważna jak tamta. Sam nie wiedział, czego się spodziewać. Toteż kiedy ubrał się w czyste szaty, zaplótł rozczesane włosy w warkocz i zgolił kilkudniowy zarost, poczuł się na tyle pewnie, że był w stanie dołączyć do swojej córki i jej matki przy kolacji.

Dziwnie mu było tak siedzieć za stołem z tymi kobietami w tym miejscu. Kiedy ostatni raz spożywał tu posiłek, panią domu była Scatah, a Uatah siedziała mniej więcej w tym samym miejscu, które teraz zajmowała Aife. Niby nic się nie zmieniło, a jednak wszystko było inne. Uatah na okoliczność wspólnego posiłku włożyła piękną szatę zamiast swoich tunik, futrzanych spodni i pancerzy. Prezentowała się wspaniale, jej miedziane włosy były kunsztownie upięte, na szyi połyskiwał torkwes, na przegubach rąk złote bransolety, a w uszach pięknie zdobione kolczyki. Widocznie chciała mu się podobać albo podkreślić swoją rangę jako pani doliny. Nie musiała. Galvan, patrząc na nią, czuł skurcz serca.

- Jak ci minęła podróż? - zapytała Uatah, kiedy odziane w biel kobiety zaczęły wnosić półmiski z parującym jedzeniem i dzbany z napojami.

- Znośnie - odparł zwięźle. - Wyjechałem czym prędzej po wiecu.

- Wiem - stwierdziła Uatah ze znudzeniem. - Celtillognatos przesłał mi wiadomość. Doprawdy twój wuj

mnie nie zaskoczył. Spodziewałam się, że tak będzie.

- Jak on mógł wystąpić przeciwko mnie! - rozzłościł się Galvan, przeżywając doznane upokorzenie raz jeszcze.

- Mógł, bo zagroziłeś jego interesom - zauważyła Uatah trzeźwo. - Od zawsze sprzyjał Rzymianom. Oni stanowią dla niego źródło zysku.

- On jest kowalem, na miłość boską - jęknął Galvan. - Mógł na tym poprzestać.

- Nic tak skutecznie nie rozpala w ludziach żądz jak bogactwo. - Uatah się uśmiechnęła. - Bogactwo i władza. Gobannicjon przez te wszystkie lata był albo szwagrem naczelnika, albo jego wujem. A teraz sam nim został, chociaż formalnie to ty nadal sprawujesz władzę. Nikt cię wszak nie odwołał z funkcji.

- Nie o to chodzi - mruknął Galvan. - Tylko o sam fakt. Zastępował mi ojca przez te wszystkie lata, stał po mojej stronie, kiedy mściłem się na Cynnusie, a teraz nagle się mnie wyparł.

- Bolesne, czyż nie?

W głosie Uatah było coś takiego, że Galvan mimowolnie podniósł na nią wzrok znad swojego kawałka pieczeni wołowej.

- Twój ojciec został zdradzony przez własnego brata - przypomniała mu.

- A właśnie. - Galvan się zamyślił. - Co się tak naprawdę stało z Cynnusem?

Uatah podniosła na niego oczy. Galvan stwierdził, że we wzroku kapłanki czai się coś na kształt przerażenia.

A przecież ona sama była przerażająca.

- W każdym razie nie żyje - powiedziała lodowatym tonem. - Zmarł tutaj, w tym miejscu, i został spalony i pogrzebany. Nie pytaj mnie o to nigdy więcej. Nie chcę do tego wracać.

Błękitne oczy Aife zalśniły nagle złotawo w blasku ognia. Galvan odniósł wrażenie, że dziewczynka się uśmiechnęła, ale mogło mu się tylko wydawać. Czuł się niepewnie w obecności tego dziecka, bał się go, jakkolwiek miał świadomość, że pod tym dachem nic złego mu nie grozi i że Aife nie jest do niego negatywnie nastawiona. Zastanawiał się, w jaki sposób odniosłaby się do swoich wrogów, i doszedł do wniosku, że nie chce tego jednak wiedzieć.

- Co teraz będzie? - wrócił do tematu. - Kazałaś mi tu przyjechać, ale właściwie po co? Mogłem udać się w inne miejsce.

- Tu nikt nie odważy się ciebie ścigać - odparła Uatah spokojnie. - A poza tym niewiele osób wie, że tu jesteś. Zapadłeś się pod ziemię i niech twoi niedawni współplemieńcy dociekają, u jakiego sojusznika przebywasz. A może u Cezara?

Zaśmiała się złośliwie. Galvan nic na to nie powiedział. Zdawał sobie sprawę, że u byłej żony jest faktycznie najbezpieczniejszy, a poza tym Uatah miała jakieś mroczne powody, żeby go tu ściągnąć. Tego też nie chciał wiedzieć.

Po skończonym posiłku Uatah odesłała córkę na spoczynek, a Aife posłuchała bez szemrania. Patrząc na to potulne dziecko, Galvan nie mógł uwierzyć, że to ta sama

istota, która objawiła mu się tego dnia. Widział po prostu piękną dziewczynkę, w życiu do głowy by mu nie przyszło, że ona może być kimś więcej... czymś więcej... sam nie wiedział już, co było prawdą, a co wymysłem jego wyobraźni. Ale magiczny ogień, miecz i most były prawdziwe, przynajmniej tak długo, jak on sam w to wierzył. Czy moc Aife też była ułudą?

Czekał na dalszy rozwój wydarzeń. Sam nie wiedział, czego tak naprawdę chce.

Po twarzy Uatah przebiegł leniwy uśmiech.

- Galvanie - zaczęła cichym głosem. - Gdybyś wiedział, że została ci tylko jedna zima, że twoje życie dobiega kresu, czego najbardziej byś pragnął przed ostateczną walką?

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc.

- Pamiętasz, jak wtedy nad rzeką powiedziałam ci, że z tobą nie ucieknę?

Przymknął oczy. Jego serce przeszył ból. Był wtedy gotów porzucić żonę i nowo narodzone dzieci, byle tylko być z nią.

- Pamiętam.

- Gdybym to zrobiła, i tak nie odwróciłibyśmy biegu wydarzeń, bo nasz los zapisany jest w gwiazdach. Prędzej czy później znaleźlibyśmy się w przededniu naszego przeznaczenia. Nie uciekniemy przed nim, ani ty, ani ja.

Galvan poczuł niepokój. Uatah wstała i podeszła do niego wolnym krokiem. Czuł na sobie jej spojrzenie, ale w niczym nie przypominało ono spojrzenia tamtej młodej dziewczyny, chociaż tak samo przepalało mu duszę.

- Serce człowieka tak jest stworzone, że nigdy nie zapomina pierwszej miłości - szepnęła. - Gdybym miała jedną jedyną zimę, zanim umrę, chciałabym ją spędzić z tobą, żebym mogła w następnym świecie wspominać moje ostatnie chwile.

- Uatah, co ty mówisz?

Położyła mu rękę na ustach.

- Przyjdzie czas na wtajemniczenie i plany - powiedziała cicho. - Moja matka w swej mądrości pozwoliła mi skosztować rozkoszy miłości, wiedząc, że zapłatą za to będzie ból. Ale ja nie żałuję swojej decyzji, bo wszystkie te lata warte były każdej chwili z tobą.

- Dlaczego mi to mówisz? - zapytał bez tchu.

- Bo chociaż wybrałam obowiązek i tobie narzuciłam to samo, to nigdy nie przestałam cię kochać i przez całe moje życie byłeś jedynym mężczyzną, dla którego biło moje serce, Galvanie.

Odsłoniła się. Wiedział o tym. Zrzuciła zbroję, którą przywdziała po ich ostatecznym rozstaniu. Stała przed nim naga, pozbawiona swego uroku kapłanki, mocy, potęgi i wszystkich tych straszliwych atrybutów, które czyniły z niej przerażającą władczynię. Stała przed nim kobieta, samotna, stęskniona, spragniona jego miłości. Jej oczy błyszczały w półmroku, Galvan nagle stwierdził, że odnalazł tamtą dziewczynę sprzed lat. Bez słowa wstał i zamknął ją w ramionach. Na wpół zapomniane uczucie uderzyło go z ogromną mocą, zalało go gwałtowną falą, obezwładniło, kiedy cofając się w czasie o dziesięć lat, szukał jej ust.

Ramiona Uatah oplotły jego szyję, jej ciało przylgnęło do niego, jej zapach wypełnił jego zmysły, jej bliskość odebrała mu rozum tak jak kiedyś. Czas się zatrzymał. Świat się rozplątał. Galvan całował Uatah z narastającą żarliwością.

A potem wziął ją na ręce i zaniósł do swojej sypialni.

Głowa kapłanki spoczywała na piersi Galvana, jej dłonie samoistnie muskały jego skórę, a jego ręce gładziły jej włosy. Leżeli objęci, spleceni nogami, wtuleni w siebie, spoceni i zdyszani, a ich serca biły tym samym rozpędzonym rytmem. Blask księżyca wpadał przez niedomknięte okiennice, nadając pomieszczeniu niesamowity, magiczny charakter. Galvan miał wrażenie, że przeniósł się w czasie. Miał to uczucie już od dłuższego momentu i nawet widok nagiego, cokolwiek zmienionego ciała Uatah nie był w stanie tego wrażenia zatrzeć. Zmieniła się, dojrzała, miała pełniejsze biodra i cięższe piersi, co nie było niczym dziwnym po urodzeniu dwojga dzieci. A jednak leżąc obok niej, czuł się tak samo jak u boku tamtej młodej dziewczyny, świeżej i nietkniętej. Odnosił wrażenie, że oszalał.

- Tęskniłem za tobą - szepnął w jej włosy. - Nie rozumiem tego, nie wiem, jak to możliwe, ale nie przestawałem o tobie myśleć nawet wtedy, gdy zajęty byłem całkowicie innymi sprawami. Mam żonę, którą kocham nad życie, mam dzieci, miałem inne kobiety, i to nawet sporo, a jednak ty wciąż gościsz w moim sercu, w mojej duszy, wciąż od nowa do ciebie wracam i moje życie tak naprawdę jest pełne twojej obecności.

Uatah milczała. Czekwała.

- Wciąż cię kocham - padły upragnione słowa.

- Mnie czy tamtą Uatah z doliny? - zapytała drżącym głosem.

- Jedną i drugą. - Galvan się uśmiechnął. - Doprawdy masz rację, mówiąc, że serce pamięta pierwszą miłość. Że nigdy jej nie zapomina.

Po twarzy Uatah przebiegł uśmiech, którego on się bardziej domyślił, niż który zobaczył.

- Co dalej? - zapytał.

- Nie chcę o tym myśleć - mruknęła. - Nie dzisiaj, nie teraz.

- Będziesz musiała prędzej czy później - stwierdził bezlitośnie.

- Kiedy mnie zostawiłeś, myślałam, że serce mi pęknie - powiedziała nagle. - Chciałam umrzeć, życie straciło dla mnie jakikolwiek sens, każdy dzień przepełniony był cierpieniem i gdyby nie Aife, niechybnie bym się zabiła. I gdyby nie moja matka. Nie sądziłam, że jestem taka słaba, a przecież wiedziałam, co mnie czeka, jeśli z tobą zostanę. Nie chciałam się w tobie zakochać. Tak po prostu wyszło.

- Usprawiedliwiasz się?

- Dziwnie mi tak mówić. Zastanawiałam się wiele razy, jak by to było, gdybym mogła z tobą być. Gdybyśmy uciekli. Ale wiem, że nic byśmy nie zwojowali, bo przeznaczenie i tak by nas dopadło. Kiedy ożeniłeś się z Gwynn, miałam ochotę cię zabić z zazdrości, chociaż wiedziałam, że to sojusz i konieczność.

- Uwierz mi, że nie miałem specjalnej ochoty na to małżeństwo. Gwynn była słodką dziewczyną, zakochaną we mnie po uszy, a ja nie chciałem jej ranić, bo lubiłem ją i ostatecznie wychowałem się w domu jej matki. Widziałem, jak przyszła na świat. - Uśmiechnął się na to wspomnienie. - Potem ją pokochałem. Jest wspaniałą kobietą. Jest odważna i mądra, jest szczerą i dobrą, kocham ją i szanuję, nie zamieniłbym jej na żadną inną... Ale nadal kocham ciebie, Uatah. Jesteś wyryta w moim sercu, mam cię we krwi, w pamięci, w duszy, jesteś moją żoną i siostrą, jesteś moim głosem w ciemności. Moją drugą połową.

- To wszystko prawda.

Galvan pogładził jej twarz.

- Myślisz, że w następnym życiu też się spotkamy? - zapytał z lekkim uśmiechem.

Uatah nie musiała się zastanawiać nad odpowiedzią.

- Tak - odparła zdecydowanie. - Tak nam przeznaczone.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Galvanie, są pewne sprawy, o których wiem. Ty i ja stanowimy całość i nic nie jest w stanie tego zmienić.

Galvan się zamyślił. Drugi raz tego dnia usłyszał wzmiankę o wieczności i przeznaczeniu, a jednak coś w jego wojowniczej duszy buntowało się przeciwko takiemu myśleniu. Chciał sam o sobie decydować, a nie poprzestawać na roli bezwolnej zabawki w rękach bogów.

- A co z Gwynn w takim razie? - zapytał. - Czy ona też stanowi część jedności i przez wszystkie kolejne żywota będziemy połączeni w trójkącie, ty, ja i ona?

Uatah się roześmiała.

- Są też pewne sprawy, o których nie wiem nic - wyznała. - Nie widzę przyszłości Gwynn w innym czasie. Coś mi ją przesłania i nie jestem pewna, czy chcę przez te zasłony spoglądać.

Nie chcesz - pomyślał Galvan. - Nie chcesz dopuścić do siebie myśli, że w innym życiu znowu zostaniesz odsunięta na bok w imię większego dobra i poświęcenia. W rzeczy samej wystarczająco się poświęciłaś.

Wielokrotnie zastanawiał się, co by było, gdyby nie twarde prawa kapłanek, które, zdaniem Galvana, były całkowicie pozbawione sensu. Ale Scatah wyjaśniła mu, że kapłanka nie może oddać się jednemu mężczyźnie, bo taka miłość zaślepiłaby ją i skierowała na dalszy plan to, co istotne, czyli sprawy boskie. I być może miała rację, bo widział przecież sam, że Uatah odsuwała dla niego ważne sprawy, sama się do tego zresztą przyznała tego wieczoru. Gdyby zostali razem, bez wątpienia poświęcałaby znacznie więcej czasu i uwagi jemu, zamiast studiować boskie nauki. To pewnie dlatego kapłanki z Sein wybierały życie w samotności, czy może raczej bywało im ono narzucane, co nie oznacza, że stroniły od ludzkich przyjemności, ale nawet ta część życia podporządkowana była obrzędom i magii. Kapłanka nie kładła się z mężczyzną wiedziona miłością czy nawet pożądaniem, ale obowiązkiem, ewentualnie chęcią. A jeśli sama sobie wzięła przyjemność przy tej okazji, to była jej sprawa.

Nagle ogarnęło go współczucie dla Uatah. Pewnie gdyby

jej wtedy nie zawrócił w głowie, byłaby znacznie szczęśliwsza. Przeżyłaby te lata w spokoju, wychowywałaby swoje dzieci, uczyła nowych młodzieńców, szkolila wojowników, doradzała naczelnikom, spełniała swoje boskie i ludzkie obowiązki bez tego bólu, który od ponad dekady szarpał jej wnętrze.

Uatah skierowała na niego uważne spojrzenie.

- Być może, Galvanie - szepnęła w zadumie. - Ale byłabym wówczas znacznie uboższa.

Galvan ją pocałował. Już prawie zapomniał, jak to było, ale wystarczył jeden wieczór, by pamięć mu wróciła. Przez te wszystkie lata była dla niego jedynie kapłanką, ale tego wieczoru na powrót stała się wyłącznie kobietą. Złączyli się w namiętności, o jakiej nie śnili, będąc młodymi ludźmi. Wtedy odkrywali siebie nawzajem w radosnym zdumieniu, cieszyli się i poznawali arkana miłości. Teraz wyglądało to zupełnie inaczej - oboje wiedzieli, czego chcą, i znali się, a przynajmniej pamiętali. Uatah oddała mu się tak naturalnie, jakby nigdy nie wyszedł z jej łóża, a on przyjął to bez zdumienia, jakby nigdy tego łóża nie opuścił.

- Co będzie dalej? - zapytał.

- Przeznaczenie. Tak się niecierpliwisz?

- Boję się. Boję się tego, co przede mną. Boję się, że cię stracę, że zostanę nagle z gołymi rękami, bez ciebie i bez najmniejszej szansy, żeby cię znowu mieć. Mam straszne przeczucie, że to są nasze ostatnie chwile, że nigdy już więcej nie wezmę cię w ramiona.

- Przecież z taką świadomością żyłeś przez ostatnie lata -

stwierdziła spokojnie. - I jakoś nie łamałeś sobie nad tym głowy.

Galvan uniósł się na łokciu i spojrzał jej w oczy lśniące w księżycowym blasku.

- Mylisz się, Uatah - powiedział niemal zjadliwie. - Żyłem nadzieją, że jeszcze kiedyś się z tobą połączę, i było to marzenie o tyle bolesne, co nierealne. Nie prosź mnie, bym ci to tłumaczył, bo doprawdy nie umiem. Ale uwierz mi, tkwiłaś w moim sercu i w mojej pamięci, w mojej nadziei i marzeniach, pomimo że miałem u boku żonę i dzieci, ty ciągle i niezmiennie byłaś obecna w moich myślach. I ja wiedziałem, Uatah, wiedziałem, że któregoś dnia znowu będziesz moja. To mi dawało spokój. A teraz...

Urwał. Uatah patrzyła mu w oczy jak zahipnotyzowana, bo wiedziała, co on chce powiedzieć.

- Teraz ogromnie się boję, że to już koniec - wyrzucił z siebie z rozpaczą. - Gdybym mógł, zostałbym tu z tobą na zawsze. Ale wiem, że ty odmówisz, bo Scatah wpoila w ciebie ten przeklęty obowiązek.

- To prawda - mruknęła niechętnie.

- A co, gdybym ci jeszcze raz zaproponował ucieczkę? Gdybyśmy zabrali Aife i odjechali stąd? A co, jeśli ci powiem, że Galia mało mnie obchodzi, a Cezar jeszcze mniej? Niech sobie zajmuje, co chce, pokój z nim. A my żylibyśmy gdzieś daleko, razem, na zawsze, wychowując naszą córkę.

Uatah zamknęła oczy. Tak, widziała tę alternatywę za każdym razem, gdy wracała myślą do tamtego dnia nad rzeką. Mogliby uciec, żyliby na Albionie albo w Eire, albo

gdzieś jeszcze dalej na północ. Albo uciekliby do Egiptu, gdzie jest ciepło i pięknie, albo do Hellady, albo do Azji, na jej niezmiernie, jak mówią, stepy. Żadna siła by ich nie powstrzymała. Żadna inna od nich samych. Urodzili się w określonym celu, ona była kapłanką, on wojownikiem i nic nie mogło tego zmienić. I nawet po latach tułaczki każde z nich usłyszałoby swoje powołanie i wróciło, by spotkać przeznaczenie. Wiedziała o tym.

Myślała o Lorelei, która nie uniknęła swego losu. Myślała o swojej matce, która nie ulękła się śmierci, wybrała obowiązek nad miłość do ojca jej i Galvana. Gdyby ona, Uatah, teraz odjechała w nieznane, byłaby to największa możliwa hańba.

A jednak cała jej dusza wprost rwała się do zanurzenia w owej hańbie bez względu na konsekwencje, podczas gdy myśl o obowiązku i jego następstwach przyprawiała ją o skręt kiszek. Gdyby cofnęła się w czasie o dziesięć lat i jeszcze raz usłyszała prośbę Galvana nad rzeką, nie wahałaby się ani chwili. Ale tamten moment minął, pytanie padło, padła odpowiedź. Choćby nie wiadomo jak się starała, Uatah nie mogła odwrócić biegu czasu, tak jak nie można zawrócić nurtu rzeki. Ich czas był policzony, tak samo jak wtedy. Nie czekała ich przyszłość bez końca, zwieńczona wspólną starością i wspomnianiem dni młodości. A jednak leżąc u boku ukochanego mężczyzny, Uatah miała pewność, że warto było obdarzyć go uczuciem, bo nic tak nie wypełniło jej życia jak właśnie owa miłość.

Galvan całą jesień spędził w dolinie Scatah, gdzie czas się dla niego zatrzymał. Gdy później wracał myślami do tego okresu, odnosił wrażenie, jakby cofnął się o dekadę, wrócił do poprzedniego życia, a jednocześnie przecież przeżywał je w dalszym ciągu, szedł do przodu z dnia na dzień, czego najlepszym dowodem była Aife, która w końcu nie istniała jeszcze, kiedy on i Uatah związali się ze sobą. Odnosił wrażenie, że całe życie, cała rzeczywistość odsunęły się od niego, nagle nie było zagrożenia w postaci Rzymian, przestały istnieć Gergowia, Galia, cały świat, oddaliła się postać Gwynn, nie liczyła się Geillis, nie istniał nawet Gobannicjon. Wszystko odsunęło się w niebyt, kiedy on i Uatah na nowo przeżywali swoje dni w oparach jesiennej mgły w dolinie Scatah.

To było tak, jakby codziennie namaszczała go na nowo na wojownika. Galvan doskonale pamiętał, jak mu powiedziała, że raz jeszcze go kiedyś wyświęci na wodza. Każdego wieczoru, kiedy udawali się na spoczynek, pytał, czy to ta chwila.

- Jeszcze nie teraz - odpowiadała Uatah, a oczy lśniły jej jak gwiazdy na jesiennym niebie. Galvan wiedział, że ona na coś czeka.

Każdego wieczoru kochał się z nią, łączył w boskim zespoleniu, patrzył na nią w zachwycie, sycił się jej urodą, prowadził na wyżyny rozkoszy, a potem tulił w ramionach, wplatał palce w miedziane kaskady jej włosów, całował jej usta i pozwalał, by ona całowała jego twarz, ramiona, ręce, jakby chciała się nim nasycić, jakby się z nim żegnała... Było

w ich zbliżeniach coś tragicznego, jakiś rys, który wcześniej nie istniał, którym ich młodzięcze uniesienia nie zostały nigdy naznaczone. Czasem budził się w nocy na dźwięk jej tłumionego płaczu. Nie pamiętał, by Uatah płakała, nigdy wcześniej jej się to nie zdarzyło w jego obecności, toteż dziwnie się czuł w takich chwilach, ale kiedy zamykał ją w ramionach, tuliła się do niego ufnie jak dziecko, nie kryjąc się ze swoim smutkiem, który jej rozsadzał serce. I czy tego chciał, czy nie, w jego serce wdzierało się powoli zrozumienie, świadomość, której wcale sobie nie życzył, że to ich ostatnia jesień i ostatnia zima, cokolwiek miałyby się potem stać. Przeczucie to napełniało go niewymownym smutkiem, ale z każdym minionym dniem stawało się coraz jaśniejsze i wyraźniejsze.

- To będzie koniec, czy nie tak? - zapytał ją któregoś wieczoru, krótko przed zimowym przesileniem.

Siedzieli w wielkiej sali, w której na palenisku buchał ogień. Jego czerwone i złote płomienie przywodziły mu na myśl włosy Uatah, ciepło rozchodziło się po komnacie, cienie tańczyły na kamiennych ścianach. W siedzisku wymoszczonym futrami siedziała Aife, na pozór całkowicie pochłonięta tkaniem, jednak jej oczy co i raz wędrowały do rodziców, którzy przytuleni, spleceni ze sobą, na wpół leżeli na okrytym futrami łożu za stołem.

Galvan nie chciał usłyszeć tych słów, ale w końcu musiał się dowiedzieć. Im szybciej mijały dni jesieni, im więcej złotych i czerwonych liści opadało z drzew, tym większy niepokój go ogarniał, jakby Uatah przekazywała mu swoje

uczucia i swoją niecierpliwość. Wyczekiwała, wiedział o tym, ale nie miał pojęcia, na co ona czeka. Zapomniał już, czego uczył go w nemetonie Maerin, ale nauki druidów żywe były w Uatah i jej córce.

Na dźwięk jego głosu kapłanka drgnęła. Uniosła wzrok i spojrzała Galvanowi w oczy.

- Tak, Galvanie, to będzie koniec - przyznała zmienionym głosem. - Kiedy nadejdzie dzień, kiedy naznaczę cię jako króla, jako wodza, wstąpisz na drogę swego przeznaczenia i nigdy już w tym życiu nie będziemy dla siebie mężem i żoną.

- A kim wobec tego? - zapytał zduszonym głosem.

- Wojownikiem i kapłanką - odezwała się Uatah po dłuższej chwili.

Galvan przesunął ustami po jej czole.

- Dlaczego tak musi być? - westchnął.

- Bo w tym życiu musimy wypełnić takie zadanie, jakie nam dali bogowie - odparła Uatah tym samym głosem. - Jeśli będziemy posłuszni, w następnym życiu czeka nas nagroda.

Galvan pomyślał przez chwilę, że następne życie niewiele go obchodzi, skoro nadal trwa obecne. Nie wiedział, co go czeka po drugiej stronie i prawdę mówiąc, odczuwał pewien lęk przed śmiercią, nawet po tylu latach spędzonych na naukach, nawet po tylu stoczonych bitwach, bał się tego, co jest za bramą wieczności, bał się, że tam zostanie całkowicie sam i nigdy już nie zobaczy Uatah.

Oczy Aife zalsniły w blasku ognia.

- Śmierć to tylko kolejny etap, ojczy - odezwała się

nagle. - Boisz się jej, bo nie wiesz, co jest dalej.

- A ty wiesz? - zwrócił się do córki Galvan, chociaż sam nie wiedział, dlaczego to robi. Aife go przerażała, fascynowała i intrygowała.

- Nic, czego mielibyśmy się bać - odparła.

Galvan nie znalazł odpowiedzi na to stwierdzenie. Usłyszał to, czego usłyszeć nie chciał i smutek opanował jego serce. Wrócił myślami do wszystkich poranków, kiedy budził się obok Uatah, jakby jego życie nigdy się nie przetoczyło, jakby nigdy nie był mężem Gwynn, ojcem czwórki dzieci, jakby nigdy nie walczył u boku Cezara, z którym miał się teraz zmierzyć. Wrócił do wszystkich leniwych jesiennych popołudni, kiedy przechadzali się dobrze znanymi sobie ścieżkami albo wybierali się na konne przejażdżki, a z każdego zakątka doliny wołały do nich wspomnienia. Do deszczowych wieczorów, kiedy grzali ręce na kubkach z parującym winem, otuleni jednym futrem, nadzy pod okryciem, odstawiający gorące trunki, żeby posmakować swoich ciał. Do nocy, kiedy ona płakała w jego ramionach, a on tulił ją do siebie, kiedy ognista kaskada jej włosów opadała na jego pierś jak złocisty deszcz, kiedy jej oczy błyszczały w półmroku, usta rozchyłały się w jęku rozkoszy, zęby lśniły wilgocią, piersi wznosiły się i opadały, kiedy jej ramiona zaciskały się wokół jego szyi. I chociaż wiedział, że ten czas jest magiczny, pożyczony, wykradzony wieczności, to za wszelką cenę chciał się nim sycić i zatrzymać go na zawsze, żeby nigdy, przenigdy nie wychodzić z tej doliny na świat, nigdy nie kończyć tego snu, który przed walką

podarowało mu życie.

Dwa dni przed zimowym przesileniem zrozumiał, na co czeka Uatah.

- Jutro o świcie opuszczamy dolinę - zakomunikowała mu, kiedy skończyli wieczorny posiłek. Jej głos był rzeczowy i stanowczy, daleki od sentymentów. - Jedziemy do nemetonu w kraju Karnutów.

Galvan drgnął. Posłał jej spojrzenie znad swojego talerza, ale nie miało ono nic wspólnego z czułością. A zatem czar prysł, nadszedł koniec miłości, zaczynał się obowiązek.

- Do nemetonu? - powtórzył. - Pierwsze słyszę, żeby istniała taka potrzeba.

- Widzę, że spałeś na lekcjach u Maerina. - Uatah się roześmiała, ale w jej śmiechu zabrzmiało zniecierpliwienie. - Galvanie, żeby zostać wodzem, musisz zostać naznaczony przez najwyższą kapłankę. Zapomniałeś o tym?

Nie, nie zapomniał. Pamiętał bardzo dobrze tamten wieczór, kiedy Scatah wypaliła mu w sercu znamię wojownika. Smak jego własnej krwi, którą pił z przeciętych tętnic. Blask oczu Scatah w tamtą noc. Jej usta, jej ciało, jej pożądanie, własne pulsowanie we krwi, kiedy ją posiadał, żądzę, jaka go wówczas ogarnęła, niemającą nic wspólnego ze zwykłym pragnieniem kobiety. To było jak sen, jak dzika euforia, jakby znalazł się w innym wymiarze, a kobieta, która się z nim połączyła, przestała być ludzką istotą, zmieniła się w boskie naczynie pełne mocy, którą przelała w niego. Pamiętał swój strach, łomotanie serca, a potem rozkosz niemającą sobie równych, jej gorące wnętrze, jej krzyk,

a później moment ekstazy, jakiej ani przedtem, ani potem nie przeżył. Zjednoczenie z bogami.

- Dlaczego jutro o świcie? - zapytał z cieniem złości, bo zalała go fala rozczarowania na myśl, że za moment czar pryśnie i on będzie musiał zmierzyć się z rzeczywistością.

Uatah spojrzała na niego na poły z rozbawieniem, na poły ze zniecierpliwieniem.

- Jutro jest przesilenie zimowe - odparła spokojnie. - Słońce się cofa. Jest najdłuższa noc.

Galvan westchnął pod nosem. Tak, tak, druidzi i ich magiczne rytuały. Całkiem o nich zapomniał przez ostatnie lata, kiedy prowadził zupełnie inne życie, notabene, w rzymskim obozie.

- Będziesz dla mnie jutro kapłanką? - zapytał z uśmiechem.

Uatah pohamowała chęć parsknięcia śmiechem na widok jego wyrazu twarzy.

- Galvanie, to nie jest śmieszne - mruknęła.

- Wiem o tym niestety - stwierdził i wstał, przytłaczając ją swoją potężną sylwetką galijskiego wojownika. Uatah nie należała do drobnych kruszynek, podobnie jak jej matka mogła pochwalić się atletyczną budową, ale przy Galvanie wydawała się niewielka.

- Nie wiem, czemu trzymają się ciebie żarty - mamrotała dalej pod nosem. - To są święte rytuały, a nie temat do kpin.

W oczach Galvana zalśniło coś, czego dawno już u niego nie widziała. Swawolne błyski zmieniały go w młodego chłopca.

- Ach tak? - odezwał się cicho prowokacyjnym tonem. - I co, musimy być piekielnie poważni, wypełniając je?

- Dokładnie. - Uatah wiedziała, co za chwilę nastąpi, i miała nadzieję, że się nie myli.

Galvan zrobił krok w jej stronę. Poczwała, jak serce łomocze jej w piersi. *Ten jeden raz* - myślała. - *Pozwól mi na zabawę i swawolę, ten jeden ostatni raz.* Na twarzy Galvana rozlewał się uśmiech, w oczach lśniła po części kpina, po części czułość.

Ten ostatni raz - prosiła w myślach. - *Potem nic już nie będzie takie samo.*

- Ale dzisiaj nie musimy być poważni - stwierdził Galvan.
- Dzisiaj nie musisz być dla mnie kapłanką, Uatah, możesz być po prostu...

Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Jego dłoń ścisnęła jej nadgarstki, ale ona nie protestowała. Poddawała się sile mężczyzny z niezwykłą uległością.

- ...moją ukochaną - wyszeptał w jej szyję.

Przymknęła oczy. *To sen* - myślała. - *Jutro obudzę się i sen się skończy, będzie życie, obowiązek, zadanie, rytuał... Ale dzisiaj mogę raz jeszcze mieć szesnaście lat i być zakochaną, mogę ostatni raz w życiu poczuć miłość pulsującą w żyłach, mogę się śmiać i cieszyć... Zanim umrę...*

Spojrzała na niego. Jego oczy śmiały się do niej, jakby to wszystko było zabawą. Na jeden wieczór stali się znowu młodzi i beztroscy. I Uatah musiała mu ulec, musiała odpowiedzieć uśmiechem, musiała zapomnieć o smutku, który rozdzierał jej serce, musiała zarzucić mu rękę na szyję

i odpowiadać na jego pocałunki, coraz głębsze i bardziej zmysłowe. Jutro będą całować się zupełnie inaczej, ogarnięci boskim pożądaniem, ale dzisiaj byli po prostu kobietą i mężczyzną.

- Uatah - szeptał gorączkowo, oplatając swoje biodra jej nogami. - Uatah, zaczekaj tam na mnie... Nie idź dalej, dopóki nie przyjdę... Zaczekaj...

Na krótką chwilę zapomniała o rzeczywistości i nie wiedziała, czy on ją prosi o oczekiwanie na niego z rozkoszą, czy o zupełnie inną rzecz. Przez ułamek sekundy czuła, że on rozumie, że wie, że godzi się z tą myślą, a potem wypełnił ją całą i jej umysł przestał skupiać się na czymkolwiek innym. Patrzyła mu uparcie w oczy, chociaż jej źrenice zachodziły mgłą i odczuwała chęć zamknięcia powiek, odpłynięcia w niebyt, poddania się fali, która nadchodziła i cofała się, obmywała ją i pochłaniała. Wszystko wokół kołysało się i wirowało, a jej świadomość uciekła w inny wymiar. Całował ją głęboko, a ona odpowiadała na pocałunki z żarliwością płynącą z wnętrza duszy.

- Jesteś moją miłością - szeptał jej w otwarte usta. - Nigdy nie przestanę cię kochać.

Na moment wróciła jej świadomość. Była w jego ramionach, trzymał ją mocno oplecioną wokół siebie, całował jej usta, twarz, był w niej głęboko, do końca, a każdy jego ruch odczuwała dziesięciokrotnie mocniej niż zazwyczaj.

- A jeśli umrę? - wydyszała. - Jeśli odejdę?

- Wtedy też.

Fala się załamała. Świat na moment stanął w miejscu.

Czy jej się wydawało, czy nadal czuła jego ramiona obejmujące ją mocno, jakby nie chciały wypuścić? Z jej gardła wydobył się dźwięk, ni to krzyk, ni to jęk, dochodzący z samych trzewi, głęboki, pierwotny, a ciałem wstrząsnął dreszcz, ale kiedy fala opadła, Uatah ujrzała roześmiane oczy Galvana.

- Myślisz, że ci pozwolę tak szybko skończyć? - zapytał z szelmowskim uśmiechem.

Wysunął się z niej i odwrócił ją tyłem do siebie. Uatah przymknęła oczy w oczekiwaniu na więcej.

- Mam nadzieję, że nie - szepnęła.

Zimowy świt wstał blady i mroźny. Przy śniadaniu niewiele ze sobą rozmawiali, każde pogrążone w swoich myślach, ale kiedy ich spojrzenia krzyżowały się nad stołem, oczy lśniły im miłością, jakby tej nocy odnaleźli się na nowo, na zawsze, inaczej. Uatah była skupiona, małomówna i zamyślona, ale jej smutek z poprzednich nocy gdzieś się ulotnił. Galvan rozumiał, że po tych wszystkich magicznych dniach musi ona znowu przywdziać skórę kapłanki, zajrzeć w głąb swojej duszy, odnaleźć siłę, by dokonać dzieła zapoczątkowanego przez jej matkę.

Tego dnia, tej nocy miała go po raz drugi i ostatni namaścić na wojownika. Na wodza. Na króla.

Myśląc o tym, Galvan doznawał zawrotu głowy. Doskonale wiedział, jak takie namaszczenie wygląda, i kiedy się nad tym zastanawiał nad dębowym stołem w wielkiej sieni domu Uatah, dochodził do wniosku, że nie ma ochoty

kopulować w obecności wszystkich druidów, w tym najwyższego kapłana, czyli swego brata, który zapewne uczestniczył nie raz w tego rodzaju obrzędach. Dobrze, być może Celtillognatos był zaprawiony w takich bojach, ale Galvanowi były nie w smak tego rodzaju wątpliwe przyjemności. Gdy o tym pomyślał, poczuł na sobie spojrzenie Uatah i skonstratował, że ona się do niego uśmiecha. No tak, dla niej to pewnie też był chleb powszedni.

Gdy wyszli na mroźne białe powietrze, Galvan uzmysłowił sobie z całą ostrością, że jego czas w dolinie Scatah dobiegł końca. Doskonale wiedział, że teraz będzie musiał udać się do swoich sojuszników i każdego z osobna namawiać do powstania przeciwko rzymskiej okupacji. Przeszło mu przez myśl, że będzie to ciężka zima, ale jeżeli chciał dopiąć swego, to nie było odwrotu. Opatulony w wilcze futro, wspinał się po kamiennych schodach z uczuciem, że nigdy tu już nie wróci. Chciał się odwrócić, spojrzeć raz jeszcze w dolinę, ale powstrzymał go żelazny uścisk czyjejs dłoni. Zdumienie go ogarnęło, kiedy uświadomił sobie, że to Aife ścisnęła jego rękę.

Na przełęczy dosiedli koni i ruszyli w drogę. Uatah w otoczeniu swoich kapłanek – wojowniczek – Galvan i Aife. Musieli stanowić doprawdy osobliwy orszak, ale na szczęście nikogo nie było na trakcie prowadzącym do kraju Karnutów. W górach spadł śnieg i szczyty wydawały się nieskazitelnie białe, jednak dzień był posępny, zatopiony w bieli, a kiedy znaleźli się już daleko od doliny, zaczął padać śnieg.

Wirujące płatki opadały cicho na zmarzniętą ziemię, osiadały na futrach jeźdźców i na rudych włosach Uatah.

Kiedy około południa droga zmieniała się w szeroki gościniec zapowiadający bliskość ludzkich sadyb, Uatah podjechała do Galvana.

- Po ceremonii będę ci towarzyszyć - oznajmiła. - Nie możesz jeździć sam bez mojego poparcia.

- A to dlaczego? - zapytał, zanim zdołał ugryźć się w język.

- A to dlatego, że będziesz występował jako namaszczony wódz zgodnie z boskim prawem - tłumaczyła mu cierpliwie. - Ty, ja i twój brat udamy się we wszystkie możliwe miejsca, a potem wrócimy do Gergowii. Razem.

- I co dalej?

- Zabierzemy się za Gobannicjona.

Galvan spochmurniał.

- Nie chcę zabijać brata mojej matki - mruknął niechętnie.

- Jesteś zbyt sentymentalny - orzekła Uatah. - Ale z drugiej strony on też cię nie zabił, chociaż mógł to zrobić. Gobannicjon byłby nam przydatny, szkoda, że opowiedział się po drugiej stronie.

- Zastanawiam się tylko, jak mogło do tego dojść - powiedział Galvan ze złością. - Przez tyle lat służył mi pomocą, a w ostatniej chwili się ode mnie odwrócił.

- Pieniądze. - Uatah zaśmiała się pogardliwie. - Pieniądze i władza.

Wykrzywiła usta, jakby zjadła coś kwaśnego. Galvan

rozumiał ją, bo jego zdaniem również te dwie rzeczy były pragnieniami wyjątkowo niskimi i godnymi pogardy. A jednak Gobannicjon właśnie na nie okazał się łasy, odtrącając dla zysku i władzy więzy krwi i honor rodziny.

- Dzisiaj moc się odwróci - odezwała się nagle Uatah, która nigdy nie rozmawiała z nim na takie tematy. - Ciemna moc najdłuższej nocy i jasna moc odradzającego się słońca. Ja stanę się naczyniem, przez które potęga wszechświata przeleje się w ciebie. Zostaniesz napełniony mocą bogów, Galvanie. I każdy, kto na ciebie spojrzy, będzie to czuł.

Spojrzał na nią w najgłębszym zdumieniu.

- Dlaczego mi to mówisz? Nigdy mi tego nie mówiłaś.

- Bo nadszedł czas. Gdy godzina wybiła, moja matka też odsłoniła przed tobą swoje tajemnice. A gdy nadeszła inna godzina, oddała życie w twojej sprawie.

Galvan przełknął ślinę, bo nagle zaschło mu w ustach. Uatah mówiła o tym wszystkim z takim spokojem, jakby chodziło o dziecianną zabawę, nie o walkę na śmierć i życie. Uśmiechała się lekko, ale teraz, na końskim grzbiecie, nie przypominała mu już tamtej dziewczyny sprzed lat. Była pewną siebie kapłanką, dojrzałą kobietą świadomą swej mocy i swego przeznaczenia. Dzisiaj nie przekomarzałyby się z nią, nie wzięłyby jej sobie ze śmiechem, na pół przemocą, po trochu za jej przyzwoleniem, nie dręczyłyby jej pieszczotami, nie doprowadzał na sam skraj pożądania, gdzie ogarnięta niemal furią, na próżno czekała na spełnienie, którego nie chciał jej dać, przedłużając jej udreki. Wczoraj należała do niego całkowicie i ulegle, miał ją w całej okazałości,

poddaną, zniewoloną, pokonaną, aż zaczęła go błagać o litość, aż skamlała w jego objęciach, żeby dał jej wreszcie wyzwolenie i ulgę. A kiedy to nastąpiło, oboje znaleźli się gdzieś poza czasem i rzeczywistością, jakby nie tylko ich ciała, ale również dusze zespoliły się ze sobą. Tej kobiety, która obok niego kierowała koniem mocnymi udami, nieczuła na lodowate zimno, która pewnym głosem wydawała rozkazy, nawykła do tego, której twarde spojrzenie omiatało równinę spowitą śniegiem, nie mógłby brać w ten sposób, bo ona budziła szacunek i strach. Jej nie mógłby kochać tak swawolnie i beztrosko. Bo dzisiaj to ona była silniejsza od niego.

Obejrzał się za siebie i napotkał spojrzenie córki. Znowu ogarnął go lęk, bo wzrok Aife był przeszywający, dużo bardziej niezgłębiony niż spojrzenie Scatah i Uatah. Dziewczyna jechała opatulona w płaszcz z wilczej skóry, ale było to białe futro, które dziwnie harmonizowało z jej pszenicznymi włosami i intensywnie błękitnymi oczami, niezawodnie odziedziczonymi po nim. Galvan zdawał sobie sprawę, że spotkał go zaiste wielki zaszczyt poznania swojej córki, jako że jego ojciec z pewnością swoich dzieci zrodzonych z kapłanek nie poznał, a już na pewno nie Uatah, być może nie miał o jej istnieniu pojęcia, a co najwyżej mglistą świadomość, że spłodził w swoim czasie dziecko.

- Księżyc będzie w pełni - oznajmiła Aife cicho. - Pierwsza zimowa pełnia po powrocie słońca. To dodaje mocy.

Galvan nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Czuł się nieswojo pod spojrzeniem tego dziecka. Tak nie czuł się

nawet piętnaście lat temu, kiedy po raz pierwszy spojrzął w oczy Scatah. A przecież przed nią drżał ze strachu i płonął z pożądania.

Prawdę mówiąc, na samą myśl o nocnym rytuale przebiegały mu ciarki wzdłuż kręgosłupa. Galvan był wojownikiem, obce mu były tradycje druidów, zbyt daleko się od nich odsunął w ostatnich latach, by teraz ze spokojem mógł oczekiwać na to, co miało się wydarzyć. Tymczasem towarzyszące mu kobiety wydawały się całkowicie rozluźnione i spokojne, jakby czekał je kolejny obowiązek do wypełnienia, czy przyjemny, czy przykry, to już inna sprawa.

Jechali dosyć długo, zatrzymując się tylko raz, by przegryźć nieco suszonego mięsa i chleba, ale nie rozpalali ognia.

- Musimy być tam przed zmrokiem - oznajmiła Uatah. Jej oddech zmieniał się w lodowatym powietrzu w obłoczki pary. Twarz miała zaczerwienioną od mrozu, ale wydawało się, że nie odczuwa zimna. - Celtillognatos nas oczekuje.

Galvan tylko wzruszył ramionami. Spodziewał się, że jego brat maczał palce w tych wszystkich obrzędach i kapłańskich pomysłach. Ostatecznie to on wysłał Galvana do Uatah, żeby tam spędził zimę. Zastanawiał się, czy po obrzędzie wróci z Uatah do doliny, ale jakiś głos mu szeptał, że nie, że czeka go inne zadanie, niezbyt przyjemne - werbowanie zwolenników, podczas którego jednak Uatah będzie mu towarzyszyć. Gdy o to zapytał, potwierdziła.

- Aife z nami nie pojedzie - dodała, uprzedzając jego pytanie. - Ona wraca na Sein. Jej czas nadejdzie, gdy ja już

odejdę do bogów.

Galvan miał ochotę zrobić wiele rzeczy naraz: krzyknąć, podbiec do niej, przytulić ją, pocałować, zabrać jak najdalej z tej zaśnieżonej równiny, ale stał w miejscu w milczeniu i tylko patrzył na swą kochankę i pierwszą żonę z narastającym w piersi smutkiem. Świadomość nadchodzącego losu gorsza jest niż on sam, świadomość bezsilności i niemożności odwrócenia przeznaczenia – jeszcze gorsza.

Gdy już się najedli, ruszyli dalej, ścigając się z zapadającym powoli zmierzchem. Ponieważ nie było słońca, zmrok skradał się niemal niepostrzeżenie. Galvan poznał to po zmieniającym się świetle, po szarości, która pogłębiała się cicho wśród wirujących płatków śniegu, i pomyślał, ile spokojnych zimowych zmierzchów przeżył w swoim życiu, najpierw w domu Evar, potem u Maerina, później w dolinie Scatah, marząc w te zimowe wieczory o jej córce, później jako pan swojego domostwa, a wreszcie jako dowódca konnicy Cezara. Wiedział, że od tej pory, od dzisiejszego wieczoru, wszystko się zmieni i nigdy już nie będzie w ten sam sposób spędzał zimowych zmierzchów. Cokolwiek się stanie, on nie będzie już tym samym człowiekiem.

W ostatnim świetle dnia dotarli do nemetonu. Był to największy gaj, jaki Galvan do tej pory widział, a widział niemało w czasie swojej wieloletniej służby u Cezara, gdy przemieszczał się po niemal całej Galii i docierał do wybrzeży Brytanii. Tutaj naliczył ponad sto domostw, nie mówiąc o budynkach gospodarczych, użytkowych i innych

zabudowaniach. Druidzi odziani w białe szaty przechadzali się mniej lub bardziej nerwowo po wielkim dziedzińcu otoczonym kamiennym kręgiem, jakby w oczekiwaniu na nocny rytuał. Kobiet wśród nich nie widział, chociaż wiedział doskonale, że niektórzy z nich żenili się i mieli dzieci. Widocznie na dzisiejsze święto kobiety zostały odesłane w inne miejsce, żeby nie rozpraszać uwagi mężczyzn. Galvan wiedział, że w czasie święta Beltaine, wiosennego rytuału płodności, przybyłyby tu kobiety z Sein, ale tej nocy tylko jedna z nich, najwyższa, miała się oddać bogom.

- Zostawię cię teraz, Galvanie - oznajmiła Uatah, zsiadając ze swego wierzchowca. - Muszę się przygotować. Ty zresztą też.

Zanim zdołał zaprotestować, spośród tłumu wyłoniła się dobrze znana mu postać starszego brata Celtillognatosa, a za nim - Brennusa. Galvan czym prędzej zlął z końskiego grzbietu i przywitał się z braćmi.

- A więc tutaj rządzisz - zwrócił się do starszego brata. - Ładne królestwo sobie wybrałeś.

Celtillognatos uśmiechnął się, ale był to uśmiech dość powściągliwy.

- Widziałeś Aife? - zapytał. - Och, z pewnością ją widziałeś. Co o niej myślisz?

- Jest niesamowita - mruknął Galvan. - Nigdy bym nie pomyślał, że to moje dziecko.

- Ma twoje oczy - stwierdził Brennus. - Od razu wiedziałem, czyja jest, kiedy ją ujrzałem.

- Więc wszyscy ją widzieliście poza mną? - zapytał

Galvan z krztyną ironii. – Uatah nie robiła z niej tajemnicy, jak widzę.

– To dziecko ma w sobie moc dziesięć razy potężniejszą niż Scatah i Uatah razem wzięte – powiedział Celtillognatos poważnym tonem. – Ona jest pomostem. Światłem w ciemnościach, które nadejdą tej zimy.

– A więc nadejdą – burknął Galvan niechętnie.

– O tak. Tej zimy zaatakujemy Cenabum – oznajmił brat.
– Mamy informację, że Cezar siedzi po drugiej stronie Alp, a ponieważ zima jest sroga, raczej do wiosny stamtąd nie ruszy. Ma swoje sprawy niecierpiące zwłoki.

– A ja? Mam atakować miasto? – zainteresował się Galvan natychmiast.

– Nie. Ty, bracie, masz zgromadzić jak najwięcej sojuszników i wracać do Gergowii, żeby stamtąd wykurzyć Gobannicjona i jego popleczników – odparł Celtillognatos tym samym poważnym tonem.

Galvan posłał mu niezgłębione spojrzenie.

– A Uatah? Będzie mi towarzyszyć?

W błękitnych oczach Celtillognatososa zabłysło jakieś światełko, które jednak zaraz zgasło. Starszy brat odwrócił wzrok.

– Tak, Galvanie. Po to została najwyższą kapłanką, by wypełniać swoje przeznaczenie. Do samego końca.

Galvana przeszył nagły dreszcz. Razem z braćmi przekroczył próg jednego z domostw, gdzie miał się przygotować do wieczornej ceremonii. W głowie kłębiła mu się masa myśli, dlatego z uczuciem ulgi zanurzył się

w zawczasu przygotowanej gorącej wodzie i z wdzięcznością pomyślał o narkotykowym wywarze, który z pewnością miał zażyć tej nocy. Nie chciał myśleć i zastanawiać się nad przyszłością. Ten jeden ostatni wieczór pragnął przeżyć jako Galvan w ramionach Uatah. Przeznaczenie niech się wypełnia później.

Gdy wyszedł pod rozgwieżdżone zimowe niebo, miał wrażenie, że płonie, choć pod okryciem z wilczego futra był nagi. Jak przez mgłę pamiętał, że kapłani myli go, nacierali balsamami, a potem układali mu włosy, jakby przygotowywali go na wesele. I faktycznie było tak, jakby tej nocy szedł odprawiać gody, bo miał się połączyć jako bóg z kapłanką, która stanowiła pomost między niebem a ziemią, która odgrywała dla niego rolę bogini. Rytuały, w których wyrósł, stały się dla niego czymś obcym, ale tej nocy, tego wieczoru, kiedy jesień ustępuje zimie, kiedy moc się odwraca wraz z potęgą powracającego słońca, na nowo odezwała się w nim odwieczna siła, jakiś pierwotny instynkt, który niezawodnie podpowiadał mu, co ma robić i jak postępować.

Stąpał bosymi stopami po śniegu, ale był pogrążony w błogosławionym transie, wszystko dookoła kołysało się delikatnie i wirowało, a on miał wrażenie, że to kto inny idzie do kamiennego kręgu, w którym czekała na niego kapłanka. Jakby jego świadomość opuściła ciało, ale jednocześnie w nim pozostawała, jakby jego duch szybował pod granatowym nocnym sklepieniem w oczekiwaniu na ducha Uatah.

Dwanaście lat wcześniej szedł tak na spotkanie Scatah, z lękiem w sercu, ze zgrozą w duszy, nie wiedząc, czego się spodziewać. Teraz serce biło mu w oczekiwaniu na coś, co przecież znał, a mimo wszystko krew szybciej krążyła w żyłach, a oddech przyspieszał, kiedy Galvan wstępował na drogę swego przeznaczenia. Uatah stała w kręgu odzianych na biało druidów, którzy trzymali w rękach pochodnie. Tak jak Galvan, miała na sobie wilczą szubę, a jej rozpuszczone włosy zdawały się lśnić jak roztopiona miedź. Gdy do niej podszedł, druidzi zaintonowali pieśń. W rękach kapłanki lśnił srebrny nóż. Galvan wiedział, co teraz nastąpi, a jednak jego sercem na moment zawładnął lęk, kiedy klękał przed nią, by ofiarować jej swoje życie.

Gdy wówczas pił krew kapłanki, asystowała jej właśnie Uatah. Galvan pamiętał, jak Scatah naląła jego własnej krwi do kielicha, który trzymała córka, wówczas zaledwie adeptka, równie przerażona jak on. Teraz obok stał Celtillognatos, to on bowiem występował jako bóg wojny, który rozpocznie antyrzymskie powstanie. Galvan mógł się spodziewać, że obok Uatah będzie stała Aife, ale dziewczyna najwyraźniej była jeszcze za młoda na tak poważną ceremonię, wypełnioną, bądź co bądź, obrazami niekoniecznie dla niej przeznaczonymi. Nóż zaśnił w blasku pochodni. Oczy kapłanki błyszczały nienaturalnym blaskiem, Galvan zrozumiał, że wówczas, tyle lat temu, Scatah również była odurzona ziołami, również stanowiła boskie naczynie, tak jak teraz Uatah.

Słowa popłynęły z jej ust. Słowa mocy i potęgi, różne od

tamtych, które wówczas usłyszał, monotonne, jednostajne, rosnące w siłę. Celtillognatos stanął za nim i odciągnął mu głowę do tyłu. Spojrzenia braci na mgnienie oka się spotkały, po czym Galvan instynktownie zamknął powieki, gdy poczuł na szyi chłód ostrza.

To było niesamowite uczucie, kiedy gorąca krew spływała mu po skórze do kielicha podstawionego przez Celtillognatosa. Galvan miał wrażenie, jakby na nowo przeżywał tamto wtajemniczenie, a przecież to było zupełnie czym innym.

- Pij! - padł rozkaz. - Stań się na nowo wojownikiem.

Krew miała metaliczny posmak, była gorąca i gęsta, chociaż w zimnym powietrzu szybko krzepła. Smukłe palce Uatah przemknęły po jego szyi, zasklepiając rany. Gwiazdy wędrowały po niebie, konstelacje dobrze mu znane, a jednak obce tej nocy, a on czuł, jak moc rozlewa mu się po ciele, jak w jego żyły wpływa jego własna krew pobłogosławiona przez kapłankę. Uniósł twarz i spojrzał jej prosto w oczy. Przypominała dzikie zwierzę, na chwilę stopiła się w jedno ze Scatah, Galvan odniósł wrażenie, że to ona nad nim stoi, trzymając ręce w geście błogosławieństwa, i szepcze słowa, których nie mógł usłyszeć, a których przeznaczenie mimo to znał.

Czarne źrenice Uatah przesłoniły mu świat, kiedy kapłanka nachyliła się nad nim. Ciemna lśniąca krew spływała po jej smukłej szyi. Kapłanowi nie zadrżała ręka, kiedy dokonał cięcia ani kiedy podstawił kielich. Usta Uatah drgały, oczy zdawały się być bezdennymi studniami, nawet

ich zieleń zamieniła się w otchłań mroku. Galvanowi wydała się straszna i potężna, i po raz kolejny zrozumiał znaczenie jej imienia. Uatah – ta, która budzi lęk.

- Pij – rozkazała głosem nabrzmiałym mocą. – I stań się bogiem.

Jej krew była gorąca, daleka od krzepnięcia, a każdy łyk palił go żywym ogniem. Jej spojrzenie przepalało mu duszę. Wiedział, co teraz nastąpi, i niczego bardziej nie pragnął. Słyszał jej głos, kiedy szeptała kolejne błogosławieństwa. W jego ciele narastało pragnienie, pożądanie, gorączka. Zupełnie, jakby jej gorąca krew była afrodyzjakiem, chociaż to było niepotrzebne po ziołach, jakie zażył przed wyjściem na dziedziniec.

Sam nie wiedział, jak to się stało, że podniósł się z klęczek i stanął przed nią, patrząc jej w oczy bez jednego mrugnięcia. Nie wiedział, kto i kiedy rozłożył futra na ziemi. Pieśń druidów przybrała inny ton, stała się wibrująca, wznosiła się i opadała w rytm uderzeń serca Galvana, w rytm jego falującego pulsu, w rytm jej oddechu. Widział, że trawi ją ta sama gorączka i to samo pożądanie, na chwilę, na jeden ułamek sekundy stali się sobie równi, byli jedynie kobietą i mężczyzną pod rozgwieżdżonym zimowym niebem.

Fale mocy przepływały między nimi, Galvan był pewien, że gdyby wyciągnął rękę, chwyciłby je w garść. A potem usta Uatah dotknęły jego ust i świat zawirował. To było zupełnie inne niż kilka dni temu, kiedy spędzali razem ostatnią noc. Galvan miał wrażenie, jakby znalazł się poza ziemią i czasem. Pożądanie przepływało przez niego, wlewało się w nią

i wracało do niego ze zdwojoną siłą, a wraz z tym napływała moc i potęga, jakby Uatah dawała mu swoją siłę. Czując, że krew się w nim gotuje, ułożył ją na futrach i posiadł. Nie było w tym śladu miłości, tylko pierwotny instynkt i coś jeszcze, z czego obecności zdawał sobie sprawę jakimś zakamarkiem zamrozonego umysłu. Oczy Uatah błyszczały w mroku, w świetle pochodni, a jej oddech wznosił się i opadał jak pieśń kapłanów. Galvan trzymał ją mocno, a każde pchnięcie potęgowało moc, którą ona przelewała w niego, chociaż nie umiał tego wytłumaczyć. Niczego już nie umiał wyjaśnić, nawet tego, jak znalazł się nagle na ziemi, twarzą do rozgwieżdżonego nieba, a ona na nim, jak kiedyś Scatah, wyciągając ręce ku czarnemu sklepieniu.

Pieśń stawała się coraz szybsza, głosy wibrowały w zimowej ciszy, oddech Uatah przechodził w jęk, napięcie narastało. Serce Galvana tłukło się w piersi jak ptak w klatce. Niemożliwe do opanowania pożądanie sięgało zenitu. Krew pulsowała w żyłach, jakby miała je zaraz rozerwać. Druidzi uderzyli laskami o ziemię. Galvan poczuł, jak nadciąga fala. Drugie uderzenie i znalazł się na krawędzi. Uatah ujęła jego dłonie obejmujące jej biodra i splotła swoje palce z jego.

TERAZ!

Przy trzecim uderzeniu porwała go otchłań. Uderzenie było tak silne, że stracił dech. Z daleka, z innego świata dochodził do niego krzyk Uatah, nierzeczywisty, odległy, zamglony, a jednak mocny i silny, wibrował mu w uszach, przeszywał ciało, odbijał się echem i wracał do niego

wzmocniony, ochrypli, nieludzki.

I moc się odwróciła. Płynęła przez nią do niego, z zimowego nieba, moc powracającego słońca, odradzającej się odwiecznej życiowej siły. Uatah znieruchomiła na nim, przykuła jego wzrok swoim, widział, jak jej czarne źrenice rozszerzają się jeszcze bardziej, a twarz wykrzywia w nieludzkim grymasie.

*PRZYMIJ MOC I STAŃ SIĘ KRÓLEM CELTÓW!
ZJEDNO CZ GALIĘ! TO JEST TEN MOMENT! WKRO CZ NA
DROGĘ SWEGO PRZEZNACZENIA!*

Czuł, że przez ich splecione palce spływa w niego siła. Teraz widział, jak jej włosy płoną żywym ogniem, jak cała postać skrzy w mroku zimowej nocy. Jej oczy lśniły, nawet mroczne czarne źrenice pulsowały światłem. Stała się naczyniem bogów, pomostem między nimi a nim, potężna i straszna, gdy w tym ułamku nieskończoności wlewała mu w żyły nieśmiertelną boską siłę.

Sięgnęła między ich złączone ciała, a potem naznaczyła mu czoło ich zmieszanymi substancjami.

- Twoja siła połączyła się z moją - powiedziała ochrypłym głosem. - Jestem częścią ciebie, a ty częścią mnie. Nierozzerwalną całością. Jednością.

Patrzył w jej zmęczone oczy i nie czuł nic, jakby nagle stała się dla niego obcą kobietą.

- Gdziekolwiek pójdziesz, będę przy tobie, cokolwiek zrobisz, będę cię wspierać, bo teraz oboje jesteśmy w rękach bogów - mówiła dalej Uatah tym samym zachrypniętym głosem.

Pieśń druidów ucichła. Napięcie opadło.

Oczy Uatah lśniły tajemniczo w mroku.

- A kiedy nadejdzie czas, oddam za ciebie życie.

Opadła na niego. Otoczył ją ramionami. Gwiazdy migotały na ciemnym niebie. Pochłonęła go ciemność, a ostatnim wrażeniem była świadomość jej bliskości.

VI

- Że co?! - Krzyk Cezara przerwał ciszę zimowego popołudnia, które spędzał jak dotychczas w otoczeniu dokumentów, a przede wszystkim niezbyt wesołych listów ze stolicy.

Adair stała przed nim niewzruszona, chociaż przez jeden ułamek sekundy ogarnęło ją przerażenie, że wódz rzuci się na nią w furii i udusi, bo jego i tak czarne oczy zrobiły się całkowicie mroczne. Po raz pierwszy była świadkiem takiej reakcji, bo zazwyczaj informacje o porażkach - a te zdarzały się przecież w czasie wojny - przyjmował spokojnie, co najwyżej kwitował ściągnięciem brwi. Ale ostatnia wiadomość wyraźnie wytrąciła go z równowagi, do tego stopnia, że opanowany i powściągliwy zwykle imperator zerwał się ze swego krzesła z takim impetem, że je przewrócił.

- Karnutowie pod wodzą Kotuatusa i Konkonnetodumnusa napadli na Cenabum, urządzili rzeź i zabili twojego dostawcę zboża, Gajusza Fufiusza Cytę -

powtórzyła beznamiętnym tonem, chociaż po raz pierwszy w swojej karierze rzymskiego szpiega miała nogi jak z waty.

- Zniszczyli domy handlowe, wyrznęli połowę mężczyzn, zgwałcili kobiety, wzięli zwierzęta juczne.

Cezar wydał z siebie coś pomiędzy warknięciem a zgrzytnięciem zębów. Cenabum było ważnym ośrodkiem handlowym, gdzie Rzymianie mieli swoich agentów odpowiedzialnych za dostawę zboża. Stamtąd transportowali żywność barkami wzdłuż Loary i dostarczali ją wojskom rozrzuconym po zimowych leżach. Utrata tego miasta godziła poważnie w interesy Cezara w Galii, ale nie to było ważne, tylko sam fakt, że Galowie odważyli się sięgnąć po broń, w środku zimy i za jego plecami, bezczelnie wykorzystując moment, gdy musiał w sprawie niecierpiącej zwłoki udać się do Galii Przedalpejskiej.

- Co to za jedni, ci, jak im tam? - warknął, krążąc po pokoju.

- Druidzi - odparła Adair spokojnie, chociaż ciarki jej przebiegały po plecach na widok zaciskających się szczęk Cezara. - Kotuatus to gutuater...

- Mów po łacinie - wtrącił Cezar ze złością.

- Kapłan, ojciec obrządków, podlegający bezpośrednio najwyższemu kapłanowi.

Nie wiedziała, czy ma mówić dalej, bo w czarnych oczach wodza pojawił się błysk furii. Adair pomyślała, że jej jedyny obrońca i opiekun, jakże zresztą wątpliwy, Labienus, znajdował się na leżach zimowych daleko za Alpami, a ona stała tu wystawiona na gniew Cezara, o którym zdążyła się

już przekonać, że jest straszny. Widziała egzekucję Akkona, być może zbyt pochopną, która stanowiła zapewne jedną z przyczyn niepokojów wśród Celtów. Widziała wyraz jego twarzy, kiedy zezwalał na masakrę i rzeź wśród Nerwiów po ich ostatnim wyczynie. To wtedy od legionów odłączył się Wercyngetoryks, co dla Cezara stanowiło cios. Jednak wódz miał inne problemy na głowie niż zastanawianie się nad postępkiem Arwerna, jasne się stało bowiem, że sytuacja w Rzymie wymaga jego natychmiastowego stawienia się w Prowincji, wobec czego czym prędzej rozdzielił wojsko i rozesłał na leża zimowe, a potem popędził do Rawenny, gdzie obecnie się znajdował.

- A kto jest najwyższym kapłanem? - zapytał z niewróżącym niczego dobrego spokojem, jako że doskonale znał odpowiedź.

- Celtillognatos, Cezarze - odparła posłusznie Adair.

Po raz pierwszy bała się Cezara. Bała się tego żaru, który w nim zapłonął na wieść o zdradzie. Mógł się tego spodziewać, wszak nie robił żadnej tajemnicy ze swych prawdziwych planów względem Celtów. Teraz, gdy pokonał Helwetów, Germanów, Belgów, Nerwiów, gdy zaprowadził rzymski porządek w Brytanii i ustanowił *de facto* swoje panowanie w trzech czwartych terytoriów galijskich, nie krył się wcale z zamiarem podporządkowania sobie całej Galii i uczynienia z niej Prowincji rzymskiej. Adair wiedziała, że celtyckim wodzom, takim jak Ambioryks, Kommiusz, Wercyngetoryks, Lukteriusz, Seduliusz, Kamulogenus i Dumnakus, nie podoba się bynajmniej rzymska polityka. Jej

zdaniem należało tylko czekać, aż padnie hasło powstania, i nie zdziwiła się, gdy do jej uszu dotarły wieści, że na czele rewolty stanął nie kto inny jak Wercyngetoryks, popierany przez swego brata Certillognatosa.

I kapłankę z Sein, Uatah, która wspierała go magiczną mocą. Adair zacisnęła usta. Jako jedyna знаła klucz do słabych miejsc Galvana. Wiedziała, gdzie go uderzyć, żeby najbardziej zabolalo, i zastanawiała się, czy wiedzą tą podzielić się z Cezarem. Postanowiła jednak, że na razie tego rodzaju informacje zachowa dla siebie, a później postąpi w zależności od tego, jak sytuacja na froncie się rozwinie. W jej sercu nadal tliło się uczucie do przystojnego wodza Arwernów, nadal czuła upokorzenie i wstyd na myśl, że on wybrał jej nic nieznaczącą siostrę, takie zero, które rzuciło się ze skały z żalu po swoim ślamazarnym ukochanym.

- Certillognatos! - Cezar niemal wypluł to imię. - Ten przeklęty bękart Certyllusa, brat Wercyngetoryksa, niech go Furie porwą! Mogłem się domyślić, że prędzej czy później ci przekłęci druidzi zbałamucają moich najlepszych dowódców. Należało ich wyrznać czym prędzej.

Fakt był jednak taki, że Cezar w głębi ducha naśmiewał się z owej druidzkiej dziecinady, jak to określał. Uważał, że całe to gadanie o bogach, wędrówce dusz i innych idiotyzmach to czyste bzdury, on, który w Rzymie sprawował funkcję najwyższego kapłana i nic sobie z tego nie robił, dobrze wiedząc, że religia to tylko jeden ze sposobów sprawowania władzy i trzymania ludu w ryzach. Będąc konsulem, wiele razy naśmiewał się ze swego

niewydarzonego kolegi Balbusa, kiedy ten co i raz wyskakiwał z jakimś niepomyślnym omenem akurat wtedy, gdy Cezar szykował taką czy inną niewygodną ustawę. Tak samo podchodził do druidów i ich religii, i teraz z goryczą i złością uświadomił sobie, że popełnił kardynalny błąd, lekceważąc ową sektę, tych milczących ludzi w białych szatach, z dębowymi wieńcami na głowach, którzy po cichu siali ferment wśród galijskiej arystokracji.

Zdrada Wercyngetoryksa ubodła go tym bardziej, że przez dwa lata związany był z jego matką, którą darzył naprawdę silnym uczuciem, chociaż do końca nie wiedział, czy była to miłość, przyjaźń, czy zwykłe pożądanie. Poczul gniew na Geillis, bo zrozumiał, że uwiodła go celowo, by związać go ze sobą, wytworzyć ten specyficzny rodzaj więzi, który uniemożliwiłaby mu celowe skrzywdzenie jej dziecka. Gdy zamknął oczy, widział w wyobraźni jej rozpaloną pożądaniem twarz, jej oczy tak samo błękitne jak oczy jej syna, a potem młodą, rozpromienioną twarz Wercyngetoryksa. I spojrzenie Kalpurnii wtedy na uczcie.

Wiedziała. Przewidziała to.

Cezar zgrzytał zębami w bezsilnej złości, bo pojął, że oto znalazł się w sytuacji wybitnie niewygodnej, i to delikatnie mówiąc. W Rawennie musiał zająć się na bieżąco sprawami polityki w Rzymie, ale nie mógł postawić stopy w obrębie pomerium, bo natychmiast straciłby imperium i stałby się zwykłym obywatelem, a to było w jego sytuacji niedopuszczalne. Tymczasem Pompejusz na jego oczach rósł w siłę, głupi lud w obliczu zamieszek politycznych

wywoływanych przez dwóch odwiecznych wrogów, Klodiusza i Milona, upatrywał w Pompejuszu zbawcę Republiki i chciał mianować go dyktatorem, co oznaczałoby zerwanie triumwiratu i zepchnięcie Cezara do roli podnóżka albo jeszcze gorzej. Dopóki miał legiony, był silny, ale gdyby w obecnej sytuacji noga mu się w Galii powinęła, jego los nie wyglądałby różowo.

Prawda była taka, że triumwirat został zerwany w sposób naturalny. Kiedy przed trzema laty Krassus zginął w Carrhae śmiercią najgłupszą z możliwych, kiedy jego okrwawioną głowę obnoszono w trakcie przedstawienia teatralnego – co Cezarowi się w wyobraźni nie mieściło, bo stanowiło to największą hańbę dla rzymskiego wodza – jego związek z Pompejuszem uległ znacznemu osłabieniu. Jednak główną przyczyną nadwyrężenia więzi stała się śmierć Julii, której Cezar nadal nie mógł przeboleć. Pompejusz początkowo deklarował dozgonną przyjaźń ze swym eksteściem, ale w miarę upływu czasu coraz bardziej jasne się stawało, że za sprawą Senatu zaczął obrastać w piórka i uważać się za pierwszego obywatela Rzymu, a ostatnio sytuacja stała się wręcz nieznośna, kiedy w mieście doszło do zamieszek na niespotykaną skalę. Zaraz po idach styczniowych dwaj najzacieklejsi wrogowie, Klodiusz i Milon, każdy na czele swojej bandy, urządzili sobie prywatną wojnę, której opłakane skutki były takie, że Klodiusza zabito, a jego zwłoki zwolennicy spalili przed siedzibą Senatu, podpalając przy okazji również ją. W tych okolicznościach nie można było już ignorować zagrożenia w stolicy, wobec czego Senat

ustanowił Pompejusza konsulem bez kolegi, dając mu tym samym nieograniczoną władzę, równą niemalże władzy dyktatorskiej.

Gdy Cezar się o tym dowiedział za pośrednictwem Adair, a potem swoich oficjalnych legatów i agentów, spędził dwie bezsenne noce, przekręcając się z boku na bok i rozmyślając nad swoim położeniem. Gdy wyruszał do Galii, sytuacja między nim, Pompejuszem i Krassusem była jasna, a równowaga sił - zachowana. Obecnie nie miał pojęcia, czego może się spodziewać po dawnym koledze, i to spędzało mu sen z powiek. Usiłował związać go znowu ze sobą poprzez małżeństwo, nawet kazał Atii podesłać mu jako przynętę swoją córkę Oktawię, jednak Pompejusz zasłaniał się żałobą i nie wykazywał zainteresowania rychłym ożenkiem. Dziwne mu się wobec tego wydało jego postępowanie wkrótce potem, kiedy nieoczekiwanie ożenił się z Kornelią Metellą, jednogłośnie opowiadając się po stronie optymatów.

Tej jesieni do Rawenny przyjechała nie tylko Kalpurnia, żeby zobaczyć się z mężem, ale również Cynceron, który jej towarzyszył w trudach podróży. Spotkanie męża z żoną nie przebiegało tak, jak Cezar by sobie życzył, pochłaniały go bowiem sprawy polityki, Kalpurnia zaś po raz pierwszy zeszła na dalszy plan, ale zdawała się rozumieć sytuację. Był jej za to głęboko wdzięczny, ale nieobecny duchem i myślami nawet wówczas, gdy szedł w jej ramiona.

Ledwo delegacja z Rzymu zdążyła odjechać po Saturnaliach, ledwo zaczął się nowy rok i doszła go

wiadomość o rozruchach w Rzymie, zjawiała się Adair z nowymi rewelacjami na temat masakry Rzymian w Cenabum. Cezar pomyślał, że gdyby zostały mu na głowie jakieś włosy, to pewnie by je rwał z rozpaczy, ale w przyпыływie wisielczego humoru skonstatował, że więcej ma tam łysiny aniżeli włosów i to nie tylko dlatego, że skrupulatnie golił głowę, gdy prowadził wojnę.

- Cezarze. - Adair ośmieliła się odezwać, kiedy jego ponure milczenie się przedłużało.

Zirytowany zwrócił się ku niej, gdyż na chwilę całkowicie zapomniał o jej istnieniu. Omiótł jej postać płonącymi oczami, myśląc, że jest doprawdy najbrzydszą dziewczyną, jaką w życiu spotkał, a jednocześnie najlepszym szpiegiem, jakiego miał w swoich szeregach. Szkolona przez Labienusa, pozbawiona skrupułów, nieznająca sentymentów, odważna, przebiegła, bezczelna i posłuszna, stanowiła ideał szpiega, a jednak Cezar nie dowierzał jej na tyle, by ją zostawiać bez nadzoru. Labienus wywiązywał się ze swych obowiązków znakomicie, jako że był nie tylko jej partnerem i opiekunem, ale także cichym donosicielem, o czym Adair nie miała zielonego pojęcia.

- Mów - rozkazał.

Skoro chciała mówić, a zwykle nie odzywała się nieproszona, to zapewne miała do przekazania istotne informacje. Na tyle Cezar znał już swoich ludzi, by rozumieć zachowanie każdego z nich.

- Cezarze, Wercyngetoryks ma u swego boku kapłankę - zaczęła niepewnie.

Nozdrza Cezara zbieleły. Przypominał jej narowistego konia, który szykuje się do biegu. Był bez pancerza, tylko w wełnianej tunice, bez togi, miecza i wszystkich swoich wodzowskich atrybutów, Adair po raz pierwszy ujrzała w nim mężczyznę. I poczuła trwogę, bo był to mężczyzna silny i postawny, przystojny i mocny, który pod maską życzliwości ukrywał bezwzględność i zdeterminowanie. Musiał zbliżyć się do pięćdziesiątki, ale ciało miał jak wyrzeźbione w kamieniu, twarz surową, a spojrzenie twarde i nieugięte. Adair przemknęło przez myśl, jak też musiał on wyglądać dwadzieścia lat temu, zanim cierpienia i tragedie pobruździły jego twarz, wyrzeźbiły mu głębokie zmarszczki wokół ust i marsa na czole.

- Co to za nowe głupstwa? - zapytał z pogardą. - Kapłankę? Kobietę?

- Tak. Nosi imię Uatah, jest najwyższą kapłanką z Sein.

Cezar uniósł brwi. Oto pojawił się nowy fakt, który mu uciekł podczas kampanii, ale prawdę mówiąc, do głowy by mu nie przyszło, że Galowie mogą mieć jakieś kapłanki, a już tym bardziej że te mogłyby się angażować w walki, chociaż widział nieraz galijską virago, która z rozwianym włosiem biegła obok swego męża do boju.

- No i co w związku z tym? - zapytał ze zniecierpliwieniem, bo myślami rwał się już do Galii i obmyślał najkrótszą drogę, którą w zimie mógłby się tam przedostać.

- Cezarze, spójrz na mnie - warknęła rozeźlona Adair. - Nie lekceważ kapłanek z Sein. One są potężne. Słuchają ich

druidzi, to kobiety, które tu, w wielu miejscach, szkolą wojowników. Nauczycielką i mistrzynią Wercyngetoryksa była Scatah, jedna z najpotężniejszych kapłanek i wojowniczek. Prowadziła wojska Celtyllusa, kiedy wojował z Eduami i Biturygami. Była jego siostrą i kochanką, była ciotką Wercyngetoryksa i jego kochanką również. A Uatah jest siostrą i żoną Wercyngetoryksa, ma z nim dziecko, stanowi jego słaby punkt. Jest jego mistrzynią, jego kapłanką i prowadzić go będzie do boju. Jeżeli ją zabijesz, pokonasz też jego. Są ze sobą związani magią.

W czarnych oczach Cezara wyczytała drwinę, ale nie skomentował jej wypowiedzi ani jednym słowem.

- Mów dalej. - Kiwnął na nią głową. - To nie wszystko. Matka?

- Żona. - Adair doskonale wiedziała, o co Cezar pyta, i tym samym wsadziła mu argumenty w ręce. - Ma na imię Gwynn. Umieścił ją w Avaricum. Jeśli zdobędziesz miasto na tyle sprytnie, by nie zarznąć przy tym wszystkich kobiet, pojdziesz ją i weźmiesz jako brankę. Zabroń swoim ludziom gwałcenia jej, zachowaj dla siebie. On tego nie zniesie. Kocha ją do szaleństwa.

Coś w tonie Adair sprawiło, że Cezar przyjrzał się jej uważniej. *Ach, tu cię boli* - pomyślał. Uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Nie padło ani jedno słowo, ale oboje wiedzieli, że właśnie zdradziła swoją głęboką, starannie pielęgnowaną tajemnicę.

- Dobrze się spisałaś, Adair - pochwalił ją. - Podwyższę ci żołd. Zgłoś się do legata, niech ci wypłaci dzisiaj

wynagrodzenie. Idź, zabaw się, pojutrze opuszczamy Rawennę. Będiesz mi potrzebna w Galii.

Była to pierwsza pochwała, jakiej jej udzielił osobiście. Adair podziękowała i wyszła, ale do swej kwatery szła ze spuszczoną głową, bo wiedziała, że to, co dzisiaj powiedziała Cezarowi, oznaczało zdradę nie tylko Galvana, ale także własnych uczuć w imię poprzysięgniętej ongiś zemsty.

Galvan jechał u boku swoich sojuszników do Gergowii. Zima tego roku była surowa i śnieżna, konie raz po raz zapadały się w zasy, szlaki bowiem były niemal całkowicie zasypane, ale Galvan nic sobie z tego nie robił. Po przesileniu zimowym zaczął werbowanie zwolenników, którzy chcieliby się do niego przyłączyć. Nie było to łatwe zadanie, nawet kiedy miał przy sobie Uatah, której samo imię wystarczyło, by oporni zmieniali zdanie i przyłączali się do niego. Czasem w jego imieniu do przywódców plemiennych posłował Celtillognatos, czasem Brennus, czasem jeździł on sam, ale kiedy doszło do masakry w Cenabum, nastroje polityczne nagle się zmieniły i od tego momentu Galvan nie napotykał więcej trudności. Wodzowie sami zaczęli przyjeżdżać do głównego miasta Karnutów, a potem do Lutecji w kraju Paryzjów, gdzie było wygodniej ze względu na ukształtowanie terenu i żeglowną pomimo zimy Saonę.

Przez dwa zimowe miesiące sojusznicy zjeżdżali do niego, prowadzili narady, zawierali sojusze i pieczętowali pakt. Odbywały się uczyty pomimo srogiej pory roku, miód i wino lały się strumieniami, aż Galvan czasem zachodził

w głowę, skąd Celtillognatos bierze te wszystkie zapasy. Starszy brat jednak kręcił głową, nie chcąc wyjawić swej tajemnicy, więc Galvan rezygnował z dalszych nagabywań. Kiedy jednak nadeszło święto Imbolc, Uatah dała znać, że pora jechać do Gergowii.

Po zimowej ceremonii on i Uatah spali przez dwie doby. Byli tak wyczerpani, że nie mieli siły otworzyć oczu. Celtillognatos kazał położyć ich do jednego łoża, chociaż takie rzeczy nie były normalnie praktykowane i gdyby to on pełnił funkcję boga, zapewne dochodziłby do siebie w samotności. Miał jednak na tyle zrozumienia dla swojego przyrodniego rodzeństwa, że pozwolił im leżeć obok siebie i ogrzewać się wzajemnie, kiedy dreszcze wstrząsały ich ciałami. Skutki uboczne zażywania narkotycznych ziół były okropne i Celtillognatos jako najwyższy kapłan doskonale o tym wiedział. Gdy trzeciego dnia Galvan wreszcie pojawił się wśród mężczyzn, cokolwiek zielonkawy na twarzy i z sinymi cieniami pod oczami, starszy brat stłumił jedynie uśmiech, ale nie odezwał się na ten temat.

Galvan odnosił wrażenie, że jego związek z Uatah nabrał całkiem nowego odcienia. Jakby oddając się sobie w noc zimowego przesilenia, zadzierzgnęli zupełnie inną więź, która była między nimi już wcześniej, ale tak jak wcześniej, tego Galvan nie śmiał nawet badać. Tamtej nocy, patrząc w oczy kapłanki, ujrzał światło nieskończoności, odczuł wlewającą się w niego potęgę kosmosu i uzmysłowił sobie, że on i Uatah stanowią jedność, nierozzerwalną całość, że razem kroczą przez kolejne żywota i będą dalej łączyć się ze sobą

w imię boskich celów.

Ale intymność, jaka między nimi panowała tej jesieni w dolinie, znikła. Galvan rozumiał, że wśród druidów taka zażyłość między kapłanką a królem byłaby niestosowna. Ilekroć jednak ich spojrzenia się krzyżowały, czuł istniejącą między nimi więź, której nic ani nikt nie mógł już zerwać. Gdy mroźnego lutowego dnia jechał konno do Gergowii, czuł wyraźnie obecność Uatah u swego boku, mimo iż jechała w znacznej odległości od niego. Zupełnie jakby ich dusze stopiły się w jedno, co go przerażało, fascynowało i napełniało radością jednocześnie.

Dla pewności zostawił Gwynn w Avaricum. Było to miasto z trzech stron otoczone przez bagna i rzeki, które łączyła z lądem tylko wąska grobla, dlatego Galvan uważał, że póki co jego żona będzie tam bezpieczniejsza niż w domu Gobannicjona. Teraz, gdy miał konkretną misję do wypełnienia, postać Gwynn zeszła na plan dalszy, ale jej wspomnienie dręczyło go podczas nieprzespanych nocy, kiedy gryzł się z myślami i planował dalszą strategię. Wiedział, że informacja o rzezi w Cenabum dotarła do Gergowii jeszcze tego samego dnia, wiedział również, że Cezar już się o niej dowiedział, bo jego informatorzy donosili o poruszeniu w rzymskich obozach. Liczył się z tym, że rzymski wódz jest prawdopodobnie w drodze do Galii, że pomimo trzaskających mrozów i niedogodności przeprawia się błyskawicznie przez Alpy, a Galvan nauczył się już respektować prędkość Cezara i jego zdolność do szybkiego pokonywania niewiarygodnych odległości. Wiedział, że czasu

pozostaje niewiele i że czym prędzej musi zmierzyć się z Gobannicjonem i jego stronnikami, bo jeśli tego nie zrobi, zostanie rzucony Rzymianom na żer, a potem zapewne ukrzyżowany dla przykładu albo ścięty jak Akkon.

Wcale mu się to nie uśmiechało.

Gdy trzeciego dnia jazdy przed jego oczami ukazały się obwarowania Gergowii, poczuł, jak krew się w nim burzy ze złości. To był jego dom, jego miasto, jego dziedzictwo, został mianowany przez druidów naczelnikiem tego okręgu, a Gobannicjon, jego własny wuj, jego krew, zwrócił się przeciw niemu i haniebnie wypędził z domu jego ojca. Po raz drugi stracił swoją własność przez zawiść własnego krewnego, ale tym razem nie było Scatah, która by sobie wzięła jeńca dla swoich celów i ambicji. Gniew narastał w nim na podobieństwo burzowej chmury. Jego nastrój harmonizował z pogodą, jako że nad Gergowie nadciągały ołowiane śniegowe chmury zwiastujące śnieżycę i zawieruchę. Wiatr wzmagął się z minuty na minutę. Orszak Galvana nieubłaganie zbliżał się do miasta.

Gdy przekroczyli bramy, strażnicy wytrzeszczyli oczy ze zdumienia, ale żaden nie próbował powstrzymać ani Galvana, ani nikogo z jego ludzi. Być może byli zbyt zdziwieni tym nieoczekiwanym wtargnięciem banity, może zbijała ich z tropu obecność Uatah, może wojsko Galvana okazało się zbyt liczne, by móc mu stawiać opór. Wśród jego sojuszników znajdowali się Karnutowie, Lemowikowie, Aulerkowie, Cenomanowie, Turonowie, Biturygowie, Senonowie i plemiona z Armoryki, czyli niemal wszyscy

sąsiedzi Arwernów. Zabrakło Sekwanów, ale na ich lojalność Galvan nie liczył, w obecnej chwili bowiem bardziej im zapewne zależało na dobrych stosunkach z Rzymianami, a jeśli chodzi o Arwernów, to dobrze żyli z Gobannicjonem. Ale i tak robił wrażenie, jadąc na czele niezliczonej armii zwerbowanej naprędce tej zimy, kiedy wszyscy spodziewali się, że jeżeli już wróci, to sam i pokonany, poniżony przez Gobannicjona, aby się z nim pojednać.

W tym dumnym, pewnym siebie jeźdźcu, który wtargnął do pogrążonego w zimowym letargu miasta, nie było nic z pokornego banity. Z ramion zwieszał mu się ciężki płaszcz z wilczego futra, a na szyi lśnił złoto torkwes, niezawodna oznaka władzy, jakby nigdy nie został wygnany i pozbawiony godności naczelnika. Jechał teraz, spoglądając z wysokości końskiego grzbietu na przemykających ulicami ludzi, z wyrazem głębokiej pogardy w przymkniętych oczach. Gdy dojechał do swego domu, Gobannicjon czekał już na niego, gdyż wiadomość o jego powrocie rozniosła się lotem błyskawicy. Zaciekawieni mężczyźni wybiegali ze swoich domów, by być świadkami sceny między Gobannicjonem i jego siostrzeńcem.

- Odważyłeś się tu pojawić, chłopcze? - zagrzemiał Gobannicjon, który stał na szeroko rozstawionych nogach, uzbrojony dla pewności w topór o podwójnym ostrzu.

Galvan osadził konia w miejscu, ale z niego nie schodził. Spoglądał z góry na brata swej matki, mając świadomość, że ten czuje jednak przed nim respekt.

- O ile mi wiadomo, to mój dom - odezwał się sucho. -

A ty go zająłeś bezprawnie, pomimo iż posiadasz własne obejście. Nie rozumiem doprawdy, co takiego robisz w moim.

Gobannicjon wyszczerzył zęby w pełnym pogardy uśmiechu.

- No tak, gadane to ty zawsze miałeś - stwierdził.

Galvan poczuł nagle znużenie. Nie miał najmniejszej ochoty siedzieć tutaj i marnować czasu na bezcelowe pogawędki ze swoim wujem, który najwyraźniej chciał zyskać na czasie. Im dłużej będzie tak rozmawiał, tym więcej czasu zyska Gobannicjon do zebrania swoich popleczników i wywiąże się z tego zapewne krwawa jatka na dziedzińcu jego domu.

Dał znak swoim ludziom niedbałym ruchem ręki. Szamotanina na dziedzińcu nie trwała długo. Gobannicjon został całkowicie zaskoczony i po kilku chwilach stał już, rzucając się w silnych uściskach towarzyszy Galvana.

- W moim domu nie będziesz mi wydawał rozkazów ani czynił niepotrzebnych komentarzy - oznajmił Galvan, zsiadając z wierzchowca. - Będziesz grzeczny czy mamy cię związać?

- Niech cię Dis porwie - wymruczał Gobannicjon, piniąc się ze złości.

- Zwiążcie mu ręce - wydał polecenie Galvan, po czym, nie zważając więcej na protesty wuja, skierował się w stronę domu, ale zanim zdołał do niego wejść, w drzwiach pojawiła się Geillis.

Galvan zamarł. Jego matka zawsze uchodziła za ideał urody, piękna i kobiecości, a teraz wyglądała na zabiedzoną,

postarzałą i smutną, choć nie miała jeszcze pięćdziesięciu lat. Jej złociste włosy poprzetykane były siwizną, której wcześniej nie widział, a twarz – naznaczona zmarszczkami. A może taka właśnie była przez ostatnie lata, ale on po prostu tego nie widział?

W głębi ducha Galvan wiedział, co ją trapi. Jedyne dziecko zostało wygnane przez swoich współplemieńców, w dodatku przez jej własnego brata. Przeżyła już śmierć męża w wyniku spisku, przeżyła małżeństwo ze swoim szwagrem, a potem wiele lat samotności, by w dojrzałym wieku doświadczyć wiosny swego życia. Jej oczy, takie piękne, wydawały się zgaszone, usta były zaciśnięte.

- Synu - szepnęła. - Wróciłeś do domu.

Podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję, a Galvan po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, jak krucha i delikatna jest jego matka. Była niewielka w stosunku do niego, a przecież zawsze wydawała mu się dostojna, pełna godności, wysoka i mocna. Być może taką ją zapamiętał, niepomny tego, że czas płynie nieubłaganie i młodość Geillis odchodziła bezpowrotnie. Tak, przecież nie była już młodą kobietą, miała wnuki, dzieci Galvana liczyły sobie przecież od jedenastu do ośmiu lat. I on sam nie był już przecież młodzieniaszkiem. Mimo to wygląd matki wstrząsnął nim do głębi.

- Nie, matko, nie wróciłem do domu. Wróciłem przygotować się do wojny.

Geillis się odsunęła. Jej spojrzenie nadal było bystre i przenikliwe.

- Z Rzymianami?

Galvan kiwnął głową.

Geillis sięgnęła pamięcią do dnia jego narodzin, do dziwnego upojenia na twarzy Scatah, błysku w jej zielonożółtych oczach, drapieżnego uśmiechu na ustach i tego wyrazu ulgi, kiedy wzięła noworodka na ręce, jakby w jednej chwili ziściły się wszystkie jej pragnienia i plany. Wiedziała, że jej syn był do tego przeznaczony, zresztą ani Scatah, ani Uatah nie robiły z tego tajemnicy. Wiedziała o tym od dawna, a jednak kiedy usłyszała z jego ust, że godzina wybiła, poczuła drzenie serca, jakby jakaś niewidzialna ręka ścisnęła je ze wszystkich sił.

Przypomniała sobie wyraz twarzy Celyllusa podczas swojej ostatniej uczy. Swoje przerażenie, chęć uratowania syna przed nieznanym losem, łomot serca bijącego w piersi bez opamiętania, nic nierozumiejące oczy małego Galvana, gdy w największym pośpiechu odsyłała go do nemetonu. Pomyślała, że gdyby teraz, po tych wszystkich cierpieniach, po tych latach wyrzeczeń, miała stracić swego syna, niepokorne serce ani chybi pękłoby jej w piersi.

Tymczasem na dziedziniec domu Galvana wtłoczył się tłum zwolenników i przeciwników Gobannicjona. Mężczyźni przepychali się i obrzucali wyzwiskami, zapanował gwar i rwetes, tu i ówdzie zabłysnęła stal.

W następnej chwili rozległ się przenikliwy gwizd. Ludzie umilkli i zwrócili się w stronę dźwięku. Uatah szła do nich dostojnym krokiem, odziana w płaszcz z białego wilczego futra, z twarzą ozdobioną niebieskim urzetem, tak że

wyglądała jak wojowniczką idącą na wojnę. Na szyi miała torkwes, podobnie jak Galvan, oznakę władzy.

- Cisza! - krzyknęła, a jej głos odbił się echem od domów Gergowii, napawając zgromadzonych ludzi trwogą. - Jesteście w uświęconym miejscu, albowiem stoi przed wami jedyny władca Celtów.

Wśród ludzi zapadła teraz grobowa cisza. Kobiety powytykały nosy z domów, aby nie uronić ani jednego fragmentu zdarzeń. Uatah, nie zważając na przeszkadzających jej mężczyzn, rozsunęła ich dłońmi, przeszła między nimi i skierowała się do Galvana. On zaś na widok nadchodzącej kapłanki mimowolnie osunął się przed nią na kolana, jakby sam jej wzrok przykuł go do ziemi.

- Ja, Uatah, najwyższa kapłanka z Sein, w imieniu wszystkich plemion mianuję cię królem Celtów, Wercyngetoryksie, synu Celtyllusa, i nakazuję ci zwołać wszystkie plemiona i podjąć walkę z Rzymianami, z okupantem, który chce odebrać nam naszą wolność - przemówiła potężnym głosem, chociaż wcale nie krzyczała. - Czynie ci podległymi wszystkich Arwernów i inne narody celtyckie, aby ci służyły i wspierały w twojej walce aż do końca.

Wśród tłumu przeszedł szmer, który przerodził się w pomruk. Za pamięci zgromadzonych na dziedzińcu ludzi nie istniał wśród Celtów król, a ostatni śmiałek, który odważył się snuć plany o koronie, ojciec Wercyngetoryksa, zginął marną śmiercią na własnej uczcie.

Uatah zwróciła się do tłumu:

- Czy uznajecie w Wercyngetoryksie swojego króla, któremu przysięgacie wierność i posłuszeństwo na czas wojny z Rzymianami?

Cisza zimowego popołudnia dzwoniła w uszach. Przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił. W końcu jakiś człowiek przedarł się przez tłum.

- Ja, Ruten z plemienia Arwernów, uznaję Wercyngetoryksa za króla Celtów i przysięgam mu wierność i posłuszeństwo aż do śmierci, dopóki nie zakończy on wojny z Rzymianami o wolność wszystkich celtyckich plemion - oznajmił donośnym głosem.

Padł na kolana przed wciąż klęczącym Galvanem, który spoglądał na to wszystko cokolwiek dezorientowany.

A potem Arwernowie jeden po drugim padali na kolana i powtarzali słowa Rutena, aż zapanował ogólny chaos. Mężczyźni i kobiety przekrzykiwali się wzajemnie, przysięgając wierność Wercyngetoryksowi. Wreszcie Galvan podniósł się z klęczek i przemówił do wszystkich:

- Ja, Wercyngetoryks, z woli bogów król Arwernów i wszystkich Celtów, przysięgam rozpocząć wojnę z Rzymianami i nie spocząć, dopóki nie pokonam ich w walce lub oddam życie za moich współplemieńców.

Uatah podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

- Przyjmuję twoją przysięgę, Wercyngetoryksie - oznajmiła. - Od tej pory związany jesteś na śmierć i życie ze swoim ludem. Pokonasz Rzymian lub zginiesz.

Galvan kiwnął głową.

- Niech tak się stanie.

Arwernowie krzyknęli na wivat swemu królowi. Ostatniemu władcy Celtów.

- Wercyngetoryksie, Cezar szykuje się do oblężenia Avaricum!

Galvan uniósł głowę znad naprędcy naszkicowanego planu Gorgobiny i spojrzał nieprzytomnym wzrokiem na swego kuzyna, który pojawił się nagle przed nim z ostatnią rewelacją.

- Do kroćset, spodziewałem się tego! - ryknął ze złością, kiedy dotarł do niego sens wypowiedzianych przez Lukteriusza słów. - Mówiłem, żeby spalić wszystkie miasta i wsie, ale nie, wy musieliście być mądrzejsi! Jazda, zwijąć obóz, musimy dotrzeć tam, zanim on zdoła wdrzeć się do miasta!

Po masakrze w Cenabum wydarzenia potoczyły się nadzwyczaj szybko. Co prawda wszyscy przywódcy powstania sądzili, że Cezara zatrzymają w Galii Przedalpejskiej sprawy niecierpiące zwłoki, ale musieli się srogo rozczarować. Zimą prokonsul spędził w Rawennie, gdzie odwiedził go między innymi Cynceron, informując o ostatnich wydarzeniach w stolicy. Sytuacja tam przedstawiała się o tyle niewesoło, że trzy dni po Kalendach Styczniowych doszło do wojny dwóch frakcji, w których śmierć poniósł jeden z agentów Cezara, Klodiusz, ten sam, który ongiś wdarł się do jego domu w dzień Dobrej Bogini, a potem jako trybun ludowy działał między innymi w jego imieniu w Rzymie. Ponieważ wcześniej już dochodziło do

zamieszek, na styczeń nie wybrano konsula i rok rozpoczął się od całkowitej anarchii. Sytuacja była o tyle niekorzystna, że Pompejusz akurat musiał wybrać się do swojej Prowincji, wobec czego nie było komu powierzyć pełni władzy. Cezar był więc w najwyższym stopniu zaniepokojony.

Większego niepokoju dostarczyły mu jednak wiadomości z Galii, gdzie doszło do masakry jednego z garnizonów zimowych. Karnutowie przypuścili atak na Cenabum i wyrznęli niemal do nogi wszystkich legionistów. Armia wpadła w popłoch - odcięta od wodza pasmem Alp, nieprzygotowana na atak ze strony Celtów, nie umiała sobie poradzić sama. Do Karnutów zaraz przyłączyły się inne plemiona, w tym Arwernowie i Biturygowie, a zatem dwa najbardziej znaczące ludy południowej Galii. Cezar bez zwłoki wyruszył do Narbo, mając przy sobie osobistą eskortę oraz czterystu germańskich jeźdźców. Po drodze musiał obmyślić strategię, co wcale nie było łatwe, jako że legiony nie stacjonowały w Prowincji, ale rozrzucone były na leżach zimowych, a zwołanie całego wojska wydawało się teraz niemożliwe.

Sytuację tę skwapliwie wykorzystał Galvan, który w międzyczasie uderzył na sprzymierzonych z Rzymianami Bojów. Właśnie tam, kiedy oblegał jedno z najważniejszych miast, Gorgobinę, doszła do niego wiadomość, że Cezar zdołał przedostać się przez Alpy, zdobył miasto Novodumium, a teraz szykuje się do oblężenia Avaricum.

Cezar działał błyskawicznie. Aby pokonać galijską armię, musiał czym prędzej dostać się do swoich oddziałów

stacjonujących na ziemiach Lignonów, na północ od terytorium Eduów. Po przejściu przez góry udał się do Vienny, stamtąd zaś w przebraniu Celta do Agedinkum, aż wreszcie udało mu się połączyć z armią i ruszyć przez dolinę Loary do Cenabum. W Galii królowała zima, Cezar nie miał złudzeń co do swego położenia, tym bardziej że nie mógł liczyć na dostawy żywności. Zmuszony był do jak najszybszego zdobywania kolejnych miast, dlatego też, nie wahając się ani chwili i nie dając odpocząć swoim żołnierzom, przypuścił atak na Novodumium, które poddało się bez walki i wydało mu zakładników. Po tym sprytnym manewrze ruszył do Avaricum, po części dlatego, że nie miał już żywności i spodziewał się tam ją zdobyć, a poza tym, podbijając to miasto, poddałby sobie cały lud Biturygów.

Avaricum było jednym z najważniejszych miast Biturygów, położonym na bardzo niegościnnym terenie, otoczonym z trzech stron nieprzebytymi bagnami i rzeką, która teraz, w zimie, stanowiła nie lada przeszkodę. Dojście do miasta zapewniała jedynie wąska grobla i właśnie na niej postanowił skoncentrować się Cezar, jako że nie istniała możliwość opasania miasta wałami. Avaricum było największym na tych ziemiach ośrodkiem handlu zbożem, Cezar zdawał sobie sprawę, że w przypadku zdobycia tego miasta dosłownie uratuje skórę legionistom. Nie tracił zatem czasu i niezwłocznie przystąpił do oblężenia.

Galvan ze swą armią gnał jak szalony do Avaricum. Nie chciał jednak zwierzyć się swoim współplemieńcom, dlatego tak mu zależy na ocaleniu tego miasta. Wszystkie

inne kazał spalić, podobnie jak puszczał z dymem pola uprawne, chociaż teraz, zimą, nic na nich nie rosło. Taki pomysł poddała mu Uatah podczas jednej z niezliczonych narad wojskowych, które odbywały się mniej lub bardziej burzliwie w czasie całej kampanii.

- Wykończ go głodem - powiedziała. - Jeżeli spalisz miasta, on nie będzie miał dokąd się udać. Żadne plemię nie dostarczy mu żywności, nawet Eduowie.

- Nie możemy spalić naszych miast, kobieto! - sprzeciwił się jeden z wodzów.

- Możemy i zrobimy to - zagrzemiał Galvan. - I nie odzywaj się tak do Uatah!

Naczelnicy łypali na niego niechętnie, ale milczeli, Galvan bowiem od samego początku pokazał, że nie będzie tolerował najmniejszych przejawów niesubordynacji. Kary za niewykonywanie rozkazów i jakiegokolwiek oznaki buntu były surowe. Galvan nie na darmo spędził wiele lat w rzymskiej armii i napatrzył się na gamę skarceń stosowanych przez legionistów. Nie wahał się wtedy obcinać rąk lub uszu, a nawet zabijać dla przykładu, co napotykało, rzecz jasna, niechęć wśród powstańców, ale skutkowało zaprowadzeniem żelaznej dyscypliny. Nikt nie miał ochoty niepotrzebnie tracić kończyny, języka lub uszu, toteż w armii Wercyngetoryksa panował posłuch jak nigdy w żadnej galijskiej formacji.

Wsie i miasta zostały puszczone z dymem na całej trasie przemarszu wojsk galijskich. Galvan zdawał sobie sprawę, że tym posunięciem trzyma Cezara w szachu. On sam miał żywności pod dostatkiem, podczas gdy rzymski wódz musiał

się spieszyć i mógł stać się nieostrożny. Kapitulacja Novodumium nie obeszła go jednak do tego stopnia jak wieści o przygotowaniach do oblężenia Avaricum. Tam bowiem pod opieką sprzymierzeńców Wercyngetoryksa znajdowała się jego żona Gwynn.

Wojsko rzymskie nadeszło niczym stado rozwścieczonych wilków. Gwynn zdawała sobie sprawę, że mają przewagę pod każdym względem. Po raz pierwszy w życiu poczuła strach, jednak nie o siebie, ale o Galvana, wiedziała bowiem, że znajduje się on poza murami. Wieści docierały do mieszkańców miasta podobnie jak rozkazy Wercyngetoryksa, który rozlokował się obozem w odległości dwudziestu pięciu kilometrów od miasta. Gwynn słyszała, rzecz jasna, czego dotyczyły rozmowy między oblężonymi a wodzem. Ponieważ wcześniej spalono dwadzieścia miast Biturygów, teraz Wercyngetoryks zażądał spalenia Avaricum.

- Jeśli to zrobicie, pozbawicie Cezara zwycięstwa - przekonywał przez posłańców. - On liczy na zapasy zboża i bogactwa, jakie znajdują się za murami. Nie daruje nikomu, legiony są zmęczone i głodne, pogoda mu nie sprzyja, jego zemsta tym razem będzie straszna.

Galvanie, masz rację - myślała Gwynn, stojąc któregoś dnia na murach i patrząc na rzymskie wojsko szykujące maszyny oblężnicze. Z pewnością nie było im łatwo na wąskiej grobli, ale pracowali dzień po dniu, w chłodzie i nieprzestającym padać deszczu, coraz bardziej wściekli i zmęczeni. Widziała, jak dzień po dniu wieża oblężnicza

rośnie i staje się coraz bardziej przerażająca. Widziała oddalony obóz swego męża, a kilkakrotnie udało jej się wypatrzyć jego samego i wtedy czuła, jak jej serce rozdziera niewypowiedziana tęsknota.

Problem polegał na tym, że mieszkańcy miasta obawiali się wydać je na pastwę ognia ze względu na bogactwa w nim zgromadzone. Avaricum było jednym wielkim magazynem zboża, poza tym jako ośrodek handlu było ono miastem bogatym i naczelnicy niechętnie przychylali się do stanowiska Wercyngetoryksa, żeby taką wspaniałość po prostu spalić. Nie chcieli się na to zgodzić i głusi byli na napomnienia wodza, że Cezar nie będzie miał litości dla pokonanych po całym tym trudzie i znoju o pustym żołądku.

Aby odciągnąć uwagę Rzymian, Wercyngetoryks kilkakrotnie usiłował zorganizować wycieczki i zmusić Cezara do ataku, ale zawsze kończyło się na tym, że wodzowie stali naprzeciw siebie i obserwowali się przez kilka godzin, bo żaden z nich nie zdecydował się pierwszy na rozpoczęcie potyczki. To wzmogło plotki, że tak naprawdę jest on sprzymierzeńcem Cezara, że chce przy jego pomocy stać się królem całej Galii, ale na szczęście szybko ucichły. Wercyngetoryks kilkakrotnie usiłował wciągnąć w pułapkę rzymskich żołnierzy szukających pożywienia, ale Cezar był sprytniejszy, poza tym nie szukał zwady z oddziałami galijskiej kawalerii. Jego celem było zdobycie miasta.

- Sądzisz, że uda ci się mnie sprowokować do ataku, Wercyngetoryksie? - zakpił któregoś dnia, gdy obaj wodzowie stali dosłownie naprzeciw siebie. - Nie mam

zamiaru narażać siebie i moich ludzi na niepotrzebne straty, gdyż ich życie jest dla mnie cenniejsze niż własne potrzeby.

Tak, Galvan miał okazję się o tym przekonać. Wielokrotnie widział, jak Cezar włączał się do walk, narażając własne życie, by ocalić swoich legionistów. Powinien był wiedzieć, że jego fortele i zasadzki nic nie dadzą, jednak zdawał sobie sprawę, że w walnej bitwie nie ma najmniejszych szans na pokonanie Rzymian.

Tego dnia poniósł moralną klęskę, ponieważ we własnym obozie i w mieście zarzucono mu zdradę. Podniosły się pełne krytyki głosy, które wołały, że stał naprzeciw Cezara i nie zabił go, chociaż miał ku temu świetną okazję.

Jak mogę zabić człowieka, który obcował z moją matką? – przemknęło Galvanowi przez głowę.

Napotkał nieprzeniknione spojrzenie Uatah. Tak, jej matka wspominała o tym. Istnieją zależności i więzy, których nie można później przeciąć. Geillis, idąc do łóża Cezara, zadzierzgnęła między nimi więź, w którą, chcąc nie chcąc, wplątała swego syna. Tak jak Galvan nie mógł zabić Cezara, tak on nie mógł zabić Galvana, bo gdy ci dwaj, siedząc na końskich grzbietach naprzeciw siebie, spojrzeli sobie w oczy, zrozumieli, że żaden nie może wbić miecza w pierś drugiego. Było między nimi coś niewypowiedzianego, niemożliwego do ogarnięcia umysłem, ale było i żaden z nich nie mógł tego zmienić.

Oczy Uatah błyszcząły zielonkawo, migotały w blasku ognia.

Gdy mnie posiadłeś w zimową noc, staliśmy się

jednością. Gdy Cezar posiadał Geillis, stał się twoim krewnym, czy tego chcesz, czy nie.

- Co mam im teraz powiedzieć? - zapytał znużony Galvan, gdy znalazł się z nią sam na sam w namiocie. - Widziałaś, jakie maszyny ma Cezar. Konstruuje wały, podsuwa szopy bojowe, które są przykryte skórą i przez to nie można ich spalić. Wieże ma zaopatrzone w koła, więc lada moment będzie je podsuwał pod mury, jak tylko upora się z groblą. Ci w Avaricum nie mają szans. A tam jest Gwynn.

- Zwołaj naradę - odparła Uatah. - Musimy ich namówić na opuszczenie miasta. Niech sobie Cezar bierze żywność i złoto, ale my oszczędzimy ludzi.

- Znam gniew Cezara - mruknął Galvan. - Moi ludzie tego nie znają, myślą, że on okaże łaskę, ale nie tym razem. Widziałem już, do jakiego okrucieństwa jest on zdolny, chociaż na ogół nie dążył do zemsty i okazywał miłosierdzie ludziom, nawet tym, którzy go wcześniej zdradzili. Ale nie tym razem. Teraz pozwoli żołnierzom na szturm.

Uatah milczała. Wiedziała to samo, co on.

Tego wieczoru Galvan zwołał naradę i po raz pierwszy od rozpoczęcia kampanii przemówił do swoich ludzi. Naczelnicy słuchali go w milczeniu, wyjątkowo się nie przekrzykiwali, ale też sytuacja wymagała od Galvana oczyszczenia się z zarzutów. Musiał usprawiedliwić swoją beczynność w momencie, kiedy znajdował się na wzgórzu powyżej wojsk Cezara i nie zaatakował ich.

- Jeżeli Rzymianie przypadkowo nadeszli, to należy

podziękować za to losowi, jeżeli zaś zostali wezwani przez czyjś donos, to owemu zdrajcy należy się wdzięczność, ponieważ Celtowie ze swych wyżej położonych stanowisk mieli okazję przekonać się o niewielkiej ilości Rzymian i nabrać wzgardy dla odwagi tych, którzy, nie ośmieliwszy się stoczyć bitwy, haniebnie wycofali się do obozu - mówił. - Ja nie domagam się od Cezara za cenę zdrady najwyższej władzy, ponieważ mogę ją mieć dzięki zwycięstwu, które jest już pewne tak dla mnie, jak dla wszystkich Celtów. Zresztą władzę oddam wam, nie chcę jej, jeżeli sobie wyobrażacie, że to wy raczej robicie mi zaszczyt, niż że przyjmujecie z moich rąk własne ocalenie. A żebyście mogli się przekonać, że mówię prawdę, posłuchajcie zbiegłych rzymskich żołnierzy, których mamy w obozie.

Był to fortel uknuty wspólnie z Uatah, Celtillognatosem i Lukteriuszem, kuzynem Galvana, żeby zbiegłych i pojmanych rzymskich niewolników przebrać w pancerze i pokazać zebrany naczelnikom i wojskom jako legionistów. Teraz wyszli oni przed zgromadzenie i zaczęli żalić się na warunki panujące w rzymskiej armii, na niedostatek jedzenia i wody, na brak sił i chęci dalszego znoszenia trudów, wobec czego Cezar postanowił, że jeśli po trzech dniach nie będzie dalszych postępów w oblężeniu, to on odstąpi od miasta.

Było to, rzecz jasna, wierutną bzdurą, ale armia dała się złapać na haczyk. Powstańcy zaczęli szczekać bronią na znak aprobaty i nikt już nie pamiętał o złośliwych komentarzach i plotkach. Galvan jednak był zaniepokojony, widział bowiem, jak łatwo kruszyła się dyscyplina, a przede wszystkim wiara

w niego, w osiągnięciu czego włożył tak wiele wysiłku.

- Musimy ewakuować miasto - zwrócił się do Brennusa. - Wyślę dzisiaj rozkazy naczelnikom miasta. Niech robią podkopy, trzeba będzie pod osłoną nocy wyprowadzić ludzi korytarzem, inaczej Avaricum czeka masakra.

Mógł się jedynie modlić do wszystkich znanych sobie bogów, by do tego nie doszło.

Po dwudziestu pięciu dniach od rozpoczęcia oblężenia wieża była gotowa. Gwynn wyszła tego dnia na mury otulona w płaszcz z wilczego futra, marcowy poranek był bowiem wyjątkowo zimny, i ujrzała potężną machinę ze zwodzonym mostem, z rampą, pod którą mogli chronić się legionieści, kilkupoziomową, wiele wyższą niż mury miasta. W odległości kilometra stała druga taka wieża napawająca Gwynn przerażeniem. W całym swym dwudziestopięcioletnim życiu nie odczuła takiego strachu, tym głębszego, że podsycanego przypuszczeniem o nadciąganiu czegoś nieuniknionego. Jakiś głos w jej duszy powtarzał jej, że nadchodzi kres zmagania, że lada moment Rzymianie zdobędą miasto. I czuła ze strachu, jak jakaś niewidzialna dłoń ścisła jej żołądek, przyprawia o mdłości, a serce pompuje krew sto razy szybciej, jakby chciało zdążyć przed śmiercią.

W głębi ducha podziwiała niezłomność Rzymian, którzy dzień po dniu wznosili owe straszliwe konstrukcje. Pomimo że mieszkańcy Avaricum dwukrotnie robili wypad, a raz usiłowali wieże podpalić, udało się zachować maszyny w stanie nienaruszonym. Rzecz jasna Gwynn nie wiedziała

nic o sprytniej taktyce Cezara, który w czasie wznoszenia wież, kopania rowów, utwardzania grobli i innych wojskowych czynności przechadzał się wśród swoich żołnierzy, równie głodny, brudny i obdarty jak oni, równie wściekły, niecierpliwy i pełen obaw, a do tego przygnieciony brzemieniem odpowiedzialności za swoją armię, i powtarzał, że jeśli żołnierze czują się zmęczeni, niech raczej sobie odpoczną i nie forsują się zbyt. To działało na legionistów jak płachta na byka, bo żaden z nich nie chciał sobie pozwolić na odgrywanie słabeusza lub tchórza w obliczu naczelnego wodza. I kiedy z ust Cezara padały tego rodzaju słowa, żołnierze niemal na kolanach błagali go, by im pozwolił dokończyć budowę i nie narażał ich na wstyd.

- No, towarzysze, jeszcze tylko trochę wysiłku i będziemy mogli przypuścić szturm na miasto - oznajmił Cezar dwudziestego szóstego dnia oblężenia, kiedy głód i zmęczenie dawały się już równo we znaki wszystkim bez wyjątku. - A za murami czeka na nas masa zboża, złota, wszelakich dóbr i pięknych kobiet.

Legioniści mieli gdzieś piękne kobiety, przede wszystkim chcieli napełnić czymś burczące brzuchy, ale w stanie, w jakim się znajdowali, było im w zasadzie wszystko jedno. Narastała w nich stale żądza mordy i wszelkiego zniszczenia, chęć odwetu za rzeź w Cenabum, nienawiść do przeklętych Celtów za to, że ośmielili się wystąpić zbrojnie przeciwko Cezarowi, słowem: stali się podobni do rozjuszonych Furi, które tylko czekają na odpowiednią chwilę, by siać zniszczenie i śmierć wokół.

Cezar doskonale o tym wiedział, dlatego w przeddzień ataku, który zaplanował nazajutrz od wczesnych godzin rannych, zawołał do siebie Adair.

Zjawiała się przed nim czym prędzej ze swym nieprzeniknionym jak zwykle wyrazem twarzy. Cezar po raz kolejny pomyślał, jaka to szkoda, że kobieta o tak bystrym umyśle i inteligencji została tak po macoszemu potraktowana przez los, jeśli chodzi o urodę. Przez te wszystkie lata pracy dla niego Adair niestety nie wypiękniała. Miała teraz ponad dwadzieścia lat – Cezar sam nie wiedział, ile dokładnie – ale urody jej nie przybyło. Stała się masywna, umięśniona jak mężczyzna, bo Labienus dbał o jej tężyznę fizyczną, rysy jej twarzy wyostrzyły się i odznaczały niemal brutalną wyrazistością, najbardziej jednak porażał całkowity brak uczuć na jej nieładnej twarzy. We wzroku dostrzec można było wyrafinowane okrucieństwo, a Cezar nie raz widział, jak brała udział w torturowaniu jeńców do spółki ze swym kochankiem, który pomimo upływu lat jeszcze się nią nie znudził i jej nie porzucił, jakkolwiek miewał inne kobiety, i to nierzadko. Wobec swego wodza wykazywała jednak niemal psie oddanie i całkowitą lojalność. Była jednym z niewielu ludzi, którym Cezar całkowicie ufał.

No, powiedzmy. Cezar nie ufał całkowicie nikomu, może jedynie Kalpurnii.

Rzucił jej jedno uważne spojrzenie. Tyle wystarczyło.

– Mów – odezwał się schrypniętym głosem.

– Jest tak, jak przypuszczałam, wodzu – zaczęła Adair swoim chropawym głosem. Teraz posługiwała się łaciną tak

płynnie, jakby urodziła się w Italii, co więcej, mówiła z rzymskim akcentem. Nikt by nie przypuszczał, że jest córką germańskiego wodza. – W Avaricum wykopali korytarze, chcą ewakuować ludność.

– To bez znaczenia. – Cezar machnął ręką. – Ważne, żeby nie spalili mi zboża.

– Tego nie uczynią – odparła Adair z krzywym uśmiechem. – Ale jest coś lepszego, Cezarze. W mieście faktycznie znajduje się żona Wercyngetoryksa.

Cezar uniósł głowę i spojrzał Adair prosto w oczy, było bowiem w jej głosie coś takiego, co sprawiło, że ciarki przebiegły mu po plecach.

Nie pytał, skąd ona wie. Miała swoje sposoby, zawsze skuteczne, a informacje, których mu dostarczała, były niemal w stu procentach prawdziwe.

– Znasz ją – stwierdził.

– Znam – przyznała. – To Gwynn, córka jednego z naczelników Arwernów, z możnego rodu, warta dużego okupu. Ważniejsze jest jednak to, że jest jego żoną, mają troje dzieci i on ją naprawdę kocha, chociaż poślubił ją już po tym, jak musiał opuścić swoją pierwszą żonę.

– Co to znaczy: musiał opuścić? – zdumiał się Cezar.

– Jego pierwszą żoną była Uatah, kapłanka z Sein – wyjaśniła Adair. – Jest teraz z nim w obozie, jest jego doradczynią wojenną i, zdaje się, prawą ręką. Z nią należy się liczyć, Cezarze. Jeżeli kiedykolwiek będziesz chciał pokonać Wercyngetoryksa, rozpraw się najpierw z nią.

– Przesady – mruknął Cezar.

- Nie mówiłabym tak - ośmieliła się stwierdzić Adair. - Wiedźmy z Sein są niebezpieczne. Jej matka, Scatah, była jedną z największych, najpotężniejszych. Nawet mój ojciec o niej słyszał, jej sława sięgała daleko za Ren.

- Brednie - skomentował Cezar, który był całkowicie nieczuły na podobne rewelacje.

Adair wzruszyła ramionami.

- Mniejsza o to. - Cezar wrócił do głównego wątku. - Żonę Wercyngetoryksa chcę mieć żywą. Nie waż mi się jej tknąć z jakiegokolwiek osobistego powodu.

Córka Ariowista uśmiechnęła się, ale nie był to przyjemny uśmiech.

- Cezarze, zdaję sobie doskonale sprawę, że żywa Gwynn jest dużo więcej warta niż martwa lub choćby okaleczona - stwierdziła. - Chyba nie myślisz, że jestem aż taka głupia?

Cezar uznał, że poniżej jego godności byłoby komentowanie jej wypowiedzi, toteż dyplomatycznie milczał.

- Ani zgwałcona - dodał przez zaciśnięte zęby. - Osobiście tego dopilnujesz.

Adair popatrzyła na niego nieprzeniknionym wzrokiem. Ostatecznie Gwynn była dla niej uprzejma podczas jej pobytu w Gergowii, nienawidziła Lorelei, ale do jej siostry odnosiła się zawsze poprawnie i nie robiła najmniejszych komentarzy. Adair może i była okrutna, ale również sprawiedliwa i nie zamierzała wyrządzać krzywdy osobie, która jako jedna z niewielu nie okazywała jej niechęci i tolerowała jej obecność w swoim domu bez najmniejszego mrugnięcia okiem.

W nocy miała zostać przeprowadzona ewakuacja mieszkańców miasta. Wszystkim polecono spakować najpotrzebniejsze rzeczy i stawić się przy północnej bramie, gdzie doświadczeni górnicy przekopali korytarz. Jako pierwsi szli wojownicy, którzy byli najbardziej potrzebni w obozie Wercyngetoryksa. Kobiety, dzieci i starcy mieli iść na końcu. Gwynn była gotowa, szła w niekończącym się pochodzie kobiet, które coraz głośniej lamentowały, żeby nie ewakuować mężczyzn ani tym bardziej ich samych, aby został im oszczędzony gorzki los branek wojennych.

Podniosła się wrzawa. W ciemnościach późnozimowej nocy rozległy się krzyki i jęki kobiet, które mężczyźni na próżno usiłowali stłumić i zagłuszyć. Gwynn zrozumiała, że nie uda jej się wydostać z miasta, te zupełnie niepotrzebne lamenty i krzyki bowiem niosły się w nocnej ciszy wprost do uszu Rzymian, poznała to po szczęku broni i nagłej wrzawie dobiegającej z obozu oblegających. Wiedziała też, że nie ma sensu usiłować przekonać kobiet, bo te, ogarnięte paniką, nie dadzą się uspokoić. Z nieba zaczęły lać się strumienie wody, Gwynn przeszło przez myśl, że może Rzymianie nie będą chcieli w takich warunkach ruszać do ataku. Kolejni młodzi mężczyźni znikali w ciemnej jamie w ziemi, poganiani przez naczelników, którzy chcieli uratować każdego człowieka nadającego się do noszenia broni. W oddali na wzgórzu migotały ogniska obozu Wercyngetoryksa. Był tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Gwynn poczuła się chora z tęsknoty. Oddałaby wszystko za jeden dotyk, za jedno

spojrzenie...

Przed oczami zobaczyła Galvana, który pochylał się nad nią na ukwieconej łące tyle lat temu. Był piękny, wspaniały, zakochała się w nim wtedy od pierwszego wejrzenia, od pierwszej chwili, gdy spojrzał na nią swymi błękitnymi jak niebo oczami, gdy uśmiechnął się do niej, gdy podał jej rękę i pomógł wstać.

Ich pierwsza noc, gdy wziął ją w ramiona... Gdy wypełnił sobą ją całą, jej życie, jej duszę... Gdy czuła jego usta, jego rękę, każdy jego ruch w sobie, owo niesamowite uczucie całkowitego oddania, przynależności, gdy stała się jego kobietą na dobre i na złe...

A teraz był tam, gdzieś w ciemności nocy, przy którymś z ognisk, widział zamęt w mieście, wiedział, że ona tu jest, bezbronna, wydana na łaskę i niełaskę Rzymian, jego oczy prześlizgiwały się po rzymskich garnizonach, po machinach oblężniczych, ale nie mógł nic zrobić, bo wybiłby tę garstkę powstańców, którzy tam byli razem z nim.

Tęsknota pulsowała w jej ciele, sprawiając fizyczny ból. Niebo nad Avaricum powoli jaśniało, chociaż nadal spowite było grubą warstwą chmur, z których na głowy mieszkańców lał się rześisty deszcz. Gliniane ulice zamieniały się w błoto, tam, gdzie ułożone były kamienie, podłoże stawało się śliskie i zdradliwe.

Gwynn poczuła nieznośne napięcie w całym ciele.

W następnym momencie zgiełk poranka przeszył świst strzał i potężny huk, gdy wieże oblężnicze podjechały pod same mury, tak że w nie uderzyły. Wrzawa na ulicach stała

się nie do opisanania, kobiety z dzikim wrzaskiem zaczęły uciekać do swoich domów, mężczyźni naprędce chwyтали za broń, podczas gdy na ziemię padał deszcz strzał i pocisków. Naczelnicy krzyczeli, wydawali rozkazy, mężczyźni biegli na mury, a gdy któryś padł na posterunku, natychmiast zastępował go inny.

Czyjaś ręka pociągnęła ją za ramię. Gwynn znalazła się w zaułku, gdzie siedziały przerażone inne kobiety. Nie widziała więc już, co się dzieje na ulicach, ale po wrzawie i hałasie poznawała, że toczy się bitwa o miasto. Słyszała wydawane po łacinie komendy, a potem szczęk broni legionistów. Celtowie walczyli bez jakiegokolwiek organizacji, nie jak Rzymianie, którzy szli niczym burza, ale o dziwo w ściśle ustalonym rytmie.

Potem jednak wszystko stało się chaosem i wrzawą. Rozległ się niemożliwy do pomylenia z czym innym huk, kiedy mur został rozbity. Kamienie sypały się i przygniatały walczących. Krzyki żołnierzy mieszały się z jękami rannych i umierających. W powietrzu unosił się zapach dymu, spalenizny i krwi, smród potu, strachu, wywleczonych wnętrzności, przypalonej skóry, straszliwy odór śmierci.

To już koniec – przemknęło jej przez głowę.

Kobiety krzyczały, ogarnięte nieopisaną paniką. Walki przy murze trwały jakiś czas, deszcz siekł ludzi w twarze, zimno przenikało do szpiku kości. Gwynn ostrożnie wysunęła głowę zza rogu domu i jej oczom ukazał się iście piekielny spektakl. Masy legionistów wlewały się przez niezliczone wyłomy w murach, wściekłe i niepohamowane. Żołnierze

siekli na oślepe, zabijali każdego napotkanego człowieka, mordowali bez opamiętania, ogarnięci zwierzęcą żądzą zabijania. Jeden z nich chwycił za włosy kobietę usiłującą pełznąć przed nim po ziemi i w ten sposób uciec, uniósł wysoko, a potem przebił mieczem na wylot, wbijając ostrze w ścianę domu. Żywej jeszcze brutalnie rozchylił nogi i najzwyczajniej w świecie zgwałcił, po czym zostawił konającą, wyciągnąwszy przedtem ostrze z jej brzucha.

Gwynn poczuła, że robi jej się niedobrze.

Wrzaski mieszkańców miasta dzwoniły jej w uszach. Musi się stąd wydostać, inaczej skończy jak tamta.

Wyrwała się z tłumu i zaczęła przemykać krętymi uliczkami miasta. Legioniści byli już wszędzie, niczym rwący potok zalewali ulice, place i zaułki. Oczom Gwynn na wpół schowanej za cokołem domu ukazała się inna, nie mniej przerażająca scena, kiedy Rzymianin siłą odebrał matce może roczne dziecko i chwyciwszy za nóżki, roztrzaskał mu główkę o ścianę domu. Nie chciała widzieć, co mężczyzna zrobił potem, ale sądząc po krzykach kobiety, ani chybi ją zgwałcił. Gwynn poczuła w ustach smak żelaza i żółci.

Przemykała ulicami, by dotrzeć do ziemnego tunelu. Gdyby mogła, zamknęłaby oczy, ale wówczas rozbiłaby głowę o najbliższy budynek. Musiała więc mimowolnie patrzeć na makabryczne sceny okrucieństwa, które rozgrywały się na ulicach i gdzie tylko popadło. Rozjuszeni legioniści wpadali do domów, wywlekali z nich ludzi i zabijali, rąbali na kawałki, gwałcili, podrzynali gardła, roztrzaskiwali głowy, a ich fantazji nie było końca. Gwynn modliła się w duchu, by

żaden jej nie zobaczył.

Potknęła się i przewróciła. Jakaś ręka chwyciła ją za nadgarstek. Odwróciła głowę i ujrzała konającego mężczyznę, który zamiast tułowia miał jedną wielką ziejącą jamę, kopał nogą w ziemię, usiłował złapać powietrze w szeroko rozwarte usta, ale jego oczy już zachodziły mgłą. Wyrwała się i z łkaniem rzuciła do dalszej ucieczki, bo teraz jej śladem biegli już rzymscy oprawcy, a każdy z nich trzymał w ręku zakrwawiony miecz.

Nagle znalazła się w ślepym zaułku, ulica skończyła się wysokim murem, na który nie dałaby rady się wspiąć. Trzej rzymscy legionieści, od stóp do głów umorusani krwią Celtów, zatrzymali się w odległości kilku metrów. Ich oczy błyskały w zakrwawionych twarzach, usta wykrzywiały się w pełnym okrucieństwa uśmiechu. Gwynn poczuła, że serce podchodzi jej do gardła, krew pulsowała w żyłach, omal ich nie rozrywając, ogarnęły ją mdłości, nogi drżały, ale gdzieś w głowie kołatała uparta myśl, że nie pozwoli im się tknąć za żadne skarby.

Cofnęła się pod ścianę. Czuła za plecami chropowaty kamień. Miała wilgotną suknię, krępowała jej ruchy, przylegała do kolan. Deszcz lał się na nią strumieniem, mokre włosy lepiły się do czoła, do skroni, woda skapywała na twarz, na ramiona.

Jaki żałosny koniec – pomyślała.

Rzymianin podszedł bliżej, wciąż trzymając miecz w ręku. Czuła jego przesiąknięty zapachem krwi oddech. Wyciągnął rękę i chwycił ją za włosy, odchylił głowę do tyłu.

Gwynn zareagowała błyskawicznie – chwyciła obiema rękami jego drugą dłoń, tę z mieczem, jednocześnie mocno unosząc kolano. Widocznie trafiła, bo mężczyzna jęknął z bólu i odruchowo ją puścił, ale natychmiast pochwycili ją dwaj następni. Tamten dźwigał się z trudem na kolana, w oczach miał nienawiść, jego twarz mówiła jej, że skończyła się zabawa.

- *Satis est!* – rozległ się krzyk od strony ulicy. – *Caesaris dictum! Dimitte eam!*

Mężczyźni spojrzeli po sobie, a potem na dowódcę, który krzyknął. Był potężny, straszny, gdyby Gwynn nie była już dostatecznie przerażona, chybaby zemdląca na jego widok.

- Labienus – wymamrotał jeden z nich.

Ku jej zdumieniu puścili ją, jeśli jednak myślała, że zdoła ujść wolno, musiała się rozczarować. Zza pleców mężczyzny wyłoniła się kobieta. Gwynn spojrzała na nią uważniej, bo odniosła wrażenie, że gdzieś już ją widziała.

- Witaj, Gwynn – odezwała się w jej ojczystej mowie. – Nie poznajesz mnie?

Zanim Gwynn zdążyła odpowiedzieć, kobieta podeszła bliżej, tak że żona Galvana mogła spojrzeć w jej zimne niebieskie oczy.

- Adair – szepnęła. – Córka Ariowista.

- Masz dobrą pamięć. – Tamta się uśmiechnęła. – Miło cię ponownie widzieć, choć może nie spotykamy się w równie miłych okolicznościach.

Gwynn miała wrażenie, że uśmiech przybyłej nie wróży niczego dobrego.

VII

Gwynn sama nie wiedziała, w jaki sposób została wyprowadzona z oblężonego miasta. Jak przez mgłę widziała piętrzące się na ulicach stosy trupów, legionistów gwałcących kobiety albo mordujących starców i dzieci. To już nie było zdobycie miasta, ale rzeź bez jakichkolwiek hamulców. Jakby Rzymianie zatracili wszelkie granice człowieczeństwa, chociaż Gwynn szczerze wątpiła, by zwierzęta zachowywały się w ten sposób. Tu i ówdzie płonęły ogniska, z domów wynoszono łupy, na ulicach, w błocie, wszędzie odbywała się masakra. Nie chciała na to patrzeć, nie mogła, ale jakaś siła nie pozwalała jej odwracać wzroku. Szła między dwoma Rzymianami, którzy omal nie stali się jej oprawcami, ale rozkaz Cezara był święty i żaden z mężczyzn nie miał najmniejszego zamiaru ryzykować utraty głowy. Zresztą Gwynn odnosiła wrażenie, że tego wielkoluda z przodu boją się nie mniej niż samego wodza.

Labienus i Adair torowali sobie drogę wśród hałastry, parli do przodu niczym galera na pełnym morzu. Gwynn szła

nieobecna duchem, znużona, potykała się, ale była mocno trzymana przez tych dwóch. Gdy znalazła się poza murami Avaricum, ujrzała rzymskie fortyfikacje, które dopiero teraz ukazały się jej w swej pełnej krasie. Do wież oblężniczych prowadziły dwa długie rzędy szop bojowych, zбитych z desek, obciążniętych skórą, by nie miały się ich strzały ani pociski. Olbrzymie rampy pod murami robiły niesamowite wrażenie. Kątem oka dostrzegła ruch na pobliskim wzgórzu, gdzie zajął swą pozycję Wercyngetoryks. Gwynn domyślała się, że jej mąż zamierzał czym prędzej oddalić się od oppidum i znaleźć poza zasięgiem wojsk Cezara, teraz bowiem, po masakrze w mieście, rzymskiemu wodzowi mogło przyjść do głowy rozprawienie się z oddziałem galijskim.

Po niedługim czasie znalazła się w rzymskim obozie. Panował tu wzorowy ład i porządek, ale to jej szczególnie nie zdziwiło. Najbardziej okazały namiot należał z pewnością do Cezara. A więc stanie się jego branką. No cóż, lepsze to niż gwałt w wykonaniu tych trzech oprychów, którzy wręcz pałali żądzą mordy i okrucieństwa. Cezar przynajmniej nie wbije jej noża w brzuch, zwłaszcza jeśli wie, kim ona jest. Żywa stanowiła dla niego znacznie cenniejszy łup aniżeli martwa i z pewnością zdawał sobie z tego doskonale sprawę.

Labienus i Adair wymienili kilka zdań, po czym on wraz z trzema niedoszłymi gwałcicielami oddalił się w inną stronę, podczas gdy Adair ujęła ją zdecydowanie za ramię i wprowadziła do namiotu Cezara, nie bacząc na straż przyboczną, która zresztą nie zwróciła na kobiety większej uwagi. Wszyscy wiedzieli, że Adair ma prawo wejść do

namiotu Cezara bez rozkazu i niemal o każdej porze dnia i nocy, o ile Cezar nie przyjmował u siebie jakiejś kobiety, ale nawet w takich sytuacjach miała prawo wejść.

Cezara nie było. W namiocie znajdował się jedynie jego adiutant, Aulus Hircjusz, pochylony nad zawalonym papirusem stołem.

- Hircjusz, przyprowadziłam Cezarowi gościa - zakomunikowała Adair. - Zechciej, proszę, odpowiednio się nim zająć.

Hircjusz miał uprzywilejowaną pozycję w wojsku, zajmował stanowisko szefa sztabu Cezara, był jednym z jego najbliższych i najbardziej zaufanych ludzi. Adair doskonale wiedziała, że tego oficera należy traktować z należyтым szacunkiem, gdyż cieszył się dużym poważaniem wodza. Teraz rzucił jej uważne spojrzenie znad dokumentów i odłożył pióro.

- Rozumiem, że to specjalny gość, Adair, skoro prosisz mnie o zajęcie się nią - stwierdził z krzywym uśmiechem.

- Gdyby to był mój specjalny gość, Hircjusz, zajmowałby się nim zapewne Labienus. Ta kobieta znajduje się tu na osobiste polecenie Cezara i zapewne będzie on chciał z nią porozmawiać, a sam rozumiesz, że nie wypada pokazywać się wodzowi w takim stanie.

Hircjusz spojrział przelotnie na Gwynn, która stała, drżąc w przemoczonej sukni, z włosami zwisającymi w mokrych strąkach, sina z zimna i wciąż jeszcze szcękająca zębami z przerażenia.

- Kto to? Jeśli mogę zapytać.

- To Gwynn, żona Wercyngetoryksa.

- Na Jowisza! - wykrzyknął Hircjusz. - Ależ nam rybka wpadła w sieć! Doprawdy Cezar jest genialny!

Och, czyżby? - pomyślała Adair kwaśno.

- Chyba należy ją wykąpać i odpowiednio uszykować, nie sądzisz? - podsunęła myśl. - Zawołam ci tu kobiety, niech się nią zajmą. A gdzie Cezar?

- A jak myślisz? Obserwuje oblężenie miasta.

- Raczej jego pogrom - mruknęła Adair i odwróciła się do wyjścia.

Gwynn została sama z adiutantem Cezara w jego osobistym namiocie.

Usiłowała się nie rozglądać, ale otoczenie samo przykuwało wzrok. Wyposażenie namiotu mówiło dużo o tym, jakim człowiekiem jest Cezar. Namiot w przeciwieństwie do innych był dość spory, kwadratowy, bez zbędnych ozdób, raczej surowy w swym wyglądzie. Wewnątrz królował stół z prostym drewnianym krzesłem, które można było złożyć, podłoga wyściełana była płótnem, a zamiast łóżka rozścielone były zwykłe materace. Wyglądało na to, że Cezar nie przywiązuje zbyt dużej wagi do osobistej wygody, raczej dzielił trudy i znoje ze swymi żołnierzami. Z sufitu zwieszały się lampki oliwne, w ogóle wnętrze było dobrze oświetlone, ale też wódz miał inne obowiązki niż zwykli żołnierze.

Podczas gdy Gwynn stała cierpliwie w oczekiwaniu na kobiety, z pewnością markietanki, Hircjusz wydawał polecenia ciurom obozowym, którzy natychmiast rozpierzchli się, aby po jakimś czasie wносить do namiotu jedzenie. Gwynn

była przekonana, że to żywność wyniesiona w międzyczasie z Avaricum, bo zdawała sobie sprawę, że Rzymianie musieli głodować przez ostatni miesiąc.

Wróciła Adair w asyście kobiet, po których Gwynn od razu poznała, że nie należą do wysokiej klasy społecznej. Nie miało to jednak znaczenia, była wdzięczna losowi, że nie trafiła w ręce mężczyzn, bo legionieści albo nawet niewolnicy na pewno nie oszczędziliby jej przykrości. Podejrzewała, że jako chwilowa własność Cezara była nietykalna, jednak nie ufała żadnemu mężczyźnie w obozie, zwłaszcza po tym, czego o mały włos uniknęła pod murem miasta.

Adair zaprowadziła ją do latryny, gdzie czekała ku jej zdumieniu balia z gorącą wodą. Gwynn nie spodziewała się, że w rzymskim obozie mogą być takie luksusy, z drugiej jednak strony mogła się domyślać, że legionieści raczej dbają o higienę, a będąc przed laty w Rzymie, widziała przecież podobne urządzenia i nawet korzystała z tego cudu, jakim były publiczne toalety i łaźnie. Nie powinno jej to zatem dziwić.

Z uczuciem niewymownej ulgi zanurzyła się w gorącej wodzie. Kobiety umyły jej włosy i wyszorowały od stóp do głów, po czym wytarły, wysuszyły i namaściły jej ciało jakimś pięknie pachnącym olejkiem. Adair z krzywym uśmiechem wyjaśniła, że to olejek nardowy, wyjątkowo cenna rzecz, której Cezar używa od wielkiego święta, ale trzyma w swoich zapasach na wszelki wypadek.

- Z pewnością nigdy jeszcze nie smarowałaś się takim czymś, Gwynn. Rzymianie wiedzą, co to luksus, uwierz mi.

On nieczęsto go używa, bo na wojnie nie ma czasu ani okazji się namaszczać, perfumować i upiększać, ale nie pozwoliłam wyrzucić tej amfory. I zobacz, przydała się.

Gwynn nie miała siły odpowiadać, nie miała siły dziwić się nawet obecności Adair w rzymskim obozie. Gdy kobiety układały jej włosy, siedziała z przymkniętymi oczami i myślała o Galvanie. Gdy jednak skończyły i wyszły, postanowiła wypytać Adair o to i owo.

- Co robisz u Cezara? - zapytała bez ogródek.

- Zapewne to samo, co ongiś twój mąż - odparła Germanka. - Pracuję dla niego.

- Zdradziłaś swego ojca.

- Nie tobie mnie osądzać - prychnęła Adair. - Mój ojciec oddał mnie mojej siostrze jako służącą. Miałam być jego szpiegiem w domu Wercyngetoryksa, na wszelki wypadek, ale kiedy moja nierozumna siostra uciekła, ojciec oskarżył mnie o zlekceważenie obowiązku. Cezar płaci mi żołd, szanuje mnie, a co sobie myśli, to jego sprawa. Lepiej być żywą na usługach Rzymu niż martwą za Renem.

- To ty tak myślisz - mruknęła Gwynn.

Adair parsknęła śmiechem.

- Naiwna jesteś - oświadczyła. - Prędzej czy później ty też mu się oddasz w taki czy inny sposób, a podejrzewam, że w wiadomy.

- Nie zrobię tego - zaperzyła się Gwynn ze łzami w oczach. - Nie po tym, co widziałam dzisiaj.

- A cóż takiego widziałaś? Rzeź mieszkańców? Zapewniam cię, że ja również, i to niejedną. Cezar na ogół

taki nie jest, pilnuje swoich ludzi, szanuje pokonanych, żąda zakładników i odchodzi, nie robiąc im krzywdy. Widziałam takie zdarzenia zaledwie trzy razy, a jestem w jego wojsku już dobre pięć lat. Byłam z nim w Brytanii, bywałam w kwaterach zimowych w Rawennie. Twój mąż słusznie doradzał Biturygom, żeby poddali miasto, spalili je i wynieśli się stąd. Cezar przymierałby teraz głodem albo musiał się wycofać. Celtowie byliby górą, trzymaliby Rzymian w szachu. Ale ci głupcy z Avaricum nie posłuchali Wercyngetoryksa. Twój mąż nie jest głupi, Gwynn.

Coś w głosie Adair, jakaś nienazwana nuta sprawiła, że Gwynn spojrzała uważnie w oczy młodej Germanki.

- Kochasz go - szepnęła. - Chociaż wiesz, że nigdy byś go nie dostała.

Adair spuściła wzrok. Nikt nigdy jej o to nie zapytał. Nawet Cezar, chociaż z pewnością się domyślał.

- On nie zwracał na mnie nigdy uwagi - odparła, siląc się na obojętny ton.

- Adair, on kocha przede wszystkim Uatah - powiedziała Gwynn ze smutkiem. - To jej oddał serce i to ona jest mu najbliższa. Potem zapewne ja. Nigdy nie kochał twojej siostry, szanował ją i cenił, ale nie była ona dla niego niczym więcej niż gwarancją sojuszu. Nawet gdybyś była piękna i powabna, Galvan nie pokochałby ciebie, co najwyżej zabawiłby się z tobą w łóżu. Ale ceni cię za twój umysł i przenikliwość, wiedz o tym.

- Galvan nigdy nie był mi wrogiem - mruknęła Adair. - Nie chciałabym jego śmierci. Ale na to się zanosi, Gwynn, że

Cezar go pokona, bo wojsko rzymskie słucha swego wodza, podczas gdy ta banda Celtów za nic ma mądre rozkazy swego króla.

Gwynn zwiesiła głowę. Zdawała sobie z tego sprawę. To rzymska mentalność, posłuszeństwo wodzowi, ślepa wiara w szczęście Cezara, miłość legionistów do imperatora, ich oddanie i żelazna dyscyplina decydowały o sukcesie Rzymian. Celtowie zaś byli rozpasani, stale skłóceni i nie potrafili się pobratać, nawet jeśli Wercyngetoryks podejmował wszelkie tego próby.

- Scatah się myliła - powiedziała cicho. - Galvan ich nie zjednoczy.

- Galvan już to zrobił - odparła Adair. - Poszli za nim, cała Galia powstała, wszyscy zjednoczyli się przeciw wspólnemu wrogowi. Czy pod rzymskim, czy pod galijskim panowaniem, od tej pory stanie się ona jednym narodem.

Gwynn nie znalazła na to słów.

- A teraz chodź - zmieniła temat Adair. - Musisz iść do Cezara, on na pewno wróci niebawem z posterunku.

- Chcesz powiedzieć, że walczy ze swoimi?

- Kiedy trzeba.

Wyszły z łaźni i skierowały się w stronę namiotu Cezara.

- Jaki on jest? - chciała wiedzieć Gwynn.

- Nie jest taki straszny, jak ci się wydaje. - Adair nieoczekiwanie zachichotała. - Twoja teściowa mogłaby ci to powiedzieć, spędziła dwa lata w jego łóżu. Wszystkie mu ulegają, bez wyjątku. I ja pewnie też bym uległa, gdyby mnie zechciał, ale wtedy zmieniłyby się nasze stosunki, a do tego

nie wolno dopuścić.

- Skąd wiesz, że mu ulegnę? - rozłościła się Gwynn. - Nie chcę nikogo poza Galvanem.

Adair się roześmiała.

- Wszyscy mu ulegają. Kobiety, mężczyźni, wrogowie, wszyscy. Ten człowiek ma coś takiego, czemu nie sposób się oprzeć. Nie można przejść obok niego obojętnie, możesz go kochać lub nienawidzić, podziwiać lub nim gardzić. Ale niezaprzeczalnie jest wielki.

Odsunęła poły namiotu i Gwynn weszła do środka, a Adair za nią.

Na widok Cezara poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Poznała go. To był ojciec panny młodej, którą ongiś ujrzała w Rzymie, idącą w ognistoczerwonym welonie Świętą Drogą. Nigdy nie zapomniała tamtego dnia, mężczyzny, który spojrzał na nią przelotnie, ale którego spojrzenie paliło niczym ogień.

Człowiek stojący w namiocie był rzecz jasna dużo starszy niż tamten rzymski obywatel, odziany w brudny pancerz, wyświechtaną tunikę i mocno zużyte czerwone wojskowe buty. Hircjusz właśnie zdejmował z niego poszczególne części wojskowej garderoby, a on przyjmował to ze spokojem i opanowaniem. Czas wyrył na jego smagłej twarzy głębokie bruzdy, szczególnie wokół ust, między brwiami i na czole, włosy miał zgolone niemal do skóry, zresztą z przodu były już mocno przerzedzone, mężczyzna ten wyraźnie zbliżał się do pięćdziesiątki, ale był wysoki, dobrze zbudowany, przystojny

i silny, a czarne oczy patrzyły na Gwynn równie przenikliwie jak wówczas.

„Wszystkie mu ulegają”...

Gwynn poczuła się niepewnie. Przez całe życie wierna była Galvanowi, od momentu zaślubin nie spojrzała nawet na innego mężczyznę, podczas nieobecności męża żyła samotnie jak wdowa, do głowy jej nie przyszło zdradzić Galvana, chociaż nikt nie miał prawa żądać od niej absolutnej wierności.

Wzrok Cezara palił i przenikał ją do szpiku kości.

Odezwał się do Adair. Miał głęboki, mocny głos, nawykły do wypowiedania rozkazów. Ku bezbrzeżnemu zdumieniu Gwynn Adair wykonała żołnierski gest i odmaszerowała z namiotu.

- Znam na tyle waszą mowę po niemal siedmiu latach przebywania w Galii, że bez problemów porozumiem się z tobą sam - zwrócił się do niej. - Mam nadzieję, że Adair dobrze się tobą zajęła. Dopóki będziesz moim gościem, niczego ci nie zabraknie.

- Więc nie jestem twoim jeńcem?

- Powiedzmy: zakładnikiem. Bardzo cennym zresztą.

- Mylisz się, jeśli sądzisz, że mój mąż podda się, chcąc mnie ratować - oznajmiła lodowatym tonem.

Cezar ku jej zdumieniu tylko się roześmiał.

- Ależ ja wcale nie chcę wymusić na nim kapitulacji - oświadczył. - Ani też nie zależy mi na jego rychłej śmierci. Gdybym chciał go zabić, to miałem okazję kilka dni temu. Wercyngetoryks pomimo zdrady, jakiej się dopuścił na mojej

osobie, jest przeciwnikiem godnym Cezara. Ale dobrze mieć gwarancję na wszelki wypadek – dodał.

Hircjusz uporał się z pancerzem i nagolennikami. Cezar ściągnął przez głowę brudną czerwoną tunikę i ukazał się oczom Gwynn w samej tylko przepasce na biodra. Chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła, gapiła się na tego niemłodego już mężczyznę szeroko otwartymi oczami. O ile bowiem twarz Cezara mogła świadczyć o nieubłaganym upływie czasu, tak jego ciało w żadnym wypadku. Był szczupły, ale mięśnie miał pięknie wyrzeźbione, jakby wyszedł spod dłuta natchnionego artysty. Skórę miał gładką, tu i ówdzie naznaczoną bliznami, był starannie ogolony, co potwierdziło domysły Gwynn o zachowywaniu dbałości o higienę. Przy każdym ruchu mogła podziwiać grę mięśni pod jego skórą. Nie bardzo to pasowało do jego zniszczonej twarzy.

Cezar dostrzegł jej wzrok i uśmiechnął się pod nosem.

– Wiem, co sobie o mnie myślisz – odezwał się po chwili, gdy włożył już czystą tunikę. – Że jestem potworem i okrutnikiem. Ale to, czego świadkiem stałaś się dzisiaj, nie dzieje się często.

– Przyjechałeś tutaj nieproszony i zabierasz nam wolność – odparła Gwynn ze złością.

– Ach tak? – Cezar się uśmiechnął i gestem zaprosił ją, by usiadła wraz z nim przy zastawionym stole. – To bardzo ciekawe. Przybyłem do Prowincji jako zwykły prokonsul. Wędrujące zastępy Helwetów zlekceważyły mój zakaz przejścia przez nasze ziemie. Eduowie wezwali mnie na

pomoc w walce z Ariowistem. A potem poskramiałem ludy, które zbuntowały się przeciwko temu czy owemu plemieniu. Kiedy jednak ktoś mnie rozdrażni, musi ponieść konsekwencje swego braku rozwagi. A twój mąż i inni naczelnicy wznieśli rebelię podczas mojej nieobecności, wycięli w pień cały garnizon, zmusili mnie do opuszczenia kwatery zimowej w ważnym dla mnie momencie, zburzyli wszystko, nad czym pracowałem przez ostatnie pięć lat. Nikt nie odbiera Wercyngetoryksowi wolności. Sam przyszedł do mnie, sam wyraził chęć walczenia w moich legionach, sam mnie zdradził i sam zaatakował. Czy ja mu cokolwiek zabrałem, Gwynn?

Musiała spuścić wzrok pod jego spojrzeniem.

- Ja w przeciwieństwie do niego nie mam absolutnie nic do stracenia - dodał. - On ma ciebie, matkę, synów, podczas gdy ja nie mam nic oprócz prestiżu.

- Nie masz dzieci? - zapytała Gwynn. - Widziałam cię w Rzymie, jak wydawałeś za mąż córkę.

Przez jego wyrazistą twarz przebiegł skurcz bólu. Zaraz jednak minął, Cezar wbił w rozmówczynię przenikliwe spojrzenie swych czarnych oczu.

- To byłaś ty na drodze, ta młoda dziewczyna o blond włosach - odezwał się bardziej do siebie. - Tak, pamiętam cię. Doprawdy dziwnie płaczą się ludzkie losy. A ta druga kobieta to była Geillis. Oczywiście. Że też wcześniej na to nie wpadłem.

Geillis, matka Galvana, która przez jakiś czas była kochanką Cezara...

Gwynn usiadła przy stole naprzeciwko niego. Normalnie wokół stołu stałyby łoża, ale w warunkach polowych takie rozwiązanie było niemożliwe, toteż ona i jej gospodarz zajęli miejsca na krzesłach. Stół zastawiony był skromnie, na talerzach leżały: chleb, ser, oliwki i plastry suszonego mięsa. Głód musiał doskwierać rzymskiej armii.

- Moja córka umarła w połogu - wrócił do tematu Cezar.
- Dwa lata temu.

Gwynn spuściła wzrok.

- Wybacz mi - wymamrotała.

Mogła się jedynie domyślać, co musiał czuć. Gdyby cokolwiek stało się któremuś z jej dzieci... Woląла nawet o tym nie myśleć.

- Jakie masz plany w związku ze mną? - ośmieliła się wreszcie zapytać.

- Na razie żadnych konkretnych - odparł lekko. - Przyjmij moją gościnę, chyba że chcesz stać się łupem moich żołnierzy. Nie polecam tego rozwiązania.

Gwynn nie miała najmniejszego zamiaru brać go pod uwagę.

- Nie musisz się martwić, nie chcę pozbawiać cię życia. - Cezar się uśmiechnął, a ona pomyślała, że ten uśmiech mocno zmienił jego surowe oblicze. - To twój mąż jest chwilowo moim wrogiem, nie ty.

Patrzyła na niego z rosnącą fascynacją. Gdy się uśmiechał, pogłębiały się zmarszczki wokół jego ust i oczu, ale to dodawało mu w przedziwny sposób uroku. Był tak skondensowane męski, że oddech Gwynn mimowolnie

przyspieszał. Różnił się od Galvana jak noc od dnia. Uroda Galvana była niczym uderzenie pięścią, powalała na kolana, rzucała się od razu w oczy. Cezar był interesujący w zupełnie inny sposób, niczym drapieżne zwierzę, jego twarz była surowa, rysy wyraziste, trzeba było dobrze się mu przyjrzeć, by odkryć piękno jego oblicza, a mimo to fascynował, pociągał, kusił.

„Wszystkie mu ulegają”.

Potrząsnęła głową. Ona tego nie zrobi. Nigdy by sobie nie wybaczyła podobnej zdrady wobec Galvana.

Zaraz jednak pomyślała, ile razy on zdradził ją, świadomie, celowo, nieświadomie, przypadkiem, z niewolnicami, z Lorelei, z markietankami w wojskowym obozie, z Uatah, o innych wolała nawet nie myśleć. Wierność małżeńska nie była wpisana w żaden kontrakt ślubny i żadna żona nie miała prawa oczekiwać po swym mężu dochowania jej. Bigamia i posiadanie kochanek były czymś całkowicie naturalnym i oczywistym, dlatego nigdy do głowy jej nie przyszło wyklócanie się o tę czy ową kobietę. Jedynie o Lorelei była zazdrosna otwarcie, ale też miało to swoje przyczyny gdzie indziej. Tu chodziło raczej o urażoną dumę żony, która dowiaduje się, że jej mąż chce poślubić inną. Przez wszystkie lata małżeństwa patrzyła przez palce na rozmaite skoki w bok swego męża albo wręcz udawała, że tego nie widzi. I tak to ona piastowała godność małżonki, ona pełniła funkcję pani domu i to jej potomstwo wychowywało się na dworze jej męża.

Ale ona sama nigdy nie spoczęła w ramionach innego

mężczyzny.

Patrzyła na niego, jak jadł, i pomyślała, że to co najmniej dziwne, że ów straszny Cezar jest najzwyczajszym w świecie człowiekiem, ma zwyczajne ludzkie potrzeby, nie różni się pod tym względem chociażby od niej, że na pewno cierpiał ogromnie po stracie córki i że być może nie pozostało mu nic innego poza honorem i dobrym imieniem, o co warto było się starać.

Nagle zamiast wodza ujrzała w nim starzejącego się samotnego mężczyznę, być może tęskniącego za żoną, być może wcale niechącego toczyć walk w zimnej Galii, być może spragnionego zwykłego kobiecego ciepła.

Niebezpieczne myśli.

Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. Jego spojrzenie przepalało jej duszę. Jeżeli w ten sposób patrzył na wszystkich, to nic dziwnego, że ludzie mu ulegali. W jego oczach było coś takiego, co sprawiało, że człowiek czuł się nagi pod jego spojrzeniem, Gwynn nie należała do wyjątków. Czym prędzej odwróciła wzrok, by on nie wyczytał wahania z jej oczu.

Gdy skończyli posiłek, Cezar zawołał adiutanta z rozkazem przygotowania dla niej noclegu. Miała dostać własny namiot, co prawda strzeżony przez legionistów na wszelki wypadek. Przez jedno uderzenie serca Gwynn zapragnęła powiedzieć mu, że chce zostać z nim w jego namiocie, ale zaraz pomyślała, że to niedorzeczność. Nie jest dziwką obozową, ale żoną Wercyngetoryksa. Powinna zachować odrobinę dumy.

Gdy wychodziła, Cezar odprowadzał ją wzrokiem. Wiedziona odruchem, odwróciła się i napotkała jego zamysłone spojrzenie.

„Wszystkie mu ulegają”. Tak, wiedziała już o tym.

Gwynn śniła. Siedziała z Uatah przed paleniskiem w swoim domu w Gergowii i razem z nią tkła, a płomienie ognia trzaskały wysoko w górę i odbijały się w zielonych oczach kapłanki.

- Nie chcę tego zrobić - odezwała się w pewnej chwili, przerywając na moment robotę.

- Czasami musimy robić to, na co nie mamy ochoty - odparła Uatah spokojnie. - To jedyny sposób, by go ocalić, kiedy przyjdzie czas.

- On mnie za to znienawidzi - szepnęła Gwynn.

- On zrozumie, że nie było innego wyjścia.

Gwynn spojrzała kapłance prosto w oczy.

- Ty sama musiałaś iść przez życie wyznaczoną drogą - powiedziała. - Wiesz najlepiej, jakie to bolesne.

- Tak, ja poddałam się przeznaczeniu. Ale będąc u kresu drogi, muszę przyznać, że chociaż była bolesna i ciężka, to nigdy nie żałowałam, że nie uległam pokusom serca.

Gwynn odwróciła wzrok.

- Jeżeli mu ulegnę, będę musiała ponosić tego konsekwencje przez całe życie.

- Tak. Właśnie dlatego musisz to zrobić.

Gwynn pokręciła głową.

- Ale to nie jest uczciwe rozwiązanie.

- Na wojnie nie ma uczciwych rozwiązań.

Znalazła się na wzgórzu. Widziała już kiedyś to miejsce. Warownia opasana była podwójnym rzędem umocnień, a daleko poza zasięgiem obwarowań znajdował się rzymski obóz. Wiatr targał jej ubranie, szarpał płomiennorude włosy Uatah.

- To już koniec - dobiegł ją głos kapłanki. - Tutaj wszystko się rozegra. Już niedługo, wkrótce dopełni się nasz los.

- Nasz wspólny? - zdumiała się Gwynn.

Oczy Uatah lśniły niesamowicie, połyskiwały zielono i niebiesko, jakby były pełne łez. Ale to niemożliwe, Gwynn nigdy nie widziała, żeby ta twarda kobieta uroniła choćby jedną łzę.

- Nasz los jest nierozzerwalnie złączony - powiedziała cicho. - Jesteśmy częścią jedności. Wiesz o tym, Gwynn, zawsze wiedziałas. Ja musiałam się go wyrzec, ty możesz go ocalić. Tylko od ciebie zależy, czy to zrobisz.

Szła brudnymi, hałaśliwymi ulicami Rzymu. Prowadziła za rękę dziecko i z trudem torowała sobie drogę do siedziby Senatu. Na Forum wznoszono kolejną budowlę, panował więc zgiełk i ruch, przed nią wznosiło się wysokie wzgórze Kapitolu, całe w marmurze i złocie, a za nią królował Palatyn ze swymi wspaniałymi domami i ogrodami. Malec szedł powoli, ciekawie rozglądając się dookoła. W pewnej chwili uniósł główkę i spojrzał na matkę czarnymi jak węgiel oczami, przeszył ją przenikliwym spojrzeniem, a potem uśmiechnął się niepewnie.

Znalazła się w ponurym ciemnym miejscu. Do ścian przykuci byli łańcuchami więźniowie. Strażnik kluczył przed nią, a ona podążała za nim, nie bacząc na wilgoć, chłód i okropny smród bijący od jeńców. Strażnik otworzył wreszcie jakąś kratę i Gwynn weszła do celi. Pod ścianą siedziało dwóch więźniów, zaskakująco do siebie podobnych, obaj mieli długie blond włosy, teraz co prawda poszarzałe z brudu, obaj nosili podobne ubranie. Jeden z nich uniósł głowę i spojrzał na nią intensywnie błękitnymi oczami o barwie przywodzącej na myśl jesienne niebo.

- Tylko od ciebie zależy, czy to zrobisz - powtórzyła Uatah przy palenisku. - Drugi raz nie otrzymasz takiej szansy.

Obudziła się zlaną potem. Przez dobrą chwilę oddychała głęboko, niespokojna, po czym zdecydowanym ruchem odrzuciła przykrycie i wstała z posłania. Sama nie wiedziała, jak to możliwe, że strażnicy nie zauważyli jej wyjścia, ale chyba spali oparci o swoje włócznie. Szła szybko wąskimi obozowymi alejkami, z mocno i szybko bijącym sercem.

Nie myśleć!

Ale przecież czuła, a do jego namiotu gnało ją coś więcej niż tylko proroczy sen czy co to było. Nie chciała się nad tym zastanawiać, bo doskonale знаła odpowiedź. Uatah nie raz zsyłała na nią sny, na Galvana również, a tego rodzaju snów należało słuchać, bo zawsze się sprawdzały. Nie, gnała ją pulsująca w jej tętnicach krew, owo uczucie, które on w niej rozbudził dzisiaj wieczoru. Wiedziała, co się stanie, i sama przed sobą nie mogła ukryć, że tego pragnie, chociaż

gdyby ktoś ją zapytał, dlaczego, nie umiałaby odpowiedzieć.

Cały obóz spowity był w mlecznych oparach mgły, która pojawiła się po ulewnym deszczu. Nigdzie nie widziała wartowników, chociaż z pewnością stali na każdym zaułku i rogu. Niezauważona przez nikogo, prześlizgnęła się przez wejście do jego namiotu. Słyszała spokojny, miarowy oddech Cezara. Gdyby chciała, mogłaby go teraz zabić.

Właściwie czemu nie?

Ostrożnie podeszła do jego łóżka i popatrzyła na pogrążonego we śnie wodza. Wystarczyłby moment i wojna w Galii byłaby zakończona. Nikt nigdy nie dowiedziałby się, kto tego dokonał. Jeden cios i Celtowie byliby uratowani. Wcale nie musiałaby kłaść się z nim i oddawać jak jakaś obozowa dziwka. Uwolniłaby świat od jego dyktatorskich zapędów.

Zrobiła jeden krok bliżej.

Ręka Cezara błyskawicznie wyciągnęła się i zacisnęła wokół jej nadgarstka, zmuszając ją, by uklękła na posłaniu. Czarne oczy, całkowicie rozbudzone, patrzyły na nią bez cienia zdumienia. Mierzyli się spojrzeniami w milczeniu, w nocnej ciszy słyhać było tylko ich przyspieszone oddechy. Gwynn pomyślała, że tak musi czuć się ptak schwytyany przez węża, sparaliżowany jego wzrokiem. Serce tłukło w jej piersi jak oszalałe, krew pulsowała w skroniach, potężna fala przetaczała się przez jej ciało, czas zatrzymał się w miejscu, świat przestał istnieć, jedyne, co miało jakiegokolwiek znaczenie, to ta jedna rozedrgana chwila.

Wolną ręką ujęła jego twarz i pocałowała go. Cezar

zareagował natychmiast, oddając pocałunek, a jego dłoń zanurzyła się w jej włosach. Gwynn zakręciło się w głowie. Jego pocałunek był tak głęboki i namiętny, że gdyby stała, kolana bez wątpienia ugięłyby się pod nią. Czowała go całym ciałem, wszystkimi nagle rozszalałymi zmysłami. Nigdy wcześniej nie doznała czegoś takiego, to było nieporównywalne ze wszystkimi innymi doznaniem. Pragnęła tego mężczyzny do bólu, chociaż sama nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje. Kiedy jednak dłoń Cezara przesunęła się wzdłuż jej ciała, Gwynn przestała się nad tym zastanawiać.

Nie myśl.

Wszystko gdzieś się ulotniło. Ogarnęło ją trudne do wytrzymania napięcie, zdała sobie sprawę, że jęczy głośno, niecierpliwie, kiedy on odnajdywał do niej drogę, a gdy wreszcie ją posiadł, wygięła się w łuk, opasała jego biodra nogami i oddała się całkowicie mężczyźnie, który był najzacieklejszym wrogiem jej męża.

Dopiero gdy ich oddechy wreszcie się uspokoiły, a ona leżała w ramionach Cezara, zadał pytanie, które i ją nurtowało:

- Dlaczego to zrobiłaś?

Dużą, szorstką od miecza dłonią gładził jej włosy i twarz, a ona pozwalała mu na to. Leżała z głową wtuloną w zagłębienie jego ramienia, ich nogi były splecione, obejmowała go ramieniem w pasie, jakby robiła to od lat. Wdychała obcy jej zapach jego ciała.

- Nie wiem. Chciałam tego.

- Przez chwilę myślałem, że chcesz mnie zabić - wyznał.

- Przez chwilę chciałam to zrobić. - Zaśmiała się niepewnie. - Myślałam, że śpisz.

- Śpię jak zając. Życie w obozie nauczyło mnie być czujnym nawet we śnie. Nigdy nie wiadomo. A wartownicy, jak sama widzisz, nie stanowią żadnej gwarancji bezpieczeństwa. Dlaczego to zrobiłaś, Gwynn? Chcesz w ten sposób kupić życie swego męża?

Patrzył jej w oczy, a ona miała wrażenie, że pragnie obnażyć jej duszę.

- Dlaczego tak myślisz? - zapytała z obawą.

- Kobiety z reguły czegoś chcą - westchnął. - Jediną kobietą, która spała w moich ramionach z czystej miłości, była moja żona, Kornelia. Wtedy nie mogła niczego ode mnie chcieć, bo też niewiele mogłem jej dać. Chyba że samego siebie.

- Mówisz o niej z takim smutkiem - szepnęła Gwynn.

- Straciłem ją szesnaście lat temu. Umarła w moich ramionach.

Gwynn wysunęła się z jego objęć, uniosła na łokciu i przesunęła dłonią po jego twarzy. Patrzył na nią wyczekująco, ze zdumieniem, jakby tego rodzaju czułości były dla niego całkowicie obce.

- Zrobiłam to, bo cię pragnęłam - wyznała szczerze. - Nie wiem, jaka siła mną zawładnęła, ale przyszłam do twego łóżka zgodnie z moim pragnieniem. Nie masz nic, co mógłbyś mi zaofiarować, ani też ja nie mogę ci niczego dać.

- Niech i tak będzie - szepnął Cezar.

Przysunął jej głowę do siebie i poszukał ustami jej ust. Gwynn odwzajemniła pocałunek, czując narastającą w niej falę pożądania.

Obudziły ją blade promienie słońca. W ciele narastało rozkoszne uczucie zaspokożenia, czego nie zaznała od bardzo już dawna. Zdała sobie sprawę z pewną dozą smutku, że Galvan od wielu miesięcy przebywał poza domem, ona zaś została odesłana do Avaricum jesienią i od tamtego czasu *de facto* nie miała mężczyzny. Cezar ją zaskoczył. Nie spodziewała się po nim czułości, a tymczasem on ofiarował ją Gwynn bez najmniejszego skrepowania, jakby od lat byli kochankami. Jego ramię opasywało ją w talii, leżał wtulony w jej plecy. Gwynn poczuła ciepło rozlewające się gdzieś na dnie jej duszy. Cezar mógł być sobie niepokonanym wodzem, panem świata czy kim tam jeszcze zamierzał być, ale ten mężczyzna leżący obok w tej chwili był całkowicie bezbronny, odsłonięty przed nią, nagi.

Nieoczekiwanie wzruszyło ją to.

Odwróciła się do niego i leżała, patrząc w jego twarz. Była zniszczona upływem czasu, nawet we śnie rysy odznaczały się surowością. Nie mogąc opanować odruchu, musnęła delikatnie jego skroń, na co on od razu otworzył oczy, ale jego oblicze złagodniało w jednej chwili, gdy ją ujrzął.

- Nie uciekłaś, gdy spałem? - Uśmiechnął się. - Co za stracona okazja, nikt by cię zapewne nie zatrzymał.

Gwynn nadal wodziła palcami po jego skroniach,

obrysowała opuszką brwi, kości policzkowe, usta. Było w tej niemłodej już twarzy coś, co ją fascynowało, nie pozwalało się od niej oderwać. Cezar leżał spokojnie i pozwalał jej na to, chociaż zazwyczaj to on pieścił w ten sposób kobiety.

Na jego ustach igrał półśmiech wyczekiwania, jakby wiedział, co Gwynn zaraz zrobi, i nie pomylił się, kiedy pochyliła się, by go pocałować.

- Wszyscy mówią o tobie jak o jakimś piekielnym demonie - mruknęła, przesuwając ustami po jego twarzy, co on przyjmował ze spokojem. - A tymczasem ty jesteś zwykłym mężczyzną, nie mniej ludzkim niż ja. A jednak decydujesz o życiu innych, jednym słowem skazujesz na śmierć, jednym ruchem głowy dajesz ocalenie. Kim ty jesteś, Cezarze, że porywasz tłumy, że twoi żołnierze gotowi są oddać za ciebie życie, że kobiety ci ulegają, mężczyźni ci nienawidzą albo padają przed tobą na kolana?

- Nikim, Gwynn - szepnął, poddając się jej pocałunkom.

To było coś cudownego czuć usta pięknej kobiety na swojej twarzy, uczucie, jakiego niedane mu było zaznać już od dawna. Obca dziewczyna, żona jego przeciwnika, ofiarowała mu czułość, o której istnieniu niemal zapomniał. Budziła w nim do życia emocje, które zdołał w sobie uśpić, bo ich odczuwanie sprawiało mu ból. Czuł jej nagie ciało przy swoim, ujął w dłonie jej piersi i poczuł błogość rozlewającą się w jego ciele. Oddech Gwynn przeszedł w jęk.

- Wiesz, że nie będę umiał cię skrzywdzić - mrucał Cezar między jednym pocałunkiem a drugim. - Wiesz, że

staniesz mi się bliska. Taki był twój plan? Uwieść mnie?

- To ty mnie zabrałeś z Avaricum - przypomniała Gwynn.
- Zapewne spodziewałeś się takiego obrotu spraw.

Usiadła na nim okrakiem, a on natychmiast objął jej biodra.

- Nie będę mógł cię teraz wypuścić - wydusił. Gwynn poruszała się miarowo, powoli, chcąc przedłużyć napięcie.

- Wcale tego nie chcę - mruknęła niewyraźnie.

Miała zamknięte oczy, rozchylone usta, włosy opadały jej złotą kaskadą na plecy. Cezarowi przeszło przez myśl, że nigdy nie widział czegoś tak pięknego jak ta dziewczyna, która bladym zimowym świtem kochała się z nim, całkowicie się w tym zatracając.

- Wercyngetoryks będzie chciał cię odzyskać, jak tylko się dowie, że tu jesteś - stwierdził.

- Nie robi tego - szepnęła Gwynn, otwierając oczy. - Nie licz na to. Sama od ciebie ucieknę.

Cezar chwycił ją w pasie i przekręcił na posłaniu, tak że znalazła się pod nim. Patrzyła na niego z uwielbieniem, z wyczekiwaniem, z nadzieją.

- Uciekniesz, tak? - zakpił i wszedł w nią jednym mocnym ruchem. - Jesteś panią samej siebie i robisz to, na co masz ochotę?

Gwynn nie odpowiedziała.

- Uciekniesz? - powtórzył, zadając kolejne pchnięcia.

- Tak - wydusiła z siebie. - Tak.

Chwycił jej szeroko rozłożone nogi.

- Naprawdę? Ośmielisz się?

Gwynn kurczowo trzymała jego ręce, którymi się o nią wspierał. Wiła się pod nim jak piskorz, nigdy jeszcze nie widział czegoś takiego.

- Tak! - wykrztusiła.

- Chcesz tego? Chcesz uciec?

Przez twarz Gwynn przebiegł skurcz. Usta wykrzywiały jej się w grymasie wszechogarniającej rozkoszy. Cezar miał wiele kobiet, bardziej lub mniej namiętnych, ale jej reakcje na każde jego najmniejsze poruszenie przewyższały wszystko.

- Nie chcę! - krzyknęła, kiedy napięcie osiągnęło szczyt.

- Nie chcę! Chcę być twoja! Twoja!

Cezar zacisnął powieki, nie mogąc już dłużej nad sobą zapanować. Ogromna fala porwała go i poniosła ku niezmierzonej rozkoszy, zapomniał o ostrożności, o całym świecie, o wojnie i Celtach, jedyne, co miało dla niego teraz jakikolwiek sens, to połączyć się z tą kobietą, napełnić ją nasieniem, poczuć z nią całkowitą jedność.

Opadł na nią i przez chwilę słychać było tylko ich miarowe oddechy. Gwynn obejmowała go nadal nogami, jej ramiona oplatały jego szyję, co mu znacznie krępowało ruchy, ale o dziwo nie stanowiło to dla niego większego problemu. Jej ciało było wilgotne od potu, skóra zdawała się lśnić w bladym świetle poranka. Leżał obok niej i wdychał jej zapach, a świadomość wojny i problemów z nią związanych na chwilę gdzieś się ulotniła, jakby Gwynn wraz ze sobą ofiarowała mu spokój i ciepło, którego mu tak bardzo brakowało. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat,

mniej więcej tyle samo co Kalpurnia, była piękna tą najbardziej pożądaną przez mieszkańców Italii urodą, o jasnej skórze, złocistoblond włosach, lazurów oczach, łagodnych, subtelnych rysach i smukłej budowie ciała. Widać po niej było, że rodziła już dzieci, ale to nie miało dla niego najmniejszego znaczenia. Znał na tyle obyczaje Celtów, by wiedzieć, że jego synowie najpewniej zostali oddani na wychowanie, córka zaś powinna być przy matce, ale domyślał się, że Wercyngetoryks był na tyle sprytny, by ukryć dzieci. A poza tym Cezar wątpił, czy wódz Arwernów poddałby się za cenę życia swych dzieci.

- Wszystkich gości tak traktujesz, Cezarze? - zapytała Gwynn z lekko kpiącym uśmiechem. - Oferujesz im, co masz najlepszego?

- W Rzymie kobieta nie ośmieliłaby się na takie słowa. - Roześmiał się.

- W Galii kobiety są wolne i mogą mówić, co im się podoba - odparła zaczepnie. - I wcale mi się nie uśmiecha myśl, że moglibyście tu zaprowadzić swoje obyczaje.

- Ja bym powiedział, że galijskie kobiety są dzikie i nieokrzesane. Ciekawe, co też powie twój mąż, jeśli dowie się, co ze mną robiłaś.

- Nic, jak sądzę. - Gwynn wzruszyła ramionami. - Ja go nie pytam o jego kobiety, a przecież wiem, z iloma spał pod moim dachem. Z iloma robił to na wojnie, wolę nawet nie snuć domysłów.

Cezar uniósł się na łokciu i popatrzył na nią.

- Jesteś bardzo śmiała - przyznał. - Podziwiam odważne

kobiety. Adair doniosła mi, że gdy cię znalazła, omal nie zostałeś zgwałcona i walczyłeś z trzema moimi legionistami. Co miałaś zamiar im uczynić?

- Zabić - odparła Gwynn bez namysłu.

- Gdybyś mogła, zabiłabyś mnie również, prawda?

Coś w jego oczach sprawiło, że Gwynn ciarki przebiegły po plecach.

- Ale nie mogłam - powiedziała bezradnie. - Nie umiem cię zabić.

- Ani ja ciebie - westchnął Cezar. - A zatem siły są wyrównane. A teraz, moja droga, myślę, że przydałoby nam się śniadanie, żebyś nie opadła zbyt z sił. Pojutrze musimy się stąd wynosić, jeśli nie chcemy zostać zaatakowani ani uwięzieni na posterunkach.

- My? - podchwyciła.

- Rzymianie, rzecz jasna. A ty pójdziesz z nami jako zakładniczka. Czy może raczej jako mój gość. - Uśmiechnął się pod nosem.

Niedoczekanie twoje - pomyślała Gwynn ze złością.

Ale za chwilę wbrew samej sobie zarzuciła mu ramię na szyję i przyciągnęła jego twarz do swojej. Cezar nie protestował.

Tak jak zapowiedział, Cezar ze swoim wojskiem pozostał w Avaricum następne trzy dni, uzupełniając zapasy pożywienia, a także dając swoim ludziom odpocząć. Należało również oczyścić miasto z trupów i w tym celu rozpalono poza murami ogromne ogniska, w których palono zwłoki.

Tego makabrycznego zajęcia podejmowali się do spólki legionišci z nielicznymi ocalałymi mieszkańcami miasta. Gwynn towarzyszyła wodzowi niemal wszędzie, ale nie przestawała jednocześnie obserwować przeciwległych wzgórz. Poczwała ogromne rozczarowanie, gdy stwierdziła, że nie palą się tam już ognie.

Trzeciego dnia Cezar oznajmił na porannym apelu, że gotów jest uderzyć na ziemie Arwernów, jednak zanim wojsko zdążyło zebrać się do wymarszu, do obozu przybyli posłańcy Eduów z prośbą do Cezara. Chodziło mianowicie o to, że w ich plemienu wybranych zostało dwóch vergobretów, co było niedopuszczalne i w ogóle ze wszech miar karygodne. Ściślej rzecz biorąc, wybrany został Konwiktolitawis, z kolei niejaki Kotus ogłosił się najwyższym urzędnikiem samowolnie. Czy Cezar nie mógłby udać się do Decetii i rozstrzygnąć sporu?

- Sytuacja jest w najwyższym stopniu niebezpieczna - przekonywali posłowie. - Ponieważ jak z dawien dawna zwykliśmy wybierać jednego urzędnika i on przez rok sprawował władzę królewską, tak teraz dwu ludzi pełni ten urząd i każdy z nich utrzymuje, że został powołany zgodnie z prawem. Jednym z nich jest Konwiktolitawis, zamożny i wpływowy młody człowiek, drugi to Kotus, potomek jednego z najstarszych rodów i człowiek o bardzo wysokim znaczeniu i licznych koligacjach, którego brat Walecjakus w ostatnim roku sprawował ten urząd, jasne więc jest, że Kotusowi nie wolno tego czynić. Całe plemię stoi pod bronią, rada starszych jest poruszona, lud jest podzielony, a każdy

z przeciwników ma swoich klientów. Jedyna nadzieja w tobie, Cezarze.

Cezar słuchał tego wszystkiego jednym uchem, niechętnie, bo prawdę powiedziawszy, nie miał najmniejszego zamiaru marnować czasu na wewnętrzne rozgrywki Eduów. Z drugiej jednak strony w obecnej sytuacji Eduowie byli ostatnim plemieniem, które go popierało, podczas gdy w Galii wrzało niczym w kotle czarownicy i Cezar zdawał sobie doskonale sprawę, że jeśli teraz nie zaprowadzi porządku wśród Eduów, może całkowicie stracić ich przychyłność.

- Do trzech Furi! - mamrotał wściekle pod nosem. - Że też musieli mi zawrócić głowę akurat teraz!

- Decetia jest po drodze do Gergowii - stwierdził spokojnie Labienus, który doskonale rozumiał dylemat Cezara oraz niewygodną sytuację, w jakiej wódz się znalazł. - Nie zaszkodzi przywołać do porządku tych przeklętych Eduów.

Cezar posłał mu nieprzeniknione spojrzenie. Wiedział bardzo dobrze, w jaki sposób Labienus zabrałby się do przywoływania kogokolwiek do porządku.

Niechętnie musiał przyznać swemu legatowi rację. Tak więc czwartego dnia o świcie legiony opuściły całkowicie splądrowane Avaricum i skierowały się na południowy wschód, do Decetii położonej nad rzeką Elaver.

Gwynn dostała konia i zimowy płaszcz, żeby nie marzła podczas marszu. Jechała ze sztabem generalnym, w towarzystwie samego Cezara, jego najbliższych legatów

i Adair, której nie odstępował potężny blondyn o niezgłębionym wyrazie twarzy. Gwynn miała wrażenie, że gdzieś go już widziała, i drugiego dnia marszu, korzystając z tego, że Cezar oddalił się wraz z Labienusem, podjechała bliżej wielkoluda.

- Kim ty jesteś? - zapytała. - Mam wrażenie, że cię znam.

Mężczyzna rozejrzał się dyskretnie, ale w pobliżu nie było ani Adair, ani Labienusa, ani tym bardziej Cezara.

- Nie jesteś chyba Rzymianinem? - podjęła Gwynn, gdy nie doczekała się odpowiedzi.

- Nie, jestem Swebem - odparł mocnym głosem. - Byłem kiedyś człowiekiem Ariowista, a teraz jestem podwładnym tego rzeźnika, Labienusa. Moim zadaniem jest strzec Adair.

Gwynn spojrzała na niego, mrużąc oczy w późnozimowym słońcu.

- To ty eskortowałeś Lorelei i Adair do Gergowii - przypomniała sobie. - Ty jesteś Jorg. Pamiętam cię.

Na wspomnienie imienia Lorelei bolesny skurcz przebiegł po twarzy mężczyzny.

- Dobrą masz pamięć, Gwynn. Ja również cię pamiętam.

- Co się stało? Jakim cudem znalazłeś się w armii Cezara?

- Zostałem wzięty do niewoli - odparł spokojnie, chociaż mięśnie żuchwy drgały mu w hamowanym gniewie. - Po tym, jak ta suka nas zdradziła. Wykradła plany wojenne Ariowista i poleciała do Cezara.

Opowiedział zdumionej Gwynn o bitwie, jaką Ariowist stoczył z Cezarem, o całkowitym pogromie Swebów,

o ucieczce wodza, o tym, jak sam został ranny i jak Lorelei rzuciła się ze skały wprost do wzburzonego Renu. Gdy to opowiadał, w jego błękitnych jak niebo oczach lśniły łzy, choć minęło co najmniej sześć lat od tamtych wydarzeń. Gwynn pomyślała, że ten biedny człowiek nadal cierpi po stracie Lorelei i że musiał darzyć ją ogromnym uczuciem, skoro jej wspomnienie sprawia mu tak dotkliwy ból.

- A Ariowist? - zapytała. - Nigdy nie ośmielił się wrócić z za Renu?

- Po tym, jak Cezar po raz drugi przeprowił się na ziemie Swebów, Ariowist nigdy więcej nie dał o sobie znać.

- A ty pozostajesz tutaj jako niewolnik Labienusa?

- O, ty nie wiesz, jakim on jest człowiekiem. Ja widziałem co nieco i wolę nie myśleć, co by mi zrobił, gdybym nie słuchał jego rozkazów. Pilnuje mnie, towarzyszę mu niemal wszędzie, ucieczka z tej armii jest niemożliwa. Ale któregoś dnia to ścierwo padnie w walce albo dokona jednego błędnego czynu, a wtedy ja będę nareszcie wolny. A pierwszą rzeczą, którą zrobię, będzie odebranie życia tej przeklętej dziwce.

- Mówisz mi to tak otwarcie? - zdumiała się Gwynn. - Chociaż wiesz, że dzielę łoże z Cezarem?

- Nie ty pierwsza i zapewne nie ostatnia. - Germanin zaśmiał się sucho. - Poza tym nie sądzę, byś długo tu zagrzała miejsce, zwłaszcza że twój mąż podąża naszym tropem.

Serce Gwynn zabiło mocniej.

- Skąd wiesz?

- Mam swoje sposoby. W armii Cezara służą germańscy jeźdźcy, mam z nimi stały kontakt, a przynajmniej wiem, co mówią.

Koń Gwynn zatańczył niespokojnie. Jorg spojrział jej prosto w oczy.

- Jeżeli chcesz uciec, zrób to, zanim dojedziemy do Decetii, a znajdziemy się tam jutro. Wercyngetoryks nie przejdzie przez rzekę, będzie zmierzał do Gergowii, jak tylko się dowie o planach Cezara, a dowie się prędzej czy później. Jak dojdziemy do miasta, będzie dla ciebie za późno, bo o tej porze roku nie dasz rady przedostać się przez Elaver.

- Cezar będzie mnie ścigał - stwierdziła Gwynn przytomnie.

- Wątpię. Spieszy mu się, a teraz jego uwaga pochłonięta jest sprawami Eduów. Oni planują go zdradzić, ale jeszcze nie są gotowi.

Gwynn pokręciła głową.

- Skąd możesz wiedzieć takie rzeczy? - zapytała naiwnie.

- Moja droga, to jest wojna, żeby przeżyć, musisz wiedzieć wszystko. Ja żyję tylko po to, by zabić tę zdrajczynię. A jeśli Wercyngetoryks zdoła pokonać tego przekłętego Rzymianina chociaż raz, ja chętnie oddam za niego życie. Klnę się na wszystkich bogów.

Gwynn spojrzała mu w oczy. Jorg sprawiał wrażenie śmiertelnie poważnego.

- Odjedź, kiedy tylko się ściemni - poradził jej. - I zrób to dyskretnie. Cezar ze swymi legatami będzie opracowywał strategię na jutro, nie będziesz mu potrzebna, a zanim się

zorientuje, że cię nie ma, ty będziesz już u Arwernów.

Śmiały plan - stwierdziła w duchu. Zaraz jednak pomyślała, że i tak nie ma nic do stracenia. Jeżeli jej się uda, będzie mogła ostrzec Galvana przed zamiarami Cezara, jeżeli nie, to cóż, będzie po prostu lepiej strzeżona albo w najgorszym razie on ją zabije. Ale nie, Cezar wyraźnie powiedział, że jest mu potrzebna żywa. Trudno, będzie musiał obejść się bez niej. Nie da mu tej satysfakcji i nie zostanie przy nim, żeby nie wiem jak go pożądała, bo jej miejsce jest przy boku Galvana, a nie w łożu Rzymianina.

- Dziękuję, Jorg - powiedziała poważnie. - Nigdy nie sądziłam, że otrzymam pomoc ze strony Germanina.

On tylko się uśmiechnął, ale nie był to radosny uśmiech, a raczej ponury grymas.

Gdy szary zmrok otulił okolicę, Gwynn mimochodem ujęła swego konia za uzdę i jakby od niechcienia zaczęła prowadzić w stronę lasu. Legioniści codziennie wznosili nowy obóz i codziennie zrównywali go z ziemią przed wymarszem. Cezar nadzorował budowę z grzbietu swego konia, co musiało być koniec końców dość uciążliwe, ale on wykorzystywał każdą chwilę i siedząc na koniu, dyktował czasem po trzy listy naraz. Gwynn obserwowała go i jej szacunek dla tego człowieka rósł z godziny na godzinę, chociaż tego nie chciała. Nie mogła jednak nie doceniać geniuszu rzymskiego wodza, jego umiejętności planowania, strategii i zmysłu wojennego. W dodatku ludzie go autentycznie kochali i gotowi byli iść za nim choćby i do

piekła, gdyby tego zechciał. Gwynn nie mogła sobie przypomnieć, by klienci jej ojca czy męża darzyli swego patrona takim oddaniem, wśród Celtów liczyły się koligacje i interesy, nie zaś podziw i miłość.

Miała wrażenie, że wszyscy usłyszą łomot jej serca, ale nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Cezar pochłonięty był dyskusją ze swoimi legatami, a wszyscy siedzieli na końskich grzbietach, nie wypadało bowiem, by legaci siedzieli sobie rozwaleni albo stali, podczas gdy wódz nadzorował wznoszenie obozu. Adair gdzieś się ulotniła, Gwynn była wdzięczna losowi, że mogła uniknąć jej argusowego wzroku akurat teraz. Doprawdy Jorg miał rację, mówiąc, że o tej wilczej godzinie nikt nie będzie się nią przejmował. Że też wcześniej na to nie wpadła! Ale przez ostatnie kilka dni pochłonięta była innymi sprawami. Dzielila z Cezarem nocę, spała w jego ramionach, czuła promieniujące od niego ciepło, zasypiała zamknięta w jego objęciach i wdychała jego cierpką, słodko-gorzka woń. Czuła się rozdarta, jakby jej serce ktoś przeciął na pół.

Wiedziała jednak, że to, co teraz robi, jest absolutnie słuszne. Była wolną kobietą, żoną wodza Arwernów, a nie kochanką rzymskiego prokonsula, jakkolwiek było jej dobrze w jego łóżku. Nie mogła u niego zostać i wiedziała, że on to zrozumie, nawet jeśli w pierwszej chwili będzie mu przykro lub wpadnie w gniew. Trudno, ona musiała odejść i robi to możliwie jak najszybciej i najmniej boleśnie.

Mijała po drodze ciury obozowe, markietanki, zwykłych legionistów pogrążonych w rozmowie lub zajętych swoimi

obowiązkami, a żaden z nich nawet nie podniósł na nią wzroku. Jakby była niewidzialna. Czuła się co najmniej dziwnie, ale skoro nikt nie stawiał jej oporu, szła dalej, prowadząc konia za uzdę, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie. Ściemniało się, ponury późnozimowy zmrok powlekał powoli okolicę. Żołnierze zapalali pochodnie i wtykali je w ziemię, tak że widoczność poza kręgiem światła znacznie się zmniejszała, co bardzo jej sprzyjało.

Gdy była pewna, że znajduje się poza zasięgiem wzroku Cezara, dosiadła konia i ruszyła kłusem na północny zachód, gdzie zgodnie ze słowami Jorga musiały się znajdować oddziały Wercyngetoryksa. Jorg mówił, że Arwernowie śledzą Cezara i są o pół dnia marszu, ale teraz wojsko Cezara stało w miejscu, budując obóz na noc, podczas gdy Galvan z pewnością będzie chciał zmniejszyć dystans dzielący obie armie. Tak czy inaczej Gwynn nie miała nic do stracenia, może poza swoim życiem, gdyby ośmieliła się jechać nocą przez las. Z pewnością mieszkały tam wilki, a ona nie miała ochoty się z nimi spotykać, dlatego wybrała otwartą równinę i dziękowała bogom, kiedy na ciemniejszym niebie ukazała się blada tarcza księżyca. Za dwa dni będzie pełnia, uświadomiła sobie, a zatem księżyc będzie świecił dość jasno, by ona mogła spokojnie dotrzeć do wojsk Galvana.

Pomyślała, że dużo bezpieczniejszą porą na opuszczanie obozu byłby blady świt, kiedy Cezar spał pogrążony w głębokim śnie, ale zaraz skonstatowała, że po pierwsze bram strzegli wartownicy i już oni by nie pozwolili jej się wymknąć, a po drugie Cezar wcale nie spał głęboko, ale

raczej jak zając, z jednym okiem otwartym. Miała okazję się o tym przekonać w nocy, kiedy chcąc zmienić pozycję, usiłowała wyswobodzić się z jego objęć. Efekt był taki, że on natychmiast się obudził i skończyło się zupełnie czym innym, niż Gwynn planowała. Trudno jednak powiedzieć, by była niezadowolona z takiego obrotu sprawy.

Będzie go jej brakować...

Rozumiała teraz ów wyraz nostalgii w oczach Geillis. Domyślała się, że matka Galvana kochała Cezara i że nieustannie za nim tęskniła. Ta kobieta, która najpierw poślubiła obcego sobie człowieka ze względów politycznych, potem owdowiała w wieku lat zaledwie dwudziestu dwóch, później została wydana za mąż za swego szwagra, a przez ostatnie lata obywatła się bez męża, zapalała późną namiętnością do człowieka, który z politycznego punktu widzenia był jej wrogiem.

Pomyślała o czarnych, rozpalonych pożądaniem oczach Cezara i zawirowało jej w głowie. Nie sądziła, że się zaangażuje, że poczuje do niego więcej niż tylko pożądanie, a jednak tak się stało i Gwynn miała wyrzuty sumienia, chociaż wiedziała, że nie mogła postąpić inaczej.

Mogła. Nie musiała pchać się do jego łóżka.

Czyżby? A sny? A przesłanie Uatah?

Księżyc oświetlał równinę. Czarne pasmo lasu ciągnęło się po jej lewej stronie. Oddalała się od rzeki Elaver, dobrze, że orientowała się według położenia gwiazd, bo nie miała zamiaru zgubić się na tym pustkowiu i zostać odnaleziona przez jakichś legionistów. Tym razem Adair z pewnością by

jej nie uratowała, ani nawet sam Cezar. Zapewne był na nią wściekły, o ile już odkrył jej ucieczkę, i oddałby ją swoim żołnierzom. A może nie, może nadal stanowiłaby dla niego cenny łup. Tym cenniejszy, że знаła jego plany i wielce niepożądane byłoby w jego oczach przekazanie ich Wercyngetoryksowi, co ona z całą świadomością zamierzała właśnie uczynić.

W głębi ducha czuła się rozdarta. Gdyby nienawidziła Cezara, mogłaby z premedytacją dążyć do jego zagłady, ale problem polegał na tym, że nie odczuwała do niego nienawiści. Nie uczynił jej nic złego, nie wyrządził żadnej krzywdy, nawet gdyby się z nim nie przespiała, nie traktowałby jej jak wroga, ale jak gościa w swym obozie. Włos jej z głowy nie spadł, to musiała mu uczciwie przyznać, a teraz zamierzała go zdradzić. Ponieważ musiała być lojalna wobec Galvana.

Nie! Ponieważ Cezar był jej wrogiem! Chciał najechać jej miasto, być może wyciąć w pień jej rodzinę, krewnych, znajomych, współplemieńców, zrównać z ziemią Gergowie, w której się wychowała, spalić, zagrabić, wziąć do niewoli kobiety, pozabijać mężczyzn. Widziała bardzo dobrze, co się działo w Avaricum. Za nic w świecie nie chciała przeżyć podobnej masakry w swym rodzinnym mieście. Na samą myśl o tym ogarniały ją mdłości. W pamięci pojawiały się niechciane obrazy, rozbrzmiewały krzyki okaleczanych i zabijanych ludzi, lamenty gwałconych kobiet, płacz dzieci, jeden ogromny chaos, aż musiała zacisnąć powieki, by tego nie widzieć, ale to nie pomagało. I to wszystko było dziełem

jednego człowieka, który nie zdołał, jak stwierdził, pohamować wściekłości swoich żołnierzy.

Gwynn ani przez moment w to nie wierzyła.

Na horyzoncie coś zamajaczyło. Ujrzała blask pochodni i poczuła strach. Odruchowo skierowała konia w stronę lasu, by w razie niebezpieczeństwa ukryć się między drzewami. Na niewiele by się to pewnie zdało, ale ona z doświadczenia wiedziała, że oddział konny nie widzi niczego, co znajduje się poza kręgiem światła. Zbliźali się dość szybko, słyszała szcęk broni, parskanie koni, urywane rozmowy, pokrzykiwania.

Mówili w jej języku.

Zdecydowała się. Być może to nie Arwernowie ani tym bardziej Galvan, ale nie chciała ryzykować, że zbliźą się do niej drapieźniki albo, co gorsza, wytropią ją Rzymianie.

Zauważyli ją, kiedy znalazła się w kręgu światła ich pochodni. Z oddziału natychmiast wynurzyli się jeźdźcy. Gwynn spokojnie czekała, aż się do niej zbliźą, nie chciała, by ją przez przypadek zabili, bardziej bezsensownej śmierci nie mogłaby sobie wymyślić.

- Kim jesteś? - zapytał jeden z nich, młody człowiek, którego nie znała, o surowym wyrazie twarzy.

Drugi w tym czasie podjechał i zajął pozycję z drugiej strony, by uniemożliwić jej ucieczkę.

- Jestem Gwynn, córka Rutena, żona Wercyngetoryksa - odparła spokojnie. - Cezar wziął mnie jako zakładniczkę po zdobyciu Avaricum, ale zdołałam uciec.

Mężczyzna zamrugał powiekami, jakby mu coś wpadło

do oczu, po czym zawrócił konia i wtopił się w tłum, który tymczasem przystanął. Gwynn czekała, ogarnięta niecierpliwością. Usłyszała okrzyk, a po chwili z oddziału wyjechał samotny jeździec i niczym burza pognał w jej stronę.

Poznała go z daleka pomimo mroku po sposobie, w jaki prowadził konia. Ostatnie metry do niej pokonał na własnych nogach, a kiedy dopadł jej wierzchowca, dosłownie ściągnął ją na ziemię i zamknął w ramionach. Nie padło ani jedno słowo. Gwynn przymknęła oczy, by nie pokazać płynących z nich łez. Wiedziała, że bez względu na wszystko podjęła jedyną słuszną decyzję.

VIII

O wczesnowiosennym zmierzchu Gwynn siedziała przy ognisku i grzała przemarznięte dłonie na cynowym kubku pełnym gorącego cydru. Czuła jednocześnie ulgę, zadowolenie i wyrzuty sumienia, bo mimo wszystko uważała, że postąpiła niehonorowo. Gdy uciekła z rzymskiego obozu, bała się, że Cezar każe jej szukać, ale po wielu dniach drogi zrozumiała, że rzymski prokonsul ma inne zmartwienia na głowie. A Wercyngetoryks wcale mu nie ułatwiał życia. Oddział Arwernów jechał o pół dnia drogi przed Rzymianami, którzy najwyraźniej zdecydowali się przypuścić jednak atak na Gergowię i niszczyli wszelkie możliwe mosty na Elaver. Gwynn niemal widziała zimną, niemą furię na wyrazistej twarzy Cezara i charakterystyczną zmarszczkę między jego brwiami, gdy wymyślał kolejne posunięcie.

Tego wieczoru Galvan otrzymał pomyślne wieści od posłańców Eduów. Mieli przybyć posłowie od vergobreta Konwiktolitawisa, aby zawrzeć sojusz za plecami Cezara. Było to bardzo ryzykowne działanie ze strony Eduów, którzy

do tej pory bezwzględnie popierali Rzymian, szcycąc się mianem ich przyjaciół. Rzeczywiście w całym konflikcie rzymsko-galijskim ani razu nie odwrócili się od swoich sojuszników, chociaż ich lojalność parokrotnie została wystawiona na próbę, a co więcej, wyraźnie zachwiała się w momentach wyjątkowo trudnych dla Cezara. Jednak nie wystąpili jeszcze przeciw niemu i w obecnej chwili stanowili ostatni bastion prokonsula. Jeśli wystąpią z sojuszu i zdradzą Rzymian, pozycja Cezara nie będzie godna pozazdroszczenia.

Jednak sytuacja Arwernów również nie była wesoła, a to dlatego, że tego dnia Cezarowi udało się wywieść Wercyngetoryksa w pole. Wysłał cztery legiony przodem, tak że kiedy Arwernowie zniszczyli mosty na rzece, dwa legiony, które pozostały z wodzem, zdołały je naprawić i wieczorem armia się połączyła. Tym samym Rzymianie przeszli na drugi brzeg rzeki i zmierzali teraz do Gergowii, na co Wercyngetoryks zmuszony był patrzeć w bezsilnej złości. Od legionistów dzieliło go pół dnia drogi marszu, wódz Arwernów mógł mieć jedynie nadzieję, że jego posłańcy dotrą do miasta przed Cezarem. Gwynn widziała, że jej małżonek był z tego powodu niespokojny, ale wobec swoich ludzi nie okazał najmniejszych emocji. Walcząc latami w rzymskiej armii, nauczył się dyscypliny i opanowania.

Blady sierp księżyca ukazał się na niebie. Gwynn poczuła, że ktoś stanął za jej plecami, i odwróciła się, by ujrzeć Uatah unoszącą twarz.

- Gdy księżyc osiągnie pełnię, nadejdzie wiosna - odezwała się, jakby czytając w myślach Gwynn. - Wiosną

stoczemy decydującą walkę.

- Nie wyglądasz na zmartwioną - zauważyła Gwynn. - Ani na przerażoną.

- Bo też nie ma się czego bać - odparła kapłanka i usiadła przy ogniu. - Zarówno Galvan, jak i Cezar wiedzą, że taka podjazdowa wojna nie może trwać wiecznie, i prędzej czy później jeden wyzwie drugiego do walki.

Gwynn pochyliła się do przodu, by lepiej widzieć twarz Uatah.

- Nie to widziałam w snach - powiedziała dobitnie. - Widziałam wzgórze i dwa rzędy palisad.

- Tak. - Wzrok Uatah stał się daleki, zamglony, jej oczy migotały w blasku ognia. - To też będzie.

Spojrzała na żonę Wercyngetoryksa i się uśmiechnęła. Radość Galvana z powrotu Gwynn była ogromna, tym bardziej że nie spodziewał się jej znowu ujrzeć, a już na pewno nie tak szybko. Po porażce pod Avaricum i po rzezi, jaką urządzili tam Rzymianie, wolał nawet nie myśleć o tym, co mogło jej się stać. Odsuwał te myśli od siebie, podobnie jak ponure wizje jej losu, ale Uatah jako jedyna wiedziała, co kłębi się w jego głowie. Nie rozmawiał o tym z nikim, bo i nie było o czym rozmawiać, a Arwernowie i ich sprzymierzeńcy nie rozumieliby albo nie chcieliby rozumieć. Wszak każdy z nich składał podobną daninę, zostawiał w swym mieście na pastwę losu najbliższych, żony, dzieci, rodziców. Galvan zaciskał więc zęby i śledził posuwające się na południe wojsko Cezara, a potem wpadł na pomysł niszczenia mostów na rzece, by uniemożliwić Rzymianom przedostanie się na

drugi brzeg i uderzenie na Gergowie. Nie mógł uwierzyć własnym oczom, kiedy ją zobaczył na równinie, i był przekonany, że to jakaś cudowna ingerencja bogów, chociaż nie należał do ludzi przesądnych ani też specjalnie religijnych.

Gwynn skuliła się pod czujnym wzrokiem Uatah. *Ona wie - pomyślała. - Wie doskonale, co się działo w rzymskim obozie. Stąd jej pełen kpiny uśmiech. Nie, to nie kpina, to jeszcze coś innego. Tak, ona na pewno nigdy nie oddałaby się Cezarowi, ale mi ukazała się we śnie i kazała to zrobić.*

- Cezar wbrew pozorom jest człowiekiem uczuciowym - odezwała się Uatah bez zapowiedzi. - Bardzo kochał swoją pierwszą żonę, którą utracił w młodym wieku. Miał tyle lat, ile teraz Galvan, wyobraź sobie więc jego ból i cierpienie. Geillis była niemal uderzająco podobna do jego żony i będąc z nią, naprawdę obdarzył ją uczuciem. Cokolwiek się stanie, nie będzie potrafił jej zabić ani skrzywdzić.

Gwynn patrzyła na nią, nie do końca rozumiejąc, co Uatah chce przez to powiedzieć. Kapłanka jednak dalej mówiła ze szczególnym uśmiechem na twarzy:

- Każde uczucie jest jak kamień rzucony do wody. Rozchodzą się od niego kręgi. Im głębsze uczucie, tym szersze są kręgi. Galvan jest synem kobiety, którą on pokochał. Cezarowi będzie trudno zadać śmierć człowiekowi, z którego matką był tak blisko. Będzie mu również trudno odmówić prośbie kobiety, która urodzi mu syna. Pierwszego syna, co do którego będzie miał całkowitą pewność, nawet jeśli nie będzie mógł go uznać.

Gwynn z przerażeniem patrzyła Uatah w oczy, bo teraz rozumiała już, o czym mowa. Tak, miała pewne podejrzenia, kiedy jej czas nadszedł i krwawienie się nie pojawiło, ale była pewna, że to z powodu podróży i wcześniejszego przemęczenia. Tak się czasami działo, zwłaszcza na wiosnę, kiedy przesilenie wysysało z niej żywotne siły. Teraz jednak nie miała już najmniejszych wątpliwości. Zanim nadejdą zimowe ciemności, wyda na świat dziecko i będzie to syn Cezara.

- Wiedziałaś o tym - wyszeptała pobladyłymi wargami.

- Tak.

Ta krótka, zwięzła odpowiedź wzbudziła w Gwynn nie tylko strach, ale przede wszystkim gniew. Dlaczego te kobiety, Scatah, a potem jej córka, tak sobie poczynają? Wysyłały inne kobiety do łóżek mężczyzn i decydowały o małżeństwach, nie bacząc na uczucia, myśli i konsekwencje. A może właśnie wiedziały i kierowały się jakimś wyższym dobrem? Uatah przecież też kochała Galvana, miała z nim dziecko, a potem musiała go opuścić, czy może raczej to on musiał odejść. I była wtedy młoda, nieodporną na cierpienie, jak ją musiałoby to boleć, jak wtedy musiała strasznie cierpieć. A przecież pogodziła się z losem, dalej trwała u boku przywódcy Arwernów, wspierała go, nie opuściła w potrzebie, chociaż mogła postąpić zupełnie inaczej.

- Wszystkie ponosimy ofiary - szepnęła Uatah głosem nabrzmiałym od cierpienia, a kiedy uniosła głowę, Gwynn po raz pierwszy ujrzała w jej oczach łzy. Do tej pory sądziła, że

kapłanka nie potrafi płakać. - Twój syn będzie twoją gwarancją, kiedy wszystko inne zawiedzie. Przyjdzie moment, kiedy zwątpisz, i wtedy zdecydujesz się użyć jedyne go atutu, który przemówi Cezarowi do rozsądku. Więzy krwi są silniejsze niż cokolwiek innego, silniejsze niż zemsta, nienawiść i miłość, Gwynn.

Tak, o tym też już wiedziała, chociaż nie umiała tego wytłumaczyć.

- A Galvan? - zapytała. - On nie rozumie.

- Nie mówiłaś mu nigdy, co się wydarzyło w Avaricum. - Uatah się uśmiechnęła. - Galvan nie jest głupcem. Może nie będzie szczęśliwy z tego powodu, że dziecko przy jego boku będzie miało urodę Rzymian, ale rozumie któregoś dnia, że nie było innego wyjścia.

I po co to wszystko? - pomyślała Gwynn. - Po to, by jeden człowiek nasycił swoją chęć panowania nad światem? Spełnił swoje polityczne ambicje? W imię jego interesów musi być cała ta nienawiść, wojna, śmierć i rozpacz? Gdybym była go wtedy zabiła, nie doszłoby do tego wszystkiego. Ale ja nie umiałam.

- Nie taka była twoja rola w tej grze - powiedziała Uatah, a jej oczy zalśniły zielono i niebiesko jak morze. - Ty masz inne zadanie do spełnienia.

Tak, doprawdy, wspaniałe zadanie - pomyślała Gwynn ze złością. - Że też nie mogłaś mi wymyślić lepszego!

Wyraz twarzy Uatah był niezgłębiony, kiedy patrzyła w roztańczone płomienie ogniska. Dla Gwynn ta kobieta pozostawała zagadką nie do rozwiązania, nawet nie

próbowała przeniknąć jej myśli, chociaż wielokrotnie zastanawiała się, kim tak naprawdę jest Uatah.

Zasypiała już, kiedy poczuła, że Galvan wślizguje się na posłanie obok niej. W zasadzie nie spodziewała się, że przyjdzie, bo odbywał naradę z innymi naczelnikami, ale jego bliskość ją ucieszyła. Podsunął jej ramię pod głowę i splótł swoje nogi z jej. Leżeli wtuleni w siebie, tak że z ledwością mogła oddychać. Nie przeszkadzało jej to jednak. Chciała go czuć, wdychać jego zapach, czuć bicie jego serca, słuchać jego oddechu i wiedzieć, że jest przy niej. Miała niejasne, niedobre przeczucie, że powinna cieszyć się każdą chwilą spędzoną z nim, bo czasu jest już bardzo mało.

- Tęskniłem za tobą, Gwynn - wyszeptał w jej włosy.

Galvan zazwyczaj był dość oszczędny w słowach i nie okazywał jej takiej wylewności. Pomyślała, że kiedy się z nią żenił, jego serce nadal należało do Uatah, i poczuła ucisk w gardle. Zdobywała go dzień po dniu, pracowała na jego miłość, nie otrzymała jej za darmo tak jak Uatah kilka lat wcześniej.

Przysunęła się bliżej, objęła go ramieniem i wtuliła się jeszcze mocniej. Pachniał ogniskiem, wiatrem i trochę potem, ale wiedziała, że w takich warunkach nie ma czasu na częste kąpiele i przesadną dbałość o higienę. To również jej nie przeszkadzało.

- Bałem się, że już cię nie zobaczę - szeptał dalej. - Widziałem, co Cezar zrobił w Avaricum. Widziałem rzeź i masakrę, i odchodziłem od zmysłów, że tobie mogła stać się

krzywda.

- A ja widziałam ciebie - odezwała się Gwynn. - Widziałam cię na wzgórzu, jak odjeżdżałeś. To Adair mnie uratowała. Nie wiem, skąd się tam nagle wzięła. Zaprowadziła mnie do obozu Cezara.

Galvan przymknął oczy. Nie chciał wiedzieć nic więcej, bo domyślał się, co zaszło między Cezarem i Gwynn, ale to nie było aż tak istotne. Mógł z tym żyć, mógł nad tym przejść do porządku dziennego, a poza tym kiedy już pokona Cezara, będzie mógł się na nim zemścić za Gwynn i za Geillis. Mimo to musiał zadać jedno pytanie.

- Czy on cię dobrze traktował?

Gwynn wiedziała, do czego zmierza jej małżonek, i w pierwszej chwili nie chciała mu za dużo mówić, potem jednak stwierdziła, że on ma prawo wiedzieć, co się z nią działo w obozie wroga.

- Dał mi wszystko, czego potrzebowałam, i traktował mnie jak gościa, nie jak więźnia - odparła zgodnie z prawdą.

- Spałaś z nim, prawda? - wyrwało się Galvanowi, zanim zdążył pomyśleć.

Nie odpowiedziała. Nie musiała. Galvan pogładził jej włosy, skroń, przesunął dłonią wzdłuż jej pleców.

- I tak cię kocham - szepnął. - To nie ma znaczenia. Najważniejsze, że żyjesz, a jeśli w ten sposób zapewniłaś sobie bezpieczeństwo, to niech i tak będzie.

Gwynn pomyślała cokolwiek bluźnierczo, że on mimo wszystko jest ostatnią osobą, która miałaby prawo ją osądzać. Opuścił ją na wiele lat, kiedy służył jako sojusznik

w wojsku Cezara, i miewał tam na pewno wiele kobiet, ale dla niej pozostawało to bez najmniejszego znaczenia, wychowana była bowiem w społeczeństwie, które dopuszczało nie tylko poligamię mężczyzn, ale również konkubinat i posiadanie kochanek. Nie było niczym niezwykłym, że mężczyzna obok żony miał inne kobiety, podobnie małżonka mogła posiadać kochanków za zgodą męża. Nie to było istotne, ale więzi rodzinne, które liczyły się przede wszystkim. *I na pewno tej zimy nie raz sypiałeś z Uatah* – pomyślała także. – *Czy ja mam cię z tego powodu osądzać albo usprawiedliwiać twoje postępowanie?*

Pomyślała o Cezarze. On nie pytał, bo też nie miał do tego prawa. Nie interesowało go, z kim spała wcześniej, ilu miała mężczyzn i ilu będzie miała później. Tam, w jego namiocie, przez kilka chwil była jego kobietą. Nic innego nie było ważne, nie istniała przeszłość, nie było przyszłości.

Wdychała zapach mężczyzny, którego poślubiła tyle lat temu, i po raz pierwszy nie czuła się w jego ramionach bezpieczna. Miała wrażenie, że to początek końca czegoś, że nigdy już nie będzie między nimi tak, jak było przedtem.

– Boję się, Galvanie – szepnęła. – Boję się, że cię stracę. Nie bałam się, kiedy odjeżdżałeś służyć w rzymskim wojsku, nie bałam się wcześniej, ale teraz czuję strach, którego nie umiem wytłumaczyć.

Przytulił ją mocniej. Była wzruszająca w swoim oddaniu. Przypomniawszy sobie tamten dzień, kiedy ujrzał ją śpiącą na łące, kiedy nic jeszcze nie zapowiadało niebezpieczeństwa, może jedynie niewytłumaczalne sny Scatah. Była taka młoda,

świeża, odpowiednio do swego wieku naiwna, nie wiedziała, co znaczy dorosłe życie, cierpienie i strach. Pomyślał wówczas, że gdyby nie oddał swego serca Uatah, zakochałby się bez pamięci w tej pięknej dziewczynie. Przeżyli ze sobą wiele lat, a on trwał przy niej, pomimo iż zdarzało mu się niejednokrotnie iść w ramiona innych kobiet. Gwynn oznaczała dla niego dom, ciepło i poczucie bezpieczeństwa. I ona również przy nim trwała, nie bacząc na jego zdrady mniej lub bardziej oficjalne. Była jego kobietą, jego żoną na dobre i na złe.

Chciał ją pocieszyć i uspokoić, ale nie znajdował słów.

- Nie chcę cię stracić - mruknęła w jego ramię. - Wiem, że takie są prawa wojny, ale nie chcę, żebyś zginął.

Galvan nigdy nie patrzył na kwestię swojej śmierci z takiego punktu widzenia. Nauczono go nie bać się śmierci, nie bać się niebezpieczeństwa, ale nigdy nie pomyślał, jak na to mogła patrzeć kobieta, która go kochała. Był dla niej wszystkim, więc naturalne było, że nie wyobrażała sobie życia bez niego. Ale poradziłaby sobie, był tego pewien. Musiałaby.

- Gwynn, cokolwiek się stanie, musisz być dzielna - powiedział zdecydowanie. - Jeżeli Cezar mnie zabije, nie możesz mu pokazać, jak bardzo cię to zabolalo. Musisz okazać się prawdziwą żoną wodza Celtów. Musisz być silna. Nigdy się nie poddać. I żyć dalej, choćby dla naszych dzieci.

Gwynn pomyślała, że to najokrutniejsze słowa, jakie usłyszała w życiu, ale wiedziała, że miał rację. Cokolwiek się stanie, ona nie może się załamać ani poddać. Była żoną

Wercyngetoryksa i nie mogła przynieść mu hańby. I chociaż najbardziej ze wszystkiego pragnęłaby z nim uciec gdzieś na koniec świata, gdzie nikt by ich nie odnalazł, wiedziała, że nie może tego zrobić, bo on musi wypełnić swoje przeznaczenie, skończyć dzieło, które wiele lat temu rozpoczęła Scatah.

Cezar po ucieczce Gwynn z trudem opanował wściekłość. Nie chodziło o to, przekonywał sam siebie, że stracił piękną, młodą kobietę, ale żonę Wercyngetoryksa, a zatem swój największy atut w wojnie podjazdowej. Teraz nie miał już czym go szantażować, a jego sytuacja z dnia na dzień stawała się coraz gorsza. Nie miał wyjścia, musiał pomaszerować na Gergowię, chociaż mając do dyspozycji raptem sześć legionów, wcale nie czuł się na siłach zdobywać miasta. Zdawał sobie sprawę, że to może być bardzo, ale to bardzo ryzykowne posunięcie, któremu grozi jeśli nie klęska, to w każdym razie utrata prestiżu. Nie miał jednak wyboru.

Gergowia znajdowała się na wzniesieniu, podobnie jak większość galijskich miast, ale nie to stanowiło problem, tylko znaczne uszczuplenie sił Cezara. Pora roku wybitnie nie sprzyjała, a poza tym po raz drugi został haniebnie zdradzony przez swoich, jak sądził, sojuszników, Eduów. Dowiedział się o tym, kiedy już zdołał rozbić się obozem pod Gergowią. Litawikkus, który nadzorował dostarczenie żywności Rzymianom, w odległości sześćdziesięciu pięciu kilometrów od miasta zdecydował się na odwrót, a uczynił to

w tak haniebnym sposobie, opowiadając o rzekomej zdradzie Rzymian i masakrze, jaką urządzili oni na Eduach, że reszta konwojentów postanowiła zabić eskortujących ich legionistów i umknąć razem z taborami do armii Wercyngetoryksa. Gdy wieść o tym dotarła do Cezara, postanowił on samodzielnie rozprawić się ze zdrajcą, ale ten zdołał uciec cało i teraz pewnie siedział w szeregach Wercyngetoryksa. Humor Cezara wracającego na pozycję pod Gergowią nie poprawił również posłaniec od legata Fabiusza, którego wódz zostawił na czele obozu, informujący, że obóz rzymski był zaciekle atakowany przez cały dzień i tylko dzięki ostrzałowi ze skorpionów legionistom udało się utrzymać pozycje.

Kiedy rozpoczynał wojnę w Galii pod pozorem udzielenia pomocy Eduom, nie przypuszczał, że ludom galijskim kiedykolwiek przyjdzie do głowy bunt, a już w ogóle tak otwarty i powszechny. Celtowie znani byli z tego, że nie potrafią się zjednoczyć, a on wykorzystywał tę przywarę do granic przyzwoitości, podpuszczając jedne plemiona na drugie i mniej lub bardziej oficjalnie mieszając się w lokalne konflikty. Nie sądził, że ci pieniacle, krzykliwi z natury, hałaśliwi, nieustraszeni, ale też niezdiscyplinowani, zdecydują się na taką rebelię, która w dodatku będzie zaskakująco sprawnie zorganizowana. A wszystko to za sprawą jednego człowieka, zmił wyhodowanej na własnym łonie, Wercyngetoryksa, który jakimś nieprawdopodobnym cudem zjednoczył ich wszystkich, wmawiając im, że stanowią jeden naród i powinni wszyscy razem walczyć przeciwko

najeźdźcy, to jest Cezarowi.

Co prawda Cezar był pod wrażeniem, musiał to niechętnie, ale jednak przyznać. Podziwiał jego odwagę, talent oratorski, umiejętności organizacyjne, a przede wszystkim charyzmę, którą nieoczekiwanie się wykazał. Cezar pamiętał go jako nieustraszonego wojownika, dowódcę arwernijskiej konnicy, który nie znał słowa „strach”. Był nieugięty, nieprześlągany i niezwyciężony, z każdej potyczki i bitwy wychodził praktycznie bez szwanku. Nic dziwnego, że pociągnął tłumy. Szli za nim, bo wydawało się, że jego postać emanuje własnym blaskiem.

Cezar nic nie wiedział o celtyckich próbach odwagi, przez które ongiś przeszedł Wercyngetoryks. Mimo że w ciągu tych ośmiu lat zdołał nauczyć się niejednego o galijskich obyczajach, ba, nawet pisał o tym w swoich pamiętnikach, które to zapiski w formie raportów skrupulatnie posyłał do Rzymu, to jednak nie zagłębił się w prawdziwy nurt celtyckich wierzeń, nie dotarł do źródła mocy Wercyngetoryksa i nie rozumiał, skąd u tego człowieka nagle taka siła i moc przyciągania zwolenników. Jemu przeciwnik jawił się początkowo jako bezczelny młodzieniec, który usiłuje wzniecić bezsensowną zdanien Rzymian, bo pociągającą niepotrzebne straty, rebelię. Tymczasem młody Gal niemal z dnia na dzień przeszedł metamorfozę z rebelianta w wodza wiernie oddanych mu wojowników, a przy tym przeciągał na swoją stronę z niemałym powodzeniem połowę sojuszników Cezara.

Teraz też deptał mu po piętach. Jego armia posuwała się

za oddziałami Cezara po drugiej stronie rzeki Elaver, przez którą Cezar musiał się przeprawić, chcąc dotrzeć do Gergowii. Jakby tego było mało, Wercyngetoryks posyłał awangardę, która niszczyła każdy napotkany most, tym samym przeszkadzając Cezarowi bardziej niż skutecznie w przebyciu rzeki, na domiar złego w tym miejscu głębokiej i rwącej po wiosennych roztopach. Zasilały ją pokłady górskiego śniegu, brunatne, spienione fale wirowały niczym w kotle czarownicy i Cezar nie widział żadnej możliwości przedostania się na drugi brzeg. Toteż kiedy nazajutrz armia ruszyła, Cezar, wiedząc, co nastąpi, pozostał w tyle wraz z dwoma legionami i schował się wśród gęstych drzew w pobliżu jednego ze zniszczonych mostów. Reszcie wojska kazał tak się przegrupować, by Wercyngetoryks myślał, że w rzeczywistości idą za nim wszystkie legiony.

Pod koniec dnia nadjechała jego najlepsza informatorka z wiadomością, że legiony się zatrzymały. Wobec tego Cezar skierował żołnierzy do odbudowy mostu pod osłoną nocy, mając świadomość, że Galowie nie wysłali zwiadowców, przekonani o tym, że cała rzymska armia znajduje się w zasięgu ich wzroku.

Adair podeszła do wodza, który nadzorował budowę mostu. Nie bała się go, zresztą nigdy nie żywiła przed nim takich uczuć. Czym innym był respekt wobec tego człowieka, czym innym jednak strach, a córka Ariowista, nawet pokonanego, a być może martwego za sprawą własnego ludu, nie bała się nikogo.

Cezar zwrócił na nią uwagę dopiero po chwili, bo stała

cicho i spokojnie, czekając, aż zechce przyjąć do wiadomości jej obecność.

- Mów - rzucił krótko.

- Nie mam dobrych wieści, wodzu - odezwała się swoim szorstkim głosem, a Cezara jak zwykle zdumiał twardy akcent, którym łamała płynną łacinę. - Litawikkus zdołał nakłonić twojego agenta Konwiktolitawisa, by przeszedł na stronę Arwernów. W mieście Cabillonum został zabity nasz trybun wojskowy. Tym samym nie będzie dostaw zapasów.

Jedyną reakcją Cezara było zaciśnięcie zębów, ale Adair wiedziała, że to oznaka wściekłości. Wszystko szło jak po grudzie od momentu zdobycia Avaricum. Zupełnie jakby Fortuna sprzyjająca mu do tej pory nagle się od niego odwróciła, może chcąc wystawić go na próbę.

- Cezarze - odezwała się po krótkiej chwili i wykonała gest, jakiego nigdy dotąd nie ośmieliła się uczynić wobec niego - położyła mu dłoń na ramieniu. - Jeśli chcesz pokonać Wercyngetoryksa, musisz mu dać fory.

Zwrócił na nią pałające czarne oczy. Adair poczuła falę czegoś nieokreślonego, która podeszła jej niemal do gardła. Mieszanina fascynacji, lęku, zachwytu i podniecenia na moment ogarnęła ją całkowicie. Czuła cierpką woń potu, piżmowy zapach mężczyzny i coś jeszcze, na co do tej pory nie zwracała uwagi. W tym momencie zrozumiała, dlaczego kobiety tak chętnie, jakby pozbawione woli, szły za nim i były mu powolne. Gdyby teraz bodajże pstryknął palcami, byłaby jego.

- Cezar nikomu nie daje forów - wycedził przez

zaciśnięte zęby.

- Nie zdobędziesz Gergowii - powiedziała cicho, aczkolwiek zdecydowanie. - Nie zdołasz z sześcioma ledwie legionami. Gergowia jest silną fortyfikacją, leży na wzgórzu, a ty nie masz czasu, zapasów, ludzi ani sił.

Zgrzytanie zębów musiało wystarczyć jej za odpowiedź.

- Poza tym - kontynuowała - jeżeli cofniesz się spod miasta, dasz mu do zrozumienia, że zostałeś pokonany, że on ma przewagę i jest w stanie odeprzeć twój atak.

- Do rzeczy, Adair - warknął Cezar, teraz już zirytowany.
- O co ci chodzi?

- O to, żebyś zagrał na jego zadufaniu w sobie - odparła przebiegle Germanka. - Daj mu do zrozumienia, że jesteś słaby, i szybko się przekonasz, że uczyni błąd. Zgubi go jego własna próżność czy może raczej próżność jego ludzi. Będą się chełpić tym pozornym zwycięstwem, będą się obdzielać wzajemnie łaskami, świętować i tracić czujność - wszyscy poza Wercyngetoryksem, ale on nic nie zdoła wobec nich wszystkich. I sami zapędzą go w kłopoty. Podczas gdy oni rozpoczną wiecze i uczty, ty połączysz legiony i poczekaś na jego manewr. Zbierzesz siły. Niech myśli, że jesteś słaby, i niech lekceważy to, co widzi, nie biorąc pod uwagę tego, o czym nie wie.

Cezar zmrużył oczy, patrząc na swoich ludzi, którzy uwijali się jak w ukropie, aby ukończyć budowę mostu przed świtem. Pomyślał, że ta dziewczyna może mieć całkowitą rację. Była mu ślepo oddana jak większość legionistów, a stało się tak dlatego, że okazał jej szacunek i dał wolny

wybór. Wiedział, że jego ludzie go kochają, uwielbiają i poszliby za nim w ogień. Był ich wodzem, panem ich życia i śmierci, Wercyngetoryks natomiast miał tylko pozorną władzę nad rozpasanymi Galami, awanturnikami i gwałtownikami, którym dyscyplina była obca. Gdyby upozorował porażkę pod Gergowią, gdyby pokazał Wercyngetoryksowi słabość, miałby czas na ułożenie konkretnego planu.

- Jeszcze jedno, Cezarze - rzuciła Adair. - Jeżeli naprawdę chcesz go pokonać, nie Galów, ale Wercyngetoryksa, musisz pokonać źródło jego mocy.

Cezar spojrzał na nią, nie rozumiejąc.

- Zabij kapłankę - poradziła Adair. - Zabij Uatah. To ona i jego brat druid wspierają go i dodają mu sił. Stanowią połączone naczynie mocy, którą obdarzają Wercyngetoryksa. Zabij jedno z nich, a magia przestanie działać i Wercyngetoryks stanie się Galvanem, który będzie musiał złożyć ofiarę z samego siebie na przebłaganie bogów.

Cezar stwierdził, że nie rozumie ani jednego słowa z tego, co usłyszał, jednak przesłanie było jasne. Wiedział, która to kapłanka, widział rudowłosą kobietę towarzyszącą taborom Galów. Nie zwracał na nią do tej pory szczególnej uwagi, jak to Rzymianin, ale doszedł do wniosku, że teraz baczniej się jej przyjrzy. Skoro Adair twierdziła, że ta kobieta jest istotna dla Wercyngetoryksa, to znaczy, że należy ufać jej słowom. Do tej pory Adair ani razu nie zawiodła.

- Dziękuję ci, Adair - odezwał się. - Wezmę pod uwagę wszystkie informacje.

Adair zrozumiała, że jest to odprawa i że Cezar chce w samotności przemyśleć sprawę, toteż zostawiła go posłusznie i oddaliła się do swojego namiotu. Idąc, zastanawiała się nad swoim postępowaniem i zajadłą nienawiścią, jaką żywiła do Galvana. Chociaż czy była to rzeczywiście nienawiść, czy tylko gorycz złamanego serca, tego nie umiała powiedzieć. W swoim krótkim życiu kochała tylko raz, bez wzajemności, człowieka, o którym nie mogła nawet marzyć. Czy to dlatego z taką zawziętością pragnęła go zniszczyć?

I co dalej, kiedy to już nastąpi? Czy będzie się cieszyć z jego śmierci? Skoro nie mogła go mieć, to czy przyjemność sprawi jej jego całkowita utrata? Na zawsze...

Atak przebiegał nie do końca tak, jak Cezar by sobie życzył, ale przybywając wbrew wszelkim zasadom zdrowego rozsądku pod Gergowie, musiał zdawać sobie sprawę z trudnej sytuacji. Cztery legiony nadal pozostawały pod dowództwem Labienusa, a on atakował miasto, dysponując ledwie sześcioma, na szczęście również swoim ulubionym X legionem. Początkowo wszystko szło dobrze, Cezar bowiem rozpoczął atak fortem. Chcąc zwieść przeciwnika pozorną liczebnością swojej armii, przebrał za legionistów niewolników towarzyszących wojsku, wsadził ich na konie i muły i wysłał do ataku, a żeby podstęp wypadł bardziej przekonująco, rozstawił wokół nich prawdziwych żołnierzy. Wysłał ich w okolice wzgórza, na którym rozlokował się ze swoim obozem Wercyngetoryks, podczas gdy prawdziwa

armia czekała, bezpiecznie schowana w lesie. Gdy tylko oddziały galijskie zajęły się fałszywymi legionistami, Cezar dyskretnie przemieścił swoje wojsko do mniejszego obozu.

Cezar przez dwie noce gryzł się z radą daną mu przez Adair i teraz uznał, że dziewczyna miała jednak rację. Lepiej było dokonać odwrotu, przegrupować wojsko, połączyć się z oddziałami Labienusa i wtedy uderzyć na Celtów z całym impetem. Aby jednak nie wycofywać się z całkowicie podkulonym ogonem, postanowił dokonać niewielkiego ataku na obóz celtycki, nawet nie na samo miasto, po czym, pokonawszy galijski oddział, wycofać się. Wszystko szło zgodnie z planem przez jakiś czas, ale Cezar, zbyt ufny w karność swoich ludzi, nie wziął pod uwagę szafu wojennego, jaki prędej czy później ogarniał żołnierzy. Kiedy rozochoceni legioniści dokonali udanego ataku na mniejszy obóz galijski, rozłożony na drugim wzgórzu, przestały do nich docierać jakiegokolwiek sygnały dawane przez wodza. Pomimo znaku do odwrotu pędzili dalej, nawet wówczas, gdy natknęli się na kamienny mur usypany przez Galów. Przeszkoda ta nie powstrzymała napierającego wojska, jednak przyczyniła się do powstania chaosu, przez co duża część żołnierzy faktycznie nie usłyszała sygnału i legioniści dalej przedzierali się przez celtyckie oddziały ulokowane w mniejszym obozie tuż pod murami Gergowii. Rzymianom udało się nawet zaskoczyć jednego z galijskich naczelników do tego stopnia, że ten, na wpół roznegliżowany, dopadł konia i uciekł ile kopyta poniosą, nie troszcząc się zgoła o należyte okrycie ciała.

Legioniści szli jak burza, przetoczyli się przez galijskie obozy i stanęli pod murami miasta. Cezar patrzył na to ze swego punktu obserwacyjnego i zgrzytał zębami w bezsilnej złości, bo przewidywał, co się za chwilę stanie. Rzymian było zbyt mało, by dokonać udanego szturm, a Gergowia nie była Avaricum, niewiele z punktu widzenia Wercyngetoryksa znaczącym oppidum, ale stolicą jego kraju, o którą walczyłby do utraty życia. Sam też nie schronił się w mieście, ale uformował wokół niego kilka większych i mniejszych obozów, a teraz zajęty był budowaniem fortyfikacji po drugiej stronie miasta.

Tymczasem mieszkańcy Gergowii, pewni, że oto wybiła ich ostatnia godzina, i pomni masakry, jaka dokonała się w Avaricum jako odpowiedź na rzeź w Cenabum, zaczęli wylegać na mury. Kobiety z płaczem odsłaniały ciała przed oczami Rzymian, rzucały z muru odzież i złoto i z jękiem błagały legionistów, by pohamowali swoją wściekłość i nie zabijali ich tak, jak to uczynili w Avaricum. Na legionistach nie robiło to większego wrażenia - nieczuli na zawrozenia galijskich kobiet, na ich odsłonięte piersi i wyciągnięte ramiona, parli dalej do przodu.

I wtedy Cezar ujrzał Geillis, jak wyszła na mur, nie po to jednak, by się odsłaniać i błagać, ale by stanąć w dumnej pozie, jak przystało na matkę króla. Widział ją doskonale, był na tyle blisko, że niemal mógł spojrzeć jej w oczy. Złote włosy miała rozpuszczone, lśniły w wiosennym słońcu, poprzetykane siwizną na skroniach, ale to nie miało znaczenia. Geillis swą postawą przypominała królową, nie

płakała i nie błagała, nie wyciągała ramion w geście poddaństwa, oparła je na biodrach i dumnie uniosła głowę. Szukała go wzrokiem, a kiedy znalazła, wbiła weń spojrzenie oszałamiająco błękitnych oczu. Stali tak każde po swojej stronie muru, niegdyś kochankowie, teraz wrogowie, stali i patrzyli sobie w oczy, a każde z nich wiedziało, że jest bezbronne wobec drugiego. Cezar przypomniał sobie lawinę uczuć, jakie ta kobieta w nim wyzwoliła, jak przez moment poczuł się tak, jak dawno temu w ramionach Kornelii. Już wtedy, przed laty, zrozumiał, że Galijka jest drugą po jego zmarłej żonie kobietą, którą mógłby kochać nieokiełznaną, gorącą miłością, ale jego chłodny rozum wytrawnego polityka podpowiadał mu, że to niemożliwe. Mimo to pofolgował sobie wtedy, pozwolił sobie na znacznie więcej, niż powinien, i teraz, stojąc twarzą w twarz z tą kobietą, uświadamiał sobie, że nigdy nie potrafiłby uczynić jej krzywdy i że gdyby poprosiła, oszczędziłby jej syna.

Miłość jest słabością – tyle się nauczył w ciągu długich lat swojego życia. Kochał kilka kobiet, ale tylko Kornelię obdarzył miłością niemającą sobie równej. Po jej śmierci sądził, że jego serce nigdy już nie zabije, a jednak pokochał znowu i znowu, a do każdej następnej kobiety żywił uczucie całkowicie odmienne. Każda pełniła jakąś funkcję w jego życiu – żony, kochanki, partnerki w interesach, każda pełniła wobec niego określone obowiązki, ale tylko Geillis dała mu siebie dla samej przyjemności. Gdy szła w jego ramiona, widział w jej oczach miłość i szczęście. I za to właśnie ją pokochał na swój chłodny, praktyczny sposób. Dlatego teraz,

gdy wokół niego szalała bitewna zawierucha, Cezar stał w swoim punkcie obserwacyjnym, przykuty wzrokiem do jej postaci.

Gdy się ocknął, pod murem walczyli już Celtowie pod wodzą Wercyngetoryksa, zwabieni wojennym zgiełkiem. Gdy Celtowie dotarli pod mury Gergowii, kobiety zwróciły się do nich ze swymi lamentami, co wywierało na nich dużo większe wrażenie niż na Rzymianach. Legaci, którzy wcześniej zdołali wejść na mur, w tym jeden z najdzielniejszych dowódców, Lucjusz Fabiusz, zostali zabici, a ich ciała zrzucano na dół. Legioniści zmuszeni zostali do odwrotu, a osłaniał ich centurion Marek Petroniusz, który bronił się i skupiał na sobie uwagę nieprzyjaciela tak długo, aż wszyscy żołnierze Cezara zdołali mniej lub bardziej bez szwanku wydostać się spośród napierających Galów.

Cezar przy pomocy X legionu i kohorty XII legionu osłaniał ich niechlubny odwrót. Gotowało się w nim na myśl, że z powodu nieposłuszeństwa żołnierze nie tylko narazili go na hańbę porażki i na dotkliwe straty, ale także obrócili wniwecz jego genialny skądinąd plan pozorowanego ataku i odwrotu. To, co chciał upozorować, przybrało realny wymiar - klęska stała się faktem, bodajże pierwsza poważna porażka rzymskich wojsk w galijskiej kampanii. Cezar już wyobrażał sobie triumfalne okrzyki swoich wrogów politycznych w Rzymie, kiedy ta wieść dotrze do Miasta. Wiedział, że musi zachować zimną krew i trzymać nerwy na wodzy, ale miał ochotę surowo ukarać swoich legionistów za niesubordynację i tylko myśl o dość lichym stanie własnej

armii, nie wspominając o dotkliwych stratach, powstrzymała go przed wprowadzeniem decyzji w czyn.

Jego gorycz była tym większa, kiedy okazało się, że stracił siedmiuset cennych ludzi, a była to największa liczba od początku kampanii, nie licząc rzezi w Cenabum. Porażka pod Gergowią zaboląła go bardziej, niż śmiał przyznać, jednak taktownie powstrzymał się przed okazaniem zbytnej surowości, a tylko zganił słownie swoich ludzi na porannym apelu następnego dnia. Dodał jednak, że porażka w dużej mierze spowodowana była trudnym uformowaniem terenu, fortyfikacją wroga i niewykonaniem rozkazu. Aby zachować twarz, przez kolejne dwa dni formował szyk, chcąc sprowokować Wercyngetoryksa do walnej bitwy, kiedy jednak ten nie odpowiadał na zaczepkę, Cezar zwinął swoje wojsko i odszedł na północ, do kraju Eduów, którzy pomimo licznych zdrad jak dotąd pozostali mu mniej lub bardziej lojalni. Tam chciał połączyć swoje legiony z oddziałami Labienusa, ale oddalając się od ziemi Arwernów, czuł w ustach gorzki smak porażki, a głowę zaprzętały mu niespokojne myśli o niepewnej przyszłości.

W Gergowii uczta na cześć króla trwała trzy dni i zdawała się nie mieć końca. Co prawda Galvan wolałyby szykować się do natarcia na Rzymian, zamiast siedzieć w biesiadnej sali i ucztować, ale wiedział, że takie zachowanie obraziłoby naczelników, sojuszników i nie wiadomo kogo jeszcze, toteż siedział cicho, wznosił kielichy i pomimo tęgiego picia pozostawał rozpaczliwie trzeźwy.

Gwynn nie posiadała się z radości, że rzymski atak został odparty, podobnie jak większość arwernijskich kobiet, ale oczy Uatah pozostawały poważne, jej twarz - czujna i napięta, a i Geillis niewiele się odzywała na temat zwycięstwa Celtów. Za każdym razem, gdy Gwynn napotykała ich wzrok, czuła zimny dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa. Oczy Uatah migotały w blasku pochodni niczym dwa jeziora, ale było w nich coś takiego, że Gwynn odwracała wzrok - jakby przebłysk wieczności, nieskończoności, sprawiający, że kapłanka wyglądała niesamowicie, jak postać nie z tego świata.

Po trzech dniach nawet ją zaczęły nużyć niekończące się toasty, okrzyki, wojenne pieśni i chrapanie pijanych wojów. Galvan pił, ale o dziwo się nie upijał. Jego wzrok pozostawał czujny, tak samo jak oczy Uatah. Gwynn widziała, jak ci dwoje na siebie patrzą, bez cienia erotyzmu, a jednak z głębokim porozumieniem, jak bratnie dusze, i po raz pierwszy w życiu nie czuła tej obezwładniającej zazdrości wobec pierwszej żony Galvana. To było coś, co wykraczało poza normalne rodzinne lub plemienne stosunki, Gwynn bardziej wyczuwała, niż rozumiała, że tej zimy połączyli się oni w jakiś duchowy sposób, jakby nawzajem czytali swoje myśli i oglądali dusze. Czuła się wykluczona z tego związku, ale nie przeszkadzało jej to, bo jakimś innym zmysłem czuła, że sama niebawem będzie musiała odegrać znaczącą rolę w epepei swego męża.

Tymczasem dni mijały i dla Gwynn coraz bardziej jasne się stawało, że nie jest już sama. Minął ponad miesiąc od jej

pobytu w rzymskim obozie, przedwiośnie przeszło w delikatną zapowiedź wiosennego rozkwitu i Gwynn pojęła, że nosi pod sercem dziecko. Nie miała najmniejszych wątpliwości co do ojcostwa, wiedziała bez dwóch zdań, kto i kiedy począł w niej to życie. W dzikiej, niepohamowanej namiętności, wśród zalewających ją fal niewymownej rozkoszy, kiedy oddawała się Cezarowi z nieznaną, niezrozumiałą mocą. Galvan jeszcze nie wiedział, nie zdawał sobie z tego sprawy, choć niemal każdą noc spędzał w jej ramionach. Niemal każdą, bo wiedziała, kiedy spędzał noce z Uatah, ale i to jej nie przeszkadzało, jakby miała świadomość, że tak być musi w imię wyższego dobra.

Po trzech dniach jednak należało zakończyć ucztę i kontynuować wojnę, jeśli Celtowie chcieli raz na zawsze pozbyć się Rzymian z Galii. Do Wercyngetoryksa nadciągały coraz to nowe oddziały, pewnego dnia przybyli zbuntowani Eduowie, którzy postanowili odciąć się od Cezara i przyłączyć do powstania. Przynieśli oni zaskakujące wieści – że galijskie oddziały Cezara wypowiedziały mu służbę, a on puścił je wolno, wiedząc, że przejdą na stronę Wercyngetoryksa, by go wspomóc w słusznej sprawie. Cała Galia wrzała, ferment narastał w najdalszych zakątkach, przyjeżdżały posiłki znad Atlantyku, z Belgii, od pokonanych przed niemal dekadą Helwetów, od Allobrogów, od wszystkich plemion, które w ciągu tych lat znalazły się pod rzymskim butem. Posłowie przybywali codziennie, niosąc wieści.

Całe siedem nocy Galvan spędził w Gergowii,

reorganizując swoją armię. Ostatniej nocy przed wymarszem w ślad za Cezarem przeprowadził rozmowę z żoną. Jednak kiedy starał się nakłonić ją, by została w domu, napotkał zdecydowany opór.

- Ani myślę tu siedzieć i czekać na wiadomość o twojej śmierci - warknęła Gwynn z gwałtownością, która ją przeraziła. - Pojadę z tobą, czy tego chcesz, czy nie.

Galvan potrząsnął głową.

- Nawet mowy nie ma, Gwynn - odparł ze złością. - Zostaniesz tutaj i nie będziesz się więcej narażać. Oni tu nie wrócą, po moim trupie.

- Otóż to - podchwyciła Gwynn. - Nie będę tutaj siedzieć i czekać, aż oni przyjdą po tym, jak zdołają ciebie pokonać.

- To pięknie wierzysz w moje zwycięstwo, droga żono - burknął niezadowolony.

Gwynn położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie rozumiesz mnie, jak widzę - westchnęła. - Wcale nie chcę powiedzieć, że zostaniesz pokonany. Przecież to Cezar wycofał się i teraz jest w kropce. Ale po tym, co przeżyłam w Avaricum, ani myślę zostawać tutaj. On mnie nienawidzi za to, że mu uciekłam, i zemści się przy pierwszej okazji, a ty nie wiesz, czy on się nie dowie, że tu jestem, i nie wymyśli jakiegoś podstępu, żeby mnie ściągnąć do siebie i szantażować cię w ten sposób. Wiem, że chciał tak zrobić wtedy.

Galvan miał ochotę zapewnić, że tym razem to się nie uda, ale zamknął usta, zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, bo przez myśl przeszło mu, że ona może mieć niestety rację.

Kiedy Gwynn wróciła do niego po masakrze w Avaricum, był tak szczęśliwy z jej ocalenia, że nie myślał o tym, co mogło się stać w rzymskim obozie. Myśli napływały później. Odrzucał je od siebie, ale z dnia na dzień był coraz bardziej pewien, że to musiało się stać. Gwynn nie mówiła o tym, nie wspomniała jednym słowem, co jej się przydarzyło lub mogło przydarzyć, a on postanowił puścić to w niepamięć, a przynajmniej nie mówić o tym głośno. Uważał, że ona ma prawo do zachowania milczenia, bo nie jest rzeczą przyjemną dla kobiety zostać wykorzystaną przez obcego mężczyznę... albo jeszcze gorzej - przez wielu mężczyzn. Toteż Galvan siedział cicho i nie odzywał się w wiadomej kwestii, ale wzrok Gwynn, a co gorsza ten wszechwiedzący wzrok Uatah, nie pozostawiał mu żadnej wątpliwości.

I teraz ona miałaby zostać sama w Gergowii, no, nie sama, pod ochroną sojuszników, ale zawsze bez jego opieki, wydana na ewentualną pastwę losu? Nie ufał Cezarowi, zbyt wiele widział, będąc w jego wojsku. Chociaż sam Cezar nie poniżał się do sypiania z brankami - miał od tego w razie najwyższej konieczności niewolnice i markietanki, a w innych przypadkach sypiał z kobietami z dobrych galijskich rodzin - to jednak zezwalał swoim ludziom na takie praktyki, przymykał oczy na wiele spraw dotyczących tego zakresu potrzeb legionistów. Galvan niejednokrotnie widział - mało tego, brał udział w tego rodzaju wydarzeniach. Potem tłumaczył sobie, że to wojenna wrzawa rozgrzewała mu krew, i tak też było w istocie. Co prawda nigdy żadnej kobiety nie przymusił, ale też nie szczędził sobie tego

rodzaju przyjemności z brankami, kiedy już otrzymał swój łup. I nie przejawiał zbyt wielu sentymentów, a wykorzystane kobiety sprzedawał najzwyczajniej w świecie w niewolę, kiedy już przestawały mu być potrzebne.

Wiedział, że żony, córki i inne krewnie naczelników i królów stanowiły niezwykle cenny łup. Nie były co prawda gwałcone, ale traktowane z należyty szacunkiem, mimo to służyły do budowania więzi między Cezarem i jego sojusznikami, niejednokrotnie stanowiły kartę przetargową, a zdarzało się, że były przez swoich braci, ojców, krewnych, a nawet mężów odsyłane do Rzymu lub Prowincji „w imię wyższych interesów”, tam zaś wydawane bezlitośnie za mąż za galijskich urzędników z rzymskim obywatelstwem. Za nic nie chciał pozwolić, by taki los spotkał Gwynn. O swoją matkę był spokojny. Zdawał sobie sprawę, że po dwuletnim pobycie w łóżku Cezara jest ona stosunkowo bezpieczna, jednak Gwynn należała do innej kategorii.

Dlatego koniec końców kiwnął głową na znak, że się zgadza.

- Dobrze, poddam się - oznajmił z westchnieniem. - Będziesz mi towarzyszyć. Ale ty i Uatah będziecie się trzymać razem i nie wolno ci pod żadnym, ale to żadnym pozorem wychylić choćby nosa z namiotu, kiedy będzie się toczyć bitwa. Rozumiesz? A jeżeli zdarzy się, że Cezar mnie pokona, masz uciekać i nie oglądać się na mnie.

Gwynn potaknęła, ale doskonale wiedziała, że nigdzie nie ucieknie. Prędzej odbierze sobie życie, niż da się znowu wziąć do rzymskiej niewoli, dziecko czy nie dziecko.

- Rozumiem, Galvanie. Dziękuję.

- Gwynn, pamiętaj, twoje życie jest dla mnie najcenniejsze - odezwał się po chwili. - Cenniejsze niż życie naszych dzieci. Mogę mieć innych synów, ale nigdy nie będę miał innej ciebie. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Gwynn uniosła jego dłoń i przyłożyła do swojej twarzy.

- Tak, Galvanie - szepnęła. - Ja też ciebie kocham.

Przyciągnął ją do siebie, oparł jej głowę na swoim ramieniu i tak siedzieli w blasku ognia, przytuleni w ostatnich chwilach spokoju przed nadciągającą zawieruchą, która miała na zawsze zmienić bieg ich życia.

Bibrakte było stolicą Eduów - właśnie tam odbył się zjazd wszystkich plemion celtyckich, które zdecydowały się powstać przeciwko Cezarowi. Rzecz niesłychana, Eduowie, niegdysiejsi najgorętsi zwolennicy Rzymian, postanowili odwrócić się od rzymskiego prokonsula, tym samym pieczętując jego los w Galii. Podczas gdy naczelnicy plemion zwoływali zgromadzenie, Cezar czym prędzej wycofywał się w stronę Prowincji, gdzie mógł bezpiecznie przegrupować wojska i uzupełnić zapasy. Wercyngetoryks, stosując taktykę spalonej ziemi, pozbawiał Rzymian pożywienia i spychał coraz bardziej na południowy wschód. Unikał walnej bitwy, prowadził wojnę podjazdową i nękał wroga nieoczekiwanymi wypadami małych grup z leśnych ostępów, mocno tym samym szarpiąc jego siły. Kiedy Eduowie zobaczyli, że szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Arwernów i sprzymierzonych z nimi plemion, zdecydowali się zdradzić

swych „przyjaciół”. Gdy sytuacja zaczęła przedstawiać się korzystnie dla nich samych, Eduowie w imieniu wszystkich plemion zwołali wiec, na którym chcieli rozstrzygnąć kwestię przywództwa nad Galią.

Galvan, chcąc nie chcąc, musiał przerwać swą pogoń za legionami rzymskimi, które w międzyczasie zdołały się połączyć po tym, jak Labienus w spektakularny sposób pokonał Paryzjów pod Lutecją, i aby podtrzymać swoją pozycję, udał się wraz ze swymi najbliższymi sojusznikami do Bibrakte. Nie bardzo mu się to uśmiechało, wolał bowiem ścigać Cezara i jego armię, nękać ją, dopóki wróg był słaby i nie stanowił tak wielkiego zagrożenia, jak choćby na początku powstania. Rozumiał jednak konieczność stawienia się na zgromadzeniu, jeśli nie chciał oddać przywództwa Eduom, skądinąd do niedawna swoim znieawidzonym wrogom.

Tak też krótko po odniesionym zwycięstwie spora grupa Arwernów ruszyła do Bibrakte pod wodzą Wercyngetoryksa. Towarzyszyli mu najmożniejsi naczelnicy plemienni, rzecz jasna Brennus i Celtillognatos, który pełnił funkcję przywódcy druidów, Ruten, jego teść, teraz już mocno postarzały, ale wciąż cieszący się niezachwianym autorytetem, no i Uatah jako doradczyni wojenna. Ta ostatnia wywoływała niekłamany respekt, żeby nie powiedzieć: strach wśród wszystkich plemion sojusznicznych, ale też jej pozycja nie budziła jakichkolwiek wątpliwości. Była najwyższą kapłanką z Sein, pośredniczką między bogami wojny a ludźmi, miała władzę nad umysłami

wojowników.

Do roli przywódcy pretendowało dwóch wodzów z plemienia Eduów: Kotus i Emporedoryks, którzy nie tak dawno temu jeszcze służyli w wojsku Cezara. Galvan z pewną dozą ironii pomyślał, że kilka lat temu wszyscy ci zgromadzeni tu mężczyźni prowadzili dla Cezara wojnę pod jego sztandarami, a teraz mieli paktować w celu pokonania wspólnego, jak się okazuje, wroga. On sam wiele lat spędził w legionach Cezara, zanim zdecydował się je opuścić dla sprawy galijskiej. Jednak Galvan od początku znał swoje przeznaczenie, nigdy tak naprawdę nie oddał miecza Rzymianinowi, jakkolwiek musiał przyznać, że Cezar go zauroczył, na chwilę zawładnął jego umysłem. Prawdopodobnie tak właśnie działo się ze wszystkimi jego poplecznikami, którzy ulegali jego charyzmie.

W Bibrakte Arwernowie zostali przywitani z najwyższymi honorami, ale Galvan miał wrażenie, że Eduowie czynią to wszystko bardziej z poczucia obowiązku niż z faktycznej chęci przypodobania się wodzowi powstania. Zwierzył się ze swoich odczuć Uatah pierwszego wieczoru przed mającą się odbyć ucztą, a ona potwierdziła jego spostrzeżenia.

- Nie będą chcieli darmo oddać ci władzy - ostrzegła. - Musisz użyć całej siły perswazji, by utrzymać stanowisko.

- Eduowie zawsze byli dwulicowymi psami - stwierdził Ruten, który również brał udział w rozmowach. - Uważaj, chłopcze, bo według mnie oni już żałują, że odeszli spod opiekuńczych skrzydeł Rzymian, i kombinują, jak by tu w najmniej bolesny sposób wrócić do Cezara.

Ruten był chyba jedyną osobą, która ośmielała się nazywać Wercyngetoryksa chłopcem. Ale też pełnił funkcję jego przybranego ojca, odkąd Galvan skończył trzy lata, a od ponad dekady był jego teściem. Mógł sobie pozwolić na wiele więcej niż inni.

- Cezar ich ukarze - mruknął Brennus.

- O nie - zaproponował Galvan. - Cezar potrzebuje sojuszników. Pewnie ukarałby kilku mniej istotnych zastępców wodzów dla przykładu i na tym poprzestał. Raczej wystąpiłby z kwiecistą mową, że im przebacza w imię większej sprawy. A Eduowie na to liczą.

- O ile nie osiągną tego, czego chcą - stwierdziła Uatah.
- A chcą przywództwa.

- Po moim trupie. - Galvan zgrzytnął zębami.

Zielononiebieskie oczy Uatah zamigotały niczym dwa jeziora.

- To też musisz brać pod uwagę, synu Celyllusa - powiedziała dziwnie głuchym głosem.

Galvan spojrzał jej prosto w oczy. Wiedział, co chciała powiedzieć. Jego ojciec, Celyllus, został zdradziecko zamordowany w trakcie uczty na oczach swej żony i sojuszników. Umarł od trucizny i nikt nie mógł nic zrobić. Galvan dobrze pamiętał cichą rozpacz swojej matki i pośpiech, w jakim oddawała go pod opiekę druidów, do nemetonu, gdzie nikt nie ważyłby się go tknąć. Aby sięgnąć po władzę, musiał pokonać największego chyba zdrajcę - własnego stryja, który był członkiem spisku mającego na celu uśmiercenie Celyllusa. A potem, kiedy sądził, że

wszystko jest dobrze, jego wuj, Gobannicjon, wystąpił nagle przeciwko niemu. Wuj, który przez całe życie stał po stronie Galvana, w obliczu wojny z Rzymem i utraty dochodów odwrócił się plecami od swego siostrzeńca. Galvan aż nazbyt dobrze rozumiał, co Uatah chciała mu powiedzieć.

To jednak było zbędne ostrzeżenie, Galvan bowiem nie ufał nikomu poza Gwynn, Uatah i swoim bratem Celtillognatosem. To były trzy osoby, nie wliczając rzecz jasna Geillis, które nie czerpałyby żadnej korzyści z tytułu śmierci Galvana. Każda z nich miała swoją odrębną wysoką pozycję, toteż nie potrzebowała piąć się po trupie Wercyngetoryksa do większej chwały.

Uatah nie mówiła nic więcej, ale wiedziała swoje. Trudno jednak było cokolwiek wyczytać z jej oczu i kamiennej twarzy.

Uczta rozpoczęła się po zachodzie słońca i była zaiste wspaniała. Vergobret Eduów naprawdę chciał zaimponować gościom, toteż przygotowano największą chyba izbę, w której mieścili się wszyscy sojusznicy – a była ich ponad setka – ze swoją klientelą. Dla niewolników i sług ustawiono osobne stoły, aby i oni mogli najeść się pod czujnym okiem swych panów. Wino z Massalii lało się strumieniami, podobnie jak miód i jęczmienne piwo. Słudzy uwijali się jak w ukropie, wnosząc coraz to nowe dymiące półmiski i tace z mięsem. Królowała dziczyzna, a Galvan, jedząc najlepsze kąski, myślał, że Eduowie tej zimy i wiosny musieli mieć mnóstwo czasu na polowania, skoro w obecnej sytuacji stać ich było na wydanie tak bogatej uczyty i podanie takich ilości mięsa,

podczas gdy inne plemiona paliły zapasy zboża i przymierały głodem, co było nieuchronną konsekwencją wojny.

Nie pił jednak wina. Zadowalał się wodą, bo chciał zachować trzeźwy umysł, chociaż wiedział, że tego wieczoru do żadnych poważnych rozmów nie dojdzie. Obserwował twarze zmienione od trunku, a zachowując wstrzemięźliwość, mógł ocenić wszystkich przywódców powstania. Zarówno Kotus, jak i Emporedoryks znajdowali się na biesiadzie, ale każdy z nich zachowywał się inaczej.

Kotus był hałaśliwy, prowadził głośne rozmowy i śmiał się gromko, pił dużo, jego wzrok stawał się coraz bardziej mętny i zamroczony. Galvan dochodził do wniosku, że ten człowiek pragnie sięgnąć po władzę tylko dla jej blasku i nie dostrzega obowiązków i wyrzeczeń, jakie ona za sobą niesie. Wojna z Rzymianami pod jego dowództwem z góry skazana była na klęskę, bo skoro Kotus odwrócił się od swego sojusznika w najgorszym dla niego momencie, równie dobrze mógłby się w taki sposób zachować w przypadku plemion celtyckich i porzucić je dla ratowania własnej skóry.

Emporedoryks był czujny, napięty jak cięciwa łuku, uważnie obserwował zgromadzonych mężczyzn i najwyraźniej nikomu nie ufał. Nie pił wina, podobnie jak Galvan zadowalał się wodą. On również zdradził Cezara, jednak zdrada ta nie wynikała z tchórzostwa, ale stanowiła efekt długich, bacznych obserwacji. Ten człowiek był przebiegły i wiedział, kiedy się wycofać, aby nie ponieść wielkich strat. Trudny będzie z niego przeciwnik w negocjacjach, Emporedoryks bowiem wiedział dokładnie,

czego chce, i bynajmniej nie pragnął władzy dla niej samej. On dążył do hegemonii Eduów w Galii po wypędzeniu z niej Rzymian. Jednak Galvan podejrzewał, że w przypadku niepowodzenia Emporedoryks pierwszy wróciłby do Cezara na kolanach i z głową posypaną popiołem.

On zaś pragnął wolnej Galii, wolnej dla wszystkich, i wcale nie chciał być wodzem wszystkich plemion, a jedynie zaprowadzić porządek i wygnać Rzymian na cztery wiatry. Chciał przywrócić dawną równowagę, przywołać świat, który znał sprzed rzymskiej inwazji, a potem żyć w Gergowii jako naczelnik Arwernów, cieszyć się każdym dniem spędzonym z Gwynn i swymi dziećmi, doczekać wnuków i wiedzieć, że jego ród przetrwa dalej w wolnej Galii, a nie pod rzymskim panowaniem.

Poczuł dotyk czyjejś ręki na swojej i ze zdumieniem stwierdził, że to Uatah ściska mu dłoń żelaznym chwytem. Chociaż może nie powinien się dziwić, bo przecież znała jego myśli i wiedziała, co kryje się w jego sercu. Odwzajemnił uścisk. Zalała go fala szczęścia na myśl, że między nimi panuje całkowite zrozumienie i że nawet w sensie duchowym stanowią jedność. Nie sądził, że ona coś powie, a jednak się odezwała.

- Jeżeli twoje pobudki są szlachetne, Galvanie, bogowie będą ci sprzyjać - szepnęła, a jej głos zabrzmiał niczym szum fal w morzu męskich głosów. - Osiągniesz to, czego pragniesz. Zanim nastanie jutrzejszy wieczór, twoje przeznaczenie się dopełni, a moje sny urzeczywistnią.

Potem cofnęła rękę i nie wyrzekła już słowa aż do

zakończenia uczty, jednak Galvan zrozumiał, co chciała mu powiedzieć. Jego zadanie, nad którym pracowała Scatah, do którego przygotowywał się całe życie, miało zostać ostatecznie wykonane.

Negocjacje rozpoczęto nazajutrz zaraz po porannym posiłku. O dziwo wszyscy zdążyli wytrzeźwieć, chociaż na twarzach niektórych malowała się udręka i jasne było, że mężczyźni ci cierpią niewymowne katusze, w tym morderczy ból głowy. Nikt jednak nie pozwoliłby sobie na luksus poddawania się słabości, kiedy trzeba było ustalić rzeczy tak istotne jak przywództwo i dalsze kroki na wojennej ścieżce.

Wiec rozpoczął się od rytuału, któremu przewodził Celtillognatos, po czym wszyscy wodzowie zasiedli do rozmów. Galvan odkrył, że jest jednym z młodszych, chociaż zdążył już skończyć trzydzieści lat. U swego boku miał Uatah, której początkowo nie chciano wpuścić na męskie obrady, jednak ustąpiono pod autorytetem Wercyngetoryksa. I tak kapłanka z Sein jako jedyna kobieta zasiadła na wiecu z prawem głosu. Uśmiechała się do siebie cierpko, ale Galvan, patrząc na nią, odnosił wrażenie, że zachowuje ona obojętność, jakby sprawy wojny już jej nie dotyczyły, i to go niepokoiło bardziej niż mowy głoszone przez Eduów, Sekwanów, Senonów, Biturygów i innych Galów.

Prawdę powiedziawszy, Galvan słuchał jednym uchem mów poszczególnych przywódców, dopóki nie odezwał się Emporedoryks. Przysłuchiwał się jego słowom z rosnącym zainteresowaniem, niegdysiejszy sojusznik Cezara bowiem

soczyście się na jego temat rozwijał. Kiedy jednak doszedł do kwestii przywództwa, wtrącił się Ruten.

- Uważasz zatem, Emporedoryksie, że przywództwo powinno znaleźć się w rękach Eduów - powiedział wolno nieco kpiącym tonem. - A dlaczegoż to? Jeśli wolno zapytać. Czyż do tej pory nie popieraliście Cezara i nie słaście mu zapasów, kiedy tylko sobie tego zażyczył?

- O ile mnie pamięć nie myli, Rutenie, to twój zięć, którego tak pod niebiosa wychwalacie, Wercyngetoryks, służył w rzymskich legionach, i to nie tak jeszcze znowu dawno temu - odparował zapytany. - Nie mów mi więc o poparciu Cezara, bo sami nie jesteście bez winy.

- Ja zaoferowałem Cezarowi jeden oddział konnicy - przyznał Galvan. - Nie posyłałem mu zaś zboża, zakładników i nie prosiłem w Rzymie o przyjaźń, jak to robiło twoje plemię. Nie zdradziłem go też haniebnie, ale odszedłem po wykonaniu swych rozkazów, kiedy otrzymałem pozwolenie.

- Ale wystąpiłeś przeciw niemu tak jak i my, twój teść zaś oskarża nas o brak lojalności - warknął Kotus, który tego dnia wyraźnie zmagął się z następstwami nadmiernego picia. - Byłeś też żonaty z córką Ariowista, a twoja matka...

- Nie waż się powiedzieć złego słowa o mojej matce, Kotusie - ostrzegł Galvan spokojnym tonem, w którym jednak czaiła się groźba. - Podczas gdy ja przygotowywałem powstanie, ty pławiłeś się w rzymskim luksusie. Ale nie po to chyba się tu spotkaliśmy, żeby licytować się o takie sprawy, tylko aby podjąć decyzję co do dalszych losów tego powstania.

Zewsząd rozległy się pomruki aprobaty.

Ze swego miejsca wstał przywódca Sekwanów, którzy od niepamiętnych czasów byli wrogo nastawieni do Eduów, zresztą z wzajemnością.

- Nie widzę najmniejszego powodu, dla którego Wercyngetoryks miałby tracić przywództwo na rzecz Eduów - stwierdził. - To on, a nie Eduowie, zwyciężył nad Cezarem pod Gergowią. To on przez długi czas nękał Cezara i odcinał mu dostawy żywności. Gdyby nie Wercyngetoryks i jego wojownicy, Rzymianie już dawno zmiażdżyliby nas jak muchy.

- Bardzo ciekawe - sarknął jeden z Eduów, siedzący pod ścianą. - Ale Avaricum nie zdołał ocalić.

- Mówiłem wiele razy, żeby odstąpić to miasto - odparł Galvan, kryjąc irytację. - Należało je spalić razem z zapasami żywności i uchodzić póki czas. Ale mieszkańcy miasta nie chcieli tego uczynić, nawet kiedy podkopano tunele, tylko tkwili na swoim bogactwie jak szczury na trupie. I skończyło się tak, jak przewidziałem, a pamiętajcie, że żołnierze Cezara byli rozzłoszczeni długim oblężeniem, głodni, wyczerpani i gotowi zabić każdego, kto by stanął na ich drodze do pożywienia. Gdyby Biturygowie mnie słuchali, nie doszłoby do tej klęski.

Zewsząd dały się słyszeć głosy poparcia. Mężczyzna z plemienia Eduów wycofał się jak niepyszny. Zaraz jednak podniosły się kolejne głosy krytyki.

- Co z niego za wódz, który karze i zabija swoich ludzi! - krzyknął ktoś z głębi sali. - Kto to widział, żeby wojownikom

obcinać ręce, uszy i nosy! Albo wieszać ludzi za najdrobniejsze przewinienie!

Uatah wstała, a jej surowe oblicze skierowało się w stronę mówiącego. Poprzez tłum nie mogła go dostrzec, ale zarówno człowiek, który przemawiał, jak i wszyscy zgromadzeni odnieśli wrażenie, że ona doskonale wie, do kogo się zwraca.

- Czy ktokolwiek z was tu zgromadzonych służył w rzymskim wojsku? - zapytała zimnym głosem. - Czy widzieliście, co rzymski wódz robi dla utrzymania dyscypliny? Żaden z was nie ma pojęcia, jak tam odbywa się karanie nieposłusznych i nagradzanie zasłużonych. A Wercyngetoryks po to wstąpił w rzymskie szeregi, żeby wyciągnąć naukę z ich wojennej taktyki. Czy jeśli dziecko jest krnąbrne, nie ukarzecie go w odpowiedni sposób? To jak w takim razie chcecie ukształtować męża czy kobietę? Bijecie nieposłusznego psa i robicie to w porę, żeby nie ugryzł ręki, która go karmi. Jak wódz ma zachować się wobec nieposłuszeństwa swoich ludzi? Z uśmiechem patrzeć, jak skaczą sobie do gardeł lub nie wykonują rozkazów? Wercyngetoryks robi ni mniej, ni więcej, tylko to, co musi. I karanie winnych nie sprawia mu większej satysfakcji niż wam chłostanie waszych synów, kiedy zasłużą na to.

- Służyłem z moim bratem w legionach rzymskich - wtrącił Brennus. - I widziałem, jak raz jeden centurion zarządził chłostę legionisty, który popełnił duże przewinienie. To, co robi mój brat, nie jest w połowie tak okrutne, jak rzymskie kary. Cieszcie się, że macie

sprawiedliwego wodza, który potrafi zaprowadzić porządek. Jak myślicie, dlaczego w rzymskich legionach panuje taka dyscyplina? W waszych zastępach nie ma zgoła żadnej.

Galvan patrzył na zebranych ludzi i myślał swoje. Może i ma dzielnych wojowników, ale nienawykłych do rzymskich metod, i tu był jego słaby punkt. Na razie jednak istniała szansa, że zdoła to zmienić. Pragnął w to wierzyć.

- Dlaczego on ma być naczelnym wodzem? - wrócił do tematu Emporedoryks. - I jak chce dalej prowadzić tę wojnę?

- A jak ty byś ją dalej poprowadził? - zapytał naczelnik Biturygów.

- Wydałbym bitwę Cezarowi - odparł zapytany. - Zgromadził wszystkie siły i pokonał Rzymian w walce, skoro są teraz słabi.

- To za mało - stwierdził Galvan. - Trzeba ich bardziej osłabić. Cezar zmierza do Prowincji, gdzie uzupełni straty w ludziach, zapasach, i odzyska siły. Trzeba mu przeszkadzać, jechać za nim krok w krok i tak podcinać skrzydła, by nie poderwał się znowu do lotu.

- Wybierasz zatem wojnę podjazdową - zadrwił Emporedoryks.

- Taka jest na razie najskuteczniejsza - przyznał Galvan. - Trzeba ich stale odcinać od zaopatrzenia, atakować oddalające się małe grupy legionistów, szarpać go po trochu, a nie wydawać walną bitwę, bo w takiej nie mamy szans.

- Głupstwa - mruknął Kotus. - Czyżbyś nie ufał sile celtyckich wojowników?

Nie - pomyślał Galvan z goryczą. - *Patrząc na to, co tu*

się dzieje, nie ufam im ani trochę, ale nie mam wyjścia, za daleko to już zaszło. Muszę być sprytny, muszę przewidywać kroki jego i nasze. I uprzedzać sytuację, patrzeć ciągle do przodu bez względu na wszystko.

- Nie chodzi o to, by zwyciężyć go w bitwie, ale by wygnać go z naszych ziem raz na zawsze - powiedział z mocą. - By już tu nigdy nie wrócił. Jeśli zadamy mu klęskę moralną, nie ośmieli się przybyć ponownie do Galii, nie dostanie na to pozwolenia Senatu, a bez niego wszystkie jego działania będą uznane za nielegalne. Zrozumcie, on musi nas pokonać, by uratować własną skórę. Pod Gergowią stracił wszystko, jeśli pchniemy go w kierunku Prowincji, wypędzimy stąd, nie zdoła się podnieść. Jeśli wydamy mu bitwę, on postawi wszystko na szalę zwycięstwa, bo tylko tak może odzyskać utraconą godność. To nie jest jakaś mała porażka, to jest całkowita klęska.

Wstał i powiódł wzrokiem po zebranych.

- Kiedy pokonamy Cezara, klnę się na życie mych synów, że zrzeknę się naczelnego dowództwa i wrócę do Gergowii jako naczelnik Arwernów. Do tego czasu jednak chcę was prowadzić w wojnie z Rzymianami, chcę was przywieść do zwycięstwa nad Cezarem, żebyśmy byli wolnymi Celtami, jednym narodem, silnym i mocnym, żebyśmy zachowując odrębność plemienną, stanowili całość, jeden organizm, zdolny w przyszłości odeprzeć każdy atak ze strony Rzymian i innych barbarzyńców. Kto z was, Celtowie, pójdzie za mną?

Zewsząd rozległ się aplauz, mężczyźni wstali ze swych miejsc, podnosząc ręce i krzycząc. Emporedoryks i Kotus

musieli się cofnąć, robiąc dobrą minę do złej gry, i tylko Uatah dostrzegła wymianę spojrzeń między nimi. Poczła zimny dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa, nagle naszło ją wspomnienie matki umierającej po złożeniu ofiary Disowi. Lodowate zimno przepływało w jej żyłach zamiast krwi. Przymknęła oczy, świadoma swego losu i losu Galvana.

Teraz jednak, kiedy ci wszyscy ludzie jednogłośnie obierali Wercyngetoryksa wodzem Celtów, mianowali go królem Galii, przywódcą powstania, czuła, że jej zadanie, a wcześniej zadanie Scatah, zostało wypełnione i jej rola dobiegła końca.

- Wercyngetoryksie, osiągnąłeś to, do czego zostałeś powołany - oznajmiła mu wśród okrzyków zgromadzonych.

Galvan odwrócił się i spojrzał jej prosto w naznaczone przeznaczeniem oczy.

- Zjednoczyłeś Galię.

IX

Jorg przez pierwsze lata po śmierci Lorelei nie mógł się otrząsnąć z żalu. Chciał umrzeć, jednak kazano mu żyć, w dodatku w upokorzeniu i upodleniu, jako sługa najbardziej przez niego pogardzanej istoty, jaką bez wątpienia była Adair. Jorg nie zastanawiał się nad jej motywami i przesłankami, w jego oczach młodsza córka Ariowista była pospolitą zdrajczynią, która najpierw pchnęła Lorelei w objęcia śmierci, a teraz dokonywała haniebných czynów, służąc bez mrugnięcia okiem Cezarowi. Kiedy jednak pierwszy ból po stracie ukochanej minął, Jorg zaczął otrząsać się z rozpaczy i myśleć coraz intensywniej o zemście. Bo ani na moment nie przestał wierzyć, że kiedyś uda mu się wysłać Adair na tamten świat za wszystkie krzywdy, jakich doświadczył.

Jorg był prostym człowiekiem, w życiu kierował się zasadami, jakie mu wpajano od dzieciństwa. Był mężny i odważny, uczciwy i wierny swoim zwierzchnikom, lojalny i szczery, znał swoje miejsce i ani razu do głowy mu nie

przyszło, że mógłby prosić o rękę córki wodza, chociaż kochał ją całym sercem, odkąd przeobraziła się ona z dziecka w piękną kobietę. Gdy ją dostał, nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Był tak oszołomiony, że wprost bał się zemsty bogów, i wkrótce okazało się, że miał rację, a jego radość legła w gruzach, zanim zdążył się nacieszyć swą nową sytuacją. W tamtej chwili jego szczęście zgasło, a odtąd on sam żył co prawda, ale miał wrażenie, że jest to raczej wegetacja niż życie, i tylko chęć rewanżu na zdrajczyni, a także strach przed Labienusem i jego metodami zadawania śmierci trzymały go przy tej wegetacji.

Aż do nocy poprzedzającej wielką bitwę, o której nadejściu Jorg nie miał pojęcia, Cezar bowiem bynajmniej nie dążył do zbrojnej potyczki z idącymi tropem cofających się Rzymian zastępami rozochoconych Galów. Rzecz jasna Jorg orientował się doskonale w sytuacji, bo Adair, nie mając innego słuchacza, jako że Labienus został w Lutecji Parisiorum i dopiero niedawno udało mu się połączyć z legionami Cezara, prowadziła z nim długie dialogi (a może raczej monologi, bo uważał, że odpowiadanie jej jest poniżej jego godności). Tak oto dowiedział się o godnej pożałowania sytuacji Cezara, który szybkim marszem zmierzał w stronę Prowincji, chcąc uzupełnić rezerwy, zgromadzić zapasy żywności i przygotować atak na wroga. Galowie zaś, zjednoczeni pod wodzą Wercyngetoryksa, tego samego, który ongiś dla sojuszu poślubił Lorelei, niczym drapieżne psy podążali śladem Rzymian i kąsali przy każdej okazji.

Cezar był mocno zaniepokojony, jak twierdziła Adair, ale

póki co robił dobrą minę do złej gry i czekał na połączenie sił z Labienusem. Kiedy był wreszcie gotów, uznał, że teraz albo nigdy, i postanowił przyjąć bitwę, do której dążyli pewni siebie galijscy naczelnicy.

- Wercyngetoryks nie chce bitwy - stwierdziła Adair ostatniego wieczoru przed walką. Nawet ona nie wiedziała, co przyniesie ranek. - Ale jego ludzie to głupcy i obawiam się, czy raczej mam nadzieję, że zniweczą jego plany. Jeżeli trochę poczekają, może im się udać zmusić Cezara do ostatecznego odwrotu.

Jorg słuchał w wyniosłym milczeniu. Był wczesnoletni wieczór, słońce na równinach długo nie zachodziło, wojownikowi z plemienia Swebów przypomniały się inne letnie wieczory spędzane w ich dawnej ojczyźnie za Renem. Pamiętał blask srebrnych włosów Lorelei w świetle księżyca, kiedy wszyscy tańczyli przy ognisku w letnie przesilenie. Zapach ziół mieszający się z zapachem jej ciała, kiedy po raz pierwszy ją posiadał. Spojrzał na brzydką twarz Adair i zadrżał.

- Dziś będzie pełnia - powiedział nagle, jakby wbrew samemu sobie.

Adair drgnęła. Nie nawykła do jego głosu, bo w jej obecności zawsze zachowywał pełne urazy milczenie, czego nie miała mu za złe. Ostatecznie doskonale zdawała sobie sprawę, że jedną decyzją zrujnowała jego życie.

- Co to ma do rzeczy? - zapytała niemądrze, zbита z tropu.

Jorg nie odpowiedział. Nie miał pojęcia, dlaczego w ogóle

się odezwał.

- Po czyjej jesteś stronie, Adair? - zapytał po chwili. - Kogo wolałabyś widzieć martwego? Cezara czy Wercyngetoryksa?

- Dlaczego chcesz to wiedzieć? - zapytała zdumiona.

- Bo kochasz ich obu. Którego wolałabyś zabić, gdybyś miała taką możliwość?

- Nie twoja sprawa - warknęła Adair ze złością. - A ty? Kogo byś zabił?

- Ciebie. - Jorg wyszczerzył zęby.

Adair poczuła dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Po raz pierwszy od śmierci swojej siostry i od ujarzemia tego wielkiego bydłęcia, jakim w jej mniemaniu był Jorg, poczuła strach przed nim.

Tej nocy, zanim udała się na spoczynek, kazała związać mu ręce i nogi. Labienus nie dzielił z nią namiotu, nad czym ubolewała, a strach zabronił jej pokładać ufność w swym germańskim niewolniku.

Jorg jednak spał kamiennym snem. I śnił, o dziwo, nie o Lorelei, która nawiedzała go we snach na podobieństwo słodkiego koszmaru, dręczącego marzenia, które nigdy nie miało się spełnić. Tej nocy nawiedziła go inna zjawa, rudowłosa, straszna, a zarazem bezbronna, idąca ku niemu, a może płynąca we mgle.

- Nadszedł czas zemsty - przemówiła. - Nadszedł czas wyrównania rachunków.

Zbliżyła się i wtedy ją poznał. To była kapłanka Celtów, ta sama, którą widział kiedyś w Gergowii. Wiedział, kim jest.

Była doradczynią wojenną Wercyngetoryksa, jego pierwszą żoną, jego siostrą i matką jego dziecka. Szeptano o niej niesamowite historie nie tylko wśród Sekwanów, na których ziemiach kiedyś mieszkali, ale również w innych plemionach, a nawet w legionach rzymskich.

- Co mam robić? - zapytał.

Niebieskozielone oczy kapłanki migotały niczym morze, jak niezgłębiona chłodna toń, w której się zatracił, która go wciągała coraz głębiej i głębiej bez końca.

- Będiesz wiedział - odparła głuchym głosem. - Życie za życie. Śmierć za śmierć.

Nagle znalazł się na polu bitwy, wśród zgiełku ścierających się ze sobą wojsk. Celtowie atakowali bez ładu i składu, nieposłuszni rozkazom dowódcy, rozjuszeni jak byki, niezdarni jak dzieci. Rzymianie zajmowali pozycje na niewielkim wzgórzu, a każdy ich manewr stanowił przykład dyscypliny i precyzji. Wódz w czerwonym płaszczu patrzył nieruchomym wzrokiem na swoje oddziały, zaciskał dłonie na końskiej uprzęży, zgrzytał zębami, ale zachowywał spokój.

Ramię Jorga pracowało bez udziału woli. Wielkim germańskim mieczem zadawał pchnięcia i cięcia, chociaż nie powinien, bo nie było jego przeznaczeniem branie udziału w bitwie.

Wtedy ujrzał ją - tę, której nienawidził bardziej niż wszystkich Rzymian razem wziętych. Walczyła jak legionista, chociaż nie powinna, tak jak on, bo kobiety nie szły do boju. A jednak radziła sobie nadspodziewanie dobrze. Zmierzała do celu, którym był on. Ten, którego kochała i nienawidziła,

którego pragnęła i nie dostała.

- Będziesz wiedział - zabrzmiał w jego uszach głos Uatah.

Spojrzał jej w oczy, mając pełną świadomość, że to tylko sen.

- Jesteś gotowy, by umrzeć, Jorg?

Ktoś potrząsał jego ramieniem.

Otworzył oczy i ku swojej ogromnej irytacji ujrzał nad sobą znienawidzoną twarz Adair. Miał ochotę splunąć w tę parszywą gębę, ale powstrzymał się ostatkiem sił. Najbardziej zły był na to, że wdarła się w jego sen i przerwała go.

- Czego chcesz? - burknął, zapominając, że ma się do niej nie odzywać.

- Wstawaj - rzuciła szorstko. - Będziesz dziś walczył w bitwie.

Jorg zamrugał, zdekoncentrowany.

- W jakiej bitwie?

- W tej, która za chwilę się zacznie - prychnęła Adair. - Wercyngetoryks zaryzykował, a Cezar przyjął wyzwanie. Wstawaj, będziesz walczył w germańskiej konnicy.

Przecięła więzy na jego rękach i nogach, po czym podała mu miskę owsianki, którą zjadł bez protestów.

- Ja też - dodała po chwili.

„Jesteś gotowy, by umrzeć?”

- Jestem gotów - mruknął.

Adair spojrzała na niego zdumiona, ale się nie odezwała. Po ponurej twarzy Jorga przemknął cień, zapowiedź

uśmiechu, którego jednak nie było.

Żegnaj, Adair – pomyślał z posępną satysfakcją.

Wercyngetoryks starał się odwieść swoich zastępców od idiotycznego pomysłu wydania bitwy Rzymianom, ale skoro Kotus i Emporedoryks uparli się i przekonali trzy czwarte galijskiej armii, nie mógł stracić twarzy. Przez ostatnie tygodnie nękał wroga podczas marszu, napadał tabory, osłabiał jego siły bez wydawania bitew i osiągał cel, jakim było pozbawienie Cezara możliwości przystąpienia do ataku. Rzymianie skoncentrowani byli na przetrwaniu i dotarciu do Prowincji, gdzie mogliby liczyć na ewentualne posiłki. Ostatecznie Cezar mógłby nawet zostawić legiony w granicach Prowincji i przedostać się przez Alpy do Galii Przedalpejskiej, skąd mógł werbować dalsze posiłki. Zajęłoby mu to sporo czasu, a kto wie, czy miałby po tym wszystkim ochotę ratować swój prestiż i czy nie zostałby odwołany ze stanowiska prokonsula i namiestnika ze względu na miażdżącą porażkę pod Gergowią i krytyczne położenie. Wercyngetoryks liczył, że osłabiając wroga i grając na zwłokę, uda mu się bez większych strat przepędzić Rzymian z Galii. Jednak stało się inaczej i niemal osiągnąwszy to, co chciał – Rzymianie znajdowali się już niedaleko granic z Prowincją, w Galii Narbońskiej zaś stacjonował Lucjusz Cezar, kuzyn prokonsula, z dwudziestoma dwoma kohortami, które można było bez trudu pokonać – zmuszony został do wydania bitwy nad rzeką Saoną osłabionym, ale nie mniej przez to niebezpiecznym legionom Cezara.

Odbyło się jednak głosowanie i większość plemion opowiedziała się za bitwą. Wercyngetoryks, zgrzytając zębami ze złości, przystał na to, aż w końcu dał się przekonać, że sytuacja Celtów jest o tyle korzystna, że dysponują większą siłą i w przeciwieństwie do wojsk Cezara nie są skrajnie wyczerpani. Nie wziął pod uwagę jednej istotnej kwestii: determinacji legionów, które w tym momencie poza dobrym imieniem swego wodza nie miały już nic do stracenia.

O świcie przed bitwą do wodza Arwernów podeszła Uatah. Była niezwykle poważna, skupiona i cicha.

- Nie daj się zwieść pozorom, Galvanie - przemówiła, używając jego rodowego imienia, chociaż ostatnimi czasy posługiwała się przydomkiem. - Jeżeli stracisz czujność w tej bitwie, los może się od ciebie odwrócić.

- Uważasz, że nie powinienem ryzykować? - zapytał natychmiast, tknięty złym przeczuciem.

- Uważam, że nie powinieneś być dopuścić do głosowania - odparła z przekąsem. - Teraz jest już za późno. Jeżeli teraz się wycofasz, stracisz honor i pozycję naczelnego wodza. Ale pamiętaj, Galvanie, co stanowi cenę przywództwa.

Spojrzał jej prosto w oczy migoczące zielonkawo i niebiesko.

- Czyż nie do tego zostałem ponoć wybrany? - zapytał cicho. - Żeby ich wszystkich zjednoczyć do wielkiego zwycięstwa?

- Zjednoczyć tak - przyznała. - Ale twoje przeznaczenie nie dopełni się tutaj, Galvanie.

Pokręcił głową. Miał ochotę coś jeszcze powiedzieć, ale ujrzał zmierzającą w jego stronę Gwynn w towarzystwie Celtillognatosa. Teraz, latem, ciąża Gwynn powoli stawała się widoczna, kształty zarysowywały się pod coraz luźniejszą suknią. Galvan nigdy nie zapytał, bo bał się odpowiedzi, a ona nie mówiła, co zaszło w obozie Rzymian. Nawet jeśli dziecko nie było jego, to nie miało większego znaczenia, gdyż wiedział doskonale, że i tak je uzna, poczęte w wojennej zawierusze, spłodzone dla ratowania życia jego matki.

Galvan nie przypuszczał nawet, jak wielką rolę odegrać może w przyszłości nienarodzony potomek Gwynn.

- Odeślij tabory na północ - poleciła Uatah z tym samym tajemniczym błyskiem w oczach. - Niech jadą w stronę Alezji.

- Alezji? - podchwycił. - To twierdza, o ile się nie mylę.

- Twierdza - przyznała Uatah. - Gdyby miała cię spotkać porażka w dzisiejszej bitwie, tam właśnie się udasz. Widziałam to w snach.

Nie dodała, czy były to sny pomyślne, czy też nie. Tak miało być, bo taka była wola bogów. Odkąd stała się kobietą, widywała w snach warowne wzgórze i wiedziała, że wyłącznie od Galvana będzie zależał jego los, a także los całej Galii, jeśli uda się do tej warowni.

Galvan kiwnął bez słowa głową i odwrócił się do żony, by ją odprowadzić do taborów. Uatah, nie marnując czasu, zwróciła się do Celtillognatosa.

- Nie sądzę, by było mi dane jutro z tobą o tym mówić, bracie - zaczęła niepewnie. - Ale chcę cię poprosić

o przysługę. Kiedy to wszystko się skończy, zabierz Aife z Sein i odpłyńcie na Albion. Tutaj nie będzie dla was bezpiecznie.

- Wiesz coś, o czym nie chcesz powiedzieć, Uatah? - zapytał Celtillognatos, którego serce w jednej chwili ogarnęła trwoga.

- Galvan nie powinien się godzić na dzisiejszą bitwę - mruknęła kapłanka. - Miałam złe sny. Mam złe przeczucie. Obiecuj mi. Nie zostawaj tu, nie zamykaj się z nim w twierdzy, jeżeli do tego dojdzie. Zabierz moją córkę na Albion, a kiedy nadejdzie czas, pozwól jej tu powrócić. Ona będzie wiedziała.

Celtillognatos miał wrażenie, jakby lodowata dłoń przesunęła mu się po kręgosłupie, ale nawet jako najwyższy druid musiał respektować polecenia kapłanki z Sein. W jej oczach było coś nieuchwytnego, jakby Uatah zajrzała do innego świata i widziała już to, co przed wzrokiem śmiertelnych było zakryte.

- Uatah - szepnął, bo spłynęło na niego zrozumienie.

Kapłanka podeszła do niego i wyciągnęła nad jego głowę ręce w geście błogosławieństwa. Druid przyjął je w głębokim milczeniu, ze smutkiem w sercu i żalem w duszy, ale wiedział, bo też studiował nauki od ponad dwudziestu lat, że ona stanęła przed tym, co nieuniknione, i że każdy prędzej czy później spotka na swej drodze przeznaczenie.

- On nie zrozumie - stwierdził ponuro.

- Będzie musiał się z tym pogodzić - odparła Uatah. - Raz się wygrywa, raz przegrywa. On dokonał już tego, co

miał zapisane. Teraz od niego zależy, czy podąży dalej wyznaczoną drogą. Nawet za cenę życia.

Słowa te brzmiały strasznie w ustach Uatah. Celtillognatos po raz pierwszy w życiu pomyślał, że oddałby wszystko, by nie urodzić się druidem i nie decydować w sprawach wielkich.

Bitewna wrzawa osiągnęła swoje apogeum, kiedy rzymska konnica ruszyła do ataku. Celtowie, jak można było się spodziewać, runęli z wielkim impetem, tracąc przy okazji siły i zapal. Cezar czekał spokojnie na wzgórzu, a jego czerwony płaszcz powiewał na wietrze, który nieoczekiwanie zerwał się tego letniego poranka. Wiedział, że Celtowie rwali się do bitwy, przekonani o swojej przewadze, a Adair, która sobie tylko znanym sposobem zdobyła te informacje, przekazała mu, że plemiona ślubowały nie powrócić do żon i dzieci, dopóki nie przejdą dwukrotnie przez rzymskie oddziały.

No cóż – pomyślał Cezar z właściwym sobie sarkazmem.
– *Niech próbują.*

Wiedział więcej niż dziecienni w gruncie rzeczy Celtowie. Miał dla nich niespodziankę w postaci germańskiej konnicy, której jak dotąd nie wykorzystał. Ponieważ germańskie kuce, włochate i masywne, nie nadawały się w żadnym razie do walki, kazał swoim legionistom oddać Germanom własne wierzchowce i formować szeregi jako zwykli piechurzy. Tym samym podwoił, a nawet potroił liczbę swego wojska ku niemiłemu zapewne zaskoczeniu Celtów. Do tej pory Galowie napierali dzielnie, bo też męstwa nie mógł im odmówić

w żadnej ze stoczonych bitew, ale kiedy germańska konnica zaczęła nacierać ze świeżym impetem na zmęczone już galijskie oddziały, przewaga powoli przechodziła na stronę rzymską.

Cezar nie widział jednak wszystkiego, choć jego argusowy wzrok ogarniał większość pola bitewnego. Tym razem nie ruszył sam do boju – jeszcze tego by brakowało, by zginął w tak ważkiej bitwie – ale obserwował wszystko i wydawał rozkazy. Wydawało się jednak, że żołnierze ogarnięci pasją radzili sobie znakomicie bez jego rozkazów. I genialnym zaiste pomysłem było wrzucenie do walk germańskich jeźdźców.

Gdyby wiedział, że do boju włączyła się Adair, jego bez wątpienia najlepszy szpieg, dostałby ataku apopleksji, co mu się na szczęście rzadko zdarzało ostatnimi czasy. A jednak to właśnie uczyniła córka Ariowista, pragnąca dokonać swojej prywatnej zemsty, a przynajmniej spróbować. Odziana po męsku, w germańskim hełmie na głowie, dosiadała rączego hiszpańskiego konia i cwałowała z mieczem wyciągniętym nad głową, szukając wodza Arwernów, by wbić w niego ostrze i raz na zawsze skończyć tę wendetę rozpoczętą w dniu ucieczki Lorelei.

Ujrzała go, jak z końskiego grzbietu siał śmierć w rzymskich legionach. Wercyngetoryks, podobnie jak ona, doskonale znał rzymski styl walki, ostatecznie służył przez kilka lat w wojsku Cezara, toteż radził sobie znakomicie. Adair nie wahała się ani chwili. Wbiła pięty w końskie boki, zmuszając wierzchowca do przyspieszenia tempa. Wpadła na

niczego niespodziewającego się Arwerna z taką siłą, że zrzuciła go z końskiego grzbietu. Sama też zeskoczyła z konia i stanęła nad nim, szukającym miecza wytrąconego z ręki podczas upadku.

Wtedy wydarzenia potoczyły się błyskawicznie.

W życiu każdego człowieka przychodzi punkt zwrotny, moment, w którym gwałtownie zmienia się rzeczywistość. Wercyngetoryks rejestrował wypadki, ale jego umysł nie nadążał za obrazami przesyłanymi przez zdumione oczy. Gdy koń zrzucił go ze swego grzbietu, poturlał się po nierównej ziemi, a miecz wyleciał mu z dłoni. Przez upiorne sekundy całkowitej bezradności patrzył w pełne nienawiści i czegoś jeszcze oczy kobiety, która unosiła nad nim ostrze miecza.

Adair – przemknęło mu przez myśl.

W pierwszym odruchu chciał podciąć jej nogi, ale zanim zdążył to uczynić, jakiś cień padł na jego twarz, burza ognistych włosów osłoniła go, a silne ręce odepchnęły. *Adair* nie mogła cofnąć wyprowadzanego ciosu, nie mogła już zmienić trajektorii pchnięcia. Ostrze miecza gładko wbiło się w ciało, które w ostatniej chwili zasłoniło wodza Arwernów. *Galvan* ujrzał je niemal nad swoją twarzą, zakrwawione, lśniące upiorną czerwienią, tak jak kiedyś, przed laty, widział je w snach zbliżające się z oszałamiającą prędkością.

Uatah padła na niego całym ciężarem bezwładnego ciała. *Adair* w niemym przerażeniu wyciągała miecz z przebitego boku kapłanki. Trafiała pod żebra, przebiła płuco, ale życie wciąż jeszcze trzymało się *Uatah*, na tyle długo, by kapłanka mogła posłać jej pełne triumfu spojrzenie gasnących oczu.

- Życie za życie - wyszeptała ustami, z których już sączyła się krew.

Adair nie zdążyła zareagować. Gdy ostrze wbiło się jej w pierś, z niedowierzaniem otworzyła oczy szeroko i wypuściła okrwawiony miecz z rąk. Potężna postać Jorga wznosiła się nad nią niczym kolos. Wbił w nią ostrze z taką siłą, że zagruchotały kości. W ostatnim przebłysku świadomości, w niemym zdumieniu Adair zaśmiała się gorzko, ale był to już tylko grymas bólu i śmierci. Kolana się pod nią ugięły i runęła na ziemię, ściskając dłońmi brzeszczot wbity w serce.

- Śmierć za śmierć - powiedział Jorg bez cienia emocji.

Galvan wydostał się spod nieruchomego ciała Uatah. Patrzył, nie mogąc uwierzyć w to, co widział, ale przecież była to prawda, okrutna i z trudem torująca sobie drogę do jego umysłu.

- Uatah! - wyszeptał z trwogą, patrząc w jej gasnące oczy. - Nie umieraj!

Na jej naznaczonej piętnem śmierci twarzy rozlał się uśmiech. Ostatkiem sił wyciągnęła rękę umazaną krwią i dotknęła jego twarzy.

- Udało ci się - szepnęła. - Dokonałeś tego. Zjednoczyłeś ich.

Galvan patrzył na nią z rozpaczą. Miał ochotę potrząsnąć nią, zrobić coś, żeby nie odeszła, ale jej życie przelewało się przez jego ręce niczym wartki strumień.

Na to Scatah go nie przygotowała.

- Proszę - załkał.

Jej oczy zaślniły.

- Galvanie... - Jej głos był jak tchnienie wiatru. - Tylko ty...

Dłoń opadła bezwładnie. Blask w jej oczach zgasł. Galvan uniósł głowę i ogarnął wzrokiem bitewną wrzawę, ale wszystko dookoła jakby go nie dotyczyło. Czas się zatrzymał, świat znieruchomiał, pełne łez oczy Galvana widziały zgiełk, ale jego umysł nie rejestrował wydarzeń.

Silna dłoń potrząsnęła nim niczym szmacianą lalką.

- Wstawaj! - ryknął mu do ucha głos, którego nie znał, a może znał. - Nie ma czasu!

Galvan spojrzał w oczy Jorga i życie weń wstąpiło. Poderwał się na nogi, podniósł z ziemi bezwładne ciało kapłanki i przerzucił przez koński grzbiet.

- Jedź ze mną - rozkazał.

Jorg posłuchał bez wahania. Wiedział, że w przeciwieństwie do Cezara wódz Arwernów ofiaruje mu wolność, nawet gdyby miał się nią cieszyć następnym kilka dni, a potem umrzeć. Nie było już żadnego powodu, dla którego miałby żyć. Z pogardą obrzucił spojrzeniem martwe ciało Adair, ponury uśmiech wykwitł na jego twarzy.

Galvan przedarł się przez walczących i znalazł się na tyłach swej armii.

- Jak sytuacja? - zapytał Celtillognatosa, który zajmował pozycję na czele rezerw.

- Źle - odparł druid zwięźle. - Rzymianie przełamali atak, ich konnica rozgramia naszych. Albo się cofniemy, albo stracimy większość ludzi i dostaniemy się w niewolę.

- Każ taborom zawracać - wydał rozkaz Galvan. - Na północ, do Alezji. Tam będziemy mieli chwilę wytchnienia i przeanalizujemy sytuację.

- Jak każesz.

- Powiedz Brennusowi, że ma zwołać wszystkich sojuszników - dorzucił Galvan. - Jeżeli obwaruję się w Alezji, Cezar przystąpi do oblężenia. Ale zanim to zrobi, nasi sprzymierzeńcy mogą zdążyć z odsieczą.

Jeśli nie, to niech nas bogowie mają w opiece - dodał ponuro w myślach.

Celtillognatos przestępował z nogi na nogę, patrząc na przerzucone przez koński grzbiet ciało.

- To ona? - zapytał.

Galvan kiwnął głową.

- Kazała mi zabrać Aife na Albion - wymamrotał Celtillognatos.

Wiedziała - pomyśleli bracia jednocześnie.

Galvan ostrożnie zdjął ciało z konia i podał druidowi.

- Niech ją pochowają w jej dolinie albo na Sein, jak uważasz - powiedział drżącym głosem. - Nie mam czasu... nie mam czasu jej opłakiwać, bracie. Nie mogę...

Druid położył rękę na ramieniu swego brata.

- Wiem - powiedział cicho. - Przyjdzie czas, kiedy będziesz ją opłakiwał. Teraz musisz się wycofać, żeby inni nie opłakiwali ciebie.

Galvan zacisnął zęby. Celtillognatos dosiadł konia i odjechał, by wydać rozkazy taborom i tylnym oddziałom, że mają rozpocząć wycofywanie. Po krótkim czasie długa

kolumna zaczęła spiesznie oddalać się na północ, a niedługo potem wojsko Wercyngetoryksa zaczęło cofać się pod naporem legionów i germańskiej konnicy. Galvan dał znak do odwrotu i Celtowie w większym lub mniejszym nieładzie, mocno przetrzebieni przez Rzymian, zaczęli szaleńczą ucieczkę z pola bitwy.

Dla Wercyngetoryksa była to pierwsza poważna klęska. Smak porażki palił go, gdy pędził na północ, spiesząc się przed Rzymianami. Zdawał sobie sprawę z jednego faktu: los się odmienił wraz ze śmiercią Uatah, która zginęła, by ratować mu życie.

Wiedział też, że w Alezji rozstrzygną się losy wojny. Bo tam kończyły się sny kapłanek z Sein.

Cezar z ponurym uśmiechem patrzył na dwóch niegdysiejszych wodzów Eduów - Kotusa i Emporedoryksa - którzy najpierw zapewniali go o swoim oddaniu, a następnie zdradzili. Udało mu się schwytać ich żywcem, z czego był niezmiernie zadowolony, chociaż nie przepadał za tego rodzaju wymierzaniem sprawiedliwości, jakie czekało tych dwojga. Ale należało ukarać Eduów za nieposłuszeństwo, zwłaszcza teraz, kiedy Fortuna wreszcie się do niego uśmiechnęła. Teraz to on był górą, to on będzie ścigał uciekające niedobitki Galów. Dobrze wiedział, dokąd zmierza Wercyngetoryks, i zacierał ręce na myśl o oblężeniu, bo w tym jego armia sprawdziła się doskonale, pomijając przykry incydent z Gergowią. Tam jednak Wercyngetoryks wciągnął go w zasadzkę. Tym razem Cezar miał zamiar

pokonać wodza Celtów jego własną bronią.

Uporem.

Do namiotu wodza wszedł Labienus. W ramionach trzymał ciało, a jego oczy świadczyły o furii. Ostrożnie położył zwłoki na ziemi i spojrział na swego wodza.

- Widziałem, jak ten Germanin ją zabił - wysyczał przez zaciśnięte zęby. - Najpierw ona zabiła tę rudą wiedźmę, która nie wiadomo skąd się wzięła, a potem ten pies wbił jej miecz niemal prosto w serce. Obedrę go za to ze skóry, jak tylko pokonamy Galów.

Ostatnią rzeczą, jakiej Cezar spodziewałby się po swym legacie, było przywiązanie do kogoś, ale między Labienusem i Adair najwyraźniej było coś więcej niż perwersja, żądza zabijania i rozkosz wojny.

Do namiotu wszedł Kwintus Cynceron, brat oratora, jeden z trybunów Cezara.

- Wróg kieruje się na północ, do Alezji - zameldował, kiedy Cezar udzielił mu głosu. - Siły Galów są mocno osłabione. Do twierdzy jadą tabory, kobiety i ciury obozowe. Niewielki oddział skierował się na zachód, ale nie sądzę, że jest sens ścigania ich, to zaledwie pięciu mężczyzn. Jeden z nich trzymał na koniu ciało.

- To druidzi - stwierdził Cezar. - Jadą pochować tę kapłankę.

- Że też mają na to czas i ochotę! - parsknął Labienus.

- Wyruszamy jutro o świcie - zakomenderował Cezar, puszczając uwagę legata mimo uszu. - Niech ludzie uwijają się dzisiaj z robotą. Nie ma czasu, trzeba zdobyć

zaopatrzenie i ruszać za Wercyngetoryksem, zanim zdąży poprosić o pomoc.

- Co z tymi tu? - zainteresował się Labienus, kiedy Kwintus Cynceron wyszedł oznajmić rozkazy wodza. - Dasz mi ich?

- Co chcesz z nimi zrobić? - zapytał Cezar obojętnie, ale jego czarne oczy świdrowały Labienusa, który syczał ze złości. - Chcesz pomścić Adair? Ostatecznie była moim szpiegiem. Najlepszym, jakiego miałem - dorzucił ponuro.

- Chcę ich ukarać, jak przystoi niewolnikom. - Labienus się zaśmiał, a dwóm galijskim wodzom ciarki przebiegły po plecach, bo ten śmiech nie zwiastował niczego dobrego.

- Chcesz ich krzyżować tu i teraz? - zachnął się Cezar. - Nie ma na to czasu.

- O, na to zawsze znajdzie się czas - odparował Labienus z ponurą satysfakcją.

Na wzmiankę o ukrzyżowaniu Eduowie padli na kolana i zaczęli błagać. Dobrze znane były im rzymskie metody pozbawiania życia, a śmierć na krzyżu należała do najokrutniejszych i najpodlejszych. Każdy z nich wolałby zostać dziesięć razy ścięty lub powieszony, byle tylko uniknąć krzyża.

Na dźwięk ich błagań Cezar przeniósł wzrok ze swego rozmówcy na dwóch zdrajców. Cofnął się pamięcią dwadzieścia pięć lat, kiedy jako młody człowiek dostał się w ręce piratów. Tamci nie rozumieli albo nie chcieli rozumieć groźby w jego głosie, kiedy obiecywał im śmierć na krzyżu. Gdyby tylko w porę się opamiętali, darowałby im

życie, a przynajmniej uśmierciłby ich w bardziej ludzki sposób. Ale piraci śmiali się z młodzieńca w luźnej todzie i z utrefionymi włosami. Eduowie nie rozumieli niemej groźby, kiedy pozwalał im opuścić się w najgorszym dla siebie momencie. I też śmiali się z jego zaciśniętych w bezsilności pięści, kiedy los na chwilę się od niego odwrócił. Śmiali się z pokonanego wodza na czele głodnego wojska. To był ten sam Cezar, który spokojnym wzrokiem patrzył na piratów. Wtedy czekał na dogodną okazję, teraz czekał na odmianę losu.

I się doczekał. Zamiast luźnej togi miał na sobie brudną, przepoconą tunikę i poplamiony krwią pancerz, a jego kruczoczarne, bujne niegdyś włosy były ogolone do skóry, a nadto mocno przerzedzone. Niewiele w nim zostało młodzieńczego uroku, po ośmiu latach wojny, trudów, wyrzeczeń i trudnych warunków jego smagła twarz była poorana bruzdami, czoło przecinały zmarszczki, od nosa w dół szły głębokie pionowe linie, a niegdyś zmysłowe usta były zaciśnięte i pogryzione. Ale oczy pozostały te same, przenikliwe, przepalające duszę, bezdennie czarne.

- Cezar powinien okazać łaskę - zaczął tonem pełnym ironii. - Powinien darować im życie, żeby pokazać swoją ogromną łagodność. Wówczas Eduowie zobaczą, że Cezar jest jak wybaczący ojciec, który przygarnia swoje marnotrawne potomstwo.

Labienuś łypnął spod oka na swego wodza. Żaden inny legionista, trybun, legat czy kwestor nigdy w życiu nie pozwoliłby sobie na podobne spojrzenie, ale Tytus Labienus

należał do innej kategorii żołnierzy, a poza tym zbyt wiele razem przeszli z Cezarem, by teraz zachowywać pozory.

- Cezar mógłby to wszystko zrobić - podjął wódz. - Ale tego nie robi z prostego powodu. Jeśli daruję życie tym psim synom, Eduowie zobaczą, że mogą sobie ze mną pogrywać, jak chcą, zdradzać mnie w dogodnym dla nich momencie i wracać, kiedy pali im się koło tyłków. Aby raz na zawsze pokazać Eduom, kim byli, a kim już nie będą, skazuję tych dwóch zdrajców na śmierć. Tytusie Labienusie, przekazuję ich w twoje ręce, zadaj im taką śmierć, jaką uznasz za stosowną.

Twarz Labienusa rozpromieniła się w pełnym okrucieństwa uśmiechu.

Nazajutrz o świcie armia rzymska po odniesionym zwycięstwie zwinęła obóz i ruszyła na północ, w ślad za oddziałami Wercyngetoryksa. Wśród zgliszczy spalonego obozu stały dwa krzyże, a na nich dogorywali niegdysiejsi wodzowie Eduów, którzy w swej dumie i pysze pchnęli Wercyngetoryksa do brzemiennej w skutki bitwy i zmienili bieg wojny, niestety na niekorzyść dla siebie. Nie mieli już siły krzyczeć, kiedy Cezar jako ostatni ruszał za swą armią. W blasku letniego świtu mogli już tylko przeklinać swoją hybris i modlić się do swych bogów o rychłą śmierć.

Cezar nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia.

Od wodza oczekuje się, że zachowa zimną krew i nawet w obliczu klęski poprowadzi swoje oddziały naprzód, a przynajmniej zapewni im możliwość przejścia do

kontrataku. Wercyngetoryks musiał sprostać temu zadaniu, jeżeli chciał zachować pozycję króla Galów, jedyne od dwustu lat, niepodzielnie rządzącego wszystkimi zjednoczonymi plemionami. Nie mogąc pozwolić sobie na dalsze straty, zdecydował się wycofać do warownego miasta Mandubiów, Alezji. Było to z taktycznego punktu widzenia rozwiązanie całkiem słuszne, ponieważ miasto wznosiło się na wysokim i szerokim wzgórzu, od północy i południa osłoniętym rzekami. Gdyby Cezar zdecydował się na atak, musiałyby się liczyć z masakrą legionów.

Co innego jednak, gdyby zdecydował się na oblężenie – i tego wódz Arwernów obawiał się najbardziej.

Zbliżał się koniec lata, z pól zebrano plony, więc chwilowo nie musiał obawiać się o brak żywności, ale kiedy tylko przybył do miasta, rozdzielił zapasy, a zwierzęta oddał pod opiekę mieszkańców z przykazaniem należytego dbania o nie do czasu, kiedy trzeba będzie je zarżnąć. Wolałby tego uniknąć, zdawał sobie jednak sprawę z przykrego faktu, że być może będzie to nieuniknione. Ostatecznie miał pod swoją komendą osiemdziesiąt tysięcy mężczyzn, a do tego mieszkańców Alezji, kobiety, dzieci, starców i tabory z obsługującymi je ludźmi.

Osiemdziesiąt tysięcy ludzi w jednym mieście oznaczało paraliż osady. Dlatego Wercyngetoryks zdecydował się ewakuować mieszkańców miasta, ale napotkał zdecydowany opór starszyny.

– Nie masz prawa posyłać naszych ludzi na pewną śmierć – perorowali naczelnicy. – Cezar idzie za tobą krok w krok

i nie oszczędzi nikogo, jeśli tylko wpadnie w jego ręce.

Galvan poczuł zmęczenie na myśl o powtórce z Avaricum. Tam również chciał przyjąć najlepsze i najprostsze rozwiązanie i spotkał się z równie zaciekłym oporem. Tutaj było o tyle gorzej, że to on wdarł się do miasta ze swoimi ludźmi i to jego wojsko *de facto* zabierało pożywienie Mandubiom. Dlatego mieszkańcy Alezji tak zawzięcie bronili swojego statusu i nie chcieli zgodzić się na ewakuację.

- Teraz jest najlepszy moment - próbował przekonać upartych naczelników. - Cezar dotrze tu najszybciej za dzień lub dwa, a wtedy większość z was będzie już daleko. Oddalcie chociaż kobiety i dzieci, będzie nam wszystkim łatwiej.

- To tobie będzie łatwiej wyżywić żołnierzy - zauważył jeden z naczelników.

- Którzy będą walczyć o twoich ludzi - odciął się Galvan.

- Nie pozwolę na ewakuację. - Naczelnik wrócił do tematu. - Mieszkańcy miasta pozostaną w nim tak długo, jak będzie trzeba.

Błękitne oczy Galvana zalśniły niebezpiecznie. Dostyc miał zabaw w kotka i myszkę, ustępowania zadufanym w sobie, krótkowzrocznym i kłótliwym głupcom. I nie było już Uatah, która by go hamowała i łagodziła jego gniew.

Ta świadomość podziałała na niego paralizująco.

- Nie zapomnij jednak, że ja tu dowodzę - odezwał się ostro. - I kiedy będzie trzeba, wyrzucę was stąd wszystkich, żeby nakarmić moich ludzi.

Naczelnik zachłysnął się własnym oddechem. Chciał odparować Wercyngetoryksowi w dość niegrzecznym tonie, ale coś we wzroku młodego wodza sprawiło, że zamilkł w pół słowa. Galvan odwrócił się i odszedł w swoją stronę, by zająć się kwaterunkiem wojowników w ciasnych domach mieszkańców. Na szczęście lato wciąż trwało, do Samhain było jeszcze sporo dni, chociaż stawały się one już wyraźnie krótsze, ale było dość ciepło, by mężczyźni mogli w razie konieczności spać pod gołym niebem. Gdy już dopilnował wszystkiego i wystawił podwójne straże, dał swoim ludziom i sobie samemu chwilę na odpoczynek.

Nie mogąc poradzić sobie z rozdzierającym go bólem po stracie Uatah, którego nie miał czasu ani okazji wyrzucić z siebie, udał się na poszukiwanie Gwynn. Znalazł ją na flankach, wpatrującą się w ciemniejące niebo nad równiną. Uderzyła go jej młodość, bo sam czuł się staro i miał wrażenie, że to powstanie, które zaczęło się pół roku temu, trwa całą wieczność, a szczęśliwe lata przeżyte w spokoju w Gergowii to tylko sen, a nie jego rzeczywista młodość.

Do tego mnie szkoliliś, Scatah? - zapytał w myślach. - Po co mi były te wszystkie próby męstwa, skoro muszę szarpać się z otaczającymi mnie głupcami? Co z tego, że będę nieustraszony na polu bitwy, skoro muszę ulegać własnym rodakom?

WYZBYŁEŚ SIĘ LĘKU PRZED ŚMIERCIA, GALVANIE - usłyszał odpowiedź. - IDZIESZ DO BOJU, OFIARUJĄC SAMEGO SIEBIE. BEZ STRACHU, BEZ OBAW, BEZ WĄTPLIWOŚCI.

Zacisnęła pięści. Gdyby tylko mógł cofnąć czas, zapytałaby Scatah o wiele rzeczy. Ale wówczas bardziej interesowała go Uatah niż mądre nauki jej matki.

Gwynn odwróciła się na dźwięk jego kroków. Sprawiała wrażenie zmęczonej i taka też była w istocie. Jej stan z każdym tygodniem stawał się coraz bardziej widoczny, ale żona Wercyngetoryksa nie skarżyła się ani jednym słowem.

- Chociaż ty stąd odjedź, póki czas - poprosił Galvan strapionym głosem. - Nie chcę mieć ciebie na sumieniu, kiedy trzeba będzie wyrzucić ludzi z miasta.

- Zrobisz to, prawda? - Uśmiechnęła się. - One obie wiedziały, że dla dobra Celtów zrobisz wszystko, co trzeba. Poświęcisz wszystko i wszystkich, nawet samego siebie.

Galvan pokręcił głową.

Naraz uniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy.

- Gwynn, nigdy cię o to nie pytałem, bo nie mam prawa, ale teraz chcę to wiedzieć - zaczął. - Czyje jest dziecko, które nosisz pod sercem?

Gwynn spuściła wzrok.

- Nie musisz się mnie bać - powiedział zniecierpliwiony. - Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co cię mogło spotkać u Cezara.

Spojrzała mu prosto w oczy. Była poważna i pełna smutku.

- Nie wiem, Galvanie - odparła. - Myślę, że to jego dziecko.

- Bogowie! - wykrzyknął Galvan. - Gwynn, pamiętaj o jednym. To dziecko może uratować ci życie, kiedy

nadejdzie najgorsze.

- Nie myślisz chyba, że pójde do niego prosić o łaskę! - prychnęła.

Zamknęła oczy. W jej pamięci ukazał się sen, który śniła dawno temu, jako młoda dziewczyna. Widziała siebie starającą się przejść przez fortyfikacje, zmęczoną, brzemienną, słabą z wyczerpania. I silne śniade ręce podtrzymujące ją chwiejącą się na nogach, czarne oczy wpatrzone w jej oblicze.

- Jeżeli ty będziesz bezpieczna, ja będę mógł spokojnie wypełnić moje przeznaczenie - powiedział Galvan cicho. - Obiecuj mi, Gwynn. Obiecuj na głowy naszych dzieci. Na miłość, która jest między nami. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, wykorzystasz sytuację. Nie możesz zginąć, nie możesz pozwolić się zabić. Masz jeszcze trójkę innych dzieci.

- I Aife - szepnęła. - Teraz, kiedy jej matka nie żyje.

Grymas nieopisanego bólu przebiegł po twarzy Galvana.

- Nie, najdroższa - odparł. - Aife nie należy do nas. Ona jest posłanniczką bogów.

Gwynn podeszła do niego i wsunęła się w jego ramiona.

- Galvanie, zrobię to, jeśli obiecasz, że nie pozwolisz Cezarowi na rzeź, jakiej dokonał w Avaricum.

Galvan z wysiłkiem przełknął ślinę. Doskonale wiedział, co to oznacza, ale nie sądził, by ona zdawała sobie sprawę, o co teraz prosi. Rozumiał jej strach, bo też w Avaricum musiała przeżyć koszmar. W ostatniej chwili przed śmiercią i hańbą uratowała ją ta, która chciała jemu zadać morderczy cios.

Nie zrobiła tego, bo Uatah zasłoniła go własnym ciałem i zginęła.

Na myśl o tym ciałem Galvana wstrząsnął niepohamowany płacz. Poczul na twarzy dotyk rąk Gwynn i poddał im się, wraz ze łzami wyrzucając z siebie całą rozpacz, której nie mógł się wcześniej poddać. A ona, która przez niemal całe ich małżeństwo nosiła w sobie urazę i zazdrość o Uatah, kołysała go teraz w ramionach ze zrozumieniem, tuliła do siebie i pozwalała wypłakiwać żal po stracie kobiety, którą ukochał przed nią.

Dla Galvana była to ostatnia noc niosąca ukojenie. Gdy nastał świt, pod murami Alezji zjawilo się wojsko rzymskie, na czele którego jechał Cezar w czerwonym płaszczu imperatora, z wyrazem niezłomnej determinacji w czarnych oczach. Obaj wiedzieli, że tutaj jeden z nich musi wygrać, a drugi – ponieść ostateczną klęskę.

Cezar rozpoczął działania wojenne od rekonesansu. Spodziewał się, że nie będzie mógł pod Alezją rozwinąć w pełni kunsztu wojennego, nie czas był tu na dokonywanie szturmów, bo za dużo by ryzykował. Zdawał sobie sprawę, że Celtów jest prawie o połowę więcej, licząc z mieszkańcami miasta. Znał zaś obyczaje galijskie, więc mógł się spodziewać, że kobiety, jeśli nawet nie będą walczyć wręcz, to przynajmniej zaczną ciskać kamienie z murów, co też mogło być zabójcze, a wiedział doskonale, że większość niewiast obeznana jest ze sztuką wojenną.

Nie, tutaj należało wziąć przeciwnika głodem. Cezar

doskonale wiedział, że Celtowie zamknięci w mieście będą próbowali wszystkiego i nie raz zaatakują jego legiony, toteż natychmiast po rekonesansie przystąpił do budowy konstrukcji oblężniczych. Zamierzał otoczyć Alezję wałem o długości osiemnastu kilometrów, co nie było sprawą łatwą, jako że przyczajeni w twierdzy podkomendni Wercyngetoryksa zapewne tylko na to czekali, żeby móc przystąpić do ataku. Kierując się doświadczeniem i zdrowym rozsądkiem, rozpoczął oblężenie od wzniesienia obozu. Podzielił armię na oddziały, z których jeden miał za zadanie jak najszybciej wznieść castrum, drugi zaś - zdobyć pożywienie. Należało się spieszyć, ale na szczęście był koniec lata, a nie środek zimy, i o zapasy nie było trudno, a ziemie Mandubiów obfitowały w zwierzęta, owoce i dojrzewające zboże.

Kalkulując na chłodno, nie spodziewał się oblężenia dłuższego niż trzydzieści dni, zresztą nie miał zamiaru tkwić tu do zimy, bo nie chciał powtórki z Avaricum, kiedy jego żołnierze, głodni, zmarznięci, wyczerpani i wściekli, dali upust swojej furii, dewastując miasto i wycinając w pień jego ludność. Tym razem miał zbyt wielu ludzi do pokonania, zbyt wiele ewentualnych łupów do stracenia. Tutaj musiał kierować się rozwagą, chłodną zasadą „dziel i rządź”, którą Rzym stosował od czasów wojen punickich. Zadowolony był, że wśród swoich legatów ma Kwintusa Cyncerona, którego wyjątkowo cenił, a także Gajusza Treboniusza. Przybył również syn Serwili, młody Decymus Brutus, co znacznie poprawiło mu humor. Posądzany był o ojcostwo tego

młodzieńca, ale doskonale wiedział, że Serwilia nie byłaby tak głupia. Jako ostatni przybył Marek Antoniusz, który karierę rozpoczynał jako kwestor. Był poniekąd awanturnikiem i hulaką, ale sprawdzał się jako żołnierz, a jego lojalności nie można było podawać w wątpliwość.

No i pozostawał, rzecz jasna, Labienus.

Cezar z pewnym niepokojem spoglądał na swego najlepszego legata, który od śmierci Adair kręcił się wśród legionistów jak narowisty koń. Znać było, że cierpi, chociaż nigdy nie wspomniał nawet słowem o swej towarzyszce i kochance. Cezar domyślał się tylko, jaki gniew opanował duszę tego człowieka i co to oznacza dla Galów zgromadzonych w mieście. Jeśli potężna złość w sercu Labienusa pokona tamę opanowania, może znowu dojść do rzezi. Tego zaś Cezar starał się uniknąć. Alezja to była już czysta polityka. Tu chodziło o pokonanie wroga, nie o wycięcie w pień ludzi idących za swym wodzem.

Przegranej nawet nie brał pod uwagę.

Wzniósł obóz na szczycie sąsiedniego wzgórza, skąd miał doskonały widok na równinę między nimi. Siedząc na palisadach, widział wszystko, co się działo między obozami, i mógł osobiście nadzorować pracę legionistów budujących wał. Trudności nastąpiły już pierwszego popołudnia, kiedy Wercyngetoryks wysłał jazdę, aby zaatakowała wznoszących konstrukcję Rzymian. Cezar nie zamierzał marnować swoich ludzi - na odsiecz wysłał oddziały sojusznicze złożone z wiernych sobie Galów, a także auxilia, ale Galowie nie odpuszczali, widzieli bowiem w ataku ostatnią deskę

ratunku. Wercyngetoryks musiał zdawać sobie sprawę z beznadziejności swego położenia, o czym Cezar wiedział. Zastanawiał się, o czym teraz myśli jego przeciwnik, który dokonał rzeczy, zdawało się, niemożliwej. Zjednoczył wszystkie plemiona, no, prawie wszystkie, ale zdecydowaną większość, poruszył je, z wielu skłóconych ze sobą nacji stworzył na poczekaniu jedno silne państwo, może nieoficjalne, ale na krótką chwilę potężne. Chcąc nie chcąc, Cezar musiał mu to przyznać. Wercyngetoryksowi w pół roku udało się to, czego on nie zdołał przez osiem lat kampanii w Galii. Jednym wezwaniem podbił ich wszystkich i uczynił siebie niepodzielnym władcą.

Teraz jednak został sam w obleżonym mieście. Sam, bo oddalił swojego brata druida ze zwłokami swej żony i kapłanki. Cezar dowiedział się o jego związkach z Uatah od Adair... Niech to licho, że taki szpieg musiał zginąć, ale z drugiej strony kto jej kazał iść do boju! Mogła siedzieć w obozie, zemsty dokonałaby kiedy indziej. Cezar zgrzytał zębami w niemej złości, ale nie mógł nic poradzić na to, że Parki przecięły nić życia germańskiej zdrajczynie.

Atak Galów był zacięty, ale Cezar miał w zanadrzu doskonałą broń w postaci germańskiej jazdy. Kawalerzyści zmusili napierających Celtów do odwrotu, a kiedy bramy zamknęły się za wycofującymi się Galami, żołnierze Cezara przystąpili do dalszego tworzenia obwarowań. Wieczorem Cezar dostrzegł swego wroga, który wyszedł na mury Alezji, aby obserwować postępujące prace legionistów. Miał wrażenie, że ich spojrzenia się spotkały, ale nie był pewien,

czy z takiej odległości przywódca Arwernów go widział. Los jednego z nich odbijał się w oczach drugiego, obaj wiedzieli, że tu, na tej równinie, któryś się dopełni. Jeden z nich widział to w snach.

Galvan zrezygnowany kręcił głową, kiedy Brennus proponował mu kolejny atak.

- Nie, bracie - odparł zdecydowanie. - Sami niewiele zdziałamy, Cezar posiada germańską jazdę, a my nie możemy się osłabiać. Musimy zaatakować go z dwóch frontów.

- To niemożliwe, przecież oni nas otaczają wałem! - wykrzyknął Brennus, wyrzucając ramiona do góry.

- Zauważyłem - wycedził Galvan przez zaciśnięte zęby. - Dlatego teraz jest odpowiednia chwila, żeby wysłać jeźdźców po odsiecz. A ty pojedziesz na ich czele.

- Chyba oszalałeś - obruszył się Brennus. - Nie sądzisz, że cię tu zostawię bezbronnego, czekającego na atak Cezara.

- Właśnie to zrobisz - powiedział Galvan tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Cezar mnie nie zaatakuje, bo Alezja jest nie do zdobycia. Nie, Cezar będzie chciał mnie zagłodzić, znam jego metody. Za dwa, góra trzy dni otoczy nas pierścień obwarowań i wtedy nikt się nie wydostanie z miasta. Konnica mi tu niepotrzebna, znacznie bardziej przydadzą mi się posiłki, które nadejdą z zewnątrz, bo wtedy będziemy mogli rozpracować Cezara na dwa fronty, rozumiesz?

Brennus posępnie pokiwał głową. Rozumiał plan swego brata, zakładający podwójny atak. Gdyby udało mu się

zorganizować odsiecz, legiony znalazłyby się w podwójnym zagrożeniu – jednym ze strony oblężonych w Alezji wojsk, a drugim ze strony nadciągających z Galii oddziałów. To było genialne w swej prostocie, tym bardziej że Cezar nie mógł chwilowo liczyć na posiłki z Prowincji ani tym bardziej Italii, gdyż nadchodziła jesień i w takich warunkach wojska nie przeprowadzały się przez Alpy. Tylko on był na tyle szalony, by późną zimą przedzierać się na ziemię ogarniętą powstaniem.

- A co ty zrobisz, bracie? – zapytał, podnosząc wzrok na Galvana.

- Będę czekał na twoje wsparcie – odparł ten spokojnie.

Brennus miał ochotę płakać ze złości, bezsilności i rozpacz, ale oczywiście tego nie zrobił. Pamiętał, jak oboje jechali do doliny Scatah pobierać stosowne nauki. Wydawało mu się, że było to tak dawno temu, chociaż w rzeczywistości nie minęło więcej niż piętnaście lat. Pamiętał, jak Galvan przechodził zwycięsko przez wszystkie próby... A teraz stał przed ostatnią, najważniejszą, i nie wykazywał cienia strachu. Czy tak samo czuł się wówczas, gdy Scatah poleciała mu położyć się na ostrzu miecza? Czy wszystkimi mięśniami opanowywał przerażenie, idąc spokojnie ku swemu przeznaczeniu, podczas gdy serce jak oszalałe tłoczyło krew w jego żyły, być może ostatni raz?

- Masz być gotowy o świcie – przykazał Galvan. – Liczę na ciebie. Wiem, że mnie nie zawiedziesz. Nigdy nie zawiodłeś.

Brennus miał ochotę rzucić się bratu na szyję, bo w jakimś przeblysku przeczucia odniósł wrażenie, że nigdy

już tego nie zrobi. Jednak zamiast to uczynić, pokiwał jedynie głową i odmaszerował, by przekazać rozkaz swoim ludziom.

Nazajutrz o świcie Galvan stał na flankach i patrzył na odjeżdżający oddział konnicy. Poczuł straszliwe zmęczenie i niewiarygodną samotność. To była cena przywództwa, którą płacił. To, o czym kiedyś mówiła mu Scatah. Że przyjdzie mu zapłacić za władzę, a cena będzie wysoka. Tę daninę płaciła ona, samotna w swej dolinie, władcza i przerażająca, budząca pożądanie, strach, miłość i nienawiść, ale oddzielona od innych niewidzialnym murem wyrosłym z podstaw jej pozycji.

On też był samotny. W całym wszechświecie nie było nikogo, kto mógłby za niego ponieść to brzemie, nie mógł nikomu oddać swego losu. Nawet Gwynn nie mogła osłodzić jego samotności, kiedy stała w milczeniu u jego boku. To był jego świat, tylko jego, ona należała gdzie indziej w tej strasznej godzinie, w przededniu końca. Stał tak i patrzył, świadomy każdego oddechu, słysząc każdy pojedynczy szum wiatru, szelest liści, szmer wody w rzece, czując pulsującą w żyłach krew, będąc tak upiornie świadomym swego istnienia, życia, które przelewało się przez niego wzburzonym nurtem.

Słyszał pokrzykiwania legionistów Cezara, którzy budowali mur i maszyny oblężnicze. Słyszał głosy niesione przez wiatr, rżenie koni, stukot młotków, odgłosy kopania w ziemi, kiedy Rzymianie przygotowywali pułapki, widział słońce mozolnie pnące się po niebie, padające już pod kątem przed nadejściem jesiennych ciemności. Jeszcze trwało lato,

ale już nadciągały chłody, nadchodziła jesień, a z nią – ciemne noce i długie wieczory.

Jeszcze żył, ale jego droga prowadziła do śmierci. Zdawał sobie z tego sprawę.

Ciąża Gwynn stawała się coraz bardziej widoczna. Galvan przymknął oczy. Nie ujrzy tego dziecka, nigdy nie dowie się, czyjego potomka nosi pod sercem jego żona.

Na zachodzie równiny Rzymianie wykopali fosę o szerokości sześciu metrów, która biegła między dwiema rzekami opasującymi Alezję. Główna linia obrony znajdowała się sto dwadzieścia metrów dalej i składała się z dwóch fos, z których wewnętrzna została zalana wodą, a także wału wysokiego na trzy metry, na którym co dwadzieścia pięć metrów rozmieszczone były fortece. Przed fosami Rzymianie przygotowali pole z pułapkami i przeszkodami, które miały utrudnić, o ile nie udaremnić, ewentualny atak ze strony Celtów. Najeżone było palami o zaostzonych i utwardzonych w ogniu końcach, które nazwali kamieniami granicznymi, w wykopanych dołach umieszczono zaś lilie, czyli podobnie wyostrzone paliki, na które miały nadziewać się rozpędzone oddziały galijskie. Były też ostrogi – do połowy zakopane kolce i ostrza. Te makabryczne dekoracje, rozsiane po całej równinie, na razie działały odstraszająco na schowanych za murami miasta Celtów. Gdy tylko została wykonana ta część fortyfikacji, Cezar przystąpił do budowy jeszcze dłuższej linii obronnej, zwróconej na zewnątrz przeciwko nadciągającej armii sojuszników. Rzymski wódz nie był głupi, zdawał sobie sprawę, w jakim celu Wercyngetoryks wysłał swego brata

wraz z konnicą, i musiał się przygotować na „przywitanie” nieprzyjaciół.

Gdy to zostało ukończone, obu armiom nie pozostało nic innego, jak czekać. W obu obozach zapanowała upiorna cisza poprzedzająca burzę, a z daleka, z zachodu i południa, dochodził pomruk wojennych gromów.

Czekanie.

Makabryczne, upiorne, pełne napięcia czekanie. Dzień po dniu, godzina po godzinie, oczekiwanie na życie, oczekiwanie na śmierć.

Do tego mnie nie przygotowałaś, Scatah. O tym nie mówiłaś w dolinie, kiedy byłem młody i wydawało mi się, że świat należy do mnie. O tym przerażającym czekaniu, o tej strasznej ciszy przed bitwą. Mówiłaś o wojnie, o męstwie, o zabijaniu wrogów, ale nie o chwilach, kiedy nie można nic uczynić, kiedy własna bezsilność dławi człowieka, kiedy serce swym biciem odmierza czas, jaki jeszcze pozostał.

Odpowiadała mu cisza. Kapłanka z zaświatów nie chciała rozmawiać teraz, kiedy jemu wydawało się, że nie ma żadnej nadziei, nie ma pocieszenia, nie ma przyszłości, tylko czekanie, powolne konanie z głodu w murach oblężonego miasta. Jednego dnia targała nim rozpacz, drugiego narastała w nim nadzieja. Wypatrywał najmniejszego znaku, dopatrywał się boskiej interwencji w zachowaniu ludzi i zwierząt. Był jak rozgorączkowane dziecko przed biesiadą. Jak młodzieniec przed pierwszą nocą z kobietą. Przepiętny nadzieją, lękiem, pragnieniem i chęcią ucieczki.

Racje żywnościowe kurczyły się w zastraszającym tempie, a przecież miał do wyżywienia oprócz czynnych wojowników również bezużytecznych starców, kobiety i dzieci, mieszkańców miasta. Oszczędzał zwierzęta, na ile się dało, wydzielał coraz bardziej skąpe porcje, ale po dziesięciu dniach jasne się stało, że jedzenia nie starczy dla wszystkich. Przypomniawszy sobie Avaricum. Tam sytuacja była odwrotna, tam mieszkańcy nie cierpieli głodu w przeciwieństwie do oblegających ich Rzymian. Jak długo potrwa, zanim ludzie zaczną odczuwać głód? Zanim panika opanuje miasto? Zanim z głodu zaczną dopuszczać się coraz większych przestępstw?

Nadzieja na odsiecz malała z każdym wieczorem. Każdego ranka budziła się na nowo. Kula w żołądku urosła do niebotycznych rozmiarów, teraz miał wrażenie, że nosi tam głaz. Brzemię odpowiedzialności ciążyło mu niczym kajdany. Cena przywództwa. Tak, teraz wiedział, jak jest ogromna. Odczuwał jej ciężar, spijał jej gorycz, bo na dzień kielicha nie zostało już nic innego. A jednak mocno trzymał ów kielich, po który sięgnął dziesięć lat temu, pewny siebie, uważając, że władza należy mu się z racji urodzenia.

Śmiech na ustach Scatah. Jej złocistozielone oczy w blasku ognia, kiedy po raz pierwszy ją posiadał. Co wiedziała? Czego nie chciała mu wówczas powiedzieć? Jak to jest, kiedy osiągnie się już wyznaczony cel i nie ma nic więcej?

Utah, dlaczego odeszłaś? Dlaczego zostawiłaś mnie samego?

Milczenie. Cisza. Niema, drżąca groza podczas ciemnych nocy późnego lata. Gwiazdy migotały na nieboskłonie, gdzieś w oddali paliły się rzymskie pochodnie, dwie rzeki szemrały leniwie, a blady sierp księżyca wędrował ponad obozami, rzucał srebrzyste światło na najeżone pułapkami pole między liniami galijskimi i rzymskimi.

Gwynn z dnia na dzień robiła się coraz słabsza. Milczała, zaciskała zęby, kładła dłoń na pęczniejącym brzuchu. Jeszcze trzy miesiące, niebawem, między Samhain a zimowym przesileniem, wyda na świat dziecko. Czy powinien skazać ją na śmierć tutaj, w murach tego przeklętego miasta, czy też wypuścić razem z innymi, żeby szukali szczęścia wśród rzymskich legionów, odciążając tym samym galijski garnizon?

Wiedział, że musi to zrobić. Nie miał innego wyjścia, ale serce mu pękało i krew ścinała się w żyłach na myśl, że wyda tych ludzi na śmierć. Jeśli Cezar nie pozwoli im przejść przez linie obrony, a on zatrześnie bramy miasta, te niewinne istoty zginą w męczarniach. Nie tak miało być. Miała być chwała, tłumy podążające za nim, a w ostateczności - zwycięstwo.

NIGDY NIE MÓWIŁAM CI O ZWYCIĘSTWIE, SYNU CELTYLLUSA.

Scatah! Dlaczego milczałaś? Dlaczego nie przemówiłaś wcześniej?

Nasłuchiwał, ale nie otrzymał odpowiedzi. Więc o czym mówiła? O zjednoczeniu Galii? Tylko tyle? Aż tyle? W imię czego? Za jaką cenę?

ZNASZ CENĘ.

Nie podałaś mi jej wcześniej.

NIE SĄDZIŁAM, ŻE MUSZĘ TO ROBIĆ.

Życie za życie. Gasnące oczy Uatah, jej wiotczająca dłoń, ta sama, która dzierżyła miecz, która pieściła jego ciało, która głaskała po twarzy niemowlę, którą kiedyś przyciskał do swojego serca.

Dwa dni później podjął decyzję. W strasznych, samotnych godzinach nocnych gryzł się sam ze sobą wśród otaczających go cieni. W ciemności, pod migoczącymi gwiazdami podjął jedną z najgorszych decyzji, do jakich zmusiło go przywództwo. Wiedział, że jest to słuszna decyzja, a jednak jej okrucieństwo zwałało go z nóg. Tej nocy Galvan płakał. Wstrząsany łkaniem, ukrył twarz w dłoniach i pozwolił płynąć gorzkim łzom.

Rankiem wydał rozkaz. Wszyscy bezużyteczni mieszkańcy miasta mieli je opuścić i przejść przez linie rzymskiej obrony. W mieście mieli pozostać tylko mężczyźni zdolni nosić broń i walczyć. Gdy ta decyzja została ogłoszona, wśród mieszkańców podniosły się lament i zawodzenie, ale Galvan był nieugięty i twardy. Nikt nie wiedział, co kryje się za jego twarzą bez wyrazu, za kamiennym spojrzeniem, za głuchym, pustym głosem.

Wszyscy bez wyjątku niezdolni do walki mieli opuścić Alezję natychmiast.

Wśród przepychanek odnalazł Gwynn. Stała z boku, patrząc na niego z niedowierzaniem, ale też ze zrozumieniem. Wiedziała, pamiętała tamten dzień, pierwszy

dzień oblężenia, kiedy powiedział jej, że taka chwila nastąpi.

- Gwynn, najdroższa moja, pamiętaj, co ci powiedziałem - wyszeptał w jej rozchylone usta, kiedy zarzuciła mu ręce na szyję. - Wykorzystaj to, co nosisz pod sercem.

Tuliła się do niego z potwornym uczuciem niepokoju. Miała wrażenie, że zwymiotuje z nerwów, ale nie miała czym, nie jadła od dwóch dni, głód dosłownie skręcał jej wnętrzności. Czuła, że dziecko żyje, bo ruszało się w niej i kopało, ale i ono musiało odczuwać niedostatek jedzenia, bo jego ruchy jakby słabły. Rozerwana między miłością do męża a instynktownym pragnieniem ocalenia swego potomstwa, drżała w ramionach Galvana, nie wiedząc, co robić.

- Gwynn, idź do niego - tchnął w jej włosy. - Nawet jeśli nie przepuści innych, to ciebie oszczędzi, wiem o tym.

Ona też wiedziała.

- Nie zobaczę cię już więcej - szepnęła z trwogą. - Nie chcę tego. Boję się, Galvanie. Nie chcę cię stracić.

Galvan zamknął ją w ramionach. Przypomniawszy sobie ten dzień, kiedy się urodziła, a on obserwował to wszystko spod stołu w domu Evar. Ogarnęła go dławiąca rozpacz, przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby skończyć to wszystko tu i teraz. Ale potem przyszło opanowanie. Nie to było ważne, żeby ją trzymać przy sobie, ale żeby zapewnić jej przetrwanie. Ona musiała żyć. Za bardzo ją kochał, by chociaż nie spróbować ocalić jej życia.

- Gwynn, nie stracisz mnie, obiecuję - powiedział z takim spokojem, na jaki było go stać. - Spotkamy się, kiedy ta wojna się skończy. Zobacysz, ukochana, wszystko będzie

dobrze.

Sam w to nie wierzył, ale musiał dodać jej otuchy. Niekończący się sznur lamentujących ludzi wylewał się przez bramy. Nadszedł czas, by ona też poszła.

Pocałował ją, a ona oddała pocałunek z takim żarem, jakby dopiero co zostali sobie poślubieni. Jakże pragnął, by ta chwila nie miała końca, ale jej kres nadszedł zbyt szybko. Odsunął ją od siebie, a ona odwróciła się i poszła, wpatrzona w ziemię pod stopami, powstrzymując się z całych sił, by nie wrócić i nie rzucić mu się w ramiona.

Wyszła ostatnia i kiedy bramy miasta z łoskotem zatrzasnęły się za nią, Galvan miał wrażenie, że to jego serce pękło i że wraz z odejściem Gwynn umarły w nim wszelkie ludzkie uczucia. Teraz nie miał już odwrotu i nie pragnął niczego innego jak tylko pokonania przeciwnika lub nadejścia własnej śmierci.

Gdy zatrzasnęły się bramy miasta, Gwynn znalazła się nagle na polu śmierci. W oddali widziała palisady rzymskiego obozu, ale dzielił ją od nich szlak nie do przebycia. Słońce paliło niemiłosiernie; chociaż lato chyliło się ku końcowi, jego ostatnie dni były gorące. Gwynn słała się na nogach z wyczerpania, brak pożywienia, a wcześniej jego coraz mniejsze racje osłabiały ją. Widziała, że ludzie wypędzeni z Alezji usiłowali iść, niepowstrzymywani przez rzymskich legionistów. Cezar najwyraźniej zabronił strzelać do cywili albo nie interesował się ich losem. Nie mieli broni, nie stanowili żadnego zagrożenia.

Jakiś stary mężczyzna wpadł do dołu z palikiem, który przebił mu nogę. Jego wycie rozdarło ciszę letniego poranka. Nikt nie kwapił się specjalnie z pomocą, wszyscy skupieni byli na pokonywaniu własnych przeszkód. W końcu dwie kobiety zlitowały się nad nim i spróbowały go wyciągnąć, czemu towarzyszyły nieludzkie wrzaski. Gwynn szła przed siebie, nie oglądając się do tyłu, w pełni świadoma, że Galvan obserwuje jej marsz. Nie chciała na niego patrzeć, bała się, że zawróci, że pobiegnie w jego stronę, a on nie otworzy bram. Gdyby to zrobił, musiałby przyjąć z powrotem wszystkich wypędzonych, a na to nie mógł sobie pozwolić.

To musiało być dla niego jeszcze gorszą torturą niż dla niej, bo ona szła nie z własnego wyboru, podczas gdy on świadomie skazał ją na tę wędrówkę w niepewne.

Jakaś kobieta nadziała się na lilię. Nie miała tyle szczęścia co starzec. Wpadła po pas i nabiła się na palik, który co prawda nie zabił jej, ale skutecznie ją unieruchomił. Jej dziki wrzask przyprawiał Gwynn o mdłości, bo doskonale wiedziała, jakich obrażeń musiała doznać owa kobieta. Po jakimś czasie jednak krzyki osłabły, a w końcu ucichły zupełnie, kiedy ofiara rzymskich pułapek wykrwawiła się na śmierć.

Gwynn szła. Miała wrażenie, że ta wędrówka trwa całe życie. Sama nie wiedziała, jakim cudem przedostała się przez fosę, ale ponieważ nie było w niej wody, bo od kilku dni panowała susza, zdołała jakoś przedrzeć się przez mulisty dół szerokości sześciu metrów.

Nie wiedziała o tym, ale szła całe przedpołudnie, krok za

krokiem, ostrożnie badając teren. Słońce stanęło w zenicie, po czym zaczęło przesuwać się ku zachodowi. W którymś momencie wyrosła przed nią strażnica. Dwaj rzymscy legioniści zagrodzili jej drogę. Gwynn się zatrzymała. Była tak wyczerpana, że z trudem utrzymywała się w pionie. Kątem oka dostrzegła w oddali kolejną strażnicę, przy której rzymscy żołnierze przy pomocy włóczni i mieczy odpędzali umęczoną galijską ludność, czemu towarzyszyły okrzyki rozpacz. Korowód wygnańców powoli ruszał z powrotem, ale Gwynn wiedziała, że nie ma dla nich nadziei.

Czy jej też każą zawrócić?

Uniosła głowę i napotkała pełne zdumienia spojrzenie legionisty.

Rozpoznał ją, widziała to. W jego ciemnych oczach błysnęło światło, gdy zrozumiał, kogo przed sobą ma.

Drugi żołnierz coś do niego powiedział, po czym padła odpowiedź:

- *Caesaris concubina*. - Legionista wskazał na nią głową.
- *Vercingetorigis mulier*.

Dalsze słowa pozostały dla niej niezrozumiałe, ale imię Cezara i Wercyngetoryksa wychwyciła, domyślając się reszty. Nałożnica Cezara, żona Wercyngetoryksa. Ten legionista ją znał z Avaricum.

Legioniści się spierali. Gwynn odniosła wrażenie, że ten, który zapytał, chciał ją bezwzględnie odesłać, ale ten drugi sprzeciwiał się, uważając, że należy oddać Cezarowi to, co do niego należy. Według rzymskiego prawa, o czym Gwynn wiedzieć nie mogła, kobieta poprzez współżycie stawała się

własnością mężczyzny, a w dawnych czasach takie związki oparte na coemptus, czyli wspólnym pożyciu, uznawano za małżeństwa. W oczach legionisty Gwynn - żona Wercyngetoryksa czy nie - prawnie stanowiła własność Cezara.

Jej znajomy z Avaricum był chyba wyższy rangą, bo to on ostatecznie wygrał. Mówiąc coś, chwycił wyczerpaną kobietę za ramię i pociągnął za sobą. Nie przejmował się co prawda zbytnio, czy ona za nim nadążyła. Szedł miarowym, szybkim krokiem, a ona dreptała za nim w sukni płaczącej się wokół nóg, spocona i znużona, ale w tej chwili było jej wszystko jedno. Słyszała za sobą krzyki i rozumiała, że nikomu innemu nie udało się przejść przez rzymskie fortyfikacje. Ona jedna się przez nie przedostała i już ten fakt stanowił sukces sam w sobie.

Szła przed oblicze Cezara, którego zdradziła. Czy teraz czekała ją śmierć?

Nie zdążyła odpowiedzieć sobie na to pytanie, bo doszli do obozu. Gwynn po raz drugi w życiu znalazła się na rzymskim terytorium. Ciemniało jej w oczach, krew szumiała w uszach, od upału bolała ją głowa, ogarniały ją mdłości i gdyby tylko miała coś w żołądku, niechybnie wymiotowałyby, ale czuła jedynie podchodzącą do gardła gorzką żółć. Z pragnienia nie miała nawet śliny do przetykania, gardło paliło ją od suchości.

Legionista zostawił ją przed namiotem wodza. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, osunęła się na ziemię.

Jak w moim śnie - pomyślała na wpół przytomnie.

Z namiotu doszły ją podniesione głosy, a zaraz potem usłyszała szybkie, miarowe kroki, które doskonale znała. Silne, ciemne ręce chwyciły ją mocno i podniosły jak piórko. Spojrzała w czarne, pełne niedowierzania oczy.

A potem wszystko spowiła ciemność. Gwynn osunęła się w silne żołnierskie ramiona.

X

Gwynn otworzyła oczy. Przez chwilę nie mogła pojąć, gdzie się znajduje, ale powoli wracała do niej świadomość, a wraz z nią - pamięć minionych wydarzeń. Poczowała przerażenie na myśl, że spełnił się jej sen, bo naraz przypomniało jej się, że jako młoda dziewczyna na łące śniła jeszcze jeden, w którym widziała oczy Galvana, pełne rezygnacji, bólu i tęsknoty.

- Witaj, Gwynn - usłyszała dobrze znany głos. Cezar w charakterystyczny dla siebie melodyjny sposób łamał galijski akcent, ale posługiwał się jej językiem całkiem biegle.

Teraz uderzyło ją, że nie potrzebował tłumaczy, bo przez osiem lat prowadzenia wojen w Galii doskonale znał tutejszą mowę. Tłumacz stanowił zawsze przykrywkę, by przeciwnik nie zorientował się, że on dobrze rozumie, co się mówi. Jej podziw dla jego intelektu wzrósł jeszcze bardziej, ale wraz z odzyskaną świadomością powrócił niepokój, a potem dławiący strach.

Silna, szorstka dłoń pogładziła jej włosy.

- Uciekłaś ode mnie. - Uśmiechnął się. - A jednak przeznaczenie chciało, by nasze drogi znowu się skrzyżowały.

- Co ze mną zrobisz? Teraz nie stanowią dla ciebie znaczącego łupu.

- Och, mylisz się, moja droga. - Cezar się roześmiał. - Teraz jesteś dwakroć cenniejsza.

Siedział na skraju jej łóżka i spoglądał na nią czarnymi oczami, które zdawały się świdrować jej duszę. W jego spojrzeniu ciepło i czułość mieszały się z rozbawieniem i czymś jeszcze, czego nie umiała nazwać i nawet nie chciała, bo ten wyraz jego oczu przyprawiał ją o ciarki na plecach.

- On po mnie nie przyjdzie - stwierdziła. - Nie tym razem.

- I zapewne nie zainteresuje się losem swojego potomka? - Cezar znów się zaśmiał, ale jego spojrzenie przepalało ją na wylot.

On wie - pomyślała. - On tylko ze mną gra. Chce, żebym sama powiedziała mu to, czego się domyśla. Zapewne jakiś obozowy lekarz już mu powiedział, jak wysoko zaawansowana jest ciąża.

Spuściła wzrok.

- Odpowiedz. - Ręka głaszcząca jej włosy zacisnęła się teraz na jednym kosmyku.

- Nie jest jego - wyszeptała spękanyimi wargami. - To twoje dziecko, Cezarze.

Uścisk zelżał. Teraz nie patrzył na nią wódz, żołnierz, rzymski urzędnik, ale mężczyzna, któremu kobieta oznajmiła,

że zostanie ojcem. Na jego poprzecinanej zmarszczkami twarzy rysowały się: zdumienie, radość, niedowierzenie, szok i nadzieja. Wszystko naraz ujawniło się na tym surowym, kamiennym obliczu.

- Bogowie!

Nie spodziewała się, że powie coś takiego. Nie wyglądała na człowieka wierzącego w potęgę bogów. A jednak.

Co teraz?

- Spałaś dobę - stwierdził spokojnie. - Myślę, że powinnaś się posilić i zażyć kąpieli. Na pewno tego potrzebujesz.

Igra ze mną - pomyślała znużona. Ale wiedziała, że on ma rację, potrzebowała jedzenia i picia, a potem wszystkiego, co wymienił. Jeżeli chciała z nim porozmawiać, powinna zachować godność, a nie pokazywać mu się zmęczona, głodna, brudna i cuchnąca. Poza tym zdawała sobie sprawę, że jest jego gościem, o ile nie niewolnicą lub zakładnikiem, a zatem on decyduje, kiedy i w jakich okolicznościach zechce z nią pomówić. Kiwnęła głową, obojętne jej było, co się z nią teraz stanie.

Cezar skinął ręką na swego adiutanta i po chwili do namiotu weszły kobiety, zapewne markietanki albo niewolnice legionistów, które zaprowadziły Gwynn do łaźni. Była tak osłabiona, że musiały ją podtrzymywać, gdy szła, w przeciwnym razie potykałaby się o własne nogi i niechybnie upadła. Gorąca kąpiel dobrze jej zrobiła. Kobiety wyszorowały ją od stóp do głów, umyły jej włosy, a potem ubrały na modłę rzymską, w prostą stolę, którą przewięzały

sznurkiem poniżej stanu. W ten sposób rosnący brzuch jeszcze bardziej się jej uwydatniał, ale odniosła wrażenie, że Cezarowi nie będzie z tego powodu przykro.

Odświeżoną i czystą zaprowadzono z powrotem do namiotu Cezara, gdzie już czekał posiłek. Gwynn zdążyła się przyzwyczaić do prostoty rzymskiego pożywienia i z wdzięcznością jadła chleb z serem i garścią oliwek.

- Nie mamy mięsa o tej porze, wybacz - odezwał się Cezar, który wyrósł przed nią jak spod ziemi. - Sama rozumiesz, my też musimy oszczędzać jedzenie.

- Uwierz mi, żaden posiłek nie smakował mi lepiej - wykrztusiła, gdy tylko zdołała przełknąć.

Cezar osobiście nalał jej wina do kielicha. Wypiła z wdzięcznością, pozwalając, by cierpki trunek rozgrzał jej żyły. Patrzył na nią w zamyśleniu, a chociaż starała się jeść powoli i z umiarem, wielodniowy głód sprawiał, że błyskawicznie pochłaniała strawę. Dziecko domagało się pożywienia, podobnie jak jej wyczerpany organizm. Pocieszała się myślą, że jest jeszcze młoda i silna, toteż szybko wróci do formy.

- Nie bardzo wiem, co mam teraz z tobą zrobić - stwierdził Cezar po chwili. - Jak pewnie wiesz, nie przepuściłem nikogo z Mandubiów, a twój mąż wspaniałomyślnie zatrzasnął przed nimi bramy miasta. Umierają teraz z głodu, pragnienia i gorąca, podczas gdy ty jesteś tutaj.

- Mnie też wyrzucisz z obozu?

- Naturalnie, że nie. - Pokręcił głową. - Gdybym nie

życzył sobie twojej obecności tutaj, nie wpuściłbym cię do obozu. Nie powinnaś była wtedy uciekać – podjął nagle temat. – Ale rozumiem, dlaczego chciałaś to uczynić. Twoja wola, nie będę cię za to karał, jednak przy mnie byłabyś znacznie bardziej bezpieczna... A Wercyngetoryks, jak mniemam, nie dowiedziałaby się o moich planach ataku na Gergowie.

Na jego ustach błąkał się uśmiech, który sprawiał, że Gwynn ciarki przebiegły po plecach. Nie chciał jej karać, czego zatem chciał od niej?

– Co byś ze mną zrobił, gdybym nie była w ciąży? – odważyła się zapytać.

Jego wzrok przesunął się niżej i zatrzymał na jej brzuchu.

– Zapewne to samo co teraz – stwierdził. – Ugościł cię w moim obozie. Gwynn, Alezja to kwestia dni. Twój mąż dobrze uczynił, odsyłając cię stamtąd. Tam z pewnością byś umarła z głodu albo zostałaś zabita przy plądrowaniu miasta, chyba że on będzie na tyle rozsądny, by się w końcu poddać.

Gwynn przymknęła oczy. Wiedziała, do czego zmierzał.

– Zabijesz go – szepnęła zrozpaczona.

– Nie wiem jeszcze, co zrobię – powiedział krótko. – Nie wiem, czy wygram, kiedy nadejdą wasi sojusznicy. Na razie czekam na rozwój wydarzeń. Czas pokaże, co będzie później. Bardziej męczy mnie pytanie, co zrobić z tobą.

– Co masz na myśli?

Wstał i zaczął przechadzać się po namiocie. Gwynn mimo woli z pewnym podziwem patrzyła na jego muskularne ciało,

osłonięte teraz jedynie tuniką. Cezar musiał powoli dobiegać pięćdziesiątki, ale krok miał sprężysty, oszczędne ruchy żołnierza, a jego ciało emanowało siłą i energią. Tylko twarz zdradzała wiek, zastygła w niej surowość wyrzeźbiona w zmarszczkach otaczających usta, przecinających policzki i czoło.

- Oficjalnie pozostajesz żoną Wercyngetoryksa, a twój potomek jest jego potomkiem - stwierdził. - Gdybyś nawet była wdową... - Gwynn wzdrygnęła się na sam dźwięk tego słowa. - ...to nie mogę uznać tego dziecka ani ożenić się z tobą.

- Bo masz już żonę - rzuciła Gwynn z przekąsem.

- Bo nie jesteś Rzymianką - odparł Cezar z nieskrywaną goryczą. - Moje małżeństwo łatwo można rozwiązać, jakkolwiek darzę uczuciem Kalpurnię.

Gwynn pomyślała bluźnierczo, że Cezar zapewne od wielu lat nie widział swojej żony, więc raczej nie ma tu co mówić o wielkim uczuciu. A może przeciwnie, uczucie podsyczone zostało wieloletnią rozłąką. Cóż, z jej punktu widzenia nie miało to wielkiego znaczenia.

- Ale nawet gdybym dziesięć razy rozwiódł się z Kalpurnią, nie mógłbym pojąć cię za żonę i uznać twojego dziecka - kontynuował Cezar. - Nie jesteś moją branką ani niewolnicą. Możesz być traktowana jako zakładniczka i to na razie będzie chyba najlepszym wyjściem.

- Chyba że stanę się twoją nałożnicą - stwierdziła Gwynn. - Tak jak poprzednio.

Kąciki jego ust uniosły się, ale oczy pozostały poważne.

- Myślę, że nie masz na to zbytnej ochoty teraz, kiedy spodziewasz się dziecka, a twój mąż jest zamknięty w oblężonym mieście - powiedział spokojnie. - Gdyby taka była twoja wola, to zaprosiłbym cię do swego łóża bardziej niż chętnie. Oboje jednak zdajemy sobie sprawę, że taka sytuacja byłaby obecnie dość kłopotliwa.

Gwynn poczuła się, jakby wylał jej kubel zimnej wody na głowę, ale nie takie były jego intencje. Wyczuł chyba jej zmieszanie, bo podszedł do niej i ujął w dłonie jej twarz.

- Chcę twojego dobra - szepnął. - I dobra naszego dziecka, o ile jest prawdą to, co mówisz. Niezależnie od losów twojego męża, który jest moim wrogiem, nie pozwolę, by tobie spadł włos z głowy. Pozostaniesz w moim obozie do zakończenia działań wojennych, a potem, jeżeli sytuacja na to pozwoli, odeślę cię do Gergowii. Nie jestem potworem, Gwynn z plemienia Arwernów, cokolwiek sobie o mnie myślisz. I nie myśl, że nienawidzę Wercyngetoryksa. Wprost przeciwnie, podziwiam go i szanuję, ale to polityka i wojna, a nie przepychanki na ulicy. I jeżeli nawet go zabiję, a nie twierdzą, że tego nie uczynię, nie będzie to akt zemsty ani sprawa osobista, tylko przykry obowiązek, pamiętaj o tym.

Gwynn spuściła wzrok pod jego czujnym spojrzeniem.

Cezar uniósł jej głowę i zmusił, by spojrzała mu prosto w oczy.

- Gwynn, jeżeli urodzisz syna... mojego syna... to przysięgam ci na ród Juliuszów, na Venus Genetrix, od której rzekomo pochodzę, na twojego Teutatesa, jeśli chcesz, że spełnię każdą twoją prośbę, z którą do mnie przyjdiesz.

Każdą. Rozumiesz? Jeżeli tylko nie będzie za późno, żeby ją spełnić.

Gwynn pokiwała głową, a w jej znużonych oczach rozbłysło światło. Zrozumiała, co jej powiedział, a czego nie mógł rzec głośno i oficjalnie. Pozostało jej teraz modlić się do wszystkich bogów o to, by dziecko w jej łonie okazało się chłopcem. Ale słowa Cezara obudziły w niej nadzieję, która zdawała się umrzeć tego dnia, którego Galvan wkroczył do Alezji. Nadzieję, że życie pokona ponure cienie śmierci.

W odruchu wdzięczności ucałowała jego dłonie, a Cezar cofnął je i położył na jej głowie, przypieczętowując niemy pakt. Oboje wiedzieli, że są teraz związani jego obietnicą i że gdy nastanie odpowiedni moment, ona przyjdzie po jej wypełnienie.

Jeżeli nie będzie za późno...

Zgromadzenie olbrzymiej armii nie jest łatwym zadaniem i nie dokonuje się tego w jeden dzień, z czego zamknięty w Alezji Wercyngetoryks doskonale zdawał sobie sprawę. Wcale to jednak nie zmieniało faktu, że niecierpliwił się ogromnie, zwłaszcza że zapasy pożywienia kurczyły się z dnia na dzień. Ludność miejska nie krzyczała już pod murami i nie jęczała, ale konała cicho, wyczerpana głodem. Jego sumienie z tego powodu było czarne jak noc, ale wiedział, że uczynił słusznie. Gdy ujrzał, jak dwaj legioniści prowadzą Gwynn między sobą, poczuł całkowity spokój i od tej pory koncentrował się wyłącznie na wojnie. Kazał gromadzić faszynę do zasypiania fos nieprzyjaciela i sposobić

się do bitwy.

Wreszcie, po niemal dwudziestu dniach, ujrzano z flanek olbrzymią armię, która zalewała równinę niczym morze występujące z brzegów. Brennus jechał na czele jednego oddziału, a wśród pozostałych wodzów byli Kommiusz z plemienia Atrebatów, swego czasu jeden z najbardziej zaufanych ludzi Cezara, a także Werkasywelaunus, kuzyn Wercyngetoryksa, notabene, syn Cynnusa, który kiedyś zdradził swego brata Gobannicjona. Czwartego dowódcy Wercyngetoryks nie znał, ale nie miało to znaczenia, liczył się fakt, że odsiecz wreszcie nadeszła.

Zamknięci w mieście wojownicy nie posiadali się z radości. Z nowym zapałem przystąpiono do działań. Przygotowywano broń, wielkie wiązki faszyny, sznury i drabiny do zajęcia rzymskich wież strażniczych, czyszczono broń. Galijska armia rozbiła obóz w odległości półtora kilometra od rzymskiego contravallatio. Ludzie w Alezji doskonale widzieli szykujących się do boju kawalerzystów. Niezliczone zastępy jeźdźców z twarzami ozdobionymi urzetem i włosami usztywnionymi wapnem prezentowały się wrogowi, demonstrując swoją siłę i potęgę. Złote łańcuchy lśniły na szyjach przywódców. Na murach słychać było okrzyki mężczyzn, parskanie koni, tumult kopyt, tupot tysięcy niecierpliwych nóg.

Do bitwy doszło nazajutrz rano, kiedy konnica zaatakowała rzymski garnizon. Na równinie ustawiono kawalerię, na pobliskich wzgórzach zaś - piechotę, która miała runąć na przeciwnika w stosownej porze. Na

umówiony sygnał Wercyngetoryks rozkazał otworzyć bramy miasta i wyprowadził swoich wojowników, którzy natychmiast przystąpili do zasypywania fosy. Tam zatrzymali się w oczekiwaniu na wojsko idących z odsieczą Celtów. Rzymianie znaleźli się w nie lada tarapatkach, nagle zaatakowani z dwóch stron, tak jak to planował Galwan. Cezar musiał rozmieścić legionistów po obu stronach umocnień, przy czym przewaga liczebna Galów była aż nadto widoczna.

Kawaleria ruszyła. Końskie kopyta siekły ziemię, kiedy rozpedzone wojsko uderzyło z potężnym impetem w rzymskie linie. Cezar rzucił do obrony swoją konnicę, ale Galowie napierali jak wzburzona rzeka, zalewając rzymskie oddziały. Potężni wojownicy, wykonując akrobacje na końskich grzbietach, siekli wielkimi mieczami i topili Rzymian w morzu krwi. Powoli, powoli szala zwycięstwa przechylała się na stronę Celtów. Legioniści cofali się, zachowując szyk, ustępując pod naporem armii Wercyngetoryksa. Lada moment mieli dojść do drugiej linii umocnień. Cezar widział to i zgrzytając zębami, wydał rozkaz włączenia do walk germańskiej jazdy.

Nie podobało mu się wybitnie, że Celtowie zdołali zyskać przewagę, ale w sumie niczego innego nie mógł się spodziewać. Jego legioniści tkwili na miejscu od trzech tygodni, podczas gdy tamci nadjechali pełni słusznego gniewu, gotowi do walki, niepokonani, jak sądzili, wyzbyci strachu przed śmiercią. Szli do boju z pieśnią wojenną na ustach i tak też umierali, z okrutnymi uśmiechami na

pomalowanych urzetem twarzach. Osiem lat temu Rzymianie robili pod siebie ze strachu przed tymi jasnowłosymi kolosami, obecnie widok nagich celtyckich wojowników nie robił na nich większego wrażenia, ale ich siła - owszem, zwłaszcza gdy armia szła z takim niepohamowanym impetem.

Jednak germańska jazda stanowiła genialny wynalazek. Ponieważ Celtowie nie rzucili do walk piechoty, szala zwycięstwa zaczęła przechylać się teraz na stronę rzymską. Ogromna masa wojsk powoli zaczęła się cofać, jednak bitwa nie została ostatecznie rozstrzygnięta z powodu ciemności, które zapadły, zdawało się, zbyt szybko. Obie armie wycofały się na swoje pozycje, a Wercyngetoryks ze swoimi ludźmi wrócił do miasta.

Cezar w duchu był zadowolony z wyniku bitwy, bo mogło być znacznie gorzej, gdyby Galowie doszli do drugiej linii obrony. Tymczasem Germanie poradzili sobie z nimi zaskakująco dobrze, ale Cezar zachodził w głowę, dlaczego tamci nie rzucili do boju piechoty. Może po prostu ją oszczędzali. A może bali się jej utraty, ale to przecież niedorzeczność, bo wojsko galijskie było niemal dwukrotnie liczniejsze niż oddziały Cezara.

Wercyngetoryks zaś z tego samego powodu łamał sobie głowę w Alezji, przeklinając głośno nieudolność swoich przyjaciół zza rzymskich fortyfikacji. Wiedział doskonale, że tego dnia ogromne celtyckie wojsko miało niepowtarzalną szansę pokonać rzymskie legiony raz na zawsze. Gdyby włączyli do walki piechotę, Galowie dosłownie zmiażdżyliby

Rzymian i tych przeklętych Germanów. Tymczasem stało się inaczej i armie musiały się wycofać.

- Było tak blisko! - syczał Galvan przez zaciśnięte zęby. - Tak blisko!

Na przemian opanowywały go: gniew, rozczarowanie, nadzieja i zapał. *Jutro - myślał. - Jutro ich pokonamy. Nasi pójdą do boju jeszcze raz, uderzą równie mocno, a teraz, pomni niebezpieczeństwa ze strony germańskiej jazdy, wykorzystają swoje atuty. Uda się. Musi się udać.*

Wiedział, że oddziały przybyłe z odsieczą są zbyt liczne, by mogły bez końca pozostawać w polu. Każdego dnia słońce coraz później zjawiało się na niebie, od północnego zachodu nadciągały zimne jesienne wiatry i jasne się stawało, że niebawem sezon wojenny dobiegnie końca. Należało tę sprawę załatwić tu i teraz, bo jeśli walki się przedłużą, armia odejdzie, a jego niewielki oddział albo umrze z głodu, albo będzie zmuszony się poddać.

Nazajutrz Galowie i Rzymianie sposobili się do walki. Cały dzień zszedł Wercyngetoryksowi na nerwowych przygotowaniach, ale kiedy nastąpiła godzina, opanował go całkowity spokój. Celtowie zaatakowali o północy, donośnym krzykiem oznajmiając swoje poczynania garnizonowi z Alezji. Na ten sygnał oddział Wercyngetoryksa wylał się z miasta i przystąpił do działania, jednak zanim wojownicy zdążyli precyzyjnie się wszyscy przez wąską bramę, Rzymianie już walczyli i rzucali do boju swoje najlepsze jednostki. Wercyngetoryks kazał zasypać odpowiedni odcinek fosy i zaatakować ten fragment umocnień, który był najslabiej

chroniony, ale wiedział, że przystąpił do boju zbyt późno, a samo zasypywanie fosy po ciemku zajęło mu zbyt dużo czasu. Cezar nie pojawił się na polu bitwy, wysłał natomiast swoich najlepszych legatów: Gajusza Treboniusza i Marka Antoniusza. Ci dwaj na czele swoich kohort siali spustoszenie wśród zdezorientowanych Galów. W srebrnym blasku malejącego księżyca krew rozbryzgująca się wokół wydawała się czarna. Celtowie umierali z krzykiem, Rzymianie z przekleństwami. Szczęk broni dźwięczał Wercyngetoryksowi w uszach, kiedy sam rzucił się do walki. Przez jedno uderzenie serca wydawało mu się, że wszystko idzie zgodnie z planem, bo niemal udało mu się zdobyć pozycję na osłabionym odcinku muru, ale w tym momencie Cezar rzucił do boju rezerwy. Czarna masa legionistów wypłynęła z przerwanego muru niczym krew ze świeżej rany. Cofając się do Alezji, Wercyngetoryks słyszał, że wojska sprzymierzeńców również opuszczają swoje pozycje. Nie chcąc ryzykować większej przegranej, wydał rozkaz schronienia się w murach miasta.

Gdy brama zamknęła się z hukiem, Galvan poczuł gorzki smak porażki i po raz pierwszy przeszło mu przez myśl, że obrona Alezji może się nie powieść. Myśli kłębiły mu się w głowie jak szalone, kiedy ogarnięty znużeniem po bitwie kładł się spać. Tej nocy sen nie nadszedł, zamiast tego przyszły ponure wizje przegranej i wielkiej rzezi wśród jego ludzi. Wiedział, że cokolwiek się stanie, nie wolno mu do tego dopuścić, zapłacił bowiem zbyt wysoką cenę za zjednoczenie plemion.

Jak wysoką, zaczynał dopiero rozumieć.

Gwynn zrozumiała, że Rzymianie wygrali, kiedy Cezar z błyskiem w oczach wkroczył do namiotu. Do tego czasu kręciła się niespokojnie, nasłuchując odgłosów bitwy, ale okrzyki walczących były odległe, a jej ojczysta mowa – tłumiona przez rozkazy wydawane po łacinie. Paznokcie miała ogryzione niemal do skóry, a dziecko wyczuwało chyba jej niepokój, bo wierciło się niespokojnie, co i raz kopało z rozmachem, a twarda kula wbijająca się w jej żebra była ani chybi główką maleństwa, które również nie mogło tej nocy zasnąć.

Szeptala swemu nieznanemu jeszcze potomkowi słowa otuchy, ale sama jej nie znajdowała. Gdy Cezar wszedł do namiotu, po wyrazie jego twarzy odgadła, co się stało. W milczeniu usunęła się w cień, by nie rzucać mu się zbyt w oczy, ale on i tak pozostawał boleśnie świadomy jej obecności.

Cezar całą noc koncentrował się na bitwie i teraz, w pierwszych szarościach nadchodzącego świtu, mógł wreszcie nieco się odprężyć. Wielce radował go fakt, że po pierwszej nierozstrzygniętej bitwie zdołał odeprzeć atak galijskiego wojska. Poprawiało to morale jego własnej armii, co zamierzał wykorzystać na rannym apelu. Kiedy jednak wrzawa bitewna nieco ostygła, a wraz z nią opadły jego emocje, powróciła kwestia Gwynn i jej dziecka, która gryzła go, chociaż starał się tego po sobie nie pokazywać.

Rzecz jasna domyślał się, że jest ojcem jej dziecka.

Świadczył o tym choćby stan zaawansowania jej ciąży. Cezar zgadywał, że dziecko przyjdzie na świat w ciągu kolejnych dziesięciu tygodni, może nieco wcześniej, ale musiała nosić je od co najmniej sześciu miesięcy. Gościła w jego obozie pod koniec lutego, teraz zaś według rzymskiego kalendarza był już wrzesień, a zatem wkrótce po celtyckim święcie Samhain powinno dojść do rozwiązania. Nie zostało wiele czasu. Spodziewał się, że do tego czasu on sam pokona Wercyngetoryksa i stanie w obliczu dylematu, co zrobić z jego żoną. Zgodnie z rzymskim prawem wódz powstania powinien zostać wzięty żywcem, przetransportowany do Rzymu i pokazany w pochodzie triumfalnym. Mogło do tego dojść za kilka miesięcy, może za pół roku. Jeżeli jej mąż zostanie zabity po triumfie, jej przyszłość będzie niewesoła. Zapewne będzie musiała poślubić brata swego męża, jeżeli nie chciała zostać wdową z czwórką dzieci na utrzymaniu albo, co gorsza, nie zostać zabita przez współplemieńców – Cezar znał twarde galijskie prawo. W oczach Arwernów splamiła się, idąc z nim do łóżka, nawet jeśli w jej przekonaniu zrobiła tylko to, co musiała, by przeżyć.

Wbrew samemu sobie żywił do tej dziewczyny czułość i sympatię. Nie kochał jej, ale lubił, owszem, i coś sprawiało, że nie potrafił jej skrzywdzić. Może to, że tak ufnie poszła w jego ramiona swego czasu, a może to dziecko pod jej sercem, które bez wątplenia było jego. Tak czy inaczej wiedział, że musi się zatroszczyć o jej los, nawet – a może tym bardziej – jeśli zabije jej męża. To dopiero był paradoks, Cezar śmiałby się gorzko nad tą sytuacją, gdyby nie była ona

tak tragiczna w wielu wymiarach.

Tymczasem nie było mu wcale do śmiechu. Czuł nieopisaną gorycz na myśl, że ta kobieta być może urodzi mu syna, jakże upragnionego syna, dziecko jego krwi, a on nigdy nie będzie mógł go uznać! Tak bardzo pragnął syna z Kornelią. Wydawało mu się teraz, że to było tak dawno temu, a Kornelia nie żyła raptem od siedemnastu lat. Już prawie nie pamiętał jej twarzy, tylko całą postać. Dotyk jej rąk, smak jej ust, jej głos, wszystko poszło w zapomnienie, spowijała to mgła przeszłości, tłumiała terażniejszość.

Będę na ciebie patrzeć, Gajuszu.

Czy teraz patrzyła? Czy widziała, przed jakim stanął dylematem? On, który pragnął jej potomka, prawowitego syna, on, który pochował własną córkę, teraz nie mógł pochwalić się światu dzieckiem zrodzonym ze związku z galijską królową! Tak, bo czyż żona króla Arwernów nie miała prawa do tego tytułu? Zapewne. Czy to coś zmieniało w oczach rzymskich patrycjuszy, Senatu, tych skostniałych starców? Ani trochę.

Z Kalpurnią też pragnął dziecka, ale ona nie mogła mu go dać. Po kilku latach zwątpił w swoje możliwości i pogodził się z faktem, że nie może mieć syna, a jego następcą zostanie syn Atii. Tymczasem bogowie, o ile istnieli jacyś, zakpili z niego tu, na rubieżach świata, w dzikiej krainie, której nijak nie mógł podbić po ośmiu latach trudów, i dali mu potomka, którego matka nigdy nie będzie prawnie do niego należeć i który nigdy nie odziedziczy po nim choćby imienia. Jego syn będzie Arwernem, Galem, będzie nosił imię swego dziada lub

wuja, nigdy się nie dowie, kim był jego prawdziwy ojciec. Gdy skończy trzy lata, zostanie adoptowany przez inną rodzinę, a w wieku siedmiu lat posła go do druidów na nauki. Nawet jeśli Cezarowi uda się podbić Galię, nawet jeśli ci nieokrzesani barbarzyńcy zamienią spodnie na togi, dziecko Cezara będzie wychowywane w ich tradycji i kulturze, nie pozna nigdy swego ojca, nie będzie adoptowane do rodu Juliuszów należnego mu z racji pokrewieństwa.

I nie była to wina tej dziewczyny, która nie mogła nic na to poradzić, że nie urodziła się choćby rzymską niewolnicą. Wówczas łatwiej byłoby mu uznać dziecko, a przynajmniej mógłby to zrobić bez narażania się na kpiny, chociaż i tak nie mógłby go formalnie przyłączyć do rodu. No cóż, panowie mieli dzieci z niewolnicami, z takiego związku wyzwolenicy z panem narodził się dziadek Katona Młodszeo, co bynajmniej nie umniejszało jego pozycji rodowej. Gdyby Gwynn należała do domu Cezara jako jego niewolnica, a potem libertina, nikomu nie przyszłoby do głowy kwestionować jego ojcostwa ani oburzać się, gdyby zdecydował się wyzwolić dziecko, a nawet adoptować. Takie rzeczy się zdarzały.

Ale nie, Gwynn była w oczach Rzymian barbarzynką i narodziny jego syna najlepiej i najrozsądniej byłoby przemilczeć. Ta myśl sprawiała mu ogromny ból, bo w głębi serca cieszył się z tego dziecka, nawet gdyby okazało się dziewczynką. Już choćby z tego względu pragnął zająć się jego matką na tyle, na ile mógł, czyli zapewnić jej bezpieczeństwo i dobrą przyszłość. Skoro nie mógł być

dobrym ojcem ani w ogóle ojcem dla jej dziecka, to będzie chociaż patronem, jakkolwiek ironicznie to brzmi, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że czyhał na życie męża Gwynn. Prawdę mówiąc, nie miał też najmniejszej ochoty pozbawiać życia tego człowieka, który przecież działał w słusznej ze swego punktu widzenia sprawie. Cała ta sytuacja sprawiała mu ból, ale tkwiący w nim żołnierz i wódz kazał mu ignorować go i skupiać się na faktach, a faktem pozostawało, że musiał zwyciężyć, jeśli nie chciał zaprzepaścić całej swojej kariery – a co gorsza, stracić życia – pod murami tego przeklętego miasta.

Wiedziony jakimś nieznanym odruchem i potrzebą bliskości, podszedł do skulonej w kącie Gwynn i otoczył ją ramionami, a ona wbrew sobie z ulgą wtuliła się w niego. W tej chwili żadne z nich nie chciało myśleć o tym, jak niedorzecznie musieli wyglądać spleceni w uścisku – galijska zakładniczka i wróg jej męża. W tej chwili, między jedną rzezią a drugą, byli tylko kobietą i mężczyzną, dwoma istotami rzuconymi w nurt przeznaczenia, z którym nie mogli ani nie umieli walczyć. I oboje wiedzieli, że cokolwiek się stanie, ich życie nigdy już nie będzie takie samo, bo w tym miejscu dopełniał się los i bieg zmieniały dzieje znanego im porządku świata.

Do drugiej bitwy Galowie przygotowali się znacznie lepiej. Czterej dowódcy wojsk sojusznicznych doszli do wniosku, że należy znaleźć słaby punkt rzymskiej obrony, a następnie go zaatakować. Takim punktem według nich był mniejszy obóz

rzymski położony na zboczu wzgórza, które stanowiło północno-zachodni czubek wzniesienia otaczającego obleżone miasto. Z powodu ukształtowania terenu Rzymianie nie mogli opasać go obwarowaniami, ponieważ to przedłużyłoby nadmiernie i tak niewiarygodnie długie wały, które już teraz były trudne do obrony. W mniejszym obozie stacjonowały tylko dwa legiony, ale Kommiusz Atrebata zdecydował wysłać tam czwartą część swojego wojska. Było to ryzykowne posunięcie, jednak innego sposobu na zwycięstwo Celtowie nie widzieli.

Pod osłoną nocy kuzyn Wercyngetoryksa, Werkasywelaunus, rozpoczął operację przerzucania swoich ludzi przeciwległym stokiem wzgórza, niewidocznym dla przeciwnika. Szczęściem tej nocy nie było księżyca, bo zasłaniały go gęste chmury, więc wojownicy przemykali niepostrzeżenie pod nosem wroga. Cezar o niczym nie wiedział, gdyż spał snem sprawiedliwego w swoim namiocie. Tylko na murach miasta stała samotna postać w ciemnym płaszczu i spoglądała tam, gdzie nie patrzyli Rzymianie, nadzorując cichy przemarsz wojsk.

Wercyngetoryks czuwał. Zdawał sobie sprawę, że to ostatnia szansa na zwycięstwo. Jeżeli teraz się nie uda, wielka masa wojowników cofnie się do swoich krajów, bo niemożliwością było wytrwać w polu więcej niż dziesięć dni bez świeżych dostaw pożywienia, a nikt nie miał czasu szukać żywności ani tym bardziej polować. Teraz albo nigdy, to był ten moment, wódz Arwernów mógł mieć tylko nadzieję, że tym razem Galom uda się pokonać doskonale

zorganizowanego wroga. Atutem Rzymian była ich dyscyplina, karność i organizacja, Galowie mieli po swojej stronie przewagę liczebną. Ale Galwan walczył w rzymskich legionach i wiedział, że Cezar potrafi znakomicie wykorzystywać najmniejsze nawet sposobności, by odnieść zwycięstwo.

Czekanie, znowu czekanie. To było najgorsze, ale, o dziwo, kiedy już nadeszła odsiecz, na Galvana spłynął dziwny spokój. Zniknął gdzieś wódz Arwernów, a pojawił się wielki król wojowników, po raz pierwszy należycie i z godnością używający swego właściwego imienia. Wercyngetoryks, pierwszy władca zjednoczonej Galii.

Uśmiechnął się gorzko do siebie. To był doprawdy triumf. Mimo wszystko musiał przyznać, że mu się udało. Dokonał tego, o co nikt by go nie posądzał – czyż na jego wezwanie nie nadciągnęła największa armia, jaką Galia kiedykolwiek widziała? To był jego sukces i nawet jeśli nad jego ojczyznę miałyby zająć słońce wolności, to i tak stanie się ona jednością. To było jego jedyne pocieszenie.

Gdy nastał świt, Werkasywelaunus rozpoczął pozorowane ataki, by odciągnąć uwagę nieprzyjaciela od prawdziwego celu swojej armii. Nie trwało długo, a legionieści dali się nabrać na fortel i poszli dokładnie tam, gdzie sobie tego życzył kuzyn Wercyngetoryksa. Cezar musiał być nie lada zdezorientowany, skoro przy całym swoim geniuszu nie połapał się, w czym rzecz, ale Wercyngetoryks nie myślał czekać, aż ten się odnajdzie w sytuacji, tylko czym prędzej wyprowadził swoich podkomendnych z Alezji i przystąpił do

ataku na wewnętrzną linię fortyfikacji.

Galowie z Alezji runęli niczym rozpędzona rzeka, gdy przełamie tamę. Gnała ich ta sama furia, co rzymskich żołnierzy pod Avaricum. Głód zagładający w oczy, narastające szaleństwo będące następstwem unieruchomienia na wiele tygodni, chęć odwetu, gniew, a nade wszystko pragnienie zwycięstwa i wydostania się z murów miasta. Ponieważ do ataku z wielkim impetem doszło w wielu miejscach, Rzymianie rozluźnili szyk i nie szli już równo, ale rozpierzchiwali się pod naporem Celtów.

Szala zwycięstwa znowu zaczęła przechylać się na stronę Galów. Wercyngetoryks widział już, jak pękają rzymskie obwarowania. Jeśli uda mu się pokonać zasieki, wojsko przeleje się niczym niepowstrzymana fala przez wyłom w murze i runie na Rzymian, prosto na zewnętrzną linię fortyfikacji atakowaną przez Werkasywelaunusa, Brennusa i Kommiusza. Natarcie przybierało na sile, wojownicy padali od rzymskich pocisków, oszczepów i kamieni wystrzeliwanych z procy, ale natychmiast byli zastępowani przez kolejnych i kolejnych, wydawało się, że niezliczone rzesze Galów napływają jedna po drugiej.

Słońce stanęło w zenicie, gdy na zewnętrznej palisadzie pojawił się Cezar. W czerwonym płaszczu i kapłańskich butach, z marsem na czole obserwował zmagania swoich ludzi. Widział, rzecz jasna, Wercyngetoryksa, który, nie bacząc na nic, brał udział w bitwie. „Brał udział” to mało powiedziane – walczył z takim zapałem, jakby chodziło o jego życie, no i po prawdzie tak właśnie było. W innych

okolicznościach Cezar zapewne dałby sobie chwilę czasu na podziwianie wodza Celtów, ale niestety taki luksus nie był mu dany pod Alezją. Należało działać szybko i niezwłocznie, żeby ów zagorzały w boju wojownik nie zdołał przedrzeć się przez wewnętrzne mury, a do tego mało już brakowało.

Największe nieszczęście polegało na tym, że zaatakowane zostały jednocześnie dwie linie umocnień. Cezar musiał zdecydować, które są istotniejsze, i doszedł do słusznego skądinąd wniosku, że należy umocnić przede wszystkim zewnętrzne mury, bo wojska przybyłe z odsieczą były liczniejsze niż oddział z Alezji. Jeśli wedrą się poza mury, to już koniec, Galów było niemal dwukrotnie więcej niż wszystkich Rzymian razem wziętych, licząc ciury obozowe, niewolników i auxilia. Niewesoła perspektywa malowała się przed Cezarem w takiej sytuacji.

Dlatego wysłał dyszącego furją Labienusa, by na czele sześciu kohort ruszył z pomocą słabnącym legionistom, którzy zaciekle, ale coraz słabiej bronili zewnętrznych umocnień.

- Oceń sytuację i jeżeli nie uda się już nic uczynić, zabierz ludzi z obozu i zarządz odwrót - rozkazał.

Labienus bez słowa skinął głową i oddalił się na czele przydzielonych kohort.

Cezar zaś doszedł do wniosku, że dość się już nastąpiło na obwarowaniach. Nie bacząc na okrzyki swego drugiego legata, Kwintusa Cyclerona, zszedł do swoich żołnierzy, by na bieżąco i ze środka zamieszania kierować obroną wału. Dawno już mu się to nie zdarzyło, ale wiedział, że jego

przystąpienie do bitwy doda żołnierzom skrzydeł. Zawsze tak było i tym razem również się nie pomylił. Na widok wodza walczącego mieczem z przeciwnikiem i narażającego własne życie w legionistów jakby wstępowały nowe siły. Pojęli, że ta bitwa ma strategiczne znaczenie, skoro sam Cezar wziął się do walki. A walczył zaciekle i energicznie, nie pozwalał sobie na najkrótszy odpoczynek, nie przerywając ani na chwilę, wydawał rozkazy, kierował ludzi tam, gdzie tego wymagała konieczność, i wreszcie Rzymianom udało się odeprzeć atak na najslabiej broniony odcinek muru. Wercyngetoryks musiał się cofnąć.

Niedługo jednak trwała radość Rzymian z odzyskanych pozycji, oddziałowi Werkasywelaunusa bowiem udało się wedrzeć na zewnętrzny mur. Za pomocą lin i haków Galowie obalili jedną z wież wartowniczych. Zapanowała wrzawa, ryk poniósł się wśród tłumu walczących - okrzyki triumfu u Galów, zawodu i wściekłości u Rzymian. Cezar błyskawicznie wysłał na miejsce Decymusa Brutusa, ale niedoświadczony młodzieniec nie zdołał odeprzeć napierającej celtyckiej masy. Kolejni Galowie przedzierali się przez wyłom, zalewali rzymską piechotę, mieszały się z odpierającym atak szykiem rzymskim.

Cezar poczuł, że zaczyna powoli tracić siły. Widząc, że Brutus nie radzi sobie z zaistniałą sytuacją, czym prędzej posłał na miejsce wyłomu Gajusza Fabiusza, który na czele świeżych kohort zaczął z wielkim trudem, ale metodycznie opanowywać sytuację. Galowie byli rozjuszeni, ale wystarczyło zadać im więcej ciosów, by zaczęli się cofać. Ich

miecze, gorszej jakości niż rzymskie, przeznaczone były do zadawania ciosów z góry, nie pchnięć, dlatego legioniści mieli przewagę i mogli szybciej wyprowadzać atak. Fala Galów powoli się cofała pod naporem kohort Fabiusza. Wreszcie udało się zamknąć wyrwę w linii obrony, legiony znowu stanęły w szyku.

Teraz jednak należało upewnić się, czy Labienus radzi sobie przy mniejszym obozie. Cezar zabrał ze sobą cztery kohorty i ruszył na wyznaczone miejsce, by przekonać się, że i tam jest kiepsko. Przeklęty Kommiusz wiedział, co robi, wybierając najgorsze pod względem strategicznym miejsce rzymskich umocnień. Labienus tracił kontrolę nad wałem i jedynie to, że udało mu się utrzymać czternaście kohort, ratowało sytuację. Dołączył je do przyprowadzonych sześciu, a teraz Cezar wspomógł go jeszcze czterema. Dysponując taką siłą, mógł spokojnie zorganizować obronę fortu.

Cezar nie próżnował. Wysłał konnicę, do tej pory nieużywaną ze względu na zbyt wielkie kłębowisko, aby zaatakowała Werkasywelaunusa z flanki. Tego galijski wódz z pewnością się nie spodziewał, a manewr ten mógł go skutecznie unieruchomić, na co Cezar liczył. Gdy konnica wykonała manewr, rozpoczęła się rzeź. Rzymscy legioniści, mający teraz świadomość, że walczy wśród nich sam wódz, ze zdwojonym zapałem przystąpili do bitwy. Po obu stronach umocnień rozległ się wrzask, a Galowie odpowiedzieli jeszcze gorszym okrzykiem, od którego włosy stawały dęba. Szyk się rozerwał. W ogólnym zamieszaniu legioniści odrzucili bezużyteczne włócznie i walczyli na miecze.

Zaciekle, jakby to miała być ostatnia bitwa w ich życiu. Sam Cezar miał wrażenie, jakby ubyło mu lat, siekł wroga, nie bacząc na to, że sam mógł stracić życie.

Gdy rzymska konnica ukazała się na tyłach galijskich oddziałów, Wercyngetoryks zrozumiał, że nastąpiła kulminacja. Jego oddziały przerwały mur, masa ludzi przelewała się teraz przez wyrwę, pędząc przez rzymskie pole minowe. Nie wszyscy powpadali do dołów z pułapkami, duża część wojowników parła naprzód niestrudzenie, pokonując pas ziemi niczyjej, zręcznie omijając trupy wyrzuconych z miasta mieszkańców. Gnali przed siebie jak burza, runęli w samo centrum bitwy, w sam środek piekła, i zakotłowali się zapamiętale wśród wrogów i przyjaciół. Rzymianie wzięci w dwa ognie miotali się jak wściekłe zwierzęta, ale sytuacja odwróciła się wraz z przybyciem kawalerii. Wercyngetoryks na własne oczy widział, jak Werkasywelaunus został ściągnięty z końskiego grzbietu i raniony.

Galowie padali od rzymskich mieczy. Było tak, jak przewidział Cezar, jak nauczył się w ciągu długoletniej kampanii w Galii. Gdy wojsko zaczynało tracić impet, rozpraszało się szybko i było łatwe do pokonania. Duch walki był w nich potężny, ale ogień szybko się wypalał. Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy znacznie przetrzebione rzesze Galów zaczęły cofać się pod naporem Rzymian. Cezar wstąpił na wewnętrzny mur z okrwawionym mieczem w dłoni i napotkał pełne wściekłości i rozpaczę spojrzenie Wercyngetoryksa, który stał po drugiej stronie, usiłując raz

jeszcze zagrzać swoich ludzi do walki.

Przez nieskończenie długą chwilę wśród wojennej wrzawy patrzyli sobie w oczy. Wszystko ucichło, jakby bitwa się oddaliła. Tylko oni dwaj patrzyli na siebie w milczeniu, rozumiejąc, co się właśnie stało. Cisza dzwoniła w uszach, wypełniało się przeznaczenie.

A potem wrzawa rozległa się od nowa.

Wercyngetoryks krzyknął, jego głos zginął wśród burzy wrzasków walczących. Kolejny Rzymianin wdarł się na wewnętrzny mur. Władca Celtów wydał następny rozkaz. Jego oddział zaczął się cofać i oddalał się w miarę, jak legionieści pojawiali się na murze i zeskakiwali z niego na ziemię niczyją. Cezar ich powstrzymał. Już znał wynik bitwy.

O dziwo nie czuł słodczy zwycięstwa, ale gorycz zalewała mu serce.

Potężne galijskie wojsko cofało się na podobieństwo fali wracającej do morza. Próba przełamania oblężenia nie powiodła się. Uciekających Galów legionieści zabijali albo brali żywcem. Wśród pojmanych znalazł się Werkasywelaunus, reszta wodzów zdołała zbiec do galijskich obozów.

W drodze do obozu Cezar poczuł wyczerpanie. Nie było to jednak tylko znużenie bitewnym trudem, ale głębokie psychiczne zmęczenie. To była największa i najtrudniejsza bitwa w całej galijskiej kampanii, najgorsza, jaką stoczył od początku wojen galijskich. To była bitwa o wszystko, o przetrwanie, o przyszłość, a kto wie, może o życie. I wygrał ją, zdobył wszystko, kładąc na szali los swój, swoich

żołnierzy i przyszłych pokoleń. Wercyngetoryks dla pokonania jego zjednoczył całą Galię, złączył ją, scalił i rzucił do boju, a on, Cezar, ją pokonał, podbił i uczynił swoją. Ci zamknięci w twierdzy Arwernowie i Mandubiowie jeszcze tego nie wiedzieli, ale on już tak. Po ośmiu latach znojów, podbojów, niezliczonych wojen i bitew nareszcie dostał to, czego pragnął.

Miał tylko nadzieję, że wygrana okaże się warta ceny, jaką przyszło mu za nią zapłacić.

Porażka miała gorzki smak. Gorsza była jedynie świadomość, że to już koniec, nie ma nadziei na kolejne starcie, bo po prostu nie ma takiej możliwości. Po stoczeniu dwóch bitew wojsko było znacznie osłabione, ale to nie to stanowiło główną przyczynę, dla której wielka celtycka armia miałaby się wycofać z Alezji. Przede wszystkim brakowało pożywienia nie tylko dla wojsk obozujących za murami, ale także dla oddziału w mieście. Wercyngetoryks zdawał sobie sprawę, że upojeni zwycięstwem w ostatniej bitwie Rzymianie nie odstąpią od oblężenia.

Celtowie znaleźli się na straconej pozycji i to doskonale wiedział również Wercyngetoryks.

Ale tego, co wiedział i rozumiał Wercyngetoryks, Galvan nie chciał i nie mógł zaakceptować. A więc to wszystko? Dwie bitwy pod murami miasta i koniec? Kres nadziei, koniec wojny o wolność, koniec marzeń, snów i przepowiedni? I gdzie niby to wszystko, o czym w blasku ognia mówiła mu Scatah? Do tego został wybrany? Żeby przegrać

z Rzymianami w takiej chwili, kiedy rzucił na szalę los całej Galii?

Dokonał tego, czego nikt przed nim od czasów legendarnego króla Brennusa. Celtowie od dwustu lat nie mieli króla ani przywódcy, byli rozbici na wiele plemion, skłóconych i pogrążonych w odwiecznych konfliktach. On pojawił się znikąd, nagle, płynnie przechodząc z pozycji rzymskiego sojusznika do najzacieklejszego wroga Cezara. I zjednoczył ich wszystkich, połączył pod jednym sztandarem, dając im nadzieję na wolność.

A teraz to wszystko miałoby być zaprzepaszczone?

Najbardziej bolał go fakt, że prawie się udało, że był o włos od zwycięstwa. Gdyby Kommiusz rzucił do ataku całą armię, Rzymianie wzięci w dwa ognie nie mieliby szans. Dlaczego tego nie uczynił? Mógł przecież wykorzystać sytuację, pchnąć oddziały do walki, wtedy Rzymianie musieliby ustąpić. Gdyby tylko udało się przełamać wał w kilku miejscach! Przecież Labienus ciężko dyszał z wysiłku i musiał wezwać posiłki, żeby utrzymać pozycję. A jemu, Wercyngetoryksowi, udało się wszak zrobić wyłom w murze i dopiero pojawienie się Cezara wśród legionistów sprawiło, że słaniający się ze zmęczenia żołnierze podnieśli się znowu do boju.

Jego ludzie również ledwo trzymali się na nogach. W ich oczach lśniła jeszcze nadzieja, ale on wiedział, że to koniec. Jeśli zerwą się jeszcze raz do boju, przegrają, bo Cezar zna już ich słabe punkty. Nie mógł poprowadzić do bitwy głodnych wojowników, na niewiele by się to zdało, o tym

również wiedział aż za dobrze. Naczelnicy plemion czekali na decyzję. Musiał ją podjąć i należało to zrobić szybko, zanim Rzymianie zdecydują się na kolejny ruch. Galvan chciał nade wszystko uniknąć rzezi, jakiej był świadkiem w Avaricum. Nie mógł do tego dopuścić. Wówczas Cezar wzięłby resztę Galii ogniem i mieczem.

Chyba że on zaproponuje prokonsulowi układ.

Mógłby to zrobić z czystym sumieniem. On w zamian za Galię.

Czy taka ofiara zadowoliłaby rzymskich bogów? Czy byliby usatysfakcjonowani, czy dalej żądni krwi i śmierci?

Co o tym myślisz, Scatah?

Wyszedł na mury i ogarnął wzrokiem okolicę. Rzymianie już zajmowali się naprawą muru obronnego. Pozbierali swoich poległych i palili ich w wielkim ognisku na skraju obozu, a ohydny smród palonego ciała docierał do nozdrzy Galvana. On powinien uczynić to samo - pochować poległych. Ale nie było na to czasu, musiał pozbierać myśli i podjąć decyzję.

Jego kuzyn Werkasywelaunus dostał się do rzymskiej niewoli, Galvan nie chciał wiedzieć, co z nim zrobią. Prawdopodobnie sprzedadzą, bo galijski naczelnik wart był ładną sumkę. Raczej nie będą się trudzili krzyżowaniem pokonanych, nie teraz i nie tutaj. Cezar nie był głupcem, Galvan nigdy tak o nim nie myślał, żywił wbrew samemu sobie szacunek dla rzymskiego prokonsula. Jego geniusz stratega był ogromny i niepodważalny, tak samo bystra inteligencja.

Co Cezar zrobi z nim, Wercyngetoryksem, który był stokroć cenniejszym łupem od swojego kuzyna?

Jego wuj Gobannicjon, który handlował z Rzymianami przez wiele lat, zanim zdradził swego siostrzeńca, wspominał o triumfie wodza. Ulicami Rzymu szedł barwny korowód, na czele którego jechał, zdaje się, Pompejusz. Za nim szli pokonani wrogowie, którzy później, wedle relacji Gobannicjona, zostali uduszeni w rzymskim więzieniu.

Co ty na to, Scatah?

Galvan pomyślał, że nie bardzo ma ochotę umierać, a w dodatku jeszcze w taki sposób. Do licha, miał trzydzieści lat i jeszcze wiele życia przed sobą.

Uatah była rok starsza od niego. Scatah niewiele więcej, kiedy zdecydowała się oddać swoje życie w ofierze za niego. Czyż obowiązkiem wodza nie jest poświęcić życie za swoich ludzi? Za swoje plemię?

Podjął decyzję. Tego wieczoru ogłosił, że nazajutrz rano wyśle parlamentariuszy do Cezara. Gdy naczelnicy zebrani w wielkiej biesiadnej sali usłyszeli, co zamierza ich wódz, oniemieli ze strachu i zdumienia.

- Nie możesz tego zrobić! - wołali jeden przez drugiego.
- Musimy zebrać armię jeszcze raz i uderzyć na Rzymian.

Na twarzy Wercyngetoryksa pojawił się gorzki uśmiech.

- Jeżeli podniesiemy broń jeszcze raz, on nas pokona - stwierdził. - On nie chce przedłużać wojny. Nadciąga jesień, jeśli nie poddamy się teraz, on splądruje miasto, jest do tego zdolny. Albo sami mnie wydacie, kiedy głód zacznie wam nadto doskwierać.

Zewsząd posypały się zapewnienia, że nikt czegoś takiego nie uczyni, ale Galvan śmiał się tylko z tych obietnic. Pamiętał Avaricum i wiedział, do czego zdolni są głodni ludzie.

- Jorg - zwrócił się do rosnącego Germanina. - Ty pojedziesz do nich. Labienus nie tknie cię, bo Cezar mu na to nie pozwoli. Zaniesiesz mu wiadomość ode mnie. Oddam się w jego ręce, poddam Alezję i skończę wojnę, jeśli on obieca łaskę dla mojego wojska, dla wszystkich plemion, które brały udział w powstaniu i dla tych, które tego nie zrobiły. Nie zabije nikogo z moich ludzi, a schwytanych wczoraj dowódców puści wolno. Jeżeli nie przyjmie moich warunków, będziemy walczyć dalej.

- To czyste szaleństwo - stwierdził Jorg. - On tego nie zrobi.

Galvan się roześmiał.

- Ależ zrobi - zapewnił. - Jemu też grunt pali się pod nogami. Dobrze wie, że jeśli rozkażę, armia zbierze się po raz kolejny.

- Dlaczego więc tego nie uczynisz? - zapytał jeden z dowódców.

- Bo nie chcę narażać ich i was na to, co było w Avaricum - odparł Galvan spokojnie. - Jeżeli Cezar chce dostać Galię, niechże ją dostanie nietkniętą. Niech nie pali więcej miast, nie morduje ludzi. Próbowaliśmy ich pokonać, sami wiecie, że uczyniłem wszystko, co w mojej mocy. Nie udało się ani podstępem, ani w otwartej bitwie, ani w oblężeniu. A skoro przyjąłem z waszych rąk władzę

i przywództwo, muszę zapłacić cenę za ten przywilej.

Nie powiedział słów, które cisnęły mu się na usta: że przegrał tę bitwę w dużej mierze za sprawą swoich oddziałów, którym brak było dyscypliny i karności Rzymian. Gdyby wodzowie z plemienia Eduów tak nie parli do bitwy swego czasu, tylko pozwolili mu działać po swojemu, zapewne teraz Cezar siedziałby w Prowincji i zastanawiał się, jak odzyskać utracone tereny. Ale było za późno, a on pozwolił pchnąć się do błędu. Jedna nierozważna decyzja kosztowała go utratę pozycji, przegraną, a miała kosztować życie.

Trudno. Od dzieciństwa oswajał się ze śmiercią. W nemetonie Maerina codziennie wkładano mu do głowy, że dusza jest nieśmiertelna i odradza się ciągle i ciągle w nowych wcieleniach. W dolinie Scatah każdego dnia udowadniał sobie, że ciało to tylko powłoka, co prawda dość dobrze służąca w bitwie, ale będąca jedynie osłoną dla nieśmiertelnej duszy. Czy wstępując na ostrze miecza, był od śmierci dalej niż teraz, gdy podejmował swą ostatnią i najważniejszą decyzję?

Jorg pokiwał głową.

Tej nocy Galvan otrzymał odpowiedź na swoje pytania. O dziwo nie przyśniła mu się jednak Scatah ani nawet Uatah, ale jego córka. Błękitne jak niebo oczy Aife spoglądały na niego spokojnie, pełne miłości i czegoś jeszcze, co bał się nazwać po imieniu. Była w tych oczach potęga, coś nieskończonego, nieuchwytnego, co widział już wcześniej.

Nie bój się. Przyjdę po ciebie.

Czy zrobiłem dobrze, Aife? Czy podjąłem słuszną decyzję?

Wiesz, że tak. Dokonałeś tego, o czym mówiła Scatah. Wypełniłeś przepowiednię. Bogowie są z ciebie dumni.

Ale przegrałem.

Nie wygrana była tu stawką. Zrobiłeś to, do czego zostałeś powołany.

I umrę za to.

Na twarzy Aife pojawił się uśmiech.

Boisz się śmierci, ale niepotrzebnie, bo ona i tak nadejdzie. A potem znowu i znowu. Ale twoim przeznaczeniem nie jest umrzeć dla chwały Cezara. Gdy przyjdzie czas, zrozumiesz, co znaczy życie za życie.

Co to znaczy?

Dowiesz się.

Galvan się obudził. Niebo jaśniało na wschodzie, delikatna luna zapowiadała piękny dzień, jeden z ostatnich dni lata. Nadszedł czas na wysłanie posłów. Wiedział, że dziś ma się rozstrzygnąć jego los, ostatecznie i nieodwołalnie, ale w przeciwieństwie do koszmarnych dni poprzedzających bitwę tym razem był całkowicie spokojny. Gdy Jorg odjechał do obozu Rzymian ze znakami poselskimi, Galvan zszedł do stajni, by oporządzić swego konia, po czym rozkazał przygotować swoją najlepszą szatę i rynsztunek bojowy.

Wiedział, jaka będzie odpowiedź Cezara.

Na wieść o przybyciu posła od Wercyngetoryksa Cezar stłumił uśmiech satysfakcji i przybrał możliwie najbardziej

obojętny i nieprzenikniony wyraz twarzy. Czekał na właśnie taką decyzję ze strony wodza Celtów i nie pomylił się w obliczeniach. Dobrze wiedział, że Wercyngetoryks nie będzie chciał narażać swojej armii, bo czuł się odpowiedzialny za tę rzeszę ludzi. Wystarczyło, że wygnał swoich z miasta i skazał na powolne umieranie z głodu i pragnienia. Cezar na tyle znał syna Geillis, by wiedzieć, że serce ma miękkie i jest z natury dobrym człowiekiem.

Niestety na ten luksus niewielu mogło sobie pozwolić. Cezar z miękkim sercem i dobrocią rozstał się dawno temu, bodajże na pokładzie statku, na którym przetrzymywali go piraci, o ile nie jeszcze wcześniej, gdy Sulla skazał go zaocznie na śmierć i kazał sobie przynieść jego głowę. Nie wiadomo, jakim cudem ówczesny dyktator zmienił w ostatniej chwili wyrok z kary śmierci na wygnanie. Trzydzieści lat minęło od tamtej pory i teraz to Cezar, ten sam, który wówczas płynął w nieznane, decydował o życiu i śmierci innych ludzi. Doprawdy niezbadane są wyroki Fortuny.

Zwołał swoich legatów, Labienusa, Cycerona i Fabiusza, a także Marka Antoniusza i Decymusa Brutusa, by byli świadkami jego rozmowy z posłem. W namiocie wodza zjawił się również Hircjusz, który miał za zadanie sporządzić stosowną notatkę. Wiedziony zdrowym rozsądkiem, Cezar odesłał Gwynn do namiotu legatów, by nie była obecna przy rozmowach. Nie chciał, żeby widok galijskiej branki, w dodatku ciężarnej, wpłynął na zachowanie posła ani żeby doniósł on o tym fakcie Wercyngetoryksowi.

Na widok posła Labienus zacisnął mocniej szczękę. Do namiotu wszedł nie kto inny jak Jorg, zbieg, niegdyś wojownik Ariowista, potem niewolnik jego córki, któremu Labienus kazał żyć. Potężny, wysoki, o jasnych włosach i mocnych rysach twarzy, obojętnym wzrokiem przesunął po obliczach obecnych.

- Cezarze - odezwał się nienaganną łaciną, którą opanował doskonale po latach spędzonych w rzymskim obozie. - Przynoszę poselstwo od Wercyngetoryksa. Czy chcesz mnie wysłuchać?

Labienus zgrzytnął zębami. Na twarzy Jorga odmalowało się coś nieokreślonego, coś między strachem a nienawiścią. Cezar nie miał najmniejszych wątpliwości, że gdyby nadarzyła się okazja, ci dwaj starliby się w walce na śmierć i życie, ale wystarczyło jedno jego spojrzenie skierowane na Labienusa, by legat uspokoił się całkowicie.

- Mów - zwrócił się do Jorga.

- Wercyngetoryks proponuje ci następujący układ - zaczął Jorg, ignorując fakt, że powinien zatytułować Cezara co najmniej imperatorem. - Podda Alezję, rozpuści armię i dobrowolnie odda się w twoje ręce. W zamian chce całkowitej łaski dla pokonanych. Nie splądrujesz miasta, nie zabijesz zakładników ani jeńców i nie będziesz mścił się na ludności za wzniesienie powstania.

Cień uśmiechu przemknął po twarzy Cezara, poza tym nieprzeniknionej. Nigdy nie wątpił w szlachetne intencje Wercyngetoryksa ani w jego dumę i bezczelność. Nawet teraz gotów był się targować, stawiał na szali dobro swoich

ludzi.

- A co, jeśli Cezar odmówi? - zapytał głównie po to, by usłyszeć odpowiedź.

- Będziemy walczyć do końca - odparł Jorg, patrząc Cezarowi prosto w oczy.

Z zaciśniętych ust Labienusa wydobyło się syknięcie, ale legat panował nad sobą w godny podziwu sposób.

Cezar patrzył na germańskiego wojownika w milczeniu. A więc Wercyngetoryks po tych wszystkich problemach, jakich mu przysporzył, teraz chce pokoju i łaski? Nie dla siebie, rzecz jasna - dla tych wszystkich niewiniątek, które za sobą pociągnął. Tak, bierze całą winę na siebie, bo zawrócił w głowie naczelnikom innych plemion, a oni jak te owce poszli za nim na pewną śmierć. Naobiecywał im sukcesów, pokonania niepokonanej armii, zwycięstwa nad Cezarem, a skoro nie spełnił obietnic, niczym przewodnik stada pójdzie w paszczę wilka i nasyci go na tyle, by przestał interesować się pozostałymi ofiarami. Sprytne, bardzo sprytne i wyrachowane.

Z drugiej strony jednak było to szlachetne posunięcie. Ostatecznie to on był winien - on i banda druidów, którzy nawkładali mu do głowy rewolucyjne idee. I ta przeklęta rudowłosa wiedźma, która na szczęście już nie żyła. Podburzyli go, jednego z najlepszych żołnierzy Cezara, przekonali, że bunt i wojna są jedyną drogą do osiągnięcia sukcesu i wyzwolenia Galii spod jarzma rzymskiego. Jakoś dotychczas nie przeszkadzała im obecność Rzymian. Aż do ukarania Akkona, które okazało się iskrą zapalną.

No cóż, prawdę mówiąc, Cezar musiał się liczyć z takim obrotem spraw. Pokonanie krnąbrnych Galów przyszło mu swego czasu zbyt łatwo. Ale też mało brakowało, a przez Wercyngetoryksa straciłby wszystko – dumę, prestiż, wojsko, władzę, wpływy, stanowisko, a nawet życie. W razie porażki w powstaniu Senat niechybnie by go odwołał ze stanowiska namiestnika, a gdyby odmówił, równałoby się to zdradzie stanu i Cezar stałby się wyjętym spod prawa rebeliantem. I za to wszystko miałby się przychylić do prośby Wercyngetoryksa, zamkniętego w Alezji, dwukrotnie pokonanego, upokorzonego i nic nieznaczącego w obecnej sytuacji?

Nie, źle myślał. Wercyngetoryks nadal się liczył, nadal miał znaczenie, a kto wie, czy nie jeszcze większe zyskał teraz, dobrowolnie składając się w ofierze. Galowie uwielbiali dramatyzm i heroizm, a wódz umierający za swój lud stanowił symbol męstwa, okrywał się chwałą i Cezar wcale by się nie zdziwił, gdyby zaraz zaczęto o nim śpiewać pieśni i stawiać mu pomniki.

Tylko że Cezar musiał myśleć praktycznie. Jeśli zgodzi się na warunki Wercyngetoryksa i odstąpi od zemsty, zapewni sobie większy szacunek, niż gdyby przystąpił do rzezi. Przede wszystkim jednak zagwarantuje sobie spokój. Z naczelnikami policzy się w stosownym momencie, w taki czy inny sposób odpłaci im za zdradę. Ale teraz musiał zakończyć to żałosne powstanie, uporządkować sprawy w Galii, zreorganizować swoją armię i oddelegować legiony na zimowe leża porozrzucane w krajach, w których

najbardziej obstawano za powstaniem. Nadciągała jesień, należało zatroszczyć się o własne dobro, a poza tym doprowadzenie do ładu sytuacji wśród plemion będzie wymagało czasu i energii. Nie mógł jej marnować teraz na wymierzanie sprawiedliwości.

Ani nie mógł sobie pozwolić na dokonywanie rzezi na niewinnych cywilach. To byłoby największą bezmyślnością i zrodziłoby kolejny bunt. Nie, Wercyngetoryks nie był taki głupi, musiał aż nazbyt dobrze rozumieć sytuację Cezara i proponując mu siebie w zamian za swoje wojsko, dawał mu również możliwość wyjścia z twarzą z całej tej niewygodnej sytuacji.

- Czy wspominał o swojej żonie? - zapytał mimochodem.

- Nie było o niej mowy - odparł Jorg obojętnym tonem.

Cezar wstał.

- Powiedz Wercyngetoryksowi, że przyjmuję jego warunki. Przyjmę jego kapitulację. Jeżeli odda się w moje ręce, oszczędzę wodzów powstania, nie ukarzę winnych, okażę łaskę armii sprzymierzeńców i nie pozwolę na splądrowanie jakiejkolwiek wioski. Żaden Gal nie straci życia, żaden mężczyzna, kobieta czy dziecko.

Jorg spoglądał w twarz człowieka, w którego obozie spędził najgorsze lata swego życia. Ta twarz była nieprzenikniona, ale Germanin wiedział, że pod maską obojętności i chłodu Cezar skrywa prawdziwe uczucia. Teraz też tak było, Jorg domyślał się tylko, jak wielką chęć zemsty i odwetu Cezar przykrył obojętnością.

- Przysięgnij, Cezarze - zażądał. - Przysięgnij na Wenus,

na założycielkę twego rodu. Wiem, że taka przysięga będzie cię zobowiązywać i że jej nie złamiesz.

Wzrok Cezara stał się chłodny, ale prokonsul posłusznie podniósł rękę i wyrzekł słowa przysięgi.

- Czy mogę odejść, by przekazać twoje słowa Wercyngetoryksowi?

- Idź.

Posłaniec odwrócił się bez słowa. Cezar widział, jak Germanin zagryza wargi do krwi. Stało się, żaden z nich nie miał już wyboru. Związała ich decyzja, odpowiedzialność i przysięga.

Gdy Jorg opuścił namiot, Labienus poderwał się ze swego miejsca.

- Nie chcę kwestionować twoich decyzji, Cezarze... - zaczął.

- Więc lepiej tego nie rób - przerwał mu zirytowany prokonsul, który teraz dopiero pozwolił sobie na okazanie owej irytacji.

- ...ale nie rozumiem, jak mogłeś przyjąć tak idiotyczne warunki - skończył niezrażony Labienus. - Moglibyśmy ich zmiażdżyć, pokonać i pozabijać wszystkich prowodyrów.

- Tak? - Cezar zmrużył oczy ze złości. - I co by ci to dało? Rozlew krwi, to cię uszczęśliwia? Wybiłbyś całą ich armię? A co, jeśli sprowadziliby więcej posiłków? Gdyby przyszła cała Galia? Nie zapominaj, że ci tutaj to tylko część wszystkich plemion. A gdybyśmy nawet i ich pokonali, to co dalej? Ruszylibyśmy na wsie i miasta, zdewastowali wszystko i spalili najważniejsze ośrodki? To by było dobre twoim

zdaniem? I co nam by przyszło z tej przeklętej wojny, skoro nie mielibyśmy czym rządzić? Sprzedałbyś całą Galię do niewoli czy wyrznął plemię po plemienu?

Labienuś warknął jak rozwścieczony pies.

- Nauczyłbym ich moresu - wycedził.

- Jesteś wściekły, bo temu chłopakowi udało się zabić Adair i zbiec - zauważył Cezar. - Jeżeli uda ci się go kiedyś zabić, zrób to, nie będę ci przeszkadzał, ale nie możesz pozwolić, by twoja wściekłość przesłoniła ci rozum. Więcej osiągniemy, okazując łaskę pokonanym.

- Ty i twoja łaska! - prychnął Labienus. - Jakoś sławetnym piratom nie okazałeś podobnej łaski.

- Nie porównuj jednego z drugim - syknął Cezar. Każdy inny legat na dźwięk tego syku podkuliłby ogon, bo Cezar nieczęsto okazywał gniew. - Tamto było sprawą osobistą, to jest polityka. Ci ludzie zrobili to, co uważali za słuszne, i gdyby wygrali wczorajszą bitwę, zapewne zastanawialiby się, co zrobić z nami. Niekiedy okazanie łagodności ma o wiele bardziej dalekosiężne skutki niż okrucieństwo. Zapamiętaj to sobie. A teraz idźcie przygotować miejsce na palisadzie, chcę zobaczyć, jak wielki wódz Galów okazuje mi hołd i oddaje się w moje ręce.

Ostatecznie zasłużyłem na to - dokończył w duchu, chociaż wcale nie odczuwał należytej satysfakcji.

Labienuś bez słowa opuścił namiot, podobnie jak reszta legatów. Wyszli w milczeniu, rozważając słowa Cezara. On zaś ukrył twarz w dłoniach i po raz pierwszy od śmierci Julii zapłakał, ale był to gorzki płacz, w którym kryły się zarówno

ulga, jak i żal. Ulga, że skończył się czas trwogi i niepewności, żal, że on musi zakończyć to wszystko w taki, a nie inny sposób.

W południe otwarto bramy Alezji. Cezar siedział na umocnieniach w swoim czerwonym płaszczu imperatora i czekał ze stoickim spokojem, chociaż serce tłukło się mu w piersi. Z obleżonego miasta na oczach zgromadzonego wojska rzymskiego i zebranej po drugiej stronie muru wielkiej celtyckiej armii wyjechał samotny jeździec na białym koniu. Cezar poznał wierzchowca, był to hiszpański ogier, którego Wercyngetoryks otrzymał swego czasu za zasługi.

Wódz Arvernów i król wszystkich Galów jechał w pełnym rynsztunku bojowym. Miał na sobie ciemnoczerwoną tunikę, zdobioną misternie i wykończoną w kunsztowny sposób, bufiaste galijskie spodnie i długie buty. Na ramiona narzucony miał płaszcz, który spinała na piersi złota fibula. Na szyi lśnił złoty torkwes, oznaka władzy i godności. Przedramiona ozdobił złotymi bransoletami. Na tunikę przywdział kuty pancerz, nagolenniki na nogach połyskiwały z daleka w pełnym słońcu. Złociste włosy miał rozpuszczone, tak że powiewały za nim w galopie, upodabniając go do bóstwa wojny.

Ale Wercyngetoryks nie jechał na wojnę. Jechał się poddać, ofiarować wrogowi w zamian za swój lud. W jednej ręce trzymał okrągłą tarczę, drugą pewnie dzierżył wodze. Zdawał się tworzyć całość ze swym wierzchowcem, dosiadał go z widoczną wprawą, z gracją niemającą sobie równej

nawet wśród germańskich jeźdźców.

Zbliżywszy się do Cezara, Wercyngetoryks trzykrotnie okrążył palisadę. Rzymski wódz wiedział, że jest to zarówno wyraz hołdu, jak i sposób zaprezentowania własnej dumy. Wercyngetoryks przyjechał jako wolny człowiek i jako taki nieprzymuszenie szedł do rzymskiego obozu, oddając się pod władzę Cezara. Po trzecim okrążeniu zsiadł z konia i podszedł do prokonsula.

Przez nieskończenie długą chwilę obaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy.

Cezar powrócił myślami do tamtego dnia w Rzymie, kiedy młody Celt przyprowadził do niego Julię. Jakże kręte są drogi ludzkie na tym świecie. Czy patrząc wtedy na młodą, rozpromienioną twarz jasnowłosego chłopaka, mógłby pomyśleć, że za piętnaście lat będzie decydował o jego losie?

Na ustach Wercyngetoryksa błąkał się uśmiech ni to drwiny, ni to goryczy. Z jego spojrzenia biła ironia.

A potem wódz Celtów upadł na kolana przed rzymskim imperatorem i pochylił głowę.

Żaden legionista nie kwapił się, by go pojmać. Wercyngetoryks trwał w tej pozycji dłuższą chwilę, spokojnie, cierpliwie, czekając na rozwój wypadków. Wreszcie Cezar kiwnął na swoją straż przyboczną, która ująwszy Wercyngetoryksa pod ramiona, dźwignęła go na nogi. Legioniści zabrali mu miecz i tarczę, ale kiedy chcieli zdjąć z szyi torkwes, Cezar uniósł rękę.

- Nie - odezwał się. - Ten człowiek jest wodzem Galów i jako taki trafia w niewolę Cezara. Niech nikt nie waży się

odebrać mu symbolu władzy, który jest jego własnością.

Jakiś cień przemknął przez oblicze Wercyngetoryksa.

Cezar kiwnął ręką i straż zabrała Celta do namiotu, który od tej pory miał się stać jego więzieniem. Gdy jeńiec został wyprowadzony z placu, Cezar odczekał chwilę, po czym ciężko podniósł się ze swego miejsca. Po raz pierwszy w życiu odczuł brzemie swych lat, chociaż nie był jeszcze stary. Ogarnęło go znużenie na myśl o czekających go zadaniach, a przede wszystkim o rozmowie ze swoim jeńcem. Tyle był mu winien – rozmowę.

W głębi duszy Cezar doskonale wiedział, że wiąże go z Wercyngetoryksem znacznie więcej, niżby sam pragnął. Idąc na rozmowę z nim, myślał o Geillis, która przyszła do niego z własnej woli. O Gwynn, która przebywała w jego obozie. Jak będzie mógł spojrzeć im w oczy po tym, czego zamierzał dokonać?

Czego musiał dokonać?

Nie, nie chciał teraz o tym myśleć.

Wercyngetoryks siedział spokojnie w namiocie, który mu przydzielono, pilnowany przez dwóch strażników. Cezar wszedł do środka z nieprzyjemnym uczuciem, które jednak zaraz minęło. Spojrzał w twarz swego więźnia i poczuł smutek. Oblicze Wercyngetoryksa było znużone i pełne rezygnacji, siedzący w namiocie człowiek w niczym nie przypominał tego dumnego wojownika sprzed paru chwil. Łamiąc zasady, Cezar usiadł naprzeciwko niego. Zwykle rozmawiał ze swymi jeńcami na stojąco, ale tego dnia i on był zmęczony.

- A zatem skończone - odezwał się Wercyngetoryks, zanim Cezar zdążył wymyślić, jak zagaic rozmowę. - Dostałeś to, po co tu przybyłeś.

Prokonsul uważnie patrzył w oczy swego do niedawna największego przeciwnika. Pomyślał z pewną goryczą, że wódz Arwernów i władca Celtów ma ledwie trzydzieści lat, a kiedy on sam był w jego wieku, dopiero rozpoczął karierę polityczną. Żyła wtedy Kornelia, co prawda zaczynała już chorować, ale Cezarowi w owym czasie do głowy nie przyszło, że będzie któregoś dnia siedział w obozie wojskowym, dzierżąc imperium nad całą ogromną Galią.

- Sam to zacząłeś - stwierdził. - Wiedziałeś od początku, po co tu przyjechałem, a jednak nie stanąłeś mi wcześniej na drodze.

- Zrobiłem to, kiedy nadszedł czas - odparł enigmatycznie jeniec. - Każdy z nas wypełnił swoje przeznaczenie. Ale ty jeszcze nie skończyłeś, przed tobą dalsza droga.

Cezar przypomniał sobie, że kiedyś umierający kapitan piratów przepowiedział mu okrutną śmierć, ale szybko odegnał te myśli.

- No cóż, twoja droga, jak na razie, zaprowadzi cię do Rzymu - powiedział sucho. - Zostaniesz moim specjalnym jeńcem. Weźmiesz udział w moim triumfie, który zapewne odbędzie się wiosną. Do tego czasu będziesz przebywał w moim domu pod nadzorem straży. I raczej nie myśl o ucieczce, o ile nie chcesz skończyć na krzyżu.

- Myślę, że uduszenie po triumfie jest jednak lepszą

formą śmierci. – Wercyngetoryks roześmiał się sucho.

Cezar spojrzał na niego spod oka.

– Ponieważ twoja obecność tutaj w najbliższym czasie będzie dla mnie niewygodna, zostaniesz odesłany do Rzymu wraz z najbliższym konwojem, jeszcze przed nastaniem zimy – poinformował Wercyngetoryksa spokojnie. – Jak sądzę, przybędę tam wiosną przyszłego roku, po oficjalnym zakończeniu sprawowania funkcji namiestnika Galii.

Pogrążył się na moment w ponurych myślach. Polityka w Rzymie nie przedstawiała się dla niego najkorzystniej. Został mu jeszcze rok namiestnictwa, a potem zapewne wezwą go do Rzymu obowiązki. Przez ten czas musiał uporządkować sprawy tutaj, w Galii. Później będzie okazja, żeby martwić się kwestią Wercyngetoryksa.

Ale Cezar nie chciał, żeby ten człowiek przez cały rok gnił w rzymskim więzieniu razem z najgorszymi mętami. To też był mu winien – zapewnić normalne, ludzkie warunki bytowania.

Był mu winien coś jeszcze.

Wstał, podszedł do jednego ze strażników i wyszeptał mu do ucha rozkazy. Wercyngetoryks patrzył na to wszystko obojętnie, wyraz twarzy mu się nie zmienił aż do momentu, kiedy do namiotu weszła kobieta ubrana na modłę rzymską. Chociaż miała na sobie stołę, rzymski płaszcz, a włosy uczesane jak Rzymianka, natychmiast rozpoznał w niej swoją żonę. Nie bacząc na obecność Cezara, wstał ze swego miejsca i chciał do niej podejść, ale został zatrzymany przez drugiego strażnika.

Cezar nieznacznie kiwnął głową.

- Gwynn! - szepnął.

Cezar poczuł skurcz serca, kiedy uświadomił sobie, jak przepełniony miłością był głos Wercyngetoryksa.

- Galvanie! - jęknęła Gwynn. - Na Eponę, nie zabił cię!

Rzuciła mu się na szyję, nie zwracając większej uwagi na rzymskiego wodza. Z jej piersi wydobywało się urywane łkanie, kiedy tuliła się do swego męża, o którym nie wiedziała do tej pory, czy jeszcze żyje. Dopiero teraz dotarło do niej, w jak wielkim napięciu żyła, wysłuchując odgłosów bitwy, a potem widząc posła jadącego do Cezara. Nie wiedziała, co się dzieje, nie miała żadnych informacji, a Cezar, zbyt zajęty swoimi sprawami, nie chciał jej o niczym powiedzieć albo zwyczajnie nie miał na to czasu.

- Co ci zrobili? - zapytała, odsuwając się od męża i ujmując jego twarz w dłonie.

Był zmęczony, widziała cienie pod jego oczami, twarz była wymizerowana po tygodniach niedojadania, wyczerpanie wyrzeźbiło głębokie zmarszczki wokół ust i na czole, ale to był wciąż Galvan, jedyny mężczyzna, którego kochała.

- Jeszcze nic - odparł cicho. - Nie wiem, co on chce mi zrobić. Na razie odesłać do Rzymu.

- Do Rzymu! - wykrzyknęła. - Po co?

- Żebym wziął udział w jego triumfie. - Galvan zaśmiał się sucho.

- A potem?

„Jeżeli urodzisz mi syna, zrobię wszystko, o co mnie

poprosisz”.

Zacisnęła powieki.

- Gwynn, nie smuć się - szepnął jej do ucha. Objęła go mocno za szyję i przyłgnęła do niego całym ciałem. - To było moje powołanie, moje przeznaczenie, nie uniknąłbym tego. Zrobiłem to, co musiałem.

- To, czego żądała od ciebie Scatah - wydusiła z siebie przez łzy. - A teraz za to zapłacisz.

- Każdy w końcu za wszystko płaci. To nieuniknione.

Gwynn nie chciała tego słuchać, ale wiedziała, że on ma rację. Wszystko, co robił, zmierzało do tego, co działo się teraz.

- A więc zjednoczyłeś plemiona tylko po to, by on przejął nad nimi władzę - stwierdziła ponuro.

- Widocznie tak musiało być.

Cezar wstał.

- Twoja żona zostanie tutaj do czasu rozwiązania - oznajmił. - Poślę po twoją matkę lub po jej matkę, jeżeli będzie tego chciała. Jest zbyt niespokojnie i niebezpiecznie, by w tym stanie podróżowała do Gergowii.

Tak, tyle Galvan rozumiał. Cezar miał niewątpliwie rację.

- A potem? - zapytał.

- Kiedy urodzi dziecko i dojdzie do siebie, odeślę ją do domu - odparł Cezar. - I nie musisz się bać, nikt nie wyrządzi jej żadnej krzywdy.

Galvan spojrzał mu prosto w oczy.

- A nasza umowa?

- Ja dotrzymuję przysięg - powiedział Cezar z godnością.

- Obawiam się tylko, że twoi ludzie nie dotrzymają przysięgi, którą złożyłeś w ich imieniu.

Tak - pomyślał Galvan smutno. - *To całkiem możliwe. Ale nie ja będę temu winien.*

Dwa dni później wielki konwój niewolników, jeńców i wszelakich zdobyczy z Alezji został odesłany do Rzymu. Wcześniej Cezar spotkał się z przywódcami powstania, w tym z Kommiuszem, i ustalił warunki kapitulacji. Wielka armia została bez szwanku odprawiona do domu, nikomu włos z głowy nie spadł. Oddział z Alezji został rozpuszczony, wojownicy w milczeniu odjeżdżali do swoich siedzib. Wercyngetoryks patrzył na to wszystko z palisady, gdyż Cezar pozwolił mu w taki sposób pożegnać się ze swoimi oddziałami, z ludźmi, którzy dla niego i na jego słowo gotowi byli oddać własne życie. Mieszkańców miasta, których wypędzono podczas oblężenia, spalono razem z poległymi w boju, ci zaś, którzy jakimś cudem przeżyli, zostali odesłani do miasta, gdzie zapewniono im żywność. Cezar wypełniał swoją część umowy.

Gdy konwój odjeżdżał, Gwynn stała na palisadzie i bez jednej łzy spoglądała na południowy wschód. Jej oczy pozostały suche, ale serce krwawiło, a w ciele pulsował tępy ból. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy swego męża. Mogła mieć tylko nadzieję, bo pamiętała sen, który śniła jako młoda dziewczyna, gdy go ujrzała po raz pierwszy. Jechał na swym białym koniu, zakuty w kajdany, ale zachowując królewską postawę. Czekala go długa, mozolna podróż przez Alpy, przez nizinę Padu, przez bagna i lasy,

przez kamieniste rzymskie trakty, do więzienia w Rzymie, w jednej z rezydencji Cezara, gdzie miał być pilnowany dzień i noc, zanim pójdzie jako ozdoba triumfu, jako symbol utraconej galijskiej wolności.

Patrzyła na to wszystko pogrążona w bólu i tęsknocie, ale wiedziała, że gdyby miała jeszcze raz wybrać swoje życie, nie zmieniłaby ani jednej rzeczy, i gdyby Galvan raz jeszcze poprosił ją o rękę, zgodziłaby się bez wahania.

- Do zobaczenia - szepnęła. - Przyjadę po ciebie i razem wrócimy do domu.

Owładnęła nią pewność, że tak się stanie, i dziwny spokój ogarnął jej umysł. Miała nowy cel w życiu i wiedziała, że nie ustąpi, dopóki go nie osiągnie. I nikt, nawet Cezar, nie przeszkodzi jej w jego realizacji.

- Odnajdę cię - powiedziała.

Ostatni legionista zakręcił za wzniesieniem i równina znowu stała się pusta. Gwynn z ciężkim sercem zeszła z palisady, ale kiedy wracała do namiotu Cezara, w jej oczach lśniła determinacja i coś jeszcze, jakiś migotliwy nieuchwytny płomień, którego nic nie było w stanie zgasić.

Wkrótce po święcie Samhain przyszedł jej czas.

Cezar dotrzymał obietnicy, do obozu rzymskiego sprowadzono Evar, matkę Gwynn. Dwa miesiące, które minęły od bitwy pod Alezją do dnia narodzin dziecka, Cezar spędził na porządkowaniu spraw nieposłusznych plemion. Przybywały do niego poselstwa, arystokracja usiłowała na nowo wkupić się w jego łaski, skoro tylko okazało się, że

odzyskał dawną pozycję, a nawet ją umocnił. I tylko szeptano o buncie w kraju Karnutów i o fermencie w mieście Uksellodunum. O ile Cezar się nie mylił, należało szybko podjąć działania w kraju Biturygów i Karnutów, gdzie działali ci przekłeci, siejący zamęt druidzi. Jednym z nich, naczelnym, zdaje się, był brat Wercyngetoryksa, Celitllognatos. I to zapewne on podburzał resztę, pragnąc wziąć odwet za swego brata.

Ale na razie sprawy wyższej rangi trzymały Cezara w Alezji, do której wreszcie wkroczył. W ostatnich tygodniach ciąży Gwynn nie czuła się zbyt dobrze, nie było mowy o jeździe konno, a kiedy jesień nastała w pełni – nawet o podróżowaniu wozem. Cezar kazał swemu greckiemu lekarzowi zbadać ciężarną, ale medyk oznajmił, że nic złego się nie dzieje i że zły stan zdrowia ma swoje podłoże w psychice. Temu ostatniemu Cezar nie mógł się dziwić.

Na widok matki Gwynn rozplakała się jak dziecko. Dopiero teraz dotarło do niej, w jakim napięciu żyła przez ostatni czas.

- Już dobrze – powtarzała Evar, tuląc córkę. - Jestem przy tobie, nic złego ci się nie stanie.

Już się stało – pomyślała Gwynn, ale jedyne, na co ją było stać, to jeszcze mocniej przyłgnąć do matki.

Evar po raz pierwszy była w takim miejscu, chociaż samo miasto nie robiło na niej wrażenia. To wszechobecni legionieści sprawiali, że czuła się nie jak we własnym kraju, ale w jakimś zupełnie obcym miejscu. Cezar przydzielił im kwaterę, po czym kazał zostawić je w spokoju. Codziennie

dostarczano im rację żywności i dbano o wygody Gwynn, ale matka i córka mogły cieszyć się całkowitą swobodą, a nawet, gdyby chciały, mogły odjechać z Alezji. Stan Gwynn jednak nie pozwalał na to. Miała tak opuchnięte nogi, że z trudem poruszała się po izbie, co dopiero mówić o dłuższych spacerach. Wychodziła na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego jesiennego powietrza, ale widać było, że te przechadzki sprawiają jej ból i męczą ją ogromnie.

Gwynn opowiedziała matce o wydarzeniach ostatnich miesięcy, a Evar słuchała z przerażeniem na twarzy. Rzecz jasna do Gergowii dotarły informacje, przywiózł je sam Brennus, ale czym innym było o tym usłyszeć, czym innym zaś to przeżyć. I Evar nie była dwukrotnie branką Cezara, nie przeszła przez piekło Avaricum, nie uciekała samotnie z rzymskiego obozu.

I nie nosiła w sobie dziecka Rzymianina.

- Masz całkowitą pewność, że to jego dziecko? - zapytała Evar córkę któregoś dnia.

- Mam niestety - odparła Gwynn ponuro. - I pamiętam, jak rodziłam bliźnięta, co mi powiedziała Scatah. Czworo dzieci, troje Galvana. Wtedy gotowa byłam się śmiać. Dzisiaj wiem, co mi chciała powiedzieć.

Evar pokiwała w zamyśleniu głową.

Gwynn dowiedziała się też, że Uatah została pochowana na wyspie Sein, nie zaś w swojej dolinie. Jej córka, Aife, również udała się na Sein, by tam kontynuować naukę. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by kapłanka zginęła na wojnie, zostawiając niewyszkoloną do końca córkę. Nad jej nauką

miał czuwać Celtillognatos, ale ci, którzy mieli do czynienia z tajemniczą córką Wercyngetoryksa, twierdzili, że jest ona dziwna, jakby nie z tego świata. I mówiąc o niej, drżeli ze strachu, tak samo jak ongiś przed jej babką i matką.

Geillis została sama w Gergowii, kiedy Gwynn trafiła do obozu rzymskiego. Wiedziała, że jej syn został pojmany, i przyjęła to do wiadomości ze spokojem i godnością. Tak, Gwynn na tyle знаła swoją teściową, by wiedzieć, że Geillis nigdy nie pokaże nikomu swych łez. Będzie je wylewać w ciemności sypialni, będzie gryźć pięści, by nie krzyczeć z rozpaczy, ale na zewnątrz obnosić będzie spokojną twarz.

Tak minęły cztery tygodnie do rozwiązania, a im bliżej było Samhain, tym bardziej niespokojna stawała się Gwynn.

- Nie możesz się zadręczać myśleniem o nim teraz - strofowała ją matka. - Najważniejsze jest, byś wydała na świat dziecko i sama przeżyła. Galvan póki co jest potrzebny Cezarowi i włos mu z głowy nie spadnie, zapewniam cię.

- Tak, a potem? - zapytała Gwynn ze złością. - Potem już nie będzie potrzebny.

- Do tego czasu coś wymyślimy - uspokajała ją Evar. - Nie zapominaj, że twój mąż nadal ma sojuszników. Ma braci i kuzynów. Ma ciebie, mnie i Rutena. Ma swoją matkę, która posiada wpływ na Cezara. I ma swoją córkę - dodała po chwili, jakby w zamyśleniu.

Gwynn pokiwała głową. Tak, to też wiedziała.

Bóle chwyciły ją nad ranem, czym się bynajmniej nie zdziwiła. Była przygotowana do narodzin dziecka od dnia, kiedy poczuła, że jej brzuch się obniża, a dziecko zastyga

w niej nieruchomo. Obróciło się już jakiś czas temu, główka boleśnie wrzynała się w jej spojenie łonowe. W nocy nie mogła spać, w dzień dręczyły ją coraz bardziej dokuczliwe bóle. Kiedy wreszcie nadszedł dzień porodu, niemal odetchnęła z ulgą, choć wiedziała, że najgorsze dopiero przed nią.

Do tej pory rodziła w otoczeniu kobiet, ale kiedy Cezar dowiedział się, że przychodzi na świat jego dziecko, przysłał swojego osobistego medyka. Pod jego nadzorem, pod opieką Evar i przy pomocy kobiet z Alezji Gwynn powoli wydawała na świat nowego człowieka. Przychodziło jej to o tyle trudniej, że znajdowała się w obcym otoczeniu, wśród nieznanymi twarzą, a jej głowa zaprzątnięta była myślami o Galvanie. Zajęło jej to całe przedpołudnie, ale kiedy słońce stanęło w zenicie, dziecko wypadło z niej nagle w fontannie wody i krwi, prosto w nadstawione ręce greckiego lekarza.

Uniósł noworodka wysoko i klepnął w pośladki. Malec zachłysnął się, po czym wypełnił izbę swoim krzykiem. Dziecko, syn, potomek Cezara, niewątpliwie żyło i oznajmiało ten bolesny fakt głośnym wrzaskiem.

Gwynn odetchnęła.

„Jeżeli urodzisz syna...”

Urodziła.

Do domu wszedł Cezar. Gwynn nie wiedziała, że od świtu snuł się po całym obozie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca i po raz pierwszy chyba tracąc swoje słynne opanowanie. Żołnierze szeptali między sobą, że ich wódz musi być niespełna rozumu, skoro tak się przejmuje narodzinami

bękarta z jakiejś galijskiej branki, ale on udawał, że tego nie słyszy, bo musiałby pól legionu posłać na chłostę albo gorzej. Gdy dowiedział się, że już po wszystkim, czym prędzej podążył do kwatery, w której mieszkały Gwynn i Evar. Usiłował zachować dostojny krok, ale w rzeczywistości gnał tam jak młodzieniec na pierwsze spotkanie z heterą.

Ruchem ręki odprawił wszystkich oprócz lekarza i matki Gwynn.

- Chłopiec jest zdrowy, Cezarze - poinformował go medyk po grecku. - Ma wszystko na swoim miejscu - dodał z krzywym uśmiechem. - I ma twoje oczy.

Cezar nie skomentował tej wypowiedzi, ale na widok noworodka ssącego piersi matki ogarnęło go trudne do sprecyzowania uczucie. Gwynn była już oporzędzona na tyle, ile można, a przynajmniej zdjęto z niej przesiąknięte krwią suknie i włożono czyste ubranie.

- Twój syn, Cezarze - szepnęła spierzchniętymi ustami.

Odjęła malca od piersi i podała mu. Cezar niezgrabnie wziął swego syna na ręce, chociaż wiedział, jak postępować z dziećmi, bo trzymał przecież swego siostrzanego wnuka. Pomyślał, że Julię zobaczył po raz pierwszy, gdy miała trzy lub cztery lata i była rozkoszną czarnowłosą dziewczynką. Nieznane ciepło rozlewało mu się w piersi, kiedy patrzył na maleństwo, które natychmiast zamknęło paluszki wokół jego palca.

Dziecko uchyliło powieki i nieporadnie szukało punktu zaczepienia. Cezar spojrzał w oczy swemu synowi i stwierdził, że medyk mówił prawdę. Tęczówki malca miały

taki sam kolor jak jego oczy.

- Mój - wyszeptał. - Mój syn.

Niewiele było chwil w jego życiu, kiedy mógł pozwolić sobie na luksus całkowitego, niczym niezmałconego szczęścia. Nawet jeśli wiedział, że wkrótce będzie musiał odesłać to dziecko wraz z matką i być może nigdy go już nie zobaczy, to w tym momencie nie chciał o tym myśleć. Dane mu było raz w życiu trzymać na rękach własnego potomka, dziecko jego krwi, o którym miał całkowitą pewność, że powstało z jego nasienia, z kobiety o wysokiej pozycji wśród swoich rodaków, nie zaś bękartą jakiejś obozowej dziwki, której twarzy nazajutrz nie pamiętał. To uczucie warte było wszystkich późniejszych łez, tęsknoty i rozmyślania.

Jedna chwila, która mogła zaważyć o życiu wielu ludzi.

- Proś - zwrócił się do Gwynn. - Obiecałem ci, że gdy urodzisz mi syna, spełnię twoją prośbę. Więc proś, Gwynn, i zrób to mądrze.

Gwynn spojrzała mu prosto w oczy. Wiedział, co za chwilę powie.

- Panie - szepnęła. - Gdy nadejdzie czas, oszczędź życie Wercyngetoryksa. Wiem, że możesz to uczynić. Za jego życie ofiaruję ci to tutaj, które trzymasz w rękach. Gdy chłopiec będzie odpowiednio duży, przyjadę z nim do ciebie, by rósł u twego boku, nawet jeśli nie będziesz mógł go uznać za swego. Oddam ci go, Cezarze, i nigdy się o niego nie upomnę.

Przez upiornie długą chwilę czarne oczy Cezara przewiercały jej duszę. Trzymał jej dziecko w ramionach, tak

jak dzierzył w swych silnych rękach życie innych, niewolników, żołnierzy, obywateli rzymskich. Wiedziała, że wedle rzymskiego kodeksu miał nad swoim synem prawo życia i śmierci. Jeśli Gwynn odda dziecko, nigdy go już nie zobaczy, Cezar wychowa je według swoich zasad, może nawet kiedyś zaadoptuje, a chociaż nie uzna, chłopiec będzie prawnie i legalnie należał do niego. Taka była cena za życie Galvana. Gwynn odda Cezarowi to, co wcześniej było jego, co od niego pochodziło i do niego należało.

- Niech będzie. - Skinął głową. - Twój mąż będzie żył, jeśli ty wypełnisz swoją obietnicę.

Gwynn schyliła głowę. O nic więcej nie mogła prosić.

Niedługo potem nadszedł czas powrotu do domu. Gdy tylko doszła do zdrowia na tyle, by mogła podróżować, poprosiła o pozwolenie na wyjazd z Alezji.

- Spiesz ci się - stwierdził Cezar, któremu w rzeczy samej również zaczynało zależeć na czasie. - Chcesz jak najszybciej wrócić do domu.

- Chcę zdążyć przed zimą - przyznała. - Mam jeszcze troje innych dzieci, Cezarze, które nie widziały matki od wielu miesięcy.

Od roku - dodała w myślach. - *Od czasu, kiedy Galvan odesłał mnie do Avaricum, sądząc, że tam będę bezpieczna.* Poprzednią zimą spędziła właśnie tam, podczas gdy on przygotowywał się do wojny najpierw u Uatah, a potem w kraju Karnutów. Rok temu wszyscy żyli nadzieją, teraz nie pozostało im nic poza brutalną rzeczywistością.

- Jakie imię chcesz nadać dziecku? - zapytał Cezar, zmieniając temat.

- Sądzę, że ty powinienes to uczynić - odparła spokojnie.
- To twój syn i ty masz prawo nadać mu imię.

Pomyślała, że wyrzeczenie się syna nie będzie tak straszną sprawą, skoro i tak musiałby zostać oddany do adopcji po skończeniu trzech lat. Różnica polegała na tym, że pozostałych dwóch synów będzie mogła widywać, odwiedzać i wiedzieć, że jest im dobrze. Jednak również w Rzymie syn po skończeniu siódmego roku życia nieoficjalnie, ale jednak, przechodził spod troskliwych skrzydeł matki pod opiekę ojca, który go wprowadzał krok po kroku w męski świat aż do momentu przywdziania męskiej togi.

- Nie mogę tego uczynić. - Cezar uśmiechnął się z bólem. - Chociaż ja go spłodziłem, oficjalnie jest synem Wercyngetoryksa i należy do plemienia Arwernów. Jeżeli nawet któregoś dnia adoptuję go lub włączę do gens Iulia, będzie nadal Galem z Gergowii. Musiałbym nadać mu obywatelstwo, a to się nie obejdzie bez tłumaczenia Senatowi powodów, dla których chcę to zrobić.

Gwynn pokiwała głową. Zapomniała, że w Rzymie Cezar nie jest jedynowładcą, imperatorem dowodzącym armią, ale jednym z wielu mężów stanu, byłym konsulem, który, podobnie jak inni senatorowie i politycy, jest kontrolowany przez Senat i trybunów.

- W takim razie ja dam mu imię - orzekła. - Będzie się nazywał Conn, tak jak mój dziadek, a kiedy ty go weźmiesz, dasz mu imię, jakie uznasz za stosowne.

Cezar patrzył na matkę i dziecko wzrokiem, w którym mogła kryć się czułość. Dręczyła go myśl, że wszystko musi się odbywać w taki sposób, że nie mógł mieć synów z Kornelią, z Kalpurnią czy nawet z tą przeklętą Pompeją, z którą nie łączyło go nic prócz polityki i łoża. Nie miał synów z Serwilią ani z żadną ze swoich rzymskich kochanek. Jak na ironię syna urodziła mu galijska nałożnica, w dodatku żona jego największego jak dotąd przeciwnika. A on wyznaczył na swego następcę wnuka własnej siostry i dobrze wiedział, co by się stało, gdyby ten pędrak śpiący w ramionach Gwynn znalazł się nagle w Rzymie jako jego prawowity potomek. Już Atia zatroszczyłaby się, by to dziecko nie pożyło zbyt długo.

Wiedziona instynktem, Gwynn ostrożnie podała mu syna, a on przytulił dziecko do piersi. Chociaż spędzili ze sobą wiele nocy, Gwynn nie posądzałaby tego twardego wojownika, wodza, imperatora o czułość w stosunku do niemowląt. Ale uczucie Cezara do nieślubnego syna brało się z innych źródeł. Był to jego pierwszy potomek płci męskiej, pierwsze dziecko, jakie przyszło na świat za jego sprawą od chwili narodzin Julii. Dziwne było dla niego znowu poczuć się ojcem, chociaż na krótką, ulotną chwilę. I jakkolwiek wiedział, że żadne dziecko nie zajmie w jego sercu miejsca zmarłej córki, radością napełniał go fakt, że pozostawi po sobie nie tylko podbite kraje i zniewolone narody, ale również syna, dziecko, człowieka, część samego siebie.

- Będzie, jak chcesz, Gwynn - odezwał się po chwili. - Powiedz tylko, kiedy chcesz wyruszyć. Ty i twoja matka

dostaniecie eskortę aż do Gergowii. I osobiście się zatroszczę, by nikt nie utrudniał wam w przyszłości życia. A kiedy chłopiec wejdzie w odpowiedni wiek, przyjedziesz do Rzymu.

- Przyjadę - potaknęła Gwynn.

Cezar zdjął z palca sygnet, którym zwykle pieczętował listy.

- Jeżeli mnie tam nie zastaniesz, pokażesz mojemu legatowi ten pierścień - przykazał. - Kimkolwiek będzie ten człowiek, otrzymasz od niego wszelką pomoc i spełnienie mojej obietnicy.

Włożył jej sygnet do ręki i zacisnął pięść.

- Gwynn, gdyby mogło być inaczej, na pewno oszczędziłbym ci bólu, łez i zmartwień - powiedział cicho. - Ale nie mogę zmienić losu, ani mojego, ani twojego.

- Wiem, Cezarze - szepnęła. - Ale ja nie żałuję tego, co się stało. W każdym razie cieszę się, że nie rozstajemy się jako wrogowie.

Spojrzenie czarnych oczu było nieprzeniknione.

- Nie. Nie jako wrogowie - przyznał.

Jako sojusznicy - dodał w duchu. - Związani moją przysięgą i twoim zobowiązaniem. I nie może być inaczej, bo ty i ja należymy do różnych światów, a nawet gdyby udało nam się zbudować most nad dzielącą nas przepaścią, to i tak każde z nas ma już wytyczony los i ustalone więzi.

A jednak - pomyślał - szkoda, że spotkałem cię tak późno i w takich okolicznościach.

Oddał jej dziecko, po czym przyciągnął do siebie

i delikatnie pocałował, a ona oddała pocałunek z mieszaniną wdzięczności, czułości i żalu.

Kilka dni później wóz, na którym znajdowały się Gwynn z dzieckiem oraz jej matka, załadowany prowiantem, zapasami na zimę i częścią łupów z Alezji, odjechał w kierunku kraju Arwernów. W deszczu spadających złocistych liści, w jesiennej ciszy, ze skrzypieniem oddalał się coraz bardziej. Towarzyszyła mu eskorta złożona z sześciu legionistów. Cezar zadbał o to, by jego syn wraz ze swoją matką bezpiecznie dotarli do domu.

Nie wyszedł na palisadę, by spojrzeć w ślad za nimi. Wiedział, że to rozdarłoby mu serce, a nie mógł sobie pozwolić na tego rodzaju uczucia. Czekala go dalsza wojna, co prawda ograniczona do lokalnych zamieszek, ale musiał przede wszystkim uporządkować sprawy w kraju Biturygów. Nie wiedział, czym zająć umysł. Przez kilka chwil snuł się po pustej kwaterze w namiocie, usiłując nie myśleć, że jeszcze dziś rano mógł wziąć swego syna w ramiona, dotknąć go i cieszyć się jego widokiem. Nie sądził, że dziecko przypadkowej kobiety rozbudzi w nim takie uczucia.

W końcu przywołał Hircjusza i kazał mu stawić się z notatkami z wojny. Odebrał tabliczki uporządkowane chronologicznie, przejrzał je, po czym usiadł za stołem i zabrał się do pisania.

„Galia est omnis divisa in partes tres, quarum unam incolunt Belgae, aliam Aquitani, tertiam, qui ipsorum lingua Celtae, nostra Galli apellantur”.

Uśmiechnął się zadowolony. Tak, to było dobre zajęcie,

by odwrócić myśli od bolesnych spraw i raz a dobrze spisać historię ośmioletniej kampanii, dzięki której zdobył Galię.

- Zrobiłem to - szepnął. - Kornelio, gdziekolwiek jesteś, możesz być ze mnie dumna.

XI

Już czas.

Te słowa rozbrzmiały w głowie Celtillognatosa, kiedy obudził się wczesnowiosennego poranka w nemetonie w Gergowii. Po upadku ostatniego bastionu druidów w kraju Karnutów, Uksellodunum, po tym, jak wyszło święte źródło i jak Cezar ostatecznie podbił Galię, główny nemeton przestał istnieć. Został zniszczony, wszystkich mężczyzn, druidów czy nie, walczących w ostatnim powstańczym zrywie okaleczono, obcinając prawą rękę, a druidom zakazano odprawiać rytuały i w ogóle zajmować się kultem, ale Celitllognatos zdołał wcześniej zbiec i uchronił się przed gorzkim losem innych.

Nie żeby czuł się dumny z tego powodu, ale wiedział, że robi dobrze, bo prawa ręka jeszcze mu się przyda. Cezar z legionami odszedł w końcu za Alpy, gdzie czekała go rozprawa z Senatem i z Pompejuszem. Celtillognatos miał swoich szpiegów, śledził losy imperatora i orientował się w sytuacji na tyle, by wiedzieć, że po podbiciu Galii Cezar

wrócił do Rzymu, a w drodze został sprowokowany i niemal oskarżony o zdradę stanu przez swoich politycznych wrogów. Przez dwa lata toczył wojnę domową najpierw z Pompejuszem, który został haniebnie zdradzony u wybrzeży Egiptu, a jego głowę przyniesiono Cezarowi w koszu, potem zaś z jego zwolennikami, tak zwanymi republikanami, którzy chcieli zachować istniejący w Rzymie *status quo*.

Ostatecznie wygrał wszystkie wojny i wyszedł zwycięsko z bratobójczych bitew, a obecnie objął w Rzymie niepodzielne rządy jako dyktator. Ponieważ w międzyczasie jego uwagę przykuła królowa Egiptu, z którą miał syna, czujny wzrok imperatora odwrócił się nieco od spraw galijskich, a chociaż legiony nadal tu stacjonowały i wszędzie panoszyli się rzymscy żołnierze i urzędnicy, życie nie było takie złe, jak to się mogło wydawać. Panował ogólny spokój, ludzie dochodzili do równowagi po niemal dziesięcioletniej okupacji, o ile można posłużyć się tym określeniem. Sześć lat po klęsce pod Alezją i pięć po upadku ostatniej celtyckiej twierdzy Galia odżywała, podnosiła się z ruin, leczyła rany, życie toczyło się swoim torem. Legioniści, legaci i trybuni nie pamiętali, że nie wolno uprawiać druidyzmu, a nawet jeśli pamiętali, nie chciało im się interweniować za każdym razem, toteż wiara celtycka kwitła sobie w najlepsze, a chociaż główny religijny ośrodek został zniszczony i na wszelki wypadek go nie odbudowano, Celtillognatos przeniósł się do Gergowii, gdzie służył również wsparciem swojej bratowej, która po uwięzieniu Wercyngetoryksa żyła

w stanie podobnym do wdowieństwa.

Zapewne gdyby chciała, mogłaby sobie wziąć kochanka i nikt nie miałby jej tego za złe, ale ona uparcie obstawała przy swoim, nie godząc się na żadnego pocieszyciela. Wychowywała dzieci, córkę i najmłodszego syna, bo starsi przebywali już na naukach u druidów. Drust liczył sobie czternaście lat i w przyszłym roku miał się udać do doliny Scatah, jak nadal określano to miejsce. Celtillognatos wiedział jednak, że obecnie nie ma tam nikogo, kto pełniłby funkcję najwyższej kapłanki, bo Aife w tym roku kończyła nauki na Sein.

Już czas.

Tak. Świadomość znaczenia tych słów uderzyła go nagle jak piorun z nieba. Za długo siedział beczynn timer, pozbawiony swej duchowej siostry, którą była Uatah, przestał zwracać uwagę na sny. Tymczasem Aife musiała być już gotowa do opuszczenia wyspy. A on miał być tym, który ją sprowadzi do Gergowii.

O dziwo pomyślał o rodzinnym mieście, nie o dolinie, do której zapewne musiała się prędzej czy później udać.

Po śniadaniu, wiedziony niezwykłą chęcią odwiedzenia swej szwagierki, Celtillognatos wybrał się do wielkiego domostwa Wercyngetoryksa, w którym teraz rządziły same kobiety. Brennus ożenił się i zajął mniejsze domostwo, pomagał Gwynn i Geillis w prowadzeniu domu, zyskał też tytuł naczelnika miasta po swoim ojcu Celtyllusie, ale wydawało się, że ta godność została mu tylko pożyczona. Ludzie po domach, po szynkach, po targowiskach wzdychali,

powtarzając imię Wercyngetoryksa. Po sześciu latach jawił się on jako bohater, nawet jeśli w końcu poniósł klęskę. Dokonał jednak niemożliwego i teraz Galia stanowiła jedność, kraje podzielono na Prowincje, ale nie dochodziło do niesnasek między sąsiednimi plemionami, już rzymscy legionieści pilnowali porządku.

Zastał Gwynn na podwórzu, nadzorującą pierwsze wiosenne porządki. Należało opróżnić spichrze po zimie, przejrzeć zapasy i oczyścić pomieszczenia, zanim zacznie się gromadzenie nowych zapasów.

- Witaj, Gwynn - pozdrowił ją. - Pomyślałem, że odwiedzę cię dzisiaj.

Gdy się do niego odwróciła, uderzyła go jej uroda, która nie przemijała pomimo wieku. Gwynn tego roku kończyła trzydzieści dwa lata, ale nie postarzała się, raczej dojrzała, zmieniała w pełną uroku, świadomą swego piękna kobietę. Najmłodszy syn, Conn, czarnowłosa i czarnooki, plątał się u jej stóp. Wbrew panującym obyczajom Gwynn nie oddała go do adopcji, tłumacząc się tym, że jego ojciec przebywa w rzymskiej niewoli i nie jest jej sprawą decydować o takich rzeczach. Niewielu ludzi wiedziało, jak się sprawy mają z Connem. Celtillognatos nie musiał pytać, wystarczyło, że spojrzał na chłopca, na jego twarz będącą kopią poważnego, surowego oblicza Cezara, na jego oliwkową skórę, na czarne przenikliwie patrzące oczy, by wiedzieć, kto go spłodził.

- Nie miewasz zazwyczaj takich myśli, Celtillognatosie - zauważyła Gwynn trzeźwo. - Co się stało?

Brat Galvana westchnął ciężko. Niewiele spraw dało się

ukryć przed bystrym wzrokiem Gwynn.

- Muszę udać się na Sein. Nadszedł czas, żeby sprowadzić Aife do domu.

- Aife! - Gwynn się wyprostowała. - Nie słyszałam o niej od sześciu lat.

- Nic dziwnego - stwierdził druid. - Przebywała na Sein. Ale teraz sprowadzę ją do Gergowii.

- Do Gergowii? - zdumiała się. - Czy nie powinieneś jej odesłać do doliny Scatah?

- Nie wiem, Gwynn - mruknął Celtillognatos, wyraźnie zmieszany. - Może i powinienem, jak mówisz, ale coś każe mi sprowadzić ją tutaj.

Gwynn milczała przez chwilę. Wiosenny wiatr rozwiewał jej włosy, odgarnęła je niecierpliwym ruchem. Spłynęło na nią dziwne uczucie niepokoju, oczekiwania, jakby coś miało się wkrótce wydarzyć.

Wiedziała, co to takiego.

Przez ostatnie sześć lat żyła z dnia na dzień, wychowywała dzieci, zajmowała się gospodarstwem, byle tylko nie myśleć o tym, co się wydarzyło w Alezji. Jednak cokolwiek robiła, jej myśli wracały uparcie do tamtych wydarzeń, tak jak język wraca do złamanego zęba. W ciągu dnia miała dość zajęć, ale kiedy kładła się do pustego, zimnego łóża, które kiedyś dzieliła z Galvanem, potok myśli nie dawał jej zasnąć.

Wspominała. Myślała. Analizowała. Planowała.

Nie znajdowała wyjścia z sytuacji.

Co miesiąc chciała jechać do Rzymu, ale informatorzy nie

mieli dla niej pomyslnych wieści. Cezar wciąż zajęty był wojną, to w Italii, to w Grecji, to znowu w Egipcie, to w Poncie, to w Afryce. O większości tych krajów Gwynn nie miała pojęcia, w jej mniemaniu był to koniec świata. Regularnie wysyłała Jorga na przeszpiegi, a on skrupulatnie wypełniał polecenia, stając się kimś w rodzaju zaufanego człowieka Gwynn. I to on właśnie przynosił najświeższe informacje. Teraz miał wracać z Italii, więc oczekiwała jego przyjazdu dosłownie lada dzień.

Spojrzała w oczy Celtillognatosowi, wytrzymał jej spojrzenie. On także rozumiał.

- Jedź - powiedziała cicho. - I przywieź ją.

Kiwnął głową.

- Przygotuj się do drogi - polecił.

Po twarzy Gwynn przebiegł cień uśmiechu. Już dawno była gotowa. Czekala tylko na właściwą chwilę i oto nadeszła. Gwynn nie miała co do tego wątpliwości.

Łódź z Sein sunęła cicho po spokojnej tafli morza. Tak cicho, że stojący na brzegu Celtillognatos miał wrażenie, że barka frunie nad wodą. Wiosła bezgłośnie zanurzały się w wodzie, poruszane silnymi pociągnięciami ramion. Milczący wiosłarze wieźli jedną tylko osobę, która w białym stroju kapłanki siedziała na przygotowanym dla niej miejscu.

Gdy Celtillognatos ostatni raz widział swą bratanicę i zarazem siostrzenicę, była ona jedenastoletnią dziewczynką, która dopiero zapowiadała się na piękną kobietę. Pamiętał, jak odjeżdżał z nią na Sein, jak bez lęku

wsiadała do łodzi z ciałem swej matki. Nie musiał niczego tłumaczyć, jej oczy były wszechwiedzące, a spojrzenie przenikało jego duszę na wylot. Już wtedy budziła lęk, bo miała w sobie coś nieskończonego, przepełniona była siłą, która zdawała się trwać w uśpieniu i czekać na wyzwolenie. Przypomniawszy sobie, że to samo dotyczyło jej babki Scatah, Uatah pozbawiona była tego demonizmu.

Łódź przybiła do brzegu i jeden z wiosłarzy pomógł kobiecie wyjść na plażę. Dziewczyna pewnie i mocno ujęła jego rękę i zwinnym ruchem, aczkolwiek niepozbawionym gracji, przeskoczyła przez burtę. Na moment uniosła ręce w geście błogosławieństwa nad głową wiosłarza, który pochylił się z szacunkiem, po czym odwróciła się i podeszła do Celtillognatosa.

Jej uroda była wprost uderzająca.

Odziedziczyła po swoich rodzicach to, co najlepsze. W przeciwieństwie do matki i babki nie była ruda, jej blond włosy miały intensywnie złoty kolor, przypominający kłosa dojrzałego zboża. Jej oczy były tak głęboko błękitne, że wydawało się to wręcz niemożliwe, przywodziły na myśl jesiennie niebo na tle czerwonych liści. Ale uroda Aife naznaczona była raczej tchnieniem zimy aniżeli ciepłem jesieni. W jej pięknych oczach panował chłód, chociaż uśmiechała się promiennie do swego wuja, krocząc ku niemu po wilgotnym piasku.

Celtillognatos zadrżał. Bał się jej.

Co za idiotyzm – pomyślał. – Bać się siedemnastoletniej dziewczyny!

Była podobna do swego ojca, miała jego rysy twarzy, zarys nosa, ust, czoła, kolor oczu, nawet uśmiech. Galvan nigdy w życiu nie mógłby się jej wyprzeć, stanowiła żywe świadectwo jego ojcostwa.

- Witaj, Aife - odezwał się niepewnie i chciał ugiąć przed nią nogi, ale bratanica powstrzymała go przed tym, chwytając za ramiona.

- Nie będziemy tutaj odprawiać ceremonii, wuju - powiedziała dźwięcznym głosem. - Dziękuję, że po mnie przyjechałeś. Samotna kobieta aż nadto przyciąga do siebie kłopoty.

Celtillognatos pomyślał cokolwiek bluźnierczo, że kto jak kto, ale ona z pewnością bez większych problemów poradziłaby sobie z największymi kłopotami. Jej uśmiech był drapieżny, spojrzenie wyzywające, a cała postawa mówiła o ogromnej fizycznej sile. Domyślał się, że jej ubranie skrywa doskonale wyćwiczone, umięśnione ciało.

- Czeka nas długa droga do Gergowii - oznajmił zamiast odpowiedzi. - Przygotowałem wszystko, co trzeba na trzy dni jazdy.

- Doskonale - pochwaliła. - Wiedziałam, że na tobie można polegać.

Zwinnie dosiadła konia i po chwili ruszyli różnym kłusem. W ciągu ostatnich lat krajobraz zaczął się zmieniać. Zamiast polnych dróg pojawiały się ubite kamienne trakty, które wznosili Rzymianie. Wojska w czasie pokoju lub przynajmniej zawieszenia broni zajmowały się budownictwem, by nie wyjść z wprawy i nie gnuśnieć na

Prowincjach. Dlatego teraz zamiast piaszczystą drogą jechali brukowanym gościńcem.

- Dużo się tu zmieniło pod moją nieobecność - zauważyła Aife. - Co jak co, ale drogi ci Rzymianie robią dobre.

Celtillognatos powstrzymał się od komentarza. Pamiętał upadek ostatniej twierdzy i długi korowód mężczyzn czekających na utratę dłoni. Rzymscy rzeźnicy, jak ich nazwał wówczas w myślach, odrąbywali wojownikom prawice niemal taśmowo, a kręcące się wokół psy co i raz chwyciły okrwawione kończyny. On sam oglądał to z bezpiecznego miejsca, przebrany za zwykłego wieśniaka. Byłby również stracił rękę, gdyby intuicja nie kazała mu umknąć wcześniej. Z jednej strony palił go wstyd, z drugiej odczuwał niewymowną ulgę.

Aife poprawiła się w siodle. Nie odezwała się więcej, ale Celtillognatos wiedział, że ona doskonale zna jego myśli, jego gorycz i budzącą się właśnie nadzieję. Musiało tak być, bo podjechała do niego i uspokajającym gestem położyła mu rękę na ramieniu. Miał wrażenie, że tysiące igieł przeniknęło jego ciało.

- Zaufaj mi - odezwała się cicho. - Wszystko będzie dobrze.

Spojrzał jej w oczy i utonął w ich błękicie. Migotały jak morze, rozlewały się szeroko jak górskie jezioro. Pochłaniały go bez reszty. Tak, była niebezpieczna, i to bardzo.

Resztę drogi tego dnia pokonali w milczeniu. Celtillognatos bał się myśleć i oddychać w jej obecności, a jednak po jakimś czasie rozluźnił się i pozwolił myślom

swobodnie popłynąć w eter. Aife raz po raz posyłała mu uważne spojrzenie, ale powstrzymywała się od jakichkolwiek komentarzy. Nie musiała nic mówić, dobrze wyczuwał rodzące się między nimi porozumienie, coś na kształt duchowej więzi.

Kim ona była? Albo może czym?

Nie chciał wiedzieć.

Jazda z wybrzeża do Gergowii zajęła im trzy dni. Im dalej na południowy wschód się posuwali, tym wyraźniejsza i pełniejsza stawała się wiosna. Drzewa okryły się delikatną zielenią, jabłonie i wiśnie obsypane były białym kwieciami, powietrze pachniało słodyczą, a przyroda wokół budziła się do życia po zimowym śnie. Celtillognatos musiał stwierdzić, że kimkolwiek by się wydawała, Aife była przede wszystkim młodą dziewczyną i stosownie do swego wieku radowała się wiosną, słońcem i ciepłem. Uśmiechała się szeroko, jakby zapominając o powadze kapłanki. Tym uśmiechem i jakąś wewnętrzną radością różniła się od swej poważnej, smutnej matki i od budzącej grozę babki, niepozbawionej swoistego poczucia humoru. Uatah naznaczona była piętnem tragedii, jakby jej dusza została wypalona, a serce złamane po odejściu Galvana. Nigdy więcej nie zaznała szczęścia, ponad ten jeden wspólny rok i wcześniejsze lata jego pobytu w dolinie Scatah. Ta młoda dziewczyna z Sein, która teraz jechała u boku Celtillognatosa, miała przed sobą całe życie, możliwości i budzącą się potęgę. Jej nie przyszło żyć w epoce końca, ale na początku nowej ery. Ona była pochodnią rozświetlającą ciemności, nadzieją na przetrwanie,

zwiastunem nowej epoki.

Scatah i Uatah wiodły na wojnę, ku śmierci i zniszczeniu, Aife wzywała do życia.

A jednak na jej widok człowieka ogarniała trwoga i serce zamierało w piersi.

W Gergowii byli oczekiwani. Gwynn zadała sobie trud, by uhonorować przybycie zacnego gościa wystawną kolacją. Kazała na tę okazję zarznąć barana i wołu, toteż zapach pieczystego niósł się po całym dziedzińcu. Służba uwijała się jak w ukropie, gdyż była to pierwsza od wielu lat wystawna uczta, na którą mieli przybyć naczelnicy i ich zastępcy, ich żony i córki, by powitać nową kapłankę z Sein.

Na progu domu stała Geillis. Pomimo wieku nadal była piękna, chociaż jej twarz pokryły zmarszczki, a oczy zapadły się ze zmęczenia. Włosy miała teraz siwe, chociaż do prawdziwej starości było jej jeszcze daleko, niedawno skończyła pięćdziesiąt dwa lata. Nie, to nie starość rzeźbiła jej oblicze, lecz ból i zgryzota po stracie ukochanego syna czy może niepewność co do jego losów.

Aife zsiadła z konia i podeszła do swojej babki. Ku zdumieniu wszystkich kapłanka uklękła przed matką swego ojca i pochyliła głowę. Geillis wyciągnęła ręce nad swą wnuczką, mrucząc pod nosem słowa błogosławieństwa.

A potem podniosła dziewczynę z kolan i przyciągnęła do siebie. Gdy tuliła pierworodną Galvana, po jej twarzy płynęły łzy.

- Witaj w domu, dziecko - załkała. - Czekaliśmy na ciebie.

Uczta była wystawna jak za dawnych lat, kiedy władzę sprawował Celyllus, a po nim Wercyngetoryks. Mieszkańcy Gergowii również żyli z dnia na dzień i pochłonięci byli własnymi sprawami, dlatego tragedia z Wercyngetoryksem z czasem zeszła na dalszy plan. Wspominano go, rzecz jasna, pito za jego zdrowie i powrót, ale tak naprawdę nikt nie wierzył, że on jeszcze żyje. Stał się mitem, bohaterem, na wpół legendarną postacią z wojennych pieśni, chociaż od jego pojmania upłynęło sześć lat.

Gdy wzniesiono toasty za Wercyngetoryksa, Geillis ujrzała we wspomnieniach inną biesiadę i usłyszała inne toasty.

Uniosła wzrok i napotkała palące spojrzenie Aife. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

Przerażający był fakt, że to dziecko wie. Co do tego Geillis nie miała wątpliwości.

Ona, Gwynn i Geillis stanowiły wyspę w morzu podpitych mężczyzn. Trzy kobiety związane ze sobą przez jednego człowieka. Siedząc za biesiadnym stołem, nie musiały nic mówić, ich spojrzenia krzyżowały się raz po raz, a każda z nich wiedziała, że nadszedł czas działania po długim okresie wegetacji. I wszystkie trzy czekały, aż formalności i uprzejmości stanie się zadość, by mogły przystąpić do realizacji planu, który pojawił się w ich głowach.

Do omówienia go mogły przystąpić jednak dopiero nazajutrz, kiedy w domostwie panował chaos towarzyszący zwykle dniu po uczcie. Służba kręciła się, wynosząc brudne

naczynia i resztki, sprzątając salę biesiadną i wykonując wszystkie rutynowe czynności. Geillis, Gwynn i Aife wyszły na dziedziniec, jakby jakaś siła skierowała tam ich kroki. Przez chwilę patrzyły na siebie, po czym Geillis jako najstarsza zajęła miejsce na ławie i wskazała kobietom siedzenia obok siebie.

- Jorg wrócił przedwczoraj - oznajmiła Gwynn. - Mówi, że Cezar wrócił ze swych kampanii i latem odbędzie triumf. Będzie wielka feta, bo chce połączyć w jedno cztery zwycięstwa i poprowadzi w pochodzie jeńców zdobytych w czterech wojnach.

Aife uśmiechnęła się tym swoim promiennym uśmiechem młodej dziewczyny, tak niepasującym do godności kapłanki. Gwynn pomyślała przez chwilę, że córka Galvana jest strasznie młoda, ale zaraz przyszło otrzeźwienie. Czyż ona sama w tym wieku nie została wydana za męża? A Geillis? Czy nie miała już rocznego syna? Utah także w podobnym wieku przechodziła inicjację. To jej się wydaje, że Aife jest za młoda, bo ona sama tyle w życiu przeszła, chociaż daleko jej było do starości.

- Nie możemy jechać same - stwierdziła Geillis, a żadna z pozostałych kobiet nie zakwestionowała jej uczestnictwa w podróży.

- Nie pojedziemy same - odparła Aife. - Musi z nami jechać Jorg.

- Jorg? - zdumiała się Gwynn. - A do czego on jest tam potrzebny? Cezar z pewnością nie ucieszy się na jego widok.

Po twarzy Aife przebiegł cień, który diametralnie zmienił

oblicze młodej kobiety. Ukazało się całe jej straszliwe podobieństwo do Scatah, chociaż rysy twarzy należały do Galvana. To było upiorne, ale trwało tylko moment, jakby coś nieznanego, potężnego przesunęło się po jej postaci.

- Jorg i Wercyngetoryks złączeni są więzią, którą tylko śmierć jednego z nich może zerwać - odezwała się dziwnie głuchym głosem. - Jorg musi jechać. I on o tym wie, czekał na to.

- Dobrze - przerwała Geillis, najbardziej z nich praktyczna. - Jorg i kto jeszcze?

- Celtillognatos - odparła Aife, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. - Brennus i my. Więcej nie trzeba, im mniej nas będzie, tym później lepiej.

- I Conn - dodała Gwynn.

Aife spojrzała na nią uważnie.

- Tak. Conn. Danina dla Cezara.

Skąd to wiesz? - chciała zapytać Gwynn, ale ugryzła się w język. Oczy Aife lśniły niczym morska toń.

- On jest darem Cezara dla ciebie i twoim darem dla niego - powiedziała kapłanka. - Wasze losy również są związane. I Cezar wie, że zabijając Wercyngetoryksa, ściągnie na siebie klątwę krwi.

- A jednak to uczyni - mruknęła Gwynn posępnie. - Jeśli ja nie dotrzymam obietnicy.

- Gdy nadejdzie czas - przyznała Aife. - A czas właśnie nadchodzi.

Uśmiechnęła się do siebie. Gwynn i Geillis patrzyły na nią w milczącym przerażeniu, a może to było po prostu

zdumienie.

- Czasami bogowie żądają ofiary - mówiła kapłanka. - A czasami dają nagrodę. Moja babka złożyła siebie w ofierze na ołtarzu Disa, by dać Wercyngetoryksowi władzę. Moja matka oddała życie, aby mógł wypełnić swoje przeznaczenie. Ja jestem jego nagrodą za to, że ofiarował siebie, wypełniając ich wolę. Cezar złożył ci przysięgę, Gwynn. Ja jestem ręką jej dotrzymania.

- Jak chcesz to na nim wymusić? - zapytała Geillis. - Nie masz władzy nad Cezarem.

- Nie muszę niczego wymuszać, babko. - Aife się uśmiechnęła. - Nawet Cezar, a może zwłaszcza on, dotknięty jest ręką bogów i poczuje, kiedy bogowie upomną się o swoje prawa. Nikt nie składa przysięg na swoich bogów, jeśli nie chce ich wypełnić, bo wie, że gniew nieśmiertelnych jest straszny.

Było w jej uśmiechu coś zatrważającego, jakaś okrutna sprawiedliwość, niezachwiana słuszność, przed którą każdy musiał się ugiąć. Siedzące obok niej kobiety odniosły wrażenie, że wystarczyłoby, żeby wyciągnęła rękę, a każdy śmiertelnik oddałby jej to, co się należy. Bez szemrania, bez protestów, z psim posłuszeństwem.

- Przygotujcie się do drogi - poleciła. - Jeżeli chcemy być w Rzymie na czas, musimy wyruszyć wkrótce po Beltaine, gdy śniegi na alpejskich przełęczach stopnieją. Chyba że wolicie podróżować do Massalii i stamtąd płynąć statkiem.

- Nie. - Gwynn pokręciła głową. - Tak wrócimy.

Sama nie wiedziała, dlaczego wypowiedziała te słowa,

ale teraz decyzja zapadła. Gdy zastanawiała się nad tym później, musiała stwierdzić, że widziała w myślach siebie stojącą na deskach pokładu statku płynącego na północ. Ale wtedy, siedząc pod domem na drewnianej ławie, miała jedynie przelotne przeczucie, jakby przeznaczenie musnęło ją znowu koniuszkami palców.

Przygotowania do podróży poszły nadzwyczaj sprawnie, wkrótce po święcie Beltaine Gwynn stwierdziła, że wszystko jest gotowe. Mieli jechać krytym wozem, przynajmniej kobiety i Conn, podczas gdy mężczyźni podróżowaliby wierzchem. Ostatecznie Celtillognatos doszedł do wniosku, że trzech mężczyzn to za mało jak na taką wyprawę, i chciał zabrać ze sobą jednego z młodych wojowników, gdy nieoczekiwanie chęć odbycia podróży wyraził Ruten.

- Ojczy, nie możesz narażać się na takie trudy - stwierdziła Gwynn ostatniego dnia przed wyprawą. - Masz swoje lata na karku, a pamiętaj, że będziemy jechać przez tereny zajęte przez Rzymian.

Ruten roześmiał się tylko.

- O moją siwą głowę bynajmniej się nie lękam, Gwynn - odparł lekko. - Wiem, co na nas czyha po drodze, a tyle przynajmniej mogę dla ciebie zrobić, że będę cię ochraniał podczas podróży.

Nie dodał, że pożegna się w ten sposób z wnukiem. Wiedział, czym dzieckiem jest Conn i jakie jest jego przeznaczenie. Ubolewał nad tym faktem, a świadomość, że nie może wpłynąć na decyzję Gwynn, ciążyła mu niczym

kamień młyński u szyi.

Koniec końców Gwynn niechętnie wyraziła zgodę. Nie bardzo chciała, by jej dobiegający sześćdziesiątki ojciec podróżował z nimi przez alpejskie przełęcze albo jeszcze gorzej - liguryjską drogą wiodącą nad przepaściami. Skoro jednak się uparł, nie zamierzała mu się sprzeciwić.

Ostatniego wieczora postanowiła odbyć rozmowę z synem. Conn miał sześć lat i był dostatecznie duży, by wiedzieć, co się z nim stanie, ale matce serce się krajało na myśl, że ten piękny chłopiec zostanie zawieszony do Rzymu, gdzie jego życie będzie się diametralnie różnić od tego, które poznał. Do tej pory Conn wychowywany był jak każdy celtycki chłopiec, uczył się od dziecka władać mieczem i walczyć o należną mu pozycję. Przede wszystkim jednak w Gergowii był wolnym człowiekiem, w Rzymie zaś stanie się domownikiem Cezara o statusie półniewolnika, wyzwolenca lub w najlepszym przypadku wolnego obcokrajowca, co równało się zeru praw obywatelskich. Będzie zawieszony między swym pochodzeniem od matki i od ojca. Jako nieślubny syn Cezara mógłby się ubiegać o należną mu pozycję, ale jako potomek galijskiej kobiety nie będzie miał najmniejszego znaczenia wśród rzymskich rodów arystokratycznych.

Gwynn usiadła na skraju posłania swego najmłodszego syna.

- Conn, jutro jedziemy w daleką podróż - zaczęła niepewnie. - Ty pojedziesz z nami.

- Gdzie jedziemy, matko? - zapytał z zaciekawieniem

chłopiec.

- Do Rzymu. To bardzo daleko, będziemy jechać wiele dni przez góry i doliny, przez wielkie rzeki, a potem brzegiem morza aż do miasta.

W oczach dziecka zapaliły się iskierki.

- Poznasz tam swojego ojca, Conn - dodała Gwynn ze ściśniętym sercem.

- Mojego ojca? - powtórzył malec, szeroko otwierając oczy. - Ale mój ojciec jest bohaterem. To Wercyngetoryks, wszyscy tak mówią.

- Nie, synku. - Gwynn pokręciła głową, czując, że ciężar tej rozmowy ją przytłacza. - Twoim ojcem jest Cezar. Gdy wybuchła wielka wojna między naszymi plemionami a Rzymem, dostałam się do niewoli u Cezara. On się mną zajął i z tego związku narodziłeś się ty. Teraz nadszedł czas, byś pojechał do swego ojca i zamieszkał u niego na jakiś czas. A gdy dorośniesz, sam zdecydujesz, gdzie chcesz mieszkać.

Conn patrzył przed siebie czarnymi oczami, tak przerażająco podobnymi do oczu Cezara. Tak, był jego dzieckiem, w jego dziecięcej buzi uwidaczniały się twarde, surowe rysy twarzy rzymskiego imperatora. Oczy, brwi, nos, zarys kości policzkowych... Tylko usta odziedziczył po matce, były pełne i skore do uśmiechu.

- Czy on wie, że jestem jego synem? - zapytał po chwili.

- Wie. Ale nie mógł do ciebie przyjechać, bo prowadził wojnę daleko na wschodzie i południu. Teraz ujrzy cię po raz pierwszy od chwili narodzin.

- Ale to znaczy, że już nigdy nie zobaczę ciebie ani babci? - zapytał Conn żałośnie.

Gwynn przytuliła go do siebie i pogłaskała czarne lśniące włosy.

- Conn, wiesz przecież, że normalnie zostałbyś oddany do adopcji - powiedziała łagodnie. - Tak jak Galvan, jak twoi bracia, jak Drust, jak Brennus. Wszyscy chłopcy przez to przechodzą. A potem poszedłbyś do druidów, później do wojowniczek i gdy wróciłbyś do domu, byłbyś dorosłym mężczyzną. Tak jest i nie zmienisz tego, dziecko. Ty jesteś wyjątkowy, łączysz w sobie dwie kultury i teraz pojedziesz poznać tę drugą, której dotąd nie znałeś. A kiedy dorośniesz, wrócisz do mnie.

O ile będzie jeszcze do czego wracać - pomyślała ponuro.

Położyła synka z powrotem na posłanie i zaczęła nucić mu kołysankę. Nie robiła tego od dawna, ale teraz wiedziała, że robi to ostatni raz. Za kilka tygodni znajdą się w Rzymie i tam odda swoje dziecko jego ojcu. Przehandluje je zgodnie z obietnicą. Wiedziała, że musi to uczynić, a jednak jakaś lodowata dłoń ścisnęła jej serce na myśl o zostawieniu małego Conna jego własnemu losowi.

Życie za życie. Jakie to okrutne prawo!

Nie wiedziała jeszcze, że nie dotyczy ono wcale jej syna.

Swoją pierwszą podróż do Rzymu Gwynn zapamiętała jako coś nieskończenie fascynującego. Miała wówczas niewiele ponad szesnaście lat i jechała tam w towarzystwie Geillis i Gobannicjona, który handlował z Rzymianami. Była

zakochana w Galvanie, cierpiała katusze nieodwzajemnionej miłości i nie wiedziała jeszcze, że los połączy ją z nim na zawsze.

Aż do Alezji.

Świat wydawał się jej wówczas zupełnie inny. Teraz niewiele się zmieniło, w wioskach, które mijali, życie toczyło się tym samym torem, nawet szczyty Alp trwały w tym samym bezruchu, niezdobyte, błękitnawe, poszarpane. A jednak wszędzie widziała rzymskie wojsko, rzymskich obywateli skierowanych do Prowincji Galii, aby ją zasiedlać i romanizować, rzymskich urzędników wypełniających swoje obowiązki. To nie był już świat wolnych Celtów. Miała wrażenie, że ogląda świat nowej epoki, i myśl ta ją przerażała.

Niemniej dzięki rzymskim legionom patrolującym drogi podróż była o wiele bezpieczniejsza. Zatrzymywano ich kilkakrotnie, ale przezorna Geillis kazała załadować na wóz produkty na wymianę, tak że wyglądali zupełnie jak zwykli galijscy kupcy chcący w Rzymie sprzedać towary. Wieźli konwie z winem i miodem, sery, tkaniny i biżuterię. Trzy kobiety i dziecko w asyście mężczyzn nie wzbudzały podejrzeń.

Dzień za dniem podążali na południowy wschód, a potem przez Alpy ku przejezdnym przełęczom. Gwynn myślała, że szesnaście lat temu przełęcz te wydawały jej się niezdobyte. Teraz ledwo je widziała, pochłonięta myślami. Kobiety niewiele się do siebie odzywały, podróż mijała jej niemal w całkowitym milczeniu, ale z drugiej strony była boleśnie świadoma celu podróży. Było też coś innego, co wymuszało

milczenie, chociaż Gwynn bała się nazwać to po imieniu. Obecność Aife, która stwarzała pozory zwykłej młodej dziewczyny, a która napełniała dziwnym lękiem jej serce. Kapłanka zajęta była swoimi sprawami, nie zwracała na towarzyszki podróży większej uwagi poza tą, którą należało okazać. Była uprzejma, grzeczna i pogodna, ale coś w jej postaci sprawiało, że nawet Geillis czuła się nieswojo w obecności wnuczki.

I dziwne, niewymawialne porozumienie panowało między nią a Jorgiem. Gwynn wiele razy zwracała uwagę na ich niewerbalną więź, jakby jedno czytało drugiemu w myślach. Kilkakrotnie złapała Jorga na upartym, długim wpatrywaniu się w oczy Aife, zazwyczaj kiedy obozowali. Nie potrafiła tego wytłumaczyć i nie wiedziała, czy ma na to ochotę. Zupełnie, jakby nastolatka przykuwała go wzrokiem, a on był jej posłuszny.

Gdy karawana dotarła do Rzymu, stało się jasne, że miasto żyje oczekiwaniem na niezwykle wydarzenie. Gdy Gwynn była tu szesnaście lat temu, Rzym wydał jej się tętniącą życiem metropolią, ale teraz prezentował się jeszcze bardziej imponująco, być może ze względu na wznoszone i odbudowywane budowle. Niewiele wskazywało na to, że jeszcze dwa lata temu rozgrywała się tu wojna domowa. Na ulice wylewały się tłumy. Arystokratki niesione w lektykach pokrzykiwały na swoich niewolników, tragarze walczyli z objuczonymi zwierzętami w zbyt ciasnych zaułkach, urzędnicy w białych togach z purpurowym szlakiem na dole zmierzali na obrady lub do innych obowiązków, niewolnicy

różnorodnej maści przemykali wśród tłumu, załatwiając sprawy dla swoich panów. Kupcy głośno zachwalali swój towar. Straż miejska patrolowała roгатki. Kolory, zapachy, krzyki, wszystko przyciągało uwagę.

Dotarli do gospody, w której mieli zatrzymać się na czas pobytu. Gwynn poczuła znużenie na myśl o tym, co ją czeka.

- Jak się do niego dostaniemy? - zapytała Geillis, która była nie mniej znużona.

- Pójdziemy do jego domu i poprosimy o spotkanie - odparła Aife, jakby chodziło o najzwyklejszą rzecz na świecie.

- Przecież na pewno jest strzeżony przez pretorian - zauważył przytomnie Celtillgnatos. - Nie wpuszczą nas tak sobie.

Gwynn uśmiechnęła się niespodziewanie.

- Wpuścą - zapewniła. - Mam coś, co nam posłuży jako przepustka.

Wyjęła z sakiewki przytroczonej do paska sukni niewielki sygnet.

- Cezar dał mi to, kiedy przyszedł na świat Conn - powiedziała. - I przykazał posłużyć się nim, kiedy przyjadę do Rzymu. Tak mam zamiar zrobić. Nie będziemy czekać, aż zaanonsują do niego poselstwo Galów, bo poczekamy zapewne do Samhain. Dzisiaj jest za późno, ale jutro z samego rana udam się do niego razem z Geillis i Aife. Wy zostaniecie i sprzedacie towary, żebyśmy mogli wynająć miejsca na statku na podróż powrotną.

- Nie sądzisz chyba, Gwynn, że puszcę cię samą

w paszczę lwa – odezwał się Ruten.

- Otóż właśnie tak zrobisz – odparła córka. – Cezar mnie nie skrzywdzi. Żadnej z nas. Ani tym bardziej dziecka.

- I nikt nie zrobi krzywdy trzem kobietom, a obecność mężczyzny wyda się wszystkim wielce podejrzana – dodała roztropnie Geillis. – Jorg, ty pójdziesz na miasto i dowiesz się, gdzie on teraz mieszka. Zrobimy tak, jak mówi Gwynn. Jutro. Dziś odpoczniemy i nabierzemy sił.

Aife milczała. Na jej twarzy malował się przyprawiający o ciarki uśmiech, ale żadne z nich nie miało siły ani ochoty na domyślanie się jego znaczenia.

Jako żona Cezara Kalpurnia przeżyła niejedno upokorzenie, nie raz także musiała pod maską milczenia skrywać swe prawdziwe uczucia, ale nigdy jeszcze nie została tak dalece znieważona jak obecnie, kiedy do Rzymu przyjechała egipska królowa. Czym innym było posiadanie kochanek na Prowincjach, czym innym zaś sprowadzanie ich do stolicy, w dodatku na specjalne zaproszenie Senatu. I chociaż dwudziestotrzyletnia władczyni Egiptu przybyła jako gość Cezara, w majestacie królowej, chociaż zatrzymała się w willi Cezara na obrzeżach miasta, gdzie dzień w dzień gościli znamienici obywatele, to jednak wszyscy szeptali, że oto przybyła egipska konkubina dyktatora, co gorsza, matka jego nieślubnego syna, którego jednak się publicznie nie wyparł. Mówiono też, że Cezar dlatego tylko nie rozwiódł się z Kalpurnią i nie ożenił z Kleopatrą, że ta ostatnia nie była obywatelką rzymską.

Cezar nie zaprzeczał, że w czasie wojny domowej miał romans z Kleopatram. Kalpurnia nie chciała pytać, ale ponieważ plotki rozchodziły się w Rzymie w błyskawicznym tempie, któregoś dnia ośmieliła się zadać mu to pytanie.

Miała wrażenie, że w czasie tych niemal dziesięciu lat rozłąki oddalili się od siebie. Cezar szanował ją, rzecz jasna, jako swoją prawowitą małżonkę, ale traktował bardziej oficjalnie. Po śmierci Julii jakby zamknął się w sobie, nie okazywał uczuć, a w każdym razie o nich nie mówił. Ostatni raz wyznał jej miłość i tęsknotę, gdy przyjechała do niego na Prowincję. Gdy wrócił, wydawał się innym człowiekiem. Zresztą niewiele miał czasu na zabawy w pana domu, bo ledwie postawił stopę w Rzymie, a już musiał gnać dalej, za Pompejuszem, z którym prowadził otwartą już wojnę. Podobnie jak z połową Senatu. Teraz jednak grał o być albo nie być i Kalpurnia rozumiała, że jego egzystencja jest ważniejsza niż małżeństwo. Nie miała o to do niego pretensji. Skoro czekała na niego osiem lat, to poczeka jeszcze tych kilka miesięcy, tak przynajmniej sądziła.

Plotki o egipskiej królowej dotarły do Rzymu przed Cezarem. Gadali wszyscy: służba, niewolnicy, senatorowie, damy na salonach, plotkowano w teatrach i na igrzyskach, w koszarach, na targowiskach, gdzie tylko się dało. Był to niesłychany skandal, bo czym innym było branie kochanek wśród barbarzyńców i odsyłanie ich, kiedy ich rola dobiegła końca, czym innym zaś romansowanie z egipską królową, która mogła któregoś dnia stać się niebezpieczna dla Republiki, i afiszowanie się z tym związkiem, jakby to było

coś najzwyczajniejszego na świecie.

Na jej pytanie udzielił krótkiej odpowiedzi.

- Związek między mną a Kleopatrami to polityka, Kalpurnio - powiedział sucho. - Oboje dobrze o tym wiemy. I nie obawiaj się, nie mam zamiaru rozwodzić się z tobą. Jesteś i pozostaniesz panią tego domu.

Kalpurnia nie ośmieliła się pytać, co by było, gdyby Kleopatra jakimś cudem uzyskała obywatelstwo rzymskie. To było tak nierealne, jak podróż do Chin, więc dała sobie spokój z tą sprawą.

Tego ranka w przededniu wielkiego triumfu Cezara obudziła się z bólem głowy i niejasnym wspomnieniem snu, w którym widziała trzy kobiety i dziecko. Chłopiec był ciemnowłosy, o wyrazistych rysach twarzy i czarnych przenikliwych oczach. Kalpurni dawno już nie nawiedzały sny, ostatni raz obudziła się przerażona, kiedy śniła jej się głowa Pompejusza w wiklinowym koszu. I faktycznie Cezar powiedział jej później, że taki dar otrzymał na aleksandryjskim brzegu. Śniła raz jeszcze niespokojny sen, w którym widziała niemowlę w egzotycznym pałacu, i dowiedziała się potem, że Kleopatra urodziła syna Cezariona. To było jak plunięcie w twarz Kalpurni, ale na szczęście sam domniemany ojciec ani słowem nie skomentował narodzin potomka egipskiej królowej. U siebie, nad Nilem, mogła mówić, co chciała. Mogła oznajmić, że dziecko jest synem bogini Izydy i boga Ozyrysa, Amona, czy jak on się tam nazywał, ale w oczach Rzymian Cezarion pozostawał nieślubnym potomkiem, a zatem nieliczącym się

i nieistniejącym w oficjalnych spisach ludności.

Dzisiejszy ból głowy nie miał jednak nic wspólnego z Kleopatram i Cezarionem, którzy gościli w zatybrzańskiej willi Cezara. Po śniadaniu ogarnął ją niepokój, którego źródła nie umiała rozpoznać. Małżonek raczył towarzyszyć jej w jadalni, potem jednak udał się czym prędzej do Senatu, ale Kalpurnia wiedziała, dokąd tak naprawdę spieszy Cezar. Po porannych obradach miał zamiar udać się do swej kochanki i ich syna, to było więcej niż pewne. Do niej, prawowitej małżonki, przybędzie pewnie na kolację, by nie uchybić jej godności. I tak dzielił obowiązki między jedną a drugą kobietę. Kalpurnia zastanawiała się, jak długo to potrwa, zanim któraś mu się znudzi. Pamiętała, jak swego czasu romansował z Serwilią, jak jej to spędzało sen z powiek. Tyle tylko, że wtedy Serwilia miała nad nią znaczną przewagę. Była starsza, bardziej obeznana w polityce i *ars amandi*, podczas gdy Kalpurnia była świeżo upieczoną żoną, niewiele ponad dwudziestoletnią, nie miała wpływów ani znajomości, co najwyżej ojca, na którego przychylności zależało Cezarowi.

Uczucie przyszło później. Czy teraz się skończyło?

Cezar w pośpiechu udał się do swoich obowiązków, pozostawiając Kalpurnię samą. Mogła przyzwycząić się do samotności, wszak w taki sposób spędziła ostatnie dziesięć lat. Jako żona i nie żona, zostawiona sama sobie, podczas gdy on wojował w Galii. Co prawda raz na jakiś czas wzywał ją do siebie na Prowincję, a ona jechała uszczęśliwiona, że może się z nim spotkać. Spędzali razem kilka tygodni, po czym

Cezar wracał za Alpy, a ona – do Rzymu, z nadzieją, że może tym razem uda jej się wydać na świat jego potomka. Nadzieje kończyły się szybko. W ostatnich dwóch sezonach wojen w Galii Cezar nie posłał po nią ani razu.

Miała niedobre przeczucia tego ranka. W Rzymie panowała pełnia lata, było gorąco, żar lał się przez niedomknięte okiennice, przez dach w atrium. Nikt jednak nie ośmielił się wyjechać za miasto, bo jutro Cezar szykował swój triumf, na który ciężko pracował przez ostatnie dziesięć lat. Kalpurnia pamiętała jego złość, kiedy przed ponad dekadą musiał zrezygnować z triumfu na rzecz swej kandydatury na konsula. Postawił wówczas wszystko na jedną kartę i wygrał. Teraz odbije sobie z nawiązką tamto upokorzenie. Pokonał wszystkich swoich wrogów, niepodzielnie rządził Rzymem, otrzymał tytuł dyktatora, co prawda na czas określony, ale dopiął swego.

Z bólem serca pomyślała, że nadal go kocha. Tak samo jak wtedy, kiedy była młodą niedoświadczoną dziewczyną. I cierpiała, widząc, jak idzie w ramiona młodszej i piękniejszej kobiety, chociaż prawdę mówiąc, Kleopatrze daleko było do ideału piękności. Była niewysoka, o ciemnej skórze, wydatnym macedońskim nosie i dość pospolitych rysach twarzy. Ale miała w sobie coś, co nieodparcie kusilo mężczyzn. Jakiś urok, powab, roztaczała wokół siebie czar, któremu nie sposób było się oprzeć. Miała też inteligentne bystre oczy w kolorze jasnego brązu, migotliwe, zaskakująco czujne. Te oczy, okolone długimi czarnymi rzęsami, działały na mężczyzn niezawodnie. Padali przed nią jak muchy, nawet

Cycon, notabene, zakochany w czterdzieci lat młodszej od siebie dziewczynie, nie mógł wyjść z podziwu nad urokiem egipskiej królowej, choć oficjalnie nienawidził jej i grzmiał do wszystkich zainteresowanych, jakim węzem i jaką wiedźmą jest owa kobieta.

Kalpurnia uśmiechnęła się krzywo na myśl o ostatniej kolacji, którą jedli wszyscy wspólnie na cześć niezwykłego gościa. Cycon silił się na uprzejmość, a jednocześnie wyraźnie pozostawał pod urokiem Egipcjanki. Ta zaś była na tyle dobrze wychowana i taktowna, by tego nie zauważać. Jednak spojrzenia, jakie sobie posyłali z Cezarem, były jednoznaczne. Pewnie później śmiali się z tego w łóżu. Kalpurnia z bólem serca wspomniała czasy, kiedy Cezar śmiał się w ich wspólnym łóżu z nią.

Jej rozmyślania przerwał majordomus, który cokolwiek zdumiony przyszedł oznajmić, że do Cezara przybyli goście.

- Do Cezara? - zdziwiła się Kalpurnia. - O tej porze? Wszyscy wiedzą, że teraz jest w Senacie. Co to za jedni?

Niewolnik, ciemnooki Sycylijczyk, przestępował z nogi na nogę.

- Trzy galijskie kobiety i chłopiec, pani - poinformował.

Kalpurnia poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Zachwiała się i byłaby pewnie upadła, gdyby nie silna ręka majordomusa, który ją podtrzymał w ostatnim momencie.

- Galijski? - zdołała wykrztusić. - Do Cezara? Pewien jesteś?

- Jak tego, że słońce wstaje na wschodzie, pani - odparł niewzruszenie majordomus.

Kalpurnia wyprostowała się i przyjęła pełną godności postawę.

- Zaprowadź je do atrium - wydała polecenie. - Zobaczę, co to za jedne.

Niewolnik kiwnął głową i zniknął za kolumnami. Kalpurnia odczekała chwilę, a kiedy usłyszała kroki na posadzce, wyszła na spotkanie niezwykłym gościom.

W atrium znieruchomiała ze zdumienia. Istotnie nad impluvium stały trzy kobiety wraz z chłopcem około siedmiu lat. Ale Kalpurnia oniemiała, ponieważ знаła jedną z nich. Najstarsza, której jasne włosy siwiały już na skroniach, była ongiś galijską konkubina Cezara. Kalpurnia znała nawet jej imię. Pamiętała dobrze jej wysoką pozycję w zimowym obozie swego męża. To była Geillis, wdowa po Celtyllusie, wodzu Arwernów. Młodszej kobiety nie znała, ale musiała to być jakaś krewna. Najmłodsza zaś, niespełna dwudziestoletnia dziewczyna, była Kalpurni całkiem obca.

Ale jej oczy...

Kalpurnia jak zahipnotyzowana wpatrywała się w najmłodszą z kobiet, a Aife odwzajemniała jej spojrzenie. Rzymianka miała wrażenie, jakby przepływała przez nią niezwykła moc, tysiącrotnie silniejsza niż jej własna, na którą składały się sny i niejasne przeczucia. Ta młoda dziewczyna była kimś nieskończenie potężnym i nie znalazła się tu przez przypadek. Miała niewinną twarz i cudne błękitne oczy, ale Kalpurnia czuła paraliżujący strach, kiedy na nią patrzyła i kiedy dziewczyna przykuwała jej wzrok swoim.

Przeszło jej przez myśl, że już kiedyś widziała te oczy. Szukała w pamięci.

Więzień Cezara! Wercyngetoryks, przebywający w jednym z luksusowych więzień, jakim była willa w obrębie miasta, miał takie same błękitne oczy. Kalpurnia widziała go jeden raz, kiedy transport niewolników wraz z pisemnym poleceniem Cezara przybył do Rzymu. Cezar nakazał umieścić cennego więźnia w swoim miejskim domu na Zatybrzu, dbać o niego i pilnować, by nie wyrządził sobie ani nikomu żadnej krzywdy, nie uciekł i nie doznał jakiegokolwiek uszczerbku na zdrowiu. Pisząc tamte słowa, Cezar miał zapewne nadzieję, że rychło powróci do domu i urządzi triumf, ale musiał przesunąć plany o kolejne sześć lat. Patrząc na młodą kobietę, Kalpurnia zrozumiała, że to musi być córka Wercyngetoryksa. W takim razie średnia z kobiet musiała być jego żoną.

Dobrze, ale kim był chłopiec?

Kalpurnia przesunęła wzrok na dziecko i znowu poczuła, że krew odpływa jej gdzieś w okolice kolan. Znała tę twarz, bo była to wierna kopia oblicza Cezara. Ten galijski chłopiec był jego synem. Prawdopodobnie jedynym, nie licząc przeklętego Cezariona, o którego istnieniu Cezar doskonale wiedział.

- Kim jesteście? - wykrztusiła z siebie, zanim zdołała pomyśleć i uciec się do powitalnej formułki.

- Wiesz, kim jesteśmy, Kalpurnio, widziałyśmy się wszak nie raz - odezwała się Geillis płynną greką. - Jestem matką Wercyngetoryksa, to jest jego żona Gwynn, a najmłodsza

z nas to Aife, jego córka. Przybyliśmy do twego męża. Jedna z nas ma z nim nieuregulowane rachunki.

Kalpurnia przesuwiała wzrok z jednej na drugą. Spojrzała na Gwynn i poczuła skurcz w sercu. Ona też z całą pewnością była swego czasu kochanką Cezara i to ona była matką chłopca. Kalpurnia poznała to po wyrazie jej oczu i po żelaznym uścisku, w którym trzymała rękę dziecka.

- Cezara nie ma - odparła słabym głosem. - Udał się do Senatu.

- Nie ma go w Senacie - odezwała się Aife, której też greka nie była obca. - Jest w swojej letniej willi. Zaprowadź nas tam.

Kalpurnia chciała zaprotestować, powiedzieć, że nie będzie dziewczynką na posyłki galijskiej smarkuli, ale coś w tonie głosu Aife sprawiło, że pani domu posłusznie ugięła plecy w ukłonie, chociaż to jej się kłaniano w tych murach.

Wydała polecenie przygotowania lektyki, obowiązywał bowiem zakaz poruszania się powozami w godzinach południowych. Niewolnicy byli cokolwiek zdumieni, kiedy małżonka Cezara kazała podać gościom wino i przekąskę, ale żaden nie ośmielił się wydać z siebie choćby słowa komentarza.

Po posiłku Kalpurnia zaprosiła wszystkie trzy kobiety wraz z dzieckiem do obszernej lektyki, którą czterech silnych nubijskich niewolników wzięło na ramiona. Cichy pochód udał się do willi, w której rezydowała kochanka Cezara, a w której stopy Kalpurni do tej pory nie powstały.

Cezar nie miał w planach opuszczenia zgromadzenia Senatu, ponieważ zależało mu na przepchnięciu ustawy o zmianie kalendarza, do której wreszcie się zabrał, ale w drodze na forum otrzymał wiadomość od Kleopatry, że oczekuje go ona w sprawie niecierpiącej zwłoki. Nie w stylu Cezara było kazać czekać kobiecie, zwłaszcza egipskiej królowej, chociaż zastanawiał się, czy ta sprawa niecierpiąca zwłoki nie stanowiła wyrazu nudy, pożądania lub chwilowego poczucia samotności. Rozumiał, że Kleopatra musiała czuć się tu samotna i wyobcowana, chociaż przywiozła ze sobą pół aleksandryjskiego dworu. Mimo to była przecież tylko młodą dziewczyną i poza nim nie mogła liczyć na przychyłność żadnego obywatela rzymskiego. Nawet liczni goście, którzy przychodzili na kolacje i obiady, wychwalali urodę i majestat Kleopatry niejako na pokaz. Tak naprawdę Egipcjanka nie była mile widziana w Rzymie i jedynie jego pozycja gwarantowała jej bezpieczeństwo i nietykalność. Gdyby jemu coś się stało, jej los byłby przesądzony.

W jutrzejszym triumfie miała brać udział jej siostra. Kleopatra doskonale o tym wiedziała i zapewne będzie się świetnie bawiła, widząc tę niedoszłą zdrajczynię i morderczynię prowadzoną w złotych kajdanach. No cóż, uczyni zadość jej pragnieniu. On sam darowałby swemu wrogowi takie upokorzenie, ale Kleopatra była ulepiona z innej gliny. Być może dlatego, albo mimo to, tak doskonale się rozumieli. Była pierwszą kobietą na stanowisku, z którą się liczył. Mało tego - gdyby tylko zaistniała okazja, zbudowałby wspólne imperium razem z nią. Niestety nie było

takiej możliwości, a ona pozostawała nadal w zależności od niego. I to dużej.

Chcąc nie chcąc, udał się do „jej” rezydencji, gdzie oczekiwała go z niecierpliwością. Bynajmniej nie chodziło o osłodzenie samotności, Kleopatra wyraźnie się obawiała, a przynajmniej maskowała swoją obawę promiennym uśmiechem. Cezar jednak nie dał się zwieść.

- Co się dzieje? - zapytał bez wstępów. - Kto cię odwiedził i z czym znowu?

Egipska królowa wskazała mu miejsce obok siebie, a on usiadł jak poddany, zapominając na moment, że są *de facto* równi sobie. No, może nie do końca, on bowiem zdobył swoją pozycję własną ręką i mieczem, ona wywodziła się z macedońskiej dynastii sięgającej korzeniami generała Aleksandra Wielkiego, Ptolemeusza. Fakt, że pochodziła z nieprawego łoża, jakoś nikomu nie przeszkadzał.

- Była twoja siostrzenica ze swym synem - oznajmiła. - Nie były to najuprzejmniejsze odwiedziny.

Cezar się zasepił. Atia nie raz pokazała pazury, wiedział, do czego jest zdolna. Wolał nie myśleć o wielu sprawach, bo bał się odkryć prawdę. Julia umarła w połogu, owszem, ale wcześniejsze poronienia? Czy były naturalne? O jednym wiedział, o resztę nawet nie chciał pytać.

- Czego chciała? - zapytał ostrzej, niż zamierzał.

- Chciała zobaczyć dziecko - odparła Kleopatra. - Powiedziałam, że Cezarion śpi i nie będzie teraz budzony. Pytała, czy wiem, że wyznaczyłeś na swego następcę tego młodzieniaszka, Gajusza Oktawiusza. Nie była uprzejma,

raczej chciała dowiedzieć się, jakie masz plany wobec naszego syna.

Cezar przymknął oczy.

- Żadnych, moja droga. I dobrze o tym wiecie, zarówno ty, jak i ona. Twój syn zostanie faraonem Egiptu, a Gajusz Oktawiusz moim politycznym spadkobiercą. Inna opcja nie wchodzi w grę.

Kleopatra przesunęła smukłymi palcami po jego zniszczonej od miecza dłoni.

- Ależ ja o tym wiem - zamruczała. - Powiedz to raczej swojej siostrzenicy.

- Nie omieszka - przyrzekł Cezar.

Egipcjanka kazała przynieść napitek. Przez chwilę rozmawiali o błahych sprawach, ale w głowie Cezara wrzało niczym w kotle czarownicy. Oto znowu szykują się kłopoty, i w dodatku na łonie jego własnej rodziny. Musiał zabezpieczyć Cezariona, bo spodziewał się kłopotów. Już Atia zadba o to, by ten malec nigdy, ale to nigdy nie stanął na drodze Gajusza Oktawiusza do dziadkowego spadku w jakimkolwiek znaczeniu tego słowa.

Do triclinum wszedł niewolnik.

- Cezarze, przybyła twoja małżonka - oznajmił.

Na twarzy Cezara odmalowało się szczere zdumienie.

- Kalpurnia tutaj? - wykrztusił. - Sama?

- Nie, Cezarze. Towarzyszą jej cudzoziemscy goście.

Zaintrygowany Cezar dał znak, że należy owych gości wprowadzić. Jacyś cudzoziemcy byli ostatnimi osobami, których mógł się spodziewać, tym bardziej tutaj,

w rezydencji, którą dał do dyspozycji swej egipskiej kochance. Do tego jeszcze Kalpurnia! Ona nie postawiłaby nogi w tym miejscu z własnej nieprzymuszonej woli. Cezar zdawał sobie sprawę, że zapraszając Kleopatę do Rzymu, obraził swą małżonkę, ale liczyła się dla niego głównie polityka, a uważał swój związek z Egipcjanką za przede wszystkim polityczny.

Jako dowódca wojsk, konsul, namiestnik Prowincji, w końcu dyktator, Cezar nauczył się doskonale panować nad emocjami i nad wyrazem twarzy, ale ujrawszy swych nieoczekiwanych gości, poczuł, że krew uderza mu do głowy, a serce tłucze się w piersi jak oszalałe. Z najwyższym trudem zapanował nad sobą na tyle, by nie okazać, jakim szokiem jest dla niego wizyta trzech galijskich kobiet. Na przedzie kroczyła Kalpurnia z marsową miną, najwyraźniej nie w smak jej było znaleźć się tutaj. Za nią szła młoda jeszcze kobieta prowadząca za rękę niedużego chłopca. W oczy rzucał się kontrast między nimi - matka miała pszenicznoblond włosy, chłopiec zaś był kruczoczarny, o oliwkowej karnacji.

Cezar przymknął oczy, by powstrzymać łzy. Wspomnienia zalały go ogromną falą. Noc w jego namiocie, gorące ciało Gwynn, jej niepohamowana namiętność, jej ucieczka i zdrada, a potem legionista prowadzący ją do niego, utrudzoną oblężeniem, przerażoną i ciężarną. Dziecko w jego ramionach, pierwszy syn, którego nie mógł uznać ani zachować przy sobie.

Nie sądził, że ona przyjedzie do Rzymu. Prawdę

powiedziawszy, przez te wszystkie lata nie tyle zapomniał o wiążącym ich pakcie, ile po prostu oddalił od siebie tę myśl. Przez wiele tygodni, miesięcy, lat Gwynn i jej dziecko majaczyli gdzieś na obrzeżach jego świadomości, pojawiali się jak senne marzenie, po czym znikali w wirze wydarzeń, w których musiał brać nieustanny udział. Nawet przygotowując się do triumfu, nie myślał o Gwynn, pogrążony całkowicie w innych sprawach. Ale ona pamiętała, dla niej Cezar stanowił gwarancję nienaruszalności paktu, z którego chciała i musiała się wywiązać.

Przywiozła dziecko.

Cezar nie musiał się wysilać, by dostrzec na twarzy chłopca podobieństwo do siebie. Co prawda różnili się wykresem ust, inny też mieli zarys brwi, ale oczy, rysy twarzy, koloryt, nawet kształt nosa mieli taki sam. Bez dwóch zdań chłopiec był jego synem, tym samym, którego ongiś trzymał w ramionach i czuł przez ułamek wieczności bezgraniczne, upojne szczęście, jakiego nie zaznał nigdy potem ani przedtem.

- Gwynn! - wyrwało się mu. Zreflektował się. - Witaj! Witajcie wszystkie, ty również, Geillis. Doprawdy to dla mnie zaszczyt móc widzieć was znowu po tylu latach.

„Znowu”? Przez twarz Kalpurni przebiegł cień krzywego uśmiechu, Kleopatra zmarszczyła brwi. Obie kobiety Cezara wiedziały jednak, kiedy wypada, a kiedy nie można wszczynać kłótni. Przed żoną zapewne nie będzie musiał się spowiadać, ale Egipcjanka nie puści płazem takiego incydentu.

Najstarsza z kobiet podeszła najbliżej. Cezar wyciągnął rękę na powitanie, a ona uścisnęła je w milczeniu. Spoglądał jej w twarz i ze zdumieniem stwierdził, że nie postarzała się tak bardzo. Nie mogła być wiele młodsza od niego, gdy się spotkali w Galii, była w kwiecie wieku. Teraz najlepsze lata miała za sobą, ale nadal była piękna i pociągająca. Poczł mimowolne ukłucie w sercu. Spędzili ze sobą wiele dobrych chwil, temu nie mógł zaprzeczyć. I nadal żywił do niej swego rodzaju sentyment.

- Witaj, Cezarze. Ciebie również dobrze widzieć po tych wszystkich latach. Dobrze cię witać jako przyjaciela, nie wroga.

- Nigdy nie byłem twoim wrogiem, Geillis - stwierdził Cezar. - Ani twojego syna. Wiesz dobrze, że wszystko to polityka.

Geillis uśmiechnęła się z mieszanką kpiny i rozbawienia.

- Tak, Cezarze. Bez wątpienia polityka. Tak mówią wszyscy mężczyźni, którzy dzierżą władzę. Ale nie po to tu przybyliśmy, żeby rozmawiać o polityce.

Cezar poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Dobrze wiedział, po co przybyły.

Podeszła do niego Gwynn. I ona również niewiele się zmieniła, chociaż w jej oczach dostrzegł cień, którego wcześniej nie było. Lata cierpienia i tęsknoty odcisnęły na niej piętno. Gdy trzymał ją w ramionach, wydawała mu się młoda i świeża, niewinna i dziewczęca, teraz zaś miał przed sobą dojrzałą kobietę, choć nie mogła być wiele starsza od niego samego, gdy stracił żonę.

- Cezarze - zaczęła bez wstępów. - Przybyłam zgodnie z obietnicą. Nie sądzę, by twoja żona i twój gość mieli ochotę słuchać tego, z czym przychodzę. Dlatego proszę cię o spotkanie w cztery oczy.

Widziałam to już - pomyślała. - *Widziałam we śnie.* Dawno temu, zanim jeszcze została żoną Galvana, śniła jej się audiencja u Cezara, który siedział u boku pięknej egzotycznej kobiety. To ona, egipska królowa, spoczywająca na łożu zasłanym poduszkami, patrząca z zaciekawieniem na trzy Galijki, była ową kobietą ze snu. I Cezar, teraz u szczytu władzy i potęgi, starszy, niż gdy go ostatnio widziała, czego bynajmniej nie krył, ale odziany jak władca, nie jak dowódca wojskowy, ten sam, który sześć lat temu wyciągnął do niej rękę w rzymskim obozie, podtrzymał ją, gdy miała upaść. Który zapewnił jej dobre warunki i opiekę, by mogła wydać na świat ich syna, ten sam, który uwięził jej męża i skazał na śmierć za wybuch powstania, który ogniem i mieczem pustoszył jej kraj, którego kochała i nienawidziła, do którego żywiła strach i zaufanie, z którym była związana do końca życia, czy tego chciała, czy nie.

Cezar był od niej sporo wyższy, Gwynn wydawało się, że przytłacza ją swą potęgą. Nie sądziła, że to uczyni, ale on, nie bacząc na pozostałych gości, kiwnął na niewolnika, który wskazał Gwynn i jej synowi osobne pomieszczenie.

- Zaczekajcie tam, za moment do was dołączę - powiedział łagodnym tonem.

Gdy Gwynn i Conn odeszli, Cezar kazał podać do triclinum orzeźwiające napoje i poczęstunek, by jego

nieoczekiwani goście nie odeszli z pustymi żołądkami i spragnieni. Geillis i Kalpurnia usadowiły się na wskazanych łóżach, Aife zaś stała niezdecydowana, a jej oczy lśniły jak dwa jeziora. Cezar rzucił jej pobieżne spojrzenie, zanim przeprosił i wyszedł z pokoju. Nieoczekiwanie przeszło mu przez myśl skojarzenie z westalkami, bo młoda dziewczyna nosiła w sobie podobną surowość.

Gwynn czekała na niego, stojąc, czy raczej przestępując z nogi na nogę. Dziecko u jej boku było nadzwyczaj spokojne. Cezar przełknął kulę, która nagle narosła mu w gardle. Podszedł do nich. Spodziewał się wielu reakcji, ale nie tego, że Gwynn upadnie przed nim na kolana, a tak właśnie zrobiła.

- Cezarze, przyjechałam prosić cię na głowę naszego syna, byś dotrzymał słowa i oszczędził życie mojego męża - odezwała się urywanym głosem. - To była jedyna rzecz, której chciałam w dniu narodzin Conna. Jedyna, na której mi zależało przez te wszystkie lata.

Cezar bez wysiłku podniósł ją z klęczek.

- Wstań, Gwynn - powiedział cicho. - Nie musisz przede mną klękać. Nie jestem potworem ani oszustem, który nie dotrzymuje słowa. Wstań.

Uniosła głowę i spojrzała na niego. Na galijskiej ziemi, pomimo że znajdowała się w jego obozie i na jego łasce, mogła z nim rozmawiać jak równy z równym, teraz jednak czuła, że to on ma władzę, dosłownie, nad jej życiem i śmiercią. Gdyby zechciał, jego straż przyboczna zabiłaby ją w mgnieniu oka i nikt nigdy nie dowiedziałby się, że dawna

galijska nałożnica przyjechała do niego prosić o łaskę.

- Czy chłopiec wie, po co tu przyjechał? - zapytał.

- Tak. Wyjaśniłam mu wszystko. Wie, że jesteś jego ojcem i że od tej pory ty będziesz sprawował nad nim opiekę według własnych zasad.

- Czy on rozumie grekę?

- Mój szwagier wprowadził go w podstawy języka. Rozumie więcej, niż potrafi powiedzieć, ale to zdolne dziecko, Cezarze. I odpowiednio wychowane, nie będziesz musiał się za niego wstydzić.

Cezar potarł dłonią podbródek. Nie chodziło o wstyd, ale o bezpieczeństwo tego chłopca. Wystarczyło mu, że Atia robi zakusy na Cezariona, nie mógł pozwolić, by jego pierworodny syn, nieważne, że nieślubny, został zabity lub zaginął bez śladu, co byłoby jeszcze gorsze.

A co, gdyby właśnie Atia wzięła go na wychowanie? Ta myśl przebiegła przez jego głowę niczym błyskawica. Nie dowiedziałyby się, czym dzieckiem jest Conn, a nawet gdyby, to zobowiązałyby ją do opieki nad nim. Musiałyby mu przysiąc, że włos dzieciakowi z głowy nie spadnie, a co jak co, ale przesady były jej bliskie, Atia nade wszystko bała się złamać przysięgę. Gdyby sprytnie to rozegrał, mały mógłby dorastać u boku Gajusza Oktawiusza, a Cezar miałby kontrolę nad obojgiem.

- Nie sądziłem, że się na to odważysz - przyznał. - Że oddasz własne dziecko w zamian za męża.

- Mam jeszcze inne dzieci - odparła, chociaż świadomość, że nie zobaczy najmłodszego syna już nigdy,

musiała jej sprawiać ogromny ból. – To należy do ciebie, Cezarze. Czy nie takie macie tutaj prawa?

Uśmiechnął się.

– Jutro Wercyngetoryks ma wziąć udział w moim triumfie – zaczął powoli, patrząc uważnie w twarz byłej kochanki. – Masz chyba świadomość, co to oznacza.

– Po wszystkim go zabijesz – odgadła.

– Zabiłbym – poprawił ją Cezar. – Gdybyś nie przyjechała. Gwynn spojrzała mu uważnie w oczy.

– Ale jutro będziesz chciał pokazać go w pochodzie triumfalnym, czyż nie? – zapytała. – Dzisiaj pozwolisz mi się tylko z nim zobaczyć?

– Dzisiaj nie mogę uczynić nic więcej, Gwynn – odparł. Zacisnęła zęby. Spodziewała się takiej odpowiedzi.

– Kiedy go zobaczę?

– Jeżeli takie jest twoje życzenie, to choćby dziś wieczorem.

– Będziesz mi towarzyszył? – upewniła się.

Cezar westchnął ciężko. Najchętniej wymigałby się od tego przykrego obowiązku, ale wiązała go z nią obietnica.

– Cezarze – odezwała się Gwynn zupełnie innym tonem. – Oddaję ci w zamian za jego życie to, co mam najcenniejszego. Mojego syna, krew z krwi. To tak, jakby mi ktoś wyrywał serce z piersi. Ty dobrze wiesz, co znaczy stracić dziecko. Chociaż pozostanie przy tobie, dla mnie mój syn będzie martwy.

Cezar kiwnął głową na znak, że rozumie.

– Po zachodzie słońca udamy się do miejsca, w którym on

przebywa - obiecał. - Będiesz mogła się z nim zobaczyć. A jutro po triumfie dostaniesz go całego i zdrowego. Przysięgam ci.

- Dziękuję - szepnęła Gwynn.

Sama nie wiedziała, dlaczego nie opuszcza jej dziwny niepokój. Towarzyszył jej również wtedy, gdy jakiś czas potem wychodziła z Cezarem do triclinum. Napotkała wzrok Aife i zadrżała, bo oczy kapłanki spoglądały na Cezara jakby na przestrażała. Aife widziała dużo więcej, niż Gwynn usłyszała. I wiedziała to, czego Cezar jej nie powiedział.

Naturalnie Cezar zaproponował im gościnę w swoim domu, z czego kobiety postanowiły skorzystać choćby na ten jeden wieczór. Gdy znalazły się już pod dachem, Aife dyskretnie zwróciła się do żony swego ojca.

- Dziś wieczorem musi nam towarzyszyć Jorg - mruknęła. - Pójdę po niego. Nie obawiaj się, dam sobie znakomicie radę - dodała z krzywym uśmiechem, ujrawszy niepokój w oczach Gwynn.

- Nie ufasz mu - stwierdziła Gwynn. - Widziałam, jak na niego patrzysz.

- To nie to - odparła Aife nieobecna duchem. - Moje zaufanie do niego nie ma nic do rzeczy.

Gwynn chciała zapytać, o co kapłance chodzi, ale Aife narzuciła na ramiona płaszcz i wyszła z domu Cezara przez nikogo niezatrzymywana. Gwynn pomyślała, że to cokolwiek dziwne, bo nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, a przecież niewolnik powinien otworzyć jej drzwi. Ale tak się

nie stało, Aife opuściła dom Cezara jak gdyby nigdy nic.

Szła wąskimi, brudnymi ulicami Rzymu, kierując się w stronę tawerny, w której się zatrzymali. Nikt nie zwracał na nią uwagi, bo po prostu sobie tego nie życzyła. Spojrzenia ludzi ślizgały się po niej, ale tak naprawdę żaden z mijanych przechodniów nawet jej nie zauważył. Aife wyróżniała się wśród rzymskiej społeczności, nawet niewolnicy wyglądali inaczej, chociaż Rzym stanowił istny konglomerat ludności tubylczej, napływowej i przejezdnej. Masy ludzkie różnego koloru skóry, ubrane w stylu rzymskim, greckim, egipskim i wielu innych, przelewały się ulicami dosłownie co chwilę. Aife jednak stanowiła ewenement, bo była wolną galijską kobietą, bez towarzyszącego jej niewolnika, mężczyzny czy innej kobiety, szła szybkim, zdecydowanym krokiem, najwyraźniej pewna celu w obcym sobie mieście. Już sama pewność siebie emanująca od niej musiała zwracać uwagę w świecie, który nakazywał kobiecie skromność i nieśmiałość.

Jorg i Celtillognatos zostali w tawernie, oczekując na rezultaty wizyty kobiet w domu Cezara. Aife weszła do obskurnego pomieszczenia, które wynajmowali.

- Zostaw nas samych - zwróciła się do Celtillognatosa i bynajmniej nie była to prośba.

Druid był na tyle doświadczony i obeznany z arkanami nauk, by wiedzieć, że oto najwyższa kapłanka wydała mu polecenie, które musi wykonać. Spojrzał zdumiony na własną bratanicę, której w tym momencie daleko było do młodej niedoświadczonej dziewczyny, otaczała ją bowiem moc.

Kapłanka nie zaszczyciła Celtillognatosa najkrótszym spojrzeniem, uparcie patrzyła w oczy Jorga. Druid wiedział, że ona odprawi teraz rytuał, i w zasadzie cieszył się, że kazała mu wyjść, bo domyślał się, co nastąpi.

Aife przykuła Jorga wzrokiem. Wiedziała doskonale, co ma robić.

- Nadszedł czas zapłaty - powiedziała cicho, zdejmując z siebie szatę. - Życie za życie. Wiedziałeś o tym od dawna. Czy jesteś gotów?

Jorg patrzył na nią, nie rozumiejąc, ale coś w jego duszy łamało się i godziło z losem, jaki mu przypadł w udziale. Spoglądał w oczy celtyckiej kapłanki, widział, jak się przybliżają, a kiedy jej usta spoczęły na jego wargach, zawirowało mu w głowie i poczuł smak pocałunków Lorelei.

Jakaś tama pękła w jego duszy. Ogarnięty niewyobrażalną tęsknotą, otoczył ramionami kobietę i przylgnął do niej całym ciałem. Poczuł, jak pożądanie burzy mu krew. Pod dłońmi miał młode prężne ciało, ciepłe i zachęcające. Całowała go głęboko, jej zwinne ręce uwalniały go z odzienia w niewiarygodnie sprawny sposób. Zorientował się, że stoi obok niej nagi, gotów wziąć ją w posiadanie, a ona otwiera się na niego, gorąca i mokra.

Otworzył oczy. Lorelei uśmiechała się do niego przez mgłę, zachęcała pocałunkami, drżała jak osika, a kiedy w nią wszedł, oplotła go nogami i zamknęła się wokół niego, przyjmując go tak jak za pierwszym razem, niemal w upojeniu, aż znalazł się na krawędzi szaleństwa.

- Czy oddasz mi swoje życie, Jorg? - zapytała.

Napięcie narastało w nim na kształt gradowej chmury.

- Tak - wychrypiał. - Oddam.

W głowie mu szumiało. Trudne do zniesienia podniecenie osiągało zenit.

- Czy umrzesz dla mnie, Jorg? - zapytała kobieta w jego ramionach.

Z trudem nad sobą zapanował.

- Umrę, Lorelei - szepnął u progu spełnienia.

Mocniej i głębiej, krew w nim wrzała, poczuł, że moment ekstazy jest bliski, i dał się porwać fali.

- Czy jesteś mój? - zapytała kobieta.

- Tak! - wykrzyknął i w tym momencie fala się załamała. Trysnął w jej wnętrze, czując, jak zalewa go niewysłowiona rozkosz. - Jestem twój.

Złączył usta z jej ustami i trwał tak przez nieskończenie długą chwilę.

Gdy otworzył oczy i odsunął się, spostrzegł, że trzyma w ramionach Aife. Kapłanka wyciągnęła ręce nad jego głowę i zaczęła szeptać jakieś słowa, których nie mógł usłyszeć ani zrozumieć. Chciał się od niej odsunąć, ale nie mógł, jakby przykuła go do siebie niewidzialnym łańcuchem. Zniewoliła go, posiadała, a on na to pozwolił. Związała go ze sobą i teraz trzymała w garści ową smycz, a on musiał być jej całkowicie posłuszny.

Wysunęła się z jego objęć. W jej oczach nie było okrucieństwa, tylko nieubłagane przeznaczenie, powinność, nic więcej i nic mniej. Patrzyła na niego z pewną dozą współczucia, ale niczego ponad to nie wyczytał w jej

błękitnych oczach.

- Kiedyś na polu bitwy mój ojciec ocalił ci życie - odezwała się dziwnie głuchym głosem. - Teraz nadszedł czas, byś ty ocalił życie jemu. Cezar obiecał matce swego syna ocalić Wercyngetoryksa i oddać go jej w zamian za dziecko, które mu urodziła. Ale Cezar, jakkolwiek jest panem świata, nie jest nieomylny i nie widzi tego, co skrywa przyszłość. Jutro zamiast do willi Wercyngetoryks zostanie przewieziony do więzienia i tam uduszony, bo Cezar zapomni wydać odpowiedni rozkaz. Gwynn nie zdąży na czas dostać się do swego męża i powołując się na otrzymany od Cezara sygnet, ocalić mu życie. Cezar nie dotrzyma przysięgi i czeka go za to potępienie. Syn Gwynn zostanie niesprawiedliwie oddany pod władzę człowieka zhańbionego krzywoprzysięstwem. Wercyngetoryks umrze, chociaż nie taka powinna go czekać zapłata. Aby tak się nie stało, potrzebny jest ktoś, kto przywróci równowagę. Rozumiesz, Jorg?

- Dlaczego ja? - zapytał.

- Bo takie jest twoje przeznaczenie - odparła spokojnie. - Bo twoje serce umarło przed laty wraz z kobietą, którą kochałeś. Bogowie lubią sprawiedliwość i porządek. Dlatego rodzą się istoty takie jak ja, moja matka, babka, prababka, by pilnować ustalonego ładu.

- Kim jesteś?

Aife uśmiechnęła się i naciągnęła szatę. Wyglądała jak zwyczajna młoda dziewczyna, pomijając niesamowitą urodę. Ale teraz już wiedział, że ona jest naczyniem przepelnionym mocą. Nie było w niej okrucieństwa ani nienawiści, nie była

zła ani dobra, miał wrażenie, że ona robi to, do czego została powołana. I doskonale to wiedziała.

- Kim jestem? - powtórzyła. - Sama tego do końca nie wiem, Jorg. Jestem córką Uatah i Wercyngetoryksa, jestem kapłanką z Sein, jestem łącznikiem między bogami i ludźmi.

Chciał się ponownie odezwać, ale położyła mu palec na ustach.

- Nie pytaj mnie o przyczynę. Tak być musi. Nie ja o tym zdecydowałam. Posłano po mnie, gdy nadszedł czas. On zajął twoje miejsce u boku Lorelei, ty zajmiesz jego miejsce w jutrzejszym triumfie. Żaden z was tego nie chciał. Ale każdy wypełniał tylko swój los, taki, jaki został im zapisany.

Jorg patrzył na nią. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

- A teraz ubierz się i chodź ze mną - nakazała. - Nie mamy za dużo czasu.

Jedynę, co mógł uczynić, to posłuchać jej i odziać się, a potem posłusznie wyjść za nią. Idąc ulicami Rzymu, zastanawiał się, jak to możliwe, że w obliczu nieuchronnej śmierci nie ucieka, ale stwierdził, że to niemożliwe, bo siła woli Aife trzymała go tuż przy niej. Nie mógł się od niej oddalić, skrócić, odejść ani nawet przystanąć na chwilę. Gdy znaleźli się przed willą Cezara, Aife nagle pogładziła go po twarzy z niemal czułym wyrazem oczu.

- Nie bój się, Jorg - szepnęła. - Nie poczujesz bólu, a gdy znajdziesz się już tam, ona po ciebie przyjdzie. Czeka na ciebie. Czekała tyle lat, by narodzić się ponownie wraz z tobą. To, czego nie dostaliście w tym życiu, otrzymacie w następnym. Bogowie są sprawiedliwi.

Cofnęła rękę. Jorg poczuł, jak niezwykle spokojny rozlewał się w jego duszy, chociaż umysł podpowiadał mu co innego. Ale pozostawał całkowicie w jej władzy i nie był w stanie wyswobodzić się z czaru, jakim go do siebie przykuła. Niezauważeni weszli do domu Cezara, zanim ktokolwiek zdołał zorientować się, że Aife choćby na moment go opuściła.

Serce Gwynn biło jak oszalałe, kiedy pod osłoną nocy kluczyła krętymi uliczkami do miejsca, w którym od sześciu lat przebywał jej mąż. Spodziewała się, że Cezar każe go wepchnąć do lochów, tymczasem jednak szli na Zatybrze, do dzielnicy cieszącej się niezbyt dobrą reputacją, do której po zmroku lepiej było się nie zapuszczać. Co ciekawe, Cezar wychował się właśnie tu, po drugiej stronie Tybru, z dala od wspaniałych, bogatych dzielnic patrycjuszy. Znał tę dzielnicę i nie bał się zagłębiać w jej zaułki, tym bardziej że towarzyszyła mu straż przyboczna.

I to się nazywało dyskretnym nocnym wyjściem.

Co prawda Cezar był dyktatorem i mógł robić, co chciał, w tym spacerować sobie po podejrzanych dzielnicach w blasku księżyca, w asyście cudzoziemskich gości. Gwynn szła w towarzystwie Aife i Jorga, a Geillis i Celtillognatos zostali w tawernie, żeby przygotować transport na drogę powrotną. Należało działać szybko, z czego wszyscy zdawali sobie sprawę. Gwynn dziwiła się jedynie obecności Jorga, który szedł potulnie za Aife niczym pies na smyczy. Kobiecie nie podobał się dziwny, nieprzyjemny uśmiech na ustach

kapłanki, ale przezornie milczała, bojąc się poznać odpowiedź na nurtujące ją pytanie.

W którymś momencie skręcili w bok i znaleźli się nieoczekiwanie przed skromnym domem, jakby wtopionym w ściany sąsiednich budynków. Nie była to w żadnym razie insula, dom czynszowy, których Gwynn widziała pełno w Rzymie. Zwyczajne domostwo, nierzucające się w oczy, położone między innymi podobnymi budynkami, w połowie drogi między Janiculum a Vaticanum, dwoma wzgórzami okalającymi Zatybrze.

Gwynn zrozumiała, że jest to rodzinny dom Cezara, w którym najpewniej przyszedł na świat. Cokolwiek dziwne wydało jej się, że taką wybrał kryjówkę dla swego najzacieklejszego wroga. Odźwierny otworzył drzwi i Cezar ze swymi gośćmi wszedł do środka.

- Sądzę, że będziesz chciała spotkać się z nim sama - stwierdził. - Niewolnik zaprowadzi cię do jego cubiculum, ja poczekam tutaj.

Gwynn miała wrażenie, że śni. To nie mogło być prawdą. Dlaczego Cezar miałby się osobiście fatygować, żeby zaprowadzić ją do męża? Czy dlatego, że sześć lat temu złożył jej przysięgę? Co go mogła obchodzić nic nieznacząca galijska kobieta, z którą kiedyś przez chwilę obcował w zaciszu swego namiotu?

Szła jak zahipnotyzowana za postawnym niewolnikiem, który nie odezwał się ani słowem. Jak przez mgłę słyszała za sobą drobne kroki Aife i ciężkie stąpanie Jorga. Niewolnik otworzył jakieś drzwi w głębi domu i oczom Gwynn ukazała

się nieduża izba ze skromnym umeblowaniem składającym się z łóżka i małego stolika, przy którym więzień zapewne spożywał posiłki. To było wszystko, przebywający tu mężczyzna najwyraźniej cieszył się jaką taką swobodą i mógł poruszać się po domu i bodaj po ogrodzie wedle uznania.

Leżał na niskim łożu, na dźwięk otwieranych drzwi gwałtownie się podniósł. Długie jasne włosy opadały mu na ramiona, w półmroku Gwynn nie mogła rozróżnić rysów jego twarzy, w blasku lampki oliwnej lśniły oczy. Patrzył na nią w milczeniu, jakby nie wiedział, kim jest kobieta stojąca w progu.

Nogi Gwynn drżały, gdy zbliżała się do niego. Dwa kroki i klęczała już przy łóżku. Patrzyła w jego błękitne jak niebo oczy, dłonie już dotykały twarzy. Mężczyzna mrugał zdezorientowany, nie wiedząc, czy to sen, czy jawa. Jego ręka niepewnie uniosła się i dotknęła policzka Gwynn.

- To ty - wychrypiał. - Ja śnię.

Po twarzy Gwynn spłynęły gorące łzy. Miała świadomość, że nie czas teraz na okazywanie emocji, należało się spieszyć, bo nie wiedziała, ile czasu dał im Cezar.

- Galvanie - szepnęła. - Przyjechałam po ciebie.

Patrzył na nią, nic nie rozumiejąc, po czym nagle wydał z siebie stłumiony jęk i przyciągnął ją mocno. Z niechęcią wyswobodziła się z jego uścisku.

- Musimy iść - powiedziała cicho. - Szybko, nie ma czasu. Wstań i zamień się ubraniami z Jorgiem.

Galvan przeniósł wzrok na dwie pozostałe postaci, które do tej pory stały w progu izby.

- Aife? - zdumiał się. - To ty?

Kapłanka pociągnęła Jorga za rękę.

- Nie ma czasu - mruknęła tylko. - Szybko, przebierajcie się. Strażnik niczego nie zobaczy i nie usłyszy, dopóki go nie przywołam, ale to nie potrwa długo.

Jorg zaczął posłusznie zdejmować ubranie. Galvan patrzył na niego przez chwilę, po czym nagle życie w niego wstąpiło. Nie zastanawiając się dłużej, zdjął z siebie rzymską tunikę i wziął od Jorga galijskie ubranie, które ten nosił. Aife rozpuściła Jorgowi włosy, zdjęła mu z nadgarstków bransolety i podała Galvanowi. Na pierwszy rzut oka nikt nie zorientowałby się w zamianie. Mężczyźni byli tego samego wzrostu i podobnej postury, obaj jasnowłosi i jasnoocy, a półmrok skutecznie skrywał detale.

Po chwili Galvan był gotów. Aife zbliżyła się do Jorga i przesunęła ręką przed jego obliczem. Na oczach zdumionych widzów mężczyzna pograżył się we śnie.

- Nie będzie wiedział - szepnęła Aife. - Jego duch jest już gdzie indziej, tu zostało tylko ciało. Tak będzie lepiej.

Do izby wszedł niewolnik. Omiótł spojrzeniem cubiculum, po czym wyprowadził całą trójkę do atrium, gdzie zgodnie z umową czekał Cezar.

- Jak widzisz, jest cały i zdrowy - odezwał się. - Przez te wszystkie lata miał zapewnione tak dobre warunki, jakie tylko mogłem mu dać. Cezar dotrzymuje słowa, Gwynn.

Gwynn podeszła do niego i zdjęła z palca sygnet.

- Dziękuję, Cezarze - odparła cicho. - Chłopiec jest w twoim domu z Kalpurnią. Dbaj o niego.

Cezar spojrział na nią cokolwiek zdumiony, bo sądził, że odda mu dziecko dopiero nazajutrz. Przesunął wzrok na Aife i na mężczyznę, który im towarzyszył. Zamrugał. Spojrział jeszcze raz. Serce zamarło w piersi Gwynn, bo domyśliła się, że odkrył podstęp. Przed czujnym wzrokiem Cezara niewiele mogło się ukryć. Dyktator przez chwilę przenosił spojrzenie z kapłanki na jej towarzysza, a potem spojrział Gwynn głęboko w oczy. Jego usta rozciągnęły się w krzywym uśmiešku. Kiwnął nieznacznie głową. Zrozumiał.

- Idźcie - polecił. - Jutro opuścicie miasto. W Ostii będzie na was czekał statek. Żegnaj, Gwynn. Oby twoi bogowie czuwali nad tobą.

Gwynn przeszła w milczeniu, a za nią podążył mężczyzna. Cezar wzdrygnął się, gdy nieoczekiwanie stanęła przed nim dziewczyna, kapłanka. Patrzył w jej niesamowite oczy i czuł, jak coś zimnego, nieprzyjemnego pełźnie mu wzdłuż kręgosłupa.

- Jesteś tam, gdzie zawsze chciałeś być - odezwała się. - Osiągnąłeś wszystko, co tylko mogłeś osiągnąć. Wiedz, że ona widziała każdy twój ruch i czuwa nad tobą.

Cezar oszołomiony otworzył usta w zdumieniu, ale zaraz je zamknął, uprzytomniwszy sobie, że musi wyglądać idiotycznie. Kobieta mówiła w swoim języku, a jednak ją rozumiał, choć w ciągu ostatnich lat zdążył już zapomnieć sporo z galijskiej mowy.

- Przyjdzie po ciebie, gdy nadejdzie czas - dodała dziewczyna.

- Nie rozumiem ciebie - mruknął.

- Rozumiesz. Powiedz, Cezarze: jaką śmiercią pragniesz umrzeć?

Jej oczy migotały w blasku lampek oliwnych. Cezar miał wrażenie, że spojrział we wrota wieczności.

- Szybka - odparł, zanim zdołał zastanowić się nad jej słowami.

- Tak będzie - powiedziała kapłanka. - To dar dla ciebie za to, co dziś zrobiłeś.

Przesunęła palcami po jego twarzy. Jej dotyk był lodowaty jak tchnienie śmierci. Dziewczyna posłała mu ostatnie spojrzenie i zniknęła w mroku. Słyszał jeszcze szelest jej sukni, gdy odchodziła w noc.

Tak, wiedział, co zrobić. Wiedział, kto opuścił progi jego domu. Gdyby zechciał, zatrzymałby ich i kazał wtrącić do lochu całą trójkę. Ale ostatecznie jakie to miało znaczenie, kto jutro pojedzie w triumfie. Otrzymał swoją zapłatę i nawet jeśli Gwynn na sam koniec zmieniła reguły gry, nie miało to większego znaczenia. Kapłanka miała rację, osiągnął to, do czego dążył przez całe życie, i sam wiedział, że wyżej już wspiąć się nie może, co nie znaczyło, że nie będzie próbował. Uśmiechnął się do siebie gorzko. Cena władzy jest czasem przepełniona goryczą. Ale on odsunie tę gorycz, spijając z kielicha to, co mu jeszcze zostało.

Galvan miał wrażenie, że śni, kiedy drzwi otworzyły się i nieoczekiwanie stanęła w nich Gwynn. Widział to w snach tyle razy, że w końcu przestał odróżniać marzenia od rzeczywistości. Codziennie śnił o ucieczce, wiedząc, że nie

ma na to szans. Na początku próbował korzystać z okazji, że Cezar przebywa poza granicami Italii. Później przestał, bo zorientował się, że jego próby kończą się dla niego źle. Strażnicy mieli rozkaz utrzymać go przy życiu, ale mogli stosować wobec niego różne kary, byle tylko nie doprowadzić do śmierci. Po kolejnej chłóście, po której przez wiele dni leżał wyczerpany, z wrażeniem, że plecy ma zdarte do żywego mięsa, zaprzestał prób.

Gdy się uspokoił, zaczęli go traktować całkiem dobrze. Miał do dyspozycji cały dom, ogród, palestrę, termy, słowem wszystko to, z czego korzystał przeciętny rzymski obywatel. Tylko jednego nie miał i nie mógł na to liczyć – wolności. Dobrze też wiedział, jaki los szykuje dla niego Cezar, i po jakimś czasie zapragnął, by to nadeszło szybciej. Ale lata mijały Cezarowi na wojnach, podczas gdy on tkwił w tej miejskiej rezydencji, czując coraz większą tęsknotę i pustkę. Miał do swojej dyspozycji również kobiety i nie mógł powiedzieć, że nie korzystał z ich usług, ale każda, którą brał w ramiona, miała twarz Gwynn.

O Uatah nie śnił ani razu.

Gdy drzwi otworzyły się i ujrzał w nich swoją żonę, pomyślał, że rozum odmówił mu posłuszeństwa. Ale tym razem to nie była zjawą, tym razem była to żywa kobieta, Gwynn, która nie wiadomo jakim cudem znalazła się nagle w tym miejscu. Nawet gdy z duszą na ramieniu szedł ciemnymi rzymskimi ulicami i przez most na wyspie na samym środku Tybru, nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Szli szybko, Aife narzuciła takie tempo, chociaż nie

spodziewała się raczej pościgu ze strony Cezara. O najczarniejszej godzinie nocy znaleźli się z powrotem w gospodzie i oczom Galvana ukazała się jego matka i brat.

Zdumiony wpatrywał się w nich wszystkich.

- Jak to możliwe? - zapytał wreszcie. - Przyjechaliście po mnie? Dlaczego teraz? Dlaczego tutaj? I dlaczego Cezar mnie wypuścił? Przecież chciał mnie pokazać na jutrzejszym triumfie, a potem zabić. Dobrze wiem, co miało mnie spotkać. Jak to możliwe?

Tamci spoglądali po sobie, aż wreszcie Geillis oddała głos druidowi.

- Ty mu wyjaśnij - poleciła.

Celtillognatos westchnął z wysiłkiem.

- Usiądź, bracie. Ta opowieść zajmie nam trochę czasu. I tak do świtu stąd nie odejdziemy.

Galvan usiadł ciężko na prostym krześle i słuchał słów brata, który opowiadał mu, co się wydarzyło po kapitulacji Alezji. O tym, jak powstańcy zdecydowali się na jeszcze jeden zryw, jak upadły ostatnie miasta i jak dwa lata po pojmaniu jego, Wercyngetoryksa, Cezar wreszcie zaprowadził pokój do Galii.

- Dokonałeś tego. - Druid uśmiechnął się krzywo. - Teraz jesteśmy jednym państwem. Pod rządami Rzymu, ale stanowimy Prowincję Galię. Mamy jedno prawo, jednych urzędników i jeden system podatkowy.

- Za cenę wolności - szepnął Galvan. - A ja chciałem im tę wolność wywalczyć.

Aife położyła rękę na ramieniu ojca.

- Są wolni - powiedziała cicho. - Nikt ich nie nęka ogniem i mieczem, nikt nie napada, wszystkie plemiona znajdują się pod ochroną Rzymu, nie napadają ich Germanowie, nie ma rabunków, napaści i zagrożenia. Cena jest zawsze, ojczyzna. I ty ją zapłaciłeś.

Galvan spojrzał w oczy swojej córce, temu dziecku, którego nie znał.

- A to, że wy tu przyjechaliście? Jak to się stało?

- Cezar był mi winien przysługę - odezwała się Gwynn.

Galvan zwrócił na nią wzrok, a potem przymknął oczy.

- To dziecko, które nosiłaś - domyślił się. - To był jego syn, czyż nie?

- Tak - powiedziała zgodnie z prawdą. - To był jego potomek. Gdy się urodził, Cezar powiedział, że spełni jedną moją prośbę. Przysiągł na swoich bogów. Poprosiłam o ciebie. Zażądał w zamian naszego syna. Dostał go dzisiaj.

Galvan czuł ucisk w gardle. Patrzył na swą żonę jak na obcą osobę i rzeczywiście, przez te wszystkie lata była dla niego kimś innym, a jednak to pozostawała nadal ta sama młoda Gwynn, która spoglądała na niego kiedyś oczami lśniącymi jak gwiazdy.

- Oddałaś swoje dziecko? - Nie mógł uwierzyć. - W zamian za mnie? Gwynn, dlaczego? Przecież go kochasz, jest twoim synem!

Uniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ciebie kocham bardziej.

Wtedy Galvan bez słowa przyciągnął ją do siebie i zamknął w ramionach, czując, jak ogarnia go błogosławiony

spokój. Tej nocy zrozumiał, że bogowie nie zażądają od niego już niczego więcej, bo jego zadanie dobiegło końca. To, do czego się urodził, do czego przygotowywała go Scatah, namaściła Uatah, zakończyło się pod Alezją, kiedy za jedność Galii oddał własne życie.

Cezar dotrzymał słowa i o świcie w porcie w Ostii czekał na nich statek zmierzający do Massalii. Gdy słońce wychyliło się znad tafli morza, barka odbiła od brzegu. Sunęli płynnie w dół rzeki, a potem wypłynęli na morskie wody, z każdym ruchem wiosł coraz bardziej i szybciej oddalając się od italskiego brzegu. Galvan czuł słoną bryzę na twarzy, wiatr rozwiewał mu włosy, a słońce wznosiło się coraz wyżej, opromieniając bezkresną toń. Poszarpane skaliste brzegi Morza Tyrreńskiego przesuwwały się im przed oczami, coraz dalsze, a jednak wciąż w zasięgu wzroku, bo marynarze bali się oddalać zbyt daleko od przybrzeżnej strefy. Statek wkrótce wziął kurs na północny zachód i w rytm miarowych pociągnięć wiosł przecinał błękit oceanu.

Galvan obejmował Gwynn mocno, chcąc czuć jej bliskość, jej zapach i smak soli na jej skórze. Jego matka, brat i Aife znaleźli sobie miejsce w innej części pokładu i stali teraz oddaleni, pogrążeni każde w swoich myślach.

- Pamiętasz tamten dzień, kiedy ujrzałem cię śpiącą na trawie, Gwynn? - zagadnął.

- Pamiętam. Widziałam cię wtedy we śnie. Widziałam twoje oczy tak, jak je zobaczyłam wczoraj w tej izbie. A kiedy się obudziłam, stałeś nade mną.

Ich palce się splotły.

- To był najlepszy dzień w moim życiu - stwierdził Galvan. - Bo dostałem wtedy ciebie. Przez te lata, kiedy byłem w Rzymie, każdego dnia prosiłem bogów, bym mógł do ciebie wrócić. By dali mi jeszcze jedną szansę spędzenia z tobą życia. Tak wiele lat zmarnowałem.

- Nie zmarnowałeś. Robiłeś to, co musiałeś. Czasem nie mamy wyboru, robimy to, co nam każe przeznaczenie.

- Tak, Gwynn. Ale teraz nie zmarnuję już ani chwili - powiedział z mocą. - I żadna siła nas już nie rozdzieli. Nie pozwolę na to.

Gwynn oparła głowę na jego ramieniu. Poczwała na twarzy ciepłe promienie letniego słońca. Tak, każde z nich zapłaciło ogromną cenę za wspólny spokój. Nie chciała o tym myśleć. Nie chciała wspominać wojny, oblężenia, nie chciała myśleć o swoim dziecku, które zostawiła pod opieką Cezara na dobre i na złe. On też miał w duszy rany, które nigdy nie miały się zagoić, zmarłych, których zostawił na swojej drodze przeznaczenia.

- Wercyngetoryks umarł - usłyszała jego głos. - Zginął po triumfie Cezara i nie powstanie więcej. Jesteśmy ty i ja, Gwynn. I wracamy do domu.

Do domu. Żadne z nich nie pragnęło niczego więcej.

EPILOG

Cezar w jednej chwili przeniósł się z najgłębszego snu do całkowitej świadomości. Białe światło poranka wdzierało się przez okno cubiculum umieszczone tuż pod sufitem. Wiedział, dlaczego zbudził się tak gwałtownie. Śniła mu się Kornelia, co nie zdarzyło się od wielu lat. Widział jej piękną twarz, młodą i roześmianą, jej promienne oczy, jej uśmiech, wyraźnie czuł jej zapach i nawet po przebudzeniu wydawało mu się, że sypialnia jest nim przesycona.

„Czekam na ciebie” – mówiła we śnie, a on szedł do niej przepojony radością.

Dawno już nie zdarzył mu się taki sen. Na ogół nie śnił o zmarłych, Pompejusz na przykład nie straszył go po nocach. Nigdy nie przyśniła mu się Julia, nad czym od czasu do czasu ubolewał. Był jednak zbyt praktyczny, za mocno stąpał po ziemi, by przywiązywać wagę do tego rodzaju snów. Raz jeden wstrząśnięty zapytał o radę wieszczka, było to wówczas, gdy śniło mu się, że spółkował z własną matką. Zapytany wieszczek odparł wtedy, że matka oznacza ziemię,

a sen zinterpretował w taki sposób, że Cezar zdobędzie władzę nad ziemią. I rzeczywiście zdobył. Nie dawniej jak miesiąc temu otrzymał dożywotnio tytuł dyktatora.

„Osiągnąłeś wszystko” – powiedziała mu ongiś celtycka kapłanka.

Rzeczywiście nic więcej, oprócz może korony królewskiej, nie był w stanie osiągnąć.

Kapłanka powiedziała mu wtedy jeszcze inne słowa, których nie chciał sobie przypomnieć. A może nie mógł. Utknęły one gdzieś na progu jego świadomości i tam zostały, niewypowiedziane, nieprzywoływane więcej.

Jego żona śpiąca obok wierciła się niespokojnie. Cezar spojrział na jej twarz, która nigdy do najpiękniejszych się nie zaliczała, ale której z biegiem lat przybyło szlachetności, i poczuł ogarniającą go czułość. Mimo wszystkich kochanek, mimo wielu lat nieobecności Kalpurnia bez zarzutu pełniła powierzona jej funkcję. Była taką żoną, jaką każdy szanujący się rzymski obywatel chciałby mieć. Skromna, pobożna, cnotliwa, wierna, inteligentna, cicha, wyrozumiała, czuła, a nade wszystko kochała go i on o tym wiedział, chociaż nie raz wystawiał jej miłość na próbę. Choćby teraz, kiedy w jego rezydencji od półtora roku mieszkali egipska królowa i jej syn, którego nie uznał, bo nie mógł. Zresztą Cezarion nie był do niego podobny, przypominał raczej swoich macedońskich przodków. Tylko oczy odziedziczył po ojcu, czarne, przenikliwe, takie jak inny syn pozostawiony Cezarowi przez jego matkę. Conn, syn Gwynn z Galii, który już drugi rok przebywał pod dachem siostrzenicy Cezara, Atii. Cezar

uznał, że tak będzie lepiej dla wszystkich. Kalpurnia wiedziała, kim jest dziecko przywiezione w wielkim sekrecie przez Gwynn, Atia jednak nie zdawała sobie z tego sprawy, a nawet jeśli tak, to nie została oficjalnie poinformowana. Cezar powiedział jej, że dziecko jest potomkiem jednego z jego legatów, spłodzonym w Galii, które on obiecał odpowiednio wychować. Atia nie była głupia, zapewne myślała swoje, ale na wszelki wypadek posłuchała wuja i przyjęła obce dziecko, które pełniło funkcję osobistego służącego młodego Gajusza Oktawiusza.

Kalpurnia zaczęła jęczeć przez sen. Cezar pogładził ją po policzku. W wieku trzydziestu sześciu lat nadal wyglądała młodo, ale wokół ust rysowały jej się zmarszczki, miała wyraźną lwią bruzdę między brwiami, a czoło przecinały poprzeczne linie. Ale jemu się podobała, jej piękno bowiem nie uderzało od pierwszego wejrzenia. To Kornelia była piękna, Kalpurni daleko było do ideału. Ona była piękna duchem.

Otworzyła oczy. Na jej obliczu odmalował się lęk.

- Gajuszu - szepnęła, a Cezar zadrżał, bo przez szesnaście lat małżeństwa nigdy się tak do niego nie zwróciła. - Śniło mi się, że twoja szata była zbryzgana krwią, a ty sam leżałeś u stóp posągu Pompejusza. Miałeś liczne rany na ciele, a twarz zakrytą togą.

Cezar zaśmiał się, ale poczuł niepokój w sercu, bo sny Kalpurni bywały prorocze.

Czego jednak miałyby się bać? Pokonał wszystkich swoich głównych wrogów. Pompejusza, który najpierw był jego

zięciem i przyjacielem, a potem okazał się zdrajcą. Jego synów rozgromił ostatecznie w Hiszpanii. Katon Młodszy na sam koniec okazał bohaterstwo, popełniając samobójstwo w Utyce. Przebił się mieczem tak nieskutecznie, że zdołano go odratować, a skoro tylko się zorientował, że niestety przeżył, własnoręcznie rozdrapał rany i powywlekał wnętrzności na zewnątrz. Ci, którzy nie odebrali sobie życia, skapitulowali i musieli ostatecznie uznać jego przewagę. Teraz zapewne knuli za jego plecami, ale Cezar uważał, że niewiele mogą osiągnąć. Nawet jeśli go zabiją - a nie wątpił, że o tym też jest mowa w odpowiednich kręgach - nie przywróca świątyni Republice, bo jej zmierzch nastąpił wraz z rządami Sulli przed czterdziestu laty.

Ale on sam, naturalnie, nie miał zamiaru umierać. Szykował wojnę z Partami i tam właśnie zamierzał się udać, by przy okazji pomścić śmierć jednego z triumwirów, Krassusa, gdy tylko upora się z ustawami w Rzymie i wyznaczy konsulów na rok następny. Sądził, że do czerwca będzie gotów, a było jeszcze wcześniej. Nastaly właśnie idy marcowe.

Pogładził żonę po twarzy uspokajającym gestem.

- Kalpurnio, to tylko sen - mruknął. - Nie ma się czego obawiać. Miałaś koszmar.

- Nie miewam koszmarów, Cezarze - stwierdziła Kalpurnia, siadając. - Nie idź dziś do senatu. Mam złe przeczucie.

- Nie idę do senatu. Dzisiaj obrady będą w Teatrze Pompejusza.

Kalpurnia zbladła.

- Cezarze, nie wolno ci tam iść - wyjąkała. - Proszę, jeśli moje słowa cokolwiek dla ciebie znaczą, nie idź tam dzisiaj.

Cezar pogładził ją po wzburzonych włosach. W brązowych lokach widniały pierwsze nitki siwizny mimo względnie młodego wieku kobiety.

- Jeśli to dla ciebie takie ważne, nie pójdę - zgodził się, ale uważał sny żony za przejaw babskiej hysterii albo co najmniej objawy kobiecych słabości. - Zostanę w domu, ostatecznie petenci mogą przyjść do mnie.

Kalpurnia odetchnęła z ulgą. Cezar posłał do senatu wiadomość, że tego dnia zostaje w domu z powodów osobistych. Gdy wraz z żoną spożywał śniadanie w triclinum, zauważył na jej twarzy rumieńce. Uśmiechała się do niego uszczęśliwiona i pierwszy raz od czasu przybycia do Rzymu Kleopatry wydawała się naprawdę odprężona.

Jednak zaraz po posiłku do domu Cezara przyszedł Decymus Brutus. Był wyraźnie wzburzony. Na jego widok Kalpurnia zbladła.

- Cezarze, nie idź z tym człowiekiem - powiedziała błagalnym tonem. - Nie słuchaj go, cokolwiek ci powie.

Czym innym było posłuchanie żony w zaciszu sypialni, czym innym zaś dopuszczanie jej do głosu w obecności senatora. Brutus gestykulował zawzięcie, powtarzając, że obrady Senatu bez udziału Cezara będą nieważne, poza tym jego nieobecność w tak ważnym dniu uznana zostanie za brak szacunku.

Cezar się wahał. Spoglądał na swoją żonę, na wyraz

bezgranicznego niepokoju w jej oczach. Naraz przypomniał sobie noc, kiedy umierała Kornelia. Jej błagalny szept, by pozwolił jej odejść, jego rozpacz i kurczowe trzymanie jej przy życiu.

„Jak chcesz umrzeć, Cezarze?”

To były słowa celtyckiej kapłanki.

Zwrócił się w stronę wyraźnie zaniepokojonego Brutusa.

- Dobrze już, pójdę z tobą - powiedział.

Kalpurnia spuściła wzrok. Cezar pokręcił głową. Dobrze wiedział, co chciała mu powiedzieć, ale stwierdził, że jeżeli pozwoli sobie na uwierzenie w przesady, nie odwróci fatum.

- Nic mi nie będzie, Kalpurnio - szepnął do niej uspokajająco.

Przylgnęła do jego ręki, tak że niemal siłą musiał się wyrwać. Gdy wychodził z domu, obejrzał się i spojrzał na nią jeszcze raz. Przed oczami mignęło mu oblicze herszta piratów przepowiadającego mu niedobrą śmierć. Oczy Kalpurni były pełne bezbrzeżnego smutku.

Zamrugnął. Wydało mu się naraz, że w atrium stoi Kornelia.

„Czekam na ciebie”.

Promienie słońca wpadły przez oculus w dachu i oświetliły twarz stojącej w półmroku kobiety. Znowu była Kalpurnią, na której twarzy malował się smutek. Cezar westchnął ciężko i wyszedł z domu na zalaną słońcem ulicę.

Gdy był w połowie drogi, ujrzał wieszczka, który od wielu miesięcy straszył go nadejściem idów marcowych. Zatrzymał się ku wielkiej irytacji Brutusa, któremu najwyraźniej

niezmiernie się spieszyło tego dnia.

- I co - zagadnął haruspika Cezar. - Idy marcowe nadeszły, a nic złego się nie stało.

Wieszczek zmrużył oczy. Cezar odniósł wrażenie, że ktoś kiedyś już tak na niego spoglądał.

- Nadeszły, Cezarze, ale nie minęły - odparł starzec.

Cezar przypomniał sobie. Takie samo niezgłębione spojrzenie miała kapłanka, która przyszła uwolnić Wercyngetoryksa. Uśmiechnął się do siebie pod nosem i ruszył dalej, do spowitego w półmroku Teatru Pompejusza.

Celtillognatos dotarł do Gergowii w samo południe. Był umęczony, południowy skwar dokuczał mu wyjątkowo, chociaż pełnia lata jeszcze nie nastąpiła. Spieszył się, by przekazać ostatnie wiadomości swemu bratu jako pierwszy, chociaż w zasadzie nie miało to aż tak wielkiego znaczenia. Jako pierwszy w zgromadzeniu druidów Celtillognatos miał swoje sposoby na pozyskiwanie ważnych informacji. Zawsze tak było.

Tej wiosny Aife udała się do swojej doliny, czy może raczej do doliny swej matki i babki, by rozpocząć naukę nowych uczniów. Rzymianie jak dotąd nie wpadli na to, że w jednej z dolin kapłanki nadal mogą szkolić przyszłych wojowników. Zresztą rzymski magistrat nie był aż tak zainteresowany świeżo zdobytą Prowincją Galią, jak mogłoby się wydawać. Odkąd Cezar zwinął legiony z podbitych terenów, wśród plemion celtyckich zapanował względny spokój. Celtillognatos podejrzewał, że niedługo to potrwa i za

jakiś czas nowy władca Rzymu przypomni sobie o swej daninie, ale na razie można było spać spokojnie i cieszyć się, że urzędnicy poza ściąganiem podatków nie byli zainteresowani życiem prywatnym mieszkańców Galii.

Domostwo Galvana niewiele się zmieniło, odkąd druid gościł tu po raz ostatni. Zresztą nie było to tak dawno temu, przybył tu bowiem jesienią na święto Samhain. Po powrocie Galvan całkowicie poświęcił się gospodarstwu, ani mu w głowie było naczelnikowanie. Zresztą dziwnym zbiegiem okoliczności, którego Celtillognatos nie potrafił wyjaśnić, ludzie zdawali się nie dostrzegać, kto do nich wrócił. Oficjalnie Wercyngetoryks został uduszony po triumfie Cezara przed dwoma laty, do Gergowii zaś wrócił razem z Gwynn Jorg. Druid dopiero później zrozumiał, że taki był plan Aife i to ona zmyliła ludzki wzrok. Każdy, kto przybywał do domu Galvana, widział to, co ona chciała, by zobaczyć. I może tak było lepiej. Mit Wercyngetoryksa już teraz był żywy wśród Arwernów, a historia powstania zataczała coraz szersze kręgi. Galvanowi zaś było najwyraźniej wszystko jedno. Słuchał pieśni o samym sobie z krzywym uśmiechem, a potem wracał do pracy. Tej zaś miał niemało, chętnie angażował się we wszystko, co było do zrobienia.

Gdy zdyszany i zmęczony Celtillognatos wtoczył się wreszcie na końskim grzbiecie na dziedziniec domu swego brata, zastał go uczącego kilku małych chłopców reperowania sieci. Najwidoczniej malcy mieli iść na połów ryb w rzece. Celtillognatos zmarszczył brwi, nie znał bowiem tych chłopców, ale zaraz przypomniał sobie, że własne

męskie potomstwo Galvana zostało odesłane do nemetonu, a on sam zgodnie z obyczajem adoptował synów swoich krewnych.

Na widok brata Galvan podniósł się ze swego miejsca i wyprostował smukłe, prężne ciało. Celtillognatos, starszy o jedenaście lat, dobiegający pięćdziesiątki, ze złością stwierdził, że po Galvanie jakoś nie widać wieku. W jasnych włosach nie było ani śladu siwizny, a twarz, pomimo wyraźnych zmarszczek wokół ust i oczu, nadal pozostawała młoda. On sam oprócz siwych włosów miał też wyraźne zakola, co go niepomrotnie irytowało.

- Witaj, bracie! - zawołał Galvan wesoło. - Co cię sprowadza w me skromne progi o tej porze? Nie spodziewałem się ciebie przed jesienią.

Celtillognatos zszedł z konia i oddał go służce, który natychmiast zmaterializował się obok z dzbanem wody. Druid łapczywie ugasił pragnienie i otarł usta dłonią.

- I zapewne byś mnie nie zobaczył prędzej, gdybym nie miał wieści z Rzymu.

Galvan czekał. Wieści z Rzymu niewiele go obchodziły. Przez ostatnie dwa lata żył spokojnie i stwierdził, że takie życie o wiele bardziej mu odpowiada niż wieczna wojna, walka o władzę, zemsta i rozlew krwi. Nie chciał paktować, nie sprowadzał nowych żon, wystarczała mu Gwynn. Nie wracał wspomnieniami do minionych wydarzeń, bo to wszystko było zbyt bolesne. Nigdy też nie rozmawiał ze swoją żoną o dziecku, które pozostawiła w Rzymie pod opieką Cezara, tak jakby Conn wcale nie istniał. Wiedział

jednak, kiedy Gwynn było trudno, chociaż nie odzywała się na ten temat. Pomimo bolesnych ran, jakie w życiu otrzymał, właśnie teraz był całkowicie szczęśliwy.

- Widzę, że palisz się, by mi je przekazać. - Uśmiechnął się. - Mów zatem, co się tam takiego wydarzyło, że musiałeś przerwać swe wygnanie i przyjechać do mnie.

Celtillognatos odetchnął głęboko.

- Cezar został zamordowany w idy marcowe - oznajmił. - Otrzymał dwadzieścia trzy ciosy sztyletem, z których tylko dwa były śmiertelne.

Galvan patrzył na brata przez długą chwilę, po czym spuścił wzrok. Nigdy by nie przypuszczał, że zapłaczę po śmierci swego największego wroga, a jednak łzy napłynęły mu do oczu, a w piersi poczuł przygniatający ciężar. On i Cezar, mimo że stali po dwóch stronach barykady, byli ze sobą nierozzerwalnie złączeni. Galvan przez wiele lat walczył w jego legionach, miał okazję poznać tego człowieka i pomimo rozdzielającej ich ideologii, celu i dążeń nauczył się go szanować. Przypomniawszy sobie pierwsze spotkanie z młodym wówczas senatorem, który w luźno zawiązanej todze ganił ze śmiechem córkę, a jemu i jego wujowi proponował gościnę. I ostatnie, kiedy Galvan siedział w jego namiocie i oczekiwał na wyrok.

Między nim a Cezarem przelało się całe jego życie, minęła młodość, przebrzmiał wiek męski. Teraz Galvan miał najlepsze lata za sobą, dokonał też tego, do czego był powołany. Ale nawet żyjąc w zaciszu swego domu, wracał myślami do Cezara i bywało, że zastanawiał się, jakie

znaczenie dla niego miał ten człowiek i jak mocno i głęboko odcisnął na nim swoje piętno.

Zorientował się, że obok stoi Gwynn, która musiała słyszeć ostatnie słowa Celtillognatosa. Nawet nie wiedział, kiedy podeszła. Ale w jej oczach również ujrzał łzy spływające wolno po policzkach. Nie chciał myśleć o więzi, jaka łączyła ją z Cezarem. Wiedział, że myśląc o nim, myślała również o swoim synu, który teraz został w Rzymie sam, zdany na łaskę i niełaskę swoich krewnych.

- Nie rozumieli go - szepnął Galvan. - A on patrzył za daleko.

Gwynn pokiwała głową. Oboje milczeli.

- Jesteś pewnie głodny, bracie? - zapytała pani domu z troską w głosie. - Dobrze się składa, że przyjechałeś akurat teraz, bo wkrótce będziemy urządzać zaręczyny naszej Morgwynn.

Celtillognatos spojrział zdumiony na Gwynn, ale zaraz przypomniał sobie, że ta ich córka musi mieć skończone co najmniej piętnaście lat, a zatem osiągnęła wiek odpowiedni do zamążpójścia. Drapiąc się w siwiejącą głowę, wymamrotał pod nosem, że czas pędzi jak szalony i on tego nie ogarnia.

- A kto, jeśli mogę zapytać, jest szczęśliwym narzeczoną?

Galvan się roześmiał.

- Niejaki Breinan, syn władcy Icenów z Albionu - poinformował z dumą. - Wyobraź sobie, że jesienią przyjechał tutaj z ogromną świtą, padł przede mną na kolana i oznajmił, że śniła mu się moja córka i że on pragnie ją

poślubić.

Celtillognatos otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Nie chciał poruszać drażliwych tematów.

- Z plemienia Icenów - wymruczał. - Daleko. To dopiero ciekawe. A Aife się pokazała?

Uśmiech na ustach Galvana zamarł.

- Nie - odparł ponuro. - Wiem, o czym mówisz. Nie, ten młody człowiek powiedział później, że śniła mu się inna kobieta. Rudowłosa, straszna, budząca lęk. Gdy się obudził, poczuł nieodpartą potrzebę przyjechania tutaj, do Gergowii, żeby pojąć za żonę córkę Wercyngetoryksa. Zaproponowałem mu, żeby został moim gościem przez jesień i zimę, by mógł poznać dziewczynę i stwierdzić, czy naprawdę chce się z nią żenić. Wydaje się, że młodzi przypadli sobie do gustu. Może nawet trochę bardziej, niż przystoi.

Celtillognatos pokiwał głową.

- Zatem twój ród przetrwa na Albionie - stwierdził z zadumą.

Galvan poklepał brata po plecach.

- Za dużo rozmyślasz - powiedział. - Każdy musi zrobić to, co mu pisane. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Skoro moja córka ma być żoną władcy Icenów, tak właśnie się stanie. I nie mnie ani tobie zastanawiać się, jaki temu przyświeca cel.

Celtillognatos otworzył już usta, by odpowiedzieć, ale zmienił zdanie. Galvanowi wystarczy już snów i prorocत्व. Niech cieszy się tym, co ma tutaj, w Gergowii, u boku

Gwynn. Stracił już wystarczająco dużo, niech więc teraz po latach bycia wybrańcem bogów zakosztuje życia zwykłego śmiertelnika.

Galvan spojrzał mu w oczy i nieznacznie kiwnął głową. A potem szerokim gestem zaprosił swego brata druida do domu, do którego prawo wywalczył sobie wiele lat temu, pokonując przeciwników i mszcząc swego ojca. On jednak w przeciwieństwie do Celtyllusa nie chciał dłużej być naczelnikiem ani sięgać po królewską koronę. Był szczęśliwy, mogąc zażywać spokoju po tym, jak własnym życiem zapłacił cenę przywództwa.

Drust schodził kamiennymi schodami do doliny, która na wysokości przełęczy ukryta była w oparach mgły. On i grupa chłopców w jego wieku, czyli piętnastu lat, tego dnia przechodzili spod opieki druidów pod pieczę wojowniczek z doliny. O wojowniczkach szeptano po nocach, rzecz jasna, gdy nauczyciele nie słyszeli albo udawali, że nie słyszą. Drust pamiętał doskonale jedną z nich, rudowłosą, przerażającą pomimo młodego wieku. Czasami przyjeżdżała do domu jego ojca, zanim rozpętała się wojna, zanim Drust został adoptowany przez inną rodzinę. Potem, gdy skończył siedem lat, został oddany do nemetonu ukrytego bardzo dobrze przed rzymskimi legionami. Z dala od wojennej zawieruchy pierworodny syn Galvana pobierał stosowne nauki, a teraz, gdy osiągnął odpowiedni wiek, udawał się na dalszą naukę, tym razem wojennego rzemiosła.

Mógł oczywiście zapytać, po co uczyć się walki, skoro

rzymskie legiony stacjonują w Galii, ale za bardzo się bał, żeby się na to odważyć. Miało minąć co najmniej pokolenie, zanim celtyccy wojownicy będą wcielani do rzymskiej armii. Po śmierci Cezara w Rzymie rozpętała się kolejna wojna domowa, która miała trwać następne dwie dekady, ale o tym Drust nie wiedział. Nieświadomy politycznych zawirowań wielkiego świata, powoli schodził starymi, wyślizganymi setkami stóp schodami do doliny.

Gdy się w niej znalazł, jego oczom ukazało się kamienne domostwo wykute w skale. Drust poczuł zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa, zupełnie jakby po plecach przebiegła mu jaszczurka. Eskortujący grupę chłopców druid zmierzał prosto tam, pod kamienny taras, na którym stała jakaś postać. Drust kątem oka dostrzegł inne domy, nieco na uboczu, które, jak sądził, miały zostać przydzielone im. Chociaż nikt mu tego nie mówił, wiedział, że jego ojciec też spędził w tej dolinie kilka lat swego życia. Nie musiał pytać, bo takie rzeczy były oczywiste. Szlachetnie urodzeni wojownicy nabywali umiejętności właśnie tutaj.

To miejsce zwano doliną Scatah, chociaż mieszkająca tu kapłanka nie żyła od wielu lat, podobnie jak jej córka Uatah. Teraz doliną rządziła inna kapłanka, Aife, i właśnie ona stała na kamiennym tarasie.

Gdy się zbliżyli, Drust ujrzał ją w całej okazałości. Ubrana była w krótką tunikę spiętą pasem, która nie zasłaniała ramion. Do pasa miała przytroczone miecz i sztylet, którymi, jak sądził Drust, posługiwała się bezbłędnie. Na umięśnionych ramionach połyskiwały złote

bransolety, a na szyi - złoty torkwes, który przysługiwał jedynie władcom. Ta kobieta bez wątpienia była władczynią, cała jej postawa o tym mówiła. Bujne włosy koloru dojrzałej pszenicy opadały jej na ramiona. Była piękna, ale zarazem w jakiś niewytłumaczalny sposób przerażająca, chociaż to, co Drust poczuł na jej widok, bynajmniej nie było przerażeniem.

To był zachwył pomieszany z pożądaniem, ale też coś innego, jakaś dziwna nienazwana więź, która wyrastała z samej esencji jego duszy. Miał wrażenie, że zna tę kobietę, zna ją od dawna, ale to przecież było niemożliwe, widział ją wszak po raz pierwszy w życiu.

Skierowała na niego wzrok. Jej oczy były turkusowe jak zimowe niebo, migotliwe jak gwiazdy, a wzrok - przenikliwy, zdający się przepalać mu duszę.

TO TY. CZEKAŁAM NA CIEBIE.

Nie odezwała się, a jednak usłyszał jej słowa. Docierały prosto do jego myśli, rozbrzmiewały mu w głowie jak echo.

- To ja - szepnął, sam nie wiedząc, dlaczego, ale czuł, że musi to zrobić. Odpowiedzieć na wezwanie. - Oto jestem.

Na jej ustach zagościł uśmiech, a Drust odetchnął głęboko jak po ogromnym wysiłku. Wiedział, że tu jest jego miejsce, w tej dolinie. I że jego los związany jest z losem tej kobiety na tarasie. Jego serce biło w rytm jej oddechu, a jego duszę ogarnął niewytłumaczalny spokój. Ona była tą, która wskaże mu drogę i cel, jako siostra i kochanka, jako bogini, którą posiadzie, by stać się równy bogom.

Drust uśmiechnął się do siebie. Był gotów podążyć drogą swego przeznaczenia.

KONIEC

Dziękuję Pani Hannie Woźniak, która ukazała mi magię antycznego świata, za poświęcenie i czas spędzony wspólnie nad podręcznikiem do łaciny, za moje pierwsze tłumaczenie Cezara i jej ogromny trud, aby mnie uczynić filologiem klasycznym.

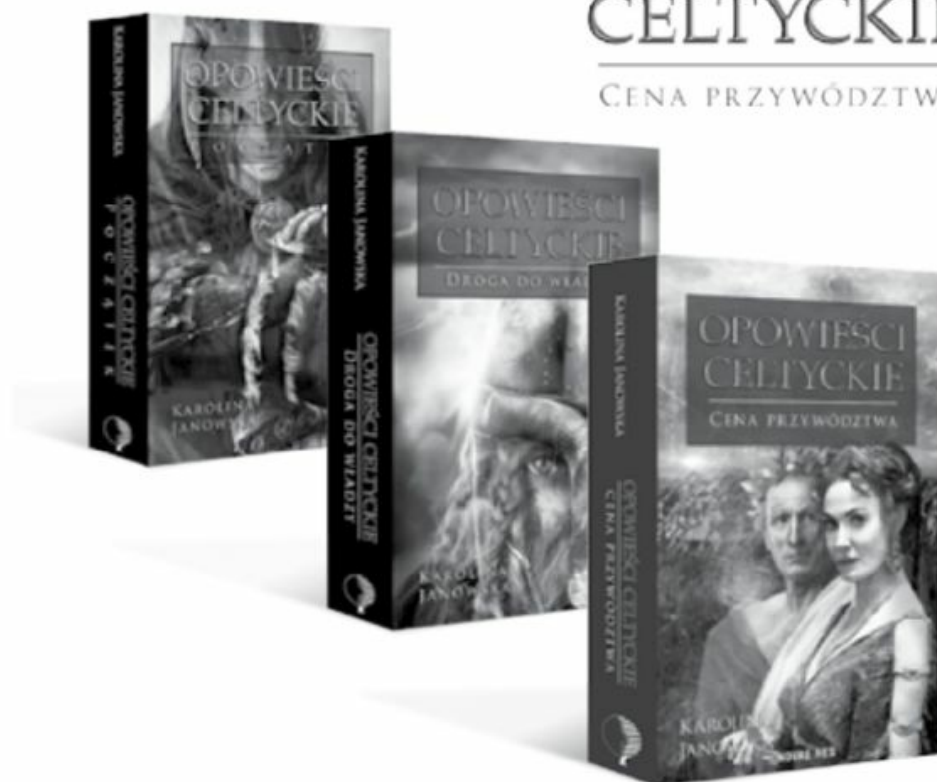
Dziękuję profesorowi Bogdanowi Burlidze. *Magnus es.*

Dziękuję mojej Teściowej, Janinie Musiuk-Mordarskiej, za to, że była przy mnie, kiedy świat się zawalił, za dach nad głową, za słowo otuchy, a czasem za konstruktywny opiernicz. Mamo, jesteś najlepszą Teściową na świecie. I najlepszą przyjaciółką.

OPOWIEŚCI
CELTYCKIE
P O C Z A T E K

OPOWIEŚCI
CELTYCKIE
DROGA DO WŁADZY

OPOWIEŚCI
CELTYCKIE
CENA PRZYWÓDZTWA



Nakładem wydawnictwa Novae Res
ukazało się również:



Po rozpadzie związku Natalia usiłuje ułożyć sobie życie na nowo. Wychodzi za mąż i całkowicie poświęca się pracy oraz domowi, ale po kilku latach dochodzi do wniosku, że jest rozczarowana i zmęczona małżeństwem z człowiekiem, który stanowi całkowite jej przeciwieństwo. Gdy jej mąż nieoczekiwanie oznajmia, że wyjeżdża za granicę w celach zarobkowych i zostawia pod opieką żony szesnastoletnią siostrzenicę, monotonne życie Natalii wywraca się do góry nogami. Musi poradzić sobie ze zbuntowaną nastolatką i z jej dylematami, wynikającymi z trudnego wieku dojrzewania. Jednak problemy Natalii zaczynają się dopiero wówczas, gdy któregoś wieczoru do jej drzwi zapuka dawny narzeczony, z którym rozstała się w przykrych okolicznościach, a którego wbrew samej sobie cały czas skrycie darzy nieszczęśliwą miłością.

Opowieści celtyckie. Przymierze

Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-8147-470-2

© Karolina Janowska i Wydawnictwo Novae Res 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Paulina Zyszczyk

KOREKTA: Kinga Dolczewska

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.